

Manel Loureiro

APOKALIPSA

TRZECI TOM TRYLOGII ZOMBIE

**GNIW
SPRAWIEDLIWYCH**

Manel Loureiro

APOKALIPSA Z
Gniew sprawiedliwych

Tytuł oryginału: *Apocalipsis Z*

La ira de los justos

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Mariola Hajnus*

Zdjęcia na okładce

© isoga/Shutterstock

© Colin Anderson/Photographer's Choice/FPM

© Adrian Assalve/E + /FPM

© 2011, Manel Loureiro Doval

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Stanisław Bończyk

ISBN 978-83-7758-654-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2014

Wydanie I

Książkę dedykuję Ricie i moim rodzicom.

*Dziękuję Wam za miłość, nieskończoną cierpliwość
i za to, że zawsze byliście przy mnie.*

1

*Kiedy się wybierzesz w podróż do Itaki,
życz sobie, żeby długa była,
pełna przygód, pełna doświadczeń.*

K. Kawafis, *Itaka*[1]

Jak niemal wszystko, to też było dziełem przypadku.

Na tym skrawku Oceanu Atlantyckiego od miesięcy nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Przez ostatnie półtora roku na wodach gdzieś w pół drogi pomiędzy Ameryką a Europą pojawiło się kilka wielorybów i trochę dryfujących śmieci. To wszystko.

Główne morskie szlaki handlowe zawsze przebiegały daleko stąd, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek odczuwalny był tu brak ludzi. Na horyzoncie nie rysował się ani jeden statek, żagiel czy smuga dymu. Nic. Jakby z powierzchni ziemi znikły wszelkie istoty ludzkie. Rzecz w tym, że do zagłady ludzkości doszło naprawdę. No, prawie. Ktoś tam jednak ocalał. Pośród otwartego oceanu nie było nikogo, kto by się mógł przejąć sytuacją lub poświęcić jej chociaż chwilę namysłu. A jednak nadal coś się tutaj działo.

Zaczęło się od niewielkiego wzrostu temperatury – o cztery, może pięć stopni. Sierpniowe słońce przez szereg dni ogrzewało powierzchnię wody. Tony pary wodnej powędrowały do atmosfery na tyle szybko, że nastąpiło ich błyskawiczne wystudzenie, wskutek czego przekształciły się w warstwę chmur. Jednocześnie ciśnienie atmosferyczne gwałtownie spadło. Wiatr, wzbudzony różnicą ciśnień i ruchem obrotowym Ziemi, przybrał formę kolosalnych, ospałych pierścieni, które stopniowo nabierały prędkości.

Gdyby znalazł się tam jakiś meteorolog (o co byłoby trudno, ponieważ na świecie pozostało może czterdziestu tego rodzaju specjalistów, z których niemal wszyscy koncentrowali się na ratowaniu własnego życia, a nie na liczeniu izobar), miałby okazję stwierdzić, że oto powstaje komórka burzowa. Ściślej mówiąc: superkomórka. Zauważyłby także, że na tej szerokości geograficznej podobne zjawisko spotykane jest niezmiernie rzadko.

Na tym skrawku oceanu nie było jednak nikogo, satelity meteorologiczne zaś, które powinny nadzorować sytuację, albo stały się nieaktywne, albo

wybuchły w zderzeniu z atmosferą. W ostatnich miesiącach nikt nie dbał o ich utrzymanie. Stacje kontrolne na ziemi opustoszały. Nie pozostał nikt, kto mógłby wysłać jakikolwiek komunikat. Trzydzieści godzin później superkomórka burzowa przekształciła się w huragan trzeciej kategorii, który przemieszczał się w stronę wybrzeży Afryki. Narodzinom tego meteorologicznego monstrum nie towarzyszył ani jeden świadek.

Nie miał więc kto ostrzec załogi niewielkiego jachtu żaglowego znajdującego się o czterysta mil na wschód, że niedługo ponad ich głowami rozpęta się piekło.

2

– Co będzie na obiad? – zapytał Prit, wsunąwszy głowę pod pokład naszego „Krokodyla II”.

– Spróbuj zgadnąć – mruknąłem, uśmiechając się półgębkiem. Zerknąłem na swojego towarzysza. Niski, nieco żylasty, w zaskakująco dobrej formie jak na faceta koło czterdziestki, Wiktor Pritczenko patrzył na mnie z zejściówki swoimi wyrazistymi niebieskimi oczami. Słońce spaliło mu skórę tak bardzo, że przybrała niespotykany miedziany odcień, który mocno kontrastował z blond włosami i słomianymi węsami.

– Tylko nie mów, że znów ryba – jęknął Wiktor. – Mam już serdecznie dość tej naszej sardynkowej diety!

– Ja też – przyznałem – ale musimy korzystać z tego, że łatwo tu coś złowić. Nie wiadomo, ile nam zajmie dotarcie na ląd ani kiedy znów będzie przepływać obok nas coś jadalnego. Poza tym, sam wiesz: żelazny zapas trzymamy na sytuacje awaryjne.

Wiktor aż oblizwał się w myślach na wspomnienie kilku puszek ustawionych w niedużej szafce w głębi kabiny. Westchnął i zwrócił się w stronę pokładu, mamrocząc przy tym wiązaną ukrainskich przekleństw. Zdążył oprzeć stopę na pierwszym stopniu schodków, gdy runęła na niego potężna kula rudego futra, która pozbawiła go równowagi i przewróciła na ziemię. Przekleństwa miotane przez Ukraińca stały się głośniejsze. Na próżno usiłował złapać nadpobudliwego perskiego kota, który obserwował go z szelmowskim rozbawieniem z wysokości koi. Wiktor nie rozzłościł się jednak zbytnio – żeby wyprowadzić go z równowagi, trzeba było znacznie więcej.

– Pilnuj tego swojego cholernego kota, bo, jak Boga kocham, kiedyś wywalę go za burzę!

– Nie wierzę ci. – Nawet nie podniosłem wzroku znad niedawno złowionych makreli, które właśnie czyściłem. – W głębi duszy jesteś do niego przywiązany. Poza tym on nie jest mój. Według tego zwierzaka to ja jestem jego człowiekiem, nie on moim kotem.

Jak gdyby przytakując, rudzielec miauknął długo i dźwięcznie. Zeskoczył z koi i z gracją ruszył w moją stronę, licząc na to, że rybnie wnętrzości trafią do jego miski. Pritczenko wyszedł z kabiny i zostawił mnie samego.

Spojrzałem na swoje spracowane, pokryte rybimi łuskami dłonie i nie potrafiłem powstrzymać gorzkiego śmiechu. To wszystko wciąż wydawało mi się nierealne. Ledwie półtora roku wcześniej moje życie wyglądało zupełnie inaczej. Byłem szanowanym prawnikiem, mieszkałem i pracowałem w Pontevedrze, niedużym mieście na północnym zachodzie Hiszpanii. Miałem tam swoje życie i przyjaciół – własny cholerny uroczy światek.

Ambitny dorobkiewicz, trzydziestolatek, wysoki, szczupły i przystojny – tak o mnie mówili – świat leżał u moich stóp. Złote dziecko wyżu demograficznego czy – jak z przekąsem ujmowali to moi krewni – „młodzieniec z kwiatkiem w dupie urodzony”.

Jasne, że ten mój mały świat bywał też ponury. Moja żona zginęła w idiotycznym wypadku samochodowym (czy w ogóle bywają nieidiotyczne?) jakiś czas przed pandemią i długo trwało, zanim wygrzebałem się z głębokiej czarnej jamy depresji, w którą wpadłem, nie wiedząc nawet kiedy.

Gdy nadeszła apokalipsa, zaczynałem właśnie dochodzić do siebie po katastrofalnym okresie, w którym rozpacz przygniotła mnie tak bardzo, że prawie całkowicie porzuciłem pracę, przyjaciół i rodzinę. Zadręczałem się wyrzutami sumienia i własnym niewybaczalnym błędem. Czemu, do cholery, pozwoliłem jej prowadzić w nocy i przy tak gównianej pogodzie? Przez te spowite pijacką mgłą miesiące tyle razy zaglądałem do butelki, że nabierałem już ochoty, by zajrzeć w głąb lufy. Poszłoby łatwo, szybko i – jeśli dobrze się do tego zabrać – bezboleśnie... No i wtedy właśnie pojawił się Lukullus.

Mały kot perski o rudym futrze był prezentem od mojej siostry, która martwiła się, że stoczę się na samo dno. Co, do cholery, mogło się z nią stać? Gdzie ona, do diabła, może być? Siostra bez wątpienia trafiła z prezentem, bo konieczność opieki nad zwierzęciem spowodowała, że przestałem uważać się nad sobą i wyszedłem na prostą. Ale to już stare dzieje.

Problemy nie tylko moje, ale wszystkich bez wyjątku przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie podczas tamtej zimy, kiedy w Dagestanie otworzyły się bramy piekieł. Muszę przyznać, że podobnie jak większość mieszkańców Zachodu, nigdy wcześniej nie słyszałem nawet o tej byłej radzieckiej republice, zagubionej gdzieś w Azji. Nie wiem też, czy ten karłowaty kraj dorobił się kiedykolwiek takiego pieprzonego wynalazku jak ministerstwo turystyki, ale jeśli tak było, to powinni temu resortowi przyznać jakąś (pośmiertną) nagrodę. Przez dwa ostatnie tygodnie, kiedy w świecie funkcjonowały jeszcze media, nazwa tego skrawka ziemi hen na Kaukazie była bez wątpienia najczęściej powtarzanym słowem we wszystkich zakątkach globu.

Jak było – wiadomo. Wszyscy, którzy pozostali przy życiu, znają tę historię

w najdrobniejszych szczegółach. Grupa ekstremistycznych pojebów (Allah Akbar!) z leżącej po sąsiedzku Czeczenii chciała obrabować skład broni z czasów ZSRR i zdobyć środki do prowadzenia dżihadu. Napad się udał, ale łup mocno rozczarował mudżahedinów. Zamiast na kałasznikowy, granaty, wyrzutnie ręczne i taśmy z amunicją trafili na opustoszałe laboratorium z czasów radzieckich pilnowane przez dwunastu zapomnianych żołnierzy i wypełnione wyłącznie menzurkami, próbkami i lodówkami o zaplombowanych drzwiach. Rozgoryczony i wściekły czeczeński dowódca rozkazał swoim ludziom, by puścili to miejsce z dymem, łącznie z wielkimi lodówkami, które obklejono kiedyś ostrzegawczymi plakatami z napisami cyrylicą.

Był to ostatni rozkaz, jaki wydał. I bez wątpienia najgłupszy. Niecały kwadrans później on sam i wszyscy jego ludzie byli już zainfekowani wirusem TSJ, przez dwadzieścia cztery lata uśpionym wewnątrz laboratoryjnej kolby ukrytej w jednej z lodówek. Czterdzieści osiem godzin później wirus rozprzestrzenił się już w sposób niekontrolowany po terytorium Dagestanu, a w zaledwie dwa tygodnie – po całym świecie. Kiedy się to działo, partyzancki dowódca już nie żył (a ściślej mówiąc: uległ już przemianie w Nieumarłego). Nie dowiedział się więc, że swoją akcją rozpętał piekło na ziemi. Banda pastuchów-analfabetów, którzy nie potrafili odczytać ostrzeżenia na lodówce, wymazała ludzkość z mapy świata. Co za ironia. Co za pieprzona ironia.

TSJ rozprzestrzenił się po całej planecie i wszystko potoczyło się bardzo szybko. Niewidzialny gołym okiem więzień laboratoryjnej kolby, uwolniony przypadkiem przez nieznanego partyzanta, okazał się skurwielem najgorszego rodzaju. Był skrajnie zaraźliwy i zabójczy, a w dodatku jego kod genetyczny zaprogramowano na dalszy rozwój nawet po śmierci nosiciela.

Twórcą wirusa (tak, tak: TSJ to produkt ludzkiego umysłu) był jeden z najlepszych wirusologów, jakich wydał Związek Radziecki. Ten nieżyjący od przeszło dwudziestu lat i zapomniany dziś naukowiec odnosił w swoim czasie znaczne sukcesy jako bioinżynier. Zginął jednak w Berlinie Wschodnim podczas próby ucieczki za żelazną kurtynę. TSJ zaś, będący jego najwybitniejszym (a więc najbardziej śmiertcionośnym) osiągnięciem, popadł w zapomnienie. Po śmierci twórcy wirusa stała się bowiem rzecz nieunikniona: cały projekt, którym kierował, padł ofiarą czystki. Rezultaty przeprowadzonych eksperymentów uwięziono w zabezpieczonych lodówkach. Tam oczekiwać miały, aż ktoś ponownie podejmie nad nimi pracę. Jednakże powolność radzieckiej biurokracji i późniejszy rozpad ZSRR sprawiły, że całe przedsięwzięcie pogrzebane zostało pod tonami papierów i akt i nikt nie przypomniał sobie o nim przez ponad dwie dekady. Aż do tamtego zimowego dnia.

Sytuacja zarażonych TSJ była – mówiąc delikatnie – nie do pozazdroszczenia. Umierali w konwulsjach i potwornych bólach, zbliżonych intensywnością do tych, które wywołuje wirus ebola. Owszem, po kilku godzinach podnosili się, jednak z medycznego punktu widzenia wciąż byli martwi. Przepoczwarczali się w coś na kształt agresywnych lunatyków, atakujących każdą żywą istotę napotkaną na swej drodze. Nieumarli, tak określali ich dziennikarze. Do czasu aż przestały istnieć media. Większość tych, którzy je tworzyli, szybko bowiem zasiliła opanowujące świat zastępy zarażonych.

Wszystko to spadło na mnie jak koszmar senny. Kiedy uzmysłowiłem sobie, co się dzieje, znajdowałem się w samym środku jednej z niezliczonych akcji ewakuowania ludności; ład społeczny rozpadał się z godziny na godzinę, a chaos rozprzestrzeniał się po świecie jak pożar pochłaniający suchy las. Wkrótce zamarła telekomunikacja. Nieco później rozpadowi uległy struktury rządowe. W ciągu paru tygodni od momentu, gdy wirus dotarł do Hiszpanii, było już po wszystkim. Zniknęły resztki ładu, zaraza pochłonięła prawie całą ludność. Spośród miliardów mieszkańców Ziemi uchowała się nas zaledwie garstka: kilka tysięcy walczących o przeżycie, zmuszonych do nieustannego przemieszczania się. Otaczało nas morze Nieumarłych, biernych i niezbyt inteligentnych, ale przygniatających liczebnością. Byli wszechobecni, nie potrzebowali jedzenia ani snu, a nam – ocalałym – pozostało jedno jedyne wyjście.

Uciekać.

Zanurzyłem wypatroszone makrele w wiadrze morskiej wody. Rybie wnętrzości zostawiłem kotu. Lukullus przyglądał mi się z uwagą, tak jakby się głowił, jakim cudem podanie mu jedzenia może zajmować mi aż tyle czasu.

– Voilà, jaśnie panie – powiedziałem, głaszcząc kota po grzbiecie, gdy tymczasem on pochylał się nad rybimi resztkami. – Wiem, że to niezupełnie whiskas, ale przynajmniej masz co jeść.

Lukullus przeżuwał głośno. Młaśnięcia przeplatał pomrukami zadowolenia. Patrząc, jak pochłania rybie wnętrzości, nie byłem w stanie powstrzymać odruchu wymiotnego. Chwyciłem się przegrody i czekałem, aż nudności miną. Myśl o potwornej śmierci, która w ostatnich miesiącach spadła na miliony ludzi, nie dawała mi spokoju, dlatego czasem takie jak ta, błahe na pozór, codzienne sytuacje przyprawiały mnie o mdłości. Było to o tyle zrozumiałe, że przed apokalipsą mój najbliższy kontakt ze zwłokami miał miejsce przy wyborze steków w supermarkecie. Lukullus podniósł wzrok znad miski i przyglądał mi się, zdziwiony nieco bladym odcieniem, jaki przybrała moja skóra. Po chwili postąpił jednak, jak nakazuje koci savoir-vivre, i oszczędziwszy mi komentarzy, skupił się na dojadaniu swojej porcji.

Z pewnym trudem precisiłem się przez wąskie wnętrze „Krokodyla II” i

dotarłem pod drzwi łazienki. Przed wypłynięciem nie mieliśmy czasu uzupełnić stanu zbiorników, więc słodka woda podlegała na naszym pokładzie ścisłemu racjonowaniu. Ten zbiornik, który wykorzystywaliśmy do mycia, napełniliśmy wodą prosto z oceanu. Kilka miesięcy i zawarta w niej sól sprawi, że cała instalacja sanitarna jachtu skoroduje. Chciałem jednak wierzyć, że nie będziemy musieli żeglować aż tak długo. Efekty dwóch tygodni mycia się w słonej wodzie widać było po naszych poskręcanych włosach i smużkach solnego osadu na ubraniach.

Kilkakrotnie przemyłem twarz i przejrzałem się w stłuczonym łazienkowym lustrze. Z przeciwka przyglądał mi się brunet o ostrych, kanciastych nieco rysach i gęstej czuprynie. Oczy, ciemne i głębokie, były lekko przekrwione na skutek niedoboru snu i wielotygodniowego stresu. Poprawka – wielomiesięcznego.

Moje życie stało się prawdziwą odyseją od chwili, kiedy pandemia zmusiła mnie do opuszczenia rodzinnego miasta. Najpierw uciekłem na jachcie do nieodległego Vigo, gdzie – jak słyszałem – powstał najsilniejszy punkt oporu w całej Galicii. Dotarwszy tam, przekonałem się jednak, że miasto jest już zrujnowane. Po wielu perypetiach pośród zgliszcz Vigo zaprzyjaźniłem się z Wiktorem Pritczenką, ukraińskim pilotem śmigłowców zatrudnionym przy gaszeniu pożarów lasów. Wybuch pandemii uniemożliwił mu opuszczenie Hiszpanii i odciął od domu i rodziny oddalonych o tysiące kilometrów.

Od tamtego czasu Wiktor i ja nie rozstawaliśmy się ani na moment. To, że trzymaliśmy się razem, niejednokrotnie uratowało nam obu życie. Jako zespół utorowaliśmy sobie drogę przez pełne Nieumarłych płonące ruiny Vigo. Później wspólnie kontynuowaliśmy ucieczkę z kontynentu, by ostatecznie trafić na Wyspy Kanaryjskie. Potężnym ciosem dla naszego morale było odkrycie, że „Wyspy Szczęśliwe” zmieniły się w gigantycznych rozmiarów obóz dla uchodźców. Zjeżdżali się tam ludzie z całego świata, a wojsko reglamentowało żywność i żelazną ręką pilnowało porządku. W powietrzu wisiała wojna domowa.

Wreszcie w obawie o własne życie postanowiliśmy płynąć dalej. Odległość dzielącą nas od Wysp Zielonego Przylądka uznaliśmy za możliwą do pokonania bez większych przeszkód. Co ważne, miejsce to od zawsze było zakątkiem oddalonym od cywilizacji i słabo zaludnionym. Mocno wierzyliśmy, że zaraza tam nie dotarła. Wyspy miały stać się naszym małym rajem, który pozwoli zacząć życie na nowo.

Zwłaszcza że teraz była ze mną Lucía.

Wyszedłem z łazienki i precyzyjnie się pomiędzy zamontowanym na środku stołem a podstawą masztu, która przechodziła pod powierzchnię pokładu i docierała aż do głębokiej części kilu. Drzwiczki prowadzące do dziobowej części kabiny były uchylone. Leżąca na koi Lucía spała głęboko. Nie miała na sobie

nic oprócz bikini w kwiatowy wzór. Jedna ręka zwisała jej swobodnie ze skraju łóżka. W dłoni nadal miała stary numer magazynu o modzie. Od jego wydrukowania minęło sporo czasu, ale i tak stanowił trzon naszej pokładowej biblioteki, która składała się poza tym z podręcznika do nawigacji i połówki czasopisma sportowego, użytej dawno temu przez właściciela jachtu do podparcia baniaków w zębie.

Lucia dołączyła do naszego wąskiego składu kilka tygodni po tym, kiedy Prit i ja się poznaliśmy. Pośród chaosu, który towarzyszył ewakuacji głównych skupisk ludności, dziewczyna została odcięta od rodziny.

Zagubiona i przestraszona schroniła się ostatecznie w piwnicy szpitala, gdzie okopana jak żołnierz na froncie dotrwała do chwili, kiedy wpadliśmy na nią my dwaj. Momentalnie, nie wiedząc nawet zbyt dobrze, jak to się stało, Lucia i ja pokochaliśmy się całym sercem. Pomimo różnicy wieku wynoszącej paręnaście lat.

Bez wątpienia, pomyślałem, lekko się uśmiechając, świat się mocno zmienił. Większość tych zmian to jeden wielki syf, trudno się nie zgodzić. Są jednak sytuacje takie jak moje spotkanie z tą dziewczyną, które sprawiają, że naprawdę się cieszę z tego durnego ataku w Dagestanie.

Mimo bezładu, chaosu, śmierci i zniszczenia, które spadły na świat z powodu cholernego partyzanckiego wyskoku, pewne rzeczy nie zmieniły się ani trochę. Ludzie wciąż potrafili być brutalni, egoistyczni i niebezpieczni, a jeśli wymagały tego okoliczności, mordowali z zimną krwią. Jednocześnie nadal śmiali się, śpiewali, oddawali marzeniom i – jeśli między nimi zaiskrzyło – zakochiwali się.

Zwłaszcza gdy pojawiał się ktoś taki jak Lucia.

Przed pandemią do dziewczyn o jej urodzie faceci ustawiali się w kolejkach. Dziś byłoby tak samo, poprawiłem się natychmiast. Sęk w tym, że przytłaczająca większość mężczyzn uległa zarażeniu i zwyczajnie nie bardzo było na kim robić wrażenia.

Lucia była wysoka, smukła i miała nieziemsko długie nogi. Jej czarne włosy okalały twarz o regularnych rysach, wystających kościach policzkowych i skrzących się zielonych oczach. Ten prowokujący i zmysłowy typ urody spotyka się przeważnie u kobiet, które właśnie przestały być nastolatkami. Ciało osiemnastoletniej już dziewczyny przywodziło na myśl dzikie koty, zwłaszcza gdy tak jak teraz leniwie się przeciągała.

Starając się jej nie przestraszyć, zbliżyłem się i delikatnie pocałowałem jej włosy. Lucia westchnęła i odwróciła się, nie otwierając oczu.

– Co jest? – spytała nieprzytomnym głosem. – Zaczyna się moja wachta?

– Nie, kochanie – szepnąłem, gładząc jej długie nogi.

Lucia spędziła na pokładzie ostatnią ćwiartkę nocnej wachty i spała dopiero

od czterech godzin. Teoretycznie każde z nas powinno czuwać tyle samo czasu, ale Prit i ja widzieliśmy, że dziewczyna jest już u kresu wytrzymałości fizycznej. Staraliśmy się więc urywać z jej wachty chociaż po parę godzin. Lucía nie była głupia, świetnie zdawała sobie z tego sprawę i w głębi duszy była nam wdzięczna za ten gest. Wyczerpanie dawało się we znaki nam wszystkim, ale Prit i ja mieliśmy większy zapas sił. Przynajmniej na razie.

– Śpij dalej. Masz jeszcze ponad trzy godziny.

– Czemu tak tu czuć rybą? – spytała nagle Lucía, marszcząc nos.

– Zgadnij, jakie dziś mamy danie dnia! – odpowiedziałem z lekkim zażenowaniem, próbując jednocześnie ukryć pod narzutą na koi swoje oblepione rybimi łuskami dłonie.

– Fuuu! – Dziewczyna odwróciła się i zakryła twarz poduszką. Dokładnie w tej samej chwili jachtem mocno szarpnęło. Najwyraźniej w kadłub uderzyła nieco większa fala. Pomyślałem, że skoro czeka nas noc na wzburzonym oceanie, to należy jak najszybciej zakończyć temat obiadu, a zająć się przygotowaniem takielunku.

– Skoro pytasz – ciągnąłem bezlitośnie – to powiem ci, że wahałem się, czy przygotować wołowinę à la Wellington na porto, podaną z opiekanymi ziemniakami, czy po prostu gotowane makrele bez dodatków. Wiem, że tak naprawdę ty i Wiktor cenicie sobie prostotę, więc skłoniłem się ku lżejszej opcji i...

– Przymknij się wreszcie albo ja cię uciszę! – Zacisnęła lekko dłonie na mojej szyi i wpatrywała się we mnie swoimi wielkimi zielonymi oczami.

Kolejne szarpnięcie spowodowało, że straciłem równowagę i upadłem na Lucię. Poczułem dotyk jej piersi na swoim nagim torsie. Pocałowała mnie, a moje usta na kilka błogich sekund wypełnił gorący smak jej śliny. W moich spodniach coś drgnęło i miałem wrażenie, że temperatura w kabinie skoczyła nagle o kilka stopni.

– Może dziś zaczniemy od deseru? – szepnąłem Lucii do ucha, przesuwając dłoń w stronę kokardki przytrzymującej górę bikini.

W odpowiedzi dziewczyna zalotnie skubnęła mnie w szyję i wygięła plecy w taki sposób, by ułatwić mi zdjęcie jej stanika. Wtem kolejne uderzenie fali rzuciło gwałtownie kadłubem „Krokodyla II”. Było tak mocne, że oboje potoczyliśmy się na gródź na prawej burcie. Uderzyłem plecami o wystający kant i na moment aż odebrało mi dech. Stało się zadość staremu marynarskiemu porzekadłu, które mówi, że zawsze gdy jesteś do czegoś odwrócony tyłem, nadziejesz się na jedyną część mogącą zrobić ci krzywdę.

– Wszystko w porządku? – Lucía starała się nie wybuchnąć śmiechem. – Myślałam, że nie o to ci chodziło, kiedy mówiłeś, że...

– Nie o to, uwierz – jęknąłem, sięgając ręką do podstawy pleców. Bolało,

jakby ktoś wbił mi czekan w kręgosłup. – Co, do kurwy nędzy, Wiktor wyprawia tam na górze?

Odpowiedziały mi ponagłające nawoływania z pokładu.

– Chodźcie tu szybko! Musicie to zobaczyć!

Zeskoczyłem natychmiast z koi i rzuciłem się w stronę wyjścia z kabiny. Przechodząc pośpiesznie przez mesę, spostrzegłem mimochodem, że wiaderko, do którego włożyłem ryby, poleciało na podłogę. Lukullus bacznie przyglądał się teraz wypatroszonym makrelom, które w rytm coraz to mocniejszych uderzeń fal prześlizgiwały się z jednej burty na drugą. Ale nie to było teraz moim największym zmartwieniem. Pognałem po schodkach na górę i wystawiłem głowę nad pokład.

Na widok rozgrywającego się wokół spektaklu rozdziawiłem usta ze zdumienia. Ostatni raz wyszedłem z kabiny dwie godziny wcześniej, żeby złowić makrele, które teraz walały się po podłodze mesy. Niebo, na którym jeszcze niedawno nie było nawet jednej chmurki (jak co dzień, odkąd opuściliśmy Teneryfę), zmieniło się w groźnie wyglądającą białawą mozaikę.

Nad naszymi głowami przemieszczały się prędko rzędy chmur grupujących się i łamiących szyk w sposób całkowicie chaotyczny. Ocean, jeszcze przed chwilą spokojny, pokrywały grzywy fal, które uderzały bezładnie o kadłub jachtu, nie trzymając się żadnego logicznego rytmu. Zwróciłem się do wiatru i krew odpłynęła mi z twarzy. Całą linię horyzontu zasnuła czerń. W zasięgu wzroku nie było najmniejszego choćby przejaśnienia. Co kilka sekund złowieszczą kotarę czarnych chmur rozświetlał błysk dziesiątek niewidocznych z tej odległości błyskawic. To monstrum było o wiele, wiele potężniejsze niż jakikolwiek sztorm, który widziałem do tej pory.

Przysiadłem w kokpicie i rzuciłem okiem na barometr. Tak jak podejrzewałem, poziom słupka rtęci był bardzo niski. Tempo dalszego opadania widzieliśmy gołym okiem.

Przełknąłem ślinę. Przez moment chciałem wierzyć, że to wszystko okaże się tylko koszmarnym snem. Słyszałem wcześniej o załamaniach ciśnienia, ale nie sądziłem, że kiedykolwiek zobaczę coś takiego na własne oczy, a już na pewno nie w takich okolicznościach: setki mil od najbliższego portu, na starym jachcie o zdezelowanym takielunku.

– Co to, do cholery, jest, kapitanie? – To, że miałem patent żeglarski, w oczach Wiktora automatycznie czyniło mnie wilkiem morskim. Fakt, że ten kwitek uprawniał mnie wyłącznie do prowadzenia małych jachtów, i to, że nigdy wcześniej nie oddaliłem się od brzegu na więcej niż trzy mile, wcale Ukraińca nie obchodziło. Ja sam byłem jednak przerażony.

– Nie jestem pewien – zacząłem, jednocześnie bardzo energicznie kręcąc rollerem spinakera – ale jeśli moje obawy się potwierdzą, możemy mieć

poważne kłopoty.

– Jak poważne? – Ukrainiec rzucił się do pomocy w zwijaniu żagla.

– To wygląda naprawdę źle, Wiktor – odpowiedziałem cicho, patrząc na niego z powagą.

Lucia wychyliła się przez luk i słuchała z szeroko otwartymi oczami, bacznie obserwując ścianę chmur, która szybko przemieszczała się w naszym kierunku.

– Bardzo chciałbym się mylić, ale jeśli jest tak, jak mi się wydaje... to za mniej niż dwie godziny może być po nas.

3

Gdyby to wszystko działo się przed apokalipsą, superkomórka burzowa przemieszczająca się ku wybrzeżom Afryki natychmiast zostałaby poddana wnikliwemu nadzorowi. Ktoś w Ośrodku Wykrywania Huraganów sięgnąłby po sporządzaną na początku każdego roku alfabetyczną listę i na jej podstawie „ochrzcił” rodzący się huragan. „Edna” – na to imię padłby wybór. Swoją drogą, brzmi całkiem nieźle. Stosowanie tego rodzaju nazewnictwa, po pierwsze, ułatwiało proces śledzenia, a po drugie, pozwalało dziennikarzom telewizyjnym nadać relacjom nieco dramatyzmu, gdy wiatr docierał do lądu. Huragan mający imię można było opisywać tak, jakby był nie efektem kumulacji niskiego ciśnienia, ale nomadyczną istotą o wolnej woli, żądną destrukcji i podłg. Rzecz jednak w tym, że teraz nie było już nikogo, kto mógłby się tym wszystkim zająć.

Kiedy na wysokości Casablanki Edna dotarła ostatecznie do stałego lądu, nikt nie miał szansy ocenić skali zniszczeń, które dotknęły to, co pozostało jeszcze z miasta. Huragan pogrzebał pod gruzami tysiące Nieumarłych. Bez świadków.

Nikt również nie obserwował dziesięciokrotnie potężniejszej furii żywiołu na pełnym morzu, gdy Edna szalała jeszcze setki mil od brzegu.

Nikt poza trzema osobami.

– Uważaj, Wiktor! – Ledwie zdążyłem wykrzyczeć te słowa, gdy fala rozmiarów dwukondygnacyjnego budynku runęła na naszego zdezelowanego „Krokodyla II”. Uderzenie było tak potężne, że takielunek wydał dźwięk podobny do jęku, a maszt niebezpiecznie wygiął się ku prawej burcie. Cały pokład zniknął na moment pod wodą, a ja pomyślałem, że jacht zaraz się przewróci. Przez chwilę naprawdę sądziłem, że właśnie wybiła nasza ostatnia godzina.

Otarłem twarz z zalewającej mi oczy słonej wody i wbiłem wzrok w dziobową część jachtu. Jeszcze kilka sekund wcześniej majaczyła tam sylwetka Ukraińca, który starał się chwycić łopoczący róg żagla wyrwany z właściwego położenia przez potężny szkwał. Pośród uderzeń wiatru w mgławicy wodnego pyłu z trudem wypatrzyłem Pritczenkę. Miał na sobie sztormiak, a linka bezpieczeństwa łączyła jego pas z okuciem na pokładzie. Ukrainiec kasłał i parskał jak topiący się pies. Uderzenie fali rzuciło nim o maszt, ale szczęśliwy traf sprawił, że kamizelka ratunkowa, którą miał na sobie, wytrzymała siłę uderzenia. Gdyby ściana wody rzuciła nim czterdzieści centymetrów dalej od masztu, prawdopodobnie wypadłby za burtę.

– Jesteś cały, Wiktor?... Odpowiedz, do cholery! – Złożyłem dłonie w trąbkę, żeby mój głos dotarł do dziobu. Wycie wiatru było jednak tak donośne, że znajdujący się ledwie kilka metrów ode mnie Prit i tak nie był w stanie nic usłyszeć. Musiał jednak odgadnąć, czego chcę się dowiedzieć, bo mimo wycieńczenia uniósł ręce nad głowę i skierował kciuki ku górze.

Huragan bezlitośnie miotał nami już od sześciu godzin i wydawało mi się naprawdę zdumiewające, że dotąd nie zatonęliśmy. Okazji było co najmniej kilkanaście. Nasz jacht nie został zbudowany z myślą o stawianiu czoła takim warunkom pogodowym. Nawet gdy lśnił nowością tuż po opuszczeniu stoczni, nie był gotowy na takie wyzwania. A cóż dopiero teraz, w tak opłakanym stanie!

Pierwszą oznaką tego, że sprawy zacierają w złą stronę, było to, że straciliśmy fokę. W drugiej godzinie naszej walki z huraganem żagiel rozdarł się z trzaskiem i odfrunął niesiony potężnym szkwałem, wyglądając jak peleryna czarownicy lecącej na miotle. Od tego momentu zmagaliśmy się z żywiołem, mając do dyspozycji tylko zrefowany grot. Staraliśmy się wyprzedzać fale, z których każda mogła nas dosłownie pożreć. Straciłem poczucie czasu. Po tylu godzinach walki o utrzymanie kursu i siłowania się z kołem sterowym miałem zdrętwiałe ręce. Naszą jedyną szansą na przetrwanie

było utrzymywanie się w osi wiatru i nadchodzących fal. „Krokodyl II” z godną podziwu dzielnością wspinał się na kolejne monstrualnych rozmiarów wodne góry atakujące nas od strony rufy. Raz po raz jacht wędrował po nabrzmiewającej powierzchni wody, by ostatecznie dotrzeć na sam grzbiet fali zwieńczony brudną, pienistą grzywą. Gdy znajdowaliśmy się w tym punkcie, kadłub był w całości wystawiony na pęd wiatru, co sprawiało, że łódź natychmiast parła ku krawędzi załamania fali. Następnie, pośród ogłuszającego łoskotu wytwarzanego przez tysiące ton pędzącej wody, pikowała po przeciwnej stronie wodnego spiętrzenia, zmierzając wprost na dno zagłębienia powstającego między dwiema potężnymi falami. Dotarłszy na sam dół, jacht wbijał się dziobem w wodę jak widelec w rozgrzane masło. Na kilka sekund znajdowaliśmy się wtedy w kotlinie pomiędzy dwiema górami wody, gdzie panowała całkowita cisza. Chwilę później kolejna fala unosiła rufę „Krokodyla II” i cały cykl rozpoczynał się na nowo. I tak raz po raz przez sześć godzin, które zdawały się trwać całą wieczność.

Koniec mógł być tylko jeden. Czułem, że prędzej czy później musi nadejść zdradziecka boczna fala, która rzuci jachtem o kilka stopni na bakburtę lub na sterburtę i sprawi, że znajdując się w kotlinie pomiędzy falami, ustawi się bokiem. Wtedy zaś kolejna nadchodząca ściana wody niechybnie przewróci go do góry dnem.

Z rozmyślań tych wyrwał mnie paskudnie brzmiący trzask. U podstawy masztu pojawiła się rysa. Jej szerokość była nie większa niż linii narysowanej długopisem, jednak po chwili z przerażeniem zauważyłem, że po każdym dotarciu jachtu na szczyt fali szczelina staje się coraz szersza i dłuższa. Ocenilem szybko, że maszt wytrzyma jeszcze najwyżej kilka minut, a potem po prostu oderwie się od pokładu.

– Prit! Prit!!! – wrzasnałem rozpaczliwie, jednocześnie gwałtownie gestykulując i wskazując na maszt. – Wanty i sztag! Trzeba je natychmiast odciąć!

W pierwszej chwili Ukrainiec najwyraźniej nie zrozumiał, o co mi chodzi. W ułamku sekundy zorientował się jednak, jak poważna jest sytuacja. Jeśli maszt runie i wypadnie za burtę, w dalszym ciągu będzie przymocowany do kadłuba jachtu grubymi linkami ze stalowego splotu, które wcześniej utrzymywały go w pozycji pionowej. Ciągnąc dodatkowy balast w postaci masztu i większości takielunku, „Krokodyl II” natychmiast straci sterowność i będzie po nas.

Prit nie był może urodzonym żeglarzem, ale bez wątplenia był to facet konkretny i przytomny. Jego świetny refleks nieraz ratował mu skórę w okolicznościach, w których miliony osób straciły życie. Ukrainiec błyskawicznie rzucił się w stronę najbliższej stalowej linki i czubkiem noża próbował oderwać od pokładu okucie, w którym była zakotwiczona. Żył na jego szyi nabrzmiały, gdy z całych sił starał się podważyć metalowy element. Po chwili pomimo

świstu wiatru nawet ja usłyszałem odgłos pękającego metalu. Czubek ostrza ułamał się i ugrzązł zaklinowany w pokładzie.

– Nic z tego! – krzyknął Wiktor, wyrzucając za siebie bezużyteczny, złamany nóż. – Nie dam rady podważyć tego cholerstwa!

Przeszył mnie zimny dreszcz. Było po nas. Mieliśmy przejebane. Kompletnie przejebane.

Nagle poczułem na plecach mocne klepnięcie. Nie puszczać steru, odwróciłem się i zobaczyłem Lucię, która właśnie wyszła na pokład. Dziewczyna, tak jak my, włożyła kamizelkę ratunkową, ale nie miała na sobie sztormiaka. W efekcie wystarczyło kilkanaście sekund, by pył wodny i fale wdzierające się od rufy przemoczyły ją do cna. Lucía wyglądała jednak tak, jakby nie robiło to na niej najmniejszego wrażenia. Musiała słyszeć naszą rozmowę, a pomimo to w jej oczach połyskiwały niezłomność i determinacja, by utrzymać się przy życiu.

– Spróbujcie tym! – krzyknęła mi do ucha, jednocześnie wsuwając w moją dłoń coś ciężkiego i podłużnego.

Zacisnąłem palce na przedmiocie, który mi podała. Zorientowałem się natychmiast, że to jeden z dwóch karabinów automatycznych HK, które mieliśmy na pokładzie. Pomysł Lucii był dobry, choć trudny do zrealizowania. Nie pozostawało nam jednak nic innego niż spróbować. Lepszego wyjścia po prostu nie mieliśmy.

– Będziesz musiała sama strzelić! – wykaślałem z trudem; do gardła wlał mi się właśnie tuzin kubłów słonej wody przyniesionej przez kolejną potężną falę. – Ja muszę trzymać kurs! Jak już uwolnisz achtersztag, podaj broń Wiktorowi. Niech on odstrzeli liny na dziobie!

Lucía skinęła głową i zwróciła się w stronę okucia umieszczonego na rufie, tuż powyżej płetwy sterowej. Wiatr wiał jej teraz prosto w twarz, a jej oczy zalewały strumienie słonej wody.

– Spokojnie, mała. Nie bój się – wymamrotałem bardziej do siebie samego niż do niej.

Po raz kolejny znaleźliśmy się na szczycie fali. Wiatr uderzał teraz w kadłub z całą mocą, a maszt wydawał coraz bardziej niepokojące dźwięki. Widać było, jak odrywają się od niego kolejne podłużne kawałki włókna węglowego. Pęknięcie u podstawy miało już szerokość palca. Takielunek wydawał odgłosy przywodzące na myśl krzyk bólu – obciążenie, z jakim się teraz zmagał, znacznie przewyższało założone przez producenta maksimum. Każda kolejna minuta żeglugi mogła być ostatnią. Łodzią gwałtownie szarpnęło, gdy niesiona wyjątkowo silnym uderzeniem wiatru docierała na sam czubek potężnej fali. Ułamek sekundy później, pośród ryku fal i kaskad piany, jacht runął w dół wodnego urwiska.

Przez może dwie sekundy miało się wrażenie, że wiatr ustał. „Krokodyl II” trafił w zagłębienie powstałe między dwiema gigantycznymi, ponadtrzydziestometrowymi falami, by na krótką chwilę znaleźć tam schronienie przed szkwałami. W ciągu tej jednej, jakże nierzeczywistej chwili panowały całkowita cisza i spokój – do tego stopnia, że wyraźnie słychać było, jak krople deszczu uderzają o pokład. I na taki właśnie moment czekała Lucía! Spokojnym ruchem oparła kolbę na ramieniu i wymierzyła w śrubę utrzymującą achtersztag. Pociągnęła za spust.

Ustawiony na tryb automatyczny HK zdawał się w jej rękach żyć własnym życiem. Dziewczyna ledwie radziła sobie z potężnym odrzutem towarzyszącym wystrzałom. Wraz z pojawianiem się w rufie jachtu kolejnych dziur po kulach spadał na nas coraz gęściejszy deszcz drzazg i odłamków drewna tekowego, włókna szklanego i rozgrzanego metalu. Wreszcie dwa naboje trafiły w element mocujący stalową linę do pokładu.

Wszystko potoczyło się teraz bardzo szybko. Gruba stalowa linka była tak przeciążona wskutek potężnego naporu wiatru na żagiel, że pod wpływem uderzenia naboju kaliber 5,56 mm zaczęła się natychmiast rwać.

– Uwaga! – zdążyłem krzyknąć, puszczając jednocześnie ster i przewracając Lucię na pokład. Pociągnąłem ją w dół i osłoniłem własnym ciałem na ułamek sekundy przed tym, jak stalowa linka pękła z głośnym trzaskiem, a jej uwolniony koniec wystrzelił w powietrze niczym zabójczy bat.

Luźny koniec tego stalowego bicia przeszył powietrze dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze sekundę wcześniej znajdowała się głowa Lucii. Następnie z wielką siłą uderzył w nadbudówkę i wzbił w powietrze deszcz drzazg i kawałków potłuczonego pleksiglasu. Uszkodziwszy okno i drzwi jachtu, stalowa lina na nowo wystrzeliła w górę, wijąc się przy tym w powietrzu jak rozwścieczona kobra. Wiatr cisnął ją teraz na drugą stronę masztu, wskutek czego ostry metal achtersztagu naderwał zrefowanego grota. Zrozumiałem w tym momencie, że Wiktor nie będzie mieć żadnych szans, by odciąć stalowe linki w części dziobowej. Wyręczyć go w tym miał jednak zaraz sam huragan.

Gdy jacht po raz kolejny znajdował się na szczycie fali, od strony rufy przyszedł wyjątkowo potężny szkwał. Maszt, osłabiony godzinami walki z żywiołem, dał ostatecznie za wygraną i runął. Pęknięcie u jego podstawy zmieniło się w ziejącą czarną dziurę, a pokład zasypały odłamki włókna węglowego. Towarzyszący temu wszystkiemu donośny trzask przyprawił mnie o zgrzytanie zębów. Byliśmy świadkami czegoś, co przydarza się niewielu żeglarzom. Jeszcze mniej jest zaś tych, którzy mogli o takim przeżyciu później opowiedzieć. Maszt jachtu uniósł się w powietrze ciągnięty monstrualną siłą huraganowego wiatru, ale wciąż przymocowany do poszycia jachtu sztagiem na dziobie. Przez kilka sekund pozostawał w powietrzu utrzymywany przez stalową linę i wyglądał jak dziwny latawiec, dzieło szalonego rzemieślnika.

Po chwili jednak sztag nie wytrzymał. Poczuliśmy szarpnięcie, po czym maszt odleciał niesiony huraganem w deszcz i nawałnicę. W końcu runął do wody, pogrzebany przez dwie potężne fale, które właśnie wyprzedzały nas z prawej burty.

Byliśmy o włos od śmierci, ale przeżyliśmy. Nasza sytuacja jednak nadal wcale nie wyglądała dobrze.

– Lepiej schowajcie się do środka! – przekrzykując wycie wiatru, zaproponowałem Lucii i Wiktorowi. – Tu nie macie już nic do roboty!

– Takiego wała! – odpalił bez namysłu Pritczenko, pomagając mi się podnieść. – Jeśli już mam się utopić, to wolę być tu niż zamknięty w tej wannie!

– Prit... – Zacisnąłem pięści, starając się zapanować nad emocjami. Pozostawanie na pokładzie było zwyczajnie niebezpieczne, wiedziałem jednak, że Ukrainiec potrafi być naprawdę nieprzejednany, kiedy się uprze. – Kurwa mać, włącz do środka! Na pokładzie jest zbyt niebezpiecznie!

– Jaja sobie robisz? Nie ruszę się stąd!

– Włącz do środka, uparty Rusku!

– Przecież mówię, że nie wejdę! I jestem Ukraińcem, nie Rosjaninem!

W tym momencie naszą sprzeczkę przerwała Lucja. Wystawiła głowę z kabiny, uchylając strzaskane drzwi zejściówki, i starczyło spojrzeć na wyraz jej twarzy, by zorientować się, że coś jest nie tak.

– W kabinie są dwa przecieki – powiedziała słabym głosem, starając się opanować strach. – Toniemy.

No zajebicie, tego nam tylko brakowało, pomyślałem. W starym kadłubie jachtu musiały być jakieś mikrouszkodzenia. I w sumie trudno się dziwić – w końcu spędził on Bóg wie ile czasu wystawiony na działanie słońca w zapomnianej sportowej marinie. Po miesiącach i miesiącach obkurczania się i rozszerzania pod wpływem temperatury jakiś pęcherzyk powietrza zabłąkany między warstwami poszycia w końcu wystrzelił, i tak we włóknie kadłuba zaczęła tworzyć się szczelinka. Teraz, w samym środku sztormu, to mikropęknięcie postanowiło bez uprzedzenia zwiększyć swój rozmiar. Woda przedostawała się do środka przez nieszczelność znajdującą się gdzieś poniżej linii zanurzenia. Nie wiedziałem, w jakim tempie wdiera się do kadłuba, ale było jasne, że w ciągu kilku minut, godzin lub najwyżej paru dni (wszystko zależy od rozmiaru nieszczelności, matołku; wiedziałbyś to, gdybyś miał więcej pojęcia o żeglarstwie) jacht po prostu musi zatonać.

Łódź straciła maszt, mieliśmy nieznaną wielkość przeciek i znajdowaliśmy się w samym środku najgorszego sztormu, jaki widziałem w mojej żeglarskiej karierze. Cudownie. Po prostu, kurwa, wspaniale! Na co nam ci wszyscy Nieumarli? Wyszło na to, że ja sam wystarczyłem, żeby ukatrupić nie tylko

samego siebie, ale też tych, którzy byli ze mną.

– To pewne? – spytał Prit głosem dławionym przez strach. – Faktycznie toniemy?

– Nie – skłamałem. – To tylko woda, która wlała się przez stłuczone bulaje. Ale na wszelki wypadek uruchom pompę awaryjną.

– Ja to zrobię – powiedziała Lucía.

Wziąłem dłoń dziewczyny w swoją i uściśnałem. W oczach Lucii malował się lęk, ale jednocześnie widać też w nich było ogromny spokój – efekt uboczny wszystkich cierpień, które spadły na nią w ciągu ostatnich miesięcy. Jeśli mieliśmy zginąć, to było jasne, że Lucía nie pokłoni się śmierci, tylko przyjmie ją, patrząc jej prosto w oczy. Ba, jeszcze splunie jej w twarz!

Musiałem powiedzieć Wiktorowi prawdę. Jacht mógł pójść na dno w ciągu paru minut i miałem obowiązek powiedzieć o tym Ukraińcowi. Zwróciłem się w jego stronę, ale nim zdążyłem się odezwać, mój stary druh odgadł, o co chodzi. Wystarczyło, że spojrział mi w oczy.

– Mamy przejebane, tak?

Nie odpowiedziałem. Mój wzrok utkwiony był w horyzont, gdzie w piekielnym spektaklu morze splatało się z wodami oceanu. Już od iluś godzin nie miałem poczucia czasu, ale było chyba koło północy. Wszechobecne fale i morską piana w połączeniu z panującą ciemnością ograniczały widoczność do jakichś stu–dwustu metrów. Ponadto jachtem rzucało tak mocno, że było fizyczną niemożliwością utrzymanie wzroku w jednym punkcie. Przez chwilę jednak, przez jedną, nędzną, krótką chwilę, wydawało mi się, że widzę coś w oddali. Przetarłem oczy i starałem się ponownie odszukać wzrokiem to coś. Po chwili wzburzone morze znów uniosło nas ku górze. Znaleźliśmy się na szczycie kolejnej fali. Jacht był teraz na znacznej wysokości i udało mi się znów zobaczyć źródło moich nadziei. Nie było najmniejszych wątpliwości.

Po zawietrznej, o mniej niż pół mili morskiej od nas, widać było zielone światło.

5

Potrzebowałem chwili, żeby się uspokoić. Serce biło mi tak mocno, jakby chciało wyrwać się z klatki piersiowej. Ten zielony blask oznaczać mógł jedną tylko rzecz – nieprawdopodobną, niewiarygodną, kompletnie od czapy, a jednak...

– Co z tobą? – spytał Prit. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Powiedz, czy coś tam widzisz?! – Wskazałem punkt na horyzoncie, gdzie dostrzegłem światło. – Widzisz tam zielony poblask?

– Co, jaki poblask? Coś ci się chyba...

– Cicho bądź! – przerwałem mu gwałtownie. – Zaczekaj chwilę i spójrz... O, teraz! Teraz! Widzisz?

– Co ty mi... O kurwa, faktycznie! Jest światło! Ale skąd ono się tam wzięło?

– To oznaczenie burty statku, nie ma innej opcji! – zawołałem rozradowany. – A jeśli sądzić po tym, jak wysoko nad wodą jest to światło, to statek musi być naprawdę spory.

– „Spory”, czyli jaki?

– Nie wiem dokładnie, ale na pewno dużo większy od tego gówna, na którym płyniemy. – Kręciłem zapamiętałe sterem, co jednak w znikomym stopniu przekładało się na zmianę kursu.

– Co robimy? – wtrąciła nagle Lucía, która wychyliła się z kabiny. Chwilę wcześniej uruchomiła pompę, a teraz trzymała na rękach przemoczonego i wściekłego Lukullusa. Usłyszała naszą rozmowę i strach malujący się wcześniej na jej twarzy wyraźnie ustąpił miejsca nadziei.

– Na razie płyniemy z wiatrem w kierunku tego światła – odpowiedziałem. – Kiedy będziemy bliżej, wystrzelimy flarę, żeby mieli szansę nas zobaczyć. No, a potem trzeba będzie jakoś przedostać się z naszej tonącej krypy na ich pokład. Będzie nieźle, jeśli uda nam się przy tym nie potopić.

– Nie wiemy, kto płynie tym statkiem – ponuro zauważył Pritczenko. – To może być patrol wysłany za nami z Teneryfy albo nawet jakaś dryfująca łajba pełna Nieumarłych.

– Statek pełen Nieumarłych dawno osiadłby na brzegu – odparłem, starając się zwrócić dziób „Krokodyla II” w kierunku światła. – Poza tym szczerze ci powiem, że mam już tak dość tego słonego piekła, że byłbym nawet gotów wsiąść jeszcze raz na „Zaren Kibish” i spotkać się z jego załogą uzbrojonych

pojebów.

Ukraińiec zaśmiał się cicho i skinął ze zrozumieniem. Dobrze wiedział, że nasza sytuacja jest rozpaczliwa. Jeśli mieliśmy jakiegokolwiek szanse przeżycia, to były one nierozzerwalnie związane z majaczącym w oddali zielonym światłem. Musieliśmy dostać się na tamten statek! Potem niech się dzieje, co chce – jakoś sobie poradzimy.

Minęło pięć niezdolnie ciągnących się minut. Za każdym razem, gdy znajdowaliśmy się na szczycie fali, wlepialiśmy wzrok w horyzont, starając się na nowo zlokalizować światło. Z początku było to dosyć łatwe, jednak po kilku minutach zaczęliśmy mieć trudności. W końcu zaś zupełnie straciliśmy z oczu nasz punkt odniesienia.

Na krótką chwilę przyszło mi nawet do głowy, że wszystko to było jedynie omamem, przywidzeniem wywołanym przez stres. Zaraz po tym pomyślałem jednak o innej jeszcze możliwości – znacznie bardziej przerażającej. Pośród tej potwornej nawałnicy nietrudno było przepłynąć o dziesięć metrów od innej jednostki i nawet jej nie zauważyć. Najgorsze, co mogło nas teraz spotkać, to gdybyśmy raptem dostrzegli czerwone światło na przeciwnej burcie statku. Oznaczałoby to, że się minęliśmy, a przy tak silnym wietrze i na łodzi pozbawionej masztu zawrócić byłoby przedsięwzięciem niewykonalnym.

Wtem uderzyła w nas z boku potężna fala. Cały pokład zalała lodowata czarna woda. Przez chwilę jacht jakby zastygł na czubku kolejnej fali, a gdy zaczął się z niej zsuwać, czuliśmy jego coraz silniejszą rotację. Było jasne, że zaraz się przewróci.

– Przygotujcie się, będziemy skakać! – krzyknąłem tak głośno, jak tylko pozwalało mi zdarte, podrażnione solą gardło.

Nagle kadłub jachtu przestał się okręcać. Znaleźliśmy się znów w zagłębieniu pomiędzy falami. Góra wody, która o mało nas nie przewróciła, oddalała się w stronę horyzontu, ale coraz bliżej nas była kolejna rycząca fala. Koło sterowe kręciło się jak oszalałe, a jacht – bez jakiegokolwiek naszego udziału – skręcał raz w lewo, raz w prawo. Zdawało się przy tym, że wiatr zupełnie ustał, tak jakby ktoś mocą magicznego zaklęcia po prostu go wyłączył.

– Co się dzieje, do cholery? – spytał Prit.

– Nie mam pojęcia. Zupełnie jakbyśmy znaleźli się w oku cyklonu, ale przecież...

– Jezu, patrzcie! – W głosie Lucii brzmiało przerażenie. Słyszając go, poczułem, że serce zaczęło łomotać mi ze strachu. Odwróciłem się, by spojrzeć w kierunku, który wskazywała, i oniemiałem.

Niebo zasnuwane było czernią. Niespełna dwadzieścia metrów od nas dziób kolosalnego tankowca pruł wodę, przesłaniając swoim ogromem wszystkie gwiazdy. Był coraz bliżej zdezelowanego kadłuba „Krokodyla II”.

– Rozjedzie nas!

Nie byliśmy w stanie nic zrobić. Łódź dryfowała (podejrzewam, że ster był uszkodzony), w baku nie było paliwa i nie mieliśmy nawet dość czasu ani miejsca, żeby wykonać jakikolwiek manewr. Zbiornikowiec był olbrzymi – to jeden z tych kolosów o długości przekraczającej trzysta pięćdziesiąt metrów, tak ogromnych, że w czasie sztormu z mostka kapitańskiego nie widać dziobowej części pokładu... a cóż dopiero dryfującego gdzieś poniżej ośmiometrowego jachtu. Po prostu nie mieli szans nas zobaczyć ani wykryć. W tych warunkach pogodowych byliśmy dla ich radaru niewidzialni. Zwłaszcza że kadłub jest z włókna węglowego i nie ma masztu, który mógłby odbić sygnał, wypowiedziała przytomniejsza część mojego umysłu, która z przestachem i fascynacją obserwowała nasz niechybny koniec.

Sunący na nas statek był tak wielki, że sam ruch wody wzbudzany jego kilem wytwarzał fale wielkości niewielkich pagórków. Jedna z takich właśnie fal uderzyła w zdezelowany kadłub naszego „Krokodyla II” i rzuciła nim, jakby był niesioną przez prąd rzeczny gałązką. Znajdowaliśmy się tak blisko potężnego kadłuba, że widzieliśmy wgniecenia, nity i ślady spawania. Wreszcie, po chwili oczekiwania w nieznośnym napięciu, pchnięty resztkami wiatru jacht obrócił się na tyle, by o włos uniknąć zderzenia z tankowcem.

Nadal mieliśmy szansę, ale trzeba było działać błyskawicznie. Zwróciłem się do Wiktora, który z niemym podziwem przyglądał się mijającemu nas o niespełna dwa metry gigantowi.

– Znajdź pistolet sygnałowy i wystrzel flarę! Niech nas zobaczą!

Wyrwany z letargu Ukrainiec szybko otworzył jedną z bakist w kokpicie, chwycił szybko pistolet i pociągnął za spust. Flara, sycząc, opuściła lufę. Dotarła na przewidzianą wysokość i rozprysła się, uwalniając smugi czerwonego światła, które nadały niebu nierzeczywisty odcień.

Podczas gdy raca pomału opadała na spadochronie, ja rzuciłem się do kabiny. Wnętrze jachtu, miejsce jeszcze tak niedawno naprawdę przyjemne, przedstawiało teraz obraz nędzy i rozpacz. Stałem po kostki w wodzie, na której unosiły się plamy oleju, resztki jedzenia, mapy i różne papiery.

Lucia siedziała w kącie, trzymając kota na rękach, i patrzyła na mnie wyczekująco.

– Jak my tam wejdziemy? – spytała z zadziwiającym spokojem.

– Jeszcze nie wiem. Najważniejsze, żeby nas zauważyli i nie odплыnęli.

Chwyciłem jeden z miotaczy harpunów, które mieliśmy na pokładzie, i zarzuciłem go na ramię. Nie przejmując się pełnym powątpiewania spojrzeniem Lucii, otworzyłem szafkę na żagle, by poszukać odpowiednio mocnej liny. Była w niej zimna woda i śmierdziało wodorostami. Podejrzewałem, że tuż obok jest jakaś nieszczelność. Nic jednak nie mogłem z

tym teraz zrobić.

Znalazłem linę i przymocowałem ją do harpuna. Mało wyrefinowane rozwiązanie, ale musiało wystarczyć.

– Co to ma być?

– Nasza lina holownicza... a w każdym razie coś, co trochę taką linę przypomina – wyjaśniłem, kierując się z powrotem na pokład.

Podczas gdy byłem w kabinie, tankowiec minął nas już niemal połową swojej długości. Ten statek był naprawdę olbrzymi, jego wysokość, licząc od linii wody, dałoby się porównać z ośmiopiętrowym budynkiem. Jego olbrzymi kadłub całkowicie chronił nas od wiatru i uderzeń fal. Aż mrugnąłem zdumiony tym, co widziałem wokół: „Krokodyl II” kołysał się teraz w małej enklawie ciszy w samym środku potężnego huraganu. Wody były tu spokojne i nie czuło się lekkich nawet uderzeń wiatru. Wszystko to zaś rozświetlał blask flar, które niestrudzony Wiktor odpalał jedną po drugiej. Kilkadziesiąt metrów dalej, dokąd dochodziło jeszcze światło rac, widać było, jak efekt parawanu stwarzany przez kadłub tankowca zanika, a morze na nowo odsłania swe zabójcze oblicze.

Mieliśmy tylko jedną szansę. Uniosłem wyrzutnię harpunów i wycelowałem w kierunku pokładu majaczącego wysoko gdzieś w ciemnościach nocy. Szybko dokonywałem w myślach obliczeń. Mocniejszej wyrzutni nie mieliśmy, a dystans, jaki miał do pokonania harpun, był znaczny, do tego w płaszczyźnie pionowej. Trzeba też było mieć na uwadze ciężar liny... Nie pierdol, tylko weź głęboki oddech i strzelaj! Jeśli nie uda się zaczepić harpuna o pokład tankowca, będzie po nas, podpowiadał szorstki głos rozsądku. Jeśli nie zabije nas sam huragan, to zrobią z nas miazgę śruby i wir za statkiem. Dobrze wiesz, że tak będzie! Masz tę jedną szansę, więc, do cholery, przestań gdybać i strzelaj!

Odrzuciłem głowę do tyłu i wypuściłem harpun z wyrzutni. Ostrze ze świstem ruszyło w górę, a leżąca na pokładzie jachtu lina zaczęła rozwijać się z dużą prędkością. W głowie po cichu liczyłem metry: pięć, dziesięć, piętnaście... Gdy doszedłem do dwudziestu pięciu, lina przestała się rozwijać. Trzęsąc się ze zdenerwowania, chwyciłem pozostający przy jachcie kawałek i szarpnąłem, lekko, potem mocniej. Lina nie ustępowała. Udało nam się zaczepić o pokład tankowca!

Roller spinakera, do którego przytwierdzony był nasz prowizoryczny hol, boleśnie zatrzeszczał, gdy pęd tankowca szarpnął jachtem. Wytrzymał jednak obciążenie, a „Krokodyl II” niczym pasożyt uczepony wielorybiego cielska przemieszczał się równolegle do potężnej burty statku, raz po raz uderzając o jego stalowy korpus. Po każdym uderzeniu od naszego kadłuba odpadały kolejne kawałki włókna węglowego. Łódź dosłownie kruszyła się w starciu z kolosem. Nie miałem przy tym najmniejszego pojęcia, w co wbiło się ostrze

harpuna. Połączenie mogło zaraz się zerwać.

Wtem kilka snopów światła omiotło pokład naszego jachtu. Spojrzeliśmy w górę. Z tankowca świeciło w naszą stronę pięć czy sześć latarek. Z tej odległości nie słyszeliśmy rozmów członków załogi, ale kimkolwiek byli ci na górze, założę się, że głowili się nad tym, kim, do ciężkiej cholery, jesteśmy i co wyrabiamy, objając się o ich burzę. Miałem tylko nadzieję, że zastanawianie się nad tym nie zajmie im zbyt wiele czasu.

Po kilku nieznośnie długich minutach załoga tankowca spuściła z burty szeroką drabinę sznurową, by umożliwić nam dostanie się na pokład. Wyobraziłem sobie, ile wysiłku musiało przy tej pogodzie kosztować marynarzy przeniesienie ciężkiej sieci po pokładzie. Przecież tam na górze huragan szalał z całą swoją zabójczą siłą. Było jasne, że kimkolwiek są ci ludzie, chcą, żebyśmy dostali się na górę. Co do tego nie było wątpliwości.

– Włóżmy, zanim zmienią zdanie! – zawołał Wiktor. Ukrainiec uczeplił się sieci i nie oglądając się za siebie, z małą doprawdy zręcznością pisał się ku górze. Lucía podała mi kota, radośnie pocałowała mnie w usta, po czym ruszyła za Pritczenką. Zostałem na pokładzie jachtu sam. W żołądku czułem dziwne skurcze. Ostatnio wchodziłem na nieznany statek wiele miesięcy wcześniej w porcie w Vigo, a konsekwencje tego okazały się niezbyt przyjemne. Mam nadzieję, że przynajmniej tym razem nikt nie wymierzy do mnie z broni, gdy tylko wejdem na pokład, myślałem, umieszczając Lukullusa wewnątrz górnej części sztormiaka i dopinając zamki. Kot ułożył się w tym prowizorycznym worku tak, by móc wystawić głowę przez niewielki otwór przy mojej szyi.

Jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie, by pożegnać się z jachtem, i zacząłem wspinać się po sieci. Czuć mnie było całego przemoczonym kocim futrem. Wiele godzin później uświadomiłem sobie, że na pokładzie tonącego jachtu zostawiliśmy cały nasz sprzęt. Teraz było mi jednak kompletnie wszystko jedno. Drapiąc się w górę po sieci jak marna podróbka Spidermana, i tak nie dałbym rady unieść zbyt wiele.

Gdy w końcu dotarłem na pokład tankowca, naraz wydarzyło się kilka rzeczy. Najpierw poczułem uderzenie wiatru, tak potężne, że o mało nie runąłem plecami w dół, co bez cienia wątpliwości by mnie zabiło. Na szczęście kilka silnych rąk chwyciło mnie i przytrzymało na pokładzie. Tam kolejne pary rąk narzuciły na mnie koc i pomogły chronić się przed deszczem. To było drugie zdarzenie. Trzecim i najbardziej zaskakującym było pojawienie się nienagannie eleganckiego oficera o skandynawskiej urodzie, który zbliżył się do mnie z uśmiechem i wyciągnął dłoń w geście powitania.

– Są państwo z pewnością najbardziej egzotycznym gatunkiem ryb, jaki dotąd zdarzyło się nam złowić – powiedział czystą, świetnie wyuczoną angielszczyzną, z akcentem, którego nie umiałem zidentyfikować. – Pozwolą

państwo, że powitam ich na pokładzie.

– Jak nazywa się ten statek? Gdzie my jesteśmy?

Pośród ulewnego deszczu oficer wykonał ręką szeroki gest obejmujący ogrom powierzchni tankowca.

– Witam na pokładzie – powtórzył z uśmiechem. – Są państwo na „Itace”.

Dotarłszy do stałego lądu na wysokości południowego Maroka, huragan Edna szybko tracił na sile. Niszczycielska nawałnica zmieniła się najpierw w porywisty wiatr, by po kolejnych dwudziestu czterech godzinach stać się delikatną bryzą. Chmury zaś, po wylaniu z siebie nad oceanem nieprzebranych mas wody, rozproszyły się. Sierpniowe słońce znów prażyło i ogrzewało powierzchnię oceanu. W niespełna czterdzieści osiem godzin po dotarciu do lądu z potężnego huraganu została tylko zupełnie niegroźna letnia burza przemieszczająca się nad Cieśniną Gibraltarską w kierunku środka basenu Morza Śródziemnego. My, rzecz jasna, nie widzieliśmy tej przemiany.

Kiedy się ocknąłem, moją pierwszą reakcją było natychmiastowe wyciągnięcie ręki po broń. Znajdowałem się w nieznanym kajucie o ścianach pomalowanych na kolor bladoniebieski. Przez uchylony bulaj do wnętrza wpadała smuga jasnego światła. Nim zwoje w moim mózgu trochę się ocknęły, przez chwilę moja dłoń nadaremnie szukała kolby pistoletu maszynowego. Zaraz jednak dotarła do mnie sprawa oczywista: żadnej broni tu nie ma, bo oba nasze HK zostały na pokładzie jachtu, który teraz najprawdopodobniej spoczywa już na morskim dnie. Zebrałem się w sobie, by wstać, i natychmiast pożałowałem tej decyzji. Każdy mięsień rąk i grzbietu przeszywał ból spowodowany zakwasami. Nawet szyję miałem kompletnie zeszywniałą. Kiedy chciałem sięgnąć po butelkę wody stojącą na stoliku przy koi, musiałem użyć całej siły woli, by patrzeć we właściwym kierunku.

Przez kilka sekund piłem łapczywie i na koniec cicho beknąłem z zadowoleniem. Rozejrzałem się po wnętrzu kajuty. Było to skromne pomieszczenie wielkości zaledwie trzech metrów kwadratowych. Przy ścianie, prostopadle do drzwi, stała niewielka szafka. Całą długość ściany przeciwległej zajmowało łóżko, na którym leżałem. Na ścianie naprzeciw drzwi znajdował się bulaj, przez który sączyło się ciepłe światło. Zdecydowanie zbyt ciepłe i jasne jak na burzową pogodę.

Musiałem spać bardzo długo – jeśli sądzić po wyglądzie nieba, ponad dwanaście godzin. Nic zresztą dziwnego, zważywszy, jak bardzo wycieńczyła mnie walka z żywiołem. Jak przez mgłę pamiętałem, że dwóch mocno zbudowanych marynarzy musiało niemal zanieść mnie do kajuty. Pamiętałem też, że Lucía, zanim sama ułożyła się na materacu na podłodze, pomogła mi się rozebrać i położyć do łóżka. To była odpowiedź na kolejne z pytań, bo rzeczywiście: tuż obok mnie – tyle że nieco poniżej koi – leżała moja

dziewczyna. Spała spokojnie, a o jej poduszkę oparty był także pogrążony w głębokim śnie Lukullus.

Nim zdążyłem zadać sobie pytanie, gdzie podział się Wiktor, donośne chrapanie uświadomiło mi, że Ukrainiec śpi w najlepsze na pięttrze mojej koi, którą omyłkowo wziąłem za jednoosobową. Po zejściu z jachtu Wiktor musiał być równie wycieńczony jak ja, a jednak twardo odmawiał udania się na spoczynek, póki nie upewnił się, że Lucía i ja jesteśmy wysuszeni i ogrzani oraz że nie zagraża nam już żadne niebezpieczeństwo. Nieoceniony był ten nasz blondwłosy anioł stróż.

Krzywiąc się z bólu, zsunąłem stopy na podłogę i wstałem, uważając, by nie nadepnąć na śpiącą Lucię. Miałem w nogach tak silne zakwasy, że ledwie mi się to udało. Na szafce pod ścianą leżało kilka żółtych jednoczęściowych kombinezonów podobnych do tych, jakie nosi obsługa platform wiertniczych. Ponieważ nigdzie nie widziałem własnych ubrań, wybrałem kombinezon, który najlepiej na mnie pasował, i włożyłem go. W szafce znalazłem także trzy pary butów roboczych. Wyglądało na to, że dobrano je mniej więcej zgodnie z numerami, które nosiliśmy. Można więc było założyć, że ktoś zostawił je tam specjalnie dla nas. Bezgłośnie podszedłem do drzwi. Obudziłem tylko Lukullusa, który na moment uniósł głowę i spojrzął na mnie. Po chwili stwierdził jednak, że nie warto przerywać sobie spokojnej drzemki, i ponownie zwinął się w kłębek.

Kiedy byłem już przy drzwiach, zakląłem cicho pod nosem. Dotarło do mnie, że przecież najprawdopodobniej zamknięto nas w kajucie od zewnątrz. Jeśli załoga tankowca miała za grosz rozsądku, to z pewnością przetrzymają nas tu przez okres kwarantanny. Muszą przecież upewnić się, że żadne z nas nie jest nosicielem wirusa, który ogromną większość ludzkości zmienił w żywe trupy. Jeśli czegokolwiek byłem pewien, to tego, że zagładę przeżyli jedynie ci, którzy mieli najwięcej szczęścia, a przy tym byli najtwardsi i najostrożniejsi. I faktycznie: faceci na tym statku nie wyglądali na takich, którzy urodzili się wczoraj.

Tak czy siak, musiałem chociaż spróbować. Wyciągnąłem dłoń i pokręciłem okrągłą klamką. Zamek wydał cichy odgłos, a drzwi stanęły otworem.

Oniemiałem. Drzwi były otwarte. Tak po prostu!

Nadal nie do końca wierząc w to, co widzę, wysunąłem głowę na korytarz. Był szeroki, a pod jego sufitem – dalej, niż sięgałem wzrokiem – ciągnęła się plątanina rurek i przewodów o różnych kolorach i grubościach. Co kilka metrów widać było kolejne drzwi, które – jak podejrzewałem – prowadziły do kabin podobnych do naszej. Korytarz był czysty i dobrze oświetlony. Z kratek układu klimatyzacji dobiegał cichy szum. Temperatura była przyjemnie odświeżająca. Gdyby nie brak dywanu i to, że drzwi wykonano ze zbrojonej stali, można by pomyśleć, że to korytarz hotelowy.

Im dalej szedłem tym korytarzem, tym bardziej narastało we mnie poczucie, że coś jest nie tak. To po prostu nie było normalne: żadnych zamków, żadnych strażników, nikt nie mierzy do nas z broni. Wszystko to było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Sytuacja, w jakiej się znalazłem, wydała mi się tak przedziwna, że podążałem przed siebie w nieustannym napięciu, gotując się na spotkanie sam nie wiem z czym. Dlatego też kiedy nagle jedne z drzwi otworzyły się z hałasem i pojawił się kelner pchający wózek z tacami, podskoczyłem z przerażenia tak gwałtownie, że o mało nie przyprawiłem nas obu o zawał.

– Kim jesteś? Gdzie są wszyscy? – tyle tylko zdołałem wydukać, kiedy już łomoczące serce przestało próbować wyskoczyć mi gardłem.

– *Signore, signore, non passa niente. Sei al sicuro*^[2] – odpowiedział mi marynarz, który sam starał się uspokoić oddech. Był to mężczyzna w średnim wieku, nieco łysiejący i o wymodelowanym czarnym wąsiku. – *É a bordo „dell’Ithaca”, ricorda?*

Mówił po włosku, tak przynajmniej brzmiało to na moje ucho. Ale mógł to też być jakiś dialekt z Korsyki, Neapolu czy Bóg wie skąd jeszcze. Skupiłem się, próbując wspiąć się na wyżyny mojej nędznej znajomości włoskiego (nabytej podczas fantastycznego roku na Erasmusie w Bolonii, który minął mi głównie na pijackich imprezach), ale albo coś było nie tak z moim akcentem, albo moje słownictwo szwankowało, bo nie udało mi się spowodować, żeby facet zrozumiał, co mówię. Przejście kolejno na hiszpański, portugalski i angielski również nie dało żadnego efektu. Kiedy zniechęcony miałem już zacząć dukać po niemiecku lub rosyjsku, który znałem jeszcze słabiej (a ściślej mówiąc, w którym dzięki naukom Wiktora potrafiłem wypowiedzieć garść mało eleganckich słów związanych z seksem i alkoholem), niezauważenie pojawiła się obok mnie kolejna osoba.

– Widzę, że poznał pan już Enza – powiedział ktoś po angielsku z akcentem, którego nie potrafiłem z niczym skojarzyć.

Odwróciłem się i zobaczyłem przed sobą tego samego wysokiego oficera o jasnych włosach, który powitał nas na pokładzie tankowca. Był nieskazitelnie schludny i elegancki. Mundur marynarki handlowej leżał na nim jak rękawiczka na dłoni. Jego nienaganny wygląd pogłębiał jedynie wrażenie nierealności całej sytuacji. Czekałem tylko, aż oficer jak gdyby nigdy nic zaprosi mnie na galowe przyjęcie w mesie kapitańskiej...

– Nazywam się Strangärd, Gunnar Strangärd. Jestem pierwszym oficerem na naszym statku, który, pozwolę sobie zauważyć, jest jednostką zauważalnie większą od tej, na której państwo płynęli.

Mówiąc to, podał mi dłoń, zadbaną, o równo przyciętych paznokciach. Przedstawiłem mu się. Podczas tej wymiany grzeczności poczułem się jednak skrępowany. Zrobiło mi się wstyd, gdy dostrzegłem ostry kontrast pomiędzy

dłońmi oficera i moimi własnymi – zabrudzonymi olejem silnikowym, rybimi łuskami i cholera jeszcze wie czym. Do tego po miesiącach tułaczki i walki o przetrwanie za moimi połamanymi paznokciami pełno było brudu.

– Enzo miał właśnie zanieść państwu śniadanie – dodał Strangärd, wskazując na wózek z tacami. – Lekarz powiedział, że osiemnaście godzin snu powinno wystarczyć, dlatego też zamierzaliśmy państwa obudzić. Jeśli woli pan wrócić do kajuty, by spotkać się ze swoimi przyjaciółmi, nie ma najmniejszych przeszkód, ale w imieniu kapitana miałem właśnie przekazać panu zaproszenie na śniadanie w mesie oficerskiej. – Strangärd zamilkł na chwilę, widząc mój zdumiony wyraz twarzy. – Rzecz jasna, jeśli dołączenie do nas nie będzie dla pana niedogodnością.

– Ależ skąd, w żadnym razie – wydusiłem z siebie kompletnie zbity z tropu. Po długich miesiącach przemocy, brutalności, gróźb i niedoboru niemal wszystkiego czułem się teraz, jakbym śnił. Im gościnniej i bardziej szarmancko odnosili się do mnie ci ludzie, tym bardziej byłem zdumiony. – Z prawdziwą przyjemnością dołączę do panów.

Rozstaliśmy się z Enzem i jego roztaczającym kuszące aromaty wózkiem. Podążyłem za oficerem przez labirynt korytarzy.

– Kim panowie są i dokąd płyniemy? Co to za typ statku? – wyrzucałem z siebie kolejne pytania, idąc za Strangärdem przez klatkę schodową i kolejny długi korytarz.

– Jeśli to nie kłopot, wolałbym, żeby na dwa pierwsze pytania odpowiedział panu sam kapitan – oświadczył oficer, który sądząc po typie urody i akcencie, musiał być Szwedem albo Norwegiem. – Co się zaś tyczy statku, jest pan na „Itace”, supertankowcu o wyporności pięciuset tysięcy ton. Przed Dniem Sądu jednostka należała do greckiego armatora. Teraz, rzecz jasna, należy do AC – dodał z promiennym uśmiechem.

Dokładnie w momencie, gdy miałem spytać, czym, u diabła, jest AC, Strangärd otworzył przede mną drzwi i weszliśmy do obszernego jasnego pomieszczenia. Stał w nim duży, podłużny stół, przy którym popijając kawę i rozmawiając, siedziało sześciu oficerów. Teraz wszyscy umilkli. Za plecami siedzących znajdowało się ogromne okno, widać było przez nie całą długość tankowca. Na krótką chwilę zastygłem w bezruchu zafascynowany widokiem. Z pewnością było to ponad dwieście metrów. Spowity mgiełką dziób majaczył gdzieś w oddali. Przez okno widać było też, jak jeden z marynarzy spokojnie jedzie na rowerze po ścieżce wytyczonej pomiędzy potężnymi poskręcanymi rurami, które łączyły ze sobą zbiorniki tankowca.

– Robi wrażenie, prawda? – usłyszałem głos za plecami. Mówił do mnie mężczyzna w wieku jakichś pięćdziesięciu lat, średniego wzrostu i dość korpulentny. Miał nieco pucułowatą twarz i krótko przystrzyżoną siwą brodę kontrastującą z niebieskimi oczami, nadal połyskującymi, choć nieco już

przygaszonymi upływem lat. – Jestem kapitan Birley. Cieszę się, że zdecydował się pan dołączyć do nas przy śniadaniu.

W odpowiedzi wymamrotałem coś niezrozumiałego. Potem usiadłem do stołu. Kątem oka zobaczyłem, że za kolejnym kelnerem do mesy wszedł marynarz z pistoletem przy boku. W rękach niósł kawałek papieru i słoik wypełniony cieczą o bursztynowym kolorze.

– Na początek musimy dopełnić drobnej formalności. Liczę, że nie będzie to dla pana kłopot – kontynuował kapitan, również siadając do stołu. – Jeśli można prosić, chcielibyśmy, by splunął pan na ten kawałek papieru.

Znieruchomiałem, sądząc, że musiałem się przesłyszeć. Uzbrojony marynarz podszedł jednak i położył papier dokładnie naprzeciw mnie. Nie należało obrażać gospodarzy, a przy tym nie wyglądało na to, żeby pistolet marynarza był jedynie ozdobą. Gdybym nie splunął, grzeczność i gościnność, których doświadczałem, mogła bardzo szybko się skończyć. Czując się dość idiotycznie, splunąłem więc delikatnie na podany kawałek papieru. Mężczyzna z pistoletem pochylił się nad próbką śliny i wylał na nią ze słoika kilka kropel złotawej substancji. Nic się nie stało, a przynajmniej ja niczego nie zauważyłem. W każdym razie moje plucie wypadło chyba pomyślnie, bo marynarz skinął głową z zadowoleniem, dając znać, że wszystko w porządku, na co zgromadzeni przy stole mężczyźni wyraźnie się rozluźnili.

– Wszystko dobrze, jest pan czysty, nasz tajemniczy rozbitku – stwierdził kapitan. – Teraz z wielką chęcią wysłuchałbym pańskiej historii. Kawa czy herbata?

Dyskretnie uszczypnąłem się w rękę. To wszystko nie mogło dziać się naprawdę. Kurwa, to po prostu musiał być sen.

Przy kolejnych filiżankach kawy opowiedziałem kapitanowi nasze perypetie aż do chwili obecnej, podczas gdy pozostali obecni przy stole oficerowie prowadzili ożywioną rozmowę. Streściłem historię ucieczki z Europy, przebijania się przez morze Nieumarłych i podróży na Wyspy Kanaryjskie. Następnie opowiedziałem, jak z powodu potwornego tłoku i pogarszających się warunków zdecydowaliśmy się opuścić Teneryfę i ruszyć w stronę Wysp Zielonego Przylądka. Przedstawiłem przy tym kapitanowi niekompletną i nieco upiększoną wersję wydarzeń, uznawszy, że nie musi znać naszej historii ze wszystkimi szczegółami. Strategia ograniczonego zaufania była dobrym wyjściem, skoro wiedziałem nieco więcej niż moi rozmówcy.

– No dobrze, teraz jednak myślę, że przyszła pora, bym to ja o coś panów spytał – powiedziałem z uśmiechem, starając się robić wrażenie bardziej pewnego siebie, niż faktycznie byłem. – Komu winni jesteśmy podziękowania za ocalenie życia?

– Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi – odpowiedział kapitan Birley z całkowicie poważnym wyrazem twarzy, podnosząc się od stołu i prowadząc nas

w stronę stolika podoficerów. – To On postawił nas na państwa drodze. Wszystko bowiem, co dzieje się na tej ziemi, jest Jego dziełem, a to, że trafiliśmy na siebie pośród sztormu, to kolejny boży znak. Niech będzie pochwalony na wieki wieków.

W mesie rozbrzmiało chóralne „Amen”. Nawet Strangård, sympatyczny oficer ze Szwecji (lub Norwegii), zawtórował kapitanowi z powagą i namaszczeniem. Poczujęm się nieco skonfundowany. Nie spodziewałem się po tej załodze takiego zapału religijnego.

– Hmm, no tak... naturalnie. A kogóż to zechciał Bóg postawić na naszej drodze? To znaczy, kim panowie dokładnie są?

– Należymy do AC. Wy płynęliśmy z Chrześcijańskiej Republiki Gulfport w Missisipi i przemierzamy Atlantyk, wypełniając boże posłannictwo.

– AC? Republika czego...? Boże posłannictwo? – powiedzieć, że mnie wryło, byłoby sformułowaniem delikatnym. – Nie chciałbym w żadnym razie wyjść na grubianina, ale prawdę powiedziawszy, nic z tego nie rozumiem, panie kapitanie.

– AC to naturalnie skrót od Army of Christ. Mówimy tak na siebie w gronie znajomych i współpracowników, sam pan rozumie – wyjaśnił oficer o rudych włosach siedzący na końcu stołu.

Army of Christ – Armia Chrystusa, ja pierdziele... Coraz lepiej!

– Kiedy ukazały się znaki, a Pan nasz postanowił ukarać nieprawość rodzaju ludzkiego – rozkręcał się rudy oficer – na wszystkich grzeszników, nieczystych, utracjuszy i pogan spadł gniew boży. Tylko my, którzy zachowaliśmy czystość w oczach Najwyższego, ocaleliśmy z plagi. Przez pewien czas błądziliśmy po świecie, oglądając skutki boskiej kary i działań owoców zła, jednak prędko usłyszeliśmy wezwanie. – W oczach mężczyzny był jakiś dziwny blask. Ten facet wierzył bezkrytycznie w każde ze słów, które wypowiadał.

– Wezwanie?

– Wezwanie wielbnego Greene’a, rzecz jasna – wtrącił inny oficer, facet z trądzikiem na twarzy wyglądający tak, jakby ledwie stuknęła mu osiemnastka.

– To on zgromadził nas wszystkich w Gulfport i stworzył Azyl. Tam to z pewnością wybrani przez Pana staną się świadkami powtórnego przyjścia Jego syna, a naszego zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Przy stole zabrzmiały gromko kolejne zbiorowe „Amen” i „Alleluja”. Nie miałem pojęcia, czy ci goście robią mnie w konia, czy naprawdę są religijnymi narwańcami. Nie mogłem też wiedzieć, czy ta cała Chrześcijańska Republika Gulfport rzeczywiście istnieje. Uznałem, że lepiej będzie zachowywać się taktownie. Nie miałem ochoty tuż po uniknięciu o włos utonięcia spłonąć na stosie za jakiś niestosowny żart o Jezusie. Nie opłacało się ryzykować.

– A czy ten wielbny Greene jest tu teraz? – spytałem z udawaną swobodą.

– Ależ nie, skądże! – odpowiedział mi jowialnie Strangärd. – Wielebny przebywa w Gulfport i czuwa nad tym, by wszystko w mieście sprawnie działało. Jest bardzo zajęta osobą. Nie tylko pracuje nad zbawianiem naszych dusz, ale ma też na głowie funkcjonowanie miasta o dziesięciu tysiącach mieszkańców. Liczba ta nie obejmuje rzecz jasna helotów i nieczystych.

Przytaknąłem, jakbym rozumiał cokolwiek z tej religijnej nowomowy. Sądziłem, że mówiąc o helotach i nieczystych, ma na myśli Nieumarłych i wszystkich ocalałych, którzy jak ja błakali się po świecie, pozostając poza Azylem w Gulfport. Chciałem się jednak upewnić.

– Więc ja... jestem helotą?

– Ależ oczywiście, że nie – włączył się do rozmowy kapitan, sprawiając, że znów poczułem się zbity z tropu – to akurat widać od razu. A tak przy okazji, jakiego wyznania jest pan i pańscy towarzysze?

Nagła zmiana tematu wprowadziła mnie w zakłopotanie. Przez kilka sekund milczałem, intensywnie myśląc. Jakże pomocna byłaby teraz obecność siostry Cecylii.

– No więc... Lucía i ja jesteśmy chrześcijanami, znaczy katolikami... Wiktor jest Ukraińcem, więc, o ile się nie mylę, jest obrządku prawosławnego... – Prawda była taka, że nigdy nie rozmawiałem z Lucią na temat religii, a co do Wiktora, to miałem poważne wątpliwości, czy wierzył on w cokolwiek poza samym Wiktorem Pritczenką. To jednak nie był odpowiedni moment, by obnosić się ze słabością wiary, zdecydowałem się więc na piramidalne kłamstwo. – Staramy się jednak ujednoclić liturgię i modlimy się wspólnie kilka razy dziennie. My także co dzień składamy Bogu dzięki za to, że ocalił nas przed potępieniem.

– To świetnie, znakomicie. – Kapitan Birley poklepał mnie po plecach, a atmosfera przy stole wyraźnie się rozluźniła. – Jestem przekonany, że wielebny Greene będzie niezmiernie rad, mogąc państwa powitać w Gulfport. Niczym synowi marnotrawnemu, tyle czasu przyszło państwu spędzić na błędzeniu z dala od światła, pośród mroku i bezwstydnego nieprawości Nieumarłych, ale w końcu Bóg wprowadził państwa na drogę ku zbawieniu. Jakiż radosny to dzień!

Przy stole wybrzmiała kolejna salwa „Amen” i „Alleluja”, a zaraz po tym kilku oficerów podniosło się z miejsc, by mnie uściskać lub podać mi rękę. Odpowiadałem im uśmiechem, ale nie mogłem uwolnić się od pytania o to, w co też najlepszego właśnie się ładuje.

– A więc – spytałem – płyniemy do Gulfport?

– Nie, jeszcze nie. – Birley podał mi kolejną filiżankę kawy. – Jak już wspominałem, wypełniamy boże posłannictwo. Sam Pan nasz ukazał się wielebnemu i wskazał mu cel naszej podróży.

– Co jest tym celem? – Tak naprawdę wcale nie chciałem poznać

odpowiedzi.

– Obraliśmy kurs na Lubę w Gwinei Równikowej – odparł kapitan Birley z wymownym uśmiechem. – Taka była wola Pana.

Port w Lubie jaśniał niespełna sześćset metrów przed nami. „Itaka”, po długotrwałym i niesłuchanie ostrożnym manewrze podejścia, rzuciła ostatecznie kotwicę. Dwa dni zajęło nam dotarcie na piętnaście mil od celu żeglugi, a przebycie ostatniego odcinka – kolejny cały dzień. Kapitan Birley i jego załoga tworzyli zespół poważnych i zdyscyplinowanych profesjonalistów, a „Itaka” była statkiem o wiele za dużym, by tak po prostu podejść do brzegu i dobić, zwłaszcza bez pomocy pilota, który znałby miejscowe wody. Mostek kapitański dysponował najnowszą wersją map cyfrowych, a także łącznością z GPS-em (który, o dziwo, mimo ogólnej zapaści łączności satelitarnej nadal działał zupełnie nieźle), ale nawet z tego rodzaju pomocą załoga nie pozwoliła, by cokolwiek zależało od szczęścia lub przypadku.

Tego samego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, z burty statku spuszczoneo szalupę wyposażoną w sondę. Łódź podążała trzy mile przed tankowcem, badając każdy metr trasy, którą miał pokonać stalowy gigant. Strangård (który wyznał w końcu, że jest Szwedem, za to nadal nie powiedział mi, co robi na tym pokładzie wmieszany w bandę religijnych fundamentalistów ze Stanów Zjednoczonych) wytłumaczył mi, że chodzi nie tylko o to, by ominąć ewentualne mielizny czy rafy. Rzecz w tym, że odkąd zamknięto morskie szlaki handlowe, mógł zatonać w tym miejscu jakiś statek, którego wrak blokowałby teraz nasz szlak żeglowny. Ponieważ nasz statek był ogromny, a miejscowe wody płytkie, ewentualne zderzenie mogło mieć dla nas katastrofalne skutki.

– Ale dlaczego ta szalupa płynie aż tyle przed nami? Nie można by po prostu użyć sonaru na statku? – spytał Pritczenko, który stał tuż obok mnie oparty o barierkę.

– To bardzo proste. – Rudy oficer, który akurat miał wachtę, stał obok, raz po raz patrząc w morze przez lornetkę i sprawując dyskretny (tak przynajmniej sądził) nadzór nad nami dwoma. – „Itaka” to statek o wyporności blisko pół miliona ton, a płyniemy z prędkością dwunastu węzłów. Wytwarza to ogromny pęd. Nawet jeśli kapitan w tym momencie każe dać całą wstecz, upłynie prawie dwadzieścia minut, zanim statek zupełnie się zatrzyma, a w tym czasie zdążylibyśmy pokonać kilka mil. To nie jest samochód, który w każdej chwili można zastopować, używając hamulców. Nawet jeśli wyłączy się silniki, statek tej wielkości będzie płynął jeszcze dłuższą chwilę.

Pritczenko odpowiedział chrząknięciem i sięgnął po lornetkę, by przyjrzeć się linii brzegowej. Ukraińcowi, z natury nieufnemu i zrzędliwemu, nie

podobali się zbytnio ci wszyscy ludzie, co zresztą średnio starał się ukryć. Dobrze chociaż, że za moją radą uczestniczył w każdym z trzech nabożeństw odprawianych codziennie na pokładzie, i to z takim zapałem, jakby był prawdziwym dewotem. Byłem przy tym absolutnie pewien, że w ostatnich trzech dniach Wiktor modlił się dłużej niż w całym życiu. Lucía i ja robiliśmy rzecz jasna to samo, a wszyscy na pokładzie wyglądali na zachwyconych tym, że uczestniczymy w ich codziennych praktykach. Inna sprawa, że zaprosili nas w sposób niesłychanie grzeczny, ale przy tym nieznoszący sprzeciwu.

Wiktor i Lucía również musieli przejść przez procedurę plucia na papier i wyglądało na to, że w ich przypadku również wszystko poszło dobrze, bo załoga odniosła się do nich tak samo serdecznie i radośnie jak wcześniej do mnie. Rozmawiałem także ze swoimi towarzyszami o niesłychanym zapale religijnym załogi – ich też wprawiał on w zagubienie i zakłopotanie.

Najbardziej sensowna teoria, jaką udało nam się ukuć, była taka, że ponieważ większość marynarzy pochodziła z południa Stanów Zjednoczonych, a więc stron tradycyjnie przesiąkniętych duchem gorliwego baptyzmu, tego rodzaju postawa była normą, do której dążono na statku. Wiedziałem, że stany dawnej Konfederacji były ulubionym terenem działań kaznodziejów i generalnie strefą, gdzie zapał religijny był często spotykany. To jednak nie rozwiewało w pełni naszych wątpliwości. Nadal bowiem nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi na kłębiące się w naszych głowach pytania dotyczące tajemniczego wielebnego Greene'a. Wszyscy powtarzali nam: „Kiedy dotrzemy do Gulfport, poznają go państwo osobiście. Wielebny Greene to wspaniały człowiek, przekonają się państwo sami”. Na tym kończyła się rozmowa.

Załoga zatrzymała śruby „Itaki”, już od dłuższego czasu płynęliśmy niesieni siłą pędu. W ten sposób pokonaliśmy ostatnich parę mil. Gdy znaleźliśmy się w położeniu prostopadłym do ogromnej żelaznej konstrukcji zwieńczonej trzema wieżami, kapitan dał rozkaz, by rzucić kotwice. Z głośnym pluskiem potężne haki runęły do wody. Po kilku minutach łańcuchy naprężyły się, a statek szarpnął lekko w przód, by po chwili ostatecznie stanąć w miejscu.

Strangärd zwrócił się w stronę kapitana i zasalutował.

– Panie kapitanie, manewr dojścia zakończony pomyślnie. Melduję gotowość statku do zabezpieczenia.

– Bardzo dobrze, Gunnar – odpowiedział mu Birley, który ani na moment nie tracił z oczu niczego, co działo się na pokładzie statku. – Dokonać sprawdzenia i wdrożyć procedurę kontrolno-zabezpieczającą. Przygotować wloty do przyjęcia ładunku.

Szwedzki oficer ponownie zasalutował i zszedł z mostka, by wykonać polecenia kapitana. Wszystko na pokładzie tego statku zdawało się funkcjonować z precyzją mechanizmu szwajcarskiego zegarka.

„Boże posłannictwo”, którego wypełnienie nakazał załodze wielebny Greene,

okazało się znacznie bardziej prozaiczne, niż sądziłem. Nie chodziło bynajmniej o niesienie Słowa Bożego Afryce, dostarczenie pożywienia ocalałym ani w ogóle o nic, co kojarzyłoby się z ewangelizacją, bożą światłością, aniołami i donośnym głosem zza chmur. Nic z tych rzeczy! Byliśmy tu wyłącznie po to, by napełnić zbiorniki „Itaki” ropą naftową.

Natychmiast nasunęło mi się oczywiste pytanie.

– Po jaką chorobę płynąć po ropę aż do Afryki? Przecież można ją zdobyć w Teksasie albo w Zatoce Meksykańskiej, które są o wiele bliżej Gulfport.

– Trasa lądowa do złóż w Teksasie jest nie do przebycia – wyjaśnił Birley. – Grasują na niej miliony dzieci Szatana. Drogi są przy tym zrujnowane. Musielibyśmy dotrzeć do szybów z całą flotą cystern, a gdyby nawet się to udało, i tak nie zaspokoiłoby to naszych potrzeb. Co do platform w Zatoce Meksykańskiej, to straciły one sprawność z powodu huraganów i braku konserwacji. Dlatego najbliższym pewnym źródłem ropy naftowej jest to miejsce. Zresztą – dodał, wzruszając ramionami, tak jakby to, co zaraz powie, miało wyjaśniać wszystko – wielebny Greene powiedział, że taka jest wola boża, a skoro on tak mówi, to tak właśnie bez wątpienia jest.

Wiktor i ja wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia, ale żaden z nas się nie odezwał (choć musiałem dyskretnie przydepnąć stopę Ukraińca, któremu na usta już cisnęła się jakaś kąśliwa riposta). Na razie lepiej było się nie wychylać.

Dotarliśmy więc do Luby. Było to małe miasto, o mniej więcej siedmiu tysiącach mieszkańców, położone na wyspie Bioko (za czasów hiszpańskich rządów kolonialnych nosiła ona nazwę Fernando Po). Wyspa ta byłaby kolejnym zakątkiem Afryki zapomnianym przez Boga i ludzi, gdyby nie badania gruntu, które w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku zlecił dyktator Obiang, a które wykazały, że Bioko dosłownie unosi się na morzu ropy naftowej. Spragnieni milionów petrodolarów, które były na wyciągnięcie ręki, Gwinejczycy niemal natychmiast z powodzeniem uruchomili eksploatację złóż. Szybko jednak okazało się, że infrastruktura portu w stolicy kraju, Malabo, jest niewystarczająca. Wtedy to międzynarodowe koncerny, które prowadziły wydobywanie, podjęły decyzję o budowie pogłębionego portu w położonym blisko złóż San Carlos de Luba.

Nie sposób było negować tego, że cel naszej podróży był niesłychanie trafiony. Znów zacząłem myśleć o tajemniczym wielebnym Greenie. Rzuciliśmy kotwicę u brzegu uroczo wyglądającego miasteczka, które – na ile byłem w stanie zobaczyć – dysponowało infrastrukturą portową w zupełnie niezłym stanie. Statek mógł podejść bardzo blisko urzędów do przepompowywania ropy. To, że przed apokalipsą miasto miało ledwie siedem tysięcy mieszkańców, również było korzystną okolicznością. Oznaczało bowiem, że liczba Nieumarłych, z którymi przyjdzie ewentualnie się zmierzyć, będzie

znacznie niższa, niżby to miało miejsce w przypadku korzystania z terminala naftowego znajdującego się w dużym mieście portowym. Inna sprawa, że siedem tysięcy to nadal dużo. Trochę zbyt dużo.

Szalupa z sonarem przybiła do burty tankowca, ale nie podpłynęła pod wyciąg, tak by można było wciągnąć ją na pokład – ustawiła się równolegle do dziobu „Itaki”, ponad sto metrów od miejsca, z którego ją obserwowaliśmy.

– Popatrz, popatrz – mruknął pod nosem Prit, trącając mnie dyskretnie łokciem.

Ukrainiec wskazał na odcinek pokładu znajdujący się jakieś pięćdziesiąt metrów od dziobu. Płataninę zaworów i rur przecinało w tym miejscu coś, czego z tej odległości nie byłem w stanie dokładnie zobaczyć gołym okiem. Dostroiłem lornetkę, tak by uzyskać ostry obraz tego fragmentu pokładu. Stało tam coś w rodzaju metalowej siatki o wysokości mniej więcej czterech metrów, zwieńczonej spiralą z drutu kolczastego. Ta metalowo-druciana bariera ciągnęła się przez całą szerokość pokładu i wyglądało na to, że nie ma w niej żadnej bramy czy furtki, przez którą można by dostać się z jednej strony na drugą.

– Jak myślisz, po co to coś tam tkwi? – spytałem.

– A jak byś stawiał? – odpowiedział pytaniem Pritczenko.

– Nie mam bladego pojęcia. Może to jakiś rodzaj zapory bezpieczeństwa, na wypadek gdyby na pokład dostali się Nieumarli. Albo może ma to pomóc bronić się przed piratami – strzelałem. – Ci faceci pokonali przed dotarciem tutaj tysiące mil. Kto wie, jak wygląda sytuacja w innych częściach świata.

– A mnie coś mówi, że to ma związek z tymi kolesiami.

Ukrainiec jeszcze raz wskazał w kierunku tajemniczej przegrody. Przez właz znajdujący się po stronie dziobowej na pokład wychodziły jedna po drugiej postacie w mundurach. Przez lornetkę widzieliśmy, jak w zwartym szyku wewnątrz statku opuściło ponad trzydziestu mężczyzn w umundurowaniu polowym armii Stanów Zjednoczonych. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Grupą dowodził potężny, muskularny Murzyn o ogolonej na łyso głowie i z wielkim tatuażem na przedramieniu. Szybko podzielił oddział na pięcioosobowe drużyny. Po tym przegrupowaniu żołnierze zaczęli schodzić z pokładu po sieci bardzo podobnej do tej, z której my skorzystaliśmy, by dostać się na „Itakę”. Na wodzie czekał długi ponton typu Zodiak z ogromnym silnikiem zaburtowym. Po chwili pojawiły się jeszcze trzy łodzie, prawdopodobnie przed chwilą spuszczone z drugiej burty. Schodzący z pokładu stopniowo zajmowali miejsca w podpływających kolejno motorówkach. Kiedy wszystkie łodzie były już wypełnione po brzegi, kapitan Birley wydał przez radio rozkaz, by odbijać. Żołnierze skierowali się w stronę nabrzeża, na którym kłębił się tłum Nieumarłych.

– Widziałeś? – Prit nie odrywał oczu od lornetki.

– Jasne – odparłem – na nabrzeżu jest pełno Nieumarłych. Tym żołnierzom będzie cholernie ciężko się przebić.

– A ja myślę, że nie będą mieli większych problemów – stwierdził Wiktor. – Zwróciłem za to uwagę na inną rzecz: w całym tym oddziale nie ma ani jednego białego.

Ponownie, uważniej niż poprzednio, przyjrzałem się umundurowanym mężczyznom. Ukrainiec miał rację. Spośród blisko czterdziestu żołnierzy większość stanowili czarni. Pozostali mieli urodę indiańską lub metyską, a stawkę zamykało dwóch drobnych Azjatów, którzy w sposób niemal komiczny kontrastowali z potężnej postury Murzynem dowodzącym akcją.

– Nie widzę w tym nic specjalnie dziwnego, przecież już przed apokalipsą amerykańskie wojsko składało się głównie z Murzynów i Latynosów.

– Tak, ale też z masy białych prostaczków z zadupia, którzy zaciągali się, bo nie mieli co z sobą zrobić na wsi – dodał Wiktor. – A tu nie ma ani jednego takiego. Poza tym, jeśli wszystko to są zawodowi żołnierze, to zgolę wasy.

Milczałem, nie wiedząc za bardzo, co odpowiedzieć. Wiktor jako były wojskowy miał w tych kwestiach znacznie lepsze oko. Inna sprawa, że po tym, co powiedział, żołnierze na motorówkach skojarzyli mi się z widokiem sprzed miesięcy. Przypominali poborowych z jednostek obstawiających Bezpieczne Strefy – dzieciaki praktycznie bez przeszkolenia wojskowego. W Hiszpanii w pewnym momencie konieczne stało się wcielanie do wojska każdego, kto był w stanie utrzymać broń; teraz miałem szansę przekonać się, że w Stanach musiało być podobnie. Tak czy siak, w oddziale, który obserwowaliśmy, nie było rzeczywiście ani jednego białego. Zastanawiające.

Chciałem zwrócić się do Strangärda i poprosić go o wyjaśnienie, ale łodzie docierały właśnie do nabrzeża i żołnierze zaraz mieli dokonać desantu. Przycisnąłem więc lornetkę do oczu i wyteżyłem wzrok, by nie stracić żadnego szczegółu akcji. Przyjemnie było ten jeden raz obserwować sytuację z bezpiecznej odległości, a nie być samemu w wirze działań i po uszy w kłopotach. Znacznie przyjemniejsze położenie.

Jakby czytając w moich myślach, Wiktor zwrócił się w moją stronę i powiedział z przekąsem:

– Szkoda tylko, że nie mamy popcornu.

Nie zareagowałem na jego słowa, bo żołnierze właśnie przystępowali do działania.

Pierwsza z łodzi dobiła do nabrzeża obok miejsca, gdzie znajdowały się zbiorniki z ropą. Nie było tam zbyt wielu Nieumarłych, na oko nie więcej niż dwudziestu czy trzydziestu. Wszyscy zarażeni byli czarni, z jednym jedynym wyjątkiem: pośród nich stał ubrany w poszarpany kombinezon Repsolu[3]

biały, który najprawdopodobniej był przed apokalipsą jednym z techników nadzorujących wydobywanie. Trzech czy czterech Nieumarłych miało na sobie wojskowe mundury. Jeden ciągnął za sobą po ziemi zdezelowany pistolet maszynowy – pasek od broni po prostu zaczepił mu się o kostkę. Sądząc po stanie zarówno nogi zarzonego, jak i samego automatu, można było przypuścić, że biedak wlecze za sobą w ten sposób broń od miesięcy. Piszczel Nieumarłego była tak zdarta i poraniona, że przy każdym jego kroku widać było prześwitującą biel kości.

Kolejne dwie łodzie przybiły w sąsiedztwie pierwszej, a żołnierze wysiadali i wspinali się na nabrzeże. Jeden z nich pośliznął się i przez chwilę zabawnie machał rękami, ze wszystkich sił starając się odzyskać równowagę. W końcu jednak wleciał do wody, powodując przy tym plusk tak głośny, że słycać go było nawet na pokładzie tankowca.

Hałas wystarczył, by reszta Nieumarłych ocknęła się i ruszyła w stronę lądujących żołnierzy. Z wysokości pokładu widzieliśmy całą sytuację jak na dłoni. Niczym na rozkaz setki gnijących głów odwróciły się w stronę źródła dźwięku. Tłum Nieumarłych zaczął przemieszczać się w kierunku żołnierzy stojących na końcu kei. Kilku z nich wyciągało właśnie kolegę z wody i nie widziało nadciągającego niebezpieczeństwa. Od samego obserwowania tej sytuacji poczułem na plecach zimny dreszcz.

– Jebańcy nigdy nie przestają człowieka zaskakiwać, co? – rzucił jeden z oficerów opartych o barierkę. – Jakby mieli jakiś pieprzony dar telekinezy czy coś w tym stylu. Cholerne skurwiele!

– „Telepatii”, nie telekinezy, baranie – odpowiedział mu natychmiast inny oficer. – A jeśli kapitan usłyszy, że tak klniesz, będziesz miał szansę pooglądać sobie Nieumarłych z bliska. Pilnuj się.

W czasie gdy dwaj oficerowie rozmawiali, na nabrzeżu żołnierze przemieszczali się już biegiem w pięcioosobowych drużynach. Jedna z takich drużyn otworzyła w pewnym momencie ogień do pierwszych Nieumarłych zbliżających się do oddziału. Stukot pistoletów maszynowych raptownie przerwał panującą w miasteczku ciszę. Odgłosy wystrzałów były słyszalne w promieniu kilku kilometrów.

– Według naszych szacunków, licząc od tej chwili, mają dwadzieścia minut. – Był to głos samego kapitana Birleya, który podszedł po cichu i stanął tuż obok mnie.

– „Szacunków”?

– Tak jest. Na podstawie zakładanej liczby Nieumarłych i przybliżonej powierzchni miasta obliczyliśmy, że w ciągu dwudziestu minut na nabrzeżu pojawi się tyle tych diabelskich pomiotów, że nasi heloci nie dadzą rady się stamtąd wydostać. Lepiej więc zrobią, jeśli się pospieszą.

Z uwagą obserwowałem rozwój sytuacji. Pierwsze szeregi Nieumarłych padły pod gradem kul, ale cały czas pojawiali się kolejni. Drużynie najbardziej wysuniętej do przodu groziło, że zostanie otoczona. Oficer dowodzący po chwili zdał sobie z tego sprawę i nakazał żołnierzom wycofać się, chcąc uniknąć odcięcia od reszty oddziału. Było już jednak zbyt późno: wokół jego pięcioosobowej drużyny zdążyło zebrać się trzydziestu, a może nawet czterdziestu Nieumarłych. Zbliżyli się tak bardzo, że mogli już prawie dotknąć żołnierzy. Jeden z zarażonych zamachnął się w stronę stojącego najbliżej i wytrącił mu z rąk broń. Ten odskoczył i starał się podnieść karabin, ale w tej samej chwili inny Nieumarły skorzystał z okazji i rzucił się na niego. Nim ktokolwiek miał szansę cokolwiek zrobić, zarażony wbił zęby w szyję nieszczęśnika. Krzyk żołnierza był tak rozdzierający, że słyszeliśmy go aż na pokładzie „Itaki”. Energicznie odrzucając głowę w bok, Nieumarły oderwał kawałek szyi ugryzionego na ułamek sekundy przed tym, jak ten wpakował mu nabój w czaszkę. Dla ранego żołnierza nie było już ratunku. Padł na ziemię, a krew miarowo tryskała z jego tętnicy szyjnej. Serce biedaka nadaremnie starało się dalej dostarczać ją do mózgu. Drużyna wycofywała się, a nieszczęśnik leżał na rozgrzanym betonie nabrzeża, konając w kałuży własnej krwi.

Strzelanina rozkręciła się na dobre. Dwie trzecie żołnierzy starało się stworzyć zapórę, podczas gdy pozostała jedna trzecia uwijała się, by jak najszybciej podpiąć elastyczne węże o potężnej średnicy do wylotów podawczych umieszczonych na jednym z ogromnych zbiorników z ropą. Ktoś na lądzie uruchomił niewielki przenośny agregat – zapewne po to, by zasilić układ pomp. Terkot agregatu zlany z odgłosem setek wystrzałów tworzył kakofoniczny łoskot, który czynił niemożliwą jakąkolwiek rozmowę. Przerażony spojrzałem na to, co działo się w głębi kei. Ze wszystkich stron bez wyjątku, każdą możliwą drogą w kierunku nabrzeża zmierzały setki zwabionych hałasem Nieumarłych.

– Zmasakrują ich! – krzyknąłem, nie zdoławszy się opanować. – Kapitanie Birley, musi ich pan stamtąd natychmiast wyciągnąć! Niech pan da im rozkaz, żeby się wycofali!

Birley wzruszył ramionami i lekceważąco machnął dłonią.

– Proszę się nimi nie przejmować – powiedział do mnie niewzruszony. – Ci heloci po prostu robią, co do nich należy. Chociaż może ma pan i rację... W sumie, czemu im nie pomóc? Zabawmy się trochę. Culling!

– Tak, panie kapitanie? – Jeden z młodziutkich oficerów natychmiast pojawił się przed dowódcą statku.

– Przynieście M24. Postrzelamy sobie trochę do celu.

Na pokładzie dał się słyszeć pomruk ekscytacji i zadowolenia, ja jednak nie miałem pojęcia, co w całej tej sytuacji może być ciekawego lub zabawnego. Kiedy my rozmawialiśmy sobie w najlepsze tu na statku, na lądzie zginęło

kolejnych sześciu lub siedmiu ludzi. Obszar chroniony stworzoną przez żołnierzy żywą zaporą kurczył się niebezpiecznie. Trzech następnych umundurowanych miało powierzchowne ugryzienia na nogach i rękach. I choć chwilowo rany te nie przeszkadzały im walczyć, to siłą rzeczy musiały okazać się zgubne. Taka już była zabójcza natura wirusa TSJ. Pomimo to jednak ukąszeni nie składali broni, tylko bili się dalej z godnymi podziwu wytrwałością i dyscypliną.

Któryś z załogantów wywlókł na pokład parę ciężkich metalowych skrzyń. Marynarze szybko wyjęli z nich karabiny z celownikami teleskopowymi. Ponieważ sztuk broni było mniej niż członków załogi, sporo było przy tym nerwowych ruchów, kuksańców i przepychania. Każdy chciał postrzelać. W końcu część tych, którzy zostali z pustymi rękoma, oddaliła się, zrzędząc pod nosem. Pozostali zaś ustawili się obok kolegów, którym udało się zdobyć broń, i starali się nakłonić ich lub przekupić, by choć na chwilę użyczyli im karabinu. Wiktor Pritczenko, jak zawsze, z zadziwiającą łatwością poradził sobie ze zdobyciem broni. Kosztowało go to niewiele wysiłku – miał chyba po prostu w tym zakresie jakąś nadprzyrodzoną moc.

– Remington M24 – wymamrotał pod nosem, przeładowując broń. – To karabin snajperski dla profesjonalistów. Ciekaw jestem, skąd nasi przyjaciele nafciarze mają taki sprzęt.

Po chwili na naszym kawałku pokładu rozpętał się strzelecki szal. Dwanaście remingtonów wypaliło niemal jednocześnie w kierunku masy Nieumarłych, którzy posepnie jęcząc, parli w stronę kei. Rozbrzmiewało wokół nas nieprzerwane staccato: marynarze repetowali karabiny, starannie mierzyli, strzelali, a potem cykl zaczynał się na nowo. Każde trafienie nagradzane było okrzykami entuzjazmu ze strony obserwujących, a przysięgłbym też, że widziałem, jak niektórzy z nich zakładali się o celność poszczególnych wystrzałów.

Dostroiłem lornetkę, by ostro zobaczyć zabudowania portowe. Z tak niewielkiej odległości było sporą sztuką nie trafić któregoś z Nieumarłych – na nabrzeżu było ich multum. Widziałem, jak w ułamku sekundy kule dosięgły jednocześnie trzech przemieszczających się obok siebie zarażonych. Dwóch pierwszych naboje rozpryskowe trafiły prosto w czaszkę, wyzwalając rozbryzgi krwi, skrawków ciała i kości. Trzeci postrzelony został w pierś. Uderzenie naboju zrobiło w jego ciele wyrwę wielkości pięści, a siła wystrzału rzuciła nim o trzy metry do tyłu. Nieumarły padł na ziemię ze zdumionym wyrazem twarzy, jakby nie mógł pojąć, co też, do cholery, mu się przytrafiło i dlaczego wylądował na betonie. Leżał tak z głupawym wyrazem twarzy, mając w przeponie dziurę o średnicy tunelu kolejowego...

To wszystko byłoby nawet zabawne, gdyby nie fakt, że mieliśmy przed sobą ludzi, a przynajmniej istoty, które do niedawna nimi były. Kiedy nabój jednego

ze strzelców roztrzaskał głowę dziewczynki z warkoczykami, która miała nie więcej niż siedem lat, a gapie na pokładzie przyjęli to brawami i radosnymi okrzykami, odwróciłem wzrok. Cały ten spektakl stawał się dla mnie obrzydliwy. Zabijanie Nieumarłych w obronie własnej to jedno, czymś jednak zupełnie innym było traktowanie ich jak kaczki na strzelnicy i odzieranie z resztek godności ludzkiej, jaka im pozostawała.

Oddział desantowy, który dostał się na konstrukcję zbiornika z ropą, odpalił racę, która wypuszczała gęsty czerwony dym. Kilku żołnierzy zajęło się przeciąganiem liny holowniczej przyczepionej do rury o dużej średnicy, zamocowanej uprzednio do samego zbiornika. Sporo wysiłku kosztowało ich umieszczenie jej wolnego końca na jednej z łodzi, tak by połączyć instalację lądową z pompami na tankowcu.

Kiedy reszta oddziału (czy raczej to, co z niej zostało) zorientowała się, że rura jest zabezpieczona i przemieszcza się już w stronę burty statku, żołnierze rozpoczęli odwrót, starając się zachować przy tym możliwie dużą dyscyplinę. Było coś fascynującego w obserwowaniu z bezpiecznej odległości, jak dwudziestu ludzi powoli wycofuje się, idąc tyłem i ciągnąc za sobą rannych towarzyszy. Przypominało to makabryczny i ponury układ choreograficzny. Ponad żołnierzami górował Murzyn, który osłaniał ich odwrót. Nie można było skurczybykowi odmówić waleczności. Olbrzym wypalał raz po raz ze swojego M16, aż w końcu został bez amunicji. Nieumarli byli już tak blisko niego, że nie miał dość czasu, by zmienić magazynek. Chwycił więc broń za lufę (która, swoją drogą, musiała być cholernie gorąca) i wywijał karabinem w powietrzu niczym maczugą, by w ten sposób torować sobie drogę.

Biali oficerowie stojący na pokładzie kibicowali mu, jakby oglądali nie zaciętą walkę o życie, tylko mecz futbolu amerykańskiego. Nieumarli otoczyli częściowo potężnego Murzyna jakieś trzydzieści metrów od końca kei. Prawie wszystkie motorówki oddaliły się od brzegu, by żaden z zarażonych nie zdołał się na nie dostać, ale ostatnia łódź trzymała się na tyle blisko nabrzeża, by wycofujący się dryblas miał szansę wskoczyć na pokład. Ściśnięci na motorówkach żołnierze energicznie gestykulowali, pokazując mu, by się pospieszył. Czarny olbrzym miał jednak zbyt dużo na głowie, by zwracać uwagę na ich wymachiwanie rękoma.

M16 niczym maczuga złowieszczo świszczał w powietrzu ponad jego głową. Co kilka zamachów kolba karabinu rozbijała z mrozącym krew w żyłach suchym trzaskiem czaszkę kolejnego Nieumarłego. Nie wiem, czy wszystkie te uderzenia były śmiertelne, ale pozwalały żołnierzowi utorować sobie drogę. Zarażeni padali pod jego potężnymi ciosami jak muchy. W pewnym momencie ruszyło na niego aż trzech Nieumarłych jednocześnie. Dwóch pierwszych powalił uderzeniami zakrwawionej kolby, z trzecim poradził sobie niezawodną metodą, to znaczy solidnym kopniakiem w splot słoneczny.

Oficerowie odłożyli karabiny snajperskie. Wyli teraz i pohukiwali jak szaleni, bawiąc się w kibicowanie walczącemu o życie biedakowi.

– Co oni, do cholery, robią? – zwróciłem się do Wiktora. – Dlaczego przestali strzelać? Powinni próbować mu pomóc.

– Skoro nie strzelają, to nie dlatego, że nie mogą, tylko dlatego, że nie chcą. To jasne. Myślę, że my też nie powinniśmy tego robić, jeśli nie chcemy mieć kłopotów – odpowiedział cicho Ukrainiec, lustrując wzrokiem zgromadzonych na pokładzie oficerów. Pritczence wyraźnie chodziło coś po głowie, ale nie umiałem odgadnąć co. Byłem na to zbyt zaaferowany.

– To jest morderstwo w biały dzień! – zaproponowałem.

Nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Tymczasem waleczny Murzyn kolejnymi ciosami kolby torował sobie drogę ku końcowi kei. Przez chwilę byłem przekonany, że mu się uda. Znajdował się ledwie parę metrów od celu – pomiędzy nim a miejscem, z którego mógłby skoczyć na łódź, było już tylko dwóch Nieumarłych. Pierwszego usunął z drogi szarżą, której nie powstydziliby się zawodowy gracz futbolu amerykańskiego. Pozbawiony równowagi Nieumarły zleciał z nabrzeża i z głośnym pluskiem wpadł do wody. Drugiego zarazem chwycił za rękę i zakręcił parokrotnie wokół siebie, by w końcu cisnąć nim w kolejną nadciągającą grupę Nieumarłych.

Teraz i ja dałem się ponieść emocjom i zagrzewałem olbrzyma do boju. Nagle jednak głos uwiązł mi w gardle. Żołnierz zrobił krok do tyłu, by wziąć rozbieg przed skokiem, i te przeklęte pół metra okazało się zgubne. Jeden z powalonych wcześniej na ziemię Nieumarłych wyciągnął przegniłą rękę i chwycił za sznurówki u żołnierskiego buta. Rozpędzony przed skokiem Murzyn runął ciężko na keję. W tym momencie rzuciło się na niego dwóch zarazonych. Pierwszy wgrzył się w biceps żołnierza, zostawiając na nim głęboki krwawy ślad, drugi poharatał olbrzymowi łydkę.

Rycząc z wściekłości, Murzyn wolną nogą mocno kopnął gryzącą go głowę. Niemal jednocześnie wymierzył też drugiemu zarazonemu cios, który powaliłby chyba bawołu. Po czym doczołgał się do końca kei i zsunął się z niej.

Jego potężne ciało uderzyło ciężko o wodę i na chwilę zniknęło nam z oczu. Po chwili głowa żołnierza wynurzyła się na powierzchnię tuż przy burcie zodiaka. Stłoczeni na nim żołnierze z trudem wciągnęli do połowy towarzysza na pokład. Motorówka powoli ruszyła w stronę tankowca, zostawiając na wodzie krwawy ślad.

To była odrażająca zbrodnia, inaczej po prostu nie dało się tego nazwać. Ten człowiek był już stracony. Dwa ugryzienia zarazonych to dość, by miliony wirusów TSJ momentalnie przedostały się do jego organizmu. Teraz mnożyły się już we krwi olbrzyma błyskawicznie. Minie najwyżej kilka godzin i ten kolos stanie się Nieumarłym. Rosłym, silnym i śmiertelnie niebezpiecznym Nieumarłym. A wszystko dlatego, że tej bandzie złamasów, którzy stali obok

mnie, gwizdząc i pokrzykując, nie chciało się jeszcze kilka razy strzelić, by mu pomóc. Na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze.

– Chodźmy stąd – powiedziałem do Pritczenki przygnębionym tonem. – Nie wytrzymam tu ani minuty dłużej. Dobrze przynajmniej, że Lucía tego nie widziała.

– Bardzo dziwne jest to wszystko – zastanawiał się Wiktor. – Oddział desantowy złożony z samych czarnych, Latynosów i Indian. Ani jednego białego. Pozwalają tym chłopakom ginąć jak psom... To wszystko nie ma żadnego sensu.

– Już od dłuższego czasu nic nie ma sensu.

– Niby tak, ale to jednak wyjątkowo dziwne – powtórzył z naciskiem Ukrainiec.

Zdziesiątkowany oddział desantowy dotarł w końcu do burty statku. Podczas gdy kilku marynarzy mocowało rury do wlotów na zbiornikach tankowca, wycieńczeni żołnierze wspinali się na pokład po sznurowej drabinie. Przy użyciu wyciągarek spuszczone też na łódzie nosze, by dało się przetransportować na górę najciężej rannych.

Widok, który miałem przed sobą, wzbudzał we mnie mieszane uczucia. Było coś ludzkiego i niezmiernie krzepiącego w tym, że żołnierze dokładali tylu starań, by nie pozostawić żadnego z towarzyszy bez pomocy. Z drugiej jednak strony trudno nie uznać takiego postępowania za absurdalne. Dla rannych nie było już przecież ratunku! Nie minie godzina, a wirus TSJ ich zabije, by następnie przepoczwarzyć ich w Nieumarłych.

Zauważyłem w tym momencie, że niektórzy z oficerów nadal strzelają w stronę nabrzeża. Rzecz w tym, że celowali wyłącznie do rannych żołnierzy z grupy desantowej, którzy już przemieniali się w Nieumarłych. Ponura wariacja na temat „nieporzucania nikogo na polu walki”.

Pozostali oficerowie, Wiktor i ja zeszliśmy z rozpalonego równikowym słońcem mostka kapitańskiego, by schronić się w saloniku poniżej. Ubrani na biało kelnerzy pod kierunkiem Enza właśnie serwowali tam posiłek: dania wyglądały naprawdę wspaniale. Cała sytuacja sprawiała jednak, że czułem straszny dyskomfort. Wystarczyło, że zerknąłem przez okno, a widziałem wycieńczonych żołnierzy. Niemal czołgali się po pokładzie ze zmęczenia, zdejmowali z siebie stopniowo ciężki sprzęt i przekazywali sobie butelki z napojami. Wszyscy pili łapczywie. Tymczasem w klimatyzowanym saloniku ci sami oficerowie, którzy przed momentem strzelali w stronę nabrzeża i którzy bez mrugnięcia okiem pozwolili zginąć kilku swoim ludziom, rozmawiali swobodnie, paląc papierosy. Popijali przy tym w najlepsze dzin z tonikiem i kłaniali się szarmancko, gdy przechodziła obok nich Lucía. A wszystko to działo się ledwie kilkaset metrów od nabrzeża, na którym wciąż widać było kołyszący się tłum Nieumarłych. Mimo odległości i szmeru klimatyzatorów do naszych

uszu dochodziły ich monotonne, głuche jęki. Czułem się tak, jakbyśmy byli na eleganckim przyjęciu w ekskluzywnym klubie golfowym, którego okna wychodzą wprost na piekło.

Uśmiechnięty kapitan przeszedł między oficerami i zbliżył się do nas. Ujął dłoń Lucii i ucałował ją ze staromodną galanterią.

– To ogromna radość móc powitać panienkę na naszym skromnym spotkaniu – zaczął. – Jestem przekonany, że mogę w imieniu całej załogi powiedzieć, iż pani obecność pośród nas jest niezmiernie odświeżająca. Kobieta o panienki urodzie to doprawdy rozkosz dla oka.

– Czego nie można powiedzieć o widowisku, które nam panowie zafundowali – powiedziałem ostro. Lucía i Wiktor spojrzeli na mnie z lekkim zaniepokojeniem.

– Bez wątpienia nie był to widok przyjemny – zgodził się kapitan Birley ze spokojem – ale musi mieć pan na uwadze to, że uczestniczymy w starciu między siłami Boga i Szatana, w wojnie światłości i mroku. Okoliczności wymagają od nas, byśmy uchylili niektóre z konwenansów i norm społecznych, na przykład współczucie.

– Ale to przecież pańscy ludzie! – zaoponowałem.

– Ten oddział desantowy? – Birley wzruszył ramionami. – Składał się z helotów, ludzi niższej kategorii. To zbieranina grzeszników. Swoim obecnym wysiłkiem pokutują za dawne przewiny i starają się zasłużyć na miejsce przy stole naszego Pana. Ci, którzy polegli, dostąpią zaszczytu uczestnictwa w uczcie u Ojca Przedwiecznego, stokroć okazalszej niż ten skromny posiłek, który będziemy zaraz spożywać. Ufam, że nie wzbudza to pańskich obiekcji...

Nie sposób było nie wychwycić tego, w jak wymowny sposób kapitan zawiesił głos, wypowiedziawszy to zdanie. Nie miałem wyboru, musiałem odpuścić.

– Ależ naturalnie, że nie. Jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni za okazaną gościnę, kapitanie. I doskonale rozumiemy pański sposób postępowania.

– Byłbym niezmiernie rozżalony, gdyby okazało się, że udzieliłem jej państwu zbyt pochopnie – odparł Birley. Jego słów nie dało się zrozumieć inaczej niż jako zawołowanej groźby. – A teraz proszę mi wybaczyć. Muszę przez radio zawiadomić Gulfport o powodzeniu naszej misji. Za pozwoleniem...

Kapitan Birley oddalił się w kierunku pomieszczenia z radiostacją. Po drodze zamienił jeszcze kilka zdań z oficerami. Szmer rozmów w saloniku i dyskretna muzyka klasyczna w tle mieszały się z dolatującymi z nabrzeża jękami Nieumarłych. Czułem się w tym momencie jak bohater przedziwnego snu.

– Co o tym wszystkim sądzicie? – spytał Prit, pociągając przez słomkę łyk drinka.

– Sama nie wiem, ale nie podoba mi się to – odpowiedziała Lucía. – Wszyscy

oni są tacy grzeczni i dobrze wychowani, a jednak mnie przerażają. Coś mi tutaj nie gra.

W tym momencie zbliżył się do nas Strangärd. Nie zwrócił się jednak bezpośrednio w naszą stronę, tylko utkwiał wzrok w tłumie Nieumarłych na nabrzeżu. Ustawił się przy tym tak, by nasza trójka przesłaniała jego postać komukolwiek, kto spojrzałby w jego stronę ze środkowej części saloniku. Każdy, kto teraz popatrzyłby na niego, byłby przekonany, że pogrążony w myślach Strangärd po prostu wpatruje się w zwłoki na kei.

– Miejcie się na baczności – wyszeptał. – Birley bardzo uważnie się wam przygląda. Ten stary lis jest strasznie nieufny. Jestem pewien, że przygotowuje na wasz temat raport, który przedstawi wielebnemu, kiedy tylko dotrzemy do Gulfport. Uważajcie, przyjaciele. Stąpacie po bardzo kruchym lodzie.

– Co się tutaj dzieje? Kim są ci wszyscy heloci? O co w tym wszystkim chodzi? – rzucałem pytania w stronę Strangärda, patrząc jednocześnie na Lucię i szczerząc się w uśmiechu, jakbym rozmawiał z nią o czymś niezmiernie wesołym.

– Tutaj nie możemy o tym rozmawiać. Na tym statku ściany mają uszy. Chcę tylko, żebyście wiedzieli, że jest więcej takich, którzy, jak wy, uważają, że to wszystko jest chore. Kiedy dopłyniemy do Gulfport, poszukam sposobu, żebyśmy mogli spokojnie pomówić. Wtedy wszystko wam wyjaśnię.

Strangärd oddalił się, by przyłączyć się ponownie do grupy oficerów. Po chwili usłyszałem, jak wraz z innymi śmieje się z dowcipu, który ktoś właśnie skończył opowiadać. Nie ma dwóch zdań: ze Szweda był kawał aktora. Pytanie, które od razu mi się nasunęło, brzmiało: ilu jeszcze członków załogi udaje tak jak on? I dlaczego?

Z pewnością, kiedy dotrzemy do Gulfport, ktoś w końcu rozwieje nasze wątpliwości. Obyśmy tylko nie usłyszeli wtedy czegoś, co nam się wcale nie spodoba.

Po upływie czterdziestu ośmiu godzin napełnianie zbiorników „Itaki” dobiegło końca. Tankowiec miał teraz w swoich trzewiach pół miliona ton doskonałej jakości ropy naftowej. Marynarze odpowiedzialni za załadunek odczepili elastyczne rury łączące zbiorniki na statku ze stacją pomp na nabrzeżu. Luźne końce zabezpieczyli smołowaną ceratą, a następnie zrzucili je do wody. Dzięki użyciu bojek końcówki rur pozostały na powierzchni. Kiedy więc zajdzie potrzeba ponownego odwiedzenia Luby, ich powtórne użycie będzie niezwykle proste: tylko wyłowić boje i podłączyć rury do zbiorników pod pokładem. Bardzo inteligentne rozwiązanie.

Lekkie szarpnięcie dało znać, że silniki „Itaki” poszły w ruch. Tankowiec podniósł kotwice z mulistego dna i pomału ruszył w stronę otwartego morza. Nim opuściliśmy port, grupka żołnierzy zgromadzonych na dziobie za żelazną przegrodą („heloci”, skąd ja znam to cholerne słowo?) wniosła na pokład cztery trumny owinięte flagami, by następnie z honorami wrzucić je do wody. TSJ zbierał żniwo wśród rannych, inaczej być nie mogło.

„Itaka” zbliżała się do otwartych wód i coraz bardziej się rozpędzała. Wzmagający się wiatr stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Już miałem zejść pod pokład, gdy nagle stanąłem jak wryty; na dziobie zobaczyłem coś, co sprawiło, że przetarłem oczy ze zdumienia. Pośród żołnierzy oddających honory zmarłym kolegom i wrzucających trumny do wody stał potężny Murzyn, który wcześniej dowodził akcją desantową. Ten skurczybyk został co najmniej dwa razy ugryziony przez zarażonego, a jednak stał tam, salutując! Wyglądał przy tym na faceta w znakomitej formie i ani trochę nie przypominał Nieumarłego.

*Macie zabić ich wszystkich! Wszystkich!
Choćbyście mieli mordować ich w brzuchach
matek!*

Ilia Erenburg

STACJA NASŁUCHOWA HANGEUL 9,
WONSAN, KOREA PÓŁNOCNA

Porucznik Jung Moon-Koh nudził się. Pełnił służbę już ósmą godzinę, a ekran, który miał za zadanie obserwować, jak od ponad roku pokazywał dokładnie to samo co poprzedniego dnia. Nic.

Stacja nasłuchowa dalekiego zasięgu Hangeul 9 była największym ze stanowisk podsłuchu radiowego, które rozmieszczono na całym terytorium Korei Północnej. Podobnie jak pozostałe bliźniacze konstrukcje składające się na sieć nasłuchową, powstała w latach sześćdziesiątych zeszłego wieku i miała za zadanie monitorować wszelkie prowadzone przez radio rozmowy, jakie tylko dało się przechwycić z terenu Korei Południowej. Dawno temu ktoś przekonał Umiłowanego Wodza Kim Ir Sena, że warto zawczasu dowiedzieć się, co też knują kapitaliści z Południa. Pozwolić to miało na podjęcie w porę działań, gdyby zamierzali uderzyć. Podsłuch radiowy zaś – argumentował zapewne nieznany inicjator przedsięwzięcia – to najlepszy sposób, by poznać ich plany z wyprzedzeniem.

Śmiały pomysłodawca sieci Hangeul nie wziął jednak pod uwagę jednego: już w latach sześćdziesiątych liczba rozmów radiowych prowadzonych na terenie Korei Południowej szła w miliony! Azjatycki tygrys przeżywał okres ekonomicznego rozkwitu i pod względem komunikacyjnym wyprzedzał sąsiada z północy o lata świetlne. Nic dziwnego zresztą, skoro w podporządkowanej ideologii Dżucze[4] Korei Północnej sam fakt posiadania prywatnego radioodbiornika stanowił przestępstwo. Rzecz jasna, podsłuchiwanie, klasyfikowanie i tłumaczenie milionów rozmów dziennie było niemożliwością, zwłaszcza dla ubogiego i technologicznie zacofanego kraju. Tym samym po dwóch latach prac i pomimo wielomilionowych nakładów z budżetu koncepcję nasłuchu trzeba było dyskretnie zarzucić. Co zaś do ojca tej nieszczęsnej koncepcji, to jego karierę wojskową przerwała w sposób raptowny kula kaliber 9 mm. W ten sposób „nagradzano” w Raju Klasy Robotniczej winnych

niepowodzeń.

Przez ponad trzydzieści lat większość stacji składających się na sieć nasłuchową była wyłączona. Wykorzystywano zaledwie kilka – po to, by przechwytywać rozmowy marynarzy floty Stanów Zjednoczonych patrolującej Morze Japońskie. Sens tych działań wydawał się znikomy, ponieważ większość połączeń i tak była szyfrowana, ale kontynuowano je niejako z rozpędu. Ktoś kiedyś zdecydował, że tak należy robić, a nikt nie chciał ryzykować głowy, zaprzestając prowadzenia nasłuchu bez wiedzy Umiłowanego Wodza.

I taki stan rzeczy nie uległ zmianie przez kilka dekad, aż do nastania apokalipsy.

Z początku komunikaty docierające z ambasad na całym świecie były niejasne i nieprecyzyjne. Wiedzano tylko tyle, że wybuchła epidemia i że jakaś choroba rozprzestrzenia się w niesłychanym tempie. Nie było jednak jasne, o co dokładnie chodzi i jak poważne jest zagrożenie. Znaleźli się w KRLD i tacy, którzy przekonywali, że całe zamieszanie to wyłącznie zasłona dymna dla mającego nastąpić lada dzień ataku z Południa. Słyszący z nadwrażliwości i paranoi reżim nie mógł więc postąpić inaczej niż postawić w gotowości wszystkie linie obrony. Dla całej Koreańskiej Armii Ludowej ogłoszono czerwony alarm, a granice kraju – i tak już niemal stuprocentowo szczelne – ostatecznie zamknięto na cztery spusty. Ten komiczny na pozór akt paranoi i paniki okazał się dla Korei Północnej zbawienny.

Kiedy pandemia wymknęła się już zupełnie spod kontroli i szalała po świecie, zbierając krwawe żniwo, KRLD trwała bezpiecznie za zasiekami i okopami – tak jak od pięćdziesięciu lat. Na początku informacje ze świata docierały za pośrednictwem ambasad, źródło to jednak prędko całkowicie ucichło. Pandemia uderzała w jeden kraj po drugim. Ostatnie komunikaty z placówek dyplomatycznych były desperackimi błaganiami o ewakuację do kraju. Zignorowano je z pełną premedytacją. Na tym etapie wiadomo już było, że TSJ jest silnie zaraźliwy oraz że zarażenie pociąga za sobą natychmiastowe i zgubne konsekwencje.

Od chwili, gdy wirus dotarł do Korei Południowej, do momentu, gdy w kraju tym zapanował zupełny chaos, minęły trzy tygodnie. Seul ludzi żywych przestał istnieć już po pięciu dniach. Pozostałe większe ośrodki dość szybko podzieliły jego los.

Żołnierze z amerykańskich baz wojskowych na terenie Korei Południowej chcieli, zgodnie z wcześniej opracowanym planem, przebić się do morza opancerzoną kolumną, torując sobie drogę ostrzałem i żywym ogniem. Jednakże, gdzieś pomiędzy Seulem a portem w Ulsanie, kolumna zniknęła. Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię. Obranie za punkt ewakuacyjny ponadmilionowego miasta okazało się decyzją wyjątkowo nietrafioną.

Spośród przeszło pięćdziesięciu tysięcy stacjonujących na południu

amerykańskich żołnierzy nie przeżył ani jeden.

Kolejne fale uciekinierów kierowały się w stronę granicy z Koreą Północną, a sytuacja stawała się coraz bardziej rozpaczliwa. Politbiuro KRLD odbyło krótką naradę, by z zimną krwią zdecydować, że zbiegowie z południa nie mają prawa skorzystać z bezpieczeństwa i ochrony, które zapewniła swoim obywatelom szczęśliwa republika na północy. Granice pozostały szczelnie zamknięte.

A przecież już przed apokalipsą strefa graniczna pomiędzy dwiema Koreami była jednym z najpilniej strzeżonych i najmniej dostępnych miejsc świata. Nie tyle zakończona, ile zawieszona w 1953 roku wojna (układu pokojowego nigdy nie podpisano) doprowadziła do podzielenia Półwyspu Koreańskiego na dwie części. Wzdłuż 38. równoleżnika wytyczono długą na dwieście trzydzieści osiem i szeroką na cztery kilometry strefę zdemilitaryzowaną, która odtąd oddzielała dwa kraje. Wbrew temu, co sugerować by mogła jej nazwa, na całej długości strefy rozmieszczono tysiące umocnień, murów, zasieków, bunkrów i pól minowych. W efekcie przekroczenie jej poza posterunkami granicznymi stało się praktycznie niemożliwe.

Kiedy setki tysięcy przerażonych cywilów docierały nad granicę, natykały się na zabezpieczone, umocnione wrota. Do wymownej sytuacji doszło w tak zwanej łączonej strefie bezpieczeństwa w Panmundzomie. To jedno z najczęściej fotografowanych miejsc w Korei i tradycyjne forum rokowań pokojowych. A jednak, gdy w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin zgromadziło się tam ponad dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi chcących negocjować warunki przejścia na drugą stronę, odpowiedziała im głucha cisza.

Czas mijał, a tłum stawał się coraz bardziej wzburzony. Czym jednak była zbieranina bezbronných cywilów dla doskonale wyszkolonych i uzbrojonych oddziałów północnokoreańskich. Początkowe krzyki i groźby szybko ustąpiły miejsca błaganiom.

Efekt ich był jednak taki sam, czyli żaden. Jedyłą odpowiedzią była cisza. Złowroga, niczym niezmacona cisza.

Północnokoreańscy żołnierze, nieruchomi na swych pozycjach, spokojnie czekali. Ciszy nie zakłócały nawet dźwięki z głośników – propagandowych szczekaczek, które wcześniej nieprzerwanie przez pięćdziesiąt lat wypluwały z siebie mądrości Dżucze. Po kilku dniach nocą pojawili się pierwsi Nieumarli. Zapanował całkowity chaos, tłum rzucił się w popłochu w stronę granicy. Przerażeni ludzie uciekali co sił przed zakrwawionymi cieniami wyciągającymi z samochodów całe rodziny, które schroniły się tam przed chłodem nocy.

Wtedy żołnierze z Północy otworzyli ogień.

Gdy świt rozproszył ciemności nad miejscem katastrofy, strefa bezpieczeństwa zasłana była ciałami. Jedyńm sposobem, by odróżnić zabitych cywilów od Nieumarłych, było przyjrzenie się ich czaszkom – każdy z

zarażonych otrzymał co najmniej jeden postrzał w głowę. W głębi, poza zasięgiem północnokoreańskich karabinów kołysał się wielotysięczny tłum Nieumarłych. To pogrążeni w transie świeżo zainfekowani stawiali pierwsze kroki na nowej drodze nie-życia.

Nikomiu, ani zdrowemu, ani zarażonemu, nie udało się przekroczyć granicy. Linie obronne stworzone z myślą o odparciu zmasowanego ataku wojsk okazały się przeszkodą nie do przebycia także dla potopu Nieumarłych. W ciągu kolejnych tygodni w strefie przygranicznej jeszcze kilkakrotnie pojawiały się ich błądzące grupki, ale żadna nie stanowiła realnego zagrożenia. Zarażeni albo ginęli na polach minowych, albo nie byli w stanie przedostać się przez zasieki z drutu kolczastego, albo wreszcie padali pod gradem kul z karabinów maszynowych.

Nie sposób było także przekroczyć granicy drogą powietrzną lub morską. Owszem, do przygranicznych wiosek rybackich zbliżyło się kilka statków wypełnionych uchodźcami z Południa, jednak północnokoreańskie władze nakazały ostrzelać je i zatopić, nim będą miały cień szansy dobić do brzegu. Zdarzył się jeden jedyny wyjątek: komisarz ludowy jednej z nadmorskich wiosek nie potrafił z zimną krwią wydać rozkazu zamordowania ponad sześciuset dzieci i pozwolił, by wioząca je jednostka dobiła do nabrzeża. Jego „błąd” niezwłocznie jednak skorygowano. Nie minęły trzy godziny od zacumowania południowokoreańskiego statku, a już pojawił się w miejscowości oddział wojska. Nie tylko zamordowano wszystkie dzieci, ale przy okazji pozbyto się też całej sześciotysięcznej populacji miasteczka. Umiłowany Wódz Kim Dzong Il był nieprzejednany, a armia wykonywała jego rozkazy, nie zadając żadnych pytań.

Byli i tacy, którzy próbowali przemknąć się na własną rękę, sami lub w kilkusobowych grupach. Ci docierali na północ od linii demarkacyjnej, między innymi wykorzystując żaglówki. Rzecz w tym, że w kraju, który od pięćdziesięciu lat trwał w izolacji, wyglądali tak, jakby mieli wypisane na czołach, że są przyjezdnymi. Nie mijało kilka godzin, a zostawali ujęci. Patriotyczne Jednostki Ochrony Pogranicza (jak eufemistycznie nazwano lotne grupy dokonujące w strefach przygranicznych mordów na uchodźcach) wystrzelały w tych niespokojnych tygodniach setki magazynków. Żaden środek ostrożności nie był nadmierny.

Z czasem sytuacja zaczęła się normalizować. Grupki Nieumarłych pojawiały się na granicy coraz rzadziej i były coraz mniej liczne. Ich rozbitcie nie stanowiło żadnego problemu. W Korei Południowej były, rzecz jasna, milionowe rzesze zarażonych, jednak lwia część z nich znajdowała się na tyle daleko od strefy przygranicznej, że w żaden sposób nie niepokoiła reżimu z Północy. Nieumarli ci mieli zresztą coś znacznie lepszego do roboty: zajęci byli polowaniem na niedobitków pozostałych po ich stronie granicy.

I tak oto zamknął się najnowszy rozdział historii obu Korei i w gruncie rzeczy – historii powszechnej. Dzięki paranoi Kim Dzong Ila i bezlitosności jego reżimu, a także za sprawą dość niezwykłego zbiegu okoliczności, Korea Północna stała się jedynym krajem świata, który przetrwał apokalipsę, nie ponosząc żadnych strat wśród ludności. Zacofany komunistyczny reżim niemal z dnia na dzień stał się nie tylko światową potęgą, ale też ojczyzną jedynego tak naprawdę ocalałego narodu na ziemi.

Władze Korei Północnej wiedziały jednak, a przynajmniej podejrzewały, że z zagłady ocalało więcej ludzi. Jakies kraje musiały przecież się obronić. Koniecznie należało ustalić które. Pytanie brzmiało, jak tego dokonać.

W położeniu Koreańczyków z Północy dała o sobie znać ironia losu: zasieki, którymi otoczyli kraj, zapewniły im bezpieczeństwo, a z drugiej strony – uczyniły ich więźniami we własnym domu. Inna sprawa, że większość narodu nawet tego nie zauważyła, ponieważ tego rodzaju niewola nie była żadną nowością – trwała przecież od lat wpajanego rytmu i nie miało nawet pojęcia, że istnieje coś takiego jak Nieumarli. O upadku cywilizacji i zagładzie na skalę światową Koreańczycy z Północy również nie wiedzieli. Politbiuro jednak wiedziało. Musiało w końcu wiedzieć o wszystkim.

I wtedy ktoś przypomniał sobie o sieci stacji nasłuchowych Hangeul. Jeśli gdzieś na świecie żyli ludzie ocalali z zagłady, to musieli przecież jakoś się ze sobą komunikować. Hangeul tymczasem wykrywała sygnały radiowe i mikrofalowe nadawane w dowolnym miejscu globu. Sieć urządzeń, która do niedawna była całkowicie bezużyteczna z powodu nadmiaru sygnałów w eterze, teraz stała się narzędziem doskonałym. Niezwłocznie uruchomiono więc wszystkie stacje.

Porucznik Jung nie miał oczywiście o tym wszystkim najmniejszego pojęcia. Półtora roku wcześniej w środku nocy wyciągnięto go z koszar położonych niedaleko granicy z Chinami i przewieziono do szkoły o profilu telekomunikacyjnym, gdzie odbył intensywny trzymiesięczny kurs przygotowawczy. Następnie przydzielono go do obsługi stacji numer 9. Nie było od tamtego czasu dnia, w którym Jung nie zadałby sobie pytania, czy jego nowe zajęcie to nie jest forma kary za jakieś przewinienie, którego dopuścił się w koszarach.

Nic zresztą dziwnego, że dręczyło go takie pytanie. Służba na stacji numer 9 nie była niczym przyjemnym. Operatorzy pracowali tu w trybie dziesięciogodzinnych zmian, a podczas długich godzin służby wpatrywali się w monitory, prawie nie zdejmując z uszu słuchawek, i starali się wychwycić jakiś sygnał. Kłopot w tym, że słyszeli prawie wyłącznie szumy i zakłócenia.

Na całym świecie udało się wykryć ledwie sto pięćdziesiąt sześć stabilnych źródeł sygnałów radiowych. Większość z nich stanowiły przy tym radiostacje,

które działały w trybie automatycznym, raz po raz emitując tę samą, nagrany wcześniej wiadomość. Niektóre z tych komunikatów, jak choćby te nadawane z lotniska Los Rodeos na Teneryfie czy z Muzeum Narodowego w Kopenhadze, pochodziły nawet od zorganizowanych grup ocalałych, ale ich nadawaniu nie towarzyszyła nigdy obecność człowieka. Udało się też zlokalizować rozgłoszenie country nadającą gdzieś z Tennessee, która dzięki potężnemu generatorowi awaryjnemu w dwa lata po śmierci swego ostatniego pracownika wciąż słała w eter muzykę.

Tego rodzaju znaleziska nie miały dla politbiura wartości. Priorytetem było wychwytywanie sygnałów pochodzących z ocalałych osiedli ludzkich. Rzecz w tym, że jedyne tego rodzaju sygnały, na jakie udało się natrafić, albo nadawane były przez bardzo niewielkie, odcięte od świata grupy, albo pochodziły z miejsc takich jak Teneryfa, nad którymi wisiała groźba rychłego głodu i pogrążenia się w kompletnym chaosie. Kontakt z takimi ośrodkami byłby bezwartościowy. Przypuszczano, że istnieją i inne skupiska ludności. Problem polegał prawdopodobnie na tym, że sygnały przez nie nadawane miały znikomą moc i nawet system tak potężny jak Hangeul nie był w stanie ich wychwycić. Członkowie Biura Politycznego żywili jednak przekonanie, że musi gdzieś istnieć duży, stabilny i dobrze funkcjonujący ośrodek. I to z takim miejscem chcieli nawiązać kontakt.

Inną kwestią, która oczywiście interesowała członków biura, były wszelkie anomalie.

Jung przeciągnął się i zsunawszy z głowy słuchawki, przesunął dłoń po krótko obciętych włosach. Dyskretnie rozejrzał się dookoła. Kapitan odpowiedzialny za sekcję, w której Jung pracował, wyszedł na chwilę (młody operator podejrzewał, że po to, by w samotności pociągnąć z piersiówki), pozostawiając podległych sobie poruczników w potężnej sali nasłuchu stacji numer 9.

– Ej, Park! Park! – Jung pociągnął za rękaw żołnierza siedzącego obok, porucznika, z którym wspólnie nadzorował pracę jednego z urządzeń namierzająco-podsłuchowych.

– Co chcesz? Jak kapitan Kim zobaczy, że robimy sobie przerwy w nasłuchu, to dostaniemy ostro po dupie.

– Nic się nie bój – uspokoił go Jung. – Kapitanowi, jak zawsze o tej porze, zaschło w gardle. – Obaj młodzi oficerowie roześmiali się. – Wróci najwcześniej za pół godziny, więc spokojnie możemy zrobić sobie przerwę na papierosa.

– A co z nasłuchem? – spytał Park z nutą wątpliwości w głosie. Dłonią wskazywał na osprzęt radiowy, ale jednocześnie nie potrafił odkleić oczu od paczki chińskich papierosów, którą trzymał w ręku uśmiechnięty Jung.

– Będziemy cały czas słuchać, matołku, tyle że przez głośniki – odparł Jung i pochylił się nad maszyną, reliktem epoki radzieckiej przeładowanym diodami i

pokrętłami. Wcisnął jeden z klawiszy. Salę wypełnił odgłos radiowego szumu, ten sam, którego dwaj młodzi oficerowie słuchali od dobrych kilku godzin.

– No i widzisz? – Jung zapalił dwa papierosy jednocześnie. – Możemy sobie zapalić i pogadać, a przy tym cały czas wypełniać rozkazy. Prosta sprawa, jeśli wie się, jak to robić.

– Jeśli nas kapitan przyłapie... – Park był w dalszym ciągu zaniepokojony, ale pokusa zapalenia papierosa okazała się zbyt silna. Od jakiegoś czasu coraz trudniej było o tytoń. Nikt nie wiedział przy tym dlaczego. Dostępne były wyłącznie marki krajowe: papierosy gryzące w gardło i śmierdzące sianem. Korea Północna utrzymywała stosunki handlowe z bardzo nielicznymi krajami. Jednym z tej wąskiej grupy państw były Chiny, a papierosy chińskie, znacznie lepsze od północnokoreańskich, uchodziły za prawdziwy rarytas – za paczkę płaciło się na czarnym rynku krocie. Dla Junga jednak zdobycie ich nie stanowiło żadnego problemu, ponieważ jego ojciec był urzędnikiem państwowym średniego szczebla.

– Skąd wytrzasnąłeś takie papierosy? – spytał Park z błyskiem w oku.

– Prezent od ojca. Ale niestety stary robi się skąpy. Powiedział, żebym oszczędzał tę paczkę, bo nie wie, kiedy da radę załatwić więcej. – Jung zrobił dłonią lekceważący gest i wypuścił ustami chmurę dymu. – Jakby to był dla niego jakiś problem skoczyć do Chin i przywieźć parę kartonów!

Park utkwiał wzrok w paczce papierosów, delektując się smakiem tytoniu. Zastanawiał się nad tym, na jaką stertę zapasów żywnościowych można by wymienić te papierosy, gdyby tylko udało się je dostarczyć jego rodzicom, ubogim robotnikom rolnym z zachodniej części kraju. Ale nie było co się łudzić: Jung nie da mu tej paczki. To był fajny chłopak, ale pochodził z partyjnej rodziny i najzwyczajniej w świecie nie rozumiał nędzy i głodu, z jakimi przychodziło się zmagać ludziom na prowincji.

– Od jak dawna twój ojciec nie jeździ do Chin? – spytał.

– Wiesz co, kiedyś jeździł często, co trzy–cztery miesiące, ale ostatnio... Kurde! Strasznie dawno tam nie był. Jakoś się dotąd nad tym nie zastanawiałem, a to aż dziwne...

– Nie tylko to jest dziwne – podjął Park po chwili milczenia. – Zastanawiałeś się w ogóle nad tym, jaką dziwną robotę my tu robimy? Siedzimy godzinami, słuchając szumu. Po co?

– Na kursie tłumaczyli – odparł Jung – że przechwytujemy rozmowy imperialistów z Zachodu, żeby móc uderzyć na nich z całą siłą, kiedy już...

– Rozmowy? – przerwał mu Park. – Jakie rozmowy? Jesteśmy tu od siedmiu miesięcy i wszystko, co udało nam się podsłuchać, to automatyczne komunikaty w niezrozumiałych językach i ta kretyńska rozgłośnia z jankeską muzyką. I tyle! Wiem, że to głupie, co powiem, ale to wygląda tak, jakby na świecie nie

uchował się nikt żywy.

– Chcesz mnie nastraszyć? – Jung otworzył szeroko oczy i zaciągnął się głęboko.

– Mówię zupełnie serio – ponuro odpowiedział Park. – To wszystko jest bardzo dziwne. Naprawdę myślę, że jesteśmy sami, Jung. Myślę, że świat opustoszał i uchowaliśmy się tylko my, tu w Korei.

Jung obiecał sobie, że to ostatni raz, gdy zaprasza tego mizeraka Parka na papierosa. Chłopak wygadywał dziwne rzeczy i aż strach go było słuchać. Niewykluczone, że przydałaby mu się drobna reedukacja w dziedzinie Dżucze.

– Wiesz co... – zaczął Jung. – Myślę, że tak ci się...

Nie dokończył zdania, ponieważ jego głos został kompletnie zagłuszony rykiem z ustawionych na pełną moc głośników:

– Tu „Itaka”, wzywam Gulfport. Powtarzam, tu „Itaka”... Gulfport, zgłóście się. Misja zakończona powodzeniem. Wracamy do domu – zakłócenia – ...pięćset tysięcy ton ropy. Gulfport, zgłóście się...

Drzwi sali nasłuchowej otworzyły się z hukiem i do środka wpadł kapitan Kim. Wybałuszył oczy ze zdziwienia i był tak zdumiony usłyszanym właśnie komunikatem, że nie zauważył nawet rażącej niesubordynacji swoich podkomendnych, którzy stali obok, wciąż trzymając papierosy w rękach. Kim dosłużył się stopnia kapitana między innymi dzięki elementarnej znajomości angielskiego, języka imperialistycznego nieprzyjaciela. Nie zrozumiał z komunikatu wiele, ale z szumów i zakłóceń udało mu się wyłuskać słowo „ropa”. Wiedział więc doskonale, co ma teraz zrobić.

– Nagrać mi ten sygnał – rozkazał. – Góra musi tego natychmiast posłuchać.

Dwie godziny później opustoszałymi ulicami Pjongjangu, północnokoreańskiej stolicy, pędził rządowy samochód. Na jego tylnej kanapie siedział pułkownik Hong Jae-Chol. Wyglądał od niechcenia przez okno, gdy tymczasem szofer, jak tylko potrafił najszybciej, wioził go w stronę gmachu Ministerstwa Obrony Narodowej.

Pjongjang dookoła wyglądał tak samo jak zawsze: majestatycznie, pięknie, a przy tym niesłychanie smutno. Samochód przekraczał właśnie jeden z mostów na rzece Taedong, jadąc pasem zarezerwowanym dla uprzywilejowanych pojazdów partyjnych. Była to ze strony kierowcy pewna nadgorliwość, zważywszy, że na całej trasie spotkali może sześć samochodów i ciężarówek. W Korei Północnej pojęcie prywatnego pojazdu było praktycznie nieznanne.

Minęli właśnie absurdalną, stożkową konstrukcję hotelu Ryugyong. Pułkownik miał wrażenie, że ci nieliczni przechodnie, których dostrzegł na ulicy, wyglądali jeszcze bardziej ponuro niż zazwyczaj. W pewnej chwili Hongowi zdało się też, że widzi dwoje ludzi grzebiących w śmietniku w głębi zaułka. Oficer wiedział, że problem głodu pojawiał się w kraju już od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, ale nigdy dotąd nie zetknął się z tym, żeby ktoś w stolicy szukał jedzenia w śmieciach. Pjongjang był w końcu miastem elit i funkcjonariuszy partyjnych. Tu żywności nigdy dotąd nie brakowało. To, co właśnie zobaczył, z pewnością nie wróżyło niczego dobrego.

Pułkownik Hong należał do bardzo wąskiej grupy wśród północnokoreańskiej kadry oficerskiej, która wiedziała o apokalipsie. Był to mężczyzna w wieku lat około czterdziestu pięciu, jak na warunki koreańskie wysoki i barczysty. Na jego skroniach widniały pierwsze ślady siwizny. Pułkownik był gorliwym wyznawcą ideologii Dżucze. Zasłużył się krajowi między innymi jako członek lotnych batalionów zajmujących się polowaniem na niedobitków z Korei Południowej i Chin, którym udało się jakimś cudem przekroczyć granice. Bardzo niewiele osób byłoby w stanie udzielić rzetelnej odpowiedzi na pytanie o to, jaki tak naprawdę jest pułkownik. Liczba osób, które poznały go bliżej, była znikoma. Dawni koledzy ze szkoły oficerskiej powiedzieliby zapewne, że to człowiek doświadczony, wymagający i do bólu rzetelny, a przy tym zdystansowany i raczej milkliwy. Ci z kolei, którzy służyli pod jego rozkazami, mieliby do powiedzenia tylko tyle, że to kawał skurwiela bez skrupułów, który nie zawaha się zajeździć swych ludzi na śmierć, byle tylko wypełnić rozkazy. Ci, którzy popadli z nim w konflikt, nie powiedzą już nic, a

to z tego prostego powodu, że żaden nie żyje. Wszyscy zgodziliby się przy tym co do jednego: Hong był żołnierzem bezkrytycznie zdyscyplinowanym. Jeśli dowództwo nakazałoby mu wyskoczyć z ostatniego piętra budynku Ministerstwa Obrony, zrobiłby to bez zawahania, nie okazując przy tym żadnych emocji. Obowiązek ponad wszystko.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do budynku ministerstwa. Jeden ze strażników pospieszył, by otworzyć przed pułkownikiem drzwi. Hong wysiadł z auta i przeciągnął się. Na razie nie było zbyt zimno, ale niedługo można się już było spodziewać opadów śniegu. Lada tydzień zamieni lekki, wiosenny płaszcz na umundurowanie zimowe. Hong zastanawiał się, jak ostre mrozy podziałają na stworzenia mieszkające teraz po południowej stronie granicy. W roku poprzednim chłód zdawał się nie robić na nich wrażenia, ale po zmianach, jakie zaobserwowano wśród nich ostatniego lata, kto wie...

– Pułkownik Hong? – spytał młody major wyprężony w pozycji na baczność.

– To ja – mruknął Hong pod nosem. Nie lubił dużo mówić. Przy tym, choć sobie tego zupełnie nie uświadamiał, patrząc na ludzi, prawie nigdy nie mrugał. „Ma trupie oczy”, mawiano o nim za plecami. Wyzute z emocji spojrzenie pułkownika powodowało, że jego rozmówcy momentalnie tracili rezon. Tak właśnie stało się w przypadku młodego majora.

– Bardzo proszę... niech towarzysz pójdzie za mną – wymamrotał podenerwowany. – Czekają na was w gabinecie ministra.

A więc przyjmie go sam minister! Tego jeszcze nie było. Hong wszedł do budynku i zdjął czapkę i płaszcz. Zastanawiał się, z jakiego powodu go wezwano. Nie był w stolicy od czasu, gdy jego oddział zakończył działania „czystościowe” na wybrzeżu Morza Japońskiego. On i jego ludzie wykonali tam kawał brudnej, ale koniecznej roboty. Najgorsza była ta łapanka dzieci, ale ktoś to przecież musiał zrobić.

Pułkownik nie miał złudzeń. Wiedział doskonale, że pokierowanie tą operacją uczyniło go znaczną kartą w talii wysokiej kadry oficerskiej. Nawet w świetle grozy apokalipsy, jeżeli kiedykolwiek wyda się, co zrobił w nadmorskiej wiosce, ludzie będą patrzeć na niego z obrzydzeniem. Pułkownik wiedział przy tym dokładnie, KTO i DLACZEGO wydał rozkaz zmasakrowania południowokoreańskich dzieci, a to czyniło go w oczach przełożonych osobą podwójnie niewygodną. Kiedy więc po kilku miesiącach ciszy i odosobnienia w jednostce na prowincji wezwano go tego ranka do stolicy, natychmiast zaczął wyobrażać sobie, że musi chodzić o dużą sprawę. Nie bardzo wiedział jaką, bo też i nie był człowiekiem obdarzonym nadmiarem wyobraźni, ale spodziewał się, że skończy ten dzień albo z medalem na piersi, albo z kulą w potylicy. Zaskoczył przy tym samego siebie odkryciem, że ani jedna, ani druga możliwość nie wzbudza w nim zbyt wielu emocji.

– Proszę zaczekać tutaj. Zaraz po was przyjdę. – Adiutant oddalił się w

stronę gabinetu ministra, zostawiając Honga samego. Pułkownik od niechcienia wyjrzał przez okno. Miasto ciągnęło się po sam horyzont. Było szare, na wpół opustoszałe, a jego architektura nosiła charakterystyczne dla bloku wschodniego znamię, którego nie sposób pomylić z czymkolwiek innym. Przez chwilę Hong starał się wyobrazić sobie, jak by to było iść przez Pjongjang pełen Nieumarłych. Nie udało mu się jednak. Co jak co, ale wyobraźnia z pewnością nie była atutem pułkownika.

– Bardzo proszę za mną – powiedział adiutant, wychyliwszy się drugimi drzwiami.

Hong omiół ostatnim spojrzeniem swój mundur, by upewnić się, że prezentuje się nienagannie, i wszedł do gabinetu.

Wewnątrz, siedząc na fotelu u szczytu długiego stołu, czekał na niego wicemarszałek Kim Yong Chun, minister obrony narodowej Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Obok niego siedziało jeszcze trzech umundurowanych mężczyzn, których Hong nie znał. Z lekkim niepokojem odnotował, że pośród zgromadzonych w gabinecie jest najniższy rangą.

– Proszę usiąść, towarzyszu pułkowniku – zaprosił go uprzejmym tonem minister, któremu adiutant podsuwał właśnie grubą teczkę. – Pozwólcie, że przedstawię wam generałów Kima, Chenga i Li. Towarzysze generałowie należą do zespołu doradczego naszego Umiłowanego Wodza Kim Dzong Ila, powołanego z uwagi na... zaistnienie okoliczności nadzwyczajnych.

Hong usiadł, nie starając się specjalnie zapamiętać nazwisk, które właśnie padły. Było oczywiste, że ci ludzie znaleźli się tu wyłącznie w charakterze świadków spotkania, by w razie czego zeznać na temat jego przebiegu. To, co ważne, powie minister. Ci trzej, mimo wysokiej rangi, byli tu praktycznie dla ozdoby. Dlatego też pułkownik ograniczył się do skinienia głową. Następnie zaś, jak zawsze nie mrugając, wbił spojrzenie w ministra.

– Pozwólcie, towarzysze, że przedstawię naszego gościa – zaczął szef resortu. – Pułkownik Hong to wyróżniający się i niezwykle doświadczony członek naszych sił zbrojnych. Jeszcze przed nastaniem okoliczności nadzwyczajnych miał jako wojskowy znaczne dokonania. Brał między innymi udział w trzech wypadach za linię demarkacyjną oraz w akcji na wybrzeżu Japonii. We wszystkich swoich misjach pokazał niezłomnego ducha rewolucyjnego. Szczerze sędzę, że towarzysz pułkownik to idealny kandydat do wykonania newralgicznego zadania, które...

Hong dał się ponieść natłokowi myśli. Jakże pięknie brzmiały te wszystkie opinie na jego temat wypowiedziane pośród komfortowego ministerialnego gabinetu. Resortowe eufemizmy wspaniale skrywały paskudne raczej fakty: każdy ze wspomnianych „wypadów” kończył się jatką. Trzy misje na terenie Korei Południowej miały za cel szpiegostwo i sabotaż. Podczas ostatniej z nich został postrzelony w dłoń, wskutek czego stracił trzy palce. Miejsce, w które

został trafiony, bolało go czasami do tej pory. Misja na terenie Japonii miała charakter jeszcze brudniejszy i bardziej ponury. Celem było tam porwanie grupy japońskich obywateli i przewiezienie ich do Korei Północnej. Po dotarciu na miejsce mieliby pracować w akademiach szpiegowskich jako nauczyciele języka i japońskich obyczajów. Akcja nieomal jednak zakończyła się fiaskiem. Zgodnie z rozkazami porwano sześć osób: trzech mężczyzn i trzy kobiety, jednak wywieźć z Japonii udało się tylko mężczyzn. Jedna z kobiet zaczęła krzyczeć i płakać w chwili, gdy tuż obok przejeżdżał japoński patrol – Hong uznał w tym momencie, że jedynym wyjściem jest natychmiast zadusić ją gołymi rękoma. Dwie pozostałe na widok tego, co się stało, zaczęły odchodzić od zmysłów, więc dla uniknięcia problemów pułkownik sprawnymi ruchami poderżnął im obu gardło. Hong nie wiedział o tym, ale mordując trzy kobiety, ani razu nie mrugnął. Obowiązek ponad wszystko.

– ...i tu docieramy do chwili obecnej i powodu naszego dzisiejszego spotkania – zakończył minister, otwierając leżącą przed nim teczkę.

No to teraz się zacznij, pomyślał Hong.

– Dziś o godzinie piętnastej czasu lokalnego sieć wykrywania sygnałów radiowych Hangeul przechwyciła komunikat w języku angielskim o długości dwóch minut i dwudziestu sekund. W komunikacie tym kilkakrotnie powtórzono tę samą wiadomość. W raporcie znajdują towarzysze pełne tłumaczenie.

Przez kilka sekund w gabinecie słychać było jedynie odgłos przewracania kartek. Potem minister kontynuował wypowiedź:

– Sygnał został wysłany z punktu znajdującego się u wybrzeży Afryki. Komunikat nadano z jednostki amerykańskiej.

– Wojskowej? – spytał z niepokojem w głosie jeden z generałów.

– Nie, cywilnej. Z treści komunikatu wynika, że był to tankowiec.

– Czy zachodzi prawdopodobieństwo, że płynie pod eskortą? – spytał kolejny z trójki generałów, który wyglądał tak, jakby na polach bitwy był co najmniej od średniowiecza.

– Nie wiemy tego, ale nie ma to znaczenia. – Minister przewrócił stronę. – Jest zbyt daleko, by miał szansę do niego dotrzeć którykolwiek z okrętów Ludowej Marynarki Wojennej. Nie mamy dość czasu, by go teraz przechwycić.

– A w jakim celu mielibyśmy go przechwytywać? – spytał ostrożnie Hong. Zabrał głos po raz pierwszy i wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę. Minęła jednak krótka chwila i wszyscy odwrócili spojrzenie od twarzy pułkownika. W trupich oczach Honga było coś tak odstręczającego, że patrzenie w nie dłużej niż przez moment było niemal niemożliwością.

Minister odchrząknął z wyrazem dyskomfortu, przyglądając się na zmianę trzem generałom. Najstarszy z generalskiej trójki skinął lekko głową. Minister

Kim zebrał się na odwagę i spojrzał pułkownikowi Hongowi prosto w oczy.

– Towarzyszu, sytuacja jest złożona. Pomimo mądrych i niezmiennie trafnych rad naszego Umilowanego Wodza, zbliżamy się do punktu krytycznego. Oczywiście, wybuch apokalipsy dotknął nas w stopniu nieporównywalnie mniejszym niż otaczających nas kapitalistycznych dekadentów, w tym – naszych sąsiadów z południa. Dzięki mądrym krokom, które nakazał powziąć Kim Dzong Il, ani jeden z tych potworów nie przedostał się w obręb naszych granic i nie było w Korei Północnej żadnych przypadków zachorowań. Pod tym względem cieszymy się pełnym bezpieczeństwem...

Ta sama nowomowa i słowna sraczka co zawsze. I ani słowa o konkretnym problemie! Znana i sprawdzona biurokratyczna metoda chronienia własnej dupy, pomyślał Hong, który uznał, że trzeba zdobyć się na bezpośredniość.

– Jaki więc mamy problem? – spytał.

– Taki, że niestety nie zostaliśmy na świecie sami. Mimo że od lat oficjalnie stawialiśmy na politykę autarkii, a więc dążyliśmy do tego, żeby samodzielnie wytwarzać wszystkie produkty i dobra konsumpcyjne, eksploatując wyłącznie nasze własne złoża surowców, to istnieją takie kwestie, które pomimo wszelkich naszych wysiłków utrudniają nam bardzo osiągnięcie pełnej samowystarczalności...

Hong powolnym ruchem skrzyżował ręce na blacie stołu. Tajemnicą poliszynela było to, że system jest niewydolny, a niedobór towarów ogromny. Korea Północna była od dziesięcioleci krajem prawie wyłącznie rolniczym. Jeśli przez kilka lat z rządu uprawy dawały słaby plon, dochodziło do potwornych klęsk głodu. Przed laty zdarzyło się nawet, że Republika Ludowo-Demokratyczna musiała przyjąć policzek w postaci pomocy humanitarnej ze Stanów Zjednoczonych. Zaakceptowano wtedy wsparcie w formie ziarna i leków, bo realnych kształtów nabierała groźba, że w pewnych rejonach kraju głód doprowadzi do wymarcia całej populacji. Przyjęcie pomocy pozwoliło wtedy ocalić miliony istnień ludzkich, ale ludzie tacy jak Hong bynajmniej się z tego nie cieszyli. Osoby o jego poglądach widziały w tamtej decyzji zgodę na śmiertelny afront i powód do kolosalnego wstydu. Pułkownik w sposób niezachwiany wierzył w Dżucze i był zdania, że Korea Północna powinna utrzymywać się sama, pozostając w pełni niezależna od imperialistycznych ingerencji.

– I w czym problem? – spytał lakonicznie pułkownik, zachowując całkowicie nieporuszony wyraz twarzy. – Sądzę, towarzyszu ministrze, że bez problemu przeżyjemy, nie mając u siebie chińskich papierosów czy japońskiego piwa z przemytu.

– Oczywiście, pułkowniku, ale brak ropy rzuci nas na kolana w ciągu trzech miesięcy.

No jasne, ropa. Ta pieprzona ropa!

– Rozumiem – powiedział powoli, starając się przetrwać to, co usłyszał. – Jak poważna jest obecnie sytuacja?

Minister znów spojrzał nerwowo na generała w podeszłym wieku. Ten raz jeszcze skinął głową tak lekko, że było to ledwie zauważalne. Hongowi człowiek ten przypominał zółwia. Potwornie starego, brzydkiego i łysiego.

– Sytuacja jest katastrofalna. Zaopatrywaniem naszego kraju w ropę zajmowali się wyłącznie towarzysze z Chin. Od chwili gdy rozpoczęła się apokalipsa, nie trafiła do nas ani jedna kropla.

– Chińczycy zakręcili nam kurek?

– Niezupełnie – odparł minister drżącym nieco głosem.

– Więc co się stało?

– Sądzimy, towarzyszu, że poza małymi grupkami rozrzuconymi po kraju nikt w Chinach nie zdołał utrzymać się przy życiu. Zresztą, niezależnie od strat spowodowanych przez Nieumarłych, okręgi przemysłowe, terminale naftowe i rafinerie uległy całkowitemu zniszczeniu po tym, jak Pekin próbował zahamować rozwój plagi bronią termojądrową. Z Chin nic już nie uda się nam wyciągnąć.

– Na jak długo mamy zapasy?

– Przemysł ciężki jest już teraz praktycznie sparaliżowany. Przemysł lekki działa na poziomie jednej czwartej mocy produkcyjnych. Benzyna podlega ścisłej reglamentacji nawet w armii. Staramy się stworzyć zapasy na zimę, ale już teraz wiadomo, że nie będą one wystarczające. Nasze rezerwy, towarzyszu pułkowniku, wyczerpią się najdalej za trzy miesiące. Tej zimy wielu ludzi umrze z zimna.

– Pułkowniku, przejęcie tego statku wraz z załogą jest naszym absolutnym priorytetem – powiedział łamiącym się głosem generał „Żółw”. Hong spojrzał w jego stronę. Starzec w mundurze ciągnął: – Musimy ustalić, z którego portu biorą ropę, i spowodować, by to miejsce znalazło się jak najszybciej pod kontrolą Ludowych Sił Zbrojnych.

– Jeżeli zdobędziemy stałe źródło ropy o sprawdzonej jakości, nasza sytuacja radykalnie się poprawi. Nie tylko zapewnimy Republice przetrwanie, ale też otrzymamy niezbędny impuls, by zacząć wdrażać wielki plan nakreślony przez naszego Umiłowanego Wodza. Mając ropę, będziemy niezwyciężeni.

– Niezwyciężeni?

– Zastanówcie się, pułkowniku. Na świecie nie zachowało się w dawnym kształcie żadne państwo. Tylko Korea Północna przetrwała apokalipsę. – Ministrowi chwilami głos drżał od emocji. – Jeśli zagwarantujemy sobie dostęp do paliwa, które będzie napędzać nasze okręty, czołgi i samoloty, podbicie całej ziemi stanie się czystą formalnością. Te porozrzucone po świecie grupki przerażonych niedobitków, nawet jeśli trzymają się jakichś szczątkowych form

państwowości, nie będą w stanie mierzyć się z naszą wspaniałą armią. Najwyższy cel wyznaczony przez naszego Umiłowanego Wodza, pomyślcie tylko, towarzyszu! Zanieść Dżucze całemu światu! Towarzysz Kim Dzong Il może stać się pierwszym przywódcą całego świata. Świata zjednoczonego w ramach ideologii Dżucze! I to my, Koreańczycy, bylibyśmy w tym nowym świecie siłą przewodnią!

Trzech siedzących przy stole generałów zaczęło głośno uderzać o stół, by przyklasnąć słowom ministra, który aż poczerwieniał i zasapał się z ekscytacji i radości. Hong natychmiast zauważył entuzjazm na twarzach oficerów. Plan był ambitny, owszem, ale gdyby się powiódł, powstałaby zupełnie nowa jakość. Po raz pierwszy w historii na całym świecie istniało tylko jedno mocarstwo. I była nim Korea Północna! Kim Dzong Il miał szansę dokonać tego, czego nie udało się osiągnąć Aleksandrowi Macedońskiemu, Czyngis-CHANOWI, Juliuszowi Cezarowi, Napoleonowi ani Hitlerowi. Mógł zostać władcą świata. Samowładnym panem całej planety.

– Pułkowniku, waszym zadaniem będzie rozpoczęcie działań zaczepnych. Dzięki przechwyconemu komunikatowi wiemy, dokąd kieruje się ten statek. Płynie on do Gulfport, małego miasta na południu Stanów Zjednoczonych. Polecicie tam z doborowym, trzystuosobowym oddziałem i porwiecie statek wraz z załogą lub przynajmniej ustalicie, z jakiego źródła ropy korzysta. Kiedy tego dokonacie, nic i nikt nie stanie już nam na drodze.

– Wypełnię otrzymane rozkazy, towarzyszu ministrze, jednak zdaje mi się, że o jednym zapomnieliście. – Pułkownik starał się bardzo ostrożnie dobierać słowa. – Mam na myśli Nieumarłych. Rozprzestrzeleni się po całej planecie, są ich miliardy. Nawet Ludowe Siły Zbrojne nie dadzą rady wybić wszystkich tych monstrów. Jak mamy podbić świat, jeśli wszędzie jest ich pełno?

Minister i stary generał raz jeszcze wymienili spojrzenia i raz jeszcze starzec skinął głową.

– Sami się przekonacie, towarzyszu pułkowniku – powiedział minister Kim z uśmiechem. – Pewne jest to, że tym stworom, Nieumarłym, zostało niewiele czasu.

– Co proszę?! – spytał ze zdumieniem Hong, który usłyszawszy słowa ministra, po raz pierwszy od rozpoczęcia spotkania mrugnął.

– Nieumarli wymierają, pułkowniku – odparł minister, uśmiechając się. – Niedługo wymrą wszyscy.

– Lukullus! Chodź tu do mnie natychmiast! Cholerny kot... – parsknęła z wściekłością Lucía, starając się po raz nie wiadomo już który złapać ogromnego persa. Ten jednak przyglądał jej się rozbawiony. W pierwszym tygodniu naszego pobytu na „Itace” Lukullus stał się prawdziwą gwiazdą i maskotką pokładu. Na świecie pozostało bardzo niewiele kotów, więc oficerowie i szeregowi marynarze tym łatwiej ulegli wdziękowi rudego łobuza. Przez kilka dni Lukullus miał pełną swobodę i mógł spacerować sobie, którędy tylko chciał (rzecz jasna, w obrębie naszej części statku, ponieważ ta, w której przebywali heloci, była w pełni izolowana). Działo się tak aż do zdarzenia, do którego doszło przed trzema dniami. Wtedy to Enzo przyłapał Lukullusa, gdy ten w najlepsze wylegiwał się na galowym mundurze kapitana... odbywszy wcześniej długą wycieczkę po maszynowni, po której jego rude futro stało się jednym wielkim pędzlem pokrytym smarem i olejem silnikowym. Nietrudno zgadnąć, że znaczna część smaru, brudu i oleju trafiła wprost na mundur. Nie spodobało się to, rzecz jasna, ani samemu Enzowi, ani tym bardziej kapitanowi.

Od tamtego dnia, na mocy bezpośredniego rozkazu Birleya, Lukullus „podlegał ograniczeniom”. Lucía zaś miała za zadanie dopilnować, by ograniczenia te nie były łamane. Szło jej świetnie aż do tej pory.

– No, Lukullus... chodź do mnie – spróbowała po raz kolejny, tym razem łagodnie. Wyciągnęła z kieszeni kawałek szynki i poruszyła nim tak, by kot go zobaczył. – No chodź tu, mój piękny...

Lukullus, co oczywiste, zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby każdy kot. Odwrócił się, skoczył, a następnie, przeszedłszy kilka metrów po pokładzie, przelazł przez otwarty bulaj i na moment zupełnie zniknął dziewczynie z oczu. Widać było, że bawi się przy tym znakomicie. Naprawdę trudno by było o lepszą rozrywkę niż ta gierka z Lucią.

Zniechęcona dziewczyna westchnęła. Zachmurzyło się i wszystko wskazywało na to, że zaraz się rozpada, a ostatnie, na co miała ochotę, to ganiać za kotem po pokładzie, kiedy już zacznie lać.

– Lukullus, no, proszę cię...

Po raz nie wiadomo który tego dnia starała się zbliżyć do kota. Za każdym jednak razem, gdy podejmowała takie próby, Lukullus odsuwał się o parę metrów i z szelmowskim wyrazem pyszczka czekał, co będzie dalej. Lucía nigdy w życiu nie miała kota i nie wiedziała, że jeśli któryś z tych futrzanych drani

nie ma ochoty być złapany, to fizycznie nie da się tego zrobić. Gdyby tylko udało obojętność i odeszła, Lukullus sam poszedłby za nią. Dziewczyna nie знаła jednak tej tajemnicy kociej psychologii i podążała za Lukullusem krok w krok, nadaremnie starając się go przywabić i złapać. Pokonała w ten sposób całą niemal długość pokładu, aż w końcu dotarła do metalowej przegrody, za którą zaczynała się strefa dla helotów.

– Teraz cię mam, cholero – mruknęła pod nosem, zagnawszy Lukullusa do narożnika pomiędzy przegrodą a linią burty.

Kot natychmiast wyczuł sprawę, że zabawa, która dawała mu tyle radości, może zaraz się zakończyć, i kręcił się na wszystkie strony, desperacko starając się znaleźć drogę ucieczki. I wtedy dostrzegł otwór – niewielką lukę pomiędzy prętami przegrody. Otwór był naprawdę nieduży, ale dla kota (nawet z lekką nadwagą, jak w przypadku Lukullusa) okazał się w sam raz. Z prędkością błyskawicy czmychnął w stronę szczeliny i choć przeciskając się przez nią, zostawił na ogrodzeniu masę kłaków, to sekundę później był już po drugiej stronie.

Lucia próbowała zatrzymać go ostatnim desperackim ruchem ręki, ale udało jej się tylko przesunąć palcami po jego ogonie. Tupnęła ze złością, a z jej ust popłynęła wiązanka przekleństw godna starego szofera.

Wtem zamilkła, zauważywszy, że przez jeden z włazów na dziobie wyszedł na pokład mężczyzna. Zapalił papierosa i z rękami w kieszeniach ruszył spokojnie w stronę kota. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat. Miał na sobie amerykański mundur polowy ze wzorem w panterkę. Lekko utykał. Zbliżył się do Lukullusa, schylił się i pogłaskał kota po grzbiecie, na co ten zaczął głośno mrużyć i się przeciągać. Uznał najwyraźniej, że starczy już zabawy w uciekanie.

Żołnierz wziął kota na ręce i ruszył w stronę ogrodzenia. Niosąc Lukullusa, cały czas drapał go delikatnie za uchem. Dotarł do metalowej przegrody, wyszukał odpowiednio szeroki odstęp między prętami i bardzo ostrożnie przesunął kota na drugą stronę, aż ten znalazł się w rękach Lucii.

Dziewczyna z uwagą przyglądała się mężczyźnie w mundurze. Był wysoki, miał czarne włosy i bardzo ciemną karnację. Jego oczy o głębokim spojrzeniu miały odcień ciemnego brązu. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest indiańskiej (zapewne azteckiej lub apaczowskiej) krwi. Lucia mocno się więc zdziwiła, gdy na plakietce na piersi żołnierza zobaczyła nazwisko „Dobrzansky”.

– Bardzo panu dziękuję... panie Dobrzansky. Gdyby nie pan, w życiu nie udałoby mi się złapać tego cholernego zwierzaka.

Mężczyzna na moment znieruchomiał, by po chwili wybuchnąć śmiechem; śmiechem świeżym, zdrowym i brzmiącym wolnością. Z rozbawieniem spojrzął na Lucię, rzucając niedopałek na ziemię.

– Jestem Carlos. Carlos Mendoza – powiedział po hiszpańsku z wyczuwalnym meksykańskim akcentem. – Nie wiem, kim jest albo kim był ten Dobrzansky od munduru. Mundur dostałem, kiedy trafiłem do Gulfport, więc przypuszczam, że biedak, który nosił go przede mną, albo od dawna nie żyje, albo, za przeproszeniem, ma jeszcze bardziej przejebane i łązi po świecie jako jeden z tych nieszczęsnych dziwołagów. Ale, jeśli można, kim panienka jest?

– Nazywam się Lucía, jestem z Hiszpanii – odpowiedziała dziewczyna niemal szeptem. W głębokim spojrzeniu Mendoza było coś, co ją hipnotyzowało. – Nasz jacht zatonął w czasie huraganu. Załoga „Itaki” nas uratowała. A teraz próbowałam złapać Lukullusa, który mi zwiął, ale on mnie nie słucha, no i... – Lucía zdała sobie nagle sprawę z tego, że mówi bez ładu i składu. Działo się tak zawsze, kiedy się denerwowała. Zakłęła w myślach pod własnym adresem. – Co się panu stało w nogę? – postanowiła raptownie zmienić temat. – Utyka pan.

– To? – odparł Meksykanin, bagatelizując ranę. – Drobiazg. Mały uraz sprzed paru dni, kiedy w porcie podłączaliśmy te cholerne rury.

– Ugryzł pana Nieumarły? – Lucía odruchowo zrobiła krok wstecz, nawet sobie tego nie uświadamiając.

– Tak, ale to naprawdę nic takiego, *señorita*. Najdalej za parę tygodni wszystko się zablizni. To było bardzo powierzchowne ugryzienie. Cholerny gad użarł mnie od tyłu, kiedy strzelałem. Nawet nie widziałem, jak się zbliżał. Na szczęście nie miał połowy szczęki, więc nie mógł mnie mocno ugryźć.

Lucía słuchała w osłupieniu. Wiedziała, że wirus TSJ jest skrajnie zaraźliwy, i nieraz na własne oczy widziała, jak zainfekowani nim w parę minut zmieniali się w Nieumarłych. Tymczasem ten beztroski facet stał oto przed nią i opowiadał takim tonem o ugryzieniu przez zarażonego, jakby mówił coś w rodzaju: „Nie zgadniesz, na kogo wpadłem w supermarkecie”.

– Jesteś odporny na wirusa? TSJ na ciebie nie działa?! Niesamowite!

Żołnierz znów się zaśmiał, ale tym razem jego śmiech był podszyty goryczą. Miał niski, głęboki głos, który Lucii natychmiast przywiódł na myśl Benicia Del Toro.

– Oczywiście, że nie, *señorita*. Chciałbym! Przykra prawda jest taka, że nie ma odpornych na wirusa. To skurwiel najgorszego typu, zresztą sama już pewnie wiesz. Jak ktoś go złapie, to ma przerypane na resztę życia.

– To w takim razie jakim cudem... – zaczęła pytanie Lucía. Nie dokończyła jednak, bo w tej samej chwili usłyszała za plecami głos.

– Panienko, bardzo proszę odsunąć się od ogrodzenia. A ty, zasrany heloto, trzy kroki w tył, już! Znasz regulamin – macie się trzymać co najmniej dwa metry od przegrody. I nie zmuszaj mnie, żebym ci to musiał powtórzyć, bo dostaniesz grube bęcki. Wyjazd!

Lucía odwróciła się. Stało za nią dwóch szeregowych marynarzy i jeden z

oficerów (podobnie jak pozostali ubrany w nieskazitelną granatową mundur). Mężczyźni mieli narzucone na ramiona peleryny przeciwdeszczowe. W rękach trzymali karabiny M16, broń była odbezpieczona. Lucía zauważyła też, że choć na razie nie celowali w stronę Meksykanina, to ich palce wskazujące już opierały się na spustach.

Carlos Mendoza podniósł powoli ręce i robiąc kilka kroków do tyłu, odsunął się od ogrodzenia, ani na moment nie spuszczał marynarki z oczu. Jego twarz wyrażała jednocześnie dumę, pogardę i lęk.

– Spokojnie, panowie – powiedział z latynoskim zaśpiewem. – Nie tknąłem ani dziewczyny, ani tego kocura. Tak sobie tylko gadaliśmy.

– Czy to prawda? – spytał oficer z zagadkowym wyrazem twarzy. – Nie dotknął pani ani zwierzęcia?

– Mówi prawdę – skłamała Lucía, nie wiedząc do końca, dlaczego to robi. – Nie dotknął ani mnie, ani kota.

– Dobrze. Proszę wobec tego wrócić na rufę i nie zbliżać się w przyszłości do tego miejsca bez wcześniejszego powiadomienia załogi. Ci ludzie to kryminaliści, ostatnie szumowiny.

– Trzymaj się, Lucía – powiedział na odchodne żołnierz, pociągając łyk z piersiówki. – Nie zapomnij Carlosa Mendoza. Jeśli będziesz mnie kiedyś potrzebować, powiedz, że należysz do Sprawiedliwych. Kto wie, może się jeszcze spotkamy.

– Że należę do „Sprawiedliwych”? O czym ty... – Mężczyzna zniknął już pod pokładem.

Lucía szła pomału w stronę rufy tankowca, głaszcząc niesionego na rękach Lukullusa. Zachmurzyło się, a o rozgrzany pokład uderzały głucho pierwsze krople deszczu zwiastujące nadejście burzy. Dziewczyna miała w głowie kompletny mętlik.

Cały czas myślała intensywnie o zakończonej przed chwilą dziwnej rozmowie. Meksykanin nie był odporny na wirusa, a jednak nie widać było u niego żadnych symptomów. Tego wszystkiego nie dało się po prostu logicznie wytłumaczyć. Nieco wcześniej sama przecież widziała, jak po skromnej uroczystości żołnierze wrzucali do morza ciała kolegów. Wszystkich tych ludzi zabił wirus TSJ. Tymczasem Carlos i ten rosy Murzyn z tatuażem na ramieniu nadal żyli i jak gdyby nigdy nic spacerowali po pokładzie, robiąc wrażenie zupełnie zdrowych.

Gdzieś w głębi duszy Lucía wciąż czuła zawadiacki uśmiech Meksykanina i szelmowski błysk w jego oczach. Nic nie mogła na to poradzić: im dłużej o nim myślała, tym bardziej jej się podobał.

Wielebny Greene nigdy nie był mężczyzną przystojnym, ale tego ranka skwaszona mina dodatkowo pogarszała obraz całości. Miał około sześćdziesięciu lat i był dość niski. Na jego pokrytej zmarszczkami twarzy zdążyły już pojawić się pierwsze starcze przebarwienia. Tego dnia, jak zresztą zawsze, włożył szary garnitur, a jego szyję zdobił rzemienny wisior z klamrą ze srebra. Na głowie zaś miał wielebny swój nieodłączny kapelusz stetson, z którym nie rozstawał się od czterdziestu lat. Kaznodzieja nie czuł się szczęśliwy. Pomimo że poranne kazanie – niech będzie pochwalone imię Pańskie na wieki wieków, amen! – wyszło świetnie, Greene wiedział, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Ścisłej mówiąc, wiedziało to jego kolano. A kolano wielebnego nie myliło się nigdy.

W roku 1974 w Waynesboro w stanie Wirginia kolano, przyszła wyrocznia, zostało uszkodzone. Było to sprawką kilku wiejskich osiłków, którzy wypili za dużo piwa i którym nie spodobała się obecność Greene'a w ich okolicy. Nie był to na pozór uraz wyjątkowo ciężki. Takie uszkodzenia zdarzają się stosunkowo często sportowcom, tancerzom, alpinistom i... ofiarom pijanych żuli. Większość osób, które doznają urazu stawu kolanowego, bez większych trudności odzyskuje sprawność w ciągu kilku tygodni. Nieliczni odczuwają skutki urazu do końca życia, ale na ogół poszkodowanym (niech będzie pochwalone imię Pańskie na wieki wieków, amen!) nie dokuczają żadne następstwa kontuzji. Są i tacy, którzy wykurowawszy się, odkrywają, że ich uszkodzone niedawno kolano stało się niezawodnym wykrywaczem zmian pogody. Tak oto zyskują zdolność przepowiadania ze stuprocentową trafnością, że piękny, słoneczny dzień za kilka godzin zakłóci potężna burza z piorunami.

Przypadek wielebnego Greene'a był nieco odmienny. Po pięciu długich tygodniach w szpitalu hrabstwa Rockbridge (wielebny uznał, że lepiej zabierać się z Waynesboro, póki jest w jednym kawałku) w końcu wypisano go do domu. Kiedy po raz pierwszy wyszedł na ulicę, poczuł ból w kolanie: z początku było to coś na kształt delikatnego pulsowania, jednak z upływem czasu dyskomfort stawał się coraz większy.

Gdy ból nasilił się tak bardzo, że Greene był na granicy omdlenia i poważnie myślał o powrocie do szpitala, stała się rzecz następująca: przy wtórze ogłuszającego wycia alarmu dwóch zakapturzonych mężczyzn wybiegło ze sklepu jubilerskiego po przeciwległej stronie ulicy, a zaraz po nich z wnętrza wyłonił się starszy mężczyzna (zapewne właściciel, pomyślał Greene)

uzbrojony w strzelbę. Przez prawie cały napad złodzieje mieli go na muszce, ale krótki moment ich nieuwagi pozwolił staruszkowi włączyć alarm. Hałas był tak donośny, że tłumił wszelkie inne dźwięki na ulicy. Jubiler zaś stał teraz na chodniku, trzymając broń, która wyglądała tak, jakby powstała z myślą o strzelaniu co najmniej do bizonów.

– Wracać tu natychmiast! Skurwiele, pomioty! – ryczał na całe gardło jubiler. – Nikomu nie dam się orznać! – krzyczał co siłą, celując do uciekających.

Kiedy wystrzelił, odrzut cisnął nim pół metra do tyłu. Staruszek był jednak nieugięty: zarepetował broń i wypalił jeszcze raz.

Na plecach jednego ze złodziei pojawił się olbrzymi czerwony ślad, który natychmiast stał się źródłem obfitego, nieregularnego krwotoku. Mężczyzna padł na ziemię. W tej samej chwili jego współnik odwrócił się i wymierzył do staruszka z rewolweru. Colt 38, który miał w dłoni, wyglądał jak zabawka w porównaniu ze „strzelbą na słonia”, którą trzymał jubiler, ale przy tak niewielkim dystansie rzecz nie miała znaczenia. Pierwsza kula z rewolweru ugodziła starszego mężczyznę w bok. Druga przeszła przez jego prawe oko, zabijając go na miejscu. Siłą ostatniego odruchu mózg jubilera zdążył jednak wysłać impuls do spoczywającego na spuście palca wskazującego. I tak w przedziwny sposób, gdy właściciel palca od ułamków sekund już nie żył, jego ręka wypaliła po raz ostatni z potężnej strzelby. Odrzut szarpnął martwym ciałem staruszka, ale kula, która opuściła lufę, trafiła prosto w głowę złodzieja z coltem. Uderzenie naboju rozłupało czaszkę przestępcy. To, co zostało z jego mózgu, wylądowało na chodniku i sąsiedniej ścianie.

Całe zajście trwało nie więcej niż dziesięć czy jedenaście sekund. Potem zapanowała cisza (nie licząc, rzecz jasna, tego cholernego alarmu). Na ulicy unosił się swąd spalonego prochu, krwi i gnoju. Greene, który przez całą strzelaninę stał przyklejony do ściany, ruszył przed siebie, oddalając się od leżących na chodniku ciał. Słysząc już było syreny nadjeżdżających radiowozów. Idąc, wielebny zauważył istotną rzecz: ból w kolanie całkowicie ustąpił, a jego ogólne samopoczucie było znakomite – nigdy wcześniej nie czuł się tak dobrze.

Z początku Greene nie przywiązywał wagi do całej sytuacji. Nawet wówczas, gdy tydzień później w Gainsville jego kolano zaczęło pulsować bólem tuż przed tym, jak doszło do koszmarnego wypadku. Potężna wywrotka przejechała na czerwonym świetle przez skrzyżowanie, przy którym wielebny pił akurat kawę (a wydał na nią jeden ze swoich ostatnich dwudziestu siedmiu dolarów). Kolos na kołach staranował chevroleta, którym podróżowała pięcioosobowa rodzina. Wszyscy, łącznie z kierowcą ciężarówki, zginęli na miejscu.

Natychmiast po wypadku diabelskie kolano oczywiście przestało boleć. Najwyraźniej pięć zgonów, i to widzianych z bliska, było dostateczną atrakcją, by poczuło się usatysfakcjonowane.

Z początku Greene był przekonany, że wszystko to jest niczym więcej jak ponurym zbiegiem okoliczności. Sytuacje tego rodzaju powtarzały się jednak niezależnie od tego, gdzie wielebny akurat był i czym się zajmował. Za każdym razem zaczynało się od lekkiego pulsowania, które w miarę zbliżania się tragicznego zdarzenia przechodziło stopniowo w głuchy, palący ból. Czasami wystarczyło, że wielebny oddalił się z jakiegoś miejsca, by pulsowanie zaczęło ustępować, a w końcu zupełnie zniknęło. Kiedy jednak następnego dnia Greene zaglądał do gazet lub włączał telewizję, za każdym razem okazywało się, że w miejscu, które opuścił, by ukoić ból, zdarzał się jakiś koszmarny wypadek lub ohydna zbrodnia. I zawsze dochodziło do rozlewu krwi.

Bywało też, że wielebny ulegał swego rodzaju patologicznej fascynacji. Gdy tylko poczuł charakterystyczne pulsowanie, zaczynał z narastającą ekscytacją przemieszczać się w kierunku „wskazywanym” przez kolano. Za drogowskaz służyło mu natężenie bólu. Szedł, dopóki klucie w kolanie nie stawało się tak silne, że nieomal przyprawiało go o omdlenie. Wtedy chował się i czekał.

W ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat wielebny był świadkiem co najmniej piętnastu tragedii drogowych i dziewiętnastu morderstw, a także obcięcia głowy w wyniku wypadku oraz dwóch gwałtów, które zakończyły się śmiercią ofiary. Ku swojemu zaskoczeniu odkrył, że za każdym razem bycie świadkiem tragedii sprawiało mu przyjemność (choć, rzecz jasna, wyparłby się tego nawet przed samym Bogiem Ojcem).

Bieg lat odmienił umysł wielebnego, kształtując w nim dość szczególne wyobrażenie na własny temat. Greene uznał z czasem, że swoisty dar prorokowania, który posiadał, został mu dany przez samego Boga (niech będzie pochwalone imię Pańskie na wieki wieków, amen!).

Potrafił wyczuwać zło. Co więcej, umiał przewidzieć, gdzie się ono pojawi. To zaś bez wątpienia (przynajmniej w jego własnym mniemaniu) czyniło go profetą zesłanym przez samego Pana. Skoro zaś umiał przewidzieć zbliżanie się zła, to czy siłą rzeczy nie był heroldem Apokalipsy – tym, który obwieści światu nieuniknione przyjsie Antychrysta?

Ton jego kazań diametralnie się zmienił. Greene, siódme dziecko rolników półanalfabetów z Alabamy, nie ukończył żadnych studiów. Został wędrownym kaznodzieją, bo usłyszał boskie wezwanie. Albo raczej dlatego, że w ten sposób miał szansę uniknąć razów ojca alkoholika i wrzasków matki we wczesnym stadium schizofrenii. Umiał płomiennie przemawiać, ale jego znajomość Pisma Świętego była jak na kaznodzieję raczej mierna. To zaś w samym środku Pasa Biblijnego [5] z pewnością nie był atut.

Bycie heroldem Apokalipsy zupełnie jednak zmieniło postać rzeczy. Przekaz wielebnego stał się pełen mocy, wręcz obsesyjny. Pan – głosił Greene – ukarze nieprawość swych wyrodných dzieci! Brak pobożności, sodomia, głosowanie na demokratów, czarni, Żydzi, Latynosi, muzułmanie, komuniści i muzyka

techno... wszystko to pływało razem w czarnoksiężskim saganie, w którym wielebny warzył teraz swoje kazania. Panu niemiłe są – nauczał kaznodzieja – wszystkie te ohydne, odpychające rzeczy i ci podli ludzie. Stoją bowiem w rażącej sprzeczności z dobrymi tradycjami Południa. A już to, że w Białym Domu zasiadł czarny (przeklęty czarnuch, oburzał się Greene), było niczym więcej jak dowodem wprost na to, że świat schodzi na psy i zatraca się w dekadencji.

Bóg (niech będzie pochwalone imię Pańskie na wieki wieków, amen!) był więc rozwścieczony i szykował się, by spuścić na ziemię swój słuszny gniew. I wtedy właśnie wielebny Greene poczuł w kolanie ból. Pulsowanie w nodze było rytmiczne i mocne – czegoś takiego przez poprzednich czterdzieści lat kaznodzieja nigdy nie doświadczył. Z początku myślał, że zapewne niedługo dojdzie do jakiejś wyjątkowo ohydnej zbrodni. Przez kilka dni wyczekiwał, ale nic się nie stało. Ból przybierał przy tym wciąż na sile. By go uśmierzyć, Greene w hurtowych ilościach zażywał vicodin, ale nawet to nie pomagało. Nie mogąc wytrzymać dłużej, wielebny zdecydował więc, że tym razem nie będzie świadkiem mającej się wydarzyć tragedii. W środku nocy zwinął wiatę namiotową, która służyła mu za schronienie podczas wygłaszania kazań, zapakował się do swojej turystycznej furgonetki i rozpoczął ucieczkę na południe.

Pokonywanie kolejnych dziesiątek mil nic jednak nie dawało. Ból nie ustępował, podążając za wielebny, tak jak pies podąża za panem. Kaznodzieja był w podróży już od piętnastu dni, ale dokądkolwiek jechał, potworne, głuche klucie nie dawało mu spokoju. Przykleiło się jak gówno do buta, zrzędził w myślach udręczony Greene. To były dziwne, zamazane dni. Wielebny był w stanie niemal delirycznym. Półprzytomny parł na południe, siłą automatyzmu i odruchów prowadząc swój wielki samochód turystyczny. Gdyby zdarzało mu się słuchać czegokolwiek poza rozgłośniami chrześcijańskimi, dowiedziałby się, że na świecie szaleje epidemia zabójczego wirusa, która właśnie dotarła do Stanów Zjednoczonych. Greene miał jednak stały gust jako radiosłuchacz. Dotarł więc do Gulfport w stanie Missisipi i nie zdawał sobie sprawy, że apokalipsa – koniec świata, który miał przepowiedzieć, trwa już od blisko dwóch tygodni. Uwagę jego przykuł za to natychmiast inny komunikat, wysłany przez jego własne ciało. Kiedy tylko wjechał do miasta, ból w kolanie całkowicie ustąpił.

To był bez cienia wątpliwości znak. Natychmiastowa ulga w kolanie po prostu musiała coś oznaczać. Rzecz w tym, że Greene nie bardzo miał czas zastanowić się, co by to mogło być, ponieważ w chwili jego wjazdu do Gulfport wokół działo się zbyt wiele rzeczy jednocześnie. Gwardia Narodowa usiłowała ewakuować mieszkańców miasta do pobliskiego Biloxi, w którym utworzono Bezpieczną Strefę. Spośród siedemdziesięciu tysięcy mieszkańców Gulfport dwie trzecie zdążyły już uciec w popłochu. Ci zaś, którzy nadal przebywali w

mieście, byli bardzo zajęci pakowaniem dobytku, by zaraz dołączyć do tych, którzy już wyjechali. Dlatego też, kiedy zdezelowana turystyczna buda na kołach wielebnego Greene'a wtoczyła się do miasta, mało kto zauważył jego przybycie.

Kaznodzieja nie miał żadnych wątpliwości. Oto właśnie nadarzała się okazja, na którą czekał przez całe życie. Kres czasów się zbliżał, ale Greene wiedział, jak uchronić godnych i prawych. Znał jedyne miejsce, które ominąć miał gniew Pana. Miejscem tym było Gulfport, który uwolnił go od bólu kolana.

Greene rozstawił swoją wiatę przy drodze wyjazdowej do Biloxi i natychmiast wszedł na mównicę. Po raz pierwszy od lat czuł w ciele fale energii, które niemal nim trzęsły – zupełnie jakby jego żyłami płynął prąd. Rozstawiając ramę wiaty, nie czuł nawet bólu mięśni. Boży płomień płonął w jego ciele, przepelniając go niespożytą siłą i wigorem.

– Posłuchajcie, bracia! Dobrzy ludzie Gulfport, baczcie na moje słowa! Nie uciekajcie ze swoich domów, albowiem nie macie czego się lękać! To miasto zostało poświęcone łaską Pańską i zaraza tu nie dotrze. Zaprawdę powiadam wam: NIE DOTRZE!

Wielebny całymi godzinami wykrzykiwał swoje przesłanie, ale udało mu się zainteresować jedynie garstkę osób: paru ciekawskich i trochę takich, którzy byli zbyt wycieńczeni, by uciekać z miasta. Wtedy jednak Bóg postanowił pomóc swojemu słudze i postawił na jego drodze Stanleya Morgana.

Stanley Morgan, nazywany przez mieszkańców miasta Starym Stanem, od niemal dwudziestu już lat pełnił nieprzerwanie funkcję burmistrza Gulfport. Ten biały Anglosas, protestant i republikanin do szpiku kości miał prosty pogląd na świat: istnieje tylko jedna dobra metoda załatwiania spraw, czyli jego metoda.

Dlatego też kiedy przyszedł do niego mówiący z akcentem z Rhode Island wymuskany pułkownik marines, od którego na milę biło Wschodnim Wybrzeżem i Północą, i zakomunikował, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin cała ludność miasta ma zostać ewakuowana do Biloxi, Stana kosztowało wiele wysiłku, by zapanować nad sobą i natychmiast nie przyłożyć mu w jego śliczne białe zębki.

Nikt nie będzie rozkazywać Stanowi Morganowi, myślał, a już na pewno nie jakiś nadęty pułkowniczyzna! Ewakuować jego Gulfport? Takiego wała! To miasto stawiało czoło dziesiątkom klęsk i kataklizmów (ostatnim był huragan Katrina, który w 2005 roku zrujnował połowę zabudowy) i nigdy nie zostało w całości ewakuowane. Stan miał tymczasem ambicję, by kiedyś ktoś go upamiętnił, nadając jego imię bibliotece lub parkowi. „Kurwa, to mi się zwyczajnie należy”. Spełnienie tego marzenia zostałoby zaś niechybnie przekreślone, gdyby przeszedł do historii jako burmistrz, który ewakuował

ukochane miasto.

Stan rozpoczął gierkę, w ramach której udawał, że wykonuje zalecenia pułkownika, a tymczasem tak naprawdę nie kiwnął nawet palcem. Jednym okiem przypatrywał się przy tym żołnierzom, drugim zaś śledził relacje telewizyjne, dzięki którym oglądał na żywo, jak ład na świecie rozpada się w drobny mak.

Kłopot w tym, że te same relacje oglądali mieszkańcy Gulfport. Każdy mógł zobaczyć w CNN, jak Nieumarli rozprzestrzeniają się po kraju niczym plama oleju po wodzie. Panika narastała. Dziesiątki tysięcy ludzi pospiesznie spakowało swój dobytek do samochodów i ruszyło na drogi wylotowe. Szybko stało się to, co stać się musiało: na autostradzie międzystanowej numer 10 utworzył się gigantyczny korek. Uwięził on tysiące ludzi na długie godziny, by następnie stać się areną krwawej jatki na trudno wyobrażalną skalę. Okazało się, że Nieumarli byli znacznie bliżej, niż wszyscy sądzili.

Stan robił, co mógł, by odwieść mieszkańców miasta od zamiaru jego opuszczenia. Niestety, wyperswadowanie tego okazało się znacznie trudniejsze niż przekonanie ich, że wozy na paradzie z okazji Dnia Dyni powinny być dłuższe. Panika wyzwała ludzi z resztek rozsądku. Burmistrz argumentował, przekonywał, błagał i zaklinał, ale od ogromnej większości przerażonych sąsiadów słyszał to samo: „Naprawdę mi przykro, Stan, ale...”. Potem ludzie wsiadali i odjeżdżali co prędzej, nie oglądając się za siebie.

I wtedy to los postawił na drodze burmistrza na wpół oszalałego kaznodzieję, który na poboczu szosy zdzierał sobie gardło pod krzywo rozstawioną wiatą. Stan doznał olśnienia.

Facet pod wiatą wyglądał mu na jednego z wielu wędrownych kaznodziejów, którzy przemierzali te strony, utrzymując się z datków, ofiar i – jak podejrzewał – nabierania gawiedzi na sfingowane cuda. Wykrzykiwał różne rzeczy o końcu świata (częsta pozycja w repertuarze takich jak on), ale znacznie ciekawsze było to, co dodawał później. Gulfport. Gulfport pozostanie bezpieczne. Człowiek na mównicy oznajmił wprost: to jedyne bezpieczne miejsce w promieniu tysięcy kilometrów.

Gulfport – z uwagą i dumą słuchał Stan – moje miasto.

Nie zastanawiając się długo, burmistrz wskoczył na prowizoryczną scenę rozstawioną przez Greene'a, podszedł do niego i wyciągnął dłoń w jego stronę.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem rekina, który wiele razy pomagał mu dobić targu w handlu nieruchomościami. – Witam wielebnego w Gulfport. Stan Morgan, jestem burmistrzem miasta. Bóg mi pana zesłał!

Niespełna dwie godziny później niepozornej wiaty Greene'a nie było już przy drodze. Zastąpił ją potężny namiot wystawowy mieszczący czterysta osób,

z którego pracownicy Stana pospiesznie usunęli napisy „Budownictwo Mieszkaniowe Morgan”. Wewnątrz rozstawiono sprzęt nagłaśniający, który śmiało mógł konkurować z tym na stadionie Gulfport Merlins (i nic dziwnego, bo *to był* sprzęt nagłaśniający ze stadionu), a wielebny Greene ze Stanem Morganem u boku dawali taki pokaz, że kiedy się jechało w stronę autostrady, nie sposób było nie zwrócić na nich uwagi.

Połączenie krasomówstwa kaznodziei z majestatycznością i lokalną sławą postaci Morgana sprawiało, że pod namiotem zatrzymywały się kolejne samochody. Zaczęło się od kilku aut osobowych, ale szybko dołączyły do nich furgonetki, vany i następne samochody rodzinne. Nie minęło pół godziny, a w namiocie wystawowym kłębił się tłum. Greene dalej zdzierał sobie gardło, na cały głos wołając, że Gulfport to jedyne bezpieczne miejsce w całym stanie Missisipi. Człowiek, o czym Stan doskonale wiedział, to zwierzę stadne. Ludzie z reguły postępują tak jak większość dookoła. I tak też było w tym przypadku. Widząc gęstniejący tłum przed namiotem na poboczu, kolejni mieszkańcy Gulfport zatrzymywali samochody i szli posłuchać.

Stan korzystał z okazji i krążył pomiędzy zgromadzonymi. Widział, że słowa Greene’a działają na nich jak lekkie pogłaskanie po grzbiecie na przestraszonego psa. Bardzo szybko zbiorowa panika zaczęła przygasać. Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą nie potrafili mówić ani myśleć o niczym innym niż Bezpieczna Strefa w Biloxi, nagle znów gotowi byli słuchać swojego burmistrza.

– Ten człowiek to święty – szeptał Stan, ściskając ręce i poklepując po plecach kolejne osoby. – Jechał przez trzy stany starą furgonetką, kiedy wokół były miliony tych potworów, a żaden nawet go nie drasnął. On naprawdę musiał otrzymać błogosławieństwo Pana.

Przestraszeni ludzie patrzyli na wielebnego Greene’a z coraz większą nadzieją i podziwem. Z lubością spijali kolejne słowa z jego ust. Od tygodni żyli w potwornym strachu, a wszelkie wiadomości, jakie do nich docierały, opisywały śmierć, zniszczenie i przerażające tempo rozwoju pandemii. Teraz zaś stał przed nimi płomiennie przemawiający człowiek, który obiecywał im bezpieczeństwo tu, w ich własnym domu. To była muzyka dla uszu mieszkańców Gulfport.

W ten oto sposób, dzięki apokalipsie, po czterdziestu latach wielebny Josiah Greene znalazł wreszcie szerokie grono odbiorców, którzy byli pełni zapału, by słuchać go i za nim podążać.

Przez szereg kolejnych miesięcy był szczęśliwy.

Aż do tego ranka, kiedy „Itaka” przy wtórze syren wchodziła do portu w Gulfport. Tego ranka ból w kolanie powrócił. Był bardzo lekki, owszem, ale i tak uczucia tego nie dało się z niczym pomylić.

Wielebny poczuł nagle strach.

– Lucía! Wiktor! Chodźcie zobaczyć! To nie do wiary!

Kiedy „Itaka” rozpoczynała manewr wejścia do portu, nie potrafiłem powstrzymać okrzyku zachwytu. Tankowiec pomału płynął w kierunku nabrzeża ciągnięty przez dwa holowniki, które zmagając się z masą kolosa, wyrzucały z kominów chmury dymu. By uczcić powrót tankowca, oba holujące statki wypuszczały na boki potężne strumienie wody. Na nabrzeżu tłoczyli się ludzie, wiwatując, machając i pozdrawiając marynarzy. Samochody na nadmorskim bulwarze zwalniały lub nawet przystawały, a kierowcy wychylali się przez okna i dźwiękami klaksonów świętowali szczęśliwy powrót załogi. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy w tym niewielkim mieście oszaleli ze szczęścia.

I w sumie trudno się im dziwić, pomyślałem. Dzięki ropie, którą właśnie przywiozła „Itaka”, mieszkańcy miasta będą mieć paliwo na kolejny rok. No, może na nieco mniej. Zwłaszcza jeśli nadal będą korzystać z potężnych czarnych hummerów pochłaniających benzynę kubłami. Kolumna takich właśnie pojazdów zbliżała się akurat z dużą prędkością do kei. Drogę dojazdową torował samochodom patrol, który odpychał na bok tłoczących się przy nabrzeżu ludzi. Z pewnym zaniepokojeniem zauważyłem, że dwa ostatnie pojazdy w kolumnie to hummery w wersji wojskowej. Eskortowały one typowy amerykański autobus szkolny. W każdym z potężnych aut terenowych siedzieli mężczyźni uzbrojeni w karabiny szturmowe. Na prawej ręce każdego z nich widać było zieloną bransoletę.

– Misja wypełniona – powiedział z zadowoleniem kapitan Birley, obserwując nabrzeże i zapalając fajkę. – Dzięki błogosławieństwu otrzymanemu od naszego wszechmogącego Ojca przebyliśmy pół świata i wróciliśmy bez najmniejszego uszczerbku na zdrowiu. Czy to nie wspaniałe? Niech Bóg błogosławi wielebnemu Greene’owi i naszemu statkowi!

Miałem już na końcu języka, że tych sześciu żołnierzy, którzy zginęli w Lubie, i kolejnych czterech, którzy stali się później pokarmem dla ryb, mogłoby nie podpisać się pod stwierdzeniem „wróciliśmy bez uszczerbku na zdrowiu”, ale pohamowałem się. Ostrożność pozwoliła nam jak dotąd pozostać przy życiu i należało trzymać się tej strategii.

– Kto przyjechał w tej kolumnie? – Lucía wskazała na formację aut zatrzymującą się właśnie obok miejsca, w którym mieliśmy zaraz zejść na ląd. –

Czy to wielebny Greene?

– Ależ skąd – nieomal zachnął się Birley. – To Zielona Gwardia, przybocznik wielebnego. Odpowiadają za utrzymanie w mieście pokoju i bożego ładu. Przyjechali, żeby zabrać z „Itaki” tę hołotę, którą wieźliśmy na dziobie. Proszę mi wierzyć, panienko, w chwili, kiedy ostatni z tych zawszonych Meksykańców opuści mój statek, poczuję się znacznie lepiej.

– Niech pan tak o nich nie mówi! – W głosie Lucii, ku mojemu lekkiemu zaskoczeniu, słychać było autentyczną wściekłość. – Ci ludzie narażali życie, żeby napełnić ropą ten pański cholerny statek. Gdyby nie oni, cała pańska podróż byłaby na nic. A tak w ogóle, to co za różnica, czy to Meksykanie, Murzyni, czy Eskimosi? Takie komentarze są paskudne!

Birley na dłuższą chwilę wlepił wzrok w Lucię. Jego spojrzenie wyrażało groźbę. Patrzył na dziewczynę tak, jakby do tej pory nie widział jej na oczy, a teraz za sprawą magii pojawiłaby się na mostku kapitańskim jego statku. Kiedy w końcu zaczął mówić, cedził słowa, a ton jego głosu był lodowaty.

– Proszę się pilnować, młoda damo. Byłoby dla mnie niezmiernie przykre musieć ukarać osobę tak uroczą. Jest panienka kobietą i najwyraźniej nie wie, co mówi. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że mężczyźni, którzy za panią odpowiadają, winni trzymać ją krócej i nie pozwalać na aroganckie wysoki tego rodzaju.

– Za kogo ty się uważasz, palancie?! – wybuchła teraz Lucia, nie panując nad sobą. Na nasze szczęście była tak wściekła, że inwektywy pod adresem kapitana rzucała po hiszpańsku. Tego języka Birley nie znał. – Nadęty burak, rasista! Pieprzony idiota! Zwierzę, szowinista!

– Lucia, opanuj się – szepnąłem jej do ucha, obejmując dziewczynę, by przytrzymać ją w miejscu. Jestem pewien, że gdybym tego nie zrobił, rzuciłaby się na Birleya i wyłupiłaby mu oczy.

– Słyszałeś, co on do mnie powiedział? Słyszałeś, co powiedział o tamtych ludziach? Jeśli naprawdę tak myśli, to jest jakimś zacofanym popaprańcem! – Lucia szamotała się, próbując wyslizgnąć mi się z rąk.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, ale posłuchaj mnie teraz. Posłuchaj! Pojęcia nie mam, o co chodzi tym ludziom, ale jasno widać, że tutaj, jeśli nie ma się białej skóry, zostaje się mięsem armatnim – mówiłem do Lucii, przytrzymując ją za skronie, by patrzyła mi w oczy. – Nie podobają mi się, ale uratowali nam życie. Jesteśmy tysiące kilometrów od czegokolwiek, co możemy nazwać domem, i jesteśmy od nich zależni. Więc postaraj się udawać grzeczną i przeproś kapitana.

Lucia prychnęła z furią i wyrwała mi się z rąk. Wściekła szybkim krokiem oddaliła się na drugą stronę mostka kapitańskiego, mijając po drodze zdumionego całą sytuacją Pritzenkę.

– O co chodzi? – spytał Ukrainiec. – Wyglądała jak wściekła lwica.

– Uwierz mi, stary, naprawdę wolałbym mieć teraz do czynienia z lwicą. – Następnie odwróciłem się do Birleya, który w milczeniu przyglądał się całej scenie, i powiedziałem przeproszającym tonem: – Proszę darować Lucii jej reakcję, kapitanie. To młoda i impulsywna dziewczyna. W dodatku dziś doskwiera jej chyba pewna przypadłość.

– Proszę się nie przejmować, młody przyjacielu. – Birley lekceważąco machnął ręką. – To w końcu tylko kobieta. To, co sądzi, nie ma najmniejszego znaczenia. Wszyscy poza tym wiemy, że kobieca natura jest bardzo zmienna, zwłaszcza kiedy przychodzą „te dni”. Czy nie mam racji? Proszę ją po prostu krócej trzymać, radzę z dobrego serca.

Wypowiedziawszy ostatnie zdanie, Birley zaśmiał się i poklepał mnie po plecach. Uśmiechnąłem się z ulgą, widząc, że kapitan nie jest w konfrontacyjnym nastroju. Co najmniej jeden dzień życia nadal przed nami.

Inna sprawa, że całą sytuację przypląciłem uczuciem zeznaczenia i poniżenia.

„Itaka” dobiła tymczasem do nabrzeża. Na brzeg rzucono potężne cumy o blisko półmetrowej średnicy i przymocowano tankowiec do masywnych słupków obok terminalu. Grupa stewardów przyniosła dwa trapy, jeden do zejścia rufowego, drugi – do dziobowego. Przy trapie rufowym zatrzymał się autobus szkolny i dwa wojskowe hummery. Z opancerzonych aut wysiadło kilku mężczyzn i ustawiono się szpalerem pomiędzy pojazdami a zejściem ze statku. Pozostali pasażerowie hummerów weszli na pokład tankowca, by następnie wrzaskami i kopniakami ustawić helotów w zwartej grupie. Zachowanie żołnierzy sprawiało dziwne wrażenie. W porcie w Lubie ludzie ci walczyli jak lwy, teraz zaś przypominali stadko przestraszonych owiec.

A może nie tyle przestraszonych, ile pogodzonych z losem? Nad zbitą formacją helotów górował potężny Murzyn, który dowodził desantem w Lubie. Stałem daleko od niego, ale i tak widziałem gniew skrzący się w jego oczach. Gdyby spojrzeniem dało się zabić, co najmniej sześciu mięśniaków z zielonymi bransoletami natychmiast padłoby trupem. Spojrzenia jednak nie zabijały, a olbrzym stał spokojnie. Kiedy strażnicy zaczęli przeganiać żołnierzy w stronę trapu, pochylił głowę jak wszyscy pozostali i karnie zszedł na nabrzeże.

Gdy cały oddział znalazł się już przy autobusie, jeden ze strażników wyciągnął wykrywacz metali i sprawdził po kolei wszystkich żołnierzy. Członkowie Zielonej Gwardii chcieli najwyraźniej mieć stuprocentową pewność, że żaden z helotów nie ukrył pod mundurem broni. Kolejny ze strażników wręczał żołnierzom butelki z wodą, a trzeci odhaczał na liście nazwiska wsiadających.

– Rozumiesz coś z tego, Wiktor?

– Nie, zupełnie tego nie kumam – odparł mój przyjaciel. – Przecież ci Meksykanie mogliby zrobić sieczkę z tej całej gwardii, zanim skończyłbym to zdanie. A jednak zobacz: idą potulnie jak baranki na rzeź.

– Zaskakujące, prawda? – usłyszałem niespodziewanie zza pleców głos Strangärda. Niespodziewanie dla mnie, rzecz jasna, bo nie miałem wątpliwości, że Wiktor doskonale widział, że Szwed się do nas zbliża. Ukraińiec miał oczy dookoła głowy i był niesłychanie czujny.

– Kim są ci ludzie? – spytał Wiktor sucho, wskazując na strażników z Zielonej Gwardii.

– Ci tam? – Strangärd rozejrzał się dyskretnie na wszystkie strony, by upewnić się, że nie usłyszy go nikt poza nami dwoma. – Hołota. Bandyci i złoczyńcy. Prawie wszyscy to byli więźniowie. Jeśli chcecie mojej rady, starajcie się omijać ich z daleka. A jeśli już zdarzy się wam wejść im w drogę, przypadkiem nie próbujcie ich zdenerwować. Najpierw biją, a dopiero potem zadają pytania. Kłopot w tym, że to oni są tu władzą. A ściślej mówiąc, są prywatną armią wielebnego i bardzo ściśle trzymają się jego rozkazów. Przy tym większość mieszkańców Gulfport ich uwielbia. Ludzie uważają, że to dzięki Zielonej Gwardii mogą tu sobie bezpiecznie i spokojnie żyć.

Skinąłem twierdząco głową, jakbym coś z tego rozumiał, ale prawdę mówiąc, nie miało to dla mnie żadnego sensu. Przyjrzałem się uważnie stojącym na nabrzeżu gwardzistom. Wszyscy byli masywni i umięśnieni – widać było, że poświęcili setki godzin na przerzucanie żelastwa na siłowni. Większość miała na sobie wojskowe spodnie i białe podkoszulki. Na lewym bicepsie nosili zielone opaski. Wszyscy byli krótko ostrzyżeni, część nosiła przycięte brody, które nadawały im złowrogi wygląd.

– Wyglądają, jakby dostali zniżkę dla grupy u tatuażysty – kaśliwie skomentował Pritczenko, wskazując na stojących najbliżej nas gwardzistów. I faktycznie – nie było pośród nich ani jednego, który nie miałby na ciele tatuażu. Mieliśmy przed sobą żywą galerię swastyk, pajęczyn, czaszek i napisów gotycką czcionką. Jeden z osiłków miał nawet wytatuowany na potylicy napis „White Pride”[6]. Poczulem na plecach zimny dreszcz.

„Dumny z bycia białym”... no pięknie. Ci goście w zielonych bransoletach byli członkami Aryan Nations[7], zbieraniny białych supremacjonistów z najgorszych nizin amerykańskiego społeczeństwa. Przy tej ekstremistycznej, rasistowskiej organizacji nawet Ku-Klux-Klan jawił się jako coś w rodzaju Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. AN stało za setkami wymuszeń i zabójstw, było też zaangażowane w handel narkotykami. Nie było w Stanach Zjednoczonych więzienia, w którym nie siedziałoby kilku członków tej organizacji. Teraz zaś dowadywałem się, że w Gulfport to AN stanowi prawo. Robiło się coraz ciekawiej...

Trzech aryjskich gwardzistów weszło właśnie na pokład tylnym trapem i

zmierzało w naszą stronę. Na czele szedł olbrzym o blond włosach i upiornych niebieskich oczach. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Do zielonej bransolety przytwierdzony miał emblemat złotego orła. Biała koszulka opinała dość wyraźnie jego brzuch, co zdradzało, że kryje się pod nią nieco już rozwinięty „mięsień piwny”. Powyżej obojczyka spod koszulki wystawał kawałek wytatuowanej swastyki. Ten olbrzym miał także tatuaże na kostkach dłoni – po jednej literze na każdej. Gdyby zacisnął dłonie w pięści i złączył je, litery ułożyłyby się w napis „HATE JEWS” – nienawidzę Żydów. Mieliśmy więc przed sobą istnego aniołeczka.

Podszedłszy do nas, stanął z rękoma na biodrach i patrząc na nas z góry, przyglądał się nam uważnie. Pomału i starannie przeciągnął wzrokiem po ciele Lucii, która odruchowo skrzyżowała ręce na piersiach i opuściła głowę. Facet był po prostu przerażający.

– Więc to są te rybki, które Birley wyłowił z oceanu – powiedział, nie zwracając się wprost do żadnego z nas. – Kiedy mi powiedzieli, że mówicie po hiszpańsku, pomyślałem, że przywieźli nam tu jakichś parchów z Meksyku. Ale wy nie wyglądacie mi na Meksykańców. Ten z wąsami ma w sobie nawet coś z Aryjczyka, chociaż jest trochę mały. Jak to jest, *amigos*, że mówicie językiem tych pastuchów?

– Jesteśmy Europejczykami – wyrwałem się przed szeregiem, nim któreś z moich towarzyszy zdążyło powiedzieć słowo. – On jest Ukraińcem, a my dwoje pochodzimy z Galicji. Tam też mówi się po hiszpańsku.

Miałem poważne wątpliwości, czy ten osiłek umiałby wskazać na mapie Ukrainę, a jeśli chodzi o Galicję, to założyłbym się, że właśnie usłyszał o niej pierwszy raz w życiu. Wyglądało jednak na to, że moje wyjaśnienia uznał za wystarczające.

– Nie będzie mnie obchodziło, gdzie się urodziliście, o ile tylko jesteście białymi chrześcijanami i nie podpadniecie niczym wielebnemu Greene’owi – powiedział, wzruszając ramionami. – Jestem Malachiasz Grapes i dowodzę Zieloną Gwardią. Dbamy o to, żeby dobrzy ludzie Gulfport mogli żyć w spokoju i bezpieczeństwie. Jeśli będziecie przestrzegać naszych zasad, niczego wam tu nie zabraknie. Jeśli zachce wam się samowolki, będziemy mieli problem.

Wolałem nie pytać, jaki problem moglibyśmy mieć. Zresztą, byłem w stanie dość łatwo to sobie wyobrazić. Grapes tymczasem wbił wzrok w Pritczenkę. Wiktor odwzajemnił spojrzenie, nie okazując najmniejszego lęku. Kolos zbliżył swoją twarz do twarzy Prita tak bardzo, że niemal zetknęli się nosami, ale Ukraińiec nawet nie mrugnął.

– Ho, ho, widzę, że mamy tu kozaka – wymamrotał olbrzym groźnie pobrzmiwającym tonem. – Masz może jakiś problem, konusie? – Dwóch pozostałych osiłeków wybuchnęło gromkim śmiechem.

Wiktor zrobił głęboki wdech i głośno charknął. Przez sekundę myślałem z

przerażeniem, że zaraz splunie Grapesowi flegmą prosto w twarz, ale dzięki Bogu Ukrainiec przełknął ją tylko i cicho beknął.

– Ci Murzyni i Meksykanie, którymi tak się brzydzisz, napierdalali Nieumarłych aż miło, wiesz? – zaczął Wiktor takim tonem, jakby komentował zmianę pogody. – W tym autobusie na dole siedzi paru typów, którzy zrobiliby ci drugą dziurę w dupie, gdyby dorwali cię bez tej twojej eskorty. Mądrze zrobisz, jeśli nie będziesz im ubliżać, kiedy są tak blisko. I nie, nie mam z tobą problemu, *amigo*. Przynajmniej na razie.

Czas jak gdyby na chwilę przestał płynąć. Twarz Grapesa kilkakrotnie zmieniała odcień. W końcu jednak kolos wybuchnął śmiechem i odsunął się od Wiktora.

– Trzeba ci przyznać, że masz jaja, kurdupłu. Ale lepiej nie drażnij mnie ani moich ludzi. Dziś jest dzień waszego powitania i nie będę ci robił problemów, ale pilnuj się, bo w przyszłości mogę nie być taki cierpliwy. Chodźmy, wielebny na nas czeka.

Podążyliśmy za gwardzistami i zeszliśmy po trapie na nabrzeże. Nie mieliśmy żadnego bagażu poza niesfornym jak zwykle Lukullusem, przeszczęśliwym, że z powrotem znalazł się na stałym lądzie. Morze to z pewnością nie jest miejsce dla kota. Towarzyszył nam Strangärd. Jak wyjaśnił, wsiadając razem z nami do jednego z hummerów, polecono mu, by był naszym „wprowadzającym” podczas wizyty u wielebnego. Kapitan Birley był bardzo zajęty przy manewrze podejścia i późniejszym rozładunku, a tymczasem Greene chciał ponoć, by któryś z członków załogi jak najszybciej przedstawił mu historię naszego ocalenia. Szwed był drugą osobą na pokładzie, więc to jemu przypadło to zadanie. Hummery z rykiem silników ruszyły z miejsca, a ja cieszyłem się, że to właśnie Strangärd nam towarzyszy.

Był tu naszym jedynym przyjacielem, a przynajmniej wyglądało na to, że możemy liczyć na jego pomoc. Coś mówiło mi bowiem, że w ciągu najbliższych godzin wsparcie będzie nam bardzo potrzebne.

Gulfport było zawsze małym miastem. Właściwie przy odrobinie złej woli można by je nazwać przedmieściem Biloxi. Rzadko gościło na łamach ogólnokrajowych mediów, bo i trzeba przyznać, że nie odgrywało w dumnym stanie Missisipi (stan magnolii, odwiedźcie nas ponownie!) szczególnie ważnej roli. Mieszkańcy miasta byli z niego jednak niezmiernie dumni, a to z trzech powodów: Gulfport było siedzibą drużyny Merlins, areną obchodów Święta Dyni oraz miejscem, gdzie od początków istnienia jednostki stacjonowali tak zwani Seabees.

Seabees, „Morskie Pszczółki”, stanowili część korpusu inżynieryjnego armii Stanów Zjednoczonych. Przydomek zyskali sobie podczas drugiej wojny światowej, kiedy to praktycznie od zera budowali bazy i pasy startowe na każdej z pacyficznych wysepek, gdzie tylko było to potrzebne do szybszego pokonania Japończyków. Po wojnie jednostkę rozbudowywano, wyposażając ją w coraz szersze i nowocześniejsze zaplecze techniczne. W końcu „Pszczółki” stały się jedyną w swoim rodzaju formacją w całej amerykańskiej armii. Nikt, kto w niej służył, nie wygrał nigdy zawodów strzeleckich (bo i większość „Pszczółek” nie umiała nawet porządnie trzymać broni), ale z drugiej strony, żołnierze ci potrafili wybudować niezbędną infrastrukturę w dowolnym praktycznie miejscu na ziemi. Gulfport zaś było ich bazą i domem.

Kiedy doszło do wybuchu epidemii, połowa stanu osobowego jednostki znajdowała się w Afganistanie, gdzie „Pszczółki” wytyczały i utrzymywały szlaki dostaw do Kabulu. Planowano natychmiastowe odesłanie ich do kraju, ale armia nie miała dość samolotów, by naraz wywieźć cały kontyngent wojskowy. Priorytet dano jednostkom bojowym, ponieważ na tamtym etapie sądzono, że pomogą przywrócić ład i zażegnać niebezpieczeństwo. Po techników samoloty przylecieć miały w dalszej kolejności. „Pszczółki” nie doczekały się na transport do kraju. Po tygodniu nie miał już kto po nich wrócić. Jeśli zaś jakimś cudem jacyś pozostawieni w Afganistanie żołnierze po dwóch latach jeszcze żyli, to z pewnością chowali się po górach i grotach przed talibami lub przed Nieumarłymi. A najprawdopodobniej i przed pierwszymi, i przed drugimimi.

Reszta służących w Gulfport została w trybie pilnym oddelegowana do różnych miejsc na terenie Stanów, aby wspomóc pospieszną budowę Bezpiecznych Stref. Nie jest wielką sztuką odgadnąć, jaki spotkał ich los.

Tak więc gdy Stan Morgan napotkał na obrzeżach miasta obdartego

kaznodzieję wydzierającego się na poboczu drogi, w bazie Seabees znajdowało się raptem dwudziestu żołnierzy, którzy odpowiadali za konserwację sprzętu i czystość pomieszczeń. Choć jednak stan osobowy jednostki był mocno okrojony, to nadal była w niej potężna ilość najrozmaitszych urządzeń. Gromadzono je tam w końcu od dziesięcioleci.

Może i był Stan Morgan zawziętym facetem z przerostem ambicji (a przy tym notorycznie niewiernym mężem przejawiającym niepokojącą słabość do zdjęć Azjatek około trzynastego roku życia), ale nie można było odmówić mu przy tym pomysłowości i przytomności umysłu. Po powrocie z wojny w Wietnamie był biedny jak mysz kościelna, ale szybko dostrzegł możliwości, jakie stwarzał prężny rozwój rynku nieruchomości. Założył Budownictwo Mieszkaniowe Morgan i w ciągu niespełna dwóch lat stał się jednym z najzamożniejszych obywateli Gulfport.

Oglądając doniesienia CNN na temat równania z ziemią przez Nieumarłych kolejnych Bezpiecznych Stref, Stan doznał małego olśnienia. Strzelanie do zarażonych nie było żadnym rozwiązaniem – uznał. Pokazywały to przecież dobitnie przykłady z całego kraju. Jedynym wyjściem, by ocalić Gulfport, było stworzenie zapory, przeszkody terenowej tak potężnej, że nawet wielotysięczna fala Nieumarłych nie zdoła jej sforsować.

I wtedy przypomniał sobie o potężnych magazynach na terenie jednostki Seabees.

Ciąg dalszy okazał się niesłychanie prosty. W składzie na terenie bazy nie było nikogo, za to leżały tam tysiące ton stali i cementu, które cierpliwie czekały, aż ktoś je wreszcie wykorzysta. Od czasu zniszczeń spowodowanych przez Katrinę Seabees mieli dość czasu, by opanować metodę zapobiegania występowaniu rzek z brzegów. Dzięki niej fala powodziowa miała już nigdy nie zalać okolicznych pól i miejscowości. Wojskowi inżynierowie zastosowali bardzo zmyślną technologię budowania zapór przeciwpowodziowych z metalu i zmodyfikowanego cementu portlandzkiego. Maszynę bazującą na tej technologii nazwano mobilną jednostką dostarczania prefabrykowanych elementów zaporowych. Żołnierzom nie chciało się jednak zmagać z tak nieporęczną i dętą nazwą, więc nowy sprzęt przezwali „wysrywaczem murów”.

„Wysrywacze” nie były pięknymi maszynami. Przeciwnie, wyglądały raczej na owoce szalonego romansu wywrotki i lokomotywy. Parametry ich robiły jednak duże wrażenie. Jedna maszyna stawiała cementową ścianę o wysokości trzech i długości dwóch i pół metra w ciągu zaledwie piętnastu minut. Co więcej, opuszczający maszynę cement był w pełni uformowany i połowicznie już wysuszony. Niespełna dwadzieścia cztery godziny później mury zbudowane przez „wysrywacze” uzyskiwały taką twardość i trwałość, jakby lata temu zbudowano je tradycyjną metodą. W bazie w Gulfport stało zaś ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia takich maszyn.

Pracownikom Stana, doświadczonym robotnikom budowlanym, wystarczyło niespełna sześć godzin, by nauczyć się sprawnie korzystać z ciężkiego wojskowego sprzętu (nieoceniona okazała się też precyzyjna instrukcja obsługi oraz pomoc jedyne go technika, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności pozostał w bazie). Po kolejnych kilku godzinach dwadzieścia „wysrywaczy” pracowało już naokoło miasta, otaczając je olbrzymim pierścieniem murów obronnych.

W ten oto sposób w niecałe trzy doby Gulfport został ogrodzony betonowym murem wysokim na trzy metry. Takiej przeszkody nie był w stanie pokonać żaden Niemiarły. Zapora była szorstka, szara, brzydka i robiła wrażenie bękarciej siostry muru berlińskiego, ale spełniała swoje zadanie perfekcyjnie. Zdrowi zostają w środku, zarażeni – na zewnątrz. Plan Stana został zrealizowany.

Poza murem były też i inne czynniki, które znacznie zwiększały szanse mieszkańców Gulfport na pozostanie przy życiu. Południe stanu Missisipi było dość słabo zaludnione, a dodatkowo znaczne połacie zajmowały tu bagna i trzęsawiska, przez które nie miałoby szans przebić się nawet najsilniejsi z zarażonych.

Strangärd opowiadał nam o tym wszystkim, a kolumna hummerów pędziła ulicami miasta. Zielone chorągiewki po bokach maski pierwszego auta w szyku otwierały nam drogę i stawiały nas ponad przepisami ruchu drogowego. Nie zwalnialiśmy choćby minimalnie, nawet przejeżdżając przez zatłoczone skrzyżowania. Trudno było uwierzyć w to, co widzieliśmy przez okna. Miasto wyglądało zupełnie normalnie. Robiło wrażenie spokojnego i zamożnego. Po czystych i zadbanych ulicach spacerowali ludzie. Gdy mijali kogoś znajomego, pozdrawiali go lub zatrzymywali się, by porozmawiać. Śmiali się i żartowali, jakby apokalipsa nigdy się nie zdarzyła. Sklepy były otwarte, a przydomowe ogródki utrzymane wzorowo. Nawet kawiarnie i restauracje działały jak gdyby nigdy nic. Wszystko wokół błyszczało czystością i wydawało się wręcz idealne.

Niepokojący był tylko jeden szczegół: na ulicach miasta widzieliśmy wyłącznie białych.

– To jest bardzo... Znaczący, wydaje się... – wybełkotałem, starając się przetrwać w myślach całą sytuację i jakoś ją skomentować.

– Niewiarygodne, prawda? – dokończył Strangärd z cieniem uśmiechu. – To miejsce wygląda jak scenografia do telenoweli. Już przed apokalipsą to była dość zamożna okolica zamieszkała głównie przez białych, ale teraz jeszcze się to pogłębiło. Większość mieszkańców to emeryci, specjaliści o wolnych zawodach z rodzinami i bogate rozwódki. Pouciekali tu od stresującego życia w Biloxi. Mieli fart, bo zagłada zastała ich po bezpiecznej stronie muru. – Machnął ręką. – A teraz są zarodkiem społeczeństwa przyszłości. Śmieszne, prawda?

Nie byłem jakoś w stanie uznać tego za śmieszne. Wszyscy, których widziałem po drodze, młodzież, dorośli i ludzie starsi, wyglądali na zamożnych i dobrze odżywionych. W niczym nie przypominali zabiedzonych i wygłodniałych uchodźców na Teneryfie. Inna sprawa, że w Gulfport mieszkało góra trzydzieści tysięcy ludzi. Tymczasem na Wyspy Kanaryjskie rzuciło się kilka milionów ocalałych z całej Europy, doprowadzając je na skraj przeludnienia i przeciążając wojskowy system dostaw żywności.

Tu szło jednak o coś więcej niż jedzenie czy woda. Wszyscy ci ludzie robili wrażenie wyluzowanych aż do zblazowania. Nie byli ani trochę podobni do przerażonych i przepojonych fatalizmem głodnych uciekinierów, których tylu spotkaliśmy na swej drodze. Widać było, że nie doświadczyli w życiu ani zetknięcia z Nieumarłymi, ani prawdziwego strachu. Wyglądali jak żyjący dostatnio mieszczenie z chronionego murami grodu, którzy w głębokim poważaniu mają los plebsu, walczącego poza tymi murami o życie.

– Nie rozumiem tylko jednego. Jak to możliwe, że ci ludzie o... nazwijmy to, „tradycyjnych przekonaniach”, zgodzili się, żeby porządek w mieście zaprowadzały te osiłki? – Tu dyskretnie wskazałem Grapesa i jego towarzyszy, którzy siedzieli z przodu pojazdu zanurzeni w chmurze cygarowego dymu. – Wyglądają jak skazańcy.

– To są skazańcy. – Strangärd ściszył głos. – Wszyscy bez wyjątku do niedawna odbywali wyroki w więzieniu o zaostrzonym rygorze w Parchman.

– To jakim cudem są teraz tutaj? – spytała Lucía. W dalszym ciągu była na mnie zła. Od chwili kiedy zeszliśmy z pokładu, nie odezwała się do mnie słowem.

– Wieziono ich do Biloxi, gdzie mieli być nieodpłatną siłą roboczą przy budowie dużego obozu dla uchodźców. Z powodu błędu administracyjnego cztery autobusy pełne takich jak ci tutaj trafiły do Gulfport. Kiedy już się tu znaleźli, nikt nie wiedział za bardzo, co z nimi zrobić, a kierowców autobusów zupełnie nie obchodziło, co się z tymi ludźmi stanie. Zależało im tylko na tym, żeby jak najszybciej pozbyć się „ładunku” i móc jechać do Bezpiecznej Strefy w Biloxi. Zamknęli autobusy na cztery spusty, zostawili klucze na komendzie policji, a potem zwiali z Gulfport. Więźniowie przesiedzieli całą dobę w autobusach zaparkowanych na słońcu niedaleko portu. Najwięcej było tam tych z AN. Byli też znacznie lepiej zorganizowani niż reszta więźniów. Kiedy w końcu otwarto drzwi autobusów, wysiedli z nich tylko oni. Reszta została w środku już na zawsze.

– Zabili ich? – dociekała Lucía.

Strangärd nie odpowiedział. Wyjrzał tylko za okno wyraźnie zażenowany.

– To tłumaczy, jak ci ludzie się tu znaleźli, ale nie to, dlaczego zostali przybocznymi wielebnego – naciskałem.

Siedzący z przodu Grapes zaciągnął się głęboko, a jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. O tak, pamiętał doskonale, jak wyglądał tamten dzień...

GULFPORT, DWA LATA WCZEŚNIEJ

– Strażnik! Strażnik! Kurwa, gdzie wyście się podziali? W tym pieprzonym autobusie jest jak w piecu!

Jeden z zamkniętych w autobusie więźniów krzyczał na całe gardło, waląc w kratę oddzielającą przedział dla osadzonych od części przeznaczony dla kierowcy. Jego wrzaski zlewały się z ogólnym gwarem. Czterdziestu pasażerów autobusu mówiło głośno, klęło, pokrzykiwało lub waliło w szyby. Minął już niemal cały dzień, odkąd stali tak w upale, zamknięci na cztery spusty w puszcze na kołach zaparkowanej na jakimś wygwizdowie. Wewnątrz autobusu było niemiłosiernie gorąco. Niektórym puszczały nerwy.

W ciągu pierwszych kilku godzin strażnicy zadawali sobie jeszcze nieco fatygi: przynosili więźniom wodę, a nawet niewielkie porcje jedzenia. Minęło jednak mnóstwo czasu, odkąd ostatni raz widziano któregoś z nich przy autobusie. Sytuacja stawała się coraz bardziej nerwowa. Jeden z więźniów, grubas o czerwonej twarzy, zmarł przed kilkoma godzinami na atak serca. Jego ciało rzucono jak worek kartofli gdzieś na tył autobusu. Więzień, z którym zmarły był skuty jednym łańcuchem, Murzyn o wyglądzie tęgiego bandziora, bardzo szybko przestał zgrywać twardziela. Prosił jękliwie o pomoc, a potem zaczął szlochać i krzyczeć, szarpiąc rozpaczliwie łańcuchem. Z przerażeniem patrzył, jak pod wpływem gorąca tłuste ciało zmarłego pęcznieje.

– Uwolnijcie mnie, kuuurwa! – darł się bliski paniki. – Pomóżcie, do cholery, błagam! Ten skurwiel zaraz wybuchnie i zarazi mnie jakimś syfem! Ja nie chcę umierać!

Malachiasz Grapes siedzący kilka rzędów przed wrzeszczącym wniebogłosem Murzynem lekceważąco machnął ręką. Gdyby zechciał, bez trudu oswobodziłby chłopaka. Pod pomarańczowym więziennym uniformem miał ukryty nóż, a kilka wprawnych ruchów starczyłoby, żeby odciąć nieżywemu grubasowi dłoń. Grapes jednak ani drgnął. Po pierwsze, brzydził się tym Murzynem (jak i całą jego rasą), a po drugie, nóż czekał, by posłużyć w ważniejszym celu. Już niedługo rozpocząć się miało Świniobicie.

Poprzedniego dnia wyciągnięto ich z Parchman i wraz z więźniami z sąsiednich autobusów przez kilka godzin wieziono dokądś, by ostatecznie porzucić tu, na jakimś parkingu na zadupiu. Grapes wiedział, że to nie przeniesienie. W więzieniu wiedziało się o wszystkim (zwłaszcza jeśli się było

przywódcą komórki AN), a poza tym nikt nigdy nie słyszał, żeby przenoszono *wszystkich* więźniów naraz.

W autobusie było piętnastu członków Aryan Nations. Resztę stanowili Murzyni z gangu Crips, kilku Meksykanów i paru Azjatów, w tym nieżywy gruby Polinezyjczyk, który gnił z tyłu pojazdu. Grapes przyjmował, że rozkład sił w innych autobusach jest zbliżony. Przez okienko przy swoim siedzeniu widział trzy pozostałe pojazdy składające się na transport. Stały zaparkowane burta w burcie. Siedzący w nich więźniowie byli w identycznej sytuacji jak ci w jego autobusie. Albo w jeszcze gorszej.

Choć strażnicy starali się zapobiegać wszelkiej korespondencji i łączności, w więzieniu istniały liczne sposoby komunikowania się. Wystarczyło je znać. Teraz zaś, gdy strażników nie było, a autobusy stały w odstępach kilku metrów od siebie, porozumiewanie się przestało stanowić jakikolwiek problem. Wystarczyło po prostu krzyknąć. Ostateczny plan dojrzywał. Nadarzała się idealna okazja, by przeprowadzić Świniobicie. Grapes nie próżnował i udzielał kamratom z sąsiednich autobusów szczegółowych instrukcji.

– Kiedy zaczynamy? – spytał siedzący po drugiej stronie przejścia Seth Fretzen, nachylając się w kierunku Grapesa z chorobliwym podnieceniem.

– Za moment, Seth, za moment – odpowiedział przez zęby Malachiasz.

Z kącika ust zmarłego Polinezyjczyka zaczęła sączyć się biała ciecz. Skuty z nim czarny opryszek dostał ataku hysterii.

– Ten skurwiel zaraz wybuchnie! Jeeezu, uwolnijcie mnie! Uwolnijcie mnie, kurwa!!

Jeden z więźniów podniósł się, żeby mu pomóc, ale tak się dla niego pechowo składało, że był skuty łańcuchem z członkiem AN. Ten szarpnął tylko żelazem. Ogniwa łańcucha zabręczały głośno, a mężczyzna, który spieszył z pomocą panikującemu, runął na podłogę. W tylnej części autobusu zaczęła się bójka.

– Teraz – powiedział krótko i spokojnie Grapes. – Bierzemy ich.

Seth Fretzen ukrytą pod kombinezonem zapałką podpalił kawałek papieru. Przystawił płonąca kartkę do okna i poruszył nią w górę i w dół. W sąsiednim autobusie odebrano jego sygnał i wysłano identyczny do kolejnego pojazdu.

Grapes nie czekał z rozpoczęciem Świniobicia, aż ogień zgaśnie. Szybkim ruchem wysunął z rękawa nóż i wbił go w szyję siedzącego obok Portorykańczyka. Jego ofiara była tak zaskoczona, że zdążyła tylko otworzyć szeroko oczy. Po ułamku sekundy mężczyzna, charcząc, dławił się własną krwią.

Seth Fretzen tymczasem chwycił w obie dłonie łańcuch i zadusił nim swojego sąsiada – Murzyna z Zachodniego Wybrzeża, który nie potrafił wymawiać „r”. Zaatakowany próbował przez chwilę się bronić, ale nie miał żadnych szans.

Gdy Seth rozluźnił w końcu uścisk, czarnoskóry więzień runął bezwładnie na ziemię niczym worek trocin.

Malachiasz odwrócił się, by pomóc kolegom na końcu autobusu, ale ci poradzili sobie świetnie i bez niego. Sytuacja była pod kontrolą. Zresztą nic dziwnego. Członkowie AN byli tu najliczniejszą grupą, mieli broń, a do tego uderzyli z zaskoczenia. Rozprawienie się z pozostałymi pasażerami zajęło im mniej niż minutę i kosztowało ich bardzo niewiele wysiłku. Tylko jeden z ludzi Grapesa doznał obrażeń – na rękę miał głębokie rozcięcie, które zresztą zrobił sobie własnym nożem, gdy podrzynał gardło jednemu z więźniów.

Naładowani adrenaliną aryjczycy wydali z siebie ryk radości, dumni z wyczynu pogratulowali sobie, a następnie opluli po kolei wszystkie zwłoki. Potem zaś, jak gdyby nigdy nic, usiedli na swoich miejscach i czekali.

Po jakichś dwóch godzinach Grapesowi po raz pierwszy przyszło do głowy, że być może zarżnięcie wszystkich tych Murzynów i Meksykanów nie było najlepszym pomysłem. Normalnie w tego rodzaju sytuacji czasu starczyłoby tylko na błyskawiczne pozbycie się broni, zanim pojawią się strażnicy. Tutaj tymczasem żadnych strażników nie było, a trupy pomału zaczynały cuchnąć.

Grapes szybkim ruchem dłoni ubił grubą muchę, która usiadła mu na szyi. Jego mózg pracował na pełnych obrotach – starał się obmyślić nową wersję planu. Wtem ktoś otworzył drzwi autobusu. Piętnaście ogolonych głów uniosło się i zaczęło miotać pod adresem strażników najgorsze obelgi. Głosy ich jednak niemal natychmiast ucichły i w autobusie zapanowała kompletna cisza.

Zamiast strażników i prewencyjnego oddziału policji, których się spodziewali, po drugiej stronie kraty pojawił się drobny facecik koło sześćdziesiątki. Był ubrany w szary garnitur, a na głowie miał ogromny kapelusz stetson. W rękach trzymał Biblię i przyglądał się scenie niedawnej zbrodni z wyrazem twarzy, który trudno było rozszyfrować.

Ten jebaniec się modli, pomyślał Grapes, zauważywszy, że usta starszego mężczyzny poruszają się bezgłośnie. Po dłuższej chwili człowiek w kapeluszu podrapał się od niechcienia po prawym kolanie, wyciągnął z kieszeni gruby pęk kluczy i już miał podejść do kraty. Wtem zatrzymał się, jakby nagle sobie o czymś przypomniał.

– Czy jesteście ludźmi bogobojnymi? – zapytał.

Grapes potrząsnął głową, niepewny, czy dobrze usłyszał.

– O co wielebny pyta? – odpowiedział po chwili, zastanawiając się, czy przypadkiem upał i duchota nie przyprawiły go o omamy.

– Pytam, czy boicie się gniewu Pana – odparł cierpliwie Greene.

Grapes wstał. Trup Portorykańczyka z hałasem zwałił się u jego nóg. Herszt aryjczyków szerokim gestem wskazał na całe wnętrze autobusu i zwrócił się do dziwnego rozmówcy po drugiej stronie kraty.

– Niech wielebny sam spojrzy. My *jestemy* gniewem Pana.

Z jakiegoś powodu ta odpowiedź bardzo przypadła do gustu starszemu mężczyźnie. Usłyszawszy ją, z zadowoleniem skinął głową.

– Widzę, że oczyściliście już ten pojazd z kolorowej hołoty. To dobrze. Ci wszyscy ludzie ostatnich ras nie mają miejsca w Nowej Jerozolimie. – Głos tego człowieka był hipnotyzujący. Nawet najbardziej zajadli i pozbawieni skrupułów aryjczycy milczeli, słuchali go i nie śmieli przerwać. – Prawdziwe zło jest jednak tam, za murami. Chce ono spaść na ten kawałek ziemi, który upodobał sobie nasz Pan. Dlatego pytam was, bracia: czy chcecie, bym uwolnił was, abyście stali się narzędziem w rękach Boga?

– Będziemy, czym wielebny zechce, ale teraz chcemy wreszcie wyjść z tego pieprzonego autobusu.

– Dobrze. – Twarz Greene'a rozjaśnił uśmiech, tak jakby nagle przyszło mu do głowy rozwiązanie wyjątkowo trudnej zagadki. – Jednak zanim was wypuszczę, pomódlmy się, aby Pan nasz oświecił wasze dusze. Uklęknijcie.

– Co on pieprzy? Pomyłony jakiś? – syknął ostro Seth.

– Zamknij się! – uciął ostro Grapes, nie mogąc oderwać oczu od postaci kaznodziei. – Róbcie, co mówi. Na kolana i modlić się. A który nie posłucha, to wybije mu zęby przez dupę.

Członkowie AN posłusznie uklękli i zaczęli się modlić, powtarzając to, co mówił Greene stojący przed nimi z uniesionymi ku niebu rękoma. Modlił się cicho. Oczy miał zamknięte. Na jego twarzy malowała się religijna ekstaza.

Po odmówieniu modlitwy Greene otworzył drzwi w kracie, używając jednego z kluczy w pęku, który zdobył na komendzie policji. Następnie przeszedł przez całą długość autobusu, rozkuwając aryjczyków z kajdan. Nad ciałami zabitych przechodził tak, jakby to były walające się po ziemi worki ze śmieciami. Każdemu z rozkuwanych podsuwał do ucałowania Biblię i kładł dłonie na jego głowie.

Potęźnie zbudowany Grapes musiał się schylić, by niziutki Greene miał szansę dosięgnąć jego czaszki. Gdy w końcu jednak kaznodzieja go dotknął, ciało Malachiasza jakby przeszył impuls elektryczny. Przestępca otworzył szeroko oczy i oddychał głęboko, wpatrując się w Greene'a. Musiał oprzeć się o zagłówek siedzenia, żeby nie upaść. W oczach wielebnego było coś absolutnie przedziwnego: jak gdyby na dnie głębokiego szamba buchały płomienie. W płomieniach tych można było dostrzec iskry szaleństwa, które jednak bledły pośród złowrogiej, duszącej ciemności, tak gęstej, że Grapes przysięgłby, że dałoby się jej dotknąć.

Było w kaznodziei coś przerażającego, lecz z drugiej strony promieniował on mroczną charyzmą, z jaką Grapes nigdy dotąd się nie spotkał. Czuł, że chce być blisko tej energii. W więzieniu zetknął się z najbardziej zwyrodniałymi,

brutalnymi i najokrutniejszym ludźmi, jakich można sobie tylko wyobrazić, ale żaden z nich nie równał się z tym źródłem przedziwnej energii ukrytym gdzieś na dnie oczu wielebnego. Grapes pojął to, uląkł się i został przez tę moc całkowicie opętany. Czymkolwiek było to coś, chciał być obok i służyć.

– Kogo trzeba załatwić, wielebny? – spytał posłusznie.

– Chodźcie, pokażę wam. – Greene wysiadał z autobusu, lekko utykając. Grapes patrzył na to z pewnym zaskoczeniem. Przysięgłby, że kaznodzieja wcześniej nie kulał.

Na zewnątrz Grapes odkrył, że jego towarzysze z pozostałych autobusów również zostali już uwolnieni. Aryjczyków było łącznie czterdziestu czterech. Stali na parkingu, zezując, mrużąc oczy i rozglądając się trochę nieufnie wokół, jakby nie byli w stanie uwierzyć, że ni stąd, ni zowąd odzyskali wolność i że to koniec łańcuchów, murów i ciągłego nadzoru.

Niedaleko zaparkowana była furgonetka. Na jej boku widniał napis:

SŁUŻBY KOMUNALNE

GULFPORT

Miasto, które z radością patrzy w morze!

Tuż przy samochodzie stało dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki i korpulentny. Wyglądał na faceta przyzwyczajonego, że inni wykonują bez dyskusji jego polecenia. Drugim był miejscowy szeryf – niewysoki pięćdziesięciolatek z lekkim brzuszkiem i pierwszymi oznakami łysienia. Ten wyglądał z kolei na mocno zaniepokojonego. No i nie dziwię mu się, pomyślał Grapes. Na pewno się zastanawia, co poradzi, jeśli przyjdzie nam ochota spuścić im wszystkim wpierdol. Agresja nie wchodziła jednak teraz w grę. Wielebny powiedział, że potrzebuje aryjczyków, żeby z kimś skończyli, a Grapes zabiłby w tej chwili własną matkę, byle tylko raz jeszcze ujrzeć tę energię drzemiącą w oczach kaznodziei.

– Wielebny Greene, nie wiem, czy to jest najlepszy pomysł... – odezwał się wyższy z mężczyzn, ten, który wyglądał na ważniaka.

A więc nazywa się Greene.

– To było boskie objawienie, burmistrzu. Pan zstąpił na mnie i powiedział, że Gulfport ostatecznie się niczym Nowa Jerozolima. Teraz zaś mówi mi, że ci oto grzesznicy to element jego planu – odpowiedział Greene z dużą pewnością siebie, chwytając Grapesa za ramię i przyciągając go ku sobie. – Ten człowiek nazywa się...

– Malachiasz Grapes – usłyszał kolos swoją własną odpowiedź. Głos wielebnego zdawał się oddziaływać w ten sam magiczny sposób na burmistrza Morgana, co na niego samego.

– Malachiasz – powtórzył Greene, delektując się brzmieniem tego biblijnego imienia – jest żołnierzem Chrystusa i bez trudności da sobie radę z tymi szatańskimi pomiotami.

– Nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł, żeby dawać broń tym typom... – zareagował szeryf. Mówił łamiącym się nieco głosem i wykonywał dłońmi niespokojne ruchy.

Gulfport było zawsze miejscem bardzo spokojnym, oddalonym od dużych ośrodków. Przystępność, z jaką dotąd musieli zmagać się ludzie szeryfa, ograniczała się do wyskoków hałasujących nastolatków i pijaczków prowokujących drobne awantury. Wizja pojawienia się w mieście czterdziestu paru członków gangów uzbrojonych w broń maszynową nie napełniała więc szeryfa optymizmem. Zwłaszcza odkąd uświadomił sobie, że w razie gdyby coś poszło nie tak, jak zaplanowano, czoło stawiać miałyby im on sam i jeden jeszcze policjant. Tylu bowiem było ich teraz na komendzie. Z drugiej jednak strony, wielebny był tych ludzi TAKI pewny... A przyznać trzeba, że odkąd pojawił się w Gulfport, sprawy układały się znakomicie, gdy tymczasem reszta świata waliła się w oczach. Ten ranek przyniósł jednak mniej znakomite wieści: Bluefont, osiedle na południu miasta, zostało nagle zaatakowane przez zarazonych.

Stan Morgan mierzył chwilę wzrokiem potężnego aryjczyka, po czym podjął decyzję.

– W furgonetce są karabiny i amunicja. W dzielnicy o pięć minut jazdy stąd mają kłopoty. Pojawiło się co najmniej piętnaście tych stworów. Nie wiemy, co się dzieje z mieszkańcami. Trzeba tam pojechać, rozwalić tych mutantów i wyciągnąć stamtąd moich ludzi. Poradzicie sobie?

W odpowiedzi Grapes ograniczył się do otwarcia tylnych drzwi furgonu, wyciągnięcia M16 i przeładowania go. Robił to z ogromną wprawą. Na pewno poradziłby sobie z zawiązanymi oczami.

– Nie wiem, co to za mutanty, ale daję panu słowo, że dziś w nocy będą już w piekle.

Grapes rozdzielił broń między swoich ludzi. W głębi furgonetki leżała zielona plandeka. Najwyraźniej porzucił ją tam któryś z pracowników gminy. W przyływie natchnienia Grapes chwycił materiał i podarł go na paski. Jeden z nich zawiązał sobie na bicepsie, a pozostałe rozdał swoim towarzyszom. Ci natychmiast przystroili się w ten sam sposób.

– Skoro jesteśmy teraz bożymi żołnierzami wielebnego Greene’a, to takie zielone przepaski będą w sam raz, no nie? – powiedział z wilczym uśmiechem.

Greene z zadowoleniem skinął głową. Stanowi Morganowi za to pomysł ten niezbyt się podobał. Bardzo nie lubił oddawać inicjatywy, tymczasem narastało w nim wrażenie, że zaczyna być tu traktowany jak piąte koło u wozu.

– Nie życzę sobie ani jednej skargi od mieszkańców. Żadnych kradzieży, łupienia ani demolowania. Macie załatwić te dziwolągi i wracać tutaj, jasne?

– Według rozkazu, szefie – wymamrotał Grapes lekko sarkastycznym tonem, przywołując gestem swoich ludzi.

– Jedziemy, panowie! Trzeba jednym takim skopać dupę.

Nie minęło dziesięć minut, a już aryjczycy byli przy wjeździe na osiedle Bluefont. Składało się ono z mniej więcej trzystu domów i znajdowało się po przeciwnej niż reszta miasta stronie głębokiego kanału, który służył do odprowadzania wody z pobliskich mokradeł. Przejść przez niego dało się tylko w dwóch miejscach. Kładki południowej, przy której się znajdowali, pilnował pomocnik szeryfa – chłopak, który wyglądał, jakby niedawno skończył gimnazjum. Towarzyszyło mu kilku podtatusiałych mężczyzn ze strzelbami do polowań. Byli tak przerażeni, że tylko patrzeć, jak narobią w spodnie.

– Nieumarli przedostali się północną kładką – zameldował jeden z mężczyzn.

– Mur nie był jeszcze gotowy i udało im się przebić. Tamtego przejścia miał pilnować Ted Krumble i jego chłopaki, ale ni cholery nie wiemy, co się z nimi dzieje. Słyszeliśmy strzały i jakiś wybuch. Od godziny próbujemy połączyć się z nimi przez radio i nic.

Grapes ostrożnie przytaknął.

– Dobrze, a kim są ci, jak pan ich nazwał?... „Nieumarli”?

Wszyscy zgromadzeni spojrzeli na niego jak na przybysza z innej planety. Grapes wyjaśnił im bez specjalnego entuzjazmu, że był w więzieniu, a tam prasa raczej nie dociera. Nie miał więc skąd dowiedzieć się o zarazie. Szybko wytłumaczono mu, jaka jest sytuacja i co grozi miastu i jego mieszkańcom. Herszt AN przyjął informację ze spokojem. Nie żeby nie wierzył tym przerażonym dziadkom, ale z pewnością nie było się czym aż tak podniecać. No bo w końcu po co tyle krzyku o paru zarażonych czymś w rodzaju wściekliczyny. Nie istniała poza tym taka bakteria, której nie dałoby się ukatrupić zastrzykiem z siedmiu gramów ołowiu.

– W radiu mówili, że trzeba im strzelać w głowę – odezwał się drżącym głosem jeden z mieszkańców osiedla.

– Zapamiętam pana radę – odparł Grapes i oddalił się lekkim krokiem. Po chwili on i jego ludzie byli już po drugiej stronie kładki.

Na drugim brzegu kanału wyraźnie coś było nie tak. W Bluefont, typowym amerykańskim osiedlu podmiejskim, stały należące do bogatych białych domy z wzorowo utrzymanymi ogródkami. Do tej oazy spokoju sprowadzali się ci, którzy mogli sobie na to pozwolić. Rzecz w tym, że na ulicach nie było żywej duszy. Grapes i jego ludzie szli już dłuższą chwilę, ale nie napotkali ani jednej osoby. Na chodniku leżała przewrócona na bok kosiarka, która w dalszym ciągu pracowała. Kosz na ściętą trawę odczepił się, a skoszone niedawno źdźbła

fruwają naokoło niesione lekkimi podmuchami wiatru.

Nieco dalej na samym środku jezdni stało porzucone nieduże subaru. Wszystkie drzwi były otwarte, a silnik wciąż pracował. Grapes podszedł do samochodu, wsunął rękę do środka i przekręcając kluczyk, zgasił motor. Na ulicy zaległa teraz przerażająca cisza. Jedynie z kierunku północnego dochodziły jakieś niewyraźne jęki. Ich źródło nie mogło być daleko.

– Trent, weź Bondera, Kima i jeszcze trzech. Kryjcie te budynki. Reszta, podzielić się na trzyosobowe drużyny i sprawdzać dom po domu. Chcę mieć pewność, że w środku nikogo nie ma. Jeśli któryś ukradnie choćby długopis, osobiście urwę mu jaja. Zrozumiano?

Aryjczycy potwierdzili, po czym sprawnie podzielili się na zespoły. Grapes szedł przed siebie chodnikiem, a wszystkie jego zmysły postawione były w stan najwyższej gotowości. Podążało za nim trzech towarzyszy: Seth Fretzen, niski i milkliwy Crupps i grubas z brodą, którego wszyscy nie wiedzieć czemu nazywali Dupeczką.

Kiedy mijali jeden z domów, Grapes zatrzymał się nagle. Przed półotwartymi drzwiami wejściowymi widać było plamę świeżej krwi. Ktoś, kto krwawił, musiał też oprzeć się o framugę – pozostał na niej wyraźny czerwony odcisk dłoni. Z plamy ściekała po białym drewnie samotna kropla krwi.

Wewnątrz domu na ziemię spadł jakiś przedmiot i – sądząc po odgłosie – rozpadł się na kawałeczki. Grapes spojrzął na towarzyszy i polecił im gestem, żeby trzymali się blisko niego. Weszli na taras, starając się stąpać bezgłośnie, co jednak okazało się trudne, ponieważ deski dość głośno skrzypiały.

Doszli pod drzwi wejściowe, Grapes popchnął je lufą swojego M16. Wewnątrz było chłodno i ciemno. Mieli przed sobą obszerny przedpokój wychodzący na salon. Po prawej stronie zaczynały się schody na pierwsze piętro. Na kilku stopniach były kolejne plamy krwi. Ktokolwiek tamtędy szedł, ciągnął ręką po ścianie, zrzucając na podłogę wszystkie obrazy. Potrzaskane kawałki ram leżały teraz na całej długości schodów.

Grapes pokazał Sethowi i Cruppsowi, żeby szli na górę. On sam i podążający za nim krok w krok Dupeczka ruszyli w stronę salonu.

Był to pokój, który swoim wyglądem oznajmiał całemu światu: „Spójrzcie, jaki mój właściciel jest zajebiście bogaty!”. Stały w nim meble z najwyższej półki, a sofę projektowano chyba z myślą o dwanaściorgu siedzących. Na ścianie wisiał ogromny telewizor. Dywany były tak grube i gęste, że gdyby komuś spadła moneta, nie miałaby najmniejszej szansy jej odnaleźć.

Dupeczka pociągnął Grapesa za rękaw i wskazał na podłogę. W kącie, obok potężnej komody, leżały na podłodze kawałki zbitego wazonu. To na pewno było źródło hałasu, który usłyszeli jeszcze za drzwiami.

Nagle z kuchni dobiegł szorstki dźwięk. Starając się nie nadepnąć na

rozrzucone po parkiecie skorupy, Grapes ruszył w stronę, z której usłyszał hałas, i po kilku krokach stanął jak wryty.

Miał przed sobą dziewczynę w wieku jakichś dwudziestu lat o pięknym, wysportowanym ciele. Była prawie naga – miała na sobie jedynie wąskie stringi. Tak po prostu stała na środku pomieszczenia, kołysząc lekko biodrami, z kompletnie nieobecnym spojrzeniem.

Pierwszą myślą Grapesa, gdy w końcu oderwał wzrok od udoskonalonych przez chirurga piersi dziewczyny, było: O kurwa, ale naćpana. Proste blond włosy opadały jej na twarz. Wyglądało na to, że dziewczyna w ogóle nie zauważyła, że do kuchni ktoś wszedł.

Coś tu nie gra. Mózg Grapesa wysyłał jeden sygnał alarmowy za drugim, ale Malachiasz nadal nie potrafił ustalić, co w tej całej scenie jest nie tak. Zza jego pleców wyłonił się Dupeczka i na widok rozebranej dziewczyny wytrzeszczył oczy.

– O kurde! Cześć, mała! – zawołał i ruszył w jej stronę. – Widziałeś, Grapes? Ale ma...

Wszystko wydarzyło się teraz w ułamkach sekundy. Dupeczka wyciągnął dłoń w stronę piersi dziewczyny (żyłki, ma na nich jakieś napęczniałe żyłki) z lubieżnym błyskiem w oku. Blondynka uniosła głowę (oczy, kurwa, ona ma oczy trupa) i nim Dupeczka zdążył jakkolwiek zareagować, zatopiła zęby w jego szyi.

Zaatakowany znieczeka opryszek wrzasnął z bólu na całe gardło, z całej siły odpychając dziewczynę. Następnie wymierzył jej potężny cios kolbą karabinu. Grapes ze zdumieniem obserwował, jak blondynka, zamiast paść ogłuszona na podłogę, nie tylko utrzymała się na nogach, ale ponownie rzuciła się do ataku, tak jakby została ledwie muśnięta.

Sytuacja Dupeczki wyglądała nieciekawie. Chciał ponownie zamachnąć się karabinem, ale dziewczyna uszkodziła mu tętnicę szyjną. Jego mózg już umierał z powodu braku dopływu krwi, choć Dupeczka jeszcze o tym nie wiedział. Czując zawrót głowy, wymierzył cios słaby i niecelny. Po sekundzie został zaatakowany ponownie. Dziewczyna runęła na niego i oboje potoczyli się po podłodze, zrzucając przy okazji na ziemię mnóstwo szklanek i talerzy. Naczynia z trzaskiem rozbiły się o terakotę. W końcu Dupeczce udało się odepchnąć napastniczkę na tyle mocno, że znalazła się kilka metrów od niego. Błyskawicznie sięgnął po karabin i wypalił.

Strzał padł z tak małej odległości, że naboje, uderzywszy w ciało dziewczyny, zrobiły w jej brzuchu potężną wyrwę. Siła wystrzału rzuciła ją na ścianę. Uderzyła z dużą siłą o mur i zaczęła powoli się osuwać, a przez dziurę w brzuchu wypływały jej jelita.

– Grapes... – wycharczał leżący na podłodze Dupeczka. – Grapes... Ja

potrzebuję pomocy – mówił, krztusząc się i przyciskając dłoń do szyi.

Malachiasz popatrzył na niego – wiedział, że nie ma żadnych szans na przeżycie. Krew raz po raz tryskała z jego szyi, podczas gdy serce wciąż na próżno biło, starając się zasilić umierający mózg. Płomyk życia z każdą kolejną sekundą dogasał w oczach Dupeczki. Grapes jednak, nawet gdyby chciał, nie miał czasu pochylić się nad kolegą.

Nie miał czasu z tego prostego powodu, że dziewczyna *znowu się podniosła*. Wydając z siebie nieartykułowane jęki, ruszyła ciężko w stronę Grapesa, deptając po drodze własne jelita, które przez potężną wyrwę w jamie brzusznej wypadły wcześniej na podłogę.

Grapes błyskawicznie sięgnął po broń i strzelił jej w głowę. Czoło dziewczyny pękło jak skóra przegniłej pomarańczy. Na ścianie za jej plecami pojawiło się osobliwe, upiorne „graffiti” wymalowane krwią i odłamkami kości. Padła na ziemię zabita.

– Podnieś się teraz, dziwko! – Grapes ostrożnie zbliżył się do leżącego plecami do góry ciała i kopnął dziewczynę w pośladek. Ostatni wystrzał oderwał jej górną część czaszki. Była nieżywa, „zabita na śmierć”, jak to mawiają niektórzy. Wtem Grapes usłyszał jakiś odgłos za swoimi plecami.

Odwrócił się i zobaczył, jak Dupeczka wstaje z podłogi. Grubas robił to z pewnym trudem, jak pijany, który wywalił się na chodnik. Na jego widok Grapes omal nie padł z wrażenia. Szyja jego towarzysza była poszarpana, a pomarańczowy więzienny kombinezon przesiąkł krwią. Najgorsze było jednak to, że skóra Dupeczki w zawrotnym tempie pokrywała się tysiącami nabrzmiałych żyłek.

– Siemasz, Dupeczka ... – odezwał się Grapes, słysząc we własnym głosie nieznane dotąd drżenie. – Wyglądasz naprawdę kiepsko, stary. Musisz pójść do lekarza, żeby opatrzyli ci tę...

Dupeczka nic nie odpowiedział. Uniósł głowę i spojrzał wprost na Grapesa. Miał takie same martwe oczy jak chwilę wcześniej dziewczyna. Bulgocząc głucho, rzucił się na Malachiasza, jednak potknął się o nogę leżącej na ziemi blondynki. Upadł na podłogę, tłukąc te resztki zastawy, które nadal były w jednym kawałku.

Stał się taki jak ona. Kurwa, oni są jak jakieś wampiry! Mózg Grapesa pracował na pełnych obrotach, gdy Malachiasz po raz kolejny unosił broń do strzału. Z odległości metra nie dało się spudłować. Malachiasz bez problemu wpakował w ciało agresora trzy naboje, trafiając w pierś i w serce. O dziwo jednak ranny aryjczyk (czy raczej to, co z niego zostało) zaczął po raz kolejny podnosić się na nogi.

– Ja pierdołę! To cię musi zabić! – wrzasnął Grapes, czując strach po raz pierwszy od dnia, gdy w wieku szesnastu lat trafił do poprawczaka. W panice

przestawił teraz karabin na tryb automatyczny. Z odległości nie więcej niż dwudziestu centymetrów posłał serię prosto w twarz Dupeczki.

To, co sekundę wcześniej było facjatą tęgiego aryjczyka, zamieniło się w bezkształtną masę czerwonej galarety. Ciało Dupeczki runęło ciężko na zwłoki dziewczyny i ostatecznie przestało się poruszać.

W całym pomieszczeniu czuć było krew i proch. Grapes oparł się o blat, trzęsąc się z wrażenia. To niemożliwe. Niemożliwe, powtarzał raz po raz. W tym momencie usłyszał strzały na piętrze i odgłos wybuchu kilka ulic dalej.

Do Malachiasza Grapesa zaczęło docierać, że „skopanie dupy jednym takim” może okazać się zadaniem znacznie trudniejszym, niż to sobie wyobrażał.

Sześć godzin później trzydziestu trzech wycieńczonych, psychicznie wyczerpanych i poplamionych krwią aryjczyków zebrało się przy południowej kładce. Udało im się oczyścić Bluefont z zarażonych, ale było to doświadczenie traumatyczne. Czekał na nich szeroko uśmiechnięty wielebny Greene, na którego mieszkańcy osiedla patrzyli teraz nieomal jak na złotego cielca. Jego chłopcy ocalili przecież Bluefont. Ocalili Gulfport. Wielebny musiał być kimś szczególnym, kimś namaszczonym przez Boga.

Idąc w stronę wielebnego, umazany krwią i potwornie zmęczony Grapes zastanawiał się, czy to na pewno miejsce dla niego i dla jego ludzi. Momentalnie uświadomił sobie jednak, że poza murami jest znacznie gorzej. Chwilę później zaś po raz kolejny padło na niego spojrzenie Greene'a (to spojrzenie, ta niesamowita mroczna moc), pozbawiając go niemal równowagi i powodując, że musiał głęboko zaczerpnąć powietrza.

W tej dokładnie chwili Malachiasz Grapes zrozumiał, że znalazł swoje miejsce na świecie. I wyglądało na to, że będzie się w tym miejscu zajebiście dobrze bawić.

– Wielebny, już przyjechali. – Susan Compton, osobista sekretarka Greene’a, weszła do jego gabinetu, człapiąc na swoich krótkich nóżkach. Miała około pięćdziesięciu lat. Była pucułowata, krótkowzroczna i brzydka jak nieboskie stworzenie, ale trudno byłoby o skuteczniejszą szefową biura ratusza. Compton sprawiała, że wszystko chodziło tu jak w zegarku.

– Niech wejdą, Susan – odpowiedział Greene, przechadzając się wokół biurka. Następnie usiadł w potężnym dyrektorskim fotelu, który swego czasu należał do Stana Morgana (świeć Panie nad jego duszą). Poprzedni burmistrz Gulfport wykazał się ogromnym wyczuciem i w tydzień po oficjalnym namaszczeniu wielebnego na swego zastępcę zmarł na najzwyczajszy w świecie zawał serca. Miasto zostało podane Greene’owi na srebrnej tacy. Kolano wielebnego w dalszym ciągu bolało: ból był do wytrzymania, ale pomału się nasilał.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu weszło pięć osób. Na czele grupy kroczył Malachiasz Grapes, prawa ręka wielebnego, a tuż za nim Strangård – ten uprzejmy marynarz ze Szwecji, któremu udało się dotrzeć do Gulfport po bardzo ryzykownej podróży z Wirginii, gdzie zastał go wybuch pandemii. Najbardziej ciekawiły jednak Greene’a trzy osoby, które weszły za nimi.

Pierwszą był szczupły, wysoki facet o czarnych poczochranych włosach i nieufnym wyrazie twarzy. Tuż za nim szedł blondyn z sumiastymi wąsami i oczami o niezwykłej niebieskiej barwie. Najatrakcyjniejsza z trojga gości była z pewnością zamykająca szyk dziewczyna, wysoka, młoda i wyjątkowo ładna, na której rękach drzemał wielki rudy kot.

Co najważniejsze, wszyscy troje byli biali.

– Witajcie, dzieci moje! Witajcie w Gulfport, Nowej Jerozolimie, domu sprawiedliwych i Bogiem chronionej twierdzy, która rychło stanie się miejscem powtórnego przyjścia naszego Pana! – Wielebny zbliżył się i wyciągnął rękę w stronę gości. Przybysze robili wrażenie nieco pogubionych, ale zachowywali się spokojnie.

– To była bardzo długa podróż – odparł wysoki brunet.

– Z wielką chęcią wysłucham od was samych całej historii, ale najpierw chciałbym, żeby oficer Strangård powiedział mi, w jakiż to sposób Pan skierował was na drogę zbawienia. – Tu wielebny skinął na Szweda, by ten się doń zbliżył. Jednocześnie dyskretnym gestem drugiej dłoni nakazał Grapesowi,

by opuścił pomieszczenie. Niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica, rzecze Pan.

Strangärd zaczął opowiadać, jak to w samym środku huraganu załoga dostrzegła blisko „Itaki” wystrzeliwane przez kogoś czerwone flary. Następnie streścił, jak przebiegała sama akcja ratunkowa. Mówił sucho, w sposób uporządkowany i bardzo rzeczowy. Skończywszy relacjonowanie wydarzeń, rozluźnił się nieco i czekał, aż Greene zada jakieś pytanie.

Wielebnemu jednak relacja Szweda w zupełności wystarczała. Był przy tym pewien, że raport, który zda mu później Birley, będzie w stu procentach zbieżny z tym, co powiedział Strangärd. Zawsze jednak lepiej dmuchać na zimne. Miej oczy dookoła głowy i uszy też – to akurat nie pochodziło z Biblii, należało do repertuaru porzekadeł ojca wielebnego. Była to jedna z nielicznych sensownych rzeczy, które ten zaburzony umysłowo alkoholik przekazał synowi.

– Znakomicie, mój drogi, to mi wystarczy. – Greene wziął oficera pod rękę i odprowadził go w stronę drzwi. – Nie chcę zabierać ci więcej czasu. Jestem pewien, że kapitan Birley będzie niezmiernie rad, jeśli pomożesz mu przy rozładunku „Itaki”.

Szwed zaprotestował, ale wielebny był nieugięty. Zostawszy w gabinecie sam z trojgiem rozbitków, zaproponował im, żeby usiedli.

– W porządku, teraz z radością was wysłucham. Zaczynajcie – powiedział, rozpierając się w swoim ogromnym fotelu.

Wysoki mężczyzna o czarnych włosach, który – jak twierdził – był przed apokalipsą adwokatem, mówił najwięcej. Niski blondyn od czasu do czasu uzupełniał kilkoma zdaniem jego relację. Dziewczyna nie mówiła praktycznie nic, ograniczając się do potakiwania. Przez cały czas gładziła przy tym po grzbiecie kota i ogólnie robiła wrażenie nieco nieobecnej.

– ...i w ten sposób dostaliśmy się na Teneryfę – relacjonował adwokat. – Czekaliśmy tam spore zaskoczenie, bo okazało się, że wyspa jest pełna uchodźców z całej Europy i...

– Pełna uchodźców? – Greene aż podskoczył, usłyszawszy ostatnie zdanie. – Czyli na wyspie nie było Nieumarłych?

– Nie, wyspa była terenem bezpiecznym, tak jak Gulfport. Jednak tam warunki życia były znacznie gorsze. Ten wielki tłum uchodźców potrzebował ogromnych ilości jedzenia i innych produktów. W efekcie powstawały spore niedobory. Ale i tak dało się tam mniej więcej godnie żyć.

– I nikt tam nie wprowadzał hitlerowskich norm czystości rasowej – rzuciła nagle sucho dziewczyna z irytacją w oczach.

Adwokat posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, ale Greene nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej słowa. Jego umysł w pełni zaprzętało teraz to, co usłyszał na temat Teneryfy. Wyspa pełna uchodźców! A więc istniało miejsce

inne niż Gulfport, które oparło się apokalipsie! Wielebny poczuł na plecach zimny dreszcz. Jeżeli były inne miejsca, w których udało się ludziom przetrwać, to mogło oznaczać, że Gulfport nie jest Nową Jerozolimą. Jego mieszkańcy nie byłiby zaś jedynymi owieczkami ocalonymi przez Pana od rzezi.

A więc... Skoro nie byli jedyni... Nie, to niemożliwe. Greene był przecież Prorokiem, wybawicielem sprawiedliwych! Wierzyło w to całe Gulfport, a wielebny umacniał mieszkańców miasta w tej wierze codziennymi kazaniami. Dzięki niej nikt nie kwestionował jego mandatu do rządu. Gdyby ktoś z mieszkańców dowiedział się, że istnieją inne kolonie ocalonych, ludzie mogliby uznać, że Greene nie był wcale bożym pomazańcem. Mogliby zwątpić, że to jemu osobiście zawdzięczają boską interwencję, która uratowała im życie. To zaś z pewnością doprowadziłoby do tego, że na jakimś etapie ktoś spróbowałby pozbawić go przywództwa. Ktoś z pewnością podałby też w wątpliwość to, że wszystkie słowa i pomysły wielebnego pochodzą wprost od Boga.

Nie, to niemożliwe. To nie mogła być prawda.

Adwokat skończył swoją opowieść. Greene przez chwilę przyglądał się swoim gościom w milczeniu, by w końcu nachylić się ku nim z szerokim uśmiechem.

– Bracia moi! Jesteście niczym syn marnotrawny. Szliście długo przez cienistą dolinę, ale oto w końcu dotarliście do krainy mlekiem i miodem płynącej, gdzie jeleni i lew chronią się przed upałem w cieniu tego samego drzewa. Odtąd Chrześcijańska Republika Gulfport będzie wam domem.

– Jesteśmy za to wielebnemu niezmiernie wdzięczni – powiedział adwokat z wyrazem ulgi na twarzy. – Ze swej strony jesteśmy, rzecz jasna, gotowi dopomóc, w czym tylko zdołamy. Jeśli jest coś, co moglibyśmy zrobić...

– Otóż jest taka rzecz, mój synu – podchwycił Greene. – Chcę prosić was o dużą przysługę.

– Na czym miałyby polegać?

– Proszę was, byście nikomu nie opowiadali swojej historii. I kiedy mówię „nikomu”, to mam na myśli nikomu. Czy ktoś słyszał już waszą relację?

– Tak, kapitan Birley – odparł adwokat – ale tylko on. Nikt inny z oficerów nie zadawał nam pytań, a sami z siebie nic im nie mówiliśmy.

Dobra robota, Birley, pomyślał wielebny Greene, umiesz pilnować swoich spraw. Umiesz też utrzymać w ryzach załogę. Teraz już rozumiem, czemu ten cholerny Szwed chciał tu za wszelką cenę zostać.

– Dobrze. – Greene cmoknął i pomyślał nad jakąś zgrabną wymówką. – I niech tak zostanie. Zależy mi na tym, żebyście dotrzymali tajemnicy z bardzo prostego powodu. Jeśli dobrzy mieszkańcy Gulfport dowiedzą się, że na Teneryfie jest tylu potrzebujących, będą nalegać na zorganizowanie wyprawy i przesiedlenie ich wszystkich tutaj. Za wszelką cenę będą chcieli wyzwolić tych

ludzi z mroków grzechu.

– Rozumiem. – W oczach adwokata pojawił się niepokój.

Greene był zaprawiony w kłamstwach i półprawdach, więc oczywiście nie usłyszy jego uwagi ani wyraz wahania w oczach prawnika, ani nerwowe spojrzenia, które wymienili między sobą przybysze. Nie chcą nic wiedzieć o Teneryfie, czy jak tam się to cholerne miejsce nazywa, mówił do siebie w myślach. Przecież uciekali stamtąd, kiedy trafili na „Itakę”. Boją się.

– Szlachetni mieszkańcy Gulfport podjęliby się ekspedycji ratunkowej nawet z narażeniem życia, są wszak naśladowcami Jezusa Chrystusa. – Tu wielebny rozłożył szeroko ręce, jakby obejmował tym gestem rzeszę ludzi. – To jednak moje stadko, nad którym mam obowiązek czuwać. Nie mogę dopuścić, by rzucili się przez ocean ze straceńczą misją, aby sprowadzić tu następnie setki tysięcy przybyszów. Dlatego proszę was o dochowanie tajemnicy. Rozumiecie mnie, prawda?

– Ależ oczywiście – pospiesznie odpowiedział adwokat. – Może wielebny liczyć na naszą pełną dyskrecję.

– Przecież ludzie mają prawo wiedzieć, że jest więcej ocalałych! – z oburzeniem zaprotestowała dziewczyna. – Jeśli o tym nie usłyszą, będą żyć w tym mieście jak więźniowie. Wszyscy mieszkańcy, również heloci, powinni móc wybrać, czy wolą żyć tu, czy gdzie indziej. Nie wolno ich tu trzymać jak bandytów w więzieniu!

– Lucía, to nie jest pora na takie rozmowy – przerwał jej ostro adwokat. – W zamian za gościnę wielebny prosi nas tylko o małą przysługę. Powinniśmy mu ją wyświadczyć.

Dziewczyna otworzyła usta i już miała coś powiedzieć, ale widząc surowy wyraz twarzy mężczyzny, postanowiła milczeć. Zamiast mówić, zajęła się głaskaniem kota. Robiła to jednak tak mocno, że zwierzę miauknęło z niezadowoleniem. W powietrzu wisiało wyraźne napięcie.

– Najdroższa córko – zaczął Greene nabożnym tonem – pozwól, że opowiem ci pewną historię. W zamierzchłych czasach istniało w starożytnej Grecji miasto zwane Spartą. Zamieszkiwali je naturalnie bałwochwalcy czczący fałszywych bożków, którzy dalecy byli od chwały Pana, jednak oddać im trzeba, że pod wieloma względami byli społeczeństwem godnym podziwu. Spartanie żyli otoczeni przez nieprzyjaciół, którzy za wszelką cenę chcieli ich podbić i uśmiercić. Byli więc w takim położeniu jak my obecnie. Dlatego też, by przeżyć, wyłonili kastę helotów. Ci zajmowali się uprawą pól, hodowlą bydła i dostarczaniem wszelkich niezbędnych produktów. Dzięki temu Spartanie mogli skupić się wyłącznie na obronie miasta. My tutaj postępujemy w ten sam sposób.

– A kto decyduje o tym, kto jest helotą, a kto nie? – spytała Lucía ledwie

słyszalnym głosem.

– Pan Bóg, rzecz jasna – odparł wielebny z autentycznym zdziwieniem w głosie. – Adam i Ewa byli biali, podobnie jak apostołowie, Mojżesz i wszyscy prorocy, o których mówi Pismo Święte. Tak zdecydował Pan. Pozostałe rasy to albo bękarcie mieszanki, jak ci brudni Meksykanie, albo wprost owoce grzechu, jak czarni. Dlatego naznaczeni są przez kolor skóry. Pozwalając im żyć pod naszą błogosławioną opieką, wyświadczamy im przysługę, albowiem pracując dla nas, mogą odkupić swoje winy.

Lucia z najwyższym trudem opanowała się, by nie wyrzucić z siebie ostrej riposty, która cisnęła jej się na usta. Ukrainiec niespokojnie poruszył się na krześle. Tylko adwokat zachował nieprzenikniony wyraz twarzy, nie pokazując po sobie żadnych emocji.

– Wielebny – zaczął po chwili, starając się panować nad tonem – tam, skąd pochodzimy, poglądy tego rodzaju są bardzo źle widziane. Liczę, że zrozumie wielebny...

– Nie! – ostro przerwał mu Greene, mocno uderzając dłonią w blat biurka. – Tak jest i będzie! I nie ma o czym dyskutować! Z powodu pobłażliwości, nadmiaru tolerancji i hedonizmu Bóg musiał ukarać rodzaj ludzki! Całe lata ostrzegałem, że tak się stanie, ale nikt mnie nie słuchał! Nikt! Zaczęli brać mnie poważnie, gdy było już za późno. A to ja miałem rację! Ja jestem bożym prorokiem! – Greene zerwał się z fotela i krzyczał z furią w oczach, mocno gestykulując. Mówił tak prędko i zawzięcie, że z ust leciały mu kropelki śliny. – Wszystko przez to, że tolerowano pedałów, komunistów, czarnych, Indian i Meksykańców! Przez to, że pozwolono, by czarnuch został prezydentem tego kraju! Bóg musiał spuścić na ziemię swój gniew! I dopóki nie powrócimy na ścieżkę prawości, nie dojdzie do powtórnego przyjścia Pana! Jeżeli nie przyjmujecie tej prawdy, nie ma dla was miejsca w Gulfport!

Greene opadł na fotel, ciężko dysząc. Chwycił dzbanek z wodą i drżącą ze zdenerwowania dłonią napełnił szklanekę. Pijąc, wylał kilka kropel na koszulę.

– Więc? – spytał w końcu. – Jaka jest wasza odpowiedź? Po której jesteście stronie?

– Będziemy... – zaczął Ukrainiec.

– Będziemy szczęśliwi, mogąc gościć w Gulfport i stosując się do wszystkich obowiązujących tu zasad – pospiesznie wszedł mu w słowo adwokat. – Zapewniam wielebno, że będziemy dobrymi obywatelami miasta.

– Tylko że... – Lucia chciała coś wtrącić, ale natychmiast zamilkła. Adwokat patrzył na nią stanowczo, a jego spojrzenie mówiło wyraźnie: „ucisz się wreszcie”.

– To pańska żona? – spytał wielebny.

– Jesteśmy razem, tak, ale nie wiem, co to...

– Będzie lepiej, przyjacielu, jeśli postara się pan trzymać ją w ryzach. „Nie pozwalałam zaś kobiecie nauczać ani wynosić się nad męża, natomiast powinna zachowywać się spokojnie”[8], Pierwszy List do Tymoteusza, rozdział drugi, werset dwunasty – wyrecytował z pamięci Greene, gładząc okładkę Biblii. – Sam Bóg wskazuje nam miejsce kobiety. Może ona być matką i żoną, lecz nie jest zdolna do wyrażania opinii i podejmowania decyzji. Najoczywiściej jej mózg nie jest stworzony do rozumowania.

– Niech wielebny się nie martwi, nauczy się kontrolować swój język. – Adwokat spojrział wymownie na Lucię. Upokorzona dziewczyna była czerwona ze złości. Znow zaczęła gładzić grzbiet kota zbyt mocno.

– Dobrze, kończmy więc nasze spotkanie. Pani Compton wskaże wam dom, w którym zamieszkacie. W Gulfport jest mnóstwo wolnego miejsca. Myślę, że kiedy zobaczycie, jakie lokum dla was mamy, będziecie...

Wielebny przerwał, bo nagle drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem. Czego tam znowu? To spotkanie okazało się dla niego znacznie trudniejsze, niż Greene się spodziewał.

W progu stał wyraźnie zdenerwowany Grapes. Przeszł powoli niespokojnie z nogi na nogę, jak ktoś, komu bardzo spieszy się do toalety.

– O co chodzi, Malachiaszu? – Greene nie starał się nawet ukryć rozdrażnienia. Wszyscy wiedzieli przecież doskonale, że póki sytuacja nie ma znamion boskiej interwencji, wielebnemu nie wolno pod żadnym pozorem przeszkadzać.

– Chodzi o helotów z „Itaki”, wielebny. Jest problem. Grupa Meksykańców odmawia przyjęcia ustalonej zapłaty. Domagają się czegoś, ale nie mam pojęcia czego, bo gadają tylko w tym zaszranym języku pastuchów. Pieprzony hiszpański... – Tu Grapes zakrył usta dłonią. – Proszę mi darować mój język.

– Jak oni śmia! – Greene podniósł się z fotela i wycelował w Malachiasza palec wskazujący. – Daj im nauczkę! Wybij połowę tej zgrai niewdzięczników! Niech wiedzą, gdzie ich miejsce!

– Nie! – krzyknęła nagle Lucía. Adwokata i Ukrainca zaskoczyła pasja w jej głosie. – Niech wielebny ich nie zabija! Błagam!

– Ucisz się, dziewczynko! – uciał bez ceregieli Greene. – Malachiaszu, wiesz, co masz robić.

– Wedle rozkazu, wielebny.

Aryczyk odwrócił się i już miał opuścić gabinet, gdy adwokat podniósł się z krzesła. A ty czego znow chcesz?, pomyślał Greene z irytacją.

– Proszę, niech wielebny wstrzyma się chwilę – zaczął przybysz. – Tak się składa, że mówię biegle po hiszpańsku. Właściwie jest to mój język ojczysty. Jeśli pozwoli mi wielebny pomówić z tymi ludźmi, dowiem się, czego chcą, i być może uda się uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

Greene usiadł i przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedział adwokat. Miał do dyspozycji setki helotów, więc zabitych byłoby kim zastąpić, jednak sytuacja w obrębie kasty służebnej już teraz robiła się mocno napięta. Urządzenie pokazowej jatki z pewnością nie przyczyniłoby się do uspokojenia nastrojów, a Greene nie mógł sobie pozwolić na konfrontację z otwartym buntem helotów. Przynajmniej na razie.

– Zgoda – rzucił w końcu, sięgając po kapelusz. – Proszę za mną. Pańscy żona i przyjaciel mogą udać się już do nowego domu. Pani Compton ich zaprowadzi.

Powiedziawszy to i ani słowa więcej, wielebny wyszedł z gabinetu. Adwokat pośpiesznie zamienił jeszcze kilka słów ze swoimi towarzyszami. Rozmawiali nerwowo, wściekle gestykulując. Greene był jednak zbyt zdenerwowany, by zwracać teraz uwagę na takie drobiazgi. Niech sobie facet załatwia swoje sprawy w domu. Mam teraz własne problemy na głowie.

Grapes czekał na nich za kierownicą hummera zaparkowanego tuż przed wejściem do ratusza. Silnik auta był już uruchomiony. Greene usiadł na tylnej kanapie, adwokat zajął miejsce z przodu. Przez kilka minut jechali na północ w zupełnym milczeniu, każdy pogrążony był we własnych myślach. Wreszcie Grapes zatrzymał hummera przy kładce łączącej dwa brzegi szerokiego kanału. Po obydwu jego stronach ciągnął się wysoki płot zwieńczony zwojami drutu kolczastego. Przy samej kładce stała zardzewiała, podziurawiona kulami tablica z napisem „Witamy w Bluefont” oraz stalowa wieżyczka z potężnym reflektorem nastawnym na szczycie. Konstrukcja do bólu przypominała wieże strażnicze w obozach koncentracyjnych. Na wieńczącej ją platformie stało dwóch aryjczyków obsługujących gniazda karabinów maszynowych wycelowanych w ciężką okratowaną bramę po drugiej stronie mostu. Za bramą widać było grupę około pięćdziesięciu helotów, którzy krzyczeli i ostro gestykulowali, od czasu do czasu rzucając w stronę bramy butelki lub kamienie. Żaden z nich nie był uzbrojony – przebywając w mieście, heloci mieli mocno ograniczony dostęp do broni palnej.

– No dobrze, mój synu – powiedział Greene, wysiadając z samochodu. – Masz szansę się teraz wykazać. Pokaż, co umiesz.

Adwokat wysiadł z hummera i ruszył w stronę bramy po drugiej stronie kładki. Aryjczyk pilnujący przejścia otworzył przed nim niewielką furtkę i pośpiesznie zamknął ją z powrotem, gdy tylko mężczyzna znalazł się po drugiej stronie.

Zgromadzeni po drugiej stronie bramy heloci zamilkli, widząc zmierzającego w ich stronę bruneta. Adwokat zbliżał się do nich, oddychając głęboko i starając się wyglądać na pewniejszego siebie, niż był w istocie.

– Witajcie – pozdrowił zebranych po hiszpańsku. – Przychodzę do was w imieniu wielebnego Greene’a. Możecie mi powiedzieć, co się dzieje?

Wysoki brunet w mundurze wojskowym z nazwiskiem „Dobrzansky” na kieszonce na piersi wysunął się na czoło grupy.

– Jestem Carlos Mendoza – przedstawił się. – Kim jesteś ty i czego chcesz?

– Jestem osobą, która ma szansę zapobiec temu, żeby ci faceci – tu adwokat wskazał na aryjczyków przy gniazdach karabinowych – wybili was wszystkich w ciągu minuty. Ale żebym mógł to zrobić, musicie powiedzieć mi, o co tu, do cholery, chodzi. Ten cały Greene jest wystarczająco walnięty, żeby kazać im do was strzelać, i na pewno się nie zawaha. Pytam więc jeszcze raz: o co chodzi?

– Oszukali nas! – dobiegł głos z tłumu. – Obiecali nam po dziesięć litrów na głowę, a dostaliśmy po trzy!

Rozległy się okrzyki protestu, potwierdzające te słowa. Carlos Mendoza dał jednak zebranyemu znak, by się uciszyli. Gdy znów zrobiło się cicho, zwrócił się do adwokata:

– Sam słyszysz. Są nam winni po siedem litrów cladoxpanu na głowę. Tyle jeszcze należy się każdemu, kto był na „Itace”. Idź i powiedz swojemu wielebnemu, że dopóki ich nie dostaniemy, nie ruszymy się stąd.

– Cladoxpan? – powtórzył adwokat zbity z tropu. – Co to jest? Jakiś alkohol?

Wyraz twarzy Mendozy zmienił się zupełnie.

– Próbujesz się ze mną drażnić? Jak możesz nie wiedzieć, co to jest cladoxpan? Skąd ty się urwałeś? Zaraz... Czy ty czasem nie jesteś jednym z tych rozbitków, których „Itaka” uratowała na środku oceanu?

Adwokat z lekkim zaniepokojeniem przytaknął. Mendoza wybuchnął śmiechem.

– Te kutasy są takimi tchórzami, że nawet nie mają odwagi pokazać się po tej stronie płotu! Przysyłają jakiegoś biednego głupka, który nawet nie ma pojęcia, o czym gada. To jakieś jaja, stary!

– Jeśli mi powiesz, o czym gadamy, to może będę mógł ci pomóc – spokojnie odpowiedział adwokat. – Jeśli nie powiesz, nie będę miał nawet szansy.

– Cladoxpan to lek. Utrzymuje stężenie TSJ na bardzo niskim poziomie – Mendoza tłumaczył cierpliwie jak dziecku – dzięki czemu możemy nadal żyć jako ludzie. Wszyscy jesteśmy zakażeni tym pieprzonym wirusem i jeśli każdy z nas nie wypije dziennie po pół litra leku, to będziemy mieć przesrane. Teraz rozumiesz, białasku?

Adwokat wziął głęboki wdech.

– Czyli to takie doraźne lekarstwo? Ten cladoxpan nie eliminuje TSJ, ale na tyle osłabia jego działanie, że nie pojawiają się symptomy?

– Widzę, że jesteś bystry – pochwalił go Mendoza z goryczą. – Cladoxpan to dla nas coś takiego jak insulina dla chorych na cukrzycę. Dopóki go mamy, wszystko jest dobrze, ale kiedy przestaniemy go przyjmować, będzie po nas. A

ten kutas wisi nam po siedem litrów na głowę! Obiecał po dziesięć litrów każdemu, kto zaciągnie się na ten jebany tankowiec. My wywiązaliśmy się z umowy, teraz jego kolej!

– W jaki sposób się zaraziliście? – zainteresował się adwokat, mimo uszu puszczając roszczenia Mendozy.

– A jak myślisz, baranie? – odpalił Meksykanin, podwijając rękaw munduru. Na jego ręce widniała potężna blizna, której kształt wskazywał jednoznacznie, że była śladem po głębokim ugryzieniu przez człowieka. W ręce Mendozy brakowało nawet kawałka masy mięśniowej.

– Powiedz swojemu cwanemu wielebnemu, że jeśli nie da nam tego, co obiecał, to nigdzie się stąd nie ruszymy. Jasne?

Adwokat przytaknął, po czym oddalił się w stronę furtki prowadzącej na kładkę. Po drugiej stronie czekał już na niego wyraźnie zniecierpliwiony wielebny Greene. Stojący obok Malachiasz Grapes wykrzykiwał rozkazy w stronę grupy uzbrojonych po zęby aryjczyków zajmujących właśnie pozycje na wieży.

– No i? Czego oni chcą? – dopytywał się Greene.

– Twierdzą, że jest im wielebny winien po siedem litrów czegoś, co nazywają cladoxpanem. Mówią, że w zamian za udział w operacji w Lubie obiecano im ten płyn i że póki go nie otrzymają, nie ruszą się stąd.

Wielebny poczerwieniał. Widać było, że jest wściekły. Jego górna warga zaczęła drżeć w sposób niekontrolowany.

– Za kogo oni się mają?! Banda cuchnących Latynosów! Każę ich wszystkich zabić, skończę z nimi raz na zawsze! Spadnie na nich gniew Pana, ogień i krew! Co za bezczelność!

– Proszę się wstrzymać, wielebny – przerwał mu adwokat. – Nie sądzę, żeby to było dobre wyjście. Zabicie ich nie rozwiąże problemu, a Gulfport straci wielu doświadczonych żołnierzy, nie zyskując przy tym nic. Widziałem na własne oczy, jak ci ludzie walczyli w porcie w Lubie. Trzeba im oddać, że są twardzi i skuteczni. Jeśli zostaną zabici, minie sporo czasu, nim ich następcom uda się osiągnąć ten sam poziom. W okresie ich szkolenia miasto zaś będzie osłabione. Poza tym – dodał adwokat jakby pod wpływem chwilowego natchnienia – byłoby obrazą wobec Boga pozbyć się w sposób tak lekkomyślny użytecznego narzędzia, które wielebnemu powierzył.

Nie próbuj mnie pouczać, chłopczyku, zachnął się w myślach Greene. Po chwili jednak rozumowanie adwokata wydało mu się niegłupie. Nie sposób było nie przyznać, że przybysz miał sporo racji.

– Niech będzie – zgodził się władcym tonem – ale dostaną tylko po pięć litrów na osobę. I ani kropli więcej. Nie zamierzam z nimi negocjować. Albo wezmą tyle, albo zaraz rozkażę Zielonej Gwardii, żeby wybiła ich do nogi.

Uczynię jak plantator, który pozbywa się chwastów spomiędzy krzewów winnych. – Po tych słowach wielebny zniknął we wnętrzu hummera.

Zadowolony z przebiegu rozmowy adwokat ruszył ponownie na drugą stronę muru, gdzie heloci z niecierpliwością czekali na rozwój sytuacji. Znalazłszy się znów za bramą, opisał im treściwie ofertę wielebnego. Heloci dyskutowali nerwowo przez chwilę. W końcu przystali na propozycję.

– Zgoda – wystąpił w ich imieniu Mendoza. – Przekaż wielebnemu Greene’owi, że przyjmujemy te warunki. Ale to nie koniec między nami.

Adwokat przytaknął z wyraźną ulgą i odszedł. Był już w połowie drogi na drugą stronę, gdy usłyszał wołanie zza bramy.

– Bym zapomniał! – Meksykanin stał dalej w tym samym miejscu, uśmiechając się z zadowoleniem. – Przekaż Lucii pozdrowienia od Carlosa Mendozy. Powiedz jej, że ciepło ją wspominam i mam nadzieję, że będę mógł ją niedługo zobaczyć. Będzie tu zawsze mile widziana.

Po tych słowach Mendoza oddalił się, pozostawiając adwokata z nieprzyjemnym uczuciem niepokoju i solidnym mętlikiem w głowie i w sercu.

Kiedy jeden z ludzi Grapesa zgodnie z rozkazem zostawił mnie przed domem, który nam przydzielono, była już prawie noc. Padał lekki deszcz. Jego drobne krople tworzyły w blasku płam światła rzucanego przez latarnie przedziwne obrazy. Było zimno – chłód i wilgoć przenikały mnie aż do kości. Jednak znacznie bardziej dojmujące było uczucie chłodu, który przepełniał mnie od środka.

Byłem brudny, zmęczony i emocjonalnie wyczerpany, ale i tak zwlekałem z wejściem do domu. Starłem się odwlec nieuniknione. Wewnątrz czekała mnie konfrontacja, na którą nie miałem ani siły, ani ochoty. W końcu jednak wszedłem na taras i otworzyłem drzwi swojego nowego domu.

Był on typowy dla zamożnych amerykańskich przedmieść. Miał dwie kondygnacje, trawnik od frontu, wykończony drewnem taras i garaż przy jednej ze ścian bocznych. Wnętrze było obszerne, ale i przytulne, choć znajdował się w nim jeden element plasujący się gdzieś pomiędzy tandetą a dziwactwem: wisząca na ścianie oprawiona w ramę fotografia Charltona Hestona. Na zdjęciu aktor ze strzelbą uniesioną ponad głową zwracał się do tłumu członków Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego Ameryki.

– Jesteś wreszcie. – Wiktor wyjrzał z kuchni. – Martwiliśmy się o ciebie. Gdzie byłeś tyle czasu?

– Długo by opowiadać. Wiem tyle, że dziś wieczorem udało mi się sprawić, by co najmniej pięćdziesięciu ludzi nie straciło życia.

– Nieźle, przynajmniej to ci wyszło – odpowiedział smutno Ukrainiec. – Powinieneś pogadać z Lucią, jest na ciebie bardzo zła.

Westchnąłem zniechęcony. Nie uda mi się przepchnąć tej rozmowy na jutro, a jeszcze przed chwilą taki właśnie miałem zamiar.

– Pomówię z nią. – Poklepałem Wiktora po ramieniu. – O nic się nie martw, stary.

Wszedłem do salonu. Lucia siedziała na sofie, a u jej stóp kot bawił się parą skarpetek. Na jej kolanach leżała otwarta książka, ale nie przeczytała chyba nawet pierwszych kilku stron. Gdy się zbliżyłem, jej twarz spochmurniała.

– Jesteś – powiedziała chłodno.

– Tak. – Opadłem na fotel naprzeciwko sofy. – Byłem w ratuszu z Greene'em. Puścili mnie dopiero pół godziny temu. – Wyrzuć to z siebie, im

szybciej, tym lepiej. – Zaproponował mi, żebym został członkiem zarządu miasta.

– Co takiego? – Lucía spojrzała na mnie zdumiona.

– Jest mu potrzebny ktoś, kto pełniłby funkcję pośrednika pomiędzy nim a helotami mieszkającymi w Bluefont. To dzielnica po drugiej stronie rzeki. Leży w obrębie muru, ale oddzielili ją od reszty miasta drutem kolczastym. Ponad połowa tych, którzy tam mieszkają, mówi po hiszpańsku, tymczasem po tej stronie rzeki nie zna go nikt. Uznali więc, że jestem idealnym kandydatem.

– Ale oczywiście odmówiłeś?

Westchnąłem głęboko. No to teraz się zacznie.

– Przyjąłem to stanowisko. Jutro zaczynam pracę.

– Zupełnie cię pogięło? Jak mogłeś?!

– Lucía, uratowałem dziś życie masie ludzi – tłumaczyłem. Chociaż jednemu z nich mogliby, jak dla mnie, zaraz wpakować kulę w łeb. – Udało mi się to właśnie dlatego, że poszedłem na współpracę z Greene'em. Pracując na tym stanowisku, będę mógł dbać o interesy helotów i starać się, żeby żyli w lepszych warunkach.

– Dbać o nich? O jakiej poprawie warunków ty myślisz? Chcesz mi wmówić, że ten nawiedzony kaznodzieja cię wysłucha i przestaną tu być obywatelami drugiej kategorii? Spowodujesz niby, że nie będą już musieli nadstawiać głowy za innych?

– Na razie nie wiem jak – odparłem z naciskiem – ale jestem pewien, że wymyślę jakiś sposób.

Nie potrafiłem przyznać się Lucii, że za moją decyzją stał jeszcze jeden czynnik. Tego popołudnia, gdy udało mi się zapobiec masakrze w Bluefont, poczułem dawno zapomnianą euforię. Przed apokalipsą byłem cenionym prawnikiem. Potrafiłem doprowadzać do zawarcia wiszących na włosku umów i ostro negocjować warunki, a gdy się udawało, czułem się niezwyciężony. Ta świadomość, że poprzez trafną argumentację jestem w stanie załatwić dowolną niemal sprawę! Działała jak narkotyk i przez lata była głównym bodźcem moich działań.

Pewnego dnia pojawili się jednak Nieumarli i wszystko to prysło jak bańka mydlana. Od tamtego czasu włóczyłem się po świecie, raz po raz cudem unikając śmierci i przekonując się boleśnie, że cała moja wiedza i zdolności retoryczne były w nowej rzeczywistości nic niewarte.

I nagle, tego popołudnia, ten dawny czar odżył. Znów to zrobiłem – znów mi się udało! Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułem się przydatny. Dokonałem w tym zrujnowanym świecie czegoś naprawdę pożytecznego.

Wiedziałem jednak, że Lucía tego nie zrozumie, a w każdym razie na pewno

nie teraz. Była zbyt wściekła na Greene'a, na rasistowskie społeczeństwo Gulfport, a przede wszystkim na mnie. Musiałem postarać się skłonić ją do racjonalnego myślenia.

– Lucía, na szczęście lub nie znaleźliśmy się w tym mieście. I musimy się dopasować.

– Niby dlaczego?

– Dlatego że nawet jeśli Gulfport nie stanie się naszym domem na stałe, to spędzimy tu co najmniej rok. Wiem też, że gdybyśmy musieli stąd odejść, to za murami na pewno nie będzie nam lepiej.

– Być może – Lucía złapała mnie za rękę i spojrzała mi błagająco w oczy – ale jakoś byśmy sobie poradzili. Zawsze sobie radzimy. Ten facet jest umysłowo chory, oni wszyscy są. Dobrze o tym wiesz. Gulfport to nie jest miejsce dla nas. Nie jesteśmy tacy jak oni. Zabierajmy się stąd jeszcze dzisiaj. Odejźmy stąd we trójkę.

– I dokąd pójdziemy? – spytałem. – Nie możemy tak po prostu wyjść z miasta i iść przed siebie bez celu. To jest Ameryka, cholerna Ameryka. To ogromny kraj, a dookoła są miliony Nieumarłych. Nie mamy wyboru, musimy tutaj zostać.

– Jeśli mamy zostać, to zbuntujemy się przeciwko Greene'owi i tym jego chorym pomysłom!

– Jak według ciebie mielibyśmy to zrobić? A niezależnie od wszystkiego ten człowiek uratował nam życie i dał gościnę. Jesteśmy mu winni jakąś wdzięczność.

– Nic mu nie jesteśmy winni! Czy ty jesteś ślepy? Nie widzisz, jak oni traktują tych ludzi?

– A czy ty nie widziałaś, jak wygląda świat za murami?! – rzuciłem wściekle, patrząc jej prosto w twarz. – Nie napatrzyłaś się na krew, śmierć i zniszczenie? Nie masz dość czuwania każdej nocy, marznięcia i głodowania? Nie zmęczyły cię dwa lata ciągłego uciekania? Naprawdę nie widzisz, że tutaj można by dobrze i bezpiecznie żyć? Ci ludzie proponują nam gościnę, a ty plujesz im w twarz!

– Ale jaka będzie cena tej ich gościnności? Za odrobinę spokoju mamy zapłacić mieszkaniem w mini-RPA z czasów apartheidu? Mamy patrzeć, jak poniewierają tych wszystkich helotów? – Oczy Lucíi miały iskry.

– Cena będzie, jaka będzie, ale przeżyjemy! – krzyknąłem, tracąc nad sobą panowanie. – Przynajmniej będziemy mieć przed sobą jakąś przyszłość!

– Nie chcę takiej przyszłości – odparła krótko Lucía z oczami lśniącymi od łez. Widać było, że zaraz się rozpłaczę. – Po prostu nie chcę.

– Tyle że nie masz innego wyjścia. – Wstałem i rozłożyłem rękę. – Rozejrzyj

się! Nie mamy nic! Nawet te ubrania dostaliśmy od miejscowych.

– Mamy siebie – szepnęła Lucía. – Jesteśmy Wiktor, ty i ja.

– Wygląda na to, że ty masz kogoś jeszcze – palnąłem poirytowany i owładnięty zazdrością. – Niejaki Carlos Mendoza przesyła ci pozdrowienia. Widzę, że nie musiałaś nawet dopłynąć do Gulfport, żeby przygruchać sobie adoratora.

Lucía zbladła, za to jej oczy przypominały żarzące się węgle. Natychmiast pożałowałem swoich słów. Były niesprawiedliwe i nijak miały się do naszej rozmowy. Wszystko przez potworne zmęczenie i gryzące poczucie, że zeszmaciłem się, idąc na współpracę z wielebny. Ze słowami jest jednak taki kłopot, że gdy się je już wypowie, nie sposób ich żadną siłą cofnąć.

– Carlos Mendoza ma przynajmniej w sobie tyle godności, żeby otwarcie gardzić Greene'em – odpowiedziała powoli.

– Carlos Mendoza nie musi martwić się o bezpieczeństwo dziewczyny, kota i zwariowanego Ruska.

– O dziewczynę nie musisz się już martwić! – rzuciła wściekle. – Od tej pory będę radzić sobie sama.

Poderwała się, unikając mojego spojrzenia, i podniosła kota z podłogi. Następnie dała Lukullusowi soczystego buziaka, położyła mi go na kolanach i wyszła, trzaskając drzwiami i nie oglądając się za siebie.

Kot spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Jego pyszczek był mokry od łez Lucíi. Poczułem się cholernie smutny i nieszczęśliwy.

Pułkownik Hong przeciągnął się. W głowie czuł głuchy, pulsujący ból. Ił-62 z pewnością nie był najbardziej komfortowym samolotem w historii, jego wojskowa wersja zaś była jeszcze bardziej spartańska. Kadłub wyciszono niezwykle słabo, więc ryk silników był nieustannie słyszalny. Na dobrą sprawę podczas lotu nie należało ani na chwilę zdejmować słuchawek ochronnych. By się porozumieć, trzeba było wydzierać się na całe gardło, a i to nie zawsze wystarczało.

Po blisko trzynastu godzinach lotu pułkownik czuł się tak, jakby ktoś wycpał mu uszy kłębami waty. Wstał, by rozprostować nogi i trochę oprzytomnieć. Gdy się podnosił, z jego kolan zsunęła się na podłogę teczka. Hong natychmiast schylił się, by pozbierać rozrzucone dokumenty. Następnie schował je z powrotem do teczki, a tę zamknął w stalowym neseserze o dwóch zamkach. Wewnątrz neseseru znajdowała się także koperta, którą – wedle rozkazu – otworzył pułkownik tuż po zajęciu miejsca w samolocie. Były w niej szczegółowe instrukcje dotyczące przebiegu akcji, a także pigułki z cyjankiem potasu, które po wylądowaniu rozdać miał wszystkim swoim ludziom.

I jeszcze ten raport. Hongowi nie pozwolono zabrać ze sobą jego kopii, ponieważ dokument był ściśle tajny. Władza nie mogła ryzykować, że wpadnie w niepowołane ręce, zwłaszcza ręce jankeskiego nieprzyjaciela. Pułkownik doskonale zapamiętał jednak treść dokumentu i nie przestawał o niej myśleć.

„Nieumarli wymierają”, powiedział w trakcie spotkania minister obrony. Brzmiało to bardzo dziwnie, Hong myślał z początku, że się przesłyszał. Trzej siedzący przy stole generałowie jednak nawet nie drgnęli, gdy minister wypowiadał te słowa ani gdy chwilę później je powtórzył. Nie było więc mowy o pomyłce.

Pułkownikowi przyszło zatem do głowy, że wojsku udało się wynaleźć skuteczną metodę zabijania zarażonych. „Niestety – odparł wtedy minister zasmuconym tonem. – Nie ma sposobu, by zabić coś, co jest już martwe. Co się zaś tyczy wynalezienia szczepionki przeciwko TSJ, to dotychczasowe próby zakończyły się całkowitym niepowodzeniem. Ten wirus to arcydzieło inżynierii genetycznej. Jednakże największa siła TSJ jest zarazem jego słabością”. W tym momencie pułkownikowi podsunęto teczkę oznaczoną napisem „Ściśle tajne”.

Przez kolejne pół godziny Hong czytał, dowiadując się o wirusie coraz więcej. Wyglądało na to, że TSJ to laboratoryjna mutacja wirusa ebola.

Różnica polegała na uzupełnieniu tego ostatniego komponentami innych wirusów. Powstały w wyniku takiej fuzji TSJ charakteryzował się skrajnie wysoką zaraźliwością (udokumentowano przypadki, gdy do zarażenia doszło wyłącznie na skutek kontaktu ze śliną Nieumarłego). Miał tylko jeden słaby punkt: swoje zadanie wykonywał zbyt dobrze.

Autorzy raportu oszacowali, że na ziemi pozostało co najwyżej trzydzieści milionów ludzi, z których dwadzieścia trzy miliony żyły w granicach Korei Północnej. Przez niespełna trzydzieści dni TSJ pozbawił życia ponad sześć miliardów osób. Nie sposób było nie uznać tego za spektakularną skuteczność.

Trudności zaczęły się dla wirusa w momencie, gdy skończyli się ludzie – jego naturalni nosiciele. Poza ludzkim organizmem TSJ był w stanie przeżyć ledwie kilka minut, po których upływie zmieniał się w proteinową papkę. Gdy więc zasiedlił ciała praktycznie wszystkich swoich potencjalnych nosicieli, stał się więźniem organizmów Nieumarłych. Nie był teraz w stanie opuścić ich ani przenieść się na nowego nosiciela.

Organizmy Nieumarłych nie oddychały, nie krążyła w nich krew. Aktywność neuronowa i elektryczna również były w nich raczej szczątkowe. Wirus TSJ w sprytny sposób hamował działanie bakterii powodujących gnicie, sprawiając, że ciała zarażonych zachowywały się mniej więcej tak, jakby przechowywano je w lodówce. Dzięki temu mógł przez lata, a nawet dziesięciolecia czekać spokojnie, aż nadarzy się okazja, by przeskoczyć do organizmu nowego „gospodarza”.

Tu jednak natura wykonała okrutną wolę, czyniąc położenie wirusa jeszcze trudniejszym. O ile bowiem TSJ skutecznie powstrzymywał działanie bakterii, o tyle był całkowicie bezsilny wobec grzybów. W postapokaliptycznej rzeczywistości grzyby, jedna z najstarszych ewolucyjnie wielokomórkowych form życia, otrzymały prawdziwy prezent od losu. Oto nagle świat zaludniły miliony Nieumarłych – ruchomych kawałów mięsa wprost idealnych do zasiedlenia.

Raport, który otrzymał Hong, zawierał dziesiątki zdjęć Nieumarłych w różnych stadiach zasiedlenia przez grzyby. Jako że do przeszło siedemdziesięciu procent zakażeń doszło w ciągu czterech pierwszych tygodni pandemii, ogromna większość Nieumarłych powstała w tym samym czasie. We wczesnym stadium kolonie grzybów były dość trudno zauważalne – ot, jakaś złotawa lub zielona plamka w kąciку ust. Jednakże wraz z upływem kolejnych miesięcy kolonie rozrastały się. Pułkownik z obrzydzeniem przypomniał sobie zdjęcia przedstawiające Nieumarłych do tego stopnia pokrytych naroślą, że przypominali nie ludzi, ale potwory z sennego koszmaru.

Autorzy raportu oceniali, że w ciągu mniej więcej dwóch lat kolonie grzybów na organizmach większości Nieumarłych osiągną takie rozmiary, że ci zaczną po prostu przewracać się pod własnym ciężarem. Kiedy zaś już padną i nie

dadzą rady się podnieść, proces gnilny będzie postępował do chwili, aż zostanie z nich tylko trochę pożółkłych kości. W ciągu niespełna czterech lat – oceniali autorzy raportu – nie zostanie na ziemi ani jeden Nieumarły.

To wtedy będziemy mieć swoją szansę, pomyślał Hong, skończywszy lekturę. W chwili gdy zniknie problem Nieumarłych, świat stanie otworem przed Republiką Ludowo-Demokratyczną. Sześć milionów rozrzuconych po świecie ocalałych nie zdoła się oprzeć Ludowym Siłom Zbrojnym.

Trzeba było wczekać tylko cztery lata. Bez ropy jednak nie miało szans się to udać. Jakaż by to była ironia losu: przetrwać pandemię, by potem umrzeć z głodu.

Hong minął pogrążonego w głębokim śnie żołnierza, któremu słuchawki ochronne zsunęły się na szyję. Uważając, by go nie obudzić, umieścił je z powrotem we właściwej pozycji. Następnie ruszył dalej w stronę kabiny pilotów. Ludzie pułkownika bali się go, to jasne, ale jednocześnie umieli docenić fakt, że służą pod rozkazami najlepszego oficera. Wiedzieli, że Hong będzie o nich dbać. Pułkownik skorzystał z danego mu przywileju i osobiście wybrał trzystu żołnierzy wchodzących w skład oddziału. Dzięki temu w ekspedycji uczestniczyli wyłącznie najsprawniejsi i najlepiej wyszkoleni. Hong wiedział też, że każdy skoczy za nim w ogień, jeśli tylko będzie trzeba.

Dotarł w końcu do kabiny i bez ostrzeżenia wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi, znalazł się w oazie kojącej ciszy. Okazało się, że w odróżnieniu od tylnej części samolotu kokpit wyciszono doskonale. No cóż, widać było dokładnie, jakie priorytety mieli Sowieci, projektując iljuszyna w latach sześćdziesiątych.

– Pułkowniku. – Pilot odwrócił się i zasalutował. Hong usiadł w pustym fotelu nawigatora. Spośród sześciu ilów-62 wchodzących w skład ekspedycji tylko jeden miał na pokładzie nawigatora. Pozostałych pięć maszyn ograniczało się do podążania za liderem szyku w kierunku zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

To był lot w jedną stronę, drogi powrotnej nie planowano. Żaden z samolotów Ludowych Sił Powietrznych nie dysponował dostatecznym zasięgiem, by dowieźć żołnierzy na terytorium amerykańskie, a następnie wrócić do Korei. Dlatego też obecność więcej niż jednego nawigatora była zupełnie zbędna. Ponieważ tankowanie podczas lotu nie wchodziło w grę, jedynym wyjściem była podróż w jedną stronę. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że na miejscu uda się znaleźć zapasy paliwa, które pozwolą uzupełnić zbiorniki, ale było ono doprawdy znikome. Przez całe tygodnie zastanawiano się nad rozwiązaniem obejmującym tankowanie na terytorium Stanów, jednak ostatecznie je odrzucono. Informacje, jakimi dysponowała Korea Północna odnośnie do amerykańskich składów paliwowych, były fragmentaryczne i nie w pełni potwierdzone. Ponadto

większość z nich uzyskano na tygodnie lub miesiące przed początkiem pandemii, co dodatkowo zmniejszało ich przydatność. Nawet bowiem gdyby żołnierzy poinformowano, gdzie znajdują się najbliższe składy, to nie mieliby żadnej szansy rozpoznać, w jakim są one stanie i czy w ogóle da się do nich dotrzeć.

Koniec końców uznano, że szanse na uzupełnienie paliwa na miejscu są tak znikome, że nie wolno brać ich pod uwagę. Dowództwo stwierdziło, że stanowiłoby to zbyt duże ryzyko dla powodzenia misji. Opracowano więc plan alternatywny... znacznie bardziej ryzykowny.

– Kiedy będziemy na miejscu? – zapytał Hong.

– Punkt docelowy numer jeden osiągniemy za niecałą godzinę. Po kolejnych dwudziestu minutach dotrzemy do punktów dwa, trzy i cztery. Jeśli chodzi o numer pięć... Sami rozumiecie, towarzyszu pułkowniku... – Pilot nerwowo przełknął ślinę. – Paliwa mamy absolutnie na styk.

Hong skinął głową i dokonywał w głowie obliczeń. Spośród wszystkich typów samolotów na stanie armii północnokoreańskiej Ił-62 dysponował największym zasięgiem. Jednak nawet ta maszyna mogła dolecieć tylko do zachodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Plan akcji zakładał, że samoloty wylądują na którymś z lotnisk na zachodzie – takim, którego pas startowy nie będzie zajęty przez Nieumarłych, a następnie Hong i jego ludzie będą kontynuować podróż na własną rękę.

Kiedy pułkownik po raz pierwszy usłyszał, jakie zadanie przed nim postawiono, nie zdołał ukryć emocji. Oto kazano mu, by ni mniej, ni więcej, przemierzył wszerz terytorium Stanów Zjednoczonych bez żadnego wsparcia.

– Z całym szacunkiem, jest to propozycja bardzo nieracjonalna! – powiedział wtedy podniesionym głosem. – Nie wiemy nawet, w jakim stanie są drogi. Takie rozwiązanie oznacza jazdę po omacku przez tysiące kilometrów terytorium dotkniętego zarazą.

– Wiemy o tym, pułkowniku – odparł spokojnie jeden z generałów.

– Proponuję rozwiązanie bardziej praktyczne – zaczął Hong. – Wypełnijmy ładownie samolotów zbiornikami z paliwem. Po dotarciu na miejsce wykorzystalibyśmy to paliwo do napełnienia baków. W ten sposób dotrzemy do Gulfport znacznie szybciej i bez zbędnego ryzyka.

– To niemożliwe, pułkowniku – stwierdził minister. – Gdy mówiłem wam, że stan naszych rezerw paliwowych jest dramatyczny, nie zrozumieliście chyba, jak trudną mamy sytuację. Stan zapasów pokrywa zaledwie dwa procent całkowitego zapotrzebowania Ludowych Sił Powietrznych. Większość tych rezerw przekierowana została na użytek przemysłu i skupisk ludności cywilnej. Obecny ich stan jest zbliżony do zera. Może pan dostać tyle paliwa, ile potrzeba na dostanie się na zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. I ani

litra więcej.

– Przecież tu chodzi raptem o parę tysięcy litrów – nalegał Hong.

– Nic nie poradzimy – kategorycznie odpowiedział minister. – Nasz Umilowany Wódz Kim Dzong Il nakazał w swej mądrości, by pozostawiono dość paliwa dla wszystkich naszych myśliwców. Mają one latać i walczyć przez co najmniej dwa dni. Wódz nasz jest przezorny, więc zabezpiecza kraj na wypadek ataku. Potrzebna jest każda kropla paliwa, pułkownika. Nie nalegajcie, bo i tak nic to nie da.

Hong potrząsnął głową, jak gdyby nie usłyszał dobrze słów, które właśnie padły.

A z kim te myśliwce mają niby walczyć?! To najbardziej kretyńska rzecz, jaką w życiu słyszałem!, myślał zdruzgotany. Powstrzymał się jednak od jakichkolwiek uwag. Wiedział, że z bezpośrednim rozkazem Kim Dzong Ila – nawet najbardziej niedorzecznym – nie wolno pod żadnym pozorem dyskutować.

– Dotarcie drogą lądową do Gulfport zajmie nam kilka tygodni i będzie skrajnie trudne. – Hong łudził się, że jednak uda mu się przekonać przełożonych.

– Właśnie dlatego wybraliśmy do tej misji was – podkreślił z zadowoleniem minister. – Wywiążcie się w duchu Dżucze z tego zadania, osiągnijcie postawiony cel, a gwarantuję, że zostaniecie wynagrodzeni w sposób, którego nawet nie umiecie sobie wyobrazić.

W konsekwencji tej rozmowy Hong i dwustu osiemdziesięciu dziewięciu wyselekcjonowanych żołnierzy znalazło się na pokładach sześciu łów, które właśnie zbliżały się nad terytorium Stanów Zjednoczonych. Zbiorniki paliwa wszystkich maszyn w szyku były prawie puste.

– Zapaliła się czerwona kontrolka – krzyknął nagle pilot. – Od tego momentu mamy trzydzieści minut lotu.

– Jak daleko leży punkt numer jeden? – zapytał z niepokojem Hong.

– Powinniśmy zobaczyć go za... jest! – zawołał pilot z entuzjazmem. Radość jego nie trwała jednak długo.

Punktem numer jeden było małe lotnisko na obrzeżach trzydziestotysięcznego miasta, dysponujące tylko jednym pasem startowym. Pośrodku tego pasa leżał zaś zwęglony wrak potężnego samolotu cywilnego. Nie było możliwości, by wylądować. Koreańskie iljuszyny zatoczyły w powietrzu łuk i odleciały w stronę drugiego lotniska na liście.

W punktach dwa, trzy i cztery również jednak nie mogło być mowy o podejściu do lądowania. Jeśli pasy startowe nie były przegrodzone wrakami samolotów, to snuły się po nich dziesiątki Nieumarłych.

– Lądujemy między nimi – nakazał Hong.

– Niewykonalne, towarzyszu pułkowniku – zaprotestował pilot. – Jeżeli tak zrobię, siła ssąca turbin wciągnie któregoś z nich do silnika. Silnik wybuchnie, samolot się przewróci i skończymy jako wielka kula ognia.

A więc jeśli wylądują, to dopiero w punkcie numer pięć...

Hong poczuł, jak niepokój i strach przed porażką niczym macki jakiegoś monstrum zaciskają mu się na gardle.

Aerodrom w Titusville w stanie Kalifornia nigdy nie był obiektem imponującym ani szeroko wykorzystywanym. Owszem, znajdował się tu jeden z najdłuższych pasów startowych w całym stanie, ale niewielu pasażerów chciałoby korzystać z lotniska położonego obok trzytysięcznej miejsciny na skraju pustyni. Aerodrom powstał za czasów zimnej wojny jako wojskowe lotnisko pomocnicze, a od końca lat osiemdziesiątych popadał w coraz głębsze zapomnienie. Z rzadka lądowały tu samoloty obsługujące krótkie połączenia krajowe. Od czasu do czasu na pasie lotniska urządzano wyścigi dragsterów.

Mizerny wygląd tego miejsca po apokalipsie nie odbiegał istotnie od tego, jak prezentowało się ono wcześniej. Pas startowy położony był około kilometra od miejscowości. Obok niego na betonowych blokach spoczywało sześć otoczonych stertą złomu rdzewiejących szkieletów starych DC-7. Po przeciwległej stronie pasa ostatkiem sił trzymała pion zdezelowana wieża kontroli lotów. Wyglądała tak, jakby miała zaraz runąć, powalona uderzeniem pustynnego wiatru, który raz po raz przynosił ze sobą chmurę pyłu i piasku.

Tego ranka jednak lotnisko w Titusville odnotować miało największe zagęszczenie ruchu w całej swojej historii. Miało również zostać wykorzystane po raz ostatni.

Z początku dał się słyszeć tylko stłumiony odległością szmer turbin. Szmer przeradzał się w coraz głośniejszy ryk, a źle osadzone, brudne szyby wieży kontroli lotów drżały coraz mocniej. Wreszcie na horyzoncie pojawiła się sylwetka potężnego samolotu transportowego z wymalowaną od spodu wielką czerwoną gwiazdą. Za pierwszą maszyną podążało kolejnych pięć, zachowując jedna od drugiej dystans ośmiu kilometrów.

Północnokoreańscy piloci stali teraz przed sporym wyzwaniem. Musieli, nie znając lotniska, wylądować bez pomocy wieży kontroli lotów. Na domiar złego nawierzchnię pasa pokrywała cienka warstwa piasku, a każdy z samolotów miał ledwie kilka minut na podejście, wylądowanie i zrobienie miejsca dla kolejnej nadlatującej maszyny. Wszystkie manewry należało więc wykonać z chirurgiczną niemal precyzją.

Pierwszy z iljuszynów zakołysał się lekko, siadając na pasie, jednak doświadczony pilot momentalnie skorygował kurs i bezpiecznie wyhamował maszynę. W chwili gdy pierwszy samolot docierał do dalszego końca pasa startowego i zsuwał się na bok, by pozostawić możliwie dużo wolnej

przestrzeni, do lądowania podszedł drugi Ił-62.

Lądowanie czterech kolejnych przebiegło bezbłędnie. W powietrzu pozostawała już tylko ostatnia maszyna. Rzecz w tym jednak, że każdy z pięciu lądujących iluszynów wzbijał w powietrze tuman kurzu i pyłu, które pokrywały pas startowy, co miejscami ograniczało widoczność niemal do zera. W normalnych okolicznościach ostatni transportowiec kołowałby nad lotniskiem przez kilka minut, by odczekać, aż chmura pyłu opadnie. Pilot szóstego Iła nie mógł jednak pozwolić sobie na taki luksus. Poziom paliwa był tak niski, że nie miał wyboru – podjął ryzyko i podszedł do lądowania.

Decyzja ta kosztowała życie jego samego i wszystkich na pokładzie.

Ił-62 naszedł na pas startowy pod niewłaściwym kątem, lecąc przy tym o co najmniej sto kilometrów na godzinę za szybko. W efekcie przy zetknięciu z ziemią przednia część podwozia złamała się jak sucha gałąź, a nos samolotu zaczął trzeć po asfalcie, wyrzucając spod siebie kaskady iskier. Skrzydło zahaczyło o podstawę wieży i skorodowana, stara konstrukcja runęła jak domek z kart. Przód samolotu sunął przez chwilę bokiem, by ostatecznie zatrzymać się, stojąc już w płomieniach. W kilka sekund później nastąpił wybuch. Ił-62 zniknął w potężnej kuli ognia.

Hong bezsilnie obserwował całą sytuację z wnętrza swojego samolotu. Jedyne, co mógł robić, to kląć. Nie udało mu się uzyskać od generalicji przydziału paliwa lotniczego, ale długim namawianiem osiągnął choć tyle, że ekspedycja otrzymała zapas oleju napędowego, by wozy pancerne dotarły z Kalifornii do Gulfport. Teraz hektolitry paliwa płonęły na oczach pułkownika na drugim końcu pasa startowego, podsycając potężny pożar.

No to sprawy się skomplikowały, pomyślał. Trzeba będzie po drodze zdobyć paliwo do wozów.

– Dobra, nie ma co biadolić – wymamrotał sam do siebie. – Kim!

– Tak jest, pułkowniku. – Porucznik Kim Tae-Pak był jednym z zaufanych Honga i weteranem wielu wypadów na terytorium południowego sąsiada.

– Wyładujcie wozy opancerzone – rozkazał Hong. – Ten cholerny wybuch musiał być słyszalny w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Ma nas tu dawno nie być, kiedy zlecą się ciekawscy, obojętne – żywi czy martwi.

Porucznik zasalutował i oddalił się, by przekazać rozkaz dalej. Hong szedł po pasie startowym i rozglądał się pogrążony w myślach. Pochylił się i nabrał w garść trochę piasku. Przez chwilę przypatrywał się w milczeniu drobnym ziarnom. Potem pozwolił, by pomału przesypały się pomiędzy jego palcami.

Amerykański piasek. Amerykańska ziemia. Hong i jego ludzie znajdowali się na terytorium najbardziej znienawidzonego wroga, który teraz był całkowicie bezsilny. Nie było tu nikogo, kto mógłby się im przeciwstawić. Pułkownik poczuł na plecach zimny dreszcz. Nie wiedział, czy ekspedycja zakończy się

powodzeniem, ale i tak on i jego ludzie już teraz tworzyli historię. Oto po raz pierwszy od blisko dwustu lat żołnierze obcego kraju stali na amerykańskiej ziemi. Miała miejsce inwazja na Stany Zjednoczone, a w każdym razie na to, co z nich zostało.

Dwadzieścia minut później kolumna złożona z piętnastu wozów pancernych i dwóch specjalnie zmodyfikowanych buldożerów opuściła lotnisko w Titusville. Pojazdy skierowały się na wschód. Za nimi, na pasie startowym, płonęły samoloty północnokoreańskich sił powietrznych.

Hong spalił swoje maszyny. Przed nim rozciągały się ruiny Stanów Zjednoczonych. Od Gulfport dzieliły go tylko dwa tysiące kilometrów zgliszcz i miliony Nieumarłych.

GULFPORT

Następnego dnia obudziłem się z silnym bólem głowy i uczuciem suchości w ustach. Większość nocy zeszła mi na picciu whisky i uzalaniu się nad sobą. Wiktor towarzyszył mi przez cały czas, nic prawie nie mówiąc. Samą swoją obecnością sprawiał, że czułem się lepiej, i dobrze o tym wiedział, miał też świadomość, że bywają sytuacje, w których nie da się tak naprawdę powiedzieć nic sensownego.

Zmagalem się z potężnym dylematem. Z jednej strony czyściutka i aseptyczna rzeczywistość Gulfport wzbudzała we mnie takie samo obrzydzenie jak w Lucii, z drugiej jednak zdawałem sobie sprawę, że nie mamy innego wyjścia niż tu zostać. Stany Zjednoczone zmieniły się w gigantycznych rozmiarów siedlisko Nieumarłych. Sami nie mielibyśmy za murami żadnych szans.

– A jak ty uważasz, Wiktor? – zwróciłem się do przyjaciela.

Wiktor wyjął łyżeczkę z filiżanki z herbatą i na kilka sekund pograżył się w myślach. Widać było, że bardzo starannie dobiera słowa.

– Kiedy byłem mały, mieszkaliśmy w kołchozie w samym środku stepu. Mieliśmy tam szkołę, ładny budynek z czerwonego drewna. Uczyli w niej, że nasz sposób życia to najwyższy pułap, do jakiego mogą aspirować istoty ludzkie. Co dzień kładli nam do głów, że Związek Radziecki jest rajem klasy pracującej. O krajach Zachodu nie wiedzieliśmy nic poza tym, że są nieprzyjaciółmi Matki Ojczyzny. Pewnego dnia, kiedy miałem osiem lat, zobaczyłem, jak milicja aresztuje jakiegoś mężczyznę. Myślałem z początku, że to pewnie jakiś złodziej albo inny bandyta. – Pritczenko uśmiechnął się gorzko, przywołując wspomnienie z dzieciństwa. – Co innego mógłbym sobie pomyśleć? Miałem przecież dopiero osiem lat. Znacznie później dowiedziałem się, że tego mężczyznę zatrzymano, bo jego syn, który był w wojsku i służył w Berlinie, uciekł na Zachód.

Ukrainiec zamilkł. Przez chwilę był myślami gdzieś bardzo daleko od Gulfport.

– Dziś wiem o cierpieniu znacznie więcej niż wtedy, jak my wszyscy. Wiem też, że by podjąć przełomową, dramatyczną decyzję, człowiek musi dojść do punktu, w którym nie widzi dla siebie innego wyjścia. Wtedy przestaje mieć

znaczenie, jak poważne będą konsekwencje. Ty jeszcze do tego punktu nie dotarłeś. Może za bardzo cięży ci poczucie odpowiedzialności za nas wszystkich. – Pritzenko poruszył lekko głową i spojrzał na mnie. – Jestem twoim przyjacielem i nie zostawię cię za żadną cenę. Jeśli będzie trzeba, dam się za ciebie zabić, ale przy tym, tak samo, jak rozumiem twój punkt widzenia, rozumiem świetnie, co czuje Lucía. Tak czy siak, stary, wiedz, że nigdy nie zostaniesz bez mojego wsparcia.

Patrzyłem na Ukraińca pełen emocji. Prawie nie zestarzał się przez te dwa lata, odkąd go poznałem. Nie licząc utraty palców u lewej ręki i paru drobnych zmarszczek wokół oczu, był dalej tym samym gderliwym, lekko szurniętym typem, który towarzyszył mi w ruinach Vigo.

– Dzięki, Prit – powiedziałem cicho, mając łzy w oczach. Może i Wiktor był lekkim wariatem, ale niewielu poznałem w życiu ludzi równie dobrych jak on.

Resztę nocy spędziliśmy, gadając o starych czasach, ze śmiechem wspominając sytuacje, w których przechytrzyliśmy śmierć, i snując marzenia o tym, co byśmy zrobili, gdyby któregoś dnia ze świata zniknęli Nieumarli. W końcu, gdy w kominku dopalały się resztki drewna, obaj na siedząco zapadliśmy w sen.

Kiedy się ocknąłem, rozwalony na sofie Pritzenko chrapał jak niedźwiedź. Pomiędzy jego nogami drzemał Lukullus.

Powlokłem się do łazienki i wziąłem długi, gorący prysznic. Potem ogoliłem się i włożyłem jeden z wiszących w szafie garniturów. Wszystkie ubrania, które znalazłem w garderobie, były na mnie nieco za duże, ale i tak nie wyglądałem najgorzej. Przeglądając się w lustrze, po raz pierwszy od bardzo dawna zobaczyłem się w garniturze i krawacie. Było to nieco dziwne uczucie.

Przed wyjściem podszedłem jeszcze pod drzwi pokoju Lucíi. Były zaryglowane. Delikatnie zastukałem, ale nie doczekałem się żadnej odpowiedzi.

– Lucía – odezwałem się, licząc na to, że słucha mnie przez zamknięte drzwi – chciałem tylko powiedzieć, że bardzo przepraszam, jeśli w nocy powiedziałem coś, co cię zraniło. Wszystko, co robię, robię dlatego, że chcę nam zapewnić jakąś przyszłość. Widzisz, ja... – Umilkłem na moment, nie wiedząc za bardzo, co mówić dalej. – Kiedy wrócę wieczorem, porozmawiamy jeszcze raz. Przegadamy temat i wszystko będzie dobrze. Kocham cię.

Wyszedłem z domu, czując wewnątrz pustkę. W garażu zaparkowany był piękny lexus, z kluczykiem w stacyjce. Przyjąłem, że samochód przypadł nam w pakiecie razem z domem. Odległość do ratusza była zresztą zbyt duża, żeby pokonywać ją pieszo w garniturze i pod krawatem. Wsiadłem więc do lexusa i uruchomiłem silnik.

Gdy jechałem przez puste ulice Gulfport, dotarło do mnie, że po raz pierwszy od naprawdę długiego czasu prowadzę samochód wyłącznie po to, żeby dokąś

się dostać, nie po to, żeby przed kimś lub przed czymś uciec. Jednak nawet mając tę kojącą świadomość, raz na jakiś czas zaskakiwałem samego siebie: nagle nerwowo rozglądałem się na boki lub instynktownie przyspieszałem w miejscach, gdzie droga się zwązała. Zupełnie jakbym cały czas bał się, że lada moment otoczy mnie zgraja Nieumarłych.

Apokalipsa z pewnością mnie zmieniła. Pytanie tylko, czy były to zmiany na lepsze i czy ich skutki okażą się trwałe.

Dotarłem do ratusza. Pani Compton czekała na mnie przed budynkiem. Za nią kłębił się tłumek wchodzących do gmachu pracowników miejskich.

– Dzień dobry – powitała mnie. – Mam nadzieję, że dobrze pan wypoczął, bo czeka dziś pana mnóstwo pracy. Pan Wilcox, który odpowiadał za sekcję helotów hiszpańskojęzycznych, zmarł przed trzema miesiącami podczas gry w golfa. Miał tętniaka. Pan Talbot, który odpowiada za sekcję helotów czarnoskórych, od tamtego czasu prowadził obie sekcje jednocześnie. Rzecz w tym, że pan Talbot zupełnie nie zna języka hiszpańskiego. Prawdę mówiąc, narobił chyba trochę bałaganu w papierach. Mam nadzieję, że da pan radę przywrócić jakiś ład we wszystkich tych dokumentach.

– Dokumentach? – powtórzyłem nieco zbity z tropu.

– Zaraz pan zobaczy – odpowiedziała. – Proszę za mną.

Compton zaprowadziła mnie do obszernego gabinetu w północno-zachodnim narożniku budynku. Otworzyła drzwi, a mnie na moment odechciało się żyć. W każdym dosłownie miejscu pokoju piętrzyły się stosy teczek i segregatorów. Nie byłem w stanie pojąć, jak niektóre z tych stert w ogóle zachowują równowagę. Miałem wrażenie, że połowa materiałów zaraz runie na nas jak lawina.

– Anne Sue będzie pańską osobistą sekretarką. – Tu pani Compton wskazała na mniej więcej dwudziestoletnią blondynkę o cielęcym wyrazie twarzy, która patrzyła w moją stronę, nerwowo się uśmiechając. – Może pan prosić ją, o co pan chce. Jest tu, żeby panu pomagać.

Po pięciu minutach rozmowy z Anne Sue wiedziałem już, że nie należy powierzać tej dziewczynie żadnego zadania bardziej skomplikowanego niż robienie kserokopii i parzenie kawy. Anne Sue miała wygląd bardzo aryjski, więc jeśli chodzi o wartości wyznawane w Gulfport, nadawała się do tej pracy znakomicie. Niestety, Stwórca dał jej tylko to, zapominając o choćby odrobinie rozumu.

– W porządku – westchnąłem. – Uporządkujmy trochę tę stertę papierów. Chcę ustalić, które kwestie są priorytetowe, a które sprawy mogą poczekać. Spisz tytuły wszystkich teczek, a następnie przygotuj spis treści i indeks. Zajmiesz się tym?

Anne Sue spojrzała na mnie kompletnie zbity z tropu. Miała taką minę, jakbym kazał jej nasikać do szklanki, a potem zanieść mocz do wypicia pani

Compton. Na moment przestała nawet żuć gumę.

– Wiesz, co to takiego indeks, Anne Sue?

– Coś z muzyką, nie? – odpowiedziała, kiwając głową, jakby przytakiwała sama sobie. – Moja kuzynka tego słucha. Mówi, że zajebiste.

– Dobra, nieważne – westchnąłem zniechęcony. – Skocz lepiej po kawę. Tylko proszę nie przynieść jakiejś lury.

Gdy Anne Sue wyszła (Boże, błagam, niech kawa okaże się czymś prawie niemożliwym do zdobycia), usiadłem przy biurku i zacząłem porządkować teczki. Z początku trudno było mi się zorientować, ale bardzo szybko załapałem co i jak.

Godzinę później materiały podzielone były na trzy osobne stosy, każdy w innym narożniku gabinetu. Pierwszy zawierał informacje o naborze i stratach w grupie helotów hiszpańskojęzycznych. Drugi obejmował wszelkie dane dotyczące zaopatrzenia i warunków życia w Bluefont. Trzeci wreszcie zawierał szczegółowe informacje na temat dostaw i dystrybucji cladoxpanu.

Im dłużej porządkowałem i przeglądałem materiały, tym klarowniejszy miałem obraz tego, jak funkcjonuje Gulfport.

Całą „aryjską” część miasta zamieszkiwały dwadzieścia trzy tysiące osób. W Bluefont, getcie dla helotów, stłoczono aż siedem tysięcy ludzi. Szybkie obliczenia pozwoliły mi ustalić, że w każdym z około trzystu domów na terenie dzielnicy mieszkały jakieś dwadzieścia cztery osoby. O wiele za dużo, nawet jak na domy tak przestronne jak te w Bluefont. Dzielnica helotów znajdowała się w obrębie murów, ale od reszty miasta oddzielał ją wysoki płot, drut kolczasty i kanał, przez który przejść mogli tylko jedną kładką – tą, przy której rozmawiałem z Carlosem Mendoza.

Co tydzień heloci stawiali się przy południowej kładce, gdzie Zielona Gwardia wydawała im uzbrojenie. Następnie przeprawą północną wywożono ich poza miasto. Były to kilkudniowe wypadki w obrębie obszaru o promieniu dwustu kilometrów. Heloci mieli za zadanie docierać do pozostałości osiedli ludzkich i zdobywać zaopatrzenie dla wiecznie głodnego i nienasyconego Gulfport. Po każdej takiej wyprawie zostawiali wyładowane towarem ciężarówki przy miejskich składach. Tam również zdawali broń. W zamian za wykonanie zadania otrzymywali stosowne racje cladoxpanu, który pozwalał im pozostać ludźmi i nie przemienić się w gnijące żywe trupy.

Każda, krótka nawet ekspedycja tego rodzaju pociągała za sobą straty w ludziach. Wirus TSJ nie stanowił problemu (i tak zarażeni nim byli niemal wszyscy heloci), ale rany spowodowane ugryzieniami Nieumarłych były często tak głębokie, że okazywały się śmiertelne.

Jednakże, pomimo kolejnych strat, liczba helotów utrzymywała się na mniej więcej stałym poziomie. To dlatego, że z pewną regularnością niewielkie grupy

niedobitków albo pojedyncze osoby bądź same trafiały do miasta, bądź natykały się na którąś z ekspedycji zaopatrzeniowych. Ocalali o korzeniach azjatyckich, czarnoskórzy i Latynosi wiedzieli, że w Gulfport przyjdzie im żyć w półniewolnictwie, ale i tak większość decydowała się tam pozostać. Spanie co dzień w bezpiecznym miejscu, a przede wszystkim – mieszkanie i życie pośród ludzi to mimo wszystko kusząca perspektywa w porównaniu z kontynuowaniem samotnej tułaczki. Do „aryjskiej” części miasta trafiali wybrani i nieliczni, jak Lucía, Wiktor i ja. Wszystko, rzecz jasna, zależało od koloru skóry.

Liczba helotów była bardzo duża, zważywszy, że za utrzymanie w mieście ładu odpowiadały czterdziestoosobowa zaledwie Zielona Gwardia Greene’a oraz tak zwana biała milicja skupiająca około stu pięćdziesięciu funkcjonariuszy. Zapanowanie nad czterdziestokrotnie liczniejszym tłumem helotów byłoby dla nich zadaniem niewykonalnym, zwłaszcza wobec faktu, że zarazonych członków kasty służebnej stopniowo przybywało. Dlatego też od czasu do czasu w getcie przeprowadzano czystki, które natychmiast przywodziły na myśl praktyki nazistów z czasów wojny. Im dłużej czytałem, tym więcej czułem na plecach kropel zimnego potu. Wiele kart osobowych oznaczono czerwonym napisem „wydalony” bez żadnego dodatkowego komentarza czy opisu. Po chwili wahania sięgnąłem po telefon i wybrałem numer pani Compton.

– To dotyczy helotów, którzy notorycznie naruszali normy i w końcu zostali skazani: złodziei, pijaków, gwałcicieli, hołoty wśród hołoty – wytłumaczyła mi pani Compton dziwnie wesołym tonem. – Ich papiery trafiają do Departamentu Sprawiedliwości.

– Chciałbym się z nimi zapoznać – powiedziałem. Obudził się we mnie adwokat. Miałem ogromną chęć, by się dowiedzieć, jak spaczony jest wymiar sprawiedliwości ustanowiony przez wielebneho.

– Obawiam się, że nie będzie to możliwe – odparła asystentka Greene’a. – Departament podlega bezpośrednio samemu wielebnemu, a jego wewnętrzne dokumenty są poufne.

Po rozmowie z panią Compton byłem mocno zaintrygowany. Wyszedłem na korytarz i upewniwszy się, że Anne Sue nadal nie wróciła, dyskretnie ruszyłem w stronę pomieszczeń Departamentu Sprawiedliwości. Niestety, były zamknięte na klucz. W dodatku dookoła widziałem sporo osób. Gdybym spróbował wyważyć drzwi lub nawet podejrzanie długo kręcił się wokół departamentu, naraziłbym się na poważne kłopoty już pierwszego dnia pracy w ratuszu. To nie było dobre wyjście.

Wróciłem do gabinetu pogrążony w myślach. Na jednej z szafek zobaczyłem napis „Karty meldunkowe”. Otworzyłem drzwiczki i teczka po teczce zapoznałem się z materiałami. Już po chwili tchu mi brakowało ze zgrozy i

obrzydzenia. Dokumenty, które trzymałem w rękach, były świadectwem zbrodni na masową skalę.

Greene i jego zausznicy mieli świadomość, że nie zdołają opanować helotów siłą. Wprawdzie całkowicie kontrolowali zapasy cladoxpanu i to zapewniało im oczywiście w pewnym stopniu podporządkowanie sobie kasty służebnej, ale nie był to dostateczny środek zaradczy. Ponadto sama kontrola nad zasobami leku nie rozwiązywała istotnego problemu: co zrobić z tysiącami helotów (głównie kobiet i dzieci) nieużytecznych z punktu widzenia wojskowości i zaopatrzenia.

By nie dopuścić do jakiegokolwiek formy buntu czy rebelii, uknuto więc iście diabelski plan.

Zaczęło się od wyrywkowych i niezapowiedzianych łapanek przeprowadzanych przez Zieloną Gwardię. Bezbronni mieszkańcy Bluefont mogli tylko przyglądać się bezsilnie, jak dziesiątki ich znajomych i krewnych zostają bez wyraźnego powodu zatrzymane i doprowadzone pod sąd. Wszystkie takie osoby znikwały następnie z miasta, a w ich kartach osobowych pojawiał się wpis „wydalony”. Gdy sytuacja w getcie znów nabrzmiała, „technicy” Greene’a posunęli się dalej: połowie ludności Bluefont wręczyli „karty meldunkowe”, a drugiej połowie nie.

Od tej chwili ofiarą kolejnych łapanek padali wyłącznie heloci nieposiadający kart. Ludność getta została podzielona na tych, którzy nocami spali spokojnie, i na tych, którzy żyli w ciągłym strachu, wiedząc, że w każdej chwili w drzwi ich domu może załomotać kolbami Zielona Gwardia. Ci, którzy mieli karty, byli chwilowo bezpieczni, ale też robili pierwszy krok ku podporządkowaniu się Greene’owi. Podczas łapanki wystarczało, że okazali dokument. Tym samym przestawali solidaryzować się z tymi ze swych pobratymców, którzy takich dokumentów nie mieli.

Tego podziału również nie uznano jednak za wystarczający. Pewnego dnia wśród ludności Bluefont władze zaczęły rozprowadzać dwa rodzaje kart meldunkowych – ze zdjęciem i bez niego. Typ karty wybierał sam helota. Wielu uznało, że dokument ze zdjęciem będzie lepszy, choćby dlatego, że dokładniej identyfikuje posiadacza. Niedługo później zorganizowano łapankę na dużą skalę. Jej ofiarą padli ci mieszkańcy Bluefont, którzy albo w ogóle nie mieli karty meldunkowej, albo posiadali dokument bez zdjęcia. Heloci, którzy wybrali karty ze zdjęciem, odetchnęli z ulgą, sądząc, że zagwarantowali sobie trwałe bezpieczeństwo. Mylili się. Ledwie tydzień później wprowadzono nowe, czerwone karty. Helotów postawiono przed wyborem, czy pozostać przy starych dokumentach, czy wystąpić o nowy typ. Mieszkańcy getta podeszli do czerwonych kart nieufnie, większość nie skorzystała z możliwości zamiany. Dwa tygodnie później przeprowadzono potężną łapankę wymierzoną we wszystkich tych, którzy nie mogli wylegitymować się nowymi, czerwonymi kartami meldunkowymi. Wszelkie dokumenty wydane wcześniej utraciły

ważność.

Na Bluefont spadły strach i rozpacz. Ludzie przestawali sobie ufać. Władzom jednak wciąż nie było dość. Niedługo później czerwone karty meldunkowe zastąpiono niebieskimi, które w dodatku podzielono na dwie kategorie: „pobyt kwalifikowany” i „bez kwalifikacji”. I znów wybór typu dokumentu pozostawiono samym helotom – do otrzymania „kwalifikacji” wystarczyło ustne oświadczenie zainteresowanego. Raz jeszcze całe Bluefont pogrążyło się w wątpliwościach i wahaniu. Który dokument wybrać?

Nie zabrakło takich, którzy uznali, że cała „kwalifikacja” to nic innego jak pułapka, która posłuży do wytypowania ofiar kolejnej łapanki. Inni rozumowali jednak odwrotnie, mając nadzieję, że posiadanie „kwalifikacji” oznaczać będzie uznanie przez władze za element przydatny i pożyteczny. Trzy dni później wszystko się wyjaśniło. Helotom „bez kwalifikacji” nie wydano racji cladoxpanu. W ciągu kilku godzin ponad tysiąc pięćset osób uległo przemianie w Nieumarłych, po czym w Bluefont doszło do krwawego „czyszczenia dzielnicy”. Rzecz w tym jednak, że tym razem jatki nie dokonała Zielona Gwardia. Zadanie „oczyszczenia” getta pozostawiono samym helotom. Dzielnicę toczyły narastająca nienawiść i brak wzajemnego zaufania.

Jakiś czas później Departament Sprawiedliwości wydał oficjalny komunikat: istniało jakoby podejrzenie, iż wielu helotów uzyskało kwalifikację w sposób nieuprawniony. Dlatego też władze miasta zdecydowały o unieważnieniu wszystkich wydanych kart meldunkowych. Bluefont padło ofiarą kolejnej fali łapanek i czystek. Rozpaczy i lamentom nie było końca. Wielu helotów nie mogło darować sobie, że przypisali się do nieodpowiedniej kategorii.

Cykl zaczął się na nowo. Wydano nowe karty, by niedługo zastąpić je innymi, a potem jeszcze innymi, wykorzystując przy okazji całą paletę kolorów. Mieszkańcy getta zostali zdziesiątkowani. Większość z nich z pokorą trzody idącej na rzeź akceptowała swoje położenie, modląc się tylko, by podczas najbliższej łapanki dysponować odpowiednim dokumentem. Nawet zarażeni, ludzie pragnęli ze wszystkich sił pozostać przy życiu. Dlatego chwyтали się wszelkiej nadziei, nieważne, jak nikłej czy iluzorycznej.

W ten oto bezlitosny sposób Greene uzyskał pełnię kontroli nad Bluefont. Miał helotów pod butem. Ryzyko buntu zostało ograniczone niemal do zera.

Opadłem na oparcie krzesła. Nie byłem w stanie czytać dalej. Zrobiło mi się niedobrze. System, z którym właśnie się zapoznałem, był niemal identyczny z tym, jaki naziści wdrożyli w żydowskich gettach na terenie okupowanej Polski. Był okrutny, odrażający, ale i niezmiernie skuteczny.

Boże, w jaki syf ja się wpakowałem! Lucía miała rację, pomyślałem. Lepiej ryzykować życie na pustkowiu niż spędzić choćby jeszcze jeden dzień w tym chorym mieście.

Musieliśmy uciec z Gulfport. Jak najszybciej. Nawet tej nocy, jeśli będzie

trzeba. Już miałem podnieść się z krzesła, żeby wyjść z gabinetu, gdy usłyszałem zza drzwi głos Anne Sue.

– Eeeej! Nie może pan wejść, jeśli nie jest pan umówiony!

Drzwi otworzyły się z hukiem. W progu stanął Wiktor. Ciężko dyszał i cały był zlany potem. Wyglądało na to, że przebiegł cały dystans dzielący nasz dom od ratusza. Jedno spojrzenie na jego twarz starczyło, bym się zorientował, że przynosi złe wieści.

– Lucía – wysapał, starając się złapać oddech. – Odeszła. Uciekła do Bluefont.

Podjęcie decyzji przyszło jej z dużym trudem. Lucía przez całą noc nie zmrużyła oka. Wściekła i rozgoryczona przekręcała się z boku na bok. Wiedziała, że jej mężczyzna ma dobre intencje, ale konsekwencje jego ostatnich działań musiała uznać za odpychające. Nie umiała pogodzić się z tym, że poszedł na współpracę z władzami miasta. I nie chodziło tylko o to, że oznaczało to kolaborację z patologiczną, rasistowską społecznością, która rolę kobiety sprowadzała do bycia ozdobą. Lucíi nie dawało spokoju poczucie, że nikt nie liczy się z jej zdaniem. Od samego początku wszelkie istotne decyzje podejmowali Wiktor Pritczenko i *On*.

A teraz jeszcze pojawił się ten cały Greene.

Na samą myśl o wielebnym dziewczyna poczuła na plecach zimny dreszcz. W jego spojrzeniu było coś przerażającego i mrocznego – zło nieomal namacalne. W chwili gdy Lucía poczuła na sobie wzrok wielebnego, odniosła wrażenie, że oblepia ją jakaś przedziwna substancja, potworna maź krępująca ruchy, tak jak ropa naftowa unieruchamia ptasie skrzydła. Do tego jeszcze ta przerażająca prywatna armia Greene'a. Lucía brzydziła się Zieloną Gwardią i samym wielebnym, a jednocześnie bała się ich.

Za każdym razem, gdy wracała myślami do wieczornej rozmowy, wyrzucała sobie, że zachowała się tak ostro i obcesowo. Powinna była wysłuchać cierpliwie swojego partnera, próbować go przekonać, sprawić, by zrozumiał, że wszyscy troje znaleźli się w przeklętym miejscu. Zamiast tego zachowała się jak Królowa Śniegu: nie spojrzała mu nawet w oczy, sprowokowała awanturę i wyszła, pełna pretensji i gniewu. Podczas tej bezsennej nocy kilkakrotnie słyszała dobiegające z dołu odgłosy rozmowy i była o krok od tego, by zbiec po schodach i przytulić go tak mocno, jak tylko potrafi.

Wszystko ci wybaczam – powiedziałyby mu. – Kocham cię! Kocham cię tak bardzo, że pójdę na sam koniec świata, jeśli tylko ty tam będziesz. Nie zeszła jednak na dół i nie powiedziała niczego w tym rodzaju. Całą noc spędziła w łóżku, bijąc się z myślami. Szansa na szybkie pogodzenie się przepadła, przeważała kobieca duma – Lucía uznała, że nie pozwoli sobą pomiatać.

W pewnym momencie uświadomiła też sobie z przerażeniem, że nie wie, jak zachować się następnego dnia. Jak się do niego odnosić? Co powiedzieć? Jak wyprostować sytuację? Gdyby tylko miała argument, który pozwoliłby jej dowieść, że ma rację... Wreszcie wpadła na pomysł, który wydał jej się

strzałem w dziesiątkę: helota! Musi doprowadzić do spotkania pomiędzy nim a którymś z więźniów Bluefont, sprawić, by przekonał się, jak bardzo cierpią mieszkający tam ludzie. Wtedy na pewno zrozumie! Na pewno się z nią zgodzi!

Przed jej oczami stała uśmiechnięta twarz Carlosa Mendozy. Był taki przystojny i miał w sobie tyle zdecydowania. Nie mogła zapomnieć, z jaką pogardą patrzył na chcących go poniżyć marynarzy. I nagle zawładnęło ją jakieś dziwne uczucie. Energicznym ruchem zrzuciła z siebie koc. Było jej gorąco. Bardzo gorąco.

Czuła, że musi odnaleźć tego mężczyznę i porozmawiać z nim.

Nim na dobre zdała sobie sprawę z tego, co robi, wstała z łóżka i po cichu się ubrała. Jej pokój znajdował się na pierwszym piętrze, bezpośrednio nad dachem tarasu. Wydostanie się z domu oknem nie będzie żadną trudnością. Już miała wyjść, ale resztką rozsądku tłumaczyła sobie, że powinna się opamiętać i przestać zachowywać jak mająca pstro w głowie nastolatka. Wtedy jednak z dołu dobiegła salwa śmiechu Wiktora, którego niesłychanie rozbawiło coś, co opowiedział mu On.

Naśmiewają się ze mnie, pomyślała rozwścieczona. Na pewno obaj świetnie się bawią, opowiadając sobie, jaka jestem młoda i głupia.

Nie było już odwrotu. Lucía zdobyła się na odwagę, otworzyła okno i wystawiła nogi na dach tarasu. Uświadomiła sobie jednak, że jeśli zniknie bez słowa, na śmierć przestraszy swoich towarzyszy. Może i zachowywali się jak para baranów, ale na to sobie nie zasłużyli. Wróciła do pokoju, sięgnęła po leżący na szafce notes, wyrwała z niego kartkę i pospiesznie napisała na niej kilka słów.

Idę do Bluefont. Mam nadzieję, że niedługo wrócę. O nic się nie martwcie.

L.

Zostawiła kartkę na łóżku i wyszła oknem. Ostrożnie postawiła kilka kroków na dachu. Cichutko przedostała się nad narożnik tarasu, gdzie znajdowała się drewniana drabinka podtrzymująca pnącza jaśminu. Dziewczyna ostrożnie zsunęła stopy na pierwszy szczebel, by następnie pomału dotrzeć na sam dół.

Stanąwszy na ziemi, rozejrzała się dookoła. Wieczorna mżawka zmieniła się w nieprzyjemny, mocny deszcz. Ciężkie krople z hałasem uderzały o asfalt. Lucía spojrzała w stronę oświetlonych okien domu, a głos w środku wydał ostatni rozpaczliwy krzyk: „Nigdzie nie idź!”.

Było już jednak za późno. Lucía skuliła ramiona w rześistej ulewie i ruszyła w stronę Bluefont. Padające na jej twarz krople mieszały się ze łzami.

Dojście do granicy getta helotów zajęło jej prawie czterdzieści minut. Bluefont i dom, który przydzielono trójce rozbitków, znajdowały się na przeciwległych krańcach miasta. W dodatku dziewczyna kilkakrotnie gubiła drogę, a w pewnym momencie na jednym ze skrzyżowań niewiele brakowało, by Lucię dostrzegli czterej milicjanci patrolujący miasto opancerzonym hummerem. Dziewczyna w ostatniej chwili zdążyła ukryć się za kontenerem na śmieci. Przerażona wstrzymała oddech. Snop światła z umieszczonego na samochodzie reflektora minął ją o centymetry. Już myślała, że patrol ją wypatrzył, jednak po chwili opancerzone auto się oddaliło.

Pozostała w ukryciu jeszcze przez chwilę i ostrożnie wychynęła z kryjówki. Dopiero gdy upewniła się, że milicjanci odjechali i są już daleko, ruszyła dalej. Po kolejnych dziesięciu minutach marszu znalazła się nad kanałem, który oddzielał Bluefont od reszty miasta. Jej uwagę zwrócił szum wody w betonowym korycie. Padający od wielu godzin deszcz zasilił nurt. Woda pędziła teraz nachylnym korytem kanału, tworząc miejscami pasma brudnej piany.

Przez dłuższą chwilę dziewczyna szła wzdłuż brzegu, starając się wypatrzeć miejsce, w którym miałyby szansę przejść na drugą stronę. Zorientowała się jednak, że kanał ciągnie się przez całą długość płotu otaczającego getto. Miejscami woda płynęła pod samym ogrodzeniem, które oparte tu było na potężnych betonowych wspornikach, następnie zaś nurt przecinał linię betonowych zasieków otaczających miasto, przepływając przez kratę z prętów o olbrzymiej średnicy. Znalazłszy się przy samym murze, dziewczyna zatrzymała się na chwilę i oparła dłoń o cementową zaporę. Mur był szorstki i mokry od deszczu. Po drugiej stronie dały się słyszeć wydawane przez kogoś (lub raczej przez coś) złowrogie jęki, którym po chwili zawtórowały następne. Lucia dostała gęsiej skórki. Stojący tuż za murem Nieumarli nie byli w stanie wejść do miasta, ale cierpliwie czekali, aż nadarzy się okazja.

Wróciła tą samą drogą, którą przysła, wciąż starając się wypatrzeć jakąś prowizoryczną kładkę czy choćby bród. Przejście mostem było wykluczone. Nie istniał cień szansy, by pilnujący bramy getta gwardziści pozwolili jej na to. Dziewczyna co jakiś czas zerknęła na drugi brzeg kanału. Getto pogrążone było w ciemnościach. Dzielnica helotów mocno kontrastowała z „aryjskim” brzegiem, który rozświetlały setki latarni, lamp i neonów. Po stronie Bluefont światła prawie nie było, a te nieliczne, które od czasu do czasu dało się dostrzec, pojawiały się i znikwały jak przygasająca świeca.

Lucia była zrozpaczona i bliska dania za wygraną, lecz w tym momencie zobaczyła ją.

Na drugim brzegu siedziała ładna, drobna brunetka wyglądająca na niespełna trzydzieści lat. Długie czarne włosy miała spięte w kucyk i była ubrana w za duży na nią wojskowy mundur. Przed deszczem chronił ją prowizoryczny daszek z blachy. Dziewczyna siedziała przy niewielkim ognisku,

nad którym wisiał sagan pełen wrzącej wody. Co pewien czas sięgała do torby i wyciągała z niej jakiś element ubrania. Następnie przy użyciu kija zanurzała odzież we wrzółku. Ubrania, które prała, były mocno poplamione zaschniętą krwią.

– Halo! – zawołała Lucía.

Zajęta praniem brunetka zdawała się jej nie słyszeć. Lucía ponowiła próbę. Dziewczyna odskoczyła przestraszona od ogniska i rozejrzała się z niepokojem, kurczowo zaciskając ręce na kiju, jakby chciała odparować nim jakiś cios.

– Tutaj! Na drugim brzegu! – krzyknęła Lucía, machając rękami.

Zobaczywszy, kto ją woła, drobna brunetka nieco się uspokoiła. Zbliżyła się do brzegu kanału, który po stronie dla helotów przegrodzony był płótem zwieńczonym drutem kolczastym.

– Czego chcesz? – spytała, przekrzykując szum wody. – Kupujesz czy sprzedajesz?

– Ani jedno, ani drugie – odkrzyknęła Lucía. – Chcę przejść na drugą stronę! W którym miejscu jest jakieś przejście?

Drobna helotka osłupiała. Po krótkiej chwili wybuchnęła głośnym, gorzkim śmiechem.

– A po cholere chcesz przechodzić na tę stronę? Odbiło ci czy co?

– Muszę pomówić z kimś, kto jest w Bluefont.

– To pogadaj ze swoim wielebny i tymi pieprzonymi nazistami, którzy pilnują mostu. Ja ci nie pomogę. – Dziewczyna odwróciła się i ruszyła w stronę swojej prowizorycznej pralni.

– Nie odchodź, proszę! Jak masz na imię? – W głosie Lucíi zabrzmiał błagalny ton.

– Jestem Alejandra, ale wszyscy tutaj mówią na mnie Ale – odparła dziewczyna, po czym nagle spojrzała w stronę Lucíi z takim zdziwieniem, jakby właśnie się ocknęła. – A właściwie to skąd ty znasz hiszpański?

– Jestem z Hiszpanii – wyjaśniła dziewczyna. – Trafiłam tu dopiero wczoraj.

– Wylądowałaś kawał drogi od domu, *gachupina*[9]. – Alejandra zamyśliła się. – I tylko nadal nie wiem, po co chcesz przejść na tę stronę. Uwierz mi, po twojej jest znacznie lepiej.

– Muszę porozmawiać z facetem, który nazywa się Carlos Mendoza. Znasz go?

– A co ty masz wspólnego z „Kotem” Mendoza, co? – w głosie Ale zabrzmiało szczere zaciekawienie.

– Poznałam go na „Itace”.

Alejandra przez kilka sekund stała w milczeniu.

– A skąd mam wiedzieć, że to nie jest jakaś pułapka? – spytała po chwili namysłu, wpatrując się w ciemności, tak jakby spodziewała się, że lada chwila ruszą na nią siepacze z Zielonej Gwardii.

Lucía jak najszybciej starała się wymyślić jakąś przekonującą odpowiedź. Nagle przypomniała sobie, co Mendoza powiedział jej na odchodne na pokładzie tankowca.

– Carlos polecił, że jeśli będę go potrzebować, mam mówić, że należę do Sprawiedliwych.

Alejandra spojrzała na nią nieco inaczej niż dotąd.

– Rzeczywiście, typowy tekst „Kota” – mruknęła, lekko kiwając głową. – No dobrze, chodź za mną.

Meksykanka ruszyła przed siebie swoim brzegiem kanału. Lucía dotrzymywała jej kroku po drugiej stronie. Wreszcie Alejandra zatrzymała się obok powyginanej ramy rowerowej, rdzewiejącej przy ogrodzeniu.

– To tu. Przechodź.

Lucía rozejrzała się. Nie bardzo wiedziała, w jaki sposób miałyby przekroczyć rwący nurt. Mijała to miejsce dwa razy i nie zauważyła niczego, co mogłoby umożliwić przeprowienie się przez kanał. Brzeg po jej stronie był całkowicie pusty. Nasyp pod niewielkim kątem opadał w stronę wody. Silny nurt omywał kilka większych kamieni leżących przy obu brzegach. Poza tym – nic.

– Co mam robić? – spytała Lucía wyraźnie skonfundowana.

– Skup się, patrz pod nogi i po prostu idź przed siebie – cierpliwie odparła Alejandra.

Lucía zeszła z nasypu i stanęła na najdalej wysuniętym skrawku brzegu. Nawet będąc w tym miejscu, potrzebowała kolejnych kilku sekund, by dostrzec rząd pachółków i ciąg desek jakieś dwadzieścia centymetrów poniżej lustra wody.

– Nazywamy to „wietnamskim mostkiem”. – Alejandra usiadła na brzegu, wskazując palcem na nurt. – To normalna kładka, tyle że zamiast wystawać ponad wodę, jest schowana pod jej powierzchnią. Lepiej zdejmij buty, zanim na nią wejdiesz.

Lucía postąpiła zgodnie z radą Meksykanki, po czym wsunęła stopy do wody. Nurt był bardzo silny, a woda lodowata, ale i tak korzystanie z zanurzonej kładki okazało się zadziwiająco łatwe. W połowie przeprawy dziewczyna nie miała już żadnych wątpliwości, że nie udałoby się jej pokonać kanału wplaw. Czarne spienione wody były na to po prostu zbyt rwące.

Wtem niesiona nurtem gałąź uderzyła Lucię w kostkę. Zaskoczona dziewczyna zachwiała się. Rozpostarła ręce na boki, rozpaczliwie starając się

utrzymać równowagę. Sekundę później z głośnym pluskiem wpadła do wody.

Nurt rzucił nią o podwodną konstrukcję z taką siłą, że jedna z desek boleśnie wbiła jej się w zebra. Nie zdążywszy się wynurzyć, Lucía krzyknęła z bólu i natychmiast zachłysnęła się wodą. W ciemnościach straciła na moment orientację. Przez kilka sekund nie wiedziała, gdzie jest dno, a gdzie powierzchnia wody. Czuła, jak na jej gardle zaciskają się macki paniki. Wiedziała, że musi natychmiast się wynurzyć albo zaraz zginie.

Nie chcę tu umrzeć. Nie chcę utopić się po nocy w jakimś cholernym, brudnym kanale!

Dwukrotnie machnęła mocno nogami i wypłynęła na powierzchnię. Odchyliła głowę do tyłu i chciwie łapała powietrze, jednocześnie w niekontrolowany sposób kaszłąc. Wciąż dławili ją resztki brudnej wody, której cała masa dostała się jej do ust. Chwyciła się kładki, odgarnęła z oczu mokre włosy i uspokoiwszy nieco oddech, spojrzała na brzeg po stronie getta. Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu zauważyła, że nie ma już na nim Alejandry. Meksykanka zniknęła. Zupełnie jakby rozplynęła się w powietrzu.

Lucía nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo nagle z brzegu, który niedawno opuściła, dobiegł warkot silnika. Dziewczyna z przerażeniem zobaczyła, że w jej stronę zmierza samochód patrolowy, na zmianę oświetlając reflektorem nastawnym ogrodzenie po stronie getta i powierzchnię wody. Między nią a autem było nie więcej niż kilkaset metrów. Nie zdąży wdrapać się na kładkę, nie mówiąc nawet o dotarciu na brzeg i ukryciu się.

Miała tylko jedno wyjście. Zaczęła robić głębokie wdechy, żeby przeprowadzić hiperwentylację płuc, a gdy snop światła był o kilka metrów od niej, zanurzyła się w ciemnych wodach kanału. Pierwsze dziesięć sekund niemiłosiernie jej się dłużyło. Woda była tak zimna, że Lucía poczuła ból wywołany obkurczaniem się żył. Do tego prąd niósł całą masę odpadków. Raz po raz jakiś śmieć trafiał ją lub zahaczał o jej ubranie. Jakiś przedmiot o kleistej fakturze prześlizgnął się po jej twarzy. Lucía z największym trudem stłumiła w sobie atak paniki. Gdy czuła, że nie wytrzyma już pod wodą ani sekundy dłużej, wynurzyła się tak cicho, jak tylko się dało.

Samochód patrolowy minął ją i oddalał się powoli w kierunku głównej bramy getta. Wyczerpana fizycznie i psychicznie Lucía spróbowała wdrapać się na kładkę. Przemoczone ubranie zdawało się jednak ważyć tonę, a dziewczyna zupełnie opadła z sił. Dopiero przy trzeciej próbie udało jej się oprzeć kolana na podwodnej kładce.

– *Gachupina*, rusz się! Ten patrol wróci tu za niecałe trzy minuty! – Alejandra nie wiedząc kiedy wyłoniła się z ciemności na brzegu i ponaglała Lucię gestami i nawoływaniem.

Ostrożnie stawiając stopy, dziewczyna pokonała pozostałą część kładki i dotarła na brzeg. Następnie wspięła się po nasypie i po chwili była przy

ogrodzeniu. Czekała na nią Meksykanka już wcześniej przygotowała dla niej przejście. Pomędzy zwojami drutu kolczastego była sprytnie zakamuflowana szpara, którą dało się rozciągnąć na tyle, by niezbyt rośła osoba przeczołgała się na drugą stronę. Gdy Lucía znalazła się za ogrodzeniem, Alejandra zwolniła sprężynę utrzymującą tę prowizoryczną furtkę w pozycji otwartej. Zwoje drutu zamknęły się za dziewczyną, nie pozostawiając jakiegokolwiek śladu, który wskazywałby na istnienie przejścia.

Meksykanka chwyciła się pod boki i zmierzyła Lucię wzrokiem od stóp do głów. Trzeba przyznać, że mimo drobnej postury Alejandra emanowała siłą i charakterem.

– Witam w piekle, Hiszpaneczko. Pojęcia nie mam, czemu tak cię ciągnęło na ten brzeg, ale mam nadzieję, że nie będziesz żałować. Założę się, że właśnie przekroczyłaś ten kanał pierwszy i ostatni raz.

BETHSAIDA W STANIE MISSISIPI, PIĘĆ MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

– Tam lezie jeszcze jeden! Rozwal go!

Carlos Mendoza obrócił się błyskawicznie, podążając za wskazówką „Chińczyka” Cevallosa. Chodnikiem po przeciwnej stronie głównej ulicy miasteczka szedł w jego stronę Nieumarły. Zarażony był mężczyzną około czterdziestki ubranym w dżinsy i podartą flanelową koszulę. U podstawy szyi miał rozległą ranę – tam najwyraźniej został ugryziony. Właściwie, chcąc być precyzyjnym, należałoby powiedzieć, że rana *najprawdopodobniej* znajdowała się w tym właśnie miejscu. Całkowitej pewności być nie mogło, ponieważ wyrwę w ciele przysłaniała narośl o pomarańczowawym odcieniu. Grzyb utworzył kilka odnóg i piał się od obojczyka zarażonego aż do podstawy nosa. Był to widok dość odrażający, a z drugiej strony aż trudno było od tej przedziwnej narośli oderwać wzrok. Z tygodnia na tydzień przybywało Nieumarłych, których ciała pokrywał grzyb. Mendoza i jego towarzysz nie mieli pojęcia, z czego to wynikało.

Carlos uniósł swój karabin myśliwski. Jak to miał w zwyczaju, przed strzałem poślinił kciuk i przesunął nim po szczerbince. Następnie dokładnie wycelował. Począł, aż Nieumarły znajdzie się dokładnie na linii pomiędzy muszką a szczerbinką, po czym nacisnął spust. Kula trafiła prosto w skroń. Czaszka zarażonego pękła jak kruche szkło, a on sam runął martwy na ziemię.

– Razem z tym będzie piętnastu – mruknął „Chińczyk” Cevallos, podchodząc do Mendozy.

Byli w tej zabitej dechami wsi od niespełna dwóch godzin. Przez większość tego czasu nieniekójdeni przez nikogo przeszukiwali opustoszałe domy i sklepy, ale w końcu ich obecność zwróciła uwagę Nieumarłych. Przed mniej więcej dziesięcioma minutami zarażeni zaczęli gromadzić się wokół narożnego sklepiku, w którym schronili się dwaj mężczyźni. Mendozie i Cevallosowi stosunkowo łatwo udało się pozbyć nieproszonych gości, ale i tak nie mogli uznać tego dnia za udany. Domy i sklepy we wsi zostały złupione już wcześniej, a jedynym, co udało im się znaleźć, było kilka puszek przeterminowanej zupy Campbell's. Po krótkiej naradzie postanowili, pomimo ryzyka zatrucia jadem kiełbasianym, zjeść zawartość puszek. Obaj widzieli ludzi, którzy zmarli na skutek żywienia się zepsutym jedzeniem, ale głód zagłuszał wszelkie

argumenty. Mijał szósty dzień, odkąd jedli ostatni normalny posiłek. Obaj zaczęli już mocno słabnąć.

Dwie puszki przeterminowanej zupy, myślał Mendoza. Szlag trafił połowę amunicji. Jeszcze parę takich dni i będzie po nas.

On i Fernando „Chińczyk” Cevallos wędrowali i bronili się razem od ponad roku. Nie wiedzieli, od jak dawna dokładnie są na terenie Stanów Zjednoczonych, ale nie mieli wątpliwości co do tego, że tym razem zapuścili się w głąb terytorium *gringos* dalej niż kiedykolwiek wcześniej.

Coraz bardziej rozpaczliwie starali się zdobyć jedzenie i środki do życia. Zresztą, teraz nie miało już absolutnie żadnego znaczenia, po której stronie granicy się znajdują.

Gdy wybuchła pandemia, Carlos Mendoza na ochotnika zaciągnął się do jednej z lotnych brygad, które na pograniczu amerykańskim prowadziły „polowania na *güero* [10]”. Przez trzy długie tygodnie ochotnicze milicje patrolowały niestrudzenie granicę pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem, dniem i nocą wypatrując Amerykanów próbujących przedostać się na terytorium południowego sąsiada. „Najpierw strzelać, potem zadawać pytania” – taka była główna zasada działania. I do cholery z sumieniem.

Wszystko to jednak na nic się nie zdało. TSJ, jak na całym świecie, zatriumfował i w Meksyku. Stało się to po prostu kilka tygodni później. Mendoza, „Chińczyk” Cevallos i przeszło stu innych uzbrojonych mężczyzn znalazło się wtedy w nieco dziwnym położeniu. Byli z dala od domów, nie mieli do wykonania żadnych rozkazów, a misja, którą im powierzono, stała się nieaktualna. Ponad połowa natychmiast odeszła. Ruszyli w stronę swoich miejsc zamieszkania, chcąc chronić najbliższych (choć czuli w głębi duszy, że jest na to o wiele za późno). Wielu zostało, uznawszy, że rozdzielenie się będzie w nowym położeniu jednoznaczne z samobójstwem. Byli też tacy jak Mendoza, którzy nie odeszli, bo najzwyczajniej w świecie nie mieli dokąd pójść.

Pięćdziesięciu „łowców *güero*” przez kolejnych kilka miesięcy przemieszczało się z miejsca na miejsce po terytorium przygranicznym, starając się odpierać kolejne ataki hord Nieumarłych. Z czasem tracili coraz więcej samochodów, sprzętu i amunicji. Również zapasy żywnościowe kurczyły się niebezpiecznie. Z każdym dniem oddział był coraz mniej liczny.

Aż w końcu z pięćdziesięciu „łowców” zostało przy życiu tylko dwóch.

– Nie jest najgorsza ta zupa... – ocenił „Chińczyk” Cevallos, głośno siorbiąc.
– Myślę, że możemy... O ty skurwielu, a ty dokąd?!

Zaalarmowany tonem Cevallosa Mendoza odskoczył do tyłu dokładnie w chwili, gdy okno ponad jego głową zostało rozbite w drobny mak. Wnętrze narożnego sklepiku zasypał grad odłamków szkła i drzazg ze strzaskanej framugi. Potężnej postury mężczyzna cały w plamach zakrzepłej krwi próbował

dostać się do środka wybitym właśnie otworem, wydając przy tym przerażające, nieartykułowane jęki. Na domiar złego przy tylnych drzwiach pojawiły się dwie kobiety i dziewczynka. Hałas na ganku wskazywał, że i z tej strony zaatakują za chwilę co najmniej jeden Nieumarły.

Kurwa, sami na siebie zastawiliśmy pułapkę. Mendoza skłął w myślach siebie i swego towarzysza za to, że wybrali tak niefortunne schronienie, a do tego stracili czujność, skupiając się na posiłku. Gdy w najlepsze zajmowali się podgrzewaniem zupy, sklep otoczyła grupa Nieumarłych.

„Chińczyk” błyskawicznie wyciągnął z kabury broń i posłał kulę wprost w czaszkę mężczyzny za oknem. W jego ruchach znać było rękę zawodowca (przed apokalipsą Cevallos był cynglem kartelu narkotykowego z Tijuany). Następnie odwrócił się, by unieszkodliwić dwie kobiety i dziewczynkę, które tymczasem zdążyły dostać się do wnętrza. Jedna z зараżonych wdepnęła w niewielkie ognisko, nad którym Mendoza i Cevallos podgrzewali zupę. Pokryta plamami grzyba prawa noga kobiety natychmiast zajęła się ogniem. Zarazona nawet tego nie zauważyła. „Chińczyk” Cevallos oddał trzy szybkie strzały, po czym zamek w jego beretcie się zaciął.

– Ożeż kurwa twoja mać! – zaklął wściekle, próbując jak najszybciej odblokować mechanizm. Były to jego ostatnie słowa.

Troje зараżonych wsunęło ręce przez okno rozbite chwilę wcześniej przez potężnego mężczyznę. Chwycili Cevallosa za ramiona i plecy i pociągnęli w swoją stronę. Nim Mendoza zdążył zareagować, Nieumarli wywlekli „Chińczyka” przez otwór okienny na zewnątrz. Dał się słyszeć krzyk, jęki, powarkiwanie, a moment później – łomot ciała opadającego ciężko na ziemię. Cevallos leżał nieruchomo w kałuży krwi.

Mendoza nie rozmyślał nad losem kolegi, bo zajmowały go własne problemy. Zużył dwa ostatnie naboje, by unieszkodliwić Nieumarłego próbującego dostać się do środka drugim oknem. Nie miał czasu przeładować broni, zarazona z płonąca nogą była tuż obok niego.

Nie mając innego wyjścia, chwycił karabin Mossberga za lufę i zamachnął się nim jak maczugą. Kolba z głuchym, przeszywającym trzaskiem rozbiła czaszkę kobiety. Na ułamki sekund przed uderzeniem Mendoza zacisnął wargi i powieki. Nie mógł dopuścić do tego, by rozbryzg zainfekowanej krwi dostał się do jego oczu lub ust. Dwa miesiące wcześniej zarażeniu uległ w ten sposób jeden z ostatnich członków oddziału. Carlos nie chciał podzielić jego losu. W przypadku tamtego mężczyzny pozostali nie mieli oczywiście wyjścia: mimo jego błagań dobili go na miejscu.

Twarz Mendoza oblewał strumień zimnej, lepkiej krwi. Kilka kleistych odprysków trafiło go w nos i pomału się z niego zsuwało. Mężczyzna z całej siły zacisnął usta i mocno wydychał powietrze. Było tylko żadna kropla nie dostała się do wnętrza nosa. Był bliski paniki. Wystarczyłaby nawet niewielka ilość

krwi, która zetknęłaby się z jego śluzówką, a byłoby po nim. Musiał trzymać oczy zamknięte albo zmyć z twarzy krew i odłamki czaszki. Jedno i drugie wydawało się niewykonalne, jeśli zważyć, że dookoła było paru Nieumarłych, a zaraz pojawić się mogli kolejni.

Zajebicie, Carlos! To co, bijemy się na ślepo i bez oddychania z trzema zgniłymi skurwielami? Tak wesoło jeszcze nie było...

Mendoza rzucił się na ziemię i zaczął czołgać się po omacku. Poruszał się błyskawicznie i wił jak węgorz. Raz po raz zahaczał o nogi Nieumarłych i czuł na plecach ich nieporadne ręce, gdy starali się chwycić go za ubranie. Jednak udawało mu się wyrwać. Parł naprzód, torując sobie drogę i próbując wymacać manierkę, którą trzymał przy plecaku.

Muszę obmyć twarz! Kurwa mać! Muszę ją zaraz obmyć!

Syknął z bólu, gdy jego dłoń trafiła na tłący się kawałek drewna z rozgrzebanego ogniska. Sekundę później poczuł w palcach kształt puszki. To musiała być zupa, którą mieli zaraz zjeść. Carlos nie zastanawiał się ani chwili. Energicznym ruchem wylał sobie gorącą ciecz na twarz.

Czuł, jak rozgrzany bulion parzy mu skórę. Udało mu się jednak zmyć krew i odłamki czaszki zarażonej kobiety. Krzycząc z bólu, tarł mocno twarz tak długo, aż usunął z niej makabryczny krwisty szlam. Następnie z pewnym trudem otworzył oczy i natychmiast pożałował, że uniósł powieki. Kobieta, której noga zajęła się ogniem, zmieniła się w ludzką pochodnię. Cała w płomieniach wiła się po podłodze, a ogień rozprzestrzeniał się po pomieszczeniu. Leżący w kącie stos starych czasopism zajął się od zagwi z ogniska. Wnętrze sklepu wypełniło się dymem, a w kącie pomieszczenia płomienie sięgały już stropu.

Z tej budy zostanie tylko popiół, pomyślał rozwścieczony. Twarz cały czas swędziała go i piekła. Gorąca zupa poparzyła mu skórę.

Obolały po omacku ruszył przez gęsty dym w stronę drzwi. Nagle na drodze stanęła mu jakaś postać. Mendoza odepchnął ją z całej siły, aż z głuchym warknięciem runęła na wznak. Białe światło z zewnątrz pozwoliło mu ustalić, gdzie jest wyjście. Był już bardzo blisko, czuł, że mu się uda.

Dojdę tam, uda się.

O wszystkim przesądziła jedna sekunda. Gdyby Meksykanin pojawił się w drzwiach o tę jedną sekundę wcześniej, Nieumarły (niejaki Charles Richmond, odznaczony Brązową Gwiazdą weteran z Korei, podejrzanie czule odnoszący się do mieszkających we wsi dzieci) nie miałby szansy go dosięgnąć. Gdyby wyszedł z płonącego sklepu sekundę później, uciekający przed płomieniami zarażony zdążyłby już się oddalić. Jednakże obolały Carlos Mendoza z zaczerwienioną twarzą opuścił zadymiony budynek w najgorszym momencie. Richmond (który, rzecz jasna, niezbyt już przypominał dawnego pana Richmonda) zatopił resztkę swojego użębienia w ramieniu Meksykanina.

Carlos krzyknął – po części z bólu, po części z wściekłości. Następnie chwycił zarażonego za korpus i wrzucił go do płonącego wnętrza sklepu (co nie było trudne, zważywszy na wzrost, posturę i siłę Mendozy oraz fakt, że Richmond nawet za życia był już chuchrem – chwiejącym się na nogach drobnym staruszkciem).

Meksykanin pochylił głowę na bok, by przyjrzeć się ranie. Nie była rozległa, ale gnijące zęby Richmonda wbiły się głęboko. Jeden z nich wciąż pozostawał w skórze Mendozy. Mężczyzna wyciągnął go co prędzej i z obrzydzeniem rzucił na ziemię.

Już po mnie. To koniec.

Carlos Mendoza, człowiek, który przeżył wszystkich swoich towarzyszy broni, opadł na kolana i osunął się na drogę. Leżał pośród piachu i pyłu wyczerpany do cna, mając świadomość, że wyrok śmierci na niego już zapadł. Marzył teraz tylko, żeby Nieumarli szybko go zagryźli. Wolał to niż za kwadrans podnieść się z ziemi jako jeden z nich.

Słyszał trzask płonącego drewna dobiegający z budynku, który przed chwilą opuścił. Raz po raz z wnętrza dały się też słyszeć odgłosy przywodzące na myśl wystrzały. To płomienie pożerały żywicę. Ten cichy huk i trzaski kołysały go do snu, w miarę jak odpływał w stronę utraty przytomności.

Trzaski jak wystrzały.

Jak wystrzały.

Chwila, to SA wystrzały.

Mendoza spróbował dźwignąć się z ziemi, ale nie miał dość siły. Nagle spostrzegł, że pada na niego cień. Tuż przed nim, zasłaniając słońce, stał rosły Nieumarły gotowy, by się na niego rzucić.

Może i lepiej. Niech załatwi sprawę raz a dobrze.

Ku zaskoczeniu Meksykanina zarażony nie rzucił mu się do gardła, tylko pobieżnie zbadał dłońmi jego ciało, cmoknął wyraźnie zaskoczony, po czym uniósł głowę i zawołał:

– Hej, tu jest jeden żywy!

– Kurde, pewnie się wyczołgał z tego płonącego domu – odparł inny głos.

– Zrobił znacznie więcej – kontynuował pierwszy z rozmówców, jednocześnie przysuwając do ust Meksykanina manierkę pełną gęstego płynu. – Popatrz na tę ulicę. Wszędzie leżą ścierwa Nieumarłych. Facet to twardziel. Widać, że tanio skóry nie sprzedaje. Walczył o życie jak lew.

– Nie o „życie”, tylko o życia – sprostował drugi głos z rozbawieniem. – Jeśli przeżył coś takiego, to musi mieć ich więcej niż kot.

Mendoza zlany potem ocknął się gwałtownie na swojej starej pryczy. Przez kilka sekund nie wiedział, gdzie jest, jego umysł zrzucał z siebie pajęczynę snu.

Znów to samo. Znów ten sen.

Wstał i stąpając ostrożnie, by nie nadebrać nikogo ze śpiących na podłodze, podszedł do miednicy z wodą. Co noc, odkąd znalazł się w Gulfport, scena z dnia, w którym został uratowany, wracała do niego w snach. Meksykanin zanurzył twarz w wodzie, po czym energicznie podniósł głowę, odrzucając włosy do tyłu.

To tylko sen. Cholerny powracający koszmar.

Odkąd trafił do Bluefont, to senne wspomnienie prześladowało go każdej nocy. Koszmar wyrywający go ze snu nie oszczędził go dotąd ani razu. Każdej nocy umysł mężczyzny odtwarzał sceny z dnia, gdy przypadkowy patrol helotów znalazł go konającego na drodze w jakiejś zapadłej wsi.

Do końca życia będzie mi się to śnić. Im szybciej się z tym pogodzę, tym lepiej.

Carlos Mendoza nienawidził Bluefont i wszystkiego, co z nim związane. Nienawiść ta płonęła w nim jak ogień. To ona utrzymywała go przy życiu i pozwalała mu zmagać się z przeciwnościami. Od dnia, w którym ugryzł go zarazony starzec, Carlos uzależniony był od cladoxpanu. Oczywiście nie on jeden w tej dzielnicy. Bardzo nieliczni byli mieszkańcy Bluefont, którzy nie potrzebowali regularnych dawek tej dziwnej cieczy. Mendoza nie przeżyłby bez cladoxpanu, ale ta niewolnicza egzystencja napawała go takim samym obrzydzeniem jak przeprowadzane w getcie łapanki.

Narzucił wojskową kurtkę i włożył buty. Następnie związał wilgotne włosy w kucyk i starając się nie narobić hałasu, wyszedł z pokoju. Dzielił go z siedmioma śpiącymi na podłodze osobami. On, jako szef tej grupy, miał do dyspozycji jedyne łóżko w pomieszczeniu (co było niesłychanie użyteczne, gdy przytrafiał się jakiś szybki numer), jednak na tę noc odstąpił je ciężarnej żonie pewnego Brazylijczyka, którego imienia nawet nie znał. Carlos zastanawiał się zawsze, jakim cudem para z Brazylii znalazła się tak daleko od domu. W odczuciu Mendozy każda z brazylijskich plaż – nawet jeśli grasowali na niej Nieumarli – była miejscem o niebo lepszym niż ta przeklęta dziura na południu Stanów.

Zbiegł po schodach, wyszedł na zewnątrz i przedostał się na drugą stronę

ulicy. Padał rześisty deszcz, ulicami płynęły potoki wody. Gulfport, które dawno już straciło niegdysiejsze splendor i elegancję, wyglądało przy takiej pogodzie jeszcze bardziej przygnębiająco. Zagłębienia terenu w czasie intensywnych opadów zamieniały się w prawdziwe baseny. Trzeba było omijać je szerokim łukiem, żeby nie wpaść po kolana w wodę. Ukończywszy slalom pomiędzy kałużami, podtopieniami i kanałami odpływowymi, Meksykanin dotarł do jednej z kilku nielegalnych kantyn na terenie getta, Pod Czerwonym Kogutem.

Gdy wszedł do środka, uderzyła go fala gorąca i ostra woń potu i wilgoci. Czuć też było tytoniem, mokrymi ubraniami i alkoholem. W getcie brakowało niemal wszystkiego, jednak przy każdej ekspedycji w poszukiwaniu towarów dla „aryjskiej” części miasta kilka skrzynek „gubiło się” przed dotarciem do magazynów. Co jak co, ale alkohol i tytoń można było w Bluefont kupić z łatwością. Co więcej, powstał nawet czarny rynek, a kontrahentami helotów byli mieszkańcy drugiej strony kanału. Ludzie chcieli od czasu do czasu się napić, tymczasem Greene orzekł, że nie życzy sobie, by „szatański dym i krew Belzebuba” były obecne w Gulfport.

– Witaj, „Kocie” – czule przywitała Mendozę kelnerka, kobieta o obfitych kształtach i wielkich piersiach, które obciążały jej dekolt do granic wytrzymałości. – Paskudna noc, co?

– Zauważyłem, skarbie. – Meksykanin strzepnął wodę z ubrania. Wielu klientów lokalu witało się z nim serdecznie. Nie musiał nic mówić, by zgromadzeni zrobili mu miejsce przy barze. – Kochana, daj mi butelkę tequili i coś do jedzenia.

Kobieta postawiła przed nim pełną butelkę José Cuervo i talerz niezbyt apetycznie wyglądającej fasolki po bretońsku.

– No nie... – skrzywił się Mendoza. – Nie masz nic lepszego?

– Daję ci, co jest, Carlitos – odpowiedziała kelnerka, muskając jego dłoń. – Możesz mieć wódkę, tytoń i kobiety, ale z jedzeniem u nas cieniutko.

Meksykanin z rezygnacją wzruszył ramionami i jednym haustem opróżnił pierwszy tej nocy kieliszek. Kwadrans później, gdy fasola przyjemnie ciążyła mu w żołądku, a zawartość jednej czwartej butelki tequili zaczęła rozgrzewać jego ciało, wreszcie poczuł się dobrze. Czekał na to od chwili, gdy koszmar wspomnień wyrwał go ze snu.

W tym momencie jednak wydarzyło się coś, co mocno skomplikowało sprawy.

Drzwi kantyny otworzyły się gwałtownie, a do środka wdarł się podmuch wiatru i zimnego deszczu, sprawiając, że knoty oświetlających wnętrze lamp naftowych na moment przygasły. Paru klientów mruknęło coś z niezadowolaniem. Dwie postaci stojące w progu jakby wahały się, czy wejść. W

końcu niższa z dwójki przybyłych zrobiła krok do przodu, ciągnąc za sobą drugą.

– Wreszcie cię znalazłam, „Kocie”! – powiedziała niska dziewczyna. – Aleś się zaszył, cholero. – Patrz, mam dla ciebie niespodziankę.

Mendoza siedział nieruchomo na stołku barowym, zadając sobie pytanie, czy czasem nie dostał od tequili jakichś zwidów. Ku swojemu zdumieniu zobaczył obok Alejandry postać Lucii. Jej przemoczone ubranie kleiło się do ciała. Dziewczyna stała z rękoma skrzyżowanymi na piersi i wzrokiem przestraszonej sarenki rozglądała się dookoła.

– Kogo ja widzę, *señorita*. – Meksykanin zsunął się ze stołka i nie odrywając oczu od Lucii, zrobił miejsce przy barze. – Kochana, podaj coś ciepłego dla mojej przyjaciółki i znajdź szybko jakiś ręcznik, żeby mogła się wytrzeć. Proszę, proszę...

– Znalazłam cię – wymamrotała Lucía, wycierając ręcznikiem twarz. Czuła na plecach spojrzenia wszystkich gości lokalu. Większość wyglądała na mocno zdziwionych jej przybyciem, ale byli i tacy, na których twarzach malowała się nieufność lub zuchwałość. Dziewczyna miała bolesną świadomość tego, że w całym tym barze to właśnie ona ma najbielszą skórę.

– Bardzo się cieszę, że zdecydowałaś się mnie odwiedzić. – Mendoza starał się uśmiechnąć najbardziej czarująco, jak tylko potrafił.

– To nie jest wizyta towarzyska. Przynajmniej nie w takim sensie, jak sobie pewnie pomyślałaś.

– Coś takiego...

Carlos pociągnął łyk tequili, wpatrując się w dziewczynę znad brzegu kieliszka. Jeszcze przed sekundą był przekonany, że Lucię przywabiła do niego perspektywa zakazanego romansu z przystojnym helotą. Nie chciał przyznać się do tego sam przed sobą, ale fakt, że tak nie było, mocno zranił jego samczą dumę.

To czego ona, do cholery, chce?, zastanawiał się. Kupić narkotyki? Jakoś mi na to nie wygląda. Alkohol? Też nie sądzę...

– No to słucham. Czym mogę ci służyć, *señorita*?

– Chciałabym, żebyś z kimś porozmawiał.

– „Żebyś z kimś porozmawiał”? – powtórzył zdziwiony.

– No tak, z moim... Z kimś, kto jest dla mnie bardzo ważny.

– A co dokładnie miałbym powiedzieć tej bardzo ważnej osobie? – spytał Mendoza, któremu tequila z każdą minutą szumiała w głowie coraz mocniej.

– Musisz mu wytłumaczyć, że to wszystko jest złe. – Dziewczyna uniosła rękę i zatoczyła naokoło szerokim gestem. – Że to jakiś koszmar, że tak was tu traktują, że Greene to podłe bydlę i...

Meksykanin nie wytrzymał dłużej i przerwał jej salwą głośnego śmiechu. Starał się pohamować, wstrzymując oddech, ale nic to nie dawało. Za każdym razem, gdy widział głęboko urażony wyraz twarzy Lucii, śmiech wzbierał w nim na nowo. Mendoza śmiał się tak, że aż się popłakał. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się opanować. Wciąż rozbawiony, klepnął dłonią w blat baru i zwrócił się do siedzących naokoło.

– Słyszeliście, chłopaki? Panienska chce, żebym przeszedł na drugą stronę kanału, polazł do Gulfport i oświecił jakiegoś barana! – Tu Mendoza zaczął przedrzeźniać Lucię. – „To wszystko jest takie złe, panie Greene, musi pan lepiej traktować tych biednych helotów...”

Czerwona z wściekłości dziewczyna cisnęła mokry ręcznik w twarz Meksykanina.

– Starczy tych głupot! Już dość mi się oberwało tej nocy! – wybuchnęła. – To, o co cię proszę, znacznie bardziej pomogłoby wam niż mnie! Osoba, z którą miałbyś rozmawiać, mogłaby bardzo polepszyć waszą sytuację. On...

Mendoza bez słowa wymierzył jej mocny policzek. Lucía spojrzała na niego zdumiona, jakby nie wierzyła, że właśnie ją uderzył. Odruchowo przyłożyła dłoń do policzka. Czuła, że puchnie.

– Nikt nie będzie na mnie podnosić głosu – powiedział miękko Mendoza, chwytając dziewczynę za nadgarstek – a już na pewno nie Hiszpaneczka z miasta białych, która nie ma nawet pojęcia, w jakie gówno się pakuje.

– „Kocie”, poczekaj – weszła mu w słowo Alejandra. – Ona mało nie utopiła się w kanale, żeby z tobą porozmawiać. Powinieneś jej chociaż wysłuchać.

– Siedź grzecznie i nie przerywaj – syknął Mendoza. – Z tego, co wiem, całkiem możliwe, że ta laseczka jest wtyką Greene’a. A skoro już gadamy, to o ile dobrze pamiętam, wywinęłaś się z ostatniej łapanki, mimo że nie miałaś nowych papierów.

– Nie jestem żadną wtyką! – krzyknęła Lucía z oburzeniem.

– Wyzywasz mnie od zdrajców, złamasie? – Alejandra aż kipiała z gniewu.

Mendoza uniósł ręce i zrobił mały krok do tyłu.

– Po kolei, drogie panie, po kolei. – Znad stolików uniósł się chóralny pijacki rechot. – Chłopaki, zamknijcie tę panienkę w piwnicy! Potem spokojnie pogadamy, co z nią zrobić. A ty, Ale, zjeżdżaj prać szmaty. W tym jesteś dobra.

Rosły Murzyn i jeden z Meksykanów chwycili przerażoną Lucię pod ramiona i powlekli w kierunku klapy w podłodze, jeszcze przed chwilą ukrytej pod dywanem. Gdy wpychali ją do ciasnej piwniczki, zdążyła jeszcze kątem oka zobaczyć, jak dwóch innych mężczyzn wyrzuca z lokalu Alejandrę. Drobna Meksykanka rzucała się, wierzgała i miotła przekleństwa, ale nie zdołała wyrwać się potężnie zbudowanym kamratom Mendoza.

Kłapa w podłodze zamknęła się ponad głową Lucii z hukiem. Dziewczyna została sama w ciemnościach. Usłyszała jeszcze, jak ktoś przesuwa dywan na miejsce, po czym przeciąga po nim coś ciężkiego. Po chwili bar znów rozbrzmiewał typowymi odgłosami: z góry dobiegały dźwięki rozmów, brzęk szkła i śmiechy.

Załamana dziewczyna skuliła się między dwoma stosami skrzynek z alkoholem i zaczęła płakać. Przeklinała samą siebie, wściekła, że była tak głupia i naiwna, by w ciemno zaufać człowiekowi, którego widziała na oczy raz w życiu i z którym zamieniła ledwie kilka zdań.

Przede wszystkim jednak czuła strach. Potworny strach.

Następnego ranka niebo nad Gulfport w dalszym ciągu było ołowiane. Białe światło dnia odsłoniło nędzę i góry śmieci, ukazując prawdziwy obraz getta. Jedynym brakującym tu elementem typowego widoku slumsów były szczury. Pozostało ich w Bluefont bardzo niewiele. Te nieliczne, które się uchowały, albo stawały się celem polowań grup wygłodniałych dzieci, albo padały ofiarą bezpiecznych psów, których w dzielnicy helotów były dziesiątki. Nie tylko zresztą tu było ich wiele. Z przyczyn, których nikt nie potrafił wyjaśnić, apokalipsa wybiła niemal wszystkie koty, gdy tymczasem psów praktycznie nie ubyło.

Carlos Mendoza ocknął się na ostrym kacu. Czuł się tak, jakby wewnątrz głowy miał krasnoludka psychopatę tłukącego ciężkim młotem wprost w jego mózg. Poprzedniej nocy Meksykanin zasnął przy jednym z barowych stolików. Podłoga naokoło niego pełna była uczestników nocnej libacji, którzy albo w dalszym ciągu chrapali, albo ocknąwszy się niedawno, przeciągali się leniwie i dźwigali ciężko na nogi. Między nimi krążyła tęga kelnerka (która, swoją drogą, sama wyglądała na mocno zmęczoną) i kopniakami budziła tych, którzy jeszcze nie ocknęli się sami.

– Która godzina? – wymamrotał Mendoza mętym głosem, sięgając po papierosa.

– Co za różnica, Carlitos – odparła kobieta, wymierzając solidnego kopniaka leżącemu na podłodze wytatuowanemu brodaczkowi. – Jest już dzień.

W odpowiedzi Meksykanin kwęknął pod nosem coś niezrozumiałego. I nagle przypomniał sobie o zamkniętej w piwnicy dziewczynie.

– Tomás, Adrián, dajcie tu tę Hiszpankę.

Mężczyźni przesunęli stół (zrzuciwszy wcześniej śpiącego na nim kolegę) i otworzyli ukrytą pod dywanem klapę. Jeden z nich pozostał przy wejściu, drugi zaczął pomału schodzić do piwnicy. Wtem wszystkich, którzy nadal drzemali na podłodze, wyrwał ze snu wrzask bólu.

– Aaaau! Cholerna suka! Zacięła mnie! – krzyczał wściekły mężczyzna na schodach.

Dały się słyszeć odgłosy szamotaniny. Chwilę później Tomás wyłonił się z piwnicy, wlokąc za sobą Lucię. Na jego lewej ręce widać było głębokie skaleczenie. Prawą mocno ścisnął dziewczynę za szyję. Jego ofiara wymachiwała szyjką stłuczonej butelki, ale jej ruchy stawały się coraz słabsze.

Była bliska omdlenia z braku tlenu.

– Rany, Tomás, puść ją już, bo nam tu umrze! – rzucił niewyraźnie Mendoza, który właśnie przepłukiwał sobie usta niedopitym drinkiem. Na widok bladej twarzy Lucii Meksykanin poczuł, jak na nowo wzbiera w nim gniew.

Leżąca na podłodze dziewczyna zaczęła niemrawo czołgać się ku drzwiom. Nagle poczuła, jak ktoś chwyta ją za włosy i mocnym szarpnięciem stawia na nogi. Ból był tak silny, że oczy natychmiast wypełniły jej się łzami.

– Wybierasz się dokądś, panienko? – spytał ponurym głosem Tomás. – Nigdzie nie pójdziesz, zanim sobie nie pogadamy.

– Puść ją – polecił ostro Mendoza. – Krwawisz. Możesz ją zarazić.

Mężczyzna przez krótki moment patrzył złowrogo na Lucię, ale ostatecznie usłuchał. Nim jednak odsunął się od dziewczyny, wpadł na pomysł, jak się na niej odegrać. Obiema rękami chwycił za jej bluzkę i mocno szarpnął na boki, odsłaniając nagie piersi Lucii.

– Wezmę to sobie – rzucił jadowicie, machając jej przed nosem kawałkiem materiału, który został mu w dłoni. – Będę miał czym owinąć ranę.

Lucia zdążyła tylko skrzyżować ręce na piersiach, bo tym razem to Mendoza chwycił ją i szarpnął w swoją stronę.

– Dobra, teraz masz mi powiedzieć, co, do cholery, tu robisz – warknął – i lepiej dla ciebie, żeby spodobała mi się twoja odpowiedź. Inaczej...

Meksykanin przerwał, bo w tym momencie drzwi lokalu otworzyły się z hałasem, wpuszczając do wnętrza podmuch chłodnego wiatru i deszczu. W progu stanęła ociekająca wodą postać i przyglądała się zajściu. Przybysz był niski i mocno zbudowany. Patrząc na niego pod światło z głębi lokalu, nic więcej nie dało się powiedzieć.

– Jeśli nie chcesz stracić jaj, kolego, to ją natychmiast puść. – Głos postaci stojącej w progu brzmiał spokojnie, ale i groźnie.

– Wiktor! – krzyknęła Lucia z ogromną ulgą w głosie.

– Chodź do mnie, biedactwo. – Ukrainiec stał wyprężony w drzwiach i przypominał rozszuszczonego bulteriera. Chłodnym wzrokiem bacznie przyglądał się Mendozie i pozostałym mężczyznom w sali. Ściekająca z ubrania woda utworzyła u jego stóp niewielką kałużę, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

– Takiego chuja! – warknął „Kot” poirytowany. – Dziewczyna zostaje, póki ja nie powiem, że może iść.

– Słabo to wymyśliłeś – odparł sucho Pritczenko, drapiąc się w skroń czubkiem ogromnego noża.

– Tak, a to niby dlaczego? – Nie czekając nawet na odpowiedź, Mendoza wykonał dyskretny gest w stronę siedzących przy stolikach towarzyszy. – Chociaż trzeba ci oddać, że masz jaja. Pierwszy raz widzę, żeby aryjczyk w

pojedynkę pakował się do getta.

– Nie jestem jednym z tych kutasów – odpowiedział Wiktor zaskakująco spokojnym tonem – i mówiłem ci, że masz puścić dziewczynę. Ostrzegam cię po raz ostatni.

– Im to powiedz! – krzyknął Mendoza, robiąc ręką szybki gest.

Dwóch mężczyzn znajdujących się tuż przy drzwiach jednocześnie rzuciło się z obu stron na Wiktora. Prit mrugnął tylko, w ułamku sekundy rozstawił szerzej nogi i bez cienia wahania wyciągnął prawą rękę. Ostrze noża wbiło się całą długością w pierś jednego z napastników. Mężczyzna z głuchym charknięciem opadł martwy w ręce Ukraińca, cały czas mając zdumiony wyraz twarzy. Nie wypuszczając ciała z rąk, Wiktor obrócił się momentalnie, by jak tarczą zasłonić się zwłokami przed ciosem noża drugiego z atakujących. Wykorzystując moment zawahania u przeciwnika, który na ułamek sekundy zupełnie zgłupiał, widząc swój nóż wbity w plecy kolegi, Wiktor z całej siły uderzył go w podbródek. Dał się słyszeć głuchy trzask, po czym głowa mężczyzny odskoczyła gwałtownie do tyłu. Uderzony zachwiał się, obrzucił Wiktora nieprzytomnym spojrzeniem, a następnie runął ciężko na ziemię jak worek trocin.

Ukraińiec cisnął ciało mężczyzny ugodzonego nożem w stronę dwóch kolejnych, którzy zbliżali się do niego, by po chwili wpakować potężnego kopniaka w krocze rosnącego Murzyna chcącego zaatakować go z drugiej strony. Wytatuowany czarny osiłek zawył z bólu i zwinął się na ziemi, trzymając się za jądra.

Ukraińiec zdążył unieszkodliwić ciosami jeszcze dwóch atakujących (jednemu z nich z przyprawiającym o dreszcz trzaskiem łamiąc rękę), nim mocne uderzenie dosięgło jego skroni.

Wiktor zachwiał się. Przez moment widział wszystko jak przez mgłę. Wyprowadził na wpół po omacku dwa silne kopnięcia, ale na nic się to już nie zdało. Sekundę później poczuł w boku ostry ból. To uderzenie kijem bejsbolowym dosięgło jego klatki piersiowej. Cholera, musieli mi złamać kilka żeber, zdążył jeszcze pomyśleć, po czym czyjś potężny kopniak spadł na jego plecy. Pritczenko osunął się na kolana. W rozpaczliwym odruchu podniósł leżącą na podłodze butelkę i zdzielił nią w twarz mężczyznę, który pochylał się nad nim z nożem. Rozpryskujące się szkło w kilkunastu miejscach rozcięło skórę na twarzy atakującego, a jeden z odłamków ugrzązł w jego oku. Twarz mężczyzny wykrzywił potworny grymas bólu. Cofnął się natychmiast i rozpaczliwie próbował oczyścić oko ze szkła. Wiktor chciał się podnieść, wykorzystując zdobyty kawałek przestrzeni, ale było już za późno. Miał wokół siebie zbyt wielu przeciwników.

Ci, którzy go atakowali, nie umieli bić się zbyt dobrze. Walczyć uczyli się w pijackich barowych burdach. Było ich jednak zbyt wielu. Ukraińiec zrozumiał,

że umrze w tym barze.

Ostatnim wysiłkiem wydał z siebie bojowy okrzyk i rzucił się na trzech stojących najbliżej przeciwników. Ci cofnęli się zaskoczeni o krok. Pritczenko wykorzystał moment ich zawahania, by jednego z nich uderzyć kantem dłoni w krtań. Siła ciosu sprawiła, że trafiony mężczyzna zachwiał się na nogach i zaczął się krztusić, rozpaczliwie próbując złapać oddech.

Coś trafiło Wiktora w twarz. Uderzenie było bardzo mocne, Ukrainiec usłyszał paskudny trzask kości swojego nosa. Cios powalił go na plecy. W chwili gdy Pritczenko upadł na podłogę, otoczyło go kilku przeciwników. Zaczęli wściekle kopać jego skulone na ziemi ciało.

– Lucía, uciekaj! – zdołał jeszcze krzyknąć, krztusząc się krwią. Chwilę później but jednego z atakujących dosięgnął jego szyi. Pritczenko padł płasko na plecy.

Mendoza przyglądał się bójce z mieszaniną zaskoczenia i podziwu. Na jego oczach ten nieduży facet o sympatycznym wyglądzie w niespełna minutę zabił dwóch ludzi i powalił w walce kolejnych trzech.

Wtem w ciasnym wnętrzu tawerny rozległ się odgłos wystrzału. Wszyscy z wyjątkiem nieprzytomnego już Pritczenki zwrócili się zdumieni w stronę źródła hałasu. W drzwiach stała Alejandra ściskająca w dłoniach kałasznikowa. Lufa karabinu wciąż dymiła. Dziewczyna celowała do góry, ale wystarczyłby drobny ruch, by na muszce znalazł się którykolwiek z mężczyzn znajdujących się w lokalu. Kelnerka z okrzykiem przerażenia schowała się za barem.

– Wszyscy cicho! – krzyknęła Meksykanka przenikliwie. – Odsunąć się od niego! A ty, „Kocie”, pilnuj się! Wiem, że masz w bucie pistolet, więc żadnych sztuczek!

Stłoczeni wokół leżącego na ziemi Wiktora mężczyźni rozstąpili się, nie spuszczając wzroku z wylotu lufy karabinu. Lucía z kolei wykorzystała ogólne zamieszanie, by uciec Mendozie i stanąć u boku Alejandry.

– Czy ciebie całkiem popieprzyło? – syknął Meksykanin wściekle w kierunku Ale. – Dobrze wiesz, idiotko, że nie wolno nam tu trzymać broni, a ten wystrzał na pewno było słyhać w całym mieście! Za niecałe dziesięć minut zjedzie się tu przez ciebie Zielona Gwardia.

– To ciebie popieprzyło, Mendoza – odpowiedziała Alejandra podniesionym głosem. – Zamykasz dziewczynę w piwnicy, zdzierasz z niej ubranie, a potem do nieprzytomności bijecie tego faceta. O mało go nie zabiliście! Tak właśnie postępuje Greene i jego zbirzy. Ale nie *my*! Zrobiliście im to samo, co nam robią każdego dnia ci z miasta białych. *My* tak nie załatwiamy spraw! Zachowujesz się, jakbyś miał mózg tak samo przegniły jak Nieumarli. I ty masz czelność mówić, że Sprawiedliwi to *my*, a tamci to zbrodniarze? Chyba sobie kpisz!

Większość obecnych w sali spuściła wzrok. Byli wyraźnie speszeni. Mendoza

jednak wciąż patrzył Alejandrze prosto w oczy, a z jego źrenic biła wściekłość.

– To mogą być szpiegzy – wymamrotał.

– Ta dziewczyna jest tutaj, bo ty sam ją zaprosiłeś! Prawda jest taka, że boli cię strasznie to, że przyszła rozmawiać, a nie dać ci się od razu przelecieć. A jeśli chodzi o niego – tu Alejandra skinęła brodą w stronę Wiktora – to gdyby był szpiegiem, już dawno otoczyliby nas ludzie Greene’a.

Mendoza chrząknął i skrzywił się lekko. Widać było, że z trudem przychodzi mu przyznanie racji komu innemu. W końcu jednak opuścił swobodnie ręce i usiadł. Atmosfera w pomieszczeniu natychmiast wyraźnie się rozluźniła.

– W porządku – powiedział, zwracając się wolno w stronę Lucii. – Pomóżcie tym dwojgu. A ty, kochana – zwrócił się do kelnerki – poszukaj czegoś, co *señorita* będzie mogła na siebie włożyć. Z mojej strony należą się paniące szczerze przeprosiny...

Lucia nie zwróciła prawie uwagi na słowa Meksykanina, bo natychmiast podbiegła do Wiktora i uklękła przy nim. Patrząc w twarz przyjaciela, nie potrafiła powstrzymać łez. Jego nos był mocno przekrzywiony, a z ust cały czas ciekła mu krew. Nie pamiętając nawet o tym, że ma odsłonięte piersi, oddarła od resztek bluzki kolejny skrawek materiału i zaczęła wycierać nim krew z twarzy Ukraińca.

– Wiktor, proszę – mówiła drżącym głosem – nie umieraj! Błagam cię!

Ukraińiec jęknął i odkaslnął parę razy. Opierając się na łokciu, wypluł zakrwawiony kawałek ukruszonego zęba. Następnie dotknął swoich żeber i grymas bólu wykrzywił mu twarz.

– Nie umrę – odezwał się cicho. – Nie od czegoś takiego. Ci goście biją jak ostatnie cioty.

– Och, Wiktor! – Lucia, cała rozemocjonowana, przytuliła się do Pritczenki, który znów skrzywił się i jęknął z bólu. – Przepraszam – powiedziała z wyraźną ulgą w głosie, odsuwając się delikatnie. – Ale powiedz, skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Kiedy obudziłem się rano, zobaczyłem, że cię nie ma, i przeczytałem twój liścik. – Ukraińiec rozejrzał się, ściszył głos, po czym kontynuował: – Zawiadomiłem „wiesz-kogo” i poszedłem do Bluefont. Łatwo znalazłem kładkę. W nocy padało, więc zostawiłaś w błocie pełno śladów. Nawet ślepy by je zauważył. Twoja koleżanka z kałasznikowem – wskazał na Alejandrę, która lekko uśmiechnięta opatrywała rozcięcia na jego twarzy – kazała się długo tłumaczyć, ale pokazała mi dalszą drogę.

– Co my teraz zrobimy? – Lucii znów napłynęły do oczu łzy. Pospiesznie narzuciła na siebie znoszoną bluzkę, którą podała jej właśnie kelnerka, po czym ciągnęła: – Tak strasznie mi przykro, ja...

Przerwała, bo nagle w oddali zabrzmiał odgłos policyjnej syreny. Dźwięk w

charakterystyczny sposób wznosił się i opadał, a jego wyraźne brzmienie momentalnie postawiło wszystkich w stan pogotowia. Spanikowani ludzie rozbiegali się bezładnie we wszystkie strony.

– Co się dzieje? – spytała Lucía.

– Jest problem – odpowiedziała Alejandra. – Musimy się szybko ukryć.

– Ale dlaczego? O co chodzi? – wydusił Wiktor, próbując dźwignąć się z ziemi.

– Będzie łapanka – wyjaśniła Ale. – Tym razem przyjadą naprawdę ostro wkurwieni.

GULFPORT, RATUSZ MIEJSKI,
PIĘĆ GODZIN WCZEŚNIEJ

Ten dzień to był istny koszmar. Dość wrażeń dostarczyło mi już to, że mimowolnie stałem się sojusznikiem ludobójców na masową skalę. Kiedy więc dowiedziałem się jeszcze, że moja dziewczyna uciekła do getta helotów, czułem się przez chwilę tak, jakby wokół mnie rozpętał się jakiś potężny kataklizm. Zdyszany i zapocony Wiktor stał oparty o framugę i patrzył na mnie z bezsilnym wyrazem twarzy. Widząc jego minę, poczułem się jeszcze gorzej.

– Ale jak to „odeszła”? I to do Bluefont? Kiedy to się stało? I skąd o tym w ogóle wiesz? – zasypywałem Ukraińca pytaniami, nie dając mu nawet czasu na złapanie oddechu.

Wciąż dysząc, Wiktor opadł na jedno z krzeseł. Następnie opowiedział mi o tym, jak znalazł w pokoju Lucii liścik. Słuchałem go nieuważnie, bo jednocześnie cały czas myślałem nad jakimś alternatywnym planem. Kłopot w tym, że wszystko, co na razie zdołałem wymyślić, było – bardzo delikatnie mówiąc – do chrzanu.

– Wiktor, musimy jak najszybciej się stąd zabierać – powiedziałem, przerzucając pospiesznie papiery na moim biurku. – Trzeba będzie się rozdzielić. Ty musisz znaleźć w getcie Lucię i sprowadzić ją z powrotem na tę stronę miasta. Ja w tym czasie zdobędę dla nas jakiś środek transportu, prowiant i broń. Będzie mi łatwiej niż tobie, bo pracuję dla ratusza.

– „Zabierać się stąd?” – spytał Ukrainiec nieco skonsternowany.

– Potem ci wszystko wyjaśnię. Na razie mogę ci powiedzieć tyle, że Lucia miała rację. To miejsce jest chore i przegniłe. Nie możemy tu zostać ani chwili dłużej. – Bliski wściekłości zacząłem zrzucać teczki z biurka na podłogę. – Jasna cholera, jestem pewien, że gdzieś tu leżała moja przepustka.

Pritzenko oparł mi dłoń na ramieniu. To sprawiło, że na moment zwolniłem. Uświadomiłem sobie, że zaczynam panikować. Jednak myśl, że Lucii coś grozi, była nie do zniesienia. Gdyby coś jej się przeze mnie stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Do tego wszystkie moje wewnętrzne alarmy, które przez ostatnie dwa lata pozwoliły mi utrzymać się przy życiu, wyły i błyskały z całą mocą. Szósty zmysł podpowiadał mi, że stanie się coś złego. Miałem nerwy w strzępach.

– Nie przejmuj się tą przepustką – powiedział spokojnie Prit. – Dziewczyna jest bystra, to prawda, ale jeśli ona dała radę wejść bez pomocy do getta, to ja też sobie poradzę. Tu naprawdę nie może być gorzej niż w Czeczenii.

– Może, uwierz mi – odparłem ponuro.

Wiktor spojrzał na mnie zaskoczony, ale się nie odezwał. Ukrainiec miał do mnie zaufanie i wiedział, że wszystko mu wyjaśnię, gdy tylko będzie na to czas. Przed pożegnaniem uścisnęliśmy się mocno. Potem przez krótką chwilę patrzyliśmy na siebie z lekką konsternacją: obaj mieliśmy świadomość, że właśnie rozdzielamy się po raz pierwszy od dwóch lat.

– Bądź ostrożny – powiedziałem – ale pamiętaj, że jeśli spieprzysz sprawę, będę obok, żeby uratować ci dupę.

– To ty uważaj – rzucił Wiktor z uśmiechem, który niósł więcej nadziei, niż powinien w tych okolicznościach. – Chociaż w sumie... czemu ja się o ciebie martwię? Masz przecież tylko rąbnąć jacht. Moja ciotka Ludmiła dałaby radę to zrobić, a jest prawie ślepa i słyszy tylko rano.

Uścisnęliśmy sobie mocno dłonie. Uśmiechnąłem się, rozumiejąc, że Wiktor próbuje podnieść mnie na duchu i uspokoić. Nasze pożegnanie przerwał dźwięk dzwonka telefonu na moim biurku.

Podniosłem słuchawkę i natychmiast odłożyłem na widełki, nie przykładając jej do ucha. Ukrainiec tymczasem skierował się do drzwi. Już miał wyjść, ale w progu zatrzymał się i ostatni raz obejrzał za siebie. Wymieniliśmy spojrzenia. Czułem, że w powietrzu wisi coś niedobrego. Miałem bardzo złe przeczucia. Nie chciałem jednak niepokoić niepotrzebnie mojego przyjaciela.

Gdy tylko Wiktor opuścił gabinet, narzuciłem na siebie marynarkę i wyszedłem, nie zwracając najmniejszej uwagi na sekretarkę, która minęła mnie w drzwiach, w jednej ręce niosąc kubek kawy, a w drugiej plik papierów. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, do wieczora Wiktor sprowadzi Lucię z Bluefont, a ja tymczasem powinienem dać radę zdobyć dla nas jacht. Myśląc o dostępnych środkach transportu, od samego początku skreślałem samochód. Wyjazd z miasta pociągałby za sobą zbyt duże ryzyko. Latanie też odpadało. Nie wiedzieliśmy, gdzie jest lotnisko (o ile w Gulfport w ogóle jakieś było). Poza tym helikoptery z pewnością były pilnie strzeżone. Miałem więc zaledwie dwanaście godzin i całą masę rzeczy do załatwienia.

W pierwszej kolejności musiałem znaleźć jakąś wymówkę, by opuścić miejsce pracy. Odwróciłem się i wypiwszy łyk kawy (paskudnej i do tego letniej), powiedziałem Anne Sue, że źle się czuję i jadę do domu trochę odpocząć. Wymówka nie była zbyt wymyślna, ale powinna dać mi kilka godzin w przypadku, gdyby komuś przyszło do głowy pytać o mnie w gabinecie. Wyszedłem na korytarz i przemierzałem go szybkim krokiem, czytając tabliczki na kolejnych drzwiach. Po jakichś trzech minutach znalazłem to, czego szukałem: drzwi z napisem „Sekcja transportu”.

Zastukałem, ale nikt nie odpowiadał. Nacisnąłem klamkę i ostrożnie wsunąłem głowę do pomieszczenia. Była akurat pora lunchu (to dlatego po korytarzach biega tyłu ludzi, ty głąbie) i wyglądało na to, że w środku nikogo nie ma. Trafiłem na idealny moment.

Czując się jak złodziej, wślizgnąłem się za największe biurko stojące w pomieszczeniu. Usiadłem przed komputerem i spojrzawszy na ekran, odetchnąłem z ulgą. Dostęp do systemu chroniony był hasłem, ale miałem szczęście. Ten, kto pracował przy tym biurku, nie zadał sobie trudu (rzecz częsta u pracowników biurowych), by przed wyjściem się wylogować. Przeszukiwałem bazę danych, starając się znaleźć odpowiedni dla nas środek transportu. Po krótkiej chwili na mojej twarzy pojawił się wilczy uśmiech.

Jest, pomyślałem. Dokładnie tego nam było trzeba.

Tak jak podejrzewałem, w zamożnej willowej okolicy, jaką było Gulfport, po prostu musiała znajdować się sportowa marina, a w niej – dziesiątki jachtów. Miałem przed sobą listę sześciu łodzi sklasyfikowanych jako „pomocnicze jednostki zwiadowcze” i zacumowanych przy kei numer dwanaście. Znajdowała się ona bardzo niedaleko od miejsca, gdzie zacumowano „Itakę”.

Zwłaszcza jeden z jachtów, „White Swan”, sprawiał wrażenie wprost idealnego dla nas. Miał ponad dwadzieścia metrów, a więc był znacznie większy od wszystkich innych łodzi, jakie prowadziłem w życiu, ale wyglądał na doskonałą jednostkę do żeglugi po zdradliwych karaibskich wodach. W karcie danych jachtu znajdował się dziesięciocyfrowy kod, który odpowiadał oznaczeniu na dokumentach dostępu. „Istnieje obowiązek okazania dokumentu upoważniającego”, głosił komunikat na ekranie.

Zakląłem pod nosem. Bez dokumentów pilnujący kei strażnicy za nic nie dopuszczą nas do jachtu. Jasne, moglibyśmy spróbować przebić się siłą, ale to oznaczałoby niepotrzebne zwracanie na siebie uwagi, a i to przy optymistycznym założeniu, że w ogóle sprostalibyśmy straży portowej. Musiałem koniecznie namierzyć te papiery od jachtu.

Czując strumienie potu na plecach, nerwowo przeszukiwałem szuflady we wszystkich biurkach stojących w pokoju. Raz po raz zerkałem też w stronę drzwi, obawiając się, że lada moment któryś z pracowników sekcji transportu wróci z lunchu. Zostałbym wtedy przyłapany na gorącym uczynku i bardzo trudno byłoby mi wytłumaczyć, dlaczego tu jestem i co robię.

Minęło kilka chwil, a ja dyszałem z wściekłości. Otworzyłem wszystkie szuflady i segregatory. Owszem, udało mi się znaleźć papier dopuszczający jacht do żeglugi i jego kartę techniczną, ale nie trafiłem nigdzie na dokument upoważniający. Pomyślałem z przestrawieniem, że dokumentów tego rodzaju może tu wcale nie być. Kto wie, czy nie są przechowywane w innym, bezpieczniejszym miejscu (nawet w gabinecie samego Greene’a). Uznałem jednak, że to nie miałyby sensu. W mieście zbyt dużo było pojazdów i jachtów,

by wielebny osobiście strzegł do nich dostępu. W tym momencie wzrok mój padł na sejf wmurowany w jedną ze ścian. No jasne, ty matole.

Oparłem dłoń na pokrętle w drzwiach sejfu. Był dość nowoczesny i choć nie należał do największych, robił wrażenie bardzo solidnego. Przechodząc się w myślach, poruszyłem pokrętko. Jak mogłem się spodziewać, sejf był zamknięty.

Poczułem się tak, jakbym miał w żołądku bryłę lodu. Umiałem otwierać proste zamki przy użyciu drutu i kawałka prospektu ze sztywnego kartonu, ale ten sejf był absolutnie poza moim zasięgiem. Nagle jednak w głowie zaświtał mi niedorzeczno-rozpaczliwy pomysł. Wróciłem do największego biurka i jeszcze raz przerzuciłem papiery, szukając czegoś, o czym wcale nie wiedziałem, czy w ogóle tam jest. W końcu odwróciłem do góry nogami klawiaturę komputera. Sporo wysiłku kosztowało mnie powstrzymanie okrzyku radości. Od spodu przyklejona była karteczka z kombinacją szyfru. Ściągawek tego rodzaju używają setki przepracowanych urzędników, którym nie chce się spamiętywać długich ciągów cyfr, ale ta jedna karteczka wprowadziła mnie w ekstazę.

Trzymając klawiaturę pod pachą, znów stanąłem przed drzwiczkami sejfu. Wprowadziłem kombinację ze ściagi i wprowadziłem w ruch pokrętko. Ciche pstryknięcie w głębi mechanizmu dało znać, że obwód elektryczny zamknął się i zwolnił rygle.

Wewnątrz sejfu było mnóstwo starannie uporządkowanych dokumentów. Dzięki czytelnym oznaczeniom znalezienie upoważnienia do korzystania z jachtu „White Swan” zajęło mi dosłownie kilka sekund. Ledwie zdążyłem wsunąć papier do kieszeni. Zamykałem właśnie sejf, gdy klamka w drzwiach drgnęła i ktoś wszedł do środka.

W ostatniej chwili zdążyłem ukryć się w sąsiadującej z pomieszczeniem biurowym ciasnej toalecie. Ułamki sekund po tym, jak zniknąłem za drzwiami, do gabinetu wszedł łysy mężczyzna koło pięćdziesiątki. W jednej ręce trzymał ociekającego tłuszczem hamburgera. W drugiej miał telefon komórkowy, przez który cały czas rozmawiał.

– Tak, tak, wiem... Posłuchaj, skarbie, obiecuję, że zabiorę cię tam, jak tylko wrócę do domu. Tak, obiecuję, zjemy tam kolację... Tylko że widzisz... Tak, oczywiście, że cię słucham.

Ciągnąc tę jałową gadkę szmatkę, mężczyzna usiadł przy biurku i zaczął szukać czegoś na blacie. W tym momencie zorientowałem się, że w dalszym ciągu trzymam pod pachą klawiaturę komputera. Wystarczy, że facet uniesie wzrok i rzuci okiem na biurko kolegi, a zorientuje się ze zdziwieniem, że klawiatura wyszła na spacer.

Szczęśliwie dla mnie łysy mężczyzna zaabsorbowany był tym, co mówiła jego rozmówczyni. Praktycznie nie rozglądał się dookoła. Obserwowałem go z ciasnego kibla przez uchylone na milimetr drzwi i nie mogłem się doczekać,

kiedy wreszcie sobie pójdzie. Wąskie pomieszczenie, w którym się schowałem, wykorzystywano teraz nie jako toaletę, ale prowizoryczny składzik teczek i segregatorów. W powietrzu unosiła się masa kurzu i musiałem toczyć ze sobą prawdziwy bój, żeby nie kichnąć. Facet tymczasem wciąż gadał przez telefon. Kiedy zaczynałem już myśleć, że będę musiał wyskoczyć z ukrycia i jakoś go unieszkodliwić (łatwo powiedzieć, trudniej wykonać – miałem przed sobą prawdziwą kupę mięsa), łysy urzędnik pożegnał się wreszcie z osobą po drugiej stronie, przesłał jej ucałowania i się rozłączył. Następnie zgarnął z biurka swojego hamburgera i wyszedł z pomieszczenia.

Nim odważyłem się wychylić z ukrycia, odczekałem moment, by upewnić się, że grubas niczego nie zapomniał i nie wróci zaraz do biurka. Tych kilkadziesiąt sekund dało mi też czas, by uspokoić oddech i poczekać, aż serce przestanie mi łomotać. Odłożyłem klawiaturę na miejsce, rozejrzałem się ostatni raz, by nabrać pewności, że niczego nie przeoczyłem. Następnie bardzo ostrożnie wyszedłem na korytarz.

Idąc w stronę wyjścia z ratusza, czułem, jak trzęsą mi się nogi. Pierwszy etap miałem za sobą. Teraz musiałem jeszcze zdobyć broń i prowiant.

Na zakręcie korytarza niemal zderzyłem się z panią Compton, pucułowaną sekretarką wielebnego. Kobieta spojrzała na mnie nieco podejrzliwie.

– Och, *señor*. Rozmawiałam właśnie z Anne Sue. Powiedziała mi, że źle się pan poczuł i że chce pan trochę odpocząć w domu. Rzeczywiście nie wygląda pan najlepiej.

Wciąż drżąc, uśmiechnąłem się słabo. Twarz miałem zlaną potem, a do tego podejrzewałem, że osadziło się na niej sporo kurzu z komórki. Szarawy odcień i strużki potu z pewnością nie nadawały mojemu obliczu zdrowego i spokojnego wyglądu.

– Powinien pan przed pójściem do domu zajrzeć do szpitala. To mogą być początki grypy albo jakiegoś innego choróbka.

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby – zacząłem się wykręcać – to nic poważnego, na pewno samo przejdzie. Poza tym szpital, o ile się nie mylę, jest na drugim końcu miasta. Minie wiele czasu, zanim tam dotrę, a potem jeszcze będę musiał czekać, aż...

– Nalegam, żeby pokazał się pan lekarzowi – przerwała mi pani Compton. Nagle jej twarz pojaśniała. – Chwileczkę! Nie ma przecież potrzeby, żeby szedł pan aż do szpitala!

– Tak pani sądzi? – spytałem cicho z nadzieją w głosie. Czas uciekał. Musiałem jak najszybciej uwolnić się od tej natrętnej baby, nie wzbudzając jej podejrzeń.

– Mam znakomity pomysł. – Pani Compton chwyciła mnie za rękę. Ruszyła w głąb korytarza, nieomal wlokąc mnie za sobą. – W skrzydle sanitarnym

pracują lekarze z zespołu doktora Ballariniego. On sam, choć to Włoch i papista, jest przemiłą osobą i wybitnym lekarzem. Na pewno zgodzi się rzucić na pana okiem, pomimo że jest mocno zajęty. Wielebny ogromnie go ceni, wie pan o tym?

– A to dlaczego? – spytałem.

– Ballarini i jego zespół, Bogu niech będą dzięki, przybyli do nas z CDC[11] w Atlancie dwa tygodnie po tym, jak wokół Gulfport powstał mur. To ogromne szczęście, że jeden z naszych patroli na nich trafił. Jeszcze kilka dni i te pomioty Antychrysta, Nieumarli, pożarliby ich żywcem. Naukowcy zawsze chodzą z głowami w chmurach, a zapominają o tym, co najważniejsze. – Tu sekretarka wielebnego zmarszczyła brwi. – Jestem pewna, że oni nawet nie modlą się tyle ile trzeba.

– Powiedziała pani „naukowcy”? – W głowie zaświtało mi podejrzenie, że oto zaraz odnajdę brakujący element układanki. – A kim oni dokładnie są i dlaczego są tacy ważni dla wielebnego?

– To pan nie wie? – spytała Compton mocno zaskoczona. – To właśnie oni opracowali cladoxpan. Ten lek to dzieło Ballariniego i jego zespołu.

To, co usłyszałem, i ciąg myśli, który wywołała ta informacja, sprawiły, że na dłuższą chwilę zamilkłem. Pani Compton ciągnęła mnie przez korytarze i klatki schodowe, a ja pokornie dreptałem za nią i nic nie mówiłem. Za to cały czas intensywnie myślałem. Cladoxpan! Ten tajemniczy produkt, który pozwalał opóźnić występowanie symptomów zarażenia. Od dłuższego czasu głowiłem się, jak fanatyk Greene wszedł w posiadanie tej substancji. Teraz wreszcie wszystko pojąłem. CDC w Atlancie było przed apokalipsą najważniejszym na całym świecie centrum badań wirusologicznych. Jeżeli gdziekolwiek i kiedykolwiek istniało miejsce, w którym zgromadzono podobny sprzęt i tylu najwyższej klasy specjalistów, to mogło to być jedynie w jakimś ściśle tajnym ośrodku w dawnym ZSRR. Po upadku Związku Radzieckiego CDC pozostało więc jedynym miejscem, w którym istniała szansa na wynalezienie leku przeciwko TSJ.

Teraz zaś dowiadywałem się, że po zagładzie Atlanty zespół naukowców z tego elitarnego ośrodka trafił do Gulfport. Nie ma co, Greene miał cholerny fart. Przyjmując do miasta tych ludzi, wygrał na największej w dziejach świata loterii.

Dotarliśmy wreszcie do masywnych drzwi pilnowanych przez dwóch aryjczyków z Zielonej Gwardii. Skinheadzi siedzieli rozwaleni przy stole i nie wyglądali na zbyt przejętych służbą. Jeden intensywnie dłuwał w zębach wykałaczką, a drugi z nieco roztargnionym wyrazem twarzy przerzucał strony „Playboya”. Na tym korytarzu boleśnie wiało nudą i pomyślałem natychmiast, że to jedno z najgorszych miejsc, w jakie aryjczyk może zostać wysłany na służbę. Niemniej jednak dwa oparte o stół M16 i potężne rewolwery u pasów

obu gwardzistów sprawiały, że nawet w tych głupawych okolicznościach człowiek miał się na ich widok na baczności.

– Dzień dobry, pani Compton. – Na widok towarzyszącej mi kobiety aryjczyk wertujący „Playboya” schował czasopismo tak szybko, że miałem wrażenie, jakby nagle wyparowało. Drugi ze skinheadów natychmiast rzucił wykałaczkę na podłogę i stanął wyprężony przed sekretarką wielebnego.

– Dzień dobry, chłopcy. Jak wam mija dzień? – zagała Compton. – Mam nadzieję, że nie narobiliście ostatnio żadnych głupstw?

– Oczywiście, że nie, pani Compton – odpowiedziało chórem dwóch osiłków. Zabawnie było obserwować tych umięśnionych brutali zachowujących się przed niską i korpulentną Susan Compton jak para strofowanych dzieci.

– Doprawdy? – Kobieta wyraziła powątpiewanie nieco urażonym tonem. – Zastanawiam się wobec tego, czemu, na Boga, pan Grapes przysłał was na służbę akurat tutaj. No bo na pewno nie dlatego, że jesteście tacy piękni.

Aryjczycy w odpowiedzi wymamrotali coś niezrozumiałego, kiwając głowami. Zrozumiałem w tym momencie, że to nie samej pani Compton tak się obaj boją, a tego, co mogłaby powiedzieć wielebnemu lub Malachiaszowi Grapesowi.

– Muszę na chwilę wejść i zobaczyć się z Ballarinim i jego ludźmi. Otwórzcie, proszę.

– Będzie mały problem, pani Compton – zaczął niewyraźnie jeden z gwardzistów. – Pani może oczywiście wejść, ale ten człowiek nie jest upoważniony, więc nie wejdzie. – Tu wskazał na mnie ręką, jakbym stał gdzieś w oddali i nie miało sensu zagłębiać się w to, kim jestem.

– Bzdura. – Compton machnęła ręką, jakby oganiała się od muchy. – Ten pan pracuje w ratuszu i zajmuje się sekcją hiszpańskojęzycznych helotów. To bezpośredni przełożony mojej siostrzenicy Anne Sue. Odpowiadam za niego.

Aryjczycy spojrzeli po sobie nieco skonfundowani. Wahali się przez kilka sekund. Wreszcie ten od wykałaczki, który – jak się zdaje – był tu przełożonym, wzruszył ramionami i skinął głową.

– W porządku... Skoro tak pani każe – powiedział, sięgając po ciężki pęk kluczy. Następnie otworzył trzy zamki w drzwiach. – Ale muszą się państwo wpisać do księgi wejść.

Posłusznie złożyłem podpis w księdze, tuż pod autografem sekretarki Greene’a. Gdy formalności stało się zadość, weszliśmy do skrzydła sanitarnego. Ja zaś cały czas zachodziłem w głowę, co też takiego może się w nim znajdować.

Najpierw, idąc długim korytarzem, odnotowałem zapach – słodkawą woń z kwaśną nutą. Nie był to smród, wręcz przeciwnie. Co więcej, coś w tym zapachu wydawało mi się znajome. Nie umiałem jednak na razie określić co. Promieniująca władczością pani Compton prowadziła mnie ciągiem pustych korytarzy.

– Nie jesteśmy już w ratuszu. Przeszliśmy do połączonego z nim budynku biurowego – tłumaczyła mi po drodze ciotka mojej durnej sekretarki. – Dawniej znajdował się tu bank, ale jego działanie przestało mieć sens. Połączenia międzybankowe zostały zerwane i właściwie nie ma już pieniędzy. Należało więc lepiej wykorzystać te pomieszczenia. To w końcu jedno z najbezpieczniejszych miejsc w Gulfport.

Przytaknąłem milcząco, bacznie obserwując wszystko dookoła. Zaniepokojony spojrzałem na zegarek. Czas biegł nieubłaganie, a ja wciąż nie miałem ani broni, ani prowiantu. Wiktor był już zapewne na terenie getta. Znając mojego przyjaciela, nie miałem większych wątpliwości, że odnalezienie Lucii i wyprowadzenie jej z Bluefont nie zajmie mu zbyt wiele czasu. Ja tymczasem odbywałem właśnie absurdalną wycieczkę krajoznawczą, mając za przewodniczkę gadatliwą staruchę, a wszystko po to, by przejść całkowicie zbędne badanie lekarskie.

– Jedna sprawa. – Tu pani Compton zatrzymała się, zwróciła w moją stronę i spojrzała na mnie bardzo poważnie. – Chcę, żeby wiedział pan, że to, co dla pana robię, to absolutny wyjątek. Lekarze z zespołu doktora Ballariniego nie przyjmują żadnych pacjentów poza samym wielebnym Greene'em. Wyświadczam panu tę przysługę, bo mam nadzieję, że będzie nam się dobrze współpracować, a przede wszystkim liczę na to, że będzie pan dobrze traktować moją siostrzenicę. Wiem, że dziewczyna robi wrażenie gapy, ale tak naprawdę jest bardzo bystra. Poza tym pochodzi ze znakomitej rodziny. Jeśli da jej pan szansę się wykazać, będzie świetną asystentką.

– Droga pani Compton. – Położyłem dłoń na sercu, dobywając z siebie dawny adwokacki ton i szykując się do wypowiedzenia piramidalnego kłamstwa. – Przyrzekam pani, że Anne Sue nie mogła trafić na uczciwszego i rzetelniejszego przełożonego. Ma pani moje słowo, że będę o nią dbać.

– Wiedziałałam, że porozumiemy się bez trudu – powiedziała z zadowoleniem Compton swoim skrzekliwym głosem. Następnie zwróciła się w prawo i

otworzyła drzwi pomieszczenia, które dawniej było zapewne salą posiedzeń zarządu.

Ludzie, którzy kiedyś tu zasiadali, byliby mocno zdziwieni, widząc, w co przekształciła się ich ulubiona salka. Elegancki długi stół z drewna orzechowego został obcesowo przepchnięty pod ścianę i przekształcony w blat laboratoryjny. Stały teraz na nim trzy potężne mikroskopy elektronowe, wirówka rotacyjna, sterylizator i pół tuzina innych urządzeń, których nie potrafiłem nazwać. Za kolejnymi drzwiami widać było drugą, podobnie wyposażoną i urządzoną salę. Między urządzeniami krzątało się sześcioro mężczyzn i kobiet w białych fartuchach. Wszyscy poruszali się bardzo uważnie i byli niezmiernie skupieni na swojej pracy.

– *Signore* Ballarini – pani Compton zwróciła się do wysokiego mężczyzny pogrążonego w pracy przy spektrografie – potrzebuję pańskiej pomocy.

Doktor Ballarini popatrzył w naszą stronę. Był przystojnym mężczyzną dobiegającym pięćdziesiątki. Jego twarz rozświetlały żywe, pełne wyrazu oczy. Na jego głowie dostrzegłem pierwsze ślady siwizny. Krótka przycięta broda była już za to zupełnie biała. Na nasz widok mrugnął kilkakrotnie. Z wyraźną irytacją odłożył na stół notes zapisany rzędami cyfr i wzorów chemicznych.

– Słucham, co mogę dla pani zrobić, droga pani Compton? – spytał grzecznie poprawną angielszczyzną, w której słychać było jednak włoską melodię. Zachowywał się niezwykle kulturalnie, ale dało się zauważyć, że drażni go nasze wtargnięcie.

– Zechciałby pan poświęcić pięć minut na szybkie zbadanie tego młodego kawalera? – Tu Compton wskazała na mnie. – Mam wrażenie, że zaraził się grypą.

– Ależ naturalnie. Jeśli nie ma innego wyjścia, natychmiast się tym zajmę. – Ballarini przyjrzał mi się obojętnie. – Proponuję, żebyśmy przeszli do...

Przerwało mu charakterystyczne, wznoszące się i opadające na przemian, wycie syreny. Pomyślałem z przerażeniem, że ktoś odkrył kradzież dokumentów jachtu. Krew odpłynęła mi z twarzy. Lada moment, myślałem, wpadną tu gwardziści i mnie aresztują. W tej samej chwili zaczął dzwonić telefon pani Compton. Ta odebrała, następnie przez kilka sekund z uwagą słuchała rozmówcy, by na koniec powiedzieć tylko: „Tak jest, już tam idę”.

– Co się dzieje? – wykrztusiłem, starając się ze wszystkich sił udawać spokojnego.

– Zamieszki w Bluefont – odparła sucho Compton. – Strażnicy wyraźnie słyszeli odgłos wystrzału, a posiadanie broni jest w dzielnicy helotów zakazane. Muszę natychmiast iść. – Tu spojrzała na mnie z wahaniem. Nie wolno jej było zostawić mnie tu samego, a z drugiej strony pilnie wzywał ją Greene. Nie mogła więc tracić czasu na zajmowanie się mną. Wyraźnie biła się z myślami.

– Proszę się mną nie przejmować – powiedziałem. – Po badaniu sam bez kłopotu trafię do wyjścia. Zapamiętałem drogę.

– Zrobiliby to pan dla mnie? Znakomicie! A po badaniu proszę lecieć do domu i dobrze wypocząć. Zobaczymy się jutro w biurze. – Pani Compton pożegnała mnie skinieniem dłoni, po czym odeszła tak szybko, jak tylko pozwalały jej krótkie nóżki. – I proszę dbać o Anne Sue!

Ballarini przyglądał mi się z poważnym wyrazem twarzy.

– Pan nie jest chory – zwrócił się do mnie – a przynajmniej nie ma pan grypy.

– Nie – przyznałem.

– Zechce mi pan więc wyjaśnić, co pan tu robi? Nie wiem, czy zdaje pan sobie z tego sprawę, ale jestem bardzo zajęty.

Miałem w tym momencie dwa wyjścia. Pierwszym było przeprosić za najście i czym prędzej się oddalić. Mógłbym wtedy wrócić korytarzem, przejść obok strażników i wmieszać się w tłum. Gdybym tak zrobił, zapewne zyskałbym dość czasu, by wystarać się o broń i prowiant. Najprawdopodobniej nie wydarzyłoby się też to, co zaraz mnie spotkało, a co wynikało z mojej decyzji o wybraniu drugiego rozwiązania. Wtedy sądziłem jednak, że wybieram wyjście lepsze. W końcu ten człowiek opracował lek przeciw chorobie, która zgładziła ludzkość! Nawet jeśli lek ten był niedoskonały, to i tak musiałem dowiedzieć się więcej. Przede wszystkim zaś musiałem zdobyć choćby niewielką ilość tej ratującej życie substancji. Skoro zamierzaliśmy opuścić Gulfport, to jedna butelka cladoxpanu miałyby niedługo dla nas większą wartość niż cała broń i jedzenie, jakie zdołamy unieść.

– Widzi pan, tak naprawdę przeprowadzam czynności weryfikacyjne w sekcji helotów hiszpańskojęzycznych. – Im dalej brnąłem w kłamstwo, tym swobodniej wyrzucałem z siebie kolejne zdania zmyślonej historii. – Musimy sprawdzić, jak... organizmy pacjentów tolerują cladoxpan. Wielebny prosił mnie, bym całą akcję przeprowadził w dyskretny sposób. Nikt nie powinien wiedzieć, że tu jestem.

– Heloci? O kim pan mówi? – Twarz Ballariniego wyrażała niekłamana konsternację. Pocziwy doktor nie miał bladego pojęcia, o czym mowa.

Zawahałem się. Co teraz? Skoro twórca cladoxpanu nie wiedział nawet, kim są heloci, to jakie w ogóle mógł mieć wyobrażenie o tym, co dzieje się poza laboratorium?

– Doktorze Ballarini, czy wie pan, jakie jest zastosowanie cladoxpanu?

– Oczywiście, że wiem – odparł z miną mówiącą „nie drażnij się ze mną”. – Szczep 15b, potocznie nazywany tu cladoxpanem, to środek paliatywny opóźniający proliferację wirusa TSJ. Stanowi on mieszanekę supresora wirusa i immunowzmacniacza. Poprzez zróżnicowanie aminów...

– Dobrze, w porządku – przerwałem mu, unosząc dłonie. – Wiem już, co to takiego, doktorze. Pytanie brzmi, czy pan wie, komu lek jest podawany.

– To chyba oczywiste? Dostają go osoby, które niedawno uległy zarażeniu... – Wyraz jego twarzy pokazywał dobitnie, że czuje się zbity z tropu. – Przecież nie ma sensu podawać go komu innemu. Dla innych pacjentów jest całkowicie nieprzydatny, a może być nawet toksyczny. Do czego pan właściwie zmierza?

Już miałem zacząć opisywać, do jakich wypaczeń i nazistowskich praktyk dochodzi w Gulfport, ale uznałem, że nie ma na to czasu. W każdej chwili ktoś mógł przecież zajrzeć do księgi wejść i zorientować się, że wciąż nie opuściłem skrzydła sanitarnego. Ponieważ nie było już ze mną sekretarki wielebneho, w razie zatrzymania musiałbym długo się tłumaczyć. Trudno, niech ten włoski lekarz i cały jego zespół poznają prawdę na własną rękę.

– Mniejsza z tym, doktorze – odparłem. – Ważne jest to, że do przeprowadzenia zleconych mi czynności potrzebuję kilku litrów cladoxpanu. Proszę, by mi je pan udostępnił. Chodzi o weryfikację skuteczności i takie tam rzeczy...

– To oburzające! – wybuchnął niespodziewanie Ballarini. – Nie dopuszczę do tego, żeby inne laboratorium weryfikowało nasze produkty, skoro nie mieliśmy nawet dość czasu, by wyksztąpić do końca szczep! Mówiłem to Greene’owi już kilkakrotnie! Bez mojego nadzoru tego laboratorium nie opuści ani jedna kultura grzybów!

Grzyb? Kultura? O czym ten człowiek, do cholery, gada?

– Zechce pan wytłumaczyć się z takiej zachowawczości? – Wszedłem najlepiej, jak umiałem, w rolę śledczego reprezentującego wymiar sprawiedliwości. Udawałem też, że przymierzam się do sporządzania notatek. Im dłużej Ballarini będzie myśleć, że jestem u niego z oficjalną inspekcją, tym lepiej.

– Szczep 15b to nic więcej jak pierwszy operacyjny szczep odmiany, na której pracę zaczęliśmy jeszcze w Atlancie. – Lekarz usiadł na krześle. Ton jego głosu zdradzał podniecenie. Najwyraźniej opowiadał historię, z której jest dumny. Podejrzewam, że nie mnie pierwszemu ją relacjonował i cieszył się, że znalazła się osoba, która jego opowieści jeszcze nie zna. – Kiedy zaczynała się pandemia, nie było mnie w Atlancie. Otrzymałem grant z uniwersytetu w Bolonii i badałem akurat pewną mutację wirusa grypy azjatyckiej. Jednak kiedy epidemia rozpętała się na dobre, poproszono wszystkich, zarówno stałych pracowników CDC, jak i badaczy wizytujących takich jak ja, by jak najszybciej pojawili się w Atlancie i zajęli się badaniami nad TSJ. Oczywiście nikt nie odmówił. Mieliśmy do czynienia z nową, a przez to fascynującą chorobą. Stanęliśmy przed ogromną szansą.

Nie zdziwił mnie taki ton wypowiedzi. Koniec końców, miałem przed sobą naukowca. Dla specjalistów takich jak on nowy wirus stanowił przepustkę do

nagrody, objęcia kierownictwa nad jednostką badawczą, wielu publikacji i tak dalej. Inna rzecz, że TSJ w ciągu tygodnia unicestwił system, który te ewentualne profity mógł zaoferować...

– Z początku nie mogliśmy uwierzyć w to, co widzimy. To było tak... doskonale. – Oczy Ballariniego skrzyły się z podniecenia. – Nie wiem, kto stworzył tego wirusa, i pewnie nigdy się już tego nie dowiemy, ale TSJ to arcydzieło. Ma w sobie to, co najlepsze, z eboli i wirusa grypy, i z jeszcze trzech innych szczepów. Te komponenty nie mają ze sobą nic wspólnego, a jednak nie tylko nie odrzucają się wzajemnie, ale dopasowują w perfekcyjny sposób. To jest... *È un lavoro dell'arte magnifica*[\[12\]](#). Rozumie pan?

– Rozumiem, rozumiem, ale co z tym cladoxpanem? – spytałem z naciskiem, ciągle mając na uwadze upływ czasu.

– Chwila. Wszystko we właściwym momencie. – Ballarini wyraźnie zanurzył się we wspomnieniach. Jego umysł był teraz gdzie indziej. – Kiedy dostarczono nam pierwsze próbki wirusa, nie wiedzieliśmy, jakie symptomy on wywołuje. Dopiero później pokazali nam kilku zarażonych żołnierzy z bazy w Ramstein. Wtedy dotarło do nas, że mamy do czynienia z czymś, co nas przerasta...

– O tak, to takie doniosłe – mruknąłem sarkastycznie pod nosem.

– Pan nic nie rozumie! – Głos lekarza poszybował w górę o dwie oktawy. – W laboratorium w Atlancie było nas siedemdziesięcioro. Siedemdziesięcioro z setki najlepszych wirusologów świata! I co osiągnęliśmy? Przez blisko miesiąc błądziliśmy po omacku kompletnie bezradni. TSJ to mechanizm tak doskonały, że nic, czym próbowaliśmy go powstrzymać, nie skutkowało. Nic! To jakby próbował pan ułożyć puzzle o kilku tysiącach elementów, mając zawiązane oczy i nie będąc nawet pewny, czy wszystkie elementy są w pudełku. Ależ to było frustrujące! – Ballarini huknął dłonią w stół ze zdenerwowania na wspomnienie tamtych tygodni.

– Rozumiem pana, ale przecież cladoxpan...

– Choć z bólem to przyznaję, cladoxpan wynaleźliśmy przez przypadek. – Włoski naukowiec poprawił sobie okulary na nosie. – Wie pan, co to jest *Cladosporium*?

– Prawdę powiedziawszy, doktorze, nie mam pojęcia.

– To grzyb, rodzaj grzyba. Jeden z najczęściej spotykanych na całym świecie. Występuje w tak ogromnej liczbie miejsc, że i w laboratoriach zdarzają się zanieczyszczenia w postaci jego kultur. I takie właśnie pojawiło się w naszym. Próbką leżąca na szalce Petriego uległa zanieczyszczeniu *Cladosporium*, ale z początku nikt nie zwrócił na to uwagi. Nieco później, wciąż poszukując szczepionki, zakropliliśmy TSJ do ponad stu pięćdziesięciu szalek. Tylko w jednej z nich wirus nie był w stanie się rozmnażać. Spróbuje pan zgadnąć w której?

– W tej, gdzie był grzyb? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie, znając z góry odpowiedź.

– Otóż to. Z jakiegoś powodu obecność *Cladosporium* w połączeniu ze szczepem 7n roboczej szczepionki powodowała spowolnienie infekcji TSJ niemal do całkowitego zatrzymania. Nie eliminowała jednak wirusa. Na tym etapie naszych prac doszło do przerwania strefy bezpieczeństwa w Atlancie. Ewakuowano nas wtedy z CDC.

– A jak trafił pan tutaj?

– W chaosie, który towarzyszył ewakuacji miasta, samochód, którym jechałem, oddzielił się wraz z sześcioma innymi od reszty konwoju. Nie umiem powiedzieć, co stało się z ludźmi z pozostałych aut, bo oni kierowali się do Austin w Teksasie. Wiem tyle, że zdjęcia z ostatnich lotów zwiadowczych pokazały, iż Austin zostało zrównane z ziemią. Ja i moi koledzy jeździliśmy bez celu do chwili, aż usłyszeliśmy sygnał z rozgłośni w Gulfport. Było to jedyne, co udało się złapać. Postanowiliśmy spróbować szczęścia i... oto jesteśmy – zakończył lekarz z nieco teatralnym gestem.

– I odkąd tu państwo są, zajęli się państwo produkcją szczepu 15b...

– Czyli cladoxpanu, tak jest. To najstabilniejszy ze szczepów, jaki dotąd udało się nam opracować.

– I ma formę cieczy – dorzuciłem.

– Niezupełnie. Cladoxpan jest subproduktem stanowiącym efekt proliferacji genetycznie zmodyfikowanego grzyba w oparciu o wodę. – Głos Ballariniego przepęniała duma. – To tu mogę poszczycić się wkładem w powstanie leku. Udało mi się spowodować, że wytwarzanie subproduktu stało się proste. Jest ono teraz możliwe na skalę przemysłową, a jego koszt jest niewielki. Wszystko za sprawą modyfikacji proteinowych. Dawniej na wyprodukowanie pięćdziesięciu mililitrów cladoxpanu trzeba było pięciu dni. Teraz wytwarzamy pięćdziesiąt litrów na godzinę.

– Jak to możliwe? – spytałem zdumiony.

– Proszę za mną. – Ballarini podniósł się z krzesła, razem wyszliśmy z laboratorium. Po raz kolejny spojrzałem na zegarek. Czasu ubywało, ale byłem o krok od zdobycia co najmniej kilku litrów cladoxpanu. Warto było zaryzykować.

Doktor zaprowadził mnie na parter budynku, gdzie do niedawna znajdował się bankowy skarbiec. Potężne stalowe drzwi wymontowano. Urządzono tu teraz pomieszczenie produkcyjne zastawione rzędami ogromnych skrzyń i beczek ze stali nierdzewnej.

– Ten sprzęt udało się uratować z destylarni burbona – wyjaśnił naukowiec.
– Nie jest to może szczyt techniki laboratoryjnej, ale sprawdza się jak dotąd zupełnie dobrze.

– Można produkować lek na urządzeniach z gorzelni?

– Prawda jest taka, że cladoxpan dałoby się zrobić nawet w plastikowym wiadrze. Warunek jest taki, żeby w pomieszczeniu panowały odpowiednie temperatura i wilgotność. Przy trzydziestu siedmiu stopniach Celsjusza szczep zaczyna wydzielać cladoxpan.

Pochyliłem się nad jednym ze zbiorników i o mało nie krzyknąłem. Na dnie, zanurzona w setkach litrów wody, spoczywała bulwiasta biaława masa zbliżona rozmiarem do ludzkiego mózgu, ale posiadająca liczne odgałęzienia i węzły. To wyglądające jak nie z tego świata „coś” raz po raz wypuszczało z siebie mętne serum, które w zetknięciu z wodą przybierało formę syropu o mlecznym zabarwieniu. Powstały „syrop” momentalnie unosił się ku powierzchni wody.

– To szczep 15b zanurzony w roztworze wodnym glukozy – z dumą w głosie wyjaśnił Ballarini. – Kultura tej wielkości jest w stanie wytwarzać cladoxpan dla pięćdziesięciu osób przez kilkadziesiąt lat. A najlepsze jest to, że jeżeli odetniemy od niej kawałek i zanurzymy go w innym zbiorniku, to po trzech miesiącach osiągnie on ten sam rozmiar. Następuje tu samoreplikacja, jak w przypadku bakterii w kumysie czy w kefirze.

– A więc można by to w nieskończoność powielać i każdy mógłby wytwarzać lek? – Efekty odkrycia, z którym się właśnie zapoznałem, mogły mieć zasięg globalny. Gdyby cladoxpan był wszechobecny, zarażenie TSJ stałoby się niczym więcej jak chroniczną dolegliwością, czymś w rodzaju wiecznego kataru. Z tą małą różnicą, że zaprzestanie przyjmowania leku miałoby zgubne konsekwencje.

– Zgadza się – przytaknął Ballarini.

– Doktorze, powinien pan w takim razie natychmiast zacząć rozprowadzać cladoxpan po świecie.

– Mowy nie ma! Nie pozwolę na to, póki nie opracujemy ostatecznej wersji i jej nie opatentujemy. Nie dopuszczę, by ktoś inny przywłaszczył sobie nasz wynalazek i uznanie należne mnie i mojemu zespołowi.

– Ależ, doktorze... Tamten świat już nie istnieje! – zacząłem błagalnym tonem. Próbowałem przekonywać Ballariniego, ale nic, co powiedziałem przez kolejnych dziesięć minut, nie było w stanie sprawić, by zmienił zdanie. Ten człowiek był prawdziwym geniuszem, ale – jak to często bywa z wielkimi umysłami – nie do końca nadążał za rzeczywistością. Świat zaczynał i kończył się dla niego pośród czterech ścian laboratorium. Dalsza dyskusja nie miała sensu.

– W porządku, ale wobec tego niech pan przynajmniej wyda mi kilka litrów cladoxpanu. – Nie miałem już czasu, musiałem jak najszybciej się stąd zabierać. W oddali usłyszałem odgłos przypominający wybuch i czułem, że niedługo

zaczną się kłopoty.

– Do czego ich pan potrzebuje? – spytał Ballarini. – Nie jest pan przecież nosicielem TSJ.

Jęknąłem cicho, bliski załamania. Rozmowa z tym facetem przypominała rzucanie grochem o ścianę. Wtem usłyszałem, jak ktoś wchodzi do sali.

– Żadnych nerwowych ruchów, cwaniaczkę. Stój grzecznie, bo ci wpakuję w łeb cały magazynek. – Usłyszawszy zza pleców głos, który wypowiedział te słowa, zamarłem. Miałem przejebane. Kompletnie i ostatecznie. Sztywny ze zdenerwowania odwróciłem się bardzo powoli.

– Cześć, Grapes – przywitałem się grzecznym tonem. Przywódca aryjczyków stał naprzeciw mnie w towarzystwie dwóch gwardzistów uzbrojonych w M16.

– *Porca puttana, figlio di troia, ma che cazzo vuoi?*[13] – Ballarini wściekle miotał przekleństwa pod moim adresem. Po uprzejmym i taktownym lekarzu, z którym rozmawiałem jeszcze przed chwilą, nie było śladu. Zmiana w jego zachowaniu była tak drastyczna, że nie umiałem wytłumaczyć jej niczym innym niż jakimś rodzajem niezrównoważenia emocjonalnego. Czysto iluzoryczne zagrożenie, że ktoś przywłaszczy sobie efekty jego pracy, sprawiało, że naukowiec kompletnie tracił panowanie nad sobą.

– Nie powinieneś się tu pokazywać, zwłaszcza po tym, jak kamera nagrała cię, kiedy grzebałeś w nie swoim sejfie. Jednak kawał kretyna z ciebie – skostatował Grapes ze złowieszczym uśmiechem, wsuwając kciuki za pas.

Widać było, że aryjczyka cieszy cała ta sytuacja. Przypominał typowego szkolnego łobuza w chwili, gdy dopadnie swoją ofiarę i zapędzi ją w kąt korytarza. Byłem pewien, że nie po raz pierwszy ma okazję napawać się podobną sytuacją.

– Nie jestem idiotą, wiesz? – Grapes cierpko cedził słowa. Wyglądał na lekko czymś odurzonego, ale nie tracił czujności. – Odkąd tylko się tu pojawiłeś, czułem, że coś jest z tobą nie tak. Już z raportu kapitana wynikało, że kwestionujesz niektóre z naszych metod. Myślałeś, że będziesz mógł sobie swobodnie biegać i kraść? Cały czas byłeś pod nadzorem, idioto.

– Grapes, to nie jest tak, jak myślisz. Zaszło nieporozumienie. Masz rację, niezbyt tu pasujemy. Najlepiej będzie, jeśli po prostu szybko stąd wyjedziemy, zgoda? – Mówiąc, cały czas przesuwalem się bardzo pomału w stronę drzwi wyjściowych. Niestety, dwóch gwardzistów towarzyszących Grapesowi ustawiło się w taki sposób, że nawet nie miałem po co próbować ucieczki. Jedynym wyjściem było odwrócić jakoś ich uwagę. Tylko jak?

Ballarini patrzył na mnie skonfundowany. Jeszcze przed kilkoma minutami naukowiec był święcie przekonany, że jestem bliskim współpracownikiem Greene'a, tymczasem teraz pojawił się Grapes, twierdząc, że jestem zdrajcą i szpiegiem. Twarz Włocha raz po raz zmieniała barwę, aż wreszcie osiągnęła

odcień ciemnopurpurowy. Najwyraźniej do Ballariniego dotarło właśnie, że dał się oszukać jak małe dziecko. I nagle z krzykiem rzucił się w moją stronę, próbując mnie uderzyć. Cóż, doktor bez wątpienia był genialnym naukowcem, ale o biciu się nie miał najmniejszego pojęcia. Z łatwością odparowałem jego słaby, dziecinny cios i popchnąłem go mocno na stojącego na szczycie schodów Grapesa. Ludzka kula runęła w dół klatki schodowej przy akompaniamencie przekleństw i okrzyków bólu.

To był moment, na który czekałem. Wykorzystując to, że spojrzenia gwardzistów powędrowały za Grapesem i Ballarinim, skoczyłem energicznie w prawą stronę, starając się wyminąć z zaskoczenia stojącego najbliżej mnie aryjczyka. Ten w ostatniej chwili wyciągnął rękę, próbując mnie powstrzymać, ale spóźnił się. Zdążyłem przemknąć pomiędzy nim a ścianą.

Gdybym był bohaterem filmu akcji, drugi z gwardzistów również tylko na próżno machałby rękoma. Minałbym go zręcznym ruchem i pobiegł dalej. Perfekcyjne wykończenie sprytnego planu ucieczki.

Mój problem polegał na tym, że bohaterowie filmów akcji tak naprawdę nie istnieją. A już na pewno ja nie byłem jednym z nich.

Drugi gwardzista przypuścił na mnie szarżę godną zawodowej ligi futbolu amerykańskiego. Moje osiemdziesiąt kilogramów wagi było śmieszne w starciu z tym stuczterdziestokilowym bydlakiem, który dodatkowo był na mnie solidnie wkurzony. Facet szarpnął mnie za kolana, przeciągnął mną po ziemi i cisnął o stalową beczkę. Uderzyłem głową w kant stelażowej rury podtrzymującej zbiornik. Poczułem silny ból i przez chwilę nie widziałem nic poza ostrym białym światłem.

Próbowałem dźwignąć się z ziemi, ale Grapes wykorzystał moment, gdy leżałem ogłuszony, by zbliżyć się do mnie i stanąć nade mną z wyrazem perwersyjnej satysfakcji na twarzy.

– Miałem ochotę to zrobić, odkąd się poznaliśmy, zasrany cwaniaczku – warknął. – Nigdy nie lubiłem prawników.

Kopnął mnie w głowę z taką siłą, że przed oczami zawirował mi cały kalejdoskop barw. Potem wszystkie światła i kolory pochłonęła ciemność. Zemdlałem.

*Cóż gorszego na tym świecie niż być
nieśmiertelnym i musieć wiecznie postępować
należycie?*

J.P. Rameau, *Platé*

Gdy się ocknąłem, najpierw poczułem, że mam na twarzy jakąś lepka substancję. Przez sekundę myślałem, że wylali mi na głowę serum wchodzące w skład cladoxpanu. Ale kropla tej tajemniczej cieczy spłynęła mi do ust i natychmiast rozpoznałem jej charakterystyczny, żelazisty smak. To była krew. Moja własna krew.

Miałem na głowie spore rozcięcie. Nie byłem tego do końca pewien, ale zdawało mi się też, że jeden z zębów trzyma się w dziąśle słabiej niż przedtem. O tym, że prawe oko zdołałem rozchylić z największym trudem, nie warto nawet wspominać. Sprawa była prosta: spuścili mi solidny łomot.

Siedziałem na krześle w gabinecie Greene'a. Wpadające przez okno światło mówiło mi, że jest już bardzo późno. Uświadomiłem sobie z przerażeniem, że słońce zajdzie lada chwila, a to oznaczało, że jeśli natychmiast nie znajdę sposobu, by się stąd wydostać, nie dam rady na czas spotkać się z Lucią i Wiktorem. Wiszący na ścianie klimatyzator warczał cicho. Poza tym nie słyszałem nic. Byłem sam. Ręce miałem skute za plecami w taki sposób, że nie mogłem ani wstać, ani przesunąć krzesła. Poruszyłem nadgarstkami i usłyszałem brzęk ogniw. No jasne – więzienne kajdany. Zważywszy na to, skąd wzięli się tu aryjczycy, trudno było spodziewać się czego innego.

Siedziałem przez chwilę nieruchomo, starając się myśleć pozytywnie. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że ciężko w moim obecnym położeniu doszukać się czegokolwiek dobrego, no, może poza tym, że ktoś zadał sobie trud, by poluzować mi krawat. Dzięki temu łatwiej mi się oddychało. Mój nowy garnitur był zniszczony: cały poplamiony krwią, a do tego w kilku miejscach rozdarty.

Drzwi nagle otworzyły się z hukiem i do gabinetu wpadł wielebny. Tuż za nim do środka weszli Malachiasz Grapes i pani Compton, której wyraz twarzy zdradzał, że jest bardzo zmartwiona i przejęta. Aryjczyk z kolei był w doskonałym nastroju i powitał mnie szyderczym gestem. Wielebny wyglądał okropnie: jego twarz robiła wrażenie jeszcze bardziej zmęczonej i szarej niż zazwyczaj. Tiki nerwowe raz po raz poruszały którymś z jego policzków, a na nosie Greene'a pojawiły się niezdrowo wyglądające przebarwienia. Wszystko to

nadawało mu wygląd chorowitego pijaczyny. Najdziwniejsze wydały mi się jednak jego oczy. Jakby spowijała je matowa przesłona podobna do tych widywanych u osób chorych na kataraktę.

– Witam wielebnego! – zacząłem, siląc się na żartobliwy ton. – Żle wielebny wygląda. Trzeba bardziej o siebie dbać! Proszę tylko spojrzeć na mnie.

– Zamknij mordę, pajacu! – Grapes spoliczkował mnie wierzchem dłoni. Następnie przystawił do biurka krzesło dla Greene’a.

– Wielebny, przysięgam... Ja naprawdę byłem przekonana, że... – Pani Compton przebierała nerwowo dłońmi. Z wyraźnym przestraczem starała się wytłumaczyć, jak doszło do tego, że znalazłem się w strzeżonym skrzydle.

– Proszę się uspokoić, pani Compton – powiedział Greene uprzejmym tonem. – Wiem, że zrobiła to pani, chcąc czynić dobro. Pan nasz szczęśliwie zawsze nad nami czuwa, więc zdołaliśmy na czas schwytać tego sługę Szatana. Proszę teraz usiąść tam, w rogu, i zapisywać zeznania tego człowieka.

Pani Compton z wyraźną ulgą zasiadła za maszyną do stenografowania. Wielebny, zmagając się z bardzo dokuczliwym kaszlem, zajął miejsce naprzeciwko mnie. Po jednej stronie blatu położył Biblię, po drugiej – ustawił szklaną butelkę wypełnioną kremową cieczą.

– Wie pan, co to jest? – Wskazał na butelkę.

– Stawiam, że to żółć wielebnego – odparłem – choć może to też być zbiorowy produkt pańskiej Zielonej Gwardii. Wyglądają mi na takich, którzy lubią się zebrać pod prysznicem i...

Spodziewałem się, że Grapes znów mnie uderzy, ale i tak zabołało jak cholera. Mimo wszystko zdobyłem się na uśmiech, jakbyśmy sobie w najlepsze po przyjacielsku gadali.

– To jest butelka pełna cladoxpanu – zakomunikował spokojnie Greene. – To właśnie próbował pan ukraść.

Tym razem nic nie powiedziałem. Patrzyłem tylko w milczeniu na mojego rozmówcę, zastanawiając się, do czego zmierza.

– To prawdziwe boże błogosławieństwo – ciągnął Greene. – Jeśli zatruje cię jad Nieumarłych, ten płyn da ci życie. A przynajmniej pozwoli ci go nie stracić. Jednakże jeśli człowiek zdrowy wypije choć kroplę, cladoxpan zadziała jak silna trucizna. Taka osoba umrze w ciągu kilku minut, cierpiąc potworny ból. To jak awers i rewers tej samej monety.

Stojąca na stole butelka nagle zaczęła przyprawiać mnie o ogromny dyskomfort. Człowiekowi może się wydawać, że jest gotowy na spotkanie ze śmiercią, ale kiedy przychodzi co do czego, okazuje się, że dusza i ciało aż rwą się, by żyć, choćby pięć minut dłużej.

– Z wielką radością oświeciłbym pańską grzeszną duszę, jednak pan stracił

już wszelkie szanse na zbawienie. Poza tym, wszystko po kolei...

Trzęsącą się ręką Greene otworzył butelkę, pochylił ją i hojnie nalał kremowej cieczy do plastikowego kubka. Odstawiwszy go na chwilę na blat, złożył ręce i zaczął modlić się szeptem. Obserwowałem kaznodzieję, z całej siły zaciskając szczęki. Jeśli zechcą mnie zmusić do wypicia choć kropli tej trucizny, będą musieli wybić mi wszystkie zęby.

Wielebny skończył modlitwę, wypowiadając głośne „amen”. Następnie podniósł się z krzesła, przyjrzał mi się badawczo, sięgnął po kubek...

I jednym haustem wypił całą jego zawartość.

Oniemiałem. Przez krótką chwilę myślałem, że ten nawiedzony facet postanowił przyspieszyć swoje spotkanie z Bogiem. Zaraz jednak pojąłem wszystko.

Drżenie rąk całkowicie ustało. Cera wielebnego, choć minęło dopiero kilkadziesiąt sekund, odzyskiwała normalny wygląd. Drobne żyłki widoczne wcześniej na ciele Greene'a w błyskawicznym tempie znikwały, a oczy spowite jeszcze przed chwilą mętną kataraktą znów jaśniały ze złowieszczą energią.

– Pan... – wykrztusiłem zdumiony. – Wielebny... jest nosicielem TSJ!

– Bardzo bystry ten nasz adwokat. – Grapes w dalszym ciągu znakomicie się bawił. Brakowało mu tylko miski popcornu. Wtedy mógłby w pełni cieszyć się spektaklem.

– Doktor Ballarini to prawdziwy geniusz, ale i kompletny wariat. Zupełnie mu odbija, jeśli wyciągnie się go z jego królestwa w laboratorium – stwierdził wielebny głosem znacznie mocniejszym niż przed momentem. Otarł z czoła resztki potu i kontynuował: – Praca nad cladoxpanem to jego obsesja. Pochłania go tak bardzo, że nasz poczciwina nie wie nawet o interesującym efekcie ubocznym, jaki wywołuje jego dzieło.

– A co to za efekt? – ośmieliłem się spytać.

– Cladoxpan nie tylko hamuje występowanie symptomów zarażenia TSJ. Z Bogu tylko znanych powodów spowalnia on wszelkie zachodzące w ludzkim ciele procesy degeneracyjne. Sprawia, że przestają wypadać włosy, skóra się nie starzeje, nie pojawiają się zmarszczki...

– Czyni człowieka nieśmiertelnym? – zapytałem oniemiały.

– Oczywiście, że nie, ciemny ignorancie! – odparł z oburzeniem Greene. – Nieśmiertelność dać może jedynie Bóg, który czyni to, darując nam żywot wieczny w niebie. Przyjmowanie cladoxpanu nie zapobiega śmierci. – Tu rozemocjonowany wielebny zrobił pauzę. – Po prostu znacznie spowolniony zostaje proces starzenia. Testy przeprowadzone na szczurach potwierdzały hipotezę, a późniejsze eksperymenty na ludziach do końca rozwiąły

wątpliwości. – Wielebny nachylił się ku mnie, z jego twarzy była ekscytacja. – Po raz pierwszy od czasów potopu Bóg ofiarowuje nam dar długowieczności Patriarchów! Żyć tyle co Henoch, co Matuzalem! Dożyć tysiąca lat! Teraz to możliwe! Bóg zesłał błogosławieństwo, wielki dar! To dar Pana dla m n i e, Jego proroka! Dlatego dobrowolnie zainfekowałem swe ciało. Muszę przyjmować cladoxpan, by przez stulecia głosić Słowo Boże i przygotować ludzkość na powtórne przyjście naszego Pana.

– Jest pan wariatem, Greene. – Pokręciłem głową z obrzydzeniem. – Kompletnie stracił pan rozum. Kiedy tylko pańscy heloci zorientują się, jaki efekt wywołuje lek, przestanie pan różnić się od nich czymkolwiek poza kolorem skóry. A wtedy mieszkańcy Gulfport zaczną brzydzić się panem i wymówią posłuszeństwo.

– Żaden helota nie przeżyje więcej niż dwa lata – oznajmił rozgorączkowany wielebny. – Najmłodszy i najstarszy są, z chrześcijańskiego miłosierdzia, szybko eliminowani. Pozostali zazwyczaj też nie utrzymują się przy życiu zbyt długo. A jeśli już któryś znacznie przekroczy średnią życia, zostanie zgładzony jak bezbożnicy z Sodomy. Żyć dalej będziemy jedynie my, naznaczeni przez Baranka Bożego, prawi w Panu i czysti! Wszyscy inni staną się pokarmem piekieł.

Z uwagą przypatrywałem się Greene'owi. Jego oczy płonęły ogniem szaleństwa. Wielebny z każdą sekundą coraz bardziej zatracił się w swojej fantasmagorii. Mroczna siła kipiąca wewnątrz niego potężniała z każdą chwilą... I była żądna krwi.

W kącie pokoju dał się nagle słyszeć hałas – to pani Compton, o której wszyscy na chwilę zapomnieli, podniosła się z miejsca. Poblądła stała teraz nieruchomo i zakrywając dłonią usta, wpatrywała się w wielebnego.

– Boże wszechmogący – jęknęła – to niemożliwe, to nie może być prawda! Błagam, niech wielebny powie mi, że to nie tak! Przecież nie...

Greene ze znużonym wyrazem twarzy skinął tylko w stronę Grapesa. Ten podniósł się, spokojnie wyciągnął broń i przechylając rewolwer na bok w gangsterskim stylu, bez słowa wpackował trzy kule w zdumioną kobietę.

Pierwszy nabój przeszył płuco pani Compton, a siła wystrzału rzuciła ją o ścianę. Druga kula utkwiała w jej sercu, a trzecia trafiła prosto w lewe oko. Ciało asystentki Greene'a ciężko osunęło się na kosztowny dywan z tureckiej wełny, który ozdobił podłogę gabinetu. Z rany w czaszce sączył się obfity strumień krwi, której meandrujące strużki tworzyły teraz na podłodze kolejną arabeskę.

– Ta cholerna idiotka powinna wiedzieć, że nie toleruję u swoich podwładnych podejmowania decyzji na własną rękę – mruknął Greene ze złością. – I tak znosiłem ją zbyt długo. „Wielebny to, wielebny tamto”... Chyba zaczęło jej się wydawać, że coś tutaj znaczy. Przez moje usta przemawia Pan.

Jego słowo jest prawem. Wszystko inne jest nieistotne.

Byłem sparaliżowany strachem, kompletnie straciłem rezon. Całe moje silenie się na luz i nonszalancję trafił szlag dokładnie w chwili, gdy Grapes wystrzelił pierwszy nabój.

– Pani Compton była w Gulfport ceniona i kochana. – Grapes wytrząsnął ze swojego rewolweru łuski i wetknął je w bębenek zdezelowanego colta, którego właśnie wyjął z torby. Skończywszy tę czynność, rzucił starą broń na podłogę, tuż obok zwłok sekretarki. – Kiedy ludzie zobaczą nagranie z kamery przemysłowej, na którym kradniesz dokumenty, będą doskonale wiedzieli, co myśleć. Stanie się dla nich jasne, że stara nakryła cię na gorącym uczynku i próbowała powstrzymać. No, a ty, bezwzględny skurwieli, wpakowałeś jej trzy kulki. Całe miasto zechce powiesić cię za jaja, przyjacielu.

Ja pierdołę. Zabiją mnie. O dziwo, zupełnie jasno myślałem o tym, że właśnie przeżywam ostatnie chwile życia. Potwornie żał było mi tylko rozstania z Wiktorem, Lucią i Lukullusem. Nagle pożałowałem, że tego ranka nie poświęciłem futrzanemu przyjacielowi choćby jednej minuty więcej. Dobrze chociaż, że umrę jako człowiek, a nie jakieś zmutowane, przegniłe gówno. Raz-dwa i będzie po sprawie. Ciekawe, czy to boli...

– W porządku, przyszedł czas, by wymierzyć sprawiedliwość tej zdradzieckiej, grzesznej gnidzie. – Greene uniósł Biblię i odczytał fragment z zaznaczonej strony. – „Tak mówi Wszechmocny Pan: Rozciągnę nad tobą moją sieć w zgromadzeniu licznych ludów – i wyciągnę cię w moim niewodzie. Rzucę cię na ziemię, zwalę cię na otwarte pole, i będą na tobie siadały wszelkie ptaki niebieskie, i nasycę tobą wszelkie zwierzęta całej ziemi. Rozrzucę twoje cielsko po górach i wypełnię zarobaczoną twoją padliną doliny”. Ezechiel, rozdział trzydziesty drugi, wersety trzy–pięć. – Zamknął Biblię. – Bóg przemówił przez moje usta.

– Co z nim teraz zrobić, wielbny? – spytał Grapes służalczym tonem.

– Wygnać go z Gulfport, tak jak Bóg wygnał z raju Adama, gdy ten dopuścił się grzechu pierworodnego. Porzucie go na pustkowiu bez wody, pożywienia i broni. Niech Nieumarli, dzikie zwierzęta i pragnienie zakończą jego nędzny żywot. Niech jego śmierć będzie powolna i bolesna, tak by stanowiła pokutę dla jego grzesznej duszy.

– Jesteś łajdakiem, Greene. Może i mnie udupisz, ale i tak cieszę się, że nie jestem taki jak ty! – Głos mi drżał. Nie byłem w stanie mówić spokojnie po części ze wściekłości, po części z powodu ulgi, że nie zginę za minutę od kuli.

– Nawet tu się mylisz, głupcze. – Wielbny pochylił się ku mnie tak bardzo, że nasze twarze niemal się zetknęły. Odchrząknął głośno, by następnie splunąć gęstą, żółtawą wydzieliną wprost na otwartą ranę na moim czole. Gdy jego ślina wniknęła w rozcięcie na skórze, poczułem silne pieczenie.

– Teraz jesteś jednym z naznaczonych bożym płomieniem – delikatnie, niemal czule odgarnął mi włosy z czoła – a twoja śmierć będzie jeszcze dłuższa, niż sobie wyobrażałeś.

Greene odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Malachiasz Grapes przywołał dwóch aryjczyków i kazał im mnie wyprowadzić.

Byłem zbyt rozbity psychicznie, by myśleć o stawianiu jakiegokolwiek oporu. Po policzku spływała mi samotna łza.

Dwa lata. Bronilem się przez dwa lata.

I w końcu przegrałem.

TSJ mnie dopadł, zostałem zarażony.

Lucia próbowała później przypomnieć sobie przebieg zdarzeń, ale jej się nie udało. Przed oczami miała tylko urywki, strzępy obrazów i informacji. Jej wspomnienie przypominało pospiesznie zmontowany film, w którym brakuje obszernych fragmentów.

Gdy rozległo się wycie syren, heloci dookoła niej i Wiktora w popłochu rozbiegli się na wszystkie strony. Pozostała przy nich tylko Alejandra. Cały czas trzymała Ukrainca za rękę i przyglądała mu się w skupieniu.

– Dokąd oni wszyscy biegną? – spytał Wiktor.

– Zaczyna się łapanka – odpowiedziała zaniepokojona Ale. – Najlepsze, co można w tej sytuacji zrobić, to nie wchodzić w drogę zbójom Greene’a, zwłaszcza jeśli nie ma się właściwych papierów.

– Ja nie mam żadnych papierów – wtrąciła Lucia nieświadoma ludobójczych praktyk ratusza. – Wiktor też nie.

– Ani ja – dodała Meksykanka. – Skoro już o tym mówimy, to najnowszych papierów nie ma połowa ludzi w getcie. Zresztą, nawet ci, którzy je mają, nie są w pełni bezpieczni.

– To w takim razie co robimy?

– To co cała reszta: chowamy się. – Meksykanka z dużym wysiłkiem podniosła Pritzenkę z podłogi. – Chodźcie!

Wyszli we troje na ulicę. Typowe dla Bluefont nieład i gwar zniknęły. W oddali widać było grupki uciekających ludzi, wbiegających do domów i starających się ukryć. W sąsiedztwie kantyny pozostało na widoku tylko kilka osób. Stały spokojnie z poważnym wyrazem twarzy. Byli to ci, którzy mieli stosowne papiery (co w tamtym akurat tygodniu oznaczało różową kartę ze śliwkową lamówką i zdjęciem) i którzy, przynajmniej w teorii, nie mieli czego się obawiać. Zaznaczmy jednak: w *teorii*. W Bluefont sytuacja potrafiła z dnia na dzień zmienić się o sto osiemdziesiąt stopni. Dotyczyło to także dokumentów. Dlatego też wielu spośród tych, którzy dysponowali stosowną, różową kartą, i tak wolało dyskretnie wmieszać się w tłum i zniknąć władzy z oczu. Ostrożności nigdy za wiele.

– Dokąd pójdziemy? – spytał, oddychając z trudem, Wiktor. Za każdym razem, gdy brał wdech, na jego twarzy pojawiał się grymas bólu. Połamane żebra mocno dawały mu się we znaki.

– Nie wiem – odparła drżącym głosem Ale. Dziewczyna intensywnie myślała, starając się znaleźć rozwiązanie. – Mam kryjówkę nad kanałem, ale ona jest bardzo ciasna. Mieści się w niej tylko jedna osoba.

– Ukryjmy tam Wiktora, a same schowajmy się gdzie indziej – zaproponowała Lucía.

– Niewykonalne. – Alejandra pokręciła głową. – Doprowadzanie go tam zajęłoby nam z dziesięć minut. Milicja i Zielona Gwardia będą tu za pięć. Musimy pogadać z „Kotem”.

– Z tym bydlakiem?! – Lucía skrzywiła się z niedowierzaniem. – Mowy nie ma! Ten skurwiel o mało nas nie zabił.

– Posłuchaj, koleżanko. Jeśli ktokolwiek jest w stanie nam teraz pomóc, to niestety tylko Mendoza. – Alejandra odetchnęła i ponownie zarzuciła sobie na plecy kałasznikowa. Niesiona przez filigranową brunetkę broń robiła wrażenie znacznie większej, niż w istocie była, i przyciągała liczne spojrzenia przestraszonych helotów przemykających ku swoim kryjówkom. – Nie ma teraz czasu na głędzenie. Chwyć swojego kumpla z drugiej strony i chodźmy.

Mendoza tymczasem siedział przy stole. Spokojnie zabrał się za dokańczanie butelki tequili, jakby całe zamieszanie wokół zupełnie go nie dotyczyło. Meksykanin był wściekły, ale starał się nie okazywać emocji. Łapanka mogła przekreślić szanse powodzenia operacji, którą planował, ale też dzięki niej wszystko mogło potoczyć się szybciej i sprawniej. Należało rzecz właściwie rozegrać.

– „Kocie”, musimy skorzystać z tego twojego lochu – powiedziała Alejandra, stanąwszy naprzeciw Meksykanina. – Proszę, wpuść nas tam. Nie mamy gdzie się podziać.

– Mam w dupie, gdzie się podziejecie – odparł cierpko. – Całe to zamieszanie jest przez ciebie.

Meksykanka poczerwieniała ze złości po same cebulki włosów, ale udało jej się opanować i nie wybuchnąć.

– Jesteś tak samo winny jak ja. To przez ciebie ta bójka i to ty zacząłeś ją rozbierać. – Starła się mówić spokojnie. – Więc zachowaj się teraz jak człowiek i pomóż nam. Proszę.

Meksykanin zaciągnął się papierosem. Z jego twarzy trudno było wyczytać, co myśli. W końcu rzucił niedopałek na podłogę, odetchnął głęboko i wstał.

– Chodźcie tędy – powiedział. – Nie wiem, po jaką cholere to robię. Mam nadzieję, że nie będę potem żałował.

Mendoza wyszedł na ulicę, nie fatygując się, by pomóc dziewczynom dźwigającym na ramionach Pritczenkę. Szli chwilę w milczeniu, aż doszli do dużego domu w stylu Tudorów. Rezydencja dość wyraźnie kontrastowała z resztą zabudowy Bluefont. Dawniej musiał to być piękny dom, ale brak dbałości

i nadmierne obłożenie mieszkańcami spowodowały, że nie prezentował się teraz najlepiej. W oknach nie było szyb, a przydomowy ogród, kiedyś zapewne wzorowo utrzymany, stał się smutną plataniną chaszczy, chwastów i dzikich krzaków pomidorowych.

Meksykanin wszedł do środka i ruszył w dół schodami prowadzącymi do piwnicy. W suterenie czuć było benzyną, wilgocią i zgnilizną. W kącie leżał zaschnięty szczurzy szkielet, który witał przybyszów sardonicznym uśmiechem.

Carlos Mendoza przesunął dłonią po ceglach. W końcu natrafił na to, czego szukał. Mruknąwszy z zadowoleniem, szarpnął za ukrytą dźwignię i odsunął się od ściany.

Mechanizm zazgrzytał, po czym spory fragment ściany przesunął się o kilkadziesiąt centymetrów, odsłaniając ukryte pomieszczenie. Meksykanin skinął na pozostałych, by weszli do środka. Lucía wymuskał się cichy okrzyk zdumienia. Przy jednej ze ścian stało olbrzymie łóżko, nad którym do sufitu przytwierdzono lustro. Na ścianach wisiały kajdanki, skórzane uprząże, komplet dildo, wibratorów, pejczy i innych zabawek erotycznych.

– Słodka tajemnica poprzedniego właściciela domu – skomentował z szyderczym uśmiechem Mendoza. – Zależało mu, żeby sąsiedzi nie dowiedzieli się, jak zabawia się z młodymi chłopaczkami. Gdybyśmy mieli więcej czasu, pokazałbym wam parę bardzo ciekawych nagrań, które tu powstały. Chociaż jeśli nie lubicie ostrego seksu z udziwnieniami, to raczej się wam nie spodobają.

– Zostawmy to na później – rzuciła Alejandra z lekką irytacją. Była już bardzo zmęczona dźwiganiem Wiktora. – Pomóż nam położyć go na łóżku.

Razem ułożyli Pritczenkę na satynowym prześcieradle. Było na nim kilka podejrzanie wyglądających plam, których Lucía i Ale wołały nie dotykać. Gdy Wiktor leżał już wygodnie, pozostali usiedli na podłodze. Zaczęło się milczące oczekiwanie.

Z początku nie działo się nic. Później usłyszeli silniki hummerów i głos krzyczący coś przez megafon. Potem znów na dłuższą chwilę zaległa cisza. Źródłem jedyne go dźwięku w pomieszczeniu był ciekący kran. Krople kapiące jedna po drugiej do niewielkiej umywalki doprowadzały Lucię do szału.

Gdzieś w pobliżu padły strzały. Ktoś wystrzelił kilka razy, po czym przez moment znów było całkiem cicho. Po chwili jednak ciszę zmaćił dobiegający z bardzo niedaleka ryk silnika.

– Są na tej ulicy – wyszeptał Mendoza, gasząc światło w pomieszczeniu. – Bądźcie teraz wszyscy cicho. Jeśli ktoś powie słowo, znajdą nas i zabiją.

Na parterze domu, ponad ich głowami, rozpoczęło się przeszukanie. Po chwili rozległ się trzask pękającego drewna. Brzmiało to tak, jakby ktoś przewrócił na podłogę ciężki mebel. Minęła krótka chwila i z góry dobiegł krzyk przerażonej kobiety. Był nienaturalnie krótki – momentalnie ucichł

zdławiony, jakby kobieta wpadła pod wodę.

W suterenie panowała grobowa cisza. Czuć było gęstym potem i zwierzęcym strachem. Nawet Mendoza porzucił swoją pozę macho i siedział cichutko jak trusia z zaciśniętymi ustami i dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

Nagle na schodach prowadzących do piwnicy dały się słyszeć kroki. Drewniane szczeble odzywały się jeden po drugim. Ktoś schodził na dół, gwizdząc niezbyt udolnie *Hey Jude* Beatlesów. Raz na jakiś czas fałszowanie ustawało i słyhać było odgłos przesuwanych mebli. Po chwili znów rozbrzmiewał gwizd i melodia płynęła dalej. Oczekiwanie dłużyło się i przyprawiało o gęsią skórkę.

Lucía spojrzała na Wiktora, który właśnie odgarniał sobie z czoła mokry od potu kosmyk włosów. Ukrainiec dokładał nadludzkich starań, by panować nad oddechem. Nie wyglądał najlepiej, ale widząc, że dziewczyna mu się przygląda, zdobył się na coś w rodzaju uspokajającego gestu.

Człowiek za ścianą skończył przeszukiwać podłogę pomieszczenia przylegającego do kryjówki i zajął się opukiwaniem murów. Stukał w ściany miejsce po miejscu, starając się natrafić na głuchy odgłos zdradzający obecność skrytki. Poszukiwania rozpoczął po stronie przeciwległej do tej, na której znajdowało się wejście. Lucía z przerażeniem obserwowała teraz, jak Mendoza bierze z rąk Alejandry kałasznikowa i sprawdza magazynek. Spojrzenie Meksykanina mówiło wszystko: żywcem go nie wezmą. To zaś oznaczało, że w razie czego zginiemy wszyscy.

Puk, puk, puk.

Uderzenia w ścianę słyhać było coraz bliżej. Lucía przygryzła nadgarstek, by nie zacząć krzyczeć.

Puk, puk, puk.

Facet po drugiej stronie przestał gwizdać. Był w pełni skupiony na wsłuchiwaniu się w odgłos uderzeń.

Puk, puk, ŁUP!!

Ktoś na górze krzyknął nagle głośno. Stukanie w ścianę momentalnie ustało, za to znów zatrzeszczały schody. Przeszukujący suterene pobiegł na górę, łomocząc butami. Po chwili dał się słyszeć dźwięk silnika, oddalał się i wreszcie zupełnie zanikł.

Czuwali w milczeniu jeszcze dość długo. Nieraz zdarzało się – wyjaśniła później szeptem Alejandra – że gwardziści pozorowali odwrót, by odczekać w ukryciu, aż co bardziej naiwni heloci opuszczą swoje kryjówki. Tych, którzy wyłonili się jako pierwsi, na miejscu rozstrzeliwano.

Lucía prawie jej nie słyszała. Była już zbyt wycieńczona, i fizycznie, i psychicznie.

Godziny mijały jej jak w półśnie. Ktoś podsunął jej butelkę z wodą i kanapkę, ale nawet ich nie tknęła. Oparła tylko głowę o nogi Wiktora i dała się porwać myślom, które przeniosły ją gdzieś daleko, daleko od tej wstrętnej, wilgotnej piwnicy.

Wreszcie zapadła noc i Mendoza uznał, że mogą już opuścić kryjówkę. Uchylił ostrożnie przesuwne drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Jeśli na górze wciąż byli ludzie Greene'a (rzecz mało prawdopodobna, bo od sześciu godzin nie dobiegł stamtąd żaden dźwięk), to nie chciał dać im szansy, by dopadli ich jak króliki w norze. Upewniwszy się, że dom jest czysty, dał reszcie znak, że mogą ruszać.

Pokoje na parterze wyglądały tak, jakby przez dom przeszło tornado. Dziesiątki poprzewracanych i pogruchotanych mebli i sprzętów mieszały się na podłodze z potłuczoną zastawą i porozrzucanymi ubraniami. Część zawartości szaf gwardziści powyrzucali przez okna. W niektórych miejscach zerwany był parkiet lub deski podsufitowe. Najwyraźniej doszukali się tam jakichś skrytek. Najtrudniejszy do zniesienia był jednak widok wszechobecnej krwi.

– Co się stanie z ludźmi, których stąd zabrali? – spytał Pritzenko pomiędzy bolesnymi kaszlnięciami.

– Wsadzą ich do pociągu. – Mendoza cicho zaklął. – Tym razem posunęli się za daleko. Pora, by poznali Gniew Sprawiedliwych.

Było mi potwornie gorąco. To wrażenie duchoty i skwaru przytłoczyło mnie, ledwie się ocknąłem. Poprzedniego wieczoru wywlekli mnie jak worek z gabinetu Greene'a i zamknęli w jednej z cel na komisariacie milicji. Spędziłem tam całą noc, a wokół budynku stopniowo gęstniał tłum mieszkańców Gulfport domagających się mojej głowy. Cele znajdowały się w podziemiach komisariatu. Okratowane pomieszczenia uszeregowano w dwóch rzędach oddzielonych od siebie wąskim korytarzem. Z jakiegoś tajemniczego powodu byłem tu jedynym więźniem. Nie miałem nawet do kogo się odezwać, siłą rzeczy rozglądałem się więc dookoła. Cele były duże, a ich sufity wymalowano na kolor limonki. Na środku każdej z nich umieszczono sedes bez siedzenia i klapy. Żadnych szans na odrobinę prywatności.

Gwardziści zamknęli mnie w celi znajdującej się na samym końcu korytarza, po prawej stronie. Pożegnali paroma mocnymi kopniakami i odeszli. Nim zniknęli, jakiś przebłysk sadystycznej fantazji kazał im dodatkowo uprzykrzyć mi życie. Wzięli dzbanek wody i kawałek nadpleśniałego chleba i położyli na podłodze dokładnie naprzeciwko mojej celi. Z premedytacją wybrali takie miejsce, żeby woda i chleb znajdowały się minimalnie poza zasięgiem moich rąk. Zwłaszcza do dzbanka brakowało mi dosłownie kilku centymetrów.

– Pić ci się chce, kutafonie? – zwrócił się do mnie jadowicie jeden z gwardzistów. – Jak pogonią cię do piekła, będzie ci znacznie gorzej. Możesz być tego pewien.

– Trzeba było pomyśleć, zanim ukrećiesz łeb starej Compton – rzucił drugi. – Ta pieprzona stara suka była osobistą asystentką wielebnego – dodał dobitnie, poruszając przy tym głową, zupełnie jakby objawiał mi jakąś rewelację. – Ci na zewnątrz chcą cię spalić żywcem.

Pierwszy gwardzista charknął oblesnie i opluł kawałek chleba zielonkawą flegmą.

– Masz, teraz będzie pożywniejsze. – Osilek spojrzał na mnie złowrogo, ale z jego oczu przebijało coś na kształt współczucia. Robiło to dziwne wrażenie. – I lepiej nie wybrzydzać, bo to ostatnie, co jesz w życiu. Mówili mi, że zostaniesz wywieziony na pustkowiu razem z całą zgrają zasranych helotów. Tam, za murami, są tylko skorpiony i Nieumarli. Ty głupku, nie chciałbym być na twoim miejscu!

– Jakoś sobie poradzę, nie martw się – wymamrotałem, nie unosząc głowy.

To nie miała być prowokacja ani pyskowanie. Chciałem po prostu, żeby ci dwaj idioci wreszcie dali mi spokój. Marzyłem, by jak najszybciej zostawili mnie samego.

Aryczyk przyglądał mi się przez moment, podczas gdy jego niewielki mózg analizował, czy to, co właśnie powiedziałem, przypadkiem go nie obrażało. W końcu uznał na szczęście, że nie. Na odchodne kopnął jeszcze kawałek chleba i zadowolony z siebie oddalił się korytarzem razem z drugim gwardzistą. Zostałem sam.

Z początku czułem się po prostu nieszczęśliwy i zdruzgotany. Nie potrafiłem pojąć, jak to się stało, że z dnia na dzień wszystko szlag trafił. Niecałą dobę temu miałem jacht, plan dalszego działania i byłem o krok od zdobycia substancji wartiej więcej niż złoto. Mija kilkanaście godzin i oto gniję w celi, czekając na wyrok śmierci.

Moje gratulacje, kolego. Zajebicie się spisałeś. Plan zrealizowany na szóstkę! Jakie będą następne atrakcje?

W podziemiach komisariatu było gorąco, na moje wycucie – jakieś trzydzieści stopni. Bardzo szybko zacząłem się mocno pocić. Istniało spore ryzyko, że się odwodnię. Próbowałem dosięgnąć dzbanka z wodą, zarzucając na niego koszulę, ale jedyne, co udało mi się w ten sposób osiągnąć, to przewrócić go. Zawartość naczynia wylała się na podłogę, a ja mogłem tylko wściekle zakląć. Korytarz pomiędzy dwoma rzędami cel nachylony był ku położonej w głębi studziencie (prawdopodobnie specjalnie go tak zaprojektowano, by łatwiej zmywać z podłogi nieczystości pozostawiane przez pijaków), więc obserwowałem bezsilnie, jak woda ścieka coraz dalej ode mnie.

Opadłem załamany na kolana i oparłem czoło o kratę. Czułem się tak, jakbym w ustach miał pełno zeschłej trawy. Pragnienie doskwierało mi tak bardzo, że przestawałem jasno myśleć. Dlatego też minęło dobre pół godziny, nim zorientowałem się, że przecież na dnie muszli klozetowej jest troszkę wody. Nie smakowała najlepiej, a i kolor miała nieco podejrzany. Jakkolwiek by patrzeć – piłem z kibla. To jednak mnie nie zrażało. Najważniejsze, że mogłem wlać do ust jakąś ciecz.

Spędziłem kolejne trzy minuty, pijąc małymi łykami. Niewielka ilość wody, która była w sedesie, nie zaspokoila w pełni mojego pragnienia, ale sprawiła przynajmniej, że przestałem się czuć, jakbym umierał. Uspokoilem się trochę. Zacząłem myśleć nad tym, jak ocalić skórę.

Ucieczka z komisariatu nie wchodziła w grę. Zamki w kratkach celi były zbyt solidne, bym przy moich umiejętnościach dał radę je otworzyć. Zresztą, nawet gdyby jakimś cudem mi się to udało, na górze byli gwardziści, a na zewnątrz budynku rozwścieczona tłuszcza. Spróbowałbym wychylić się na zewnątrz, a ten motłoch natychmiast rozszarpałby mnie na kawałki za przestępstwo, którego nie popełniłem. Taktyka Greene'a była podła, ale nikt nie odmówiłby

jej logiki i skuteczności. Mordując panią Compton, nie tylko pozbył się niewygodnego świadka, ale i uczynił mnie wrogiem publicznym numer jeden w Gulfport. Ani jeden jego mieszkaniec nie uwierzyłby choćby w jedno moje słowo. Cokolwiek bym powiedział, brzmiałoby to dla miejscowych jak żałosne wymówki bandyty przyłapanego na gorącym uczynku. Nie miałem się co łudzić – tam na zewnątrz nie znalazłbym ani jednego sojusznika, nie licząc, rzecz jasna, Lucii i Wiktora, o ile oboje nadal żyli.

Wszystko mnie bolało, całe ciało miałem w sińcach. Garnitur był w strzępach, a w wielu miejscach widniały na nim plamy zakrzepłej krwi. Mojej zainfekowanej krwi. Na wspomnienie tego, co mnie spotkało, poczułem mdłości. Oparłem się o muszlę klozetową i dostałem torsji. Kilka silnych skurczów i mój żołądek wyrzucił z siebie te skąpe treści, które w nim jeszcze pozostawały. Skulony przy muszli trząsałem się z wycieńczenia i przygnębienia.

Trzeba będzie to odkazić, jak mnie już zabiorą, pomyślałem, patrząc na resztki śliny, które pozostawiłem na krawędzi klozetu. Nie dostrzegłem jeszcze u siebie żadnych symptomów, ale wiedziałem, że TSJ krąży w moich żyłach i najdalej za kilka godzin da o sobie boleśnie znać. Pytałem sam siebie – zaskoczony własną dociekliwością w tej akurat kwestii – jak to będzie przekształcić się w Nieumarłego. Czy będę mieć świadomość przemiany? A kiedy się to już stanie, jakie to będzie uczucie? Wizja mnie samego o nabrzmałym ciele i skórze pokrytej tysiącami drobnych żyłek sprawiła, że znów zrobiło mi się niedobrze. Raz jeszcze chwyciłem się muszli klozetowej i poczułem silne skurcze żołądka. Nie zwymiotowałem tylko dlatego, że nie miałem już czego z siebie wyrzucić.

Najprościej byłoby raz zakończyć sprawę. Oszczędziłbym sobie bólu i poniżenia i uniknąłbym przekształcenia się w twór pozbawiony kontroli nad sobą.

Czy ty słyszysz samego siebie? Zacząłeś właśnie rozważać samobójstwo.

A co innego mi zostało? To teraz najlepsze wyjście.

Nie możesz. Zresztą, nie potrafiłbyś. Za bardzo chcesz żyć.

Lepsze już samobójstwo niż przemiana w... to coś.

Nie możesz być tego pewien.

Zamknij się! Kurwa, po prostu ZAMKNIJ SIĘ!!

Chwyciłem się za głowę i padłem na podłogę, cicho jęcząc. Musiałem cokolwiek z sobą zrobić, inaczej za moment stracę zmysły. Pytanie tylko, co miałbym zrobić. Nawet zabić się nie miałem jak. Przed zamknięciem mnie w celi gwardziści zabrali mi wszystko – od zegarka przez sznurowadła po pasek od spodni – by uniemożliwić mi popełnienie samobójstwa. Aryjczycy zbyt długo sami siedzieli za kratami, by przeoczyć choćby najmniejszy drobiazg.

Najbardziej bolała mnie utrata zegarka. To była stara, poobijana festina, ale jednocześnie był to ostatni przedmiot, który mogłem nazwać swoim. Towarzyszył mi od samego początku tułaczki i czułem się bez niego trochę tak, jakby rozebrano mnie do naga. Poza tym, odkąd mi go zabrano, nie miałem żadnych szans kontrolować upływu czasu. W podziemiach przez cały czas paliło się światło elektryczne i nie było okien, co swoją drogą dodatkowo pogarszało moje i tak katastrofalne samopoczucie.

Minął jakiś czas. Nie wiem, ile dokładnie, ale stawiam, że ponad dwie godziny. Coś działo się z moim ciałem. Dostałem lekkich skurczów i dokuczało mi mrowienie. Uczucie było zbliżone do tego, które towarzyszy ocknięciu się na kanapie w nienaturalnej pozycji i z przygniecioną własnym ciałem ręką. Co kilka minut wrażenie powracało. Był to nie tyle ból, ile raczej niepokojący dyskomfort, ale ja wiedziałem doskonale, co oznacza.

Zaczęło się.

Otarłem pot z czoła oderwanym od koszuli skrawkiem materiału. Być może wrażenie gorąca, które męczyło mnie od początku pobytu w celi, również było symptomem zakażenia. Przypomniałem sobie, że Greene przed wypiciem cladoxpanu też pocił się niemiłosiernie.

Przyszła mi wtedy do głowy potworna myśl. To miała być moja kara! Zostawią mnie w tej celi jak wściekłe zwierzę. Odczekają, aż wirus opanuje moje ciało i stanę się Nieumarłym, a potem zrobią ze mnie jarmarcznego dziwoląga. Będę obwoźnym monstrum, wytykanym palcami, a tatusiowie w Gulfport pokażą swoim przestraszonym bachorom, jak wyglądają niebezpieczne stwory żyjące po drugiej stronie murów. A wszystko przy akompaniamencie tandetnej muzyki i poczęstunku w postaci coca-coli i prażonej kukurydzy.

Czułem, że zaraz zwariuję. Wściekłe drapałem się po prawej ręce, nie wiedząc, czy swędzenie to kolejny symptom zarażenia, czy po prostu zaczynam ze strachu dziwacznie się zachowywać.

Nagle z głębi korytarza dobiegł zgrzyt klucza w zamku. Następnie dały się słyszeć kroki. Ktoś zszedł po schodach i zbliżał się do mojej celi. Czułem się jak zwierzę zapędzone do ciasnej zagrody w rzeźni. Nerwowo rozglądałem się za czymś, co mogłoby posłużyć mi do obrony, ale na próżno. Nieliczne znajdujące się w celi sprzęty były przykręcone lub przyspawane do ścian i podłogi. I wtedy dotarło do mnie, że jedyną bronią, jaką dysponuję, jest TSJ, którym mnie zarażono. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, zdarłem świeży strup z rany na czole. Bolało jak diabli, ale osiągnąłem zamierzony efekt – po kilku sekundach poczułem na twarzy krew. Skropiłem nią możliwie obficie palce obydwu rąk i szybko schowałem dłonie za plecami. Czekałem. Pierwszą osobę, która pokaże się przed celą, czekał prysznic z zainfekowanej krwi. Jeśli mam

zginąć, to przynajmniej pociągnę za sobą jednego z bydlaków, którzy mnie tu wsadzili.

Kroki zbliżały się. Ukląkłem, cały czas kryjąc dłonie za plecami i szykując się do ataku. Nagle światło dobiegające z korytarza jakby nieco przygasło. To potężna postać Malachiasza Grapesa stanęła pomiędzy jarzeniówką a wejściem do mojej celi.

– Siemasz, adwokat – przywitał mnie aryjczyk sarkastycznym tonem. Skurwiel doskonale wiedział, że jestem w potrzasku i nic nie mogę mu zrobić.

W jego rękach nerwowo wiercił się Lukullus, z przestraczem w oczach obserwując zakrwawioną postać przypatrującą mu się zza kraty.

Widok, który miałem przed oczami, sparaliżował mnie. To było ostatnie, czego bym się spodziewał. Lukullus w końcu rozpoznał mnie i miauknął żałośnie, próbując się uwolnić, ale potężny aryjczyk trzymał go mocno.

– Zostaw mojego kota, ty złamasie! – krzyknąłem ze wściekłością. – Zostaw go natychmiast, bo...

– Bo co? – spytał Grapes. – Bardzo jestem ciekaw, co mi zrobisz. A może chcesz, żebym na twoich oczach ukręcił mu łeb?

– Nie! – z ust wyrwał mi się rozpaczliwy okrzyk. – Proszę, nie rób tego.

– W takim razie – odparł Grapes – siądź na dupie w głębi celi, trzymaj ręce tak, żebym je widział, i nie rób żadnych gwałtownych ruchów.

Posłusznie usiadłem na pryczy, cały czas obserwując Grapesa i Lukullusa, który na dźwięk mojego głosu podwoił wysiłki, by wyrwać się z uchwytu aryjczyka. Na ramieniu osiłka widać było dwa głębokie zadrapania – znak, że mój futrzany przyjaciel nie poddał się bez walki. Tak trzymać, mały, pomyślałem.

– Wiesz – powiedział Grapes z sadystycznym uśmiechem – w więzieniu przywykłem do tego, że to adwokat jest po tej stronie kraty. Bardzo przyjemna odmiana.

– Dziwię się, że ktokolwiek odwiedzał cię w więzieniu – odparłem. – Nawet adwokat.

Grapes zaśmiał się szyderczo, z zadowoleniem.

– Miło by było przywlec tu tę twoją suczkę albo tego ruskiego kurdupła, żeby się z tobą pożegnali, ale niestety okazali się cwańsi od ciebie i gdzieś spierdolili. W waszym domu znalazłem tylko tego durnego zwierzaka. Pomyślałem sobie, że chciałbyś go zobaczyć.

– Nie rób mu krzywdy, proszę – powiedziałem błagalnie.

– Wszystko zależy od tego, jak będziesz się zachowywać.

Przyjrzałem się potężnemu siepaczowi. Musiałem przyznać, że był rozsądniejszy, niż sądziłem. Przed przyjściem pod celę założył okulary ochronne, najwyraźniej spodziewając się, że przyjdzie mi do głowy spróbować go czymś oblać. Mogłem kombinować do woli, a i tak ten bydlak uprzedzał każdy mój ruch.

– Jutro rano wsadzimy cię do pociągu deportacyjnego – zaczął powoli, jakby zwracał się do mało pojętnego ucznia. – Do tego czasu masz zachowywać się jak należy. – Przerwał i niespiesznie podrapał się za uchem. – Ja bym się z tobą nie cackał, tylko wpakowałbym ci od razu dwie kulki w łeb, ale wielebny ma swoje, bardzo szczególne wyobrażenie o tym, jak powinna wyglądać kara. Postanowił, że będziesz zdychać samotnie i powoli, żebyś miał dużo czasu na myślenie o tym, jak bardzo masz przesrane.

– Powiesz mi coś, czego jeszcze nie wiem? – rzuciłem cierpko.

– Nie, to ty mi coś powiedz – odpowiedział Grapes. – Dlaczego to zrobiłeś? Mogłeś mieć w Gulfport zajebiste życie. Dostałeś wszystko: fajny dom i robotę bez niebezpieczeństw. Miałeś dziewczynę, która cię grzała w nocy, i nawet tego pieprzonego kota, a to teraz rzadki rarytas. Żebyś mnie źle nie zrozumiał – bardzo się cieszę, że mam okazję cię udupić, bo od początku mi się nie podobałeś. Nie spodziewałem się tylko, że tak bardzo mi to ułatwisz. Powiedz, na co ci to było?

– Może zrobiłem to dlatego, że nie jestem takim bydlakiem jak ty? Albo dlatego, że to miejsce jest kompletnie chore, niemoralne i popieprzone. Prędzej czy później cały ten wasz porządek runie i będziecie mieli poważne problemy. Nie chciałem tu żyć. Nie chciałem żyć w miejscu, które ocali mi tyłek, ale zatruje duszę. To dlatego zrobiłem to wszystko. Jedyne, czego żałuję, to że nie będzie mnie tu, kiedy heloci powstaną przeciwko wam, a paru wielkich Murzynów z getta dorwie cię, przywiąże do łóżka i będzie ci bolcować dupę, aż zwariujesz. Chociaż w sumie ty masz chyba spore doświadczenie w tych klimatach. W więzieniu już się pewnie tobą porządnie zajęli.

Twarz Grapesa poczerwieniała. Widać było, że jest bliski furii. Przez chwilę myślałem, że posunąłem się za daleko, bo aryjczyk zacisnął dłoń na szyi Lukullusa i potrząsnął biednym zwierzakiem, jakby ten był szmacianą lalką. Bezsilny, bliski uduszenia kot szamotał się słabo, raz po raz miauczając żałośnie.

– Rano zadbam o to, żebyś trafił do jednego wagonu z paroma naćpanymi czarnuchami – rzucił rozzłoszczony. – Przekonamy się, kto tu skończy z poszerzonym odbytem.

Zamilkłem. Co właściwie miałbym powiedzieć? Grapes miał w rękę wszystkie wygrywające karty i obaj doskonale o tym wiedzieliśmy.

– No, ale nie przyszedłem do ciebie na pogaduchy – oznajmił aryjczyk, jednocześnie szukając czegoś w głębokich kieszeniach wojskowych spodni. – Przyniosłem ci coś, co pozwoli ci dotrzeć do rana.

Grapes rzucił w moją stronę jakiś przedmiot. Złapałem go i przyjrzałem mu się. Był to pojemnik niewiele większy od puszki napoju gazowanego, wykonany z przezroczystego plastiku i wypełniony białawą mętą ciecżą.

– To cladoxpan – wyjaśnił Grapes. – Jesteś zarażony od ośmiu godzin i zaraz

wystąpią pierwsze objawy – tu przyjrzał mi się uważnie – chociaż widzę, że już teraz pocisz się jak świnia, mimo że tu na dole strasznie piździ.

Nic nie odpowiedziałem, choć jego słowa potwierdziły tylko moje własne pesymistyczne przypuszczenia. Uczucie gorąca, z którym zmagalem się całe popołudnie, było całkowicie nienaturalne. To TSJ wygrywał walkę z moim układem odpornościowym.

– Co mam z tym zrobić? – spytałem przygaszonym głosem.

– Masz dwa wyjścia – odpowiedział szef gwardzistów. – Możesz oddać mi ten słoik, a wtedy, kiedy wrócę tu rano, będziesz już tylko cuchnącym Nieumarłym. Dostaniesz kulkę w łeb, spalimy twoje ścierwo w kontenerze na śmieci i będzie pozamiatane. Drugie wyjście jest takie, że będziesz sobie pomału wydzielał lek. Łyk po łyku. Im dłużej ci starczy, tym dłużej będziesz żył. Inna sprawa, że i tak gównu ci to da, bo tak czy siak umrzesz potem gdzieś na pustkowiu – Grapes wzruszył ramionami – ale wybór jest twój. Decyduj.

– Wybieram życie – odpowiedziałem słabym głosem ze wzrokiem wbitym w podłogę. Nigdy dotąd nie czułem się tak pokonany i bezsilny.

– Co tam mamrociesz? Nie słyszę cię.

– Wybieram życie – powtórzyłem nieco głośniej.

– Spodziewałem się tego – powiedział na to Grapes. – Dlatego chcę mieć dodatkową gwarancję, że będziesz się dobrze sprawować. Aryjczyk wyciągnął z cholewy nóż i nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, położył sobie Lukullusa na kolanach i przystawił ostrze do jego ogona.

– NIE!

Grapes szarpnął dłonią i jednym ruchem przeciął koci ogon na dwoje. Lukullus wydał rozpaczliwy, pełen bólu pisk. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie: ruch nadgarstka Grapesa, zakrwawione ostrze uniesione w powietrzu, krew ciekąca z kikuta kociego ogona, wybałuszone w potwornym bólu oczy i panika bezbronnego perskiego kota. Na twarzy gwardzisty zagościł wyraz sadystycznej satysfakcji. Wściekły jak chyba nigdy w życiu zaciskałem dłonie na prętach kraty tak mocno, że aż zbiełały mi kostki.

– Ty bydlaku! Skurwysynu! Zabiję cię, słyszysz?! Przysięgam, że cię zabiję, zasrany skurwielu!

– Opowiedz komu innemu tę bajeczkę. – Grapes spokojnie wsunął nóż z powrotem za cholewę. – Nie martw się o kota, dopilnuję, żeby założyli mu na to jakiś bandaż – ton gwardzisty stał się nagle szorstki – ale jeśli nie chcesz, żebym w nocy zagrał o jego flaki w pokera, to masz siedzieć tu cicho i nie robić głupstw. Rozumiemy się?

Krew Lukullusa kapała na linoleum, którym wyłożono podłogę, pozostawiając plamki przypominające kształtem kwiaty. Nie byłem w stanie oderwać od nich wzroku. Nigdy w życiu nie czułem takiej nienawiści jak w tym

momencie.

– Zostawiam cię samego, żebyś mógł sobie pomedytować. Dobrej nocy.

Skurwysyn Grapes oddalił się korytarzem, pogwizdując. Na rękach trzymał Lukullusa, którego żalosne pomiaukiwanie stawało się coraz cichsze.

W końcu zostałem sam, w jednej ręce mając plastikowy pojemnik z cladoxpanem, a w drugiej odcięty kawałek ogona mojego kota. Serce pękało mi z bólu na sam widok zakrwawionego strzępu futra i chrząstek.

Nie byłem już nawet w stanie płakać. Jedyne, czego chciałem, to zemsta.

BLUEFONT, PORANEK PO ŁAPANCE

Dwie pierwsze godziny tego ranka upłynęły na nerwowej krzątaninie. Na piętrze nad tawerną Mendoza założył główną kwaterę powstańczą, a następnie rozesłał posłańców na cztery strony świata, by zawiadomili całe getto. Posłańcy byli bardzo młodzi, niektórych można by wciąż nazwać dziećmi. Wszyscy mieli szybkie nogi i wygłodniałe spojrzenia. Żaden nie dostał do ręki pisma, wszyscy musieli na pamięć nauczyć się komunikatu, który mieli przekazać. Od ich szybkości i zwinności zależało, czy uda im się uniknąć schwytania przez patrole milicji i Zielonej Gwardii. Nie mogli mieć przy sobie żadnych obciążających materiałów.

Lucia i Wiktor przyglądali się przygotowaniom, siedząc w kącie pomieszczenia. Wszystko to wydawało im się mocno niepokojące. Alejandrze udało się wydobyć skądś apteczkę. Dzięki temu mogła oczyścić i opatrzyć stłuczenia i rozcięcia na twarzy Ukraińca, który czuł się już i wyglądał znacznie lepiej. Nadal bolały go żebra (z których najprawdopodobniej jedno lub dwa były pęknięte), ale tego typu niedogodności były wojskowy znosił bez większego trudu. Podążał wzrokiem za uczestnikami całego zamieszania, starając się ustalić, kto tu jest prowodyrem. Jednocześnie raczył się gulaszem niepewnego pochodzenia.

– Co tu się dzieje, Wiktor? – spytała cicho zaniepokojona Lucia, siadając tuż obok Ukraińca.

– Nie jestem pewien – odparł Pritczenko – ale wygląda mi na to, że szykują coś w rodzaju powstania.

– Powstania? – Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona. – Kiedy chcą je zacząć?

– Chyba już za kilka godzin. – Założę się, że całą rzecz planowali od dawna, a po wczorajszej łapance postanowili przyspieszyć rozpoczęcie działań.

Ukraińiec nawet nie przypuszczał, jak trafna była jego ocena sytuacji. Plan rzeczywiście opracowywano od miesięcy. Heloci z Bluefont, a przynajmniej znaczna ich część, choć represjonowani i poddani nadzorowi, bynajmniej nie dali za wygraną. Greene i jego ludzie buntu w getcie do pewnego stopnia się spodziewali. I mocno się go obawiali. Już co najmniej czterokrotnie wybuch powstania wisiał w powietrzu, jednak za każdym razem heloci w ostatniej

chwili postanawiali się wstrzymać. W getcie mnóstwo było szpiegów, informatorów i szpicli na usługach wielebnego. Greene pozyskiwał donosicieli, opłacając ich lub zastraszając. Mendoza podejrzewał też, że przy okazji łapanek gwardziści dokonujący przeszukań instalowali podsłuch i kamery w tych domach, w których mieszkali podejrzani o wywrotowe inklinacje. Jednym z powodów, dla których postanowił umieścić kwatery powstańcza właśnie nad Czerwonym Kogutem, było to, iż według niego budynek był czysty. Istniało jednak realne ryzyko, że aryjczycy z Zielonej Gwardii znają jego plany.

Po ostatniej łapance darowano sobie dalsze planowanie i próby znalezienia idealnego terminu. Trzeba było działać natychmiast!

Trzydzieści osób – kobiet i mężczyzn – zgromadziło się w pomieszczeniu pełniącym rolę sztabu. Panowały potworne zgiełk i hałas. Zgromadzonych przybywało, a każda kolejna osoba przynosiła coraz to bardziej wstrząsające relacje z wydarzeń dnia wczorajszego. Ostatnia łapanka była z pewnością jedną z największych i najkrwawszych w historii Bluefont. Nie było jak dokonać dokładnych obliczeń, ale szacowano, że Zielona Gwardia wywozła z getta ponad sześćset osób.

– Było gorzej niż kiedykolwiek! – krzyczał postawny Meksykanin głosem drżącym ze zdenerwowania. – Tym razem nie brali tylko najsłabszych! Wywozili też dorosłe kobiety i mężczyzn!

– To była czystka, zbrodnia w biały dzień! Nie zostawili w spokoju nawet tych, którzy mieli papiery w porządku.

– Tak jakby kiedykolwiek obchodziły ich te kwitki – odparł cierpko jakiś głos z tyłu sali. – Kurwa, to jest eksterminacja! Oni chcą nas wymordować jak Niemcy Żydów w tym czarno-białym filmie Spielberga.

– Ale była umowa! – zaprotestował pierwszy głos z naciskiem. – Mieli nie ruszać tych z najnowszymi papierami.

– Jesteś głupim lizydupą, jeśli uwierzyłeś w zapewnienia tych kutasów. Sprzedałeś im się, frajerze. Dobrze wiem, jak się skurwiłeś, żeby tylko dostać te bezwartościowe świstki papieru. A teraz przychodzisz tu i skomlesz.

– Nie będziesz mnie wyzywał od sprzedawczyków, ty fiucie! – krzyknął rozwścieczony mężczyzna, kładąc dłoń na rękojeści noża, który miał przy pasie.

W sali podniósł się raban. Zebrani krzyczeli jeden przez drugiego, a ich głosy zlewały się w harmider, z którego nie sposób było wyłowić jednego słowa. Mendoza wszedł na biurko i starał się uciszyć zgromadzonych. Jego wysiłki nic jednak nie dawały. Zirytowany sięgnął w końcu po stary, bezużyteczny monitor, uniósł go nad głowę i cisnął nim przez okno.

Ostatnia cała szyba w budynku z głośnym trzaskiem rozbiła się w drobny mak.

Nagły hałas sprawił, że wszyscy ucichli i spojrzeli w stronę Meksykanina.

Ten stał wyprostowany na blacie biurka, a z jego oczu biły płomienie.

– Jesteście bandą kretynów – rzucił wściekle. – Nie wiem właściwie, po co Greene się wysiła i przysyła tu swoich zbirów! Jak widać, sami zupełnie sobie wystarczamy. Zamknijcie się wreszcie i posłuchajcie mnie, jeśli chcecie, żebyśmy mieli jakąkolwiek szansę przeżyć!

Z sali dobiegło kilka chrząknięć i wypowiedzianych pod nosem komentarzy. Dwaj mężczyźni, którzy przed chwilą o mało się na siebie nie rzucili, wymienili gniewne spojrzenia. Widać było wyraźnie, że nie od dziś mają z sobą na pieńku. Ostatecznie jednak wszyscy usłuchali polecenia „Kota” i w pomieszczeniu zapanowała cisza.

– Przyszedł ten moment. – Mendoza odchrząknął. – Moment, którego wszyscy się obawialiśmy, ale też na który wszyscy czekaliśmy. Nie możemy ani minuty dłużej znosić prześladowania. Zieloni traktują nas tak, jakbyśmy byli zwierzętami ofiarnymi. Łapanki są coraz częstsze, większe i bardziej brutalne. Musimy działać natychmiast.

– Mam poważne wątpliwości, czy to najlepsze wyjście. – Z grupy wysunął się naprzód czarnoskóry starszy mężczyzna w okularach o grubych szklach i nadjeźdzonej przez mole tweedowej marynarce. Przed pandemią człowiek ten był cenionym wykładowcą na Midwest University. Przywykł, by go słuchano i szanowano. – Przemoc jedynie napędza przemoc. Chaos prowadzi do chaosu. Długoterminowe rozwiązania osiąga się jedynie poprzez dialog i porozumienie. Jestem przekonany, że jeśli omówimy sprawę bezpośrednio z wielebnym Greene’em i opiszemy mu, do jakich nadużyć dochodziło, dopilnuje on, by tego rodzaju sytuacja więcej się nie zdarzyła. Ewentualnie możemy także obrać taktykę biernego oporu – taką, jaką swego czasu zastosował Mahatma Gandhi. Tak czy owak, jestem zdania, że zbrojne wystąpienie nigdy nie jest najlepszym rozwiązaniem.

W sali znów zawrzało. Dały się słyszeć równie liczne głosy sprzeciwu, jak i słowa poparcia.

– Profesorze Banksted – zaczął Mendoza, gdy udało mu się uciszyć zgromadzonych – wiem, że jest pan jedną z najrozsądniejszych osób w całym getcie. Kłopot w tym, że to nie uczelnia, na której pan wyładał. Nie żyjemy już nawet w tamtym świecie. Proszę nie patrzeć na nas jak na grupę studenciaków, którzy żądają zmian w menu na stołówce. My tu mówimy o ratowaniu naszego życia.

– Nasze życie jest bardzo cenne dla tych, którzy mieszkają po drugiej stronie – odparł Banksted bez cienia wahania w głosie. – Potrzebują nas, byśmy wychodzili poza mury i zdobywali dla nich jedzenie, paliwo, ubrania i leki. Bez nas nie przeżyją!

Zebrani z aprobatą przyjęli słowa staruszka, który słysząc pomruk poparcia, zadowolony skrzyżował ręce na piersi.

– Ma pan rację tylko do pewnego stopnia, profesorze – odpowiedział mu Mendoza. – Zaczniemy od tego, że nie wszyscy mieszkańcy getta zdobywają zaopatrzenie dla miasta białych. Dzieci, osoby starsze, jak pan, i wszyscy chorzy są z punktu widzenia Greene’a zbędni. Czy odkąd jest pan w Bluefont, chociaż raz był pan poza murami? Nie, prawda? A to oznacza, że jest pan dla nich nieprzydatny. – Na te słowa Banksted wyraźnie się speszył. – Poza tym, jak pan sądzi: ilu helotów potrzeba do zaopatrywania miasta? Nigdy nie wyjeżdża nas więcej niż pięćset osób. Myślę, że jeden, góra dwa tysiące niewolników w zupełności by im wystarczyły. I łatwiej by ich było upilnować.

W sali dał się słyszeć szmer. Jedni potakiwali, inni kręcili głową z dezaprobatą.

– To są wyłącznie twoje przypuszczenia – zaprotestował zdecydowanie Banksted. – Byłem w latach sześćdziesiątych na świecie i przeżyłem okres segregacji rasowej. Zapewniam cię, że gdybyśmy wtedy sięgnęli po broń, konsekwencje tego byłyby tragiczne dla obu stron.

– Niech pan pozwoli, że zadam mu jedno pytanie. Czy po rozruchach w latach sześćdziesiątych czarnych ładowano do wagonów bydłęcych i wywożono w nieznanym kierunku, by nikt już nigdy ich nie zobaczył? – rzucił Mendoza cierpko.

Wyraźnie zbity z pantałyku profesor wbił wzrok w podłogę i milczał przez chwilę, by w końcu odpowiedzieć ledwie słyszalnym „nie”.

– To, co z nami robią, to eksterminacja, czy nam się to podoba, czy nie – kontynuował Mendoza. W sali panowała kompletna cisza. Wszyscy bez wyjątku skupieni byli na słowach Meksykanina. – Mamy wobec tego, co się dzieje, dwa wyjścia. Albo pokornie damy się zaprowadzić na rzeź jak Żydzi w czasie Holokaustu, albo zbuntujemy się i będziemy walczyć o życie. Śmierć czeka nas tak czy siak, więc najgorsze, co nas może spotkać, to że zginiemy, walcząc...

Zgromadzeni na sali przytaknęli ponuro słowom Mendoza. Widać było, że jego argumentacja do nich trafiła i pozbywają się ostatnich wątpliwości.

– Nadszedł czas, by Sprawiedliwi powstali! – Głos Meksykanina rozbrzmiewał mściwym zapalem. – Nadszedł czas, by wolność i sprawiedliwość powstały przeciwko tyranii i prześladowaniom! Pora, byśmy odzyskali kontrolę nad naszym życiem! Teraz albo nigdy, bracia! Chwyćmy za broń i rozwalmy ten pieprzony mur! Ogniem zaprowadzimy porządek w Gulfport i damy tym tłustym nierobom nauczkę, którą na zawsze zapamiętają! Zbierzmy się i walczmy razem o naszą wolność!

Przez pomieszczenie przeszła fala okrzyków entuzjazmu. Zebrani wiwatowali i wznosili pięści. Wszystkim udzielił się dziki zapal bojowy. Nawet zachowawczy i rozsądny profesor Banksted dał się uwieść słowom Meksykanina. W powstańczym ferworze niektórzy z obecnych dobyli noży i

zadawali ciosy wyimaginowanym gwardzistom Greene'a.

Pośród cichnących pomaha wiwatów dały się nagle słyszeć pojedyncze oklaski. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę, z której dobiegał odgłos. To, co zobaczyli, zbiło ich nieco z tropu. Pod ścianą stał Wiktor Pritczenko, klaszcząc w dłonie z ponuro-sarkastycznym uśmiechem.

– Bravo! – zaczął tonem pełnym ironii. – Naprawdę zajebista mowa! Zaskoczyłeś mnie. Czegoś takiego się po tobie nie spodziewałem. Oprych do wynajęcia w roli wodza rewolucji. Pięknie! Gdyby nie to, że parę godzin temu próbowałeś mnie zabić, to może nawet zacząłbym cię szanować. Tak czy siak, jestem pod wrażeniem. – Po czym dalej bił brawo.

– Masz coś do powiedzenia, blondasie? – spytał Mendoza wyraźnie poirytowany.

– Tak, co najmniej kilka rzeczy. – Wiktor wdrapał się na blat biurka i stanął obok Meksykanina. – Przede wszystkim racja jest absolutnie po waszej stronie. Te skurwysyny chcą was pozabijać i uda im się to. Wiem też, że cała ta wasza rewolta jest z góry skazana na klęskę.

– Dlaczego tak mówisz? – wtrąciła się jedna z obecnych w sali kobiet. Mówiła po angielsku z koszmarnym akcentem. – Jest nas przecież dużo więcej niż ich. Poza tym my nie boimy się zginąć.

– Zaczniemy od tego, że wcale nie jest was więcej – odpowiedział powoli Ukrainiec. – Po tamtej stronie ogrodzenia mieszka znacznie więcej ludzi niż po tej. Są przy tym lepiej odżywieni, zdrowsi, a przede wszystkim znacznie lepiej uzbrojeni. Zamierzaliście iść na Zieloną Gwardię i milicjantów z nożami?

– Mamy broń – Mendoza prowokacyjnie zadarł podbródek – a gwardzistów i milicjantów jest w sumie nie więcej niż trzystu.

– To prawda – przyznał Wiktor – ale nie mam wątpliwości, że w razie potrzeby Greene w ciągu kwadransa postawi pod bronią kilka tysięcy mężczyzn. Przyszedłem z tamtej strony, więc wiem, o czym mówię.

Po sali przeszedł szmer zaniepokojenia, ale nikt nie przerwał Ukraincowi i nie zabrał głosu.

– Poza tym – ciągnął Wiktor – jaką wy macie broń? O ile się nie mylę, gwardziści rozbijają was za każdym razem, kiedy wracacie z wypadu w teren.

– Udało nam się zachować kilka karabinów – wyjaśnił rosły Meksykanin stojący o kilka metrów od biurka. – Wiele też razy znajdowaliśmy broń podczas wypadów i przemycaliśmy ją do getta razem z żywnością. Mam tu listę. – Mężczyzna wcisnął Wiktorowi w dłoń parę zapisanych odręcznie kartek.

Pritczenko przemknął wzrokiem po otrzymanej liście i wybuchnął sarkastycznym śmiechem.

– Tego się właśnie spodziewałem – westchnął, doczytując do końca

umieszczony na kartkach spis. – Macie mniej niż dwadzieścia porządnych pistoletów maszynowych, całą kolekcję broni myśliwskiej i parę zabawek, które nadają się raczej do muzeum niż do walki. – Wzrok Ukraińca zatrzymał się na jednym z wersów. – Macie thompsona? Naprawdę chcieliście do nich z tego strzelać? Bić się z Zieloną Gwardią z gangsterskim gnatem z lat dwudziestych? Skąd wy w ogóle wytrzasnęliście taki zabytek? Aż chciałbym go zobaczyć...

– Broń to broń. Zabija tak samo – odparł drętwo Meksykanin.

– Nie zabija *tak samo*, możesz mi wierzyć. – Wiktor, kręcąc głową, zwrócił mężczyźnie kartki ze spisem. – Jeszcze większym problemem jest to, że nie macie nawet dość amunicji do tego waszego egzotycznego arsenału. Po dziesięciu minutach walki nie będziecie mieli czym strzelać. Rozumiem, że wasz plan jest taki – Pritzenko uśmiechnął się ironicznie – że będziecie ich wtedy zabijać, plując i rzucając kamieniami. Już nie wspominam o tym, że większość z was nie ma żadnego przeszkolenia wojskowego, a wódz waszej rewolucji jest, jaki jest. – Tu odwrócił się w stronę Mendozy. – Bez urazy, „Kocie”, czy jak ci tam, ale złamali mi przez ciebie żebro, ty kutafonie.

– Mamy przewagę, bo uderzymy z zaskoczenia – wycedził przez zęby rozdrażniony Meksykanin, puszczając mimo uszu kąśliwe uwagi Wiktora – a amunicję zdobędziemy na gwardzistach.

– Nie, no, genialny plan. – Ukrainiec wykrzywił się drwiąco. – Prosiłbym tylko, żebyś opowiedział mi, jak zamierzasz przeskoczyć przez ogrodzenie i zasieki z drutu, tachając ciężki karabin. Poza tym udało ci się zapomnieć o jednym, dość istotnym szczególe. Greene ma pod kontrolą całość zapasów cladoxpanu. Jeśli wasz pierwszy atak się nie powiedzie, to wystarczy, że na kilka dni odetnie wam dostawy leku. Po kilku dobach zostanie z was wtedy tylko zgraja Nieumarłych. Prawda jest taka, że Greene trzyma was za jaja i nie jesteście w stanie mu podskoczyć.

– To nie do końca prawda – kulturalnie i ze spokojem zaoponował głos z głębi sali.

Po raz pierwszy, odkąd stanął na blacie biurka, Wiktor dał sobie przerwać i wyraźnie się zawahał. Z niedowierzaniem przyglądał się teraz właścicielowi głosu, który kilka sekund wcześniej zakwestionował jego słowa. Był nim człowiek o poważnym wyrazie twarzy, w mokrym od deszczu eleganckim mundurze.

Do pomieszczenia wszedł właśnie Gunnar Strangärd.

*Tchórz, zanim umrze, kona wiele razy.
Walecznych jedna tylko śmierć spotyka.*

William Shakespeare, *Juliusz Cezar*[14]

– Co? Jak to?... – wydukał zdumiony Ukraińiec. – Co ty tutaj robisz?

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie – odparł Szwed, ukłoniwszy się szarmancko na widok Lucii – ale nie ukrywam, że bardzo się cieszę, widząc was tu całych i zdrowych.

– Ja bym tak tego nie nazwał – burknął Wiktor, wskazując na swoje podbite oko i krwiaki na twarzy.

– Wielu ludzi w tym mieście ma się znacznie gorzej, uwierz. – Szwed utorował sobie drogę przez zebrany w sali tłumek, witając się serdecznie z większością zgromadzonych. Najwyraźniej był tu postacią dobrze znaną.

– Cześć, Gunnar. – Alejandra ucałowała marynarza w oba policzki. – Jak się masz?

– Cześć, Ale – Szwed zwrócił się do dziewczyny z wyraźną ulgą w głosie. – Cieszę się, że cię widzę. To jest jakiś koszmar.

– Mnie nie musisz tego tłumaczyć – odparła Meksykanka. – Powiedz, co się dzieje po drugiej stronie?

– Szykują wywózkę – oznajmił oficer. – Mamy bardzo niewiele czasu. Niestety, przynoszę złe wieści – zwrócił się ku Lucii i Wiktorowi z wyrazem przygnębienia na twarzy. – Mają waszego przyjaciela.

– Jak to „mają” go? – Głos przerażonej Lucii drżał. – Co się z nim dzieje?

– Zamknięto go w celi. Jest oskarżony o morderstwo podczas próby kradzieży cladoxpanu. Za dwie godziny zostanie umieszczony w konwoju razem z ofiarami ostatniej łapanki.

– Musimy coś zrobić! – Lucía zwróciła się do Wiktora. – Prit, ratujmy go!

– To niewykonalne. – Strangärd pokręcił głową. – Zamknięto go w podziemiach pilnie strzeżonego komisariatu. Jakby tego było mało, wokół budynku zgromadził się tłum chcący go zlinczować, a za wasze głowy wyznaczono cenę. Jeśli pokażecie się po drugiej stronie kanału, będą najpierw strzelać, a pytania zadawać później.

Lucía nagle poczuła się tak, jakby miała nogi z waty. Na wpół bezwładnie

oparła się o ścianę i zsunęła się pomału na podłogę. Do oczu cisnęły się jej łzy.

Zabiją go. Najpierw ta jatka w getcie, a teraz to. Wszystko przeze mnie. Jak ja, do cholery, mogłam być tak potwornie głupia...

Alejandra pogładziła Lucię po ramieniu, próbując choć trochę podnieść ją na duchu, ale nadaremno. Dziewczyna była zrozpaczona. Choć bardzo się starała, nie przestawała płakać.

– Dobra, to co teraz zrobimy? – Ale obrzuciła spojrzeniem zgromadzonych. Wiktor stał na biurku z miną człowieka, który właśnie oberwał najgorszy w życiu cios. Mendoza starał się zapanować nad zdenerwowaniem. Reszta wyglądała na tak samo zbitych z tropu i pogubionych jak sama Alejandra.

– Przyszedł czas, Gunnar – powiedział cicho Mendoza. – Potrzebujemy pomocy Sprawiedliwych.

– Pomożemy wam, możesz być tego pewien – odparł ze spokojem Strangärd. – Kiedy tylko wrócę na drugą stronę, zaczniemy szykować kontrabandę.

– Zaczekaj chwilę. – Wiktor ocknął się z chwilowego szoku. – O czym wy dwaj mówicie? Jaka kontrabanda? Jacy „Sprawiedliwi”?

– Nie wszyscy po tamtej stronie zasieków podzielają poglądy Greene’a – odpowiedział Strangärd. – Choć nie ma nas zbyt wielu, to żyją w tym mieście ludzie, którzy widzą, że Gulfport stało się miejscem chorym i przegniłym. Zawiązaliśmy tajną organizację. Gdyby Greene dowiedział się o jej istnieniu i o tym, że jestem tu z wami, to i my znaleźlibyśmy się w konwoju deportacyjnym.

– Sprawiedliwi pomagają nam od samego początku – wtrąciła Alejandra. – Uprzedzają nas o wprowadzeniu nowych dokumentów, dostarczają podrobione karty meldunkowe, leki, jedzenie, a nawet broń. Gdyby nie oni, podwodna kładka, po której się tu dostałeś, nigdy by nie powstała.

– Musimy działać niesłychanie dyskretnie – kontynuował Strangärd. – Ściany mają uszy, a informatorzy Greene’a są wszędzie. Od chwili gdy was zobaczyłem, wiedziałem, że nie jesteście jak ci z miasta białych. Chciałem pomówić z wami i opisać, jak wygląda sytuacja w Gulfport, ale nie miałem jak. Birley i cała załoga „Itaki” to fanatycy. Obserwowali każdy wasz ruch. Kiedy dotarliśmy na miejsce, nie było zresztą lepiej.

– Dużo was jest? – zapytał Pritczenko.

– Nawet ja nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie – stwierdził Szwed. – Dzielimy się na autonomiczne komórki, by w razie wykrycia jednej reszta organizacji pozostała bezpieczna. Z całą pewnością mamy ludzi prawie wszędzie, a mieszkańcy tej części miasta mogą liczyć na naszą pomoc.

– A jak ta pomoc ma wyglądać? – dociekał Wiktor.

– Chwila, to pomysł rozpoczęcia powstania już nie wydaje ci się taki głupi? – kąśliwie spytał Ukraińca Mendoza.

– Wydaje mi się głupi i samobójczy – odparł Pritczenko – ale z tego, co widzę, po prostu nie ma innego wyjścia.

– Obawiam się, że masz rację – zgodził się Strangärd. – W kwaterze głównej Greene’a krążą pogłoski, że za niecały miesiąc rozpocznie się likwidacja getta. Przy życiu miałyby pozostać tylko około dwóch tysięcy helotów. Jeżeli mamy działać, musimy zacząć już.

– Tylko ten cladoxpan...

– Wchodząc, słyszałem, co mówiłeś. Z lekiem nie będzie żadnego problemu. W ukrytym podziemnym zbiorniku przechowujemy rezerwę wielkości prawie czterech tysięcy litrów. Nasi ludzie w laboratorium przez wiele miesięcy podejmowali ogromne ryzyko, ale wynosząc kolejne niewielkie racje, zdołali stworzyć w końcu potężny zapas. Greene może odciąć dostawy cladoxpanu, jeśli chce. Nic mu to nie da. Dzięki rezerwie getto bez problemu wytrzyma kilka dni. Tyle czasu wystarczy, jeżeli powstanie się powiedzie.

– A jeżeli się nie uda? – wtrącił nieśmiało profesor Banksted. – Co będzie, jeżeli nasz zryw zakończy się klęską? Co się z nami stanie, kiedy rezerwa się wyczerpie?

– Jeśli powstanie się nie uda, to wszyscy i tak będziemy martwi, więc nic nie będzie nas to obchodziło – uciał chłodno Mendoza. – Gunnar, jak chcecie dostarczyć nam ten zapas leku?

– Przerzucanie go przez mur skreślam. Cladoxpanu jest zbyt dużo, by dało się przemyścić go górą w jednym rzucie. Jeśli zaś będziemy to robić w wielu małych ratach, podejmiemy ogromne ryzyko, a przy tym stracimy zbyt wiele czasu.

– Najlepiej byłoby, gdybyśmy do getta wwieźli go my sami – myślał głośno Mendoza. – Musielibyście tylko zostawić kanistry w jakimś miejscu, z którego bylibyśmy w stanie je później odebrać...

– Dobra myśl – przyznał Strangärd – ale gdzie ukryć kanistry? – W pomieszczeniu zapanowała cisza. Rozmówcy czuli, że brną w ślepią uliczkę.

– Na zewnątrz – nieoczekiwanie włączył się do rozmowy Pritczenko – poza zewnętrznym murem miasta.

– Słusznie! – Strangärd po raz pierwszy od momentu wejścia na salę się uśmiechnął. – Moglibyśmy ukryć kanistry w odpadkach wywożonych poza mury.

– Nasi ludzie zgarną je razem ze śmieciami jadącymi na miejskie wysypisko i cały cladoxpan będzie nasz. Ukryjemy kanistry w śmieciarkach. Zieloni nigdy ich nie przeszukują.

– Doskonale. – Zadowolony Strangärd zwrócił się do Pritczenki. – Znakomity pomysł, przyjacielu.

– Czasem mi się zdarza – odparł Wiktor lekko zmieszany. – Kiedy możemy

zorganizować przerzut kanistrów?

– Wywóz odpadów jest zaplanowany dopiero za tydzień – odpowiedział Szwed. – Poza tym będziemy potrzebować kilku dni, by dyskretnie przenieść kanistry na wewnętrzne miejskie śmietnisko.

– Mamy czekać cały tydzień? – Wiktor był zawiedziony. – Przecież przed chwilą powiedziałaś, że konwój deportacyjny rusza za dwie godziny!

– Dla tych ludzi nie jesteśmy już w stanie nic zrobić – powiedział smutno Szwed, kręcąc głową. – Możemy za to uratować życie tych, którzy wciąż są w Bluefont.

– Słyszeliście! – zawołał Mendoza do zgromadzonych. – Mamy siedem dni, żeby wszystko przygotować. Zbierzcie swoje drużyny, przygotujcie broń i czekajcie gotowi na sygnał. Za tydzień od dziś Gniew Sprawiedliwych spadnie na zbrodniarzy z Gulfport.

Przez salę przetoczył się szmer aprobaty. Jak to zwykle bywa w chwilę po podjęciu przełomowej decyzji, wszyscy poczuli się nagle znacznie spokojniejsi. Tak jakby przekroczyli most i spalili go za sobą. Stawiali wszystko na jedną kartę, ale wiedzieli, że przynajmniej położą kres życiu w ciągłym strachu.

Zgromadzeni pomału opuszczali salę. Strangärd poczuł, że ktoś delikatnie ciągnie go za ramię. Odwróciwszy się, zobaczył Lucię. Twarz miała zalaną łzami i patrzyła na niego błagalnie.

– Proszę – szlochała – musi mu pan pomóc. Kocham go. Kocham go bardziej... niż kogokolwiek na świecie. Jeśli on umrze, to nic już nie będzie miało dla mnie sensu! Jest pan Sprawiedliwym, pokazał nam pan już, że jest pan dobry. Proszę mi pomóc, błagam.

– Nie mogę nic dla niego zrobić. Nie wyciągnę go z celi ani nie uratuję od wsadzenia do pociągu. To zbyt niebezpieczne.

– Proszę posłuchać. – Lucja zebrała się w sobie, starając się ze wszystkich sił opanować drżenie głosu. – Wiem, że proszę pana o coś bardzo trudnego, ale tu chodzi o mężczyznę, którego kocham. Jeśli pan mi nie pomoże, przejdę jeszcze raz przez tę cholerną kładkę, wrócę do miasta i jeśli będzie trzeba, wsiądę do wagonu razem z nim. Jeśli on musi umrzeć, to umrzemy razem. Ale jeśli może przeżyć... Proszę, niech mi pan pomoże.

Strangärd przełknął ślinę, wyraźnie się wahając. To, o co prosiła go dziewczyna, wykraczało poza ramy dopuszczalnego ryzyka, jednak błysk w jej oczach nie pozostawiał wątpliwości, że mówi serio.

– „Tchórz, zanim umrze, kona wiele razy. Walecznych jedna tylko śmierć spotyka” – cicho wyrecytował Szwed, patrząc na nią nieobecny wzrokiem.

– Co to znaczy? – spytała Lucja ledwie słyszalnym głosem.

– To znaczy, że to zrobię – odparł z westchnieniem Strangärd. – Pomogę mu.

– Dziękuję. – Oczy dziewczyny znów zaszkliły się od łez. – Bardzo panu dziękuję.

– To, że postaram się mu pomóc, nie znaczy, że na pewno wypłacie się z tarapatów, w które się wpakował – zaznaczył Szwed. – Dostarczę mu kilka rzeczy, dzięki którym będzie miał szansę przeżyć. Potem musi radzić sobie sam.

– Proszę się o niego nie martwić. – Lucía uśmiechnęła się słabo. – Ma prawdziwy dar. Bywał w gorszych kłopotach, ale zawsze uchodził z życiem. Jeśli będzie mieć jakąkolwiek szansę przeżyć, przeżyje.

KILOMETR 178. TRASY MIĘDZYSTANOWEJ NUMER 196, GDZIEŚ MIĘDZY MISSISIPI A LUIZJANĄ

Pułkownik Hong był wściekły. Kolumna zatrzymywała się tego dnia już po raz trzeci. Tym razem, w dodatku, zanosilo się na dłuższy postój. Droga przechodziła w tym miejscu nad głębokim jarem, a most prowadzący na drugą stronę był przegrodzony w poprzek. Całkowicie tarasowały go dwie porzucone ciężarówki, z których jedna leżała na boku. Kierowca pierwszego pojazdu porzucił go, bo skończyło się paliwo. Jakiś czas później druga ciężarówka wpadła w pierwszą. Most zasłany był kawałkami pociętej blachy. Na krawędzi wiszącej nad jarem jezdni, zadając kłam prawom fizyki, balansowała potężna naczepa.

Po czternastu dniach podróży przez pustkowia, w które zmieniło się południe Stanów Zjednoczonych, nawet niesłychanie opanowany pułkownik Hong miał nerwy w strzępach. Kolumna przemieszczała się dotąd stosunkowo sprawnie, co nie znaczy, że bez trudności. Pierwszą była konieczność regularnego uzupełniania paliwa. Owszem, drogi pełne były porzuconych samochodów, ale z ogromnej większości z nich północnokoreańscy żołnierze nie mieli żadnego pożytku. W bakach nie pozostała ani kropla. Dawni właściciele jechali, póki nie skończyło im się paliwo, a potem po prostu zostawiali samochód na szosie i kontynuowali ucieczkę pieszo.

Porzucone auta były przy tym przeważnie doszczętnie zniszczone. Hong podejrzewał, że wskutek niesłychanego tempa rozprzestrzeniania się wirusa duży odsetek kierowców był zarażony już w chwili opuszczania domu. TSJ przenosił się nie tylko poprzez ugryzienie, ale też wszelkie formy kontaktu pomiędzy błonami śluzowymi (pocałunek, seks), a więc nosiciel w ciągu kilku godzin zarażał z reguły całą swoją rodzinę. Większość ofiar pandemii przekształciła się w Nieumarłych podczas jej pierwszych dni, nie mając nawet świadomości, że do zarażenia doszło. Patrząc na zdewastowane samochody, Hong wyobrażał sobie, co się w nich wydarzyło. Oto zarażony ojciec rodziny wywozi z miasta swoich najbliższych. Mijają kolejne godziny ucieczki, a on z każdą minutą czuje się coraz gorzej, aż wreszcie... Nawet dla człowieka tak twardego i bezwzględniego jak pułkownik była to wizja przyprawiająca o ciarki na plecach. Potworny uśmiech czaszek w zwęglonych wrakach potwierdzał tylko, że domysły Honga były trafne.

Poszukiwania paliwa były zatem absolutnym koszmarem. Dzięki zastosowaniu specjalnych filtrów wozy pancerne mogły teoretycznie jeździć na zwyczajnej benzynie. Niestety, filtry te lubiły tracić drożność, a silniki męczyły się potwornie, pracując na dziwnej paliwowej mieszance. Efekt jej stosowania był taki, że ekspedycja musiała porzucić dwa pojazdy, które odmówiły dalszego działania. Ci, którzy podróżowali nimi wcześniej, przesiedli się i tłoczyli z kolegami w tych pojazdach, które w dalszym ciągu były na chodzie. Ścisk zaś stał się przyczyną pierwszych strat w ludziach. Chcąc się ogrzać, dwóch żołnierzy usadowiło się zbyt blisko silnika. Obaj śmiertelnie zatruli się we śnie tlenkiem węgla.

Hong zapalił kolejnego papierosa, obserwując, jak jeden z buldożerów kieruje się w stronę blokujących most ciężarówek. Przed maszyną szedł żołnierz, który pomagał jej operatorowi, pilotując. Pułkownik oglądał podobny manewr już po raz trzeci od chwili rozpoczęcia podróży.

Ile samochodów było w Stanach przed pandemią?, pytał w myślach samego siebie Hong. Wnosząc z liczby mijanych po drodze aut, miał wrażenie, że na jednego Amerykanina kiedyś przypadały co najmniej trzy.

Pułkownik zaciągnął się mocno papierosem. Palenie było jedną z nielicznych przyjemności, jakie niosła ze sobą wyprawa. Amerykański tytoń był znacznie lepszy niż podła, zalatująca sianem chińska mieszanka, do której palenia przywykli Koreańczycy z Północy. Co więcej, przy drogach w bród było miejsc, gdzie można było zdobyć papierosy. Jak większość północnokoreańskiego społeczeństwa, niemal wszyscy ludzie Honga palili. Pułkownik był przekonany, że gdyby ktoś chciał wytropić jego ekspedycję, wystarczyłoby, żeby podążał za zapachem dymu z lucky strike'ów.

Buldożer dotarł do wraków ciężarówek. Kierowca uniósł zmodyfikowany lemiesz i przygotowywał się do zepchnięcia przeszkody z mostu. Z początku słychać było tylko leniwy warkot silnika, jednak po chwili wraki zaczęły przesuwać się metr po metrze w stronę krawędzi. Towarzyszyły temu potworny zgrzyt, strumienie iskier i swąd palonego plastiku. W końcu kierowcy buldożera udało się unieść szoferkę mniej uszkodzonej ciężarówki i wypchnąć ją poza obręb jezdni. Wisząca nad jarem część naczepy niebezpiecznie się zachwiała, ale kabina ciągnika wciąż pozostawała zaczepiona o metalowy element przesła, blokując dalszy ruch wraku. Operator buldożera wrzucił bieg wsteczny i wycofał maszynę o kilka metrów, by po chwili przy wtórze ryku silnika ponownie natarcie na powyginane podwozie ciężarówki. Manewr ten przypominał wyważanie potężnej bramy trzydziestotonowym taranem.

Uderzenie lemiesza w szoferkę stało się początkiem łańcucha zdarzeń. Siła, z jaką buldożer natarł na ciężarówkę, była tak duża, że blokujący wrak metalowy słup pękł jak suche źdźbło. Uwolnione resztki szoferki zsuwały się w przepaść, ciągnąc za sobą potężną naczepę. Ta z kolei uderzyła we wrak

drugiego tarasującego jezdnię pojazdu, który nieoczekiwanie wystrzelił w stronę buldożera.

Zdezelowana karoseria drugiej ciężarówki z impetem gruchnęła w bok koreańskiej maszyny, przesuwając ją o ponad pół metra. Odległość ta wydawała się niewielka, ale starczyła, by buldożer znalazł się na krawędzi jezdni i jak w zwolnionym tempie zawisł nad głębokim jarem.

– Nie! – krzyknął Hong, ciskając na ziemię niedopałek papierosa. Wściekły pułkownik mógł tylko bezsilnie przyglądać się nadchodzącej katastrofie.

Buldożer przez chwilę chwiał się na krawędzi jezdni. Wyglądało to tak, jakby przeznaczenie namyśliło się i postanowiło jednak nie zrzucić maszyny w przepaść. Niestety, kierowca w odruchu paniki wyskoczył z buldożera, by – jak sądził – ratować się od niechybnej śmierci. Gdyby pozostał w kabinie jeszcze przez krótką chwilę, siła inercji zaraz postawiłaby maszynę z powrotem na czterech kołach. Desperacką próbą opuszczenia szoferki wybił jednak buldożer z wątej równowagi, która dawała mu szansę pozostania na moście. Z ogłuszającym zgrzytem maszyna osunęła się w dół, pociągając z sobą najpierw swego nieszczęsnego kierowcę, a zaraz potem wraki obu ciężarówek.

Wielotonowe kłębowisko stali z łoskotem runęło na dno jaru. Hałas towarzyszący jego uderzeniu o ziemię był tak potężny, że musiał być słyszalny w promieniu wielu kilometrów. Uderzywszy w dno wąwozu, maszyny wzbily potężną chmurę pyłu i piasku. Członkowie ekspedycji z niemym przerażeniem wpatrywali się w tuman skrywający skutki katastrofy.

– Pułkowniku. – Porucznik Kim ostrożnie zbliżył się do Honga. Wiedział, że jego przełożony jest człowiekiem bardzo opanowanym, ale i bardzo niebezpiecznym, gdy w końcu coś go rozwścieczy. Nie trzeba zaś było geniuszu, by zorientować się, że pułkownik aż kipi ze złości. – Straciliśmy buldożer, ale droga jest przejezdna.

Hong kilkakrotnie odetchnął głęboko, zaciskając zęby. Utrata wozu pancernego byłaby kłopotem; utrata jednego z dwóch buldożerów była prawdziwą katastrofą. Obie maszyny zaprojektowano specjalnie do tego, by torowały kolumnie drogę na szosach pełnych przeszkód mechanicznych i Nieumarłych. Okna w szoferkach wykonano ze szkła pancernego, a kabinę umieszczono nieco wyżej niż zwykle, by zapewnić kierowcom bezpieczeństwo. Buldożery były w konwoju po prostu niezastąpione.

Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem, pomyślał Hong z właściwym ludziom Dalekiego Wschodu fatalizmem. Mamy zadanie do wykonania.

– Jedziemy dalej – skinął na porucznika – winny i tak już nie żyje. Nie ma po co tu sterczeć. – Pułkownik dał pozostałym znak, by odpalali silniki i ruszali za nim, i wszedł do swojego wozu pancernego. – Naprzód!

Kolumna z hałasem przetoczyła się przez most, zostawiając za sobą płonące

na dzień jaru szczątki buldożera i obu ciężarówek oraz zwęglone ciało pechowego kierowcy.

Godzinę później pułkownik Hong westchnął głęboko i opadł ciężko na siedzenie. Ta podróż najtwardszego była w stanie doprowadzić na skraj szaleństwa. Od samego początku kolumna wykorzystywała podrzędne drogi i omijała duże skupiska ludności – tam bowiem nagromadzenie Nieumarłych było największe. Na bocznych szosach rzadziej zdarzały się też przeszkody uniemożliwiające dalszą jazdę. Zwiad satelitarny wykazał, że niejednokrotnie celowo blokowano lub odcinano główne arterie komunikacyjne. W wielu miejscach władze zdecydowały o wysadzeniu mostów lub tuneli. Były to jedne z ostatnich rozpaczliwych prób zahamowania rozwoju pandemii, przywodzące na myśl to, co robiono w średniowieczu, by powstrzymać czarną śmierć. Tam gdzie nie miały miejsca planowane wysadzenia, na głównych trasach tworzyły się wielokilometrowe korki blokujące całą szerokość drogi. One również stanowiłyby zaporę nie do pokonania. Wreszcie niektóre z głównych arterii prowadziły przez tereny tak gęsto zaludnione, że pokonanie tam kilku kilometrów dziennie oznaczałoby wielogodzinne torowanie sobie drogi ostrzałem i żywym ogniem.

Tak więc kolumna przemieszczała się wyłącznie drogami stanowymi lub gminnymi. Dwukrotnie zdarzyło się też, że pojazdy pokonały wielokilometrowe odcinki, porzucając utwardzone szlaki i jadąc wprost przez pola. Tereny na południu stanu Teksas były płaskie i nieurozmaicone topograficznie. Sprzyjało to szybkim postępom ekspedycji. Odkąd jednak oddział Honga znalazł się na terytorium Luizjany, sprawy mocno się skomplikowały, a tempo podróży osłabło.

Najbardziej przerażające były przejazdy przez miejscowości. Podrzędne drogi, którymi podróżowali ludzie pułkownika, przechodziły przez dziesiątki miasteczek i wsi, których nie sposób było ominąć łukiem. Za każdym razem, gdy kolumna zbliżała się do któregoś z dawnych skupisk ludności, Hong dawał rozkaz, by zamykać wozy pancerne na głucho i przejeżdżać przez miejscowość z jak największą prędkością. Za każdym razem, gdy żołnierze docierali do osiedli ludzkich, rozgrywał się ten sam spektakl: kolumna pędziła opustoszałą główną ulicą, wymijając wraki samochodów i powalone drzewa, a dziesiątki wegetujących od miesięcy Nieumarłych budziły się nagle z letargu, wyczuwając obecność ludzi. Wytropiwszy ich zaś, zarazeni starali się zagrozić im drogę.

Z reguły nie stanowiło to większego problemu. Liczba ludności leżących na odludziu miasteczek nie przekraczała przed pandemią tysiąca osób, konwój zaś przejeżdżał przez miejscowości tak szybko, że zarazeni nie mieli dość czasu, by zgromadzić się licznie na drodze. Bywało, że zebrało się ich stu czy dwustu, ale przy takiej liczebności nie zagrażali oddziałowi. Raz tylko ludzie Honga znaleźli

się w opałach. Było to w mieście zwanej Livingston, niedaleko granicy Teksasu z Luizjaną.

Livingston było przed apokalipsą stolicą hrabstwa Polk. Przy swoich pięciu tysiącach mieszkańców stanowiło także największe w okolicy skupisko ludności. Żołnierze wiedzieli o tym, nim wjechali do miejscowości, ale ominięcie jej oznaczałoby objazd rzędu sześćdziesięciu kilometrów. Uznano więc, że warto zaryzykować. To był pierwszy błąd.

Drugim błędem była decyzja o rozbiciu oddziału na dwie mniejsze jednostki. Miało to pomóc w zdobyciu paliwa. Pokonywanie miejscowości w podgrupach zwiększało ryzyko, ale i umożliwiało znacznie szybsze jej przeszukanie. Wiedząc, że boczne uliczki są o wiele węższe niż główna trasa prowadząca przez miasteczko, pułkownik zdecydował się oddelegować oba buldożery do drugiego oddziału na wypadek, gdyby trasa przejazdu była zablokowana. Hong miał świadomość, że podejmował ryzyko niemal niedopuszczalne, ale uważał, że po prostu nie ma innego wyjścia. Oddziałowi udało się pokonać południe Stanów Zjednoczonych w dwa tygodnie, ale kolumna jechała już prawie na oparach. Paliwa w bakach zostało na jakieś pięćdziesiąt kilometrów, a Livingston było jedyną miejscowością w promieniu wielu mil. Pułkownik sądził, że jeśli gdziekolwiek mają szansę zdobyć paliwo, to właśnie tam. Decyzja o wjeździe do miasteczka nie była więc całkiem pozbawiona logiki.

Za trzeci błąd trudno obarczać winą pułkownika. Był to raczej splot okoliczności. W hrabstwie Polk mieszkali niemal wyłącznie rolnicy i hodowcy bydła – ludzie, którzy nie lubili przyjezdnych i nie ufali rządowi federalnemu. Kiedy więc z Waszyngtonu przyszedł rozkaz, by wszyscy ewakuowali się do Bezpiecznych Stref, ogromna większość miejscowych postanowiła zignorować go i udać się w miejsce, które wzbudzało w nich znacznie większe zaufanie. Miejszem tym było Livingston, stolica ich hrabstwa.

Gdy na tydzień przed wypadkiem na moście kolumna wjeżdżała do miasta i rozdzielała się na dwie podgrupy, żołnierze nie mieli pojęcia, że pakują się wprost w piętnastotysięczne rojowisko Nieumarłych, którzy tylko czekają na pierwsze od niemal dwóch lat ofiary.

Zarażeni runęli na północnokoreański oddział ze wszystkich stron. U wylotu głównej ulicy miasta zgromadziło się około tysiąca Nieumarłych. Całkowicie zatarasowali drogę jednej z podgrup, akurat tej, która nie miała w swoich szeregach buldożera. Pojazdy opancerzone natarły na tłum Nieumarłych, ale po chwili maszyna przewodząca w szyku musiała się zatrzymać. Korpus zarażonego dostał się pomiędzy oś a przednie zawieszenie wozu i uniemożliwił mu dalszą jazdę. Ulica była zbyt wąska, by pozostałe maszyny wyminęły zablokowany wóz, więc cała podgrupa została unieruchomiona.

Siedzący w uziemionych wozach żołnierze z narastającym przestraciem słuchali, jak wokół gromadzi się coraz więcej zarażonych. Nieumarli wyli,

jęczeli przeraźliwie i coraz mocniej dobijali się do pojazdów. Po chwili w jeszcze większe przerażenie wprawiły ludzi Honga histeryczne okrzyki dobiegające z pierwszej maszyny w szyku. Jej załoga, postępując wbrew rozkazom, zdecydowała się opuścić swój unieruchomiony BTR-60. Żołnierze wyskoczyli z wozu pancernego i zaczęli strzelać jak oszaleli. Następnie rzucili się w stronę pozostałych maszyn, błagając kolegów o pomoc. Mimo ogromnego posłuchu, jaki miał Hong wśród swych ludzi, ledwie udało mu się zapobiec temu, by ci otworzyli klapy i pomogli załodze pierwszej maszyny. Pułkownik wiedział, że jeśli uchylony zostanie choćby jeden właz, Nieumarli w ciągu paru sekund dostaną się do środka. W końcu dobiegające z zewnątrz krzyki żołnierzy zaczęły cichnąć, by po chwili ustać zupełnie.

Hong nakazał wtedy, by pojazdy popychały się wzajemnie, tworząc coś na kształt gigantycznej, opancerzonej gąsienicy. Połączoną mocą kilku silników udało się przepchnąć tarasujący drogę pojazd i pomału przebić się przez tłum zarażonych. Ci, rzecz jasna, nie ustąpili sami z siebie – wozy opancerzone bezlitośnie rozpychały ich na boki lub rozgniatwały kołami. Gdy w końcu dowodzonej przez Honga podgrupie udało się przedrzeć i dotrzeć na drugi koniec miejscowości, musiała ona przez kolejne pół godziny czekać na drugi pododdział. Ten, jak się okazało, przejechał przez Livingston bez zadrąśnięcia. Paliwa zdobyć się jednak nie udało.

Ekspedycja rzutem na taśmę uniknęła uziemienia z braku paliwa. Udało się je uzupełnić dopiero kilka godzin później na zdewastowanej, maleńkiej stacji benzynowej gdzieś pośrodku pustkowia. Był to mały, rodzinny interes na głębokim odludziu, gdzie ludzie Honga napotkali jedynie czworo zarażonych (właściciela stacji wraz z żoną i dziećmi). Unieszkodliwienie ich nie sprawiło oczywiście żadnego kłopotu uzbrojonym po zęby północnokoreańskim żołnierzom. Świętej pamięci właściciel stacji był nie tylko aktywnym członkiem Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego Ameryki, ale i człowiekiem niesłychanie przezornym. Dlatego też zainstalował na głównym zbiorniku podwójne zamki i zabezpieczenia. Dla samotnego podróżnego byłyby one zapewne zaporą nie do pokonania, ale akurat Hong miał dość ludzi i sprzętu, by dać sobie z nimi radę. Wewnątrz zbiornika było tyle paliwa, że nie tylko napełnili baki, ale także wypełnili nim kilkanaście beczek, które następnie umocowali na karoseriach BTR-60.

Problem paliwa udało się rozwiązać, ale pozostawała obecność Nieumarłych. Koreańscy żołnierze szybko zorientowali się, że są między zarażonymi spore różnice. Grzyb atakował wszystkich, jednak w strefach wilgotniejszych jego kultury rozwijały się o wiele szybciej. Również otwarte rany zdawały się sprzyjać powiększaniu się narośli. W suchym, wietrznym i pełnym pyłu Teksasie większość Nieumarłych wciąż wyglądała „normalnie” (jakkolwiek

dziwnie brzmi to słowo w odniesieniu do żywych trupów).

Im bliżej jednak kolumna docierała do Missisipi, tym bardziej wilgotność otoczenia rosła i zarażeni wyglądali tu zupełnie inaczej. Wszyscy mieli w jakimś punkcie ciała widoczną narośl. Oddział pokonywał kolejne dziesiątki kilometrów, z każdym dniem zbliżając się do delty wielkiej rzeki, a napotkani Nieumarli coraz bardziej zaskakiwali ich swoim przedziwnym, odrażającym wyglądem. Ledwie poruszające się ludzkie ciała w całości prawie ginęły pod gigantyczną zielonkawoniebieską lub lekko pomarańczową naroślą. Pokrywający ciała zarażonych grzyb miał różną fakturę: to przypominał zabarwioną gazę owiniętą wokół kończyn, to zbity kozuch, który nie pozwalał dojrzeć pod spodem skóry ani mięśni. Coraz częściej północnokoreańscy żołnierze natrafiali także na sterty gnijącego mięsa zwieńczone ogromnych rozmiarów kulturami grzyba. Były to resztki tych Nieumarłych, którzy padli pod własnym ciężarem, by nigdy już się nie podnieść.

Patrząc na ten przyprawiający o mdłości ludzki kompost, Hong uświadomił sobie z przerażeniem, że podróż, którą odbywał ze swoimi ludźmi, rok wcześniej nie miałyby najmniejszych szans powodzenia.

Zdarzało się, że oddział przejeżdżał przez bezimienne wsie, w których nie było absolutnie nikogo ani niczego – nie tylko żywych ludzi czy Nieumarłych, ale nawet zwierząt. Całkowita, doskonała pustka. Gdy kolumna przetaczała się przez takie miejsca, a żołnierze bacznie rozglądali się wokół, rozmawiając ze sobą niespokojnym szeptem, pułkownik czuł się tak, jakby on i jego ludzie byli ostatnimi żywymi na całej ziemi.

Dlatego też gdy pięć dni później napotkali liczną grupę złożoną z osób, które ani trochę nie wyglądały na zarażone, zaskoczenie ich było ogromne.

Kolumna zatrzymała się w cieniu jesionowego lasu. Wozy zaparkowano frontem do siebie na planie koła, podobnie jak czynili to kiedyś osadnicy kolonizujący Dzikie Zachód. Ludzie Honga uzupełniali baki paliwem z beczek i dokonywali rutynowych czynności związanych z konserwacją sprzętu. Wewnątrz okręgu utworzonego przez pojazdy rozpalono kilka ognisk i gotowano ryż. Połowa żołnierzy próbowała zasnąć, druga połowa pozostała na warcie na wypadek pojawienia się nieproszonych gości. Hong kazał rozstawić dla siebie stół pod rozłożystym drzewem, po czym przystąpił do sporządzania raportu dziennego. W północnokoreańskim wojsku porządek w papierach musiał być, nawet pośród zarazy i chaosu. Nagle uszu pułkownika dobiegły odgłosy wystrzałów.

W pierwszej chwili pomyślał, że ktoś atakuje jego oddział. Rzucił pióro na stół, by błyskawicznie sięgnąć po makarowa, którego miał przy pasie. Po chwili jednak odłożył broń do kabury. Odgłosy były przytłumione – ten, kto strzelał, znajdował się daleko.

– Kim! – przywołał pułkownik swojego adiutanta, zapinając kurtkę od

munduru polowego. Porucznik, jak zawsze szybki i cichy, po kilku sekundach wyrósł jak spod ziemi tuż obok Honga.

– Jestem, towarzyszu pułkowniku – powiedział spokojnie, sprawdzając zamek w swoim karabinie. – Strzały dochodzą z południowego zachodu. Dystans prawdopodobnie około czterech kilometrów, ale może być większy. W tej ciszy dźwięk łatwo niesie się na duże odległości.

– Wyślij tam wozy zwiadowcze. – Hong nie zamierzał narażać całej kolumny, w ciemno rzucając się na nieznanego przeciwnika na nierozpoznanym terenie. Po chwili przemyślał jednak swój rozkaz i zabrał z rąk Kima broń. – Zrobimy inaczej. Ty zostań tutaj i utrzymuj stałą łączność radiową. Sam pojedę to sprawdzić.

– To chyba nie jest rozsądne wyjście, towarzyszu pułkowniku. – Kim starał się odwieść szefa od nowego pomysłu. Starczyło jednak krótkie, jadowite spojrzenie, by wybić porucznikowi z głowy dalsze oponowanie. – Tak jest!

Hong wsiadł to jednego z lekkich wozów zwiadowczych, który czekał już z uruchomionym silnikiem. Żołnierze w jego oddziale byli zaprawieni w bojach i doświadczeni. W warunkach bojowych obywało się bez wydawania im prostych rozkazów. Gdy pułkownik wsiadał do pojazdu, wszyscy byli już na stanowiskach z bronią w pogotowiu.

– Jedziemy, chłopaki – zawołał Hong, czując przyływ adrenaliny. – Pamiętajcie, że nasz Umiłowany Wódz jest zawsze z wami. Naprzód!

Dwa pojazdy opuściły krąg otaczający obozowisko i skierowały się w stronę, z której dochodziły odgłosy wystrzałów. W kierunku tym wiodła malownicza droga tuż nad rzeką, ocieniona koronami starych klonów. Czerwone jesienne liście potęgowały wrażenie idylli, kompletnie nie pasując do okoliczności. Tylko Hongowi czerwony kolor listowia nie wydał się ani trochę malowniczy. Kojarzył mu się z krwią. Zwłaszcza teraz, gdy czuł, że zaraz znajdzie się w ogniu walki. Wystrzały jednoznacznie wskazywały na obecność człowieka. Starcie z ludźmi zaś stanowiło wyzwanie znacznie ciekawsze niż strzelanie do człapiących stert przegniłego mięsa. Poza tym ludzie mówili i dysponowali informacjami – te zaś były dla Honga najważniejsze.

Wozy pokonywały kolejne setki metrów, a odgłosy wystrzałów stawały się coraz wyraźniejsze. W pewnym momencie dały się też słyszeć dwie eksplozje. Wprawne ucho Koreańczyka natychmiast rozpoznało wybuchy granatów ręcznych.

Odgłos ten uspokoił nieco pułkownika. Wozy, które wybrał do rekonesansu, nie miały ciężkiego opancerzenia, ale w razie czego ochroniłyby swoich pasażerów przed tego rodzaju bronią. Gdyby on i jego ludzie natknęli się na oddział dysponujący cięższym uzbrojeniem, mieliby poważne kłopoty.

Wozy zatrzymały się na szczycie niewielkiego wzniesienia. Hong wychylił się

przez właz i zlustrował teren przez lornetkę. W głębi kotliny, niespełna dwa kilometry od niego, leżała nieduża wieś, zaledwie jakieś czterdzieści domów. To stamtąd dobiegały odgłosy wystrzałów.

Pułkownik dokładnie przyjrzał się ulicom. Z miejsca, w którym się znajdował, naliczył co najmniej dwadzieścia pięć ubranych na zielono postaci myszkujących pomiędzy domami. Na jednym z głównych skrzyżowań widać było sześć pojazdów, ciężarówek i wozów pancernych, ustawionych w zaporę. Część umundurowanych wchodziła do domów, by po chwili wyłonić się z nich ze stosami rzeczy, które następnie trafiały do ciężarówek. Reszta oddziału przemierzała powoli ulice miasteczka, eliminując niezdarnych, ledwie się poruszających Nieumarłych. Wszyscy zarażeni byli tak obciążeni naroślami, że nie stanowili już praktycznie żadnego zagrożenia.

Pułkownik odsunął lornetkę od oczu i pogрузzył się w myślach. Oddział, który widział, łupił wieś, z czego tylko się dało, a nieliczni zarażeni wcale mu nie zagrażali. Pytanie, jakie stawiał sobie Hong, brzmiało: czy ma przed sobą odosobnioną grupę bez żadnego zaplecza, czy jednostkę wypadową pochodzącą z jakiegoś większego ośrodka. Na przykład z Gulfport.

Druga z opcji nie wydawała się wcale nieprawdopodobna. Koniec końców, kolumna znajdowała się o mniej niż dwieście kilometrów od celu. Jeżeli ludność Gulfport była tak liczna, jak zakładali Koreańczycy, to oczywiście musiała czerpać zapasy z miejsc coraz bardziej oddalonych. Był jednak tylko jeden sposób, by się upewnić.

– Sierzancie, zbliżcie się na kilometr do zabudowań, jadąc wschodnią flanką, i czekajcie na mój sygnał. Wejdziemy do wsi pieszo z dwóch stron jednocześnie. Ci imperialiści się nas nie spodziewają. – Hong uśmiechnął się na myśl o rychłym polowaniu. – Będą mieli piękną niespodziankę.

– Nie powinniśmy zawiadomić obozu i poprosić o wsparcie? – upewnił się przezornie wysoki i chudy sierżant.

– Nie ma na to czasu. – Hong machnął ręką. – Kończą ładować ciężarówki i mogą w każdej chwili odjechać. Poza tym, jeśli będzie nas więcej, zobaczą, że się zbliżamy. Musimy korzystać z okazji.

Sierżant zaszalutował i oddalił się, by zająć miejsce w wozie obok pięciu swoich ludzi. Hong usiadł w swoim pojeździe obok pięciu kolejnych żołnierzy i nakazał kierowcy, by robiąc lekki łuk w lewo, kierował się w dół kotliny. Gdy znaleźli się jakieś osiemset metrów od zabudowań, pułkownik polecił zatrzymać wóz na zdziczałym polu kukurydzy. Hong i jego ludzie wysiedli i pieszo ruszyli w stronę miejscowości.

Silniki maszyn należących do łupiącego wieś oddziału były uruchomione. Poza tym hałas wystrzałów z pewnością zagłuszył wszelkie odgłosy, jakie towarzyszyły zbliżaniu się Koreańczyków. Hong jednak i tak kazał ludziom zachować absolutną ciszę. Przezorność nie zawadzi. Zaskoczenie miało być

pełne.

Dotarłszy do pierwszego domu, Hong podzielił swój nieduży oddział na dwie drużyny. Przeciwnik był ewidentnie liczniejszy, ale pułkownik bardzo liczył na element zaskoczenia oraz na przewagę wyszkolenia. Jego żołnierze byli w końcu wysokiej klasy zawodowcami. A motto jego jednostki brzmiało: „Bez ryzyka nie ma zwycięstwa”. Hong wdrażał ten slogan w życie w sposób całkowicie dosłowny.

Pułkownik podczołgał się bezszelestnie do okna, by przyrzeć się całej długości ulicy. Po drodze lekko trącił ramieniem stojący obok kanapy stolik. Błyskawicznie wyciągnął rękę i przytrzymał mebel, nie chcąc dopuścić, by stojące na nim oprawione fotografie spadły na podłogę. Uniósł na moment wzrok i na jego twarzy zagościł pełen ironii uśmiech. Zdjęcie, które trzymał w dłoni, przedstawiało trzech amerykańskich marines. Żołnierze z poważnym wyrazem twarzy patrzyli wprost w obiektyw, opierając się o drogowskaz z napisem: „Phenian 115”[15].

No proszę, dom weterana z Korei. Wesoło. Ten złamas na pewno zabił niejednego naszego rodaka, pomyślał pułkownik. Swoją drogą, to ironia losu. Właściciel tego domu przejechał w młodości tysiące kilometrów, żeby zabijać Koreańczyków. Dziś Hong przybywał niejako w odwecie. Pokonał tysiące kilometrów, by zabijać Amerykanów na ich ziemi.

Do domu, w którym czaiła się koreańska drużyna, zbliżała się grupa ubranych na zielono mężczyzn. Pułkownik odnotował, że składała się prawie wyłącznie z Murzynów i Latynosów. Było też dwóch chudych Azjatów wyglądających na bardzo wyczerpanych. Hong nie uznał jednak tych niuansów etnicznych za istotne. Dla niego wszyscy ci ludzie byli nieprzyjaciółmi. Kolor skóry nie miał znaczenia.

– Ej, Weeze! – zawołał jeden z mężczyzn. – Weź Randy’ego i Josego i idźcie do tego domu na rogu. – Tu uniósł rękę i wskazał na dom, w którym znajdował się pułkownik. – Charlie, Fernando i ja pójdziemy do tego drugiego. A wy tam, możecie...

Nie dokończył zdania. Słowa uwięzły mu w gardle, gdy jego klatki piersiowej dosięgła seria z kałasznikowa pułkownika. Mężczyznę rzuciło do tyłu, jakby otrzymał potężny cios. Stojący obok niego Murzyn (Charlie? Fernando?) przyglądał się wszystkiemu ze zdumieniem. Nic więcej zrobić nie zdołał, bo sekundę później i jego ciało podziurawiły kule. Kilka z nich trafiło go w głowę, gruchocząc czaszkę i wywołując potężny rozbryzg krwi.

Ludzie w zielonych mundurach byli zaskoczeni i przerażeni. Jedni unosili broń, rozglądając się za niewidocznymi strzelcami, inni strzelali na ślepo. Pozostali zaś wykonali szybki zwrot i w owczym pędzie rzucili się do ucieczki.

Na próżno jednak. Koreańczycy byli znakomitymi strzelcami, a uciekający ułatwili im zadanie, biegnąc w niemal równym rzędzie. Po chwili wszyscy leżeli

już martwi na ziemi. Strzelanina trwała dosłownie kilka sekund. Gdy dobiegła końca, w powietrzu unosił się zapach prochu i krwi. Na rozgrzanym asfalcie leżało dziesięć trupów w zielonych mundurach.

Nie było czasu do stracenia. Hong przez otwór okienny wyskoczył z domu, nie fatygując się nawet wydawaniem rozkazów. Wiedział, że jego ludzie i tak natychmiast ruszą za nim. Z drugiego końca wsi dobiegał już charakterystyczny klekot kałasznikowów, przypominający nieco odgłos towarzyszący pisaniu na maszynie – znak, że grupa dowodzona przez sierżanta wkroczyła do akcji.

Hong biegł chodnikiem w kierunku ciężarówek, czując, jak krew pulsuje mu w skroniach. Wciąż nie było słyhać suchych warknięć towarzyszących wystrzałom z M16, ale pułkownik wiedział, że zaraz się to zmieni.

– Szybko, do ciężarówek! – nakazał swojej drugiej drużynie. Sam zaś wziął ze sobą dwóch żołnierzy i skierował się pospiesznie w kierunku supermarketu. Wszystkie okna sklepu zabite były deskami, a drzwi wyważone. Pułkownik wiedział, że w środku kryje się co najmniej siedmiu ludzi w zielonych mundurach.

Gdy był już niecałe trzydzieści metrów od wejścia, z wnętrza wyłoniły się trzy postacie. Dwie miały broń zarzuconą na plecy, a ręce zajęte potężnymi pudłami pełnymi produktów. Trzecia postać, łysy wytatuowany mężczyzna, z pewnym roztargnieniem niósł w jednej ręce karabin M16, a w drugiej foliową torbę z żywnością.

– Po cholere robicie tyle hałasu, co? – zawołał w stronę Koreańczyków nieświadomy jeszcze zagrożenia. – Chcecie, żeby z całej okolicy pozłaziły się tu te pieprzone... Kurwa, o co chodzi?!

Hong, nie zatrzymując się nawet, wypalił z biodra z bojowym okrzykiem na ustach. Wytatuowany mężczyzna zakreślił się jak zabawkowy bąk, gdy naboje wystrzelone przez pułkownika przeszły jego klatkę piersiową. Jego dwóch towarzyszy natychmiast rzuciło na ziemię pudła i starało się jak najszybciej dobyć broni, ale obaj padli martwi, nim zdążyli położyć dłonie na karabinach.

Nie tracąc impetu, Hong i jego dwóch ludzi przeskoczyli nad zwłokami i ustawili się po obu stronach wejścia do sklepu. Na sygnał jednocześnie wrzucili do wnętrza granaty i skulili się, chroniąc głowy.

Siła eksplozji rozbiła wszystkie szyby i oderwała od ścian większość chroniących okna desek. Po chwili z wnętrza wytoczył się mężczyzna w poszarpanym mundurze. Był cały we krwi i wył z bólu. Wybuch urwał mu rękę. Biedak w wyjściu ze sklepu potknął się o ciało mężczyzny z tatuażami i runął ze schodów. Stoczył się na sam dół, gdzie ostatecznie zaległ bez ruchu.

Po całej wsi rozniosły się odgłosy wystrzałów. To druga wydzielona przez Honga drużyna wzięła z zaskoczenia ładujących ciężarówki. Kilka sekund i ludzie w zielonych uniformach byli martwi. Heloci w końcu zorientowali się, że

ktoś (ktoś ŻYWY!) ich atakuje, i nieudolnie starali się bronić ogniem zaporowym.

Nieoczekiwanie z jednego z domów wyszło dwoje Nieumarłych. W sam środek strzelaniny wkroczyły dwie kobiety. Jedna była wyraźnie starsza, wieku drugiej nie dało się określić, ponieważ całą jej twarz przeżarł grzyb. Uszkodzenia były tak znaczne, że miejscami prześwitywały nagie kości czaszki. Rozrastająca się kultura grzyba najwidoczniej zerowała już na mózgu – kobieta poruszała się w sposób chwiejny i zupełnie pozbawiony płynności.

Zarażona o przeżartej przez grzyb twarzy szybko padła pod gradem kul. Staruszce jakimś cudem udało się dotrzeć na drugą stronę jezdni. Nie miała przy tym nawet świadomości, że toczy się tam strzelanina. Jedynym, co ją absorbowало, była postać odwróconego do niej plecami heloty, który zmagал się z zaklinowanym zamkiem swojego M16 i nie dostrzegал zagrożenia.

Zarażona staruszka z głośnym warknięciem rzuciła się na mężczyznę w mundurze. Ten zdążył się odwrócić i wymierzył jej potężny cios kolbą karabinu. Z ust Nieumarłej wyleciał obfity strumień krwi i kilka wybitych zębów. Helota wykorzystał to, że udało mu się odepchnąć zarażoną, by błyskawicznie wycelować i umieścić kilka naboјów w jej czaszce. Niestety, nim zwłoki starej kobiety padły na ziemię, on sam już nie żył. Seria z koreańskiego kałasznikowa przeorała mu klatkę piersiową.

Nagle na ulicy rozległa się potężna eksplozja. Ludzie Honga wrzucali materiały wybuchowe do wozów opancerzonych, którymi przyjechali heloci. Pierwsza maszyna stała już w ogniu, kompletnie zniszczona.

– Nie! – krzyknął głośno pułkownik, ryzykownie unosząc głowę. – Nie wysadzajcie ich! Mogą nam być potrzebne!

Kilka naboјów trafiło w ścianę tuż za głową Honga, a na koreańskiego oficera posypał się deszcz drzazg i drobnych odłamków. Pułkownik natychmiast ukrył się za stojącym obok porzuconym fordem i zaklął. Po chwili ulicą wstrząsnęła kolejna eksplozja. Tym razem w powietrze wyleciała ciężarówka.

– Nie rzucać granatów! Niczego nie wysadzajcie! – Hong darł się do krótkofalówki, licząc na to, że jego ludzie go usłyszą.

Szczęśliwie po krótkiej chwili stało się tak, jak sobie życzył. Nie wiadomo, czy żołnierze usłyszeli rozkaz, czy po prostu skończyły im się granaty, ale wybuchy ustały. Nadal trwała jednak strzelanina. Heloci byli w odwrocie i ponosili dotkliwe straty. Niedobitki ich oddziału zostały okrążone w jednym z domów przy głównej ulicy miasteczka.

Okrążeni starali się bronić w możliwie zorganizowany sposób, ale nic to nie dawało. Pomimo poniesionych strat wciąż przeważali liczebnie, a i tak nie byli w stanie stawić ludziom Honga realnego oporu. Grupa helotów składała się z

kobiet i mężczyzn, z których ogromna większość nie miała żadnego przeszkolenia wojskowego. Ich jedynym przeciwnikiem byli dotąd Nieumarli. Starcie z doborowymi żołnierzami, którzy doskonale strzelali i ubezpieczali się wzajemnie, okazało się czymś wielokroć trudniejszym i przekraczającym możliwości tej dość przypadkowej ludzkiej zbieraniny. Cała ulica zasłana była ciałami w zielonych mundurach. Ten widok najwymowniej świadczył o kolosalnej dysproporcji siły bojowej. Dysponujący gorszym uzbrojeniem i wzięci z zaskoczenia heloci nie mieli żadnych szans. Ich opór słabł z każdą minutą.

Z okna otoczonego domu ktoś wysunął białe prześcieradło. Hong nakazał swoim ludziom natychmiast wstrzymać ogień.

– Wychodzimy! – krzyknął zachrypnięty głos. – Kurwa, tylko nie strzelajcie! Poddajemy się! Wychodzimy na zewnątrz!

Po chwili z budynku wyłoniła się grupka pięciorga niedobitków – dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Jeden z dwóch ocalałych mężczyzn otrzymał postrzał w ramię, który pogruchotał mu kość. Jego ręka była cała zakrwawiona, a twarz wykrzywił ostry grymas bólu. Jedno spojrzenie i Hong wiedział, że człowiek ten nigdy nie odzyska sprawności w uszkodzonej kończynie. Niewiele go to jednak obchodziło.

– Rzucić broń! – krzyknął pułkownik. – Trzymać ręce nad głową!

Wystraszeni heloci posłusznie wypełnili polecenie. Do pięcioosobowej grupy podeszło teraz kilku północnokoreańskich żołnierzy. Upewnili się, że kapitulujący nie mają przy sobie ukrytej broni. Całej piątce kazano uklęknąć twarzą do ściany budynku. Koreański atak zakończył się pełnym powodzeniem – oddział Honga nie poniósł żadnych strat. Jeden z jego żołnierzy został tylko draśnięty w udo. Dookoła zaś leżały zwłoki co najmniej czterdziestu helotów. Do ścielących się na jezdni trupów zlatywały się już roje much.

Pułkownik zbliżył się do jeńców. Z zainteresowaniem odnotował, że jedna z kobiet z przerażenia nie utrzymała moczu. Była z pewnością przekonana, że żołnierze zaraz ją zgwałcą. W innych okolicznościach Hong byłby jak najbardziej za takim rozwiązaniem (sam niejedną raz obszedł się w ten sposób z kobietą), ponieważ gwałt stanowił potężną broń psychologiczną i znakomity środek, by wyciągnąć z ofiary informacje. Sprawiał, że nawet najbardziej wytrwałe i zawzięte wiedźmy zaczynały śpiewać jak ptaszki. Wystarczyło tylko zadbać o odpowiedni poziom brutalności i dostateczną częstotliwość zmuszania do seksu.

Niestety, pułkownik i jego ludzie nie mieli czasu na takie praktyki. Rzecz jednak w tym, że zatrzymani o tym nie wiedzieli. Wystarczyło więc zaaplikować odpowiednią dawkę zastraszania. W tym zaś Hong był wysokiej klasy specjalistą.

Szereg jeńców otwierało dwóch ocalałych mężczyzn: ten ze strzaskaną kością

ramienia oraz potężny Murzyn o wytatuowanych rękach. Pułkownik zauważył, że czarnoskóry kolos ma zabandażowane biceps i łydkę, ślady odniesionych niedawno ran. Interesujące.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– Kurwa, Chińczycy! – wykrzyknął helota, nie odpowiadając na pytanie. – Albo inne Wietnamce! Co wy, do chuja, robicie w naszym kraju?

Hong na moment wbił w niego swoje martwe spojrzenie. Odważny helota starał się utrzymać kontakt wzrokowy, ale po krótkiej chwili dał za wygraną. Bardzo niewielu było takich, którzy potrafili patrzeć Hongowi w oczy.

– A spierdalaj... – rzucił tylko, wbijając wzrok w ziemię.

Mężczyzna ranny w ramię uśmiechnął się, słysząc wyzywający ton kolegi. Podobało mu się, że jego towarzysz zachowuje godność nawet na kolanach. Hong zwrócił się w stronę rannego i chwilę mu się przyglądał. Następnie bez jednego słowa sięgnął po broń i strzelił mu w głowę.

Mężczyzna z pogruchotanym ramieniem padł na ziemię ciężko jak worek z piaskiem. Z dziury w jego czole ciekła na ziemię strużka gęstej krwi. Klęcząca obok kobieta zaczęła histerycznie krzyczeć na widok kałuży formującej się u jej kolan.

Hong chwycił panikującą kobietę za włosy i trzykrotnie uderzył ją w twarz kolbą pistoletu. Każdemu uderzeniu towarzyszył przyprowadzający o gęsią skórę trzask. Słysząc było, że ciosy pułkownika zamieniają jej nos i zęby w miazgę. Hong przystawił lufę do potylicy kobiety i znów spojrzał na potężnego czarnego helotę. Ten obserwował go z furią w oczach.

– Zaczniemy jeszcze raz. – Koreańczyk przycisnął rozgrzaną lufę do karku szlochającej, zakrwawionej kobiety. – Jak się nazywasz? – spytał podniesionym głosem.

– Darnell, Darnell Holmes – odparł po kilku sekundach milczenia Murzyn, z nienawiścią cedząc słowa.

– Skąd jesteś, Darnellu?

– Z Gulfport. Słuchaj no, jeśli zrobisz coś Chantelle, to przyrzekam, że cię...

Hong uśmiechnął się na dźwięk tych słów. Bingo.

– Masz mówić, kiedy ja ci tak każę, Darnellu Holmes z Gulfport. Powiedz mi, skąd się wzięły te rany?

– To? – Pytanie Honga zaskoczyło helotę. Murzyn obrzucił spojrzeniem bandaż na swoim ciele. – A co to ma za znaczenie?

– Ja decyduję, co ma znaczenie, a co nie, Darnellu Holmes. Mów.

– Słuchaj, nie chcemy problemów. Szukaliśmy tylko jedzenia i...

Hong przeładował pistolet i mocniej przycisnął lufę do potylicy klęczącej

dziewczyny. Ta krzyknęła przerażona.

– Zaczynam tracić cierpliwość, Darnellu Holmes.

– Kurwa, spokojnie! Powiem! Zrobili mi to parę tygodni temu w Afryce, kiedy popłynęliśmy po ropę. Paru zgniłych o mało mnie nie zatłukło na nabrzeżu. To ich ugryzienia.

Odpowiedź heloty sprawiła, że zdumionemu Hongowi zadrżała ręka. Pułkownik nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Pytanie o rany zadał, licząc, że dowie się, czy Murzyn odniósł je w jakiejś wcześniejszej strzelaninie. Gdyby tak było, oznaczałoby to, że w okolicy działają inne grupy uzbrojonych. Ostatnie, czego się spodziewał, to że urazy te spowodowali Nieumarli.

– Jak to możliwe? Wy tłumacz!

Po raz pierwszy od rozpoczęcia strzelaniny Darnell uśmiechnął się niepewnie.

– Powiem ci pod jednym warunkiem. – Holmes zwilżył językiem spierzchnięte wargi, namyślając się intensywnie. – Musisz dać nam odejść. Uwolnisz dziewczyny i mnie, nie robiąc nam krzywdy. Zgoda?

Hong przez kilka zdających się trwać wieczność sekund przyglądał się helocie. W końcu pochylił się lekko do przodu, schował pistolet do kabury i położył prawą dłoń na sercu.

– Daję ci oficerskie słowo, że uszanujemy wasze życie i damy wam odejść tam, gdzie wasze miejsce. A teraz mów. Wy tłumacz, jak to możliwe, że po ugryzieniu przez Nieumarłego nadal żyjesz.

Darnell spojrzał nieufnie na pułkownika. Nie wierzył ani trochę temu żółtkowi, który mówił do niego chropawą angielszczyzną. Nie miał jednak innego wyjścia niż powiedzieć mu to, o co pytał. W swoim rodzinnym Nowym Orleanie nauczył się, że gdy ktoś przystawia ci lufę do głowy, to nie masz zbyt wielu opcji. Wziął więc głęboki oddech i zaczął mówić.

Odpowiedział obszernie na pytanie pułkownika. Gdy mówił, wyraz twarzy Honga zmieniał się co kilka chwil. Z początku mina oficera wyrażała zdumienie, potem głęboki namysł. Ostatecznie zaś jego oblicze przybrało wyraz zdecydowania i niepohamowanej ambicji. Helota zadał sobie w tym momencie pytanie, czy przypadkiem nie popełnił kolosalnego błędu.

Godzinę później północnokoreańska kolumna, teraz już w pełnym składzie, opuszczała wieś, bogatsza o zdobyte na helotach ciężarówki i wozy pancerne. W przydrożnym rowie ciała Darnella Holmesa i czworga jego towarzyszy zaczynały pomału gnić, czekając, aż nocą pojawią się kojoty i urządują sobie ucztę.

Hong tymczasem z uśmiechem rozparł się na twardym siedzisku wozu

opancerzonego. W dłoniach obracał niedużą butelkę wypełnioną mętną cieczą o mlecznej barwie. Wyciągnął ją z plecaka Darnella i wiedział, że ma w rękach prawdziwy skarb. Gdy wróci do Korei, przywiezie ze sobą coś znacznie cenniejszego niż informacja o źródle ropy.

Przywiezie klucz do zwycięstwa swej ojczyzny nad całym światem.

GULFPORT, BIURO SZERYFA

Następnego ranka przyszła po mnie cała grupa gwardzistów i milicjantów Greene'a. Liczba strażników była oczywiście przesadna jak na jednego więźnia, ale dowodziła, że wielebny i jego Zieloni nie życzą sobie w ostatniej chwili żadnych niespodzianek. Kazali mi wystawić ręce przez kraty i skuli mnie. Potem wyprowadzono mnie z celi. Miałem po trzech strażników przed sobą i za plecami. Nie skorzystaliśmy z głównego wyjścia, tylko wyszliśmy od zaplecza, drzwiami służącymi dawniej do wnoszenia śmieci. Na tyłach budynku czekała furgonetka z kretyńskim napisem na burcie:

SŁUŻBY KOMUNALNE

GULFPORT

Miasto, które z radością patrzy w morze!

Znajdowaliśmy się w ciasnym zaułku, dzięki czemu mojemu wyjściu z komisariatu nie towarzyszyli żadni niewygodni świadkowie ani rozzłoszczeni manifestanci, gotowi mnie ukamienować. Byłem niemal wdzięczny swojej sześćoosobowej eskorcie.

Przejazd furgonetką nie trwał długo. Gdy tylko wsiadłem, założyli mi na głowę worek z grubego płótna. Nie chcieli, żebym cokolwiek widział. Worek służył zapewne kiedyś do przechowywania cebuli, bo wciąż przesiąknięty był jej mdlącym zapachem. Mnóstwo wysiłku kosztowało mnie, by po drodze nie zwymiotować. I nie chodziło bynajmniej o to, że bałem się zabrudzić podłogę furgonetki (która już była dość zapaskudzona), ale o to, że zwrócenie treści żołądkowej kosztowałoby mnie życie. Po pierwsze, musiałem zachować w organizmie jak najwięcej wody, a po drugie i najważniejsze – nie mogłem pozwolić sobie na utratę choćby jednej kropli cladoxpanu.

Poprzedniej nocy po raz pierwszy napiłem się leku. Odczekałem chwilę, aż Grapes się oddali, a ja przestanę kipieć ze złości. Potem sięgnąłem po plastikowy pojemnik. Płyn wyglądał odrażająco, a jego zapach wydawał się nie z tego świata. Spośród znanych mi woni przypominał coś pomiędzy zepsutym mlekiem a mocno przeterminowanym sokiem owocowym. Była w tym zapachu również jakaś cierpka nuta powodująca odruchowe marszczenie nosa. Co ciekawe, smak cladoxpanu pozytywnie kontrastował zarówno z

zapachem, jak z wyglądem cieczy. Po pierwszym łyku substancja wydała mi się po prostu pyszna. Mimo że miała temperaturę pokojową, i tak przyjemnie orzeźwiała. Zupełnie jakbym łyknął wody z górskiego potoku. Płyn zdawał się sprawiać, że wszystkie pory w moim ciele otwierały się, a organizm mógł na nowo odetchnąć. Jednocześnie nadmierne pocenie i dokuczliwe drżenie rąk ustały niemal natychmiast. Nie miałem pod ręką żadnego lustra, ale postawiłbym cały mój zapas cladoxpanu na to, że również nabrzmiałe żyłki pokrywające ciało zniknęły lub znikną za kilka chwil.

Musiałem użyć całej siły woli, by nie pić dalej. Płyn miał słodkawy smak, a jego kojące działanie przyprawiało niemal o rozkosz. Każda komórka mojego ciała wołała o więcej. Jestem pewien, że gdyby ktoś ofiarował mi beczkę pełną tego leku, piłbym tak długo, aż zabrakłoby mi miejsca w żołądku. Wtedy zwymiotowałbym z premedytacją, by móc pić jeszcze i jeszcze.

Po napiciu się cladoxpanu fizycznie poczułem się rewelacyjnie. Nie pamiętam, kiedy ostatnim razem byłem w tak dobrej formie. Energia rozpierała mnie jak po końskiej dawce amfetaminy. Miałem ochotę biec.

Zrozumiałem, jak ważny był ten efekt dla helotów, którym kazano zapuszczać się daleko za miasto w poszukiwaniu zaopatrzenia. Dziadek opowiadał mi, jak to w czasie wojny dowództwo przed atakiem wydzielało żołnierzom w okopach hojne racje koniaku. Cladoxpan sprawiał, że odurzanie ludzi alkoholem przestawało być konieczne. Kilka łyków – i czułem się na siłach skrócić kark bizonowi. To pewnie dlatego na stację transportowało mnie aż sześciu ludzi. Z lekką goryczą uświadomiłem sobie, że oto stałem się ćpunem. Jedyna różnica polegała na tym, że mój nowy narkotyk nie rujnował organizmu, tylko ratował go od śmierci.

Furgonetka zakołysała się, gdy przejeżdżaliśmy po czymś nierównym. Podejrzewałem, że przekroczyliśmy tory kolejowe. Ktoś oparł mi dłoń na głowie i jednym szarpnięciem ściągnął z niej worek. Zamrugąłem kilkakrotnie oszołomiony światłem i hałasem. Musiałem wyglądać koszmarnie. Miałem posklejane włosy, na czole potężny strup, a w kilku miejscach na mojej twarzy widniały plamy zaschniętej krwi.

– Ostrożnie, Sal – zwrócił się jeden z milicjantów do faceta, który ściągnął mi worek z głowy – skurwiel ma całą twarz we krwi.

– Spokojnie – odparł ten drugi – mam rękawiczki i okulary ochronne. Idziemy, kolego. – Sal popchnął mnie kolbą swojego M16. – Wsiadaj.

Wyszedłem jakoś z furgonetki, omal nie potykając się o własne nogi. Znajdowaliśmy się na dawnym dworcu towarowym. W oddali, po lewej stronie rysował się budynek dworca pasażerskiego. Był dostatecznie oddalony, by nikt z mieszkańców Gulfport nie widział, w jaki sposób Greene pozbywa się „śmieci” ze swojego idyllicznego miasteczka białych.

Na torze przy peronie – ogromnej odlanej z cementu platformie

umiejscowionej w sąsiedztwie infrastruktury technicznej – stało się już sześć wagonów z lśniącą lokomotywą Amtraku na czele. Na jej przedzie zamontowano rodzaj odwróconego lemiesza szerokości ponad dwóch metrów. Przypominał nieco metalowe konstrukcje umieszczane na parowozach Dzikiego Zachodu, którymi spychano z torów martwe zwierzęta. Zagięta metalowa płyta przytwierdzona do frontu lokomotywy gwarantowała, że każdy Nieumarły, któremu przyjdzie do głowy wejść na tory, zostanie z nich z impetem strącony. Potężny silnik Diesla był już uruchomiony, a terkot lokomotywy na jałowym biegu niósł się po całej stacji.

Spojrzenie na wagony przyprawiło mnie o szok. Skład, którym miałem jechać, nie był złożony z wagonów pasażerskich, tylko towarowych wyposażonych w potężne przesuwne drzwi zamykane od zewnątrz. Na peronie ustawiono rampy, które prowadziły do wnętrza z tych obór na kołach. Każdego wagonu pilnowało kilku uzbrojonych po zęby milicjantów, między którymi krążyły butelki whisky. Ludzie Greene'a pociągali solidnie z flaszek, by umilić sobie nieco służbę na dworcu. W każdym z pododdziałów milicyjnych był funkcjonariusz trzymający na smyczy potężne, groźnie wyglądające owczarki niemieckie. Psy raz po raz szczerły wściekle. Gdyby nie groza sytuacji, pewnie zacząłbym się śmiać. Cała ta stacja i ci ludzie z psami – wszystko to wyglądało jak tania podróbka bocznic kolejowej w Auschwitz. Ludziom Greene'a brakowało tylko mundurów SS. Przez chwilę zastanawiałem się, czy którykolwiek z tych oprychów ma świadomość tej ponurej analogii. Obstawiam, że nie.

Potężna grupa helotów składająca się w przygniatającej większości z kobiet, starców i dzieci wsiadała właśnie do pierwszego wagonu. Nieliczni dorośli mężczyźni wchodzący w skład tej zbieraniny wyglądali rozpaczliwie. Równie rozpaczliwie jak ja. Byli posiniaczeni, poranieni i cali w plamach krwi. Strażnicy z ostrożności nie zbliżali się do nich. Gdy chcieli ponaglić któregoś z maruderów, szczerli ich psami. Widok był przygnębiający.

Wagony na czele składu zostały zapełnione, a ich drzwi zaryglowano. Ze środka dobiegały jęki i złorzeczenia. Ludzie, ściśnięci ponad wszelką dopuszczalną miarę, dusili się. Nie wszystkie wagony miały lufciki. Tam gdzie one były, rozgrywał się przygnębiający spektakl. Do maleńkich okienek przysuwały się po kolei pełne desperacji twarze. Ci, którym w końcu udało się dopchać do lufcika, na krótką chwilę wystawiali głowę na zewnątrz i chciwie jak topielcy chwytali powietrze. Przypatrywałem się temu wszystkiemu z narastającym przerażeniem. Wagony pozbawione były najbardziej elementarnych wygod. Nie dało się ich nazwać nawet bydłecymi. Miałem przed sobą trumny na kołach i dotarło do mnie, że podróż będzie piekłem.

– Ruchy, kolego. – Milicjant o imieniu Sal popchnął mnie lekko. – Dołącz do grupy.

Rozejrzałem się bezradnie. Wyglądała na to, że nie mam innego wyjścia niż usłuchać polecenia. Podszedł do mnie aryjczyk z Zielonej Gwardii i zdjął mi kajdanki. Nim na dobre zdałem sobie sprawę, co się dzieje, strażnicy wepchnęli mnie w tłum przerażonych, zapłakanych ludzi ściśniętych u wejścia do wagonu.

– Chwila! – zza moich pleców dobiegł znajomy głos. – Przyprowadźcie mi tu tego więźnia.

Gwardziści niechętnie wyłowili mnie z tłumu. Chcieli skończyć załadunek jak najszybciej i to opóźnienie wyraźnie ich drażniło. Popychany dwiema lufami karabinowymi przebiłem się przez ludzką gęstwę i stanąłem twarzą w twarz ze Strangärdem.

Przystojny, nienagannie ubrany oficer zupełnie nie pasował do całej tej sytuacji. Cały dworzec rozpalony był żarem południowego słońca, tymczasem Szwed miał na sobie nieskazitelny grantowy mundur. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. W tym momencie ani trochę nie przypominał uśmiechniętego oficera, który powitał nas na pokładzie w czasie huraganu.

– Jako oficer wykonawczy Chrześcijańskiej Milicji Gulfport mam obowiązek wręczyć panu kopię wyroku wygnania. Tego wymagają ode mnie przepisy. – Strangärd sztywnym ruchem wyciągnął w moją stronę rękę, w której trzymał kilka kartek.

– Naprawdę nie musiał się pan fatygować – odpowiedziałem sarkastycznym tonem. – Nie sądziłem, że jeszcze pana zobaczę, a już na pewno nie w takich okolicznościach.

– Wielebny osobiście nakazał mi, bym się tu pojawił. To ja wprowadziłem pana do naszej społeczności, uznano więc za stosowne, bym to ja dziś pana odprawił.

– Zbytek łaski. – Skinąłem głową w stronę papierów w dłoni oficera. – A co do tego wyroku, to z całym szacunkiem, pan i wielebny możecie wsadzić go sobie w wasze nabożne białe dupy. Nie chcę tych papierów.

– Nalegam, by je pan przyjął – głos Strangärda zabrzmiał nieco nienaturalnie. Szwed raz jeszcze podsunął mi plik kartek.

W jego oczach dostrzegłem dziwny błysk. Było widać, że marynarz stara się coś mi powiedzieć. Nie wiedziałem tylko co. Wiedziony instynktem wyciągnąłem rękę po egzemplarz wyroku, nie spuszczając przy tym oczu z twarzy Szweda. Ta nadal jednak zachowywała kamienny wyraz.

– Mam panu do przekazania coś jeszcze. – W tym momencie jeden z adiutantów podał Strangärdowi wiklinowy koszyk z wiekiem na zawiasie. Gdy Szwed poruszył nim lekko, ze środka dobiegło ledwie słyszalne miauknięcie. Lukullus!

Niemal wyrwałem koszyk z rąk Strangärda. Uniosłem wieko i odetchnąłem z ogromną ulgą. Zwinięty w kłębek kot leżał na dnie wyłożonym kawałkiem

koca. Kikut jego ogona został opatrzony gazą. Mój mały przyjaciel miał futro w kilku miejscach zaplamione krwią i nie wyglądał zbyt dobrze. Na mój widok wyraźnie się ucieszył.

– Porzucono go na komisariacie – powiedział Strangård takim tonem, jakby się tłumaczył. – Uznałem za swój obowiązek dostarczyć go panu.

Nagle twarz Szweda przybrała taki wyraz, jakby pożałował wypowiedzianych właśnie słów lub uznał, że w ogóle mówi zbyt dużo. Wyprężył się, przytupnął lekko, ze śmiertelną powagą zasalutował, po czym oddalił się szybkim krokiem.

Gwardziści wepchnęli mnie w tłum skupiony przy wagonie. Z uczuciem lekkiej ulgi zauważyłem, że ten, do którego mnie skierowano, miał po każdej ze stron kilka niewielkich okienek. Chociaż nie podusimy się w środku. No, przynajmniej nie wszyscy. Na moje oko wagon mógł pomieścić pięćdziesiąt stojących obok siebie osób. Gwardziści usiłowali tymczasem upchnąć w nim trzykrotnie więcej ludzi.

– Nie mieścimy się! – wrzasnął ktoś w tłumie. – Nie zmieści się nas więcej!

Nikt z milicjantów i gwardzistów w najmniejszym stopniu nie przejął się jego pełnym strachu krzykiem. W dalszym ciągu upychali nas bezlitośnie rękoma i kolbami, aż wszyscy znaleźliśmy się w środku. Gdy dopięli swego, zamknęli drzwi i zaryglowali je od zewnątrz.

Z początku nic nie widziałem. Kontrast pomiędzy oślepiającym światłem na zewnątrz a ciemnością wewnątrz wagonu był tak silny, że przyzwyczajenie się zajęło moim oczom dłuższą chwilę. Słyszałem tylko dookoła siebie kasznięcia, jęki i prowadzone szeptem rozmowy. Minęło kilka chwil i mój wzrok w końcu przywykł do mroku panującego w wagonie. To, co zobaczyłem, nie wyglądało uspokajająco. Stłoczono nas tu około stu pięćdziesięciorga. Nikt nawet nie próbował usiąść. Staliśmy wyprostowani, stłoczeni ramię w ramię jak tłum wychodzący z koncertu. Najniżsi, zwłaszcza dzieci, zaczęli mieć problemy z oddychaniem. Temperatura podnosiła się powoli, ale w sposób odczuwalny – stłoczone ciała wydierały ciepło.

Wzrost temperatury był jednak najmniejszym z naszych kłopotów. Wystarczyło, że pobieżnie omiotłem spojrzeniem kilkanaście stojących najbliżej mnie osób, a natychmiast zauważyłem kilkoro ociekających potem, drapiących się lub odczuwających pierwsze dreszcze. Oparty o ścianę staruszek trząsał się cały, a spod jego nosa po twarzy promieniście rozchodziły się nabrzmiące żyłki.

Z przerażeniem uświadomiłem sobie rzecz tak naprawdę oczywistą. Wszyscy lub prawie wszyscy w tym wagonie byli zarażeni TSJ. Za kilka godzin jego wnętrze stanie się otwartą na oścież bramą do piekła. Trudno wyobrazić sobie coś gorszego: oto grubo ponad sto osób stłoczonych w absurdalnie ciasnej przestrzeni, z których znaczna część lada chwila zmieni się w Nieumarłych. Co się wydarzy, gdy pierwsi z zarażonych ulegną przekształceniu? Uciekać nie

było dokąd. Z tej śmiertelnej pułapki nikt nie wyjdzie żywy.

Nagle poczuliśmy gwałtowne szarpnięcie. Był to niechybny sygnał, że pociąg ruszył. Lokomotywa pociągnęła skład z nieszczęsnym ładunkiem w nieznanym kierunku, gdzieś donikąd. Cel podróży był tu chyba zupełnie bez znaczenia. Docierając na miejsce, wszyscy i tak mieliśmy być monstrami nieświadomymi tego, gdzie się znajdują.

W twarzach pozostałych odczytywałem te same emocje, które targały mną. Ludzie potwornie się bali. Każdy widział w osobie stojącej najbliżej potencjalnego zabójcę. Odnosiło się to także do rodzin z dziećmi. Przyjacielski Jamajczyk z dreadami, piękna Meksykanka nuczająca kołysankę swemu kilkumiesięcznemu dziecku... Oni oboje i wielu innych w ciągu kilku najbliższych godzin przepoczwarzą się w coś znacznie gorszego niż członkowie Zielonej Gwardii, którzy upchnęli nas w tym wagonie. Co za koszmar.

Niektórzy z pasażerów pociągu śmierci zaczęli wyciągać swoje zapasy cladoxpanu. Przechowywali je w najprzeróżniejszych pojemnikach. Szczęśliwcy dźwigali duże butle o pojemności ponad trzech litrów. Ci, którym wiodło się gorzej lub których łapanka zaskoczyła w pechowym miejscu, mieli przy sobie zupełnie śmieszne ilości leku. Byli i tacy, którzy nie mieli nic. Rozwiązaniem najbardziej racjonalnym byłoby zebrać od wszystkich całą posiadaną ilość leku, a następnie porcjować go i wydawać po równo wszystkim pasażerom. Nie było jednak najmniejszych szans, by tak się stało. Każdy ścisnął kurczowo swój mniejszy lub większy zapas, obserwując sąsiadów nieufnym, pełnym wrogości wzrokiem. Ludzie w wagonie przypominali psy zazdrośnie strzegące kości. W kilku miejscach dały się słyszeć krzyki, przekleństwa i odgłosy szarpaniny. Podejrzewałem, że nim podróż dobiegnie końca, stanę się świadkiem niejednego zabójstwa.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że pojemnik, który poprzedniej nocy dał mi Grapes, był już w połowie pusty. Przerażony myślą o znikomości mojego zapasu wyciągnąłem go z koszyka i potrząsnąłem nim. Przez kilka sekund karmiłem się idiotyczną nadzieją, że w jakiś magiczny sposób pojemniczek sam się napełnił. Po chwili skonstatowałem z przygnębieniem, że zostało mi zaledwie około piętnastu mililitrów leku. Dzięki takiej ilości mogłem przeżyć jeszcze trzy, może cztery godziny. Na pewno nie więcej.

Miałem przesrane.

Obolały Lukullus obrócił się w koszyku. Było mu niewygodnie. Na podłodze wokół mnie nie było dość miejsca, by postawić koszyk. Przewiesiłem sobie wiklinowy uchwyt przez rękę, a drugą sięgnąłem po kota i wyjąłem go z zamknięcia. Rana na ogonie nie wyglądała najgorzej. Ktoś przynajmniej zadał sobie tyle trudu, by ją zdezynfekować. Kot stracił jednak dużo krwi, a przy tym podejrzewałem, że ledwo żyje z pragnienia. Na pewno nie czuł się zbyt dobrze.

Już miałem umieścić Lukullusa z powrotem wewnątrz koszyka, gdy

zorientowałem się, że bez kota w środku nadal waży on zaskakująco dużo. Zdecydowanie zbyt dużo jak na prosty wiklinowy koszyk z kawałkiem koca na dnie. Posadziłem kota na miejsce, ale nie wyciągnąłem ręki z kosza. Najdyskretniej, jak potrafiłem, przeczesywałem dłonią jego wnętrze.

Po chwili natrafiłem na walcowaty chłodny przedmiot. Uchyliłem rąbek koca i zobaczyłem, że znajduje się pod nim mniej więcej czterolitrowy termos. Ostrożnie i pomału odkręciłem nakrętkę i poczułem zapach, którego nie sposób pomylić z żadnym innym. Termos był pełen cladoxpanu!

Rozgorączkowany i pełen entuzjazmu szukałem dalej. Oprócz termosu znalazłem w koszu busolę, wojskowy nóż podobny to tego, który miał Wiktor, oraz prawdziwy skarb, zważywszy na okoliczności – berettę 9 mm z pełnym magazynkiem. Było jasne, że broń nie zda się na nic, jeśli wszyscy pasażerowie mojego wagonu zmienią się w Nieumarłych, jednak gdybym dotarł do celu podróży, pistolet znacznie zwiększy moje szanse przetrwania.

Kto mógł wsadzić te wszystkie rzeczy do koszyka? Wychodziło na to, że sam Strangård. Nie potrafiłem jednak zrozumieć, dlaczego Szwed podjął dla mnie tak kolosalne ryzyko. Przypomniałem sobie o kartkach z wyrokiem. Musiały coś znaczyć, skoro Strangård tak bardzo nalegał, bym je wziął.

Rozpychałem się ramionami i łokciami, aż udało mi się dobić w okolicy okienka w ścianie wagonu. Zacząłem czytać. Początek dokumentu zawierał typowy sądowo-prawniczy bełkot. Obciążano mnie zarzutem dopuszczenia się na pani Compton zabójstwa pierwszego stopnia i skazywano na karę wygnania. Znacznie bardziej interesujące było to, co znalazłem na odwrocie i na kolejnych kartkach.

Po pierwsze, była tam schematyczna mapa trasy pociągu. Zaznaczono na niej miejsca postoju, najbliższe nich miejscowości, główne drogi oraz przybliżone odległości między co ważniejszymi punktami. Ostatnia strona zawierała tylko króciutką, odręcznie skreśloną notkę, jednak na jej widok miałem ochotę tańczyć z radości.

Jesteśmy cali i mamy się dobrze. Przeżyj i wróć.

Kocham Cię.

L.

Uniosłem głowę i uśmiechnąłem się po raz pierwszy od wielu godzin. W nadchodzących dniach czekało mnie piekło, a przedtem musiałem jeszcze dotrzeć do końca podróży pociągiem. Teraz jednak czułem, że mam szansę. Co ważniejsze, miałem też plan.

Zdawałoby się, że to niewiele, ale teraz mogłem postawić sobie wyraźny cel: wrócić do Gulfport, do dwójki najbliższych mi ludzi.

Przede wszystkim jednak raz po raz, obsesyjnie, powracała myśl o zemście.
Jak ogień płonęło we mnie morderczo proste pragnienie.

Zabić Grapesa i wielebnego Greene'a.

KONWÓJ DEPORTACYJNY 17J,
300 KM OD GULFPORT

Jednak się nie uda.

Wyglądało na to, że ten przeklęty pociąg nigdy się nie zatrzyma. Do tego sytuacja w wagonie stawała się z każdą godziną coraz bardziej dramatyczna.

Po niemal pięciu godzinach jazdy warunki panujące we wnętrzu z trudnych zmieniły się w groźne dla życia. Prawie nie było już czym oddychać. Do zapachu potu obficie wydzielanego przez sto pięćdziesiąt nieludzko stłoczonych ciał dochodził teraz smród wymiocin i słodkawa, drażniąca woń moczu. Kiedy podróż się rozpoczynała, kilka rozsądnie brzmiących głosów rzuciło propozycję, by jeden z rogów wagonu uczynić „toaletą”. Pasażerowie niemal jednogłośnie uznali, że pomysł jest bardzo dobry. Problem tkwił w szczególe: nikt nie życzył sobie, żeby to właśnie jego kąt służył za latrynę.

Było trochę krzyku i kilka rozmów prowadzonych podniesionym tonem. Czas jednak mijał, a wyboru wciąż nie udawało się dokonać. W końcu pomysł przepadł, a ludzie załatwiali swoje potrzeby gdzie popadło. W efekcie z każdą godziną wagon coraz bardziej przypominał jeżdżącą kloakę. Całą podłogę pokrywał lepki, śmierdzący szlam, który przelewał się leniwie raz w jedną stronę, raz w drugą, gdy pociąg przechylał się na zakrętach.

Moje położenie było stosunkowo nie najgorsze. Udało mi się zdobyć miejsce przy ścianie, więc miałem przynajmniej o co się oprzeć. U swoich stóp postawiłem koszyk z Lukullusem. Stanowił on coś w rodzaju maleńkiego buforu. Dzięki niemu miałem przed sobą około trzydziestu centymetrów wolnej przestrzeni, która pozwalała mi na minimum ruchu. Najbliższe okienko znajdowało się jakieś cztery metry ode mnie, jechałem pogrążony w ciemności. Światło pojawiało się tylko, gdy któryś z pasażerów zapalał papierosa lub gdy ktoś na chwilę włączył latarkę. W tych krótkich momentach przyglądałem się najbliższemu otoczeniu, ale przede wszystkim rzucałem okiem na Lukullusa.

Kot drzemał na dnie koszyka, ale nie był to sen zdrowy. Rudzielec wyglądał kiepsko i zaczynałem się o niego niepokoić. Z początku sądziłem, że jest po prostu osłabiony na skutek utraty krwi, ale teraz już podejrzewałem, że w ranę na ogonie wdało się zakażenie. Lukullus od czasu do czasu trząsał się lekko i wydawał ciche, pełne bólu miauknięcia, a mnie odgłos ten łamał serce.

Miałem jednak znacznie większe problemy niż słaba forma Lukullusa. Czułem tak potworne pragnienie, że zaczynałem pomалу odchodzić od zmysłów. Na stacji Zieloni wrzucili do wagonu dwa baniaki z wodą, ale nie było już po nich śladu. Pierwszy natychmiast wpadł w ręce członków gangu Latin Kings, którzy zatrzymali go dla siebie. Nikt nie śmiał postawić się uzbrojonym w noże wytatuowanym oprychom o zakazanych gębach. Drugi baniak od dawna był już pusty. Wystarczyło, że reszta pasażerów wzięła po łyku, by w środku nie pozostało nic. Samo zbiorowe rozpijanie jego zawartości miało zresztą dramatyczny przebieg. Stłoczeni w ciemnościach ludzie pośród krzyków, złorzeczeń i poszturchiwań wyrwali sobie pojemnik, rozlewając przy okazji sporą część tego, co w nim było. Mnie przypadł ledwie jeden mały łyk. Gdy udało mi się dopchać do baniaka i przyłożyć usta do szyjki, ktoś popchnął mnie w plecy. Zachwiałem się na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by ręce pięciorga czy sześciorga zdesperowanych ludzi wyrwały mi baniak i przepchnęły go dalej.

Zaszyłem się znów w swoim kącie i raz po raz przesuwalem językiem po wyschniętych wargach. Oblizalem palce, na których po dotknięciu baniaka była odrobina wilgoci, i splunalem z niesmakiem. Dłonie miałem całe we krwi. Nie swojej.

Ten cholerny baniak krążył po wagonie uwalany krwią jakiegoś biedaka. Mało brakowało, a zebrałoby mi się na wymioty.

Pragnienie i głód również nie były największym z moich problemów. Wszyscy w tym pociągu wiedzieliśmy, że już niedługo przyjdzie nam zmierzyć się z czymś znacznie gorszym. To coś było wewnątrz nas i pozostawało kwestią czasu, aż zaatakuje. Mając tego świadomość, ludzie zazdrośnie strzegli swoich, z reguły bardzo niewielkich, zapasów cladoxpanu. Ten mętny białawy płyn był dla nas wszystkich ostatnią linią obrony przed szaleństwem.

Do pierwszej przemiany doszło godzinę później.

Padło na tęgą kobietę w wieku jakichś pięćdziesięciu lat, pochodzącą z Karaibów. Stała kawałek ode mnie, więc nie widziałem, co dokładnie się z nią działo. Należało jednak przypuszczać, że symptomy nadchodzącej przemiany były u niej widoczne już w chwili, gdy wsiadała do pociągu. Stojący obok niej nie zauważyli tego tylko z powodu ciasnoty i panujących ciemności. W mroku i potwornym ścisku TSJ w spokoju kończył swoje niszczycielskie dzieło.

Zapewne jedna z osób stojących najbliżej zorientowała się, że skóra kobiety jest nienaturalnie chłodna. A może dostrzegła upiorne przekrwienie oczu spowodowane popękaniem żył.

Nie dowiemy się już tego. W którymś momencie ktoś zdał sobie sprawę, że przemiana dobiega końca. Krzyknął wtedy na cały głos i rozpaczliwie

próbował oddalić się od nowo narodzonego monstrum. Wszyscy zgromadzeni wokół instynktownie cofnęli się, na ile tylko się dało, i rozpętało się piekło. Potężna żywa fala rozeszła się we wszystkich kierunkach. Ludzie padali jedni na drugich, deptali po sobie i przygniatali się wzajemnie. Nad paniką i chaosem nie sposób było zapanować. Gdy „fala” dotarła w mój kąt wagonu, stojący przy mnie starszy czarnoskóry mężczyzna, przewracając się, omal mnie nie zadusił.

Zewsząd dobiegały krzyki i piski. Przerażeni pasażerowie, choć ledwo znajdowali miejsce, by się poruszyć, nadaremnie próbowali przeciwstawić się prawom fizyki i przebić jakoś przez piętrzący się żywy stos. Sytuacja stała się dramatyczna. Wielu przygniecionych umierało z braku powietrza. W pewnym momencie po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Oto usłyszałem upiorny, niemożliwy do pomylenia z niczym jęk. Nienaturalnie niski, szorstki i do bólu znajomy. Odgłos powracał raz po raz. Pomiedzy wydłużonymi jękami słyhać było przyspieszony oddech, jak u kogoś, kto właśnie skończył sprint. Poczulem, jakbym w żołądku miał bryłę lodu. Pierwszy Nieumarły był pośród nas.

Jęk się wzmacniał, przechodził niemal w wycie. Było to jak koszmar pierwszy krzyk – zupełnie jakby w zmarłej właśnie kobiecie rodziło się do życia coś nowego. To coś piekielnym ujadaniem zdawało się mówić: „Witaj, świecie”. Nagle pierwszemu wyciu zawtórowało inne, dobiegające z tego samego niemal miejsca. Kolejny Nieumarły był mężczyzną.

Choć chwilę wcześniej wydawało się, że gorzej już być nie może, chaos w wagonie spotęgował się. Ślepy, przerażony tłum biegał (czy raczej desperacko próbował biegać) po całym wagonie, utraciwszy resztki rozsądku, a nawet poczucie kierunku. W moim kącie zderzyło się kilka osób, a na mnie runęły bezwładnie czyjeś ciała. Zdążyłem tylko unieść koszyk i dzięki temu nie zostałem zupełnie zgnieciony.

Nie byłem w stanie się ruszyć. Ktoś przycisnął moje nogi, znalazłem się w żywej pułapce. Podniosłem głowę i uderzyłem czołem o plecy mężczyzny, który wył z bólu. Jego prawa ręka uwięzła między dwojgiem ludzi w nienaturalnej, wykręconej pozycji. Próbowałem wyslizgnąć się spod leżących na mnie ciał, ale w którąkolwiek stronę bym się ruszył, napotykałem przeszkodę nie do pokonania. Tuż obok mnie twarzą do podłogi leżał mężczyzna o rzadkim zaroście. Nasze głowy się stykały. Byliśmy tak blisko siebie, że czułem jego oddech. Dokładał nadludzkich starań, by wyrwać się spod sterty przygniatających go ciał, ale jego wysiłek był daremny. Nie miał szans. Spojrzał na mnie wzrokiem bliskim obłędu i resztkami sił dobył z siebie ledwie słyszalne: „Pomocy”.

Spojrzałem na niego całkowicie bezradny. Nawet gdybym ze wszystkich sił chciał mu pomóc, to nie miałem jak. Rękę miałem uwięzioną pod własnym ciałem. Gdybym zaczął się szarpać, mógłbym znaleźć się w jeszcze gorszej

pozycji, bez dostępu do powietrza. Jedyne więc, co mogłem zrobić, to patrzeć z przerażeniem, jak twarz mężczyzny staje się najpierw czerwona, a po chwili nabiera okropnego, niebieskiego odcienia. Jeszcze chwila i mój sąsiad umarł. Język wysunął mu się z ust, a twarz zastygła w nienaturalnym grymasie.

Po kolejnych pięciu minutach, najdłuższych i najkoszmarniejszych w całym moim życiu, panika pomału przygasała. Krzyki ucichły. Częściej słychać było teraz wzajemne nawoływania. Ktoś ściągnął ze mnie przygniatające mnie ciało i wreszcie mogłem się ruszyć. Po chwili, wciąż ze zdrtwiałą ręką, stanąłem z powrotem na nogi i oparłem plecy o ścianę wagonu. Czułem w skórze kilka drzazg, ale nie zamierzałem ani trochę się tym teraz przejmować.

W wagonie znajdowało się coś, co nie było już człowiekiem, a ja nie mogłem mieć pewności, czy któreś z ciał będących tuż koło mnie nie należy do Nieumarłego.

Drżącą ręką odbezpieczyłem berettę i oparłem pistolet na biodrze. Wtem niska, krępa postać minęła mnie, trącając w lewy bok. Oddychała szybko, a ręce miała wyciągnięte przed siebie, na kształt pijanego potwora Frankensteina. W tym momencie pociąg wjechał chyba na odcinek torów będący w bardzo kiepskim stanie, bo wagonem zaczęło mocno rzucać. By nie upaść, rozstawiłem szerzej nogi i chwyciłem się za wystającą ze ściany śrubę mocującą.

Gdy w pełni odzyskałem równowagę, uniosłem wzrok. Zakląłem pod nosem. Nie miałam pojęcia, gdzie podział się cień, który minął mnie przed kilkoma sekundami.

Gdzieś ty się podział, bydlaku? No gdzie, do cholery?!!!

Na mojej ręce zacisnęła się czyjaś dłoń. Zawyłem z przerażenia i w panicznym odruchu z całej siły uderzyłem kolanem w krocze próbującego mnie chwycić. Usłyszałem głuchy jęk bólu i uścisk zelżał. Nie czekając, błyskawicznie uderzyłem kolbą pistoletu w skroń domniemanego agresora.

Ten padł u moich stóp ciężko jak worek mokrych szmat. Pochyliłem się, zwracając lufę pistoletu w coraz to inną stronę i starając się namierzyć potencjalne zagrożenie. Wytężając oczy w półmroku, przyjrzałem się swojej ofierze. Był to starszy mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat. Biedak leżał nieprzytomny na podłodze z paskudnym sińcem na prawej skroni. Nie był Nieumarłym.

Dałem się ponieść panice, ale nie było mi wstyd i nie czułem się winny, że pobiłem starszego człowieka. Ten wagon był przedsionkiem piekła, a ja walczyłem o ocalenie duszy.

Dwa gwałtowne rozbłyski na ułamki sekund oświetliły wnętrze wagonu. Ktoś wypalił dwa razy z rewolweru. Huk wystrzału w tej ciasnej przestrzeni był tak potężny, że przez chwilę nie słyszałem nic poza dokuczliwym, świdrującym

piskiem w uszach.

Nie ty jeden masz broń. Miej się na baczności, kowboju.

Dookoła na nowo zapanował chaos. Strzelec wypalił po raz kolejny. W głębi wagonu rozgrywała się makabryczna scena. Podłoga zasłana była stosem ciał. Kilka z nich wciąż drżało w konwulsjach. Z ust niektórych dobiegał cichy, ludzki jeszcze jęk. Większość stanowiły jednak nieruchome zwłoki. Tu i ówdzie widać było trzy-, czteroosobowe grupki wściekle szarpiących się z sobą ludzi. Trudno stwierdzić, czy ten przypływ agresji wynikał stąd, że każdy brał swojego przeciwnika za Nieumarłego, czy też był spowodowany prostą chęcią zdobycia cladoxpanu.

– Broń! – wrzasnął ktoś nagle. – On ma broń! Brać go!

Przez jedną przerażającą sekundę byłem przekonany, że mowa o mnie. Kierunek, w którym ruszyła ludzka masa, wyprowadził mnie jednak z błędu. Ludzie rzucili się na tego, który przed kilkoma sekundami oddał strzały (podejrzewałem, że był to jeden z Latin Kings). Zaatakowany właściciel broni zdążył jeszcze wystrzelić po raz ostatni, po czym padł pod naporem rozwścieczonego, żądnego krwi tłumu. Nie minęła minuta, a został zatłuczony na śmierć.

I ta śmierć stała się swego rodzaju punktem zwrotnym. Z pasażerów wagonu – znacznie mniej licznych niż kilka minut wcześniej – uchodził gniew. Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą szarpali się, gotowi wzajemnie zadusić w walce na śmierć i życie, rozglądali się teraz po wagonie z wyraźną konsternacją, jakby ocknęli się z sennego koszmaru. Panika ulotniła się, ustępując miejsca nowemu uczuciu stanowiącemu mieszankę strachu, wstydu i przygnębienia.

Odłożyłem berettę na dno koszyka i upewniłem się, że Lukullus jest wciąż żywy. Kot, owszem, żył, ale wciąż pogrążony był w tej samej niezdrowej drzemce przypominającej letarg. Pomogłem kilku osobom dookoła mnie podnieść się na nogi. Nagle, z dreszczem obrzydzenia cofnąłem się o krok. Tęga kobieta z Karaibów, od której wszystko się zaczęło, leżała nieruchomo na ziemi. Ktoś roztrzaskał jej w kilku miejscach czaszkę. Obok zwłok w znany wszystkim aż nadto dobrze sposób podrygiwał spazmatycznie mężczyzna z potężną raną na szyi.

– Facet zaczyna się przemieniać – skomentował głos dobiegający z mroku. – Trzeba coś z nim zrobić.

Naprzód wystąpiła młoda, ładna dziewczyna o twarzy poplamionej krwią i gęstych włosach do ramion, teraz postrzępionych i rozczochranych. W rękach trzymała rewolwer, który do niedawna należał do zabitego przez tłum mężczyzny. Wyraz jej twarzy był chłodny i nieprzejednany. Bez cienia wahania uniosła broń, wymierzyła w głowę targanego drgawkami mężczyzny i pociągnęła za spust.

Kula trafiła leżącego w twarz, wyzwalając potężny krwotok. Dziewczyna z rewolwerem przez chwilę przypatrywała się niemo swojej ofierze. Następnie cisnęła broń na ciało zabitego.

– To był ostatni nabój – rzuciła tak po prostu, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Dokładnie w tej samej chwili poczułem tak silny skurcz, że z bólu aż zgiąłem się wpół. Ból był tak dojmujący i pojawił się tak nagle, że skuliłem się na podłodze, dysząc jak zwierzę. Całe moje ubranie przesiąknięte było potem. Od dobrych kilku minut musiałem niemal płonąć w środku. Nie zauważałem tego, bo absorbowały mnie kolejne wydarzenia w wagonie. Parę sekund i skurcz powrócił ze zdwojoną mocą, aż skuliłem się i zawyłem z bólu. Stojący obok mężczyzna patrzył na mnie bardzo nieufnie, odsuwając się jak najdalej. W jego oczach malował się strach, ale i obrzydzenie.

Nie patrzył na mnie jak na człowieka. Widział już we mnie jednego z *nich*.

Nie, proszę, tylko nie ja. Nie teraz, błagam.

– Wszystko pod kontrolą – wysapałem niepewnie jak ktoś ciężko pijany, unosząc rękę do góry. – Nie ma strachu, bracie.

Położyłem się na podłodze obok koszyka i drżącą ręką sięgnąłem po termos z cladoxpanem. Miałem trudności z odkręceniem korka, w końcu mi się udało. Pierwszy łyk to była prawdziwa rozkosz. Poczułem się błogo i przez chwilę błądziłem myślami gdzieś hen, z dala od tego przeklętego wagonu. Lek spływał mi do gardła, gasząc pożar szalejący w ciele. Każda komórka mojego organizmu była jak wędrowiec, który po tygodniu na pustyni dotarł do studni w oazie.

Odsunąłem pojemnik od ust i zakręciłem korek. Ze zmrużonymi oczami delektowałem się niewyobrażalną ulgą. Coś podpowiadało mi, że doznaję właśnie uczucia podobnego do tego, które spływa na heroinistę tuż po zażyciu działki. Witaj, nałogu. To ja, świeżo upieczony ćpun. Miło mi zostać twoim niewolnikiem. Ale nie ma co, tym zajmować się będę później.

– Dobra, to co teraz robimy? – spytał ktoś głosem, w którym brzmiało poczucie winy.

– Najpierw trzeba pomóc rannym – odpowiedział mu inny z pasażerów.

– Najrozsądniej byłoby porozbijać głowy wszystkim martwym – odezwała się chłodno dziewczyna, która chwilę wcześniej wystrzeliła z rewolweru. Słowa te wypowiedziała takim tonem, jakby mówiła o robieniu zakupów.

Słuchaj, skarbie, skoro już idziesz do sklepu, to przynieś mi kilo mandarynek, okay? A jak będziesz mieć po drodze, to rozgnieć obcasem czaszkę temu martwemu dziecku.

– Jak mamy to zrobić? – spytała z lękiem w głosie któraś z kobiet. Tuliła do siebie małą dziewczynkę, która rozglądała się wokół oczami pełnymi przerażenia. – Nie mamy przecież żadnej broni.

Jeden z gangsterów Latin Kings zaczął szukać czegoś pomiędzy zwłokami. Po chwili wyprostował się, trzymając w dłoni młotek stolarski – z jednej strony tępy, z drugiej zaostrowany. Podszedł bez słowa do ciała dwunastoletniego mniej więcej chłopca i wymierzył potężny cios w głowę. Przy wtórze upiornego trzasku przechodzącego w chlupot ostra część główki młota zagłębiła się w czaszkę. Facet z Latin Kings nawet nie mrugnął. Z nieobecny, martwym jak u rekina wzrokiem uderzył jeszcze kilka razy. Kilka potężnych ciosów zmieniło tył czaszki chłopca w krwawą, różowawą galaretę przetykaną białymi odłamkami kości.

– To jest niezły sposób – rzucił, podając młotek stojącemu obok mężczyźnie. Ten wziął go z takim wyrazem twarzy, jakby gangster wciskał mu w dłoń żywego jadowitego węża. – Każdy przedmiot się nada, nawet tępy. Zanim zaczniecie, upewnijcie się tylko, że ten, co leży, faktycznie nie żyje.

Pasażerowie przez chwilę wpatrywali się w niego z przestraszeniem.

– Nie mówisz chyba serio... – wyszeptał stojący obok mnie mężczyzna.

Wtem jedno z ciał leżących na podłodze zaczęło miotać się w konwulsjach.

– Masz odpowiedź, chłopaku – odparł krótko gangster, wzruszając ramionami.

Ten, który dostał do ręki młotek, przełknął ślinę. Udało mu się zwalczyć wewnętrzny opór. Zbliżył się do drgającego spazmatycznie ciała i z całej siły uderzył młotkiem w czaszkę. Dla pozostałych było to jak zielone światło. Po chwili wszyscy niemal żywi pasażerowie wagonu pochylali się nad zalegającymi na podłodze zwłokami. Na głowy już nieżyjących, ale jeszcze nie Niemiarłych posypał się grad ciosów wymierzanych najprzeróżniejszymi przedmiotami.

Obraz tego, co działo się w wagonie, przypominał scenę żywca wyrwaną z obrazu Boscha. Byliśmy cali we krwi, a podłogę i ściany pokryły czerwone smugi i zacieki układające się w upiorne wzory. Wszystko to zaś pośród porzucanych wszędzie bezkształtnych kawałków roztrzaskanych mózgów.

Usłyszałem, jak ktoś wymiotuje. Wzruszyłem tylko ramionami i pociągnąłem z termosu solidny łyk cladoxpanu. Przekroczyłem dziś pewien próg obrzydzenia i grozy. To, co działo się wokół, przestało robić na mnie większe wrażenie. Zresztą, gdyby nawet było inaczej, to i tak nie miałbym czym zwymiotować.

Godziny, które nadeszły po tej masakrze, zdawały się trwać całą wieczność. Pociąg wlokł się w kierunku północno-zachodnim. Podróż była jednostajna i do bólu monotonna, z kilkoma zaledwie krótkimi przerwami, których sensu ani powodu nie rozumieliśmy. Raz pociąg jechał nawet na kilkukilometrowym

odcinku do tyłu. Dlaczego – nie mieliśmy pojęcia.

Od czasu do czasu składem mocno szarpało. W końcu doszliśmy do wniosku, że wstrząsy wywoływane były zderzeniami z przeszkodami tarasującymi tory (wszyscy mieli przy tym jasność, o jakie „przeszkody” chodzi). Po pewnym czasie udało mi się z pewnym wysiłkiem dopchać do okna. Wsparłem kolana na stosie zwłok i zdołałem wysunąć głowę na zewnątrz.

Poczułem najpierw kolosalną ulgę. Po koszmarnej zaduchu i smrodzie we wnętrzu wagonu cudownie było choć przez chwilę odetchnąć świeżym powietrzem. Gdy jednak minęło przyjemne pierwsze wrażenie i zacząłem lustrować wzrokiem okolicę, entuzjazm momentalnie ustąpił miejsca przygnębieniu. Pociąg toczył się przez teren spalony słońcem, płaski i jałowy. Tylko gdzieś widać było po kilka pokrzywionych, rachitycznych drzewek. Podejrzywałem, że znajdowaliśmy się gdzieś w południowym Teksasie, niedaleko granicy z Meksykiem. Nie byłem jednak tego pewien. Na schematyczną mapę, którą dał mi Strangård, naniesiono odległości i kierunki, ale nie nazwy stanów i państw.

Nastrój wewnątrz wagonu panował, mówiąc delikatnie, minorowy. Ludzie praktycznie przestali ze sobą rozmawiać. Każdy zdawał się pogrążony we własnych, ponurych myślach. Ustały nawet płacze i westchnienia. Zastąpiła je atmosfera kapitulacji połączona ze strachem przed nieznanym. Nikt nie wiedział, gdzie skończy się nasza podróż, ale z drugiej strony widać było, że marzeniem wszystkich pasażerów jest, by stało się to jak najszybciej. Nic nie mogło być gorsze od przebywania dłużej w tym wagonie śmierci.

Ze stu pięćdziesięciu pasażerów, którzy rozpoczęli podróż, pozostała mniej niż połowa. Reszta zginęła przygnieciona lub uduszona podczas wybuchu zbiorowej paniki oraz w licznych bójkach.

Teraz po agresji nie było śladu. Pozostali przy życiu mieli znacznie więcej miejsca niż wcześniej, a i w kwestii cladoxpanu sytuacja wyglądała lepiej. Ci, którzy mieli najskromniejsze zapasy, powiększyli je znacznie, łupiąc walające się po wagonie trupy. Ja również, bez odrobiny wstydu, przywłaszczyłem sobie piersiówkę pełną leku. Znalazłem ją w kieszeni marynarki szczupłego mężczyzny, którego zwłoki leżały tuż obok mnie. Piersiówka była do połowy opróżniona, więc dopełniłem ją lekiem z termosu. Następnie ukryłem buteleczkę pod kocem, na którym leżał Lukullus. Byłem przekonany, że ze wszystkich pasażerów to ja posiadam największy zapas leku, i nie zamierzałem się z tym afiszować. Śmierć jednego z członków gangu Latin Kings uzmysłowiła mi, że posiadanie broni wcale nie daje gwarancji bezpieczeństwa. Zbyt dużo było dookoła zdesperowanych ludzi, którzy nie mieli absolutnie nic do stracenia.

Jakieś dwie godziny później doszło do kolejnej przemiany, jednak tym razem byliśmy na to znacznie lepiej przygotowani.

Padło teraz na bardzo młodego, najwyżej dwudziestoletniego mężczyznę. Był wysoki i postawny, ale miał złamaną nogę, a jego twarz pokrywały krew i sińce. Ktoś szepnął mi, że został ciężko pobity przez Zieloną Gwardię, gdy próbował zapobiec zatrzymaniu siostry i matki. Nie tylko mu się to nie udało (obie kobiety znalazły się w tym samym pociągu, tyle że w innym wagonie), ale jeszcze o mało nie stracił życia. Nie wiedziałem, czy resztkę cladoxpanu oddał najbliższemu, czy po prostu był tak osłabiony, że nie obronił się przed kradzieżą. Pewne, że jako pierwszy został z niczym.

Najpierw próbował wyblagać pomoc u innych. Stał na środku wagonu wsparty na prowizorycznej lasce własnej roboty i starając się zachować resztki godności, zwracał się kolejno do pasażerów. Prosił o choćby kroplę cladoxpanu jak żebrak zaklinający ludzi, by dali mu choć ostatnie drobniaki. Wszyscy jednak (wliczając mnie samego) albo obrzucali go wrogim spojrzeniem, albo odwracali się, zaciskając kurczowo dłonie na swoich zapasach leku.

Miałem przez chwilę chęć podzielić się z tym biedakiem swoją, znaczną w końcu, rezerwą, ale instynkt samozachowawczy kazał mi szybko porzucić tę myśl. O ile obliczenia, których dokonałem w głowie, były poprawne, to posiadana przeze mnie ilość cladoxpanu powinna wystarczyć na pięć dni. I to pod warunkiem, że będę wydzielać go sobie w sposób bardzo zdyscyplinowany. Te pięć dni to był czas, jaki miałem na dotarcie do Gulfport albo chociaż napotkanie złożonej z helotów grupy zaopatrzeniowej. Gdybym podzielił się lekiem, czas ten skróciłby się o połowę. Tym samym praktycznie przekreśliłbym swoje szanse na przeżycie. Chłopak ze złamaną nogą i tak był z góry skazany na śmierć. Nawet ja miałem tego świadomość. Każdą podarowaną mu kroplę cladoxpanu należało od razu uznać za zmarnotrawioną.

Gdy nieszczęśnik przekonał się, że błaganiem nic nie wskóra, postanowił zdobyć lek siłą. W normalnych warunkach z pewnością by mu się to udało. Uległ jednak tak znacznemu osłabieniu, że nawet staruszek stawiłby mu czoło. Wagon zaś wcale nie był pełen staruszków. Przeciwnie. Przy życiu pozostali niemal wyłącznie najzdrowsi, najmłodszy i najsilniejsi. Po kilku żalonych próbach i paru otrzymanych ciosach chłopak ostatecznie poddał się.

Zupełnie załamany padł na podłogę wagonu. Wiedział, że zaraz umrze. Trzymając w drżącej dłoni różaniec, zaczął po cichu się modlić. Szeptał kolejne zdrowaśki, a jego skóra pokrywała się nabrzmiałymi żyłkami. Co kilka chwil dopadały go skurcze, aż krzyczał z bólu. Jego męka trwała już jakieś czterdzieści minut, skurcze i drgawki stały się tak silne, że chłopak nie był już nawet w stanie utrzymać różańca. W końcu skromne drewniane koraliki wysunęły mu się z dłoni, która wykonywała teraz rwane ruchy i wykrzywiała się pod nienaturalnym kątem. Białka oczu nabiegły mu krwią. Chłopak zdołał jeszcze unieść głowę i ostatkiem sił krzyknąć: „Błaaaagam”. Okrzyk ten był tak rozdzierający, że zrobiłby wrażenie na najbardziej nawet gruboskórnym człowieku.

Nie zastanawiając się zbyt nad tym, co robię, podniosłem się. Wziąłem do ręki młotek stolarski, który ktoś zostawił niedaleko drzwi wagonu, i ruszyłem w stronę konającego w męczarniach chłopaka. Nim ktokolwiek zdążył mi przeszkodzić, pochyliłem się nad nieszczęśnikiem, który miotał się w spazmach i konwulsjach. Umierający poczuł moją obecność i podniósł na mnie przekrwione, niewidzące oczy.

– Jesteś pewien? – spytałem cicho.

W odpowiedzi chłopak skinął słabo głową i chwycił mnie za nogawkę, jakby chciał mieć pewność, że nie zmienię zdania i nie odejdę. Resztkami sił wyszeptał jeszcze ledwie słyszalne: „Dziękuję”. Wargi odmawiały mu już posłuszeństwa.

Uniosłem młotek ponad głowę i wzięwszy głęboki wdech, z całej siły uderzyłem nim w potylicę chłopaka. Jeden cios wystarczył, by legł ciężko na podłodze jak cielę ubite uderzeniem pałki. Dla pewności uderzyłem jeszcze trzy razy. Może była to nadgorliwość, ale lepiej było mieć całkowitą pewność, że mózg został dostatecznie uszkodzony. Spełnianie prośby chłopaka byłoby bez sensu, gdyby za chwilę stanął na nogi jako Nieumarły.

Zroszony krwią opadłem na swoje miejsce w kącie. Cały wagon w milczeniu przyglądał się zwłokom. Czułem, że większość pasażerów stara się omijać mnie spojrzeniem, jednak nikt nie powiedział pod moim adresem nic złego. Nie było tu o czym mówić.

Pociąg z miarowym stukotem kół wiozł nas w nieznane, a ja uroniłem po kryjomu kilka łez. Ściekając po mojej twarzy, zlały się z krwią, tworząc bajeczno-upiorne zacieki, które nadały mi wygląd arlekina-mordercy. Miałem świadomość, jak dziwnie wyglądam, ale trudno mi było powstrzymać płacz.

Zabiłem człowieka. Żywego człowieka. Fakt, że lada chwila stałby się on Nieumarłym, nie łagodził dojmującego bólu, który spadł na mnie z nienacką. Stałem się mordercą.

Jechaliśmy dalej i dalej a mnie coraz bardziej ciążyło poczucie, że tego dnia w tym wagonie umarła jakaś część mnie. W sposób nieodwracalny utraciłem część swojego „ja”.

Z tych gorzkich rozmyślań wyrwało mnie szarpnięcie wagonu.

Pociąg się zatrzymał.

DZIEŃ PIERWSZY NA WYGNANIU,
GDZIEŚ W TEKSASIE, GODZINA 17.50

Zostaliśmy tylko my.

Podczas naszej podróży pociąg zatrzymywał się pięciokrotnie. Na każdym z postojów od składu odczepiano jeden wagon. Na samym końcu przyszła pora na nasz.

Przy zmarłej kobiecie leżącej niedaleko mnie znalazłem niezapisany zeszyt. Miała przy sobie także wiele innych, nieprzydatnych zupełnie rzeczy, między innymi czerwoną szminkę. Nie wiedząc sam, po co to robię, schowałem ją do kieszeni. Czerwona szminka w wagonie pociągu deportacyjnego? To nie miało najmniejszego sensu. Później jednak przypomniałem sobie, że ponoć wiezieni do obozów zagłady Żydzi mieli przy sobie przedmioty jeszcze bardziej zaskakujące. Niektórzy brali ze sobą skrzypce, inni lampy stołowe.

Wydaje mi się, że odruch życia, nadzieja ujrzenia kolejnego dnia – to właśnie stanowi źródło siły, która drzemie w każdym człowieku. Szminka była dla tej kobiety symbolem, takim jak dla mnie Lukullus. Zabranie jej ze sobą było formą powiedzenia śmierci „nie”. Kobieta chciała wierzyć, że pewnego dnia cały ten koszmar się skończy, wszystko, co złe, minie i przyjdzie chwila, gdy znów zapragnie pięknie wyglądać. Ufała, że pewnego dnia znajdzie się w miejscu pełnym radości i beztroski, gdzie największym jej zmartwieniem będzie to, by mieć ładnie umalowane usta, nie to, by przeżyć najbliższych dziesięć minut. Teraz jednak szminka wylądowała w mojej kieszeni, a leżące u moich stóp ciało kobiety niedługo stanie się uczną dla sępów. Symbol okazał się gównem wart.

W wagonie pozostało nas ledwie dwadzieścioro. Dwadzieścioro z blisko stu pięćdziesięciu osób! Połowa pasażerów zmarła na skutek przygniecenia lub uduszenia. Znaczna część została zabita lub umarła z pragnienia. Pozostałe zgony to żniwo wirusa. Większość stłoczonych w wagonie miała bardzo niewielkie zapasy cladoxpanu, które wyczerpały się już po pięciu czy sześciu godzinach. Podróż nasza trwała zaś już dwanaście.

Ja byłem w stosunkowo dobrej sytuacji. Ukryte w koszyku termos i piersiówka zawierały dość leku, bym zdołał przeżyć kilka dni. Nie miałem za to pojęcia, ile cladoxpanu mają przy sobie pozostali, którym udało się utrzymać przy życiu. Mogli mieć zapasy na miesiąc, mogli na ledwie kilka kolejnych

godzin. Nasze położenie przypominało pokerowe rozdanie, kiedy nikt nie chce ujawnić, co ma na ręku. Kto kogo przeżyje? Ktoś, kto obserwował cię nieufnie z drugiego krańca wagonu, mógł niedługo z przerażeniem przyglądać się twojej przemianie w Nieumarłego. Równie dobrze jednak to ty mogłeś stać się świadkiem jego śmierci i powtórnych narodzin jako krwiożerczego monstrum. Myślałem o tym wszystkim, wiedząc doskonale, że gdyby nie otrzymany od Strangärda koszyk, od kilku godzin byłbym już martwy.

Nie rozumiałem do końca, dlaczego gwardziści porzucają nas w różnych miejscach, do tego tak od siebie oddalonych. Z początku przypuszczałem, że chciano w ten sposób zapobiec temu, by więźniowie zjednoczyli się i przejęli kontrolę nad pociągiem. Niewykluczone, że w domyśle tym było i ziarno prawdy, ale gdy przemyślałem rzecz na chłodno, doszedłem do wniosku, że powód był inny. Strażnicy nie chcieli po prostu, byśmy przekształcili się w Nieumarłych wszyscy naraz i w jednym miejscu. O ile jeden żywy trup nie stanowił problemu, a i z dwudziestoma daliby sobie łatwo radę, o tyle kilka setek niosłoby już kolosalne zagrożenie. Wyłącznie to się liczyło. Dla nich nie byliśmy już przecież ludźmi, a tylko potworami. I jakkolwiek trudno było mi to przyznać – nie można odmówić im słuszności.

Nie czułem się ani trochę dumny z powodu tego, co przeżyłem, zobaczyłem i zrobiłem podczas podróży. Z drugiej jednak strony, gdybym postępował w wagonie inaczej, byłbym już martwy. Ja tymczasem zamierzałem walczyć do samego końca.

Pociąg wyraźnie zwolnił. Stukot kół był coraz mniej rytmiczny i tracił tempo. Wreszcie ustał zupełnie. To był szósty postój. Za chwilę gwardziści odczepią szósty wagon. Nasz wagon.

Przy wtórze pisku hamulców skład, okrojony teraz do lokomotywy i jednego wagonu, zatrzymał się. Mieliśmy za sobą setki kilometrów. Wszyscy milczeli w napięciu. Wewnątrz wagonu słyhać było tylko bzyczenie much, które zleciały się do dziesiątek trupów, oraz silny, suchy kaszel męczący mężczyznę o chorowitym wyglądzie.

Czekaliśmy przez pięć nieznośnie długich minut. Napięcie stawało się nie do wytrzymania.

– Czemu w końcu nie otworzą tych pieprzonych drzwi? – powiedział ktoś obok mnie.

– Może wcale nie zamierzają ich otwierać – odparł ponuro inny głos. – Może po prostu porzucą tutaj ten wagon i odjadą, a przy następnej wywózce zgarną tylko kości.

– Kurwa, zamknij się i nie myśl tyle! – syknął pierwszy głos. – Zaraz otworzą. Muszą otworzyć!

Marzyłem, by jego słowa się ziściły. Miałem nadzieję, że drzwi nie są jeszcze

otwarte tylko dlatego, że gwardziści upewniają się, czy wokół nie ma Nieumarłych. Wreszcie z przeszywającym, przypominającym zgrzyt widelca po talerzu piskiem drzwi otworzyły się. Po raz pierwszy od momentu, gdy wsiedliśmy do wagonu, jego wnętrze załało jasne światło.

Kilku gwardzistów stanęło niedaleko wejścia i obrzuciło nas spojrzeniem.

– Dobra, won z wagonu! Wszyscy wysiadać! Już! – krzyknął dziwnie zniekształcony głos. – Ja pierdołę, ale smród!

– Tim, nie podchodź tak blisko drzwi – rzucił któryś z Zielonych. – Tam mógł nie zostać nikt żywy.

– To może po prostu wrzucimy do środka granat? – zaproponował Tim.

Jego słowa starczyły, byśmy natychmiast rzucili się w stronę wyjścia. Nikt nie chciał po przeżyciu koszmaru podróży zginąć teraz w tak absurdalny sposób.

Po wyjściu z wagonu musiałem mocno zmrużyć oczy. Mimo że zbliżał się już zachód słońca, jasność dnia na zewnątrz i tak bardzo mocno kontrastowała z mrokiem, w którym spędziliśmy ostatnich dwanaście godzin. Szybko i chciwie wdychałem powietrze, starając się oczyścić płuca po zaduchu, smrodzie i zapaleniu, które przyszło nam znosić przez prawie całą podróż.

Spojrzałem na gwardzistów i pojąłem natychmiast, dlaczego głos, który usłyszałem wewnątrz wagonu, był tak zniekształcony. Wszyscy Zieloni mieli na sobie maski gazowe. W gruncie rzeczy trudno było się im dziwić. W wagonach panował potworny smród, a wszędzie wokół mnóstwo było gnijących zwłok.

– Dobra, a teraz wyładować trupy z wagonu! – krzyknął w naszą stronę jeden z gwardzistów, celując do mnie z karabinu.

– Ale jak? – spytał nieśmiało stojący obok mnie Latynos. – Zostało nas tylko tyle, a trupów jest ponad setka. Zejdzie nam na tym cały dzień.

– To macie pecha, cwaniaczki, bo robota ma być skończona za godzinę – odparł bez cienia współczucia gwardzista, przeładowując broń. – Jeśli chcecie żyć, ruszcie dupy! Do roboty!

Ustawiliśmy się dwójkami. Cicho i wydajnie jak roboty opróżniliśmy wagon z ciał. Chwytając za kostki zwłoki ciężarnej kobiety, zawahałem się na ułamek chwili. Spytałem sam siebie, dlaczego to robimy. Dlaczego nie rzucimy się na gwardzistów i nie odbierzemy im broni? Dlaczego nie próbujemy walczyć? Odpowiedź na te pytania była do bólu prosta: bo chcieliśmy żyć, żyć choćby jeszcze dziesięć minut. Móc oddychać tym wspaniałym, czystym powietrzem i nie być trupem.

Opróżniliśmy wagon z ciał i ułożyliśmy je w wielki stos obok nasypu kolejowego. Byliśmy przy jakiejś osamotnionej mijance pośrodku kompletnego pustkowia. Pojedynczy tor wiódł w obie strony doskonale prostą linią aż po horyzont. Tylko na odcinku najbliższym nas, na jakichś pięciuset metrach, linia

szyn rozdawała się. Tu mogły minąć się dwa jadące z przeciwległych stron pociągi. Tę właśnie mijankę na całkowitym odludziu uznali nasi oprawcy za dobre miejsce do pozbycia się nas.

Jedno spojrzenie wokół starczało, by zorientować się, że nie pierwszy raz wykorzystywano je w ten sposób. Teren dookoła usłany był bielejącymi w słońcu kośćmi oraz resztkami ubrań i porozrzucanym obuwiem. Z drugiej strony torów piętrzył się stos ludzkich resztek, szkieletów i czaszek szczyrzących się ku nam w upiornym uśmiechu. Czułem się tak, jakby podążały za mną nieistniejącymi oczyma i przyglądały mi się z wyrzutem, winiąc mnie za tchórzostwo. Za to, że wciąż byłem pośród żywych.

Kości porozrzucane po równinie widać było jak okiem sięgnąć. Domyślałem się, że po odjeździe pociągu z całej okolicy zbiegały się tu kojoty i inni padlinożercy. Przeszło setka trupów była dla nich prawdziwą ucztą. Po tej uczcie zaś zwierzęta rozrzucały niedojedzone resztki po całej okolicy. Dla nich TSJ był najszcześniejszym z możliwych zrządzeniem losu. W żadnym stopniu nie zagrażał ich życiu, za to dostarczał im więcej pożywienia, niż mogłyby sobie wymarzyć.

Wyciągnąwszy z wagonu ostatnie zwłoki, padliśmy na ziemię, ciężko dysząc. Po chwili zbliżył się do nas jeden z gwardzistów i rzucił w naszą stronę kilka paczek z wojskowymi racjami żywnościowymi.

– A w tym baniaku macie sześćdziesiąt litrów wody. – Wskazał na blaszany pojemnik, który dwóch jego kolegów wyciągało właśnie z lokomotywy. – Żarcie leży przed wami. Od tej pory radzicie sobie sami. Tylko odradzam wam powrót do Gulfport. Nie jesteście tam mile widziani. Nie chcemy was więcej widzieć, zrozumiano?

– To jest morderstwo – rzuciła pod nosem jedna z kobiet (ściślej – jedna z trzech kobiet, które przeżyły). – Jesteśmy na samym środku jakiejś pieprzonej pustyni i nie mamy dokąd pójść. Za parę godzin TSJ pozamienia nas w Nieumarłych, a was stać tylko na to, żeby dać nam parę litrów wody i jakieś ścierwo w puszkach. To jakaś zaszraja jałmużna, żebyście mieli czystsze sumienia? I tak jesteście bydlakami!

– Zamknij się – wrzasnął gwardzista. – Ciesz się, że nie dostałaś na miejscu kuli między oczy. Skazano was na wygnanie, a więc darowano wam życie. Według mnie lepiej by was było od razu powystrzelać. No, ale ja tu jestem tylko od wykonywania rozkazów.

– Aż nie wiem, jak wam dziękować... – mruknąłem pod nosem. Czułem, że znów zaczynam bardzo intensywnie się pocić. Nie wiedziałem, czy to z upału i wysiłku, czy dlatego, że wirus przypuszczał na mnie nowy atak. Musiałem jednak jeszcze jakiś czas wytrzymać. Nie mogłem napić się teraz cladoxpanu, jeśli nie chciałem, by inni dowiedzieli się, jak duży jego zapas mam przy sobie.

– Bierzemy ich – wycedził nagle przez zęby jeden ze stojących obok mnie

mężczyzn. – Na sygnał.

– Co ty gadasz? – spytałem cicho, ledwie uchylając usta. Nie wiedziałem zupełnie, o co chodzi.

W tym momencie Latynos siedzący na skraju rzędu więźniów rzucił się na najbliższego gwardzistę. Ten, zaskoczony, nie zdążył sięgnąć po broń. Obaj mężczyźni padli na ziemię i tarzali się w tumanie pyłu. Wtem broń wypaliła. Któryś z walczących dostał, ale nie byliśmy w stanie zobaczyć który. Rozpętywało się szaleństwo.

Połowa ocalałych pasażerów rzuciła się na Zieloną Gwardię, usiłując wyrwać żołnierzom broń. Atakiem kierowali członkowie Latin Kings. W ciemnościach wagonu najwyraźniej uknuli jakiś plan awaryjny, który teraz próbowali wcielić w życie.

Już po chwili znaleźli się jednak w poważnych tarapatach. Atakujący popełnili kolosalny błąd, nie informując o swoich zamiarach wszystkich konwojowanych więźniów. Gdy więc część ocalałych rzuciła się na gwardzistów, ja oraz kilka innych osób byliśmy zaskoczeni i zdumieni. Przypatrywaliśmy się szamotaninie, usiłując w ciągu ułamków sekund zdecydować, co robić. Niektórzy natychmiast ukryli się za rdzewiejącym obok wrakiem furgonetki. Parę osób postanowiło przyłączyć się do walki. Reszta – w tym ja – tkwiła nieruchomo w miejscu, nie mając pojęcia, jak się zachować. Gdy jednak seria z M4 powaliła na ziemię połowę niezdecydowanych, rozbiegliśmy się na wszystkie strony.

Plan był odważny, ale głupi. Zamiast skupić wysiłki na zdobyciu lokomotywy, buntownicy wdali się w nierówną potyczkę z Zieloną Gwardią. To zaś dało maszyniście i załodze dość czasu, by zamknąć drzwi lokomotywy na cztery spusty i przygotować broń. Już po chwili na dachu maszyny pojawił się gwardzista z ciężkim karabinem maszynowym.

Szóstym zmysłem wyczułem, co się stanie za kilka sekund.

– Kryć się! – krzyknąłem na całe gardło, by ułamek sekundy później rzucić się do rowu przy torowisku wypełnionego gnijącymi trupami.

Setki pocisków z karabinu maszynowego pruły powietrze. Ci heloci, którzy nie ukryli się w porę, wykonywali teraz makabryczny taniec śmierci. Ich ciała smagane dziesiątkami kul podrygiwały dłuższą chwilę, wciąż stojąc, nim ostatecznie padały bez życia na ziemię. Pod gradem kul padł także jeden z gwardzistów, ale jego koledzy nie uznali tego za tragedię. Ważne było dla nich to, że już po niecałej minucie spontaniczny bunt helotów został spacyfikowany.

– Kurwa mać, zaskoczyły mnie te kutasy – słychać było zniekształcony głos.

– Jesteście wszyscy cali? – dobiegło pytanie z wnętrza lokomotywy.

– McCurry i Weiss nie żyją – odpowiedział ktoś. – Carille, jęłopie, to ty odstrzeliłeś Weissa!

– Wchrzanił mi się na linię strzału! – odparował oskarżony. – Nie moja wina! Kurwa, trzeba patrzeć, gdzie się lezie.

– Dobra, potem pogadamy – uciął pierwszy głos, zapewne należący do dowódcy. – Upewnijcie się, czy wszyscy nie żyją, i zabierajmy się stąd. Dreszczy dostają od patrzenia na to miejsce.

Z głębokości rowu usłyszałem, jak Zieloni kolejno sprawdzają wszystkie zwłoki. Kilkakrotnie dobiegł moich uszu odgłos wystrzału karabinowego – nieomylny znak, że dobijali rannych. Miałem bardzo niewiele czasu, by zwiększyć swoje szanse przeżycia. Chwyciłem zwłoki leżące najbliżej mnie i naciągnąłem je na siebie. Jednocześnie starałem się ukryć nogi pomiędzy płataniną kończyn i ciał innych zabitych. Teraz pozostało mi jedynie siedzieć cicho i czekać.

Poczułem, jak spadają na mnie grudki ziemi. Ktoś stał na krawędzi rowu, najwyżej dwa lub trzy metry ode mnie. Wstrzymałem oddech, dławiąc się potwornym fetorem wydzielanym przez stopy gnijących zwłok. Minęło kilka sekund, które dla mnie trwały godzinami, aż wreszcie strażnik się oddalił. Odetchnąłem z ulgą. Po chwili jednak uświadomiłem sobie, że na górze, przy wraku furgonetki, zostawiłem koszyk. Serce we mnie zamarło. W środku był przecież i Lukullus, i cały mój zapas cladoxpanu. Jeśli znajdą kota, z pewnością go zabiją. Do tego zabiorą ze sobą cały lek.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Miałem wrażenie, że powrót do pociągu zajmuje gwardzistom całe wieki. W końcu jednak usłyszałem wyczekiwany warkot silnika Diesla. Jeszcze chwila i lokomotywa ruszyła.

Pozostałem w ukryciu przez kolejnych pięć minut, aż moich uszu przestał dobiegać dźwięk silnika. Gdy zapanowała cisza, z obrzydzeniem zrzuciłem z siebie służące mi za kamuflaż ciała i potykając się, ruszyłem czym prędzej w stronę torów.

Lokomotywa była już tylko punkcikiem na horyzoncie. Zachodzące słońce oświetlało równinę niepokojącym czerwonym światłem, zabarwiając ją na krwisty odcień. Rozejrzałem się. W zasięgu mojego wzroku nie było zupełnie nikogo. Jeżeli ktokolwiek poza mną przeżył tę jatkę, to potrafił znakomicie się ukryć.

Potyając się o własne nogi w slalomie pomiędzy świeżymi trupami, dotarłem w końcu do torów i starej furgonetki. Niektóre z ciał, te bez postrzałów w głowę, poruszały się w coraz silniejszych spazmach. Niedługo będę mieć towarzystwo. Musiałem jak najszybciej się stamtąd zabierać.

Koszyk stał tam, gdzie go zostawiłem. Wymamrotawszy pod nosem coś w rodzaju krótkiej modlitwy, otworzyłem go. Kot w dalszym ciągu leżał na dnie zwinięty w kłębek. Pod nim znalazłem również wszystkie swoje rzeczy. Wziąłem solidny łyk cladoxpanu i wyciągnąłem kompas. Wiedziałem, w którą stronę muszę iść. Pytanie brzmiało, czy przeżyję dość długo, by dotrzeć do celu.

Zdjąłem z jednego z zabitych letnią kurtkę i zrobiłem z niej prowizoryczny plecak. Schowałem tam prowiant oraz całą zawartość koszyka. Rzecz jasna, z wyjątkiem Lukullusa. Potężny baniak z wodą był o wiele za ciężki, by go unieść. Obszukałem kilkanaście trupów i po chwili miałem do dyspozycji kilka butelek i manierek. W jednej z nich była nawet resztką cladoxpanu, którą skrzętnie dołączyłem do swoich zapasów. Ostatecznie w „plecaku” udało mi się upchnąć jakieś piętnaście litrów wody. Więcej zabrać nie mogłem, bo nie miałem dość butelek, a poza tym nie chciałem nadmiernie się obciążać. Byłem zmęczony i osłabiony, a czekała mnie długa droga.

Nim ruszyłem, wypilem jeszcze z wielkiego baniaka tyle wody, ile zdołałem, i obmyłem się chociaż trochę. Aż zabawne, że wciąż miałem na sobie elegancki włoski garnitur, który włożyłem przed dwoma dniami. Podarty, poplamiony krwią, ziemią i różnymi płynami, już dawno przestał wyglądać dobrze. Zrzuciłem zniszczoną marynarkę. Zamiast niej włożyłem zdjętą z jednego z zabitych wojskową kurtkę. To był znacznie lepszy strój w tych okolicznościach. Noce na pustyni bywają bardzo zimne.

Zarzuciłem na plecy prowizoryczny tobołek, do ręki wziąłem koszyk z Lukullusem w środku. Podążając wzdłuż torów, ruszyłem w kierunku południowo-wschodnim. Nad południem Stanów Zjednoczonych zapadała noc.

Rozpoczynałem nową podróż. Tym razem jednak czas był moim przeciwnikiem.

DZIEŃ DRUGI NA WYGNANIU

Obudziłem się cały obolały, czując na twarzy popołudniowe słońce. Szedłem przez całą noc, póki chłód i zmęczenie nie sprawiły, że miałem zupełnie dość. Musiałem przemieszczać się jak najszybciej i zatrzymywać możliwie rzadko, jeśli chciałem mieć jakąkolwiek szansę dotarcia do Gulfport. Marsz bezksiężycową czarną nocą wiązał się jednak z ryzykiem skręcenia nogi lub innego urazu. Ostatecznie postanowiłem przespać cały ranek i ruszyć, gdy minie najgorętsza pora dnia. Schroniłem się we wraku porzuconego autobusu. Z początku nie byłem do końca przekonany do mojej kryjówki: obawiałem się, że w środku są skorpiony, jadowite węże albo jakieś wredne robactwo. Z pewnością ponosiła mnie nieco wyobraźnia. W końcu jednak górę wziął zdrowy rozsądek. Jedynym autentycznym ryzykiem było tu spotkanie z kojotami. Ich wycie słyszałem w bardzo niedużej odległości i wolałem nie sprawdzać, czy atakują one ludzi.

Napiłem się wody zmieszanej z dawką leku i otworzyłem jedną z racji żywnościowych. Podsuwałem jedzenie Lukullusowi, ale był zbyt osłabiony, by je przeżuć. Przyglądałem mu się z rosnącym zaniepokojeniem. Nie miałem już żadnych wątpliwości – rana na ogonie była zainfekowana. Jeśli prędko nie uda mi się zdobyć antybiotyków, kot zdechnie. Jeszcze ważniejsze było jednak jak najszybsze zdobycie środka transportu. Podliczywszy, ile cladoxpanu wypięm w ciągu ostatniej doby, musiałem skonfrontować się z przykrym faktem – mój zapas wyczerpie się najdalej za pięć dni. Może jakimś cudem udałoby się dobić do szczęścia. Nie miało to większego znaczenia: jeśli całą podróż do Gulfport odbywałbym pieszo, zajęłaby mi ona trzy tygodnie.

Wygramoliłem się z wraku autobusu i ruszyłem dalej. Byłem w zaskakująco dobrej formie psychicznej: towarzyszyło mi uczucie wolności i podekscytowania. Zupełnie jak na początku apokalipsy – byłem sam i zależałem wyłącznie od siebie. Wspomnienie tych samotnych początków sprawiło jednak, że pomyślałem o Lucii. Jakby ktoś ukłuł mnie w serce. Kochałem ją z całych sił. Teraz życie moje i jej biegło osobnymi torami. Modliłem się tylko, by była cała i żebyśmy jeszcze ją zobaczyli.

Po dwóch godzinach marszu zatrzymałem się. W sporej odległości, za linią bezlistnych karłowatych drzew widać było położoną przy torach miejscowość. Serce zabiło mi szybciej. Wyciągnąłem ze swojego „plecaka” pistolet i

sprawdziłem magazynek. Wyjąwszy z niego dwie kule, wsunąłem broń za pasek. Czując, jak dreszcz przechodzi mi po plecach, włożyłem te dwa naboje do kieszeni. Jeśli sprawy przybiorą naprawdę fatalny obrót, jeden z nich będzie dla Lukullusa. Drugi – dla mnie.

Gdy znalazłem się bliżej zabudowań, zacząłem iść wolniej i ostrożniej. Peron wiejskiej stacyjki zasłany był zwłokami i szkieletami. Wyglądało na to, że jest to kolejne z miejsc wykorzystywanych przez ludzi Greene'a do pozbywania się „śmieci”. Zachowując najwyższą czujność, przyklejony do ściany przesuwalem się lekko w głąb stacji. Tutaj również nie było już nikogo żywego.

Zaryzykowałem wejście na główną ulicę miasteczka. Zupełnie pustą. Sama miejscowość była maleńka – składała się z nie więcej niż dwudziestu budynków. Przez rozbite okna i powyważane drzwi ponuro patrzyły na mnie cieniste wnętrza dawno opuszczonych domów. Nie było słycać niczego ani nikogo. Jedynym dźwiękiem zakłócającym doskonałą ciszę było szuranie podeszew moich butów o żwir zalegający na spękany asfalcie.

Zza moich pleców dobiegł nagle jęk. Odwróciłem się błyskawicznie z bronią w pogotowiu, jednak natychmiast opuściłem pistolet. Odetchnąłem z ulgą – źródłem niepokojącego dźwięku była stara reklama coca-coli świszcząca na wietrze.

Rozglądając się bacznie dookoła, wszedłem do jedynej kawiarni w miasteczku. Szkło ze strzaskanych luster ściennych kruszyło się pod moimi stopami przy każdym kroku w głąb ciemnego pomieszczenia.

Wewnątrz nie było nikogo. Raz po raz zerkając w stronę drzwi, utorowałem sobie drogę pomiędzy połamanymi krzesłami i poprzewracanymi stolikami, by w końcu dostać się za bar. Otwierałem kolejne szafki i szuflady, ale czekało mnie rozczarowanie.

Nie znalazłem w kawiarni absolutnie nic, co nadawałoby się do wypicia lub zjedzenia. Swoją drogą, sam nie wiem, czego się spodziewałem. Było oczywiste, że ocalali z kolejnych transportów złupili nie tylko kawiarnię, ale całe miasteczko ze wszystkiego jakkolwiek przydatnego. Jeśli były tu jakieś zapasy, to zniknęły dawno temu. Przeszukiwanie innych budynków byłoby tylko stratą czasu. Mogłem z góry założyć, że niczego tam nie zdobędę.

Mój wzrok zatrzymał się na stosiku faktur, rachunków i różnej maści kwitów. Podszedłem do blatu przy lodówce, gdzie leżały te papierki, i bardziej z ciekawością niż z nadzieją przeglądałem je jeden po drugim. Bez większego zaskoczenia odnotowałem, że większość stosika to papiery związane z działalnością baru. Był jednak pośród nich mały skarb – wydrukowana na byle jakim papierze ulotka reklamująca ranczo „JJ”.

Chcesz poczuć się jak prawdziwy kowboj?

Dzięki „JJ” poznasz PRAWDZIWIY TEKSAS.

PRZEJAZDŹKI KONNE! UDZIAŁ W TARGACH INWENTARZA!

Posmakuj u nas najlepszej kuchni Tex-Mex!

Ranczo JJ – Niezapomniane przeżycia!

Pod głupawym tekstem promocyjnym widniały numer telefonu, adres i schematyczna mapka dojazdu z Sheertown (opustoszałej miejsciny, w której się znajdowałem) na ranczo. Wszystko to okraszono potwornie tandetnymi obrazkami oraz tłem w postaci koni w galopie i uśmiechniętych kowbojów opartych o płot zagrody.

Zadawałem sobie pytanie, czy właściciel rancza nie uderzył się przypadkiem mocno w głowę. Naprawdę trudno było mi wyobrazić sobie, że ktokolwiek tłukłby się specjalnie na to zadupie, żeby „poznać prawdziwy Teksas”. Nawet przed apokalipsą Sheertown musiało być miejscem przygnębiającym, nie istniał chyba gorszy cel wakacyjnej podróży. Fakt ten jednak, zwłaszcza w połączeniu z bylejakością ulotki, którą miałem w ręku, pozwalał przypuszczać, że ranczo „JJ” nie narzekało na nadmiar odwiedzających. Należało się raczej spodziewać, że nigdy nie zajrzał tam nawet pies z kulawą nogą.

W mojej głowie zakiełkowała absurdalna myśl. Ranczo znajdowało się niespełna sześć kilometrów od Sheertown, a dojeżdżało się do niego drogą prowadzącą w przeciwną stronę niż dwie główne trasy wylotowe z miasteczka. Istniała szansa, że od czasu rozpoczęcia pandemii nikt nie odwiedził tego miejsca. Gdyby moje nadzieje się spełniły, mógłbym zdobyć tam leki weterynaryjne i jedzenie. Kto wie, może także sprawny samochód! Zresztą, nawet gdybym nic tam nie znalazł, miałbym przynajmniej gdzie bezpiecznie spędzić noc. Za nic w świecie nie chciałem nocować w Sheertown. To miasteczko duch było jak nieoznaczony masowy grób. Powietrze było tu ciężkie od nieszczęścia, rozpacz i straszliwego bólu. Wrażenie to przeszywało mnie na wskroś.

Nie oglądając się za siebie, ruszyłem w stronę rancza. Opuściłem miejscowość i po dziesięciu minutach marszu szosą znalazłem odchodzącą od niej na zachód szutrową drogę. Dla pewności raz jeszcze rzuciłem okiem na mapkę. Szedłem we właściwym kierunku, bez wątpienia. Prowadząca do „JJ” polna droga cała porośnięta była chwastami, a miejscami przegradzały ją gęste chaszczce. Nie dostrzegłem żadnych śladów – ani ludzkich, ani nawet zostawionych przez zwierzęta. Najwyraźniej od bardzo dawna nie było tu nikogo ani niczego.

Przez godzinę szedłem zapuszczoną drogą, klnąc jak szewc za każdym razem, gdy zaplątywałem się w ostre krzaki. W jednym miejscu musiałem torować sobie drogę przez zarośla tak gęste, że na moment straciłem z oczu dalszy ciąg drogi. Kosztowało mnie to nieco wysiłku, ale też sprawiało, że moje nadzieje z każdym pokonanym kilometrem rosły. Skoro droga była w tak fatalnym stanie,

to niemal pewne, że nikt nie odwiedził rancza od bardzo długiego czasu.

Wreszcie, dotarwszy na szczyt niewielkiego wzgórza, zobaczyłem zabudowania „JJ”.

Było to miejsce o dość podłym wyglądzie. Ot, byle jaki, pomalowany na czerwono drewniany dom otoczony płotem, a obok duży spichlerz z niską przybudówką, która – jak podejrzewałem – pełniła funkcję stajni. Ranczo nigdy nie błyszczało, ale teraz, po dwóch latach zapuszczenia, prezentowało się żałośnie. W zagrodzie obok domu było kilka krowich szkieletów schnących w promieniach słońca. Zapewne zwierzęta po śmierci swoich właścicieli zdechły z pragnienia, nie będąc w stanie pokonać ogrodzenia. Myśl o tym naprowadziła mnie na istotną kwestię.

Właściciele rancza musieli być gdzieś niedaleko. Może nawet wewnątrz domu.

Zacisnąwszy dłonie na kolbie pistoletu, zbliżyłem się do zabudowań. Przy bramie na podwórko położyłem na ziemi koszyk i mój prowizoryczny plecak. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli rekonesans przeprowadzę bez dodatkowego obciążenia.

W pierwszej kolejności sprawdziłem stajnię. Pomieszczenie było długie i uporządkowane. Składało się z prowadzącego środkiem przejścia i dwóch rzędów boksów dla koni – po sześć z każdej strony. Połowa była pusta. W pozostałych po podłodze wały się końskie czerepy i kości. Stalowe furty boksów miały wyraźne wgniecenia od potężnych kopnięć, a na części z nich widać było nawet plamy krwi. Oszałałe z pragnienia i głodu zwierzęta próbowały najwyraźniej za wszelką cenę wydostać się na zewnątrz. Na próżno jednak. Dziś poza końskimi szkieletami nie było tu nic.

Już miałem opuścić stajnię, ale w ostatniej chwili moją uwagę zwróciła niewielka lodówka stojąca pod ścianą. Nie licząc na wiele, otworzyłem drzwiczki. Omal nie padłem z wrażenia, gdy ze środka buchnęła na mnie orzeźwiająca fala mroźnego powietrza. Jakimś cudem lodówka wciąż działała. To zaś znaczyło, że w dwa lata po apokalipsie na ranczu dalej był prąd.

Stałem nieruchomo, a fala zimnego powietrza chłodziła moją twarz. Zajął mi chwilę zrozumienie, jak to możliwe, że na tym ranczu na odludziu prąd płynął z gniazdka jak gdyby nigdy nic. Rozwiązaniem zagadki okazały się panele słoneczne na dachu stajni, które zasilają ukryty gdzieś generator. Najwyraźniej właściciel obejścia nie lubił dostawać rachunków z elektrowni. Możliwe też, że żyjąc na głębokim odludziu, nie chciał ryzykować nawet chwilowych przerw w dostawach prądu. W sumie, co za różnica. Powód tak naprawdę wcale mnie nie obchodził. Ważne było, że uśmiechnął się do mnie los.

Lodówka pełna była starannie posegregowanych słoiczków i ampułek z lekarswami dla zwierząt. Znalazłem też antybiotyki. Rzecz w tym, że środki,

które przed sobą miałem, przeznaczone były dla koni i krów. Nie miałem pojęcia, czy można podawać je kotom. Zawahałem się. Zbyt duża dawka zabiłaby mojego rudzielca. Co gorsza, nie wiedziałem, czy w ogóle mogę podać mu antybiotyk przeznaczony dla zwierząt innego gatunku. Z drugiej strony, nie miałem innego wyjścia. Wepchnąłem do kieszeni kilka ampułek z lekiem i garść plastikowych opakowań ze sterylnymi igłami.

Ostatni raz obrzuciłem spojrzeniem wewnątrz stajni i wyszedłem na zewnątrz. Wtedy napotkałem pierwszego Nieumarłego.

Był to młody mężczyzna wyglądający na jakieś dwadzieścia pięć lat. Miał na sobie ogrodniczki i kraciatą koszulę, a wokół jego szyi owinięta była wyblakła chustka. Nieumarły zmierzał w moją stronę chwiejnym krokiem. Musiał dosłownie przed chwilą wyjść zza rogu domu.

Znajdował się dość blisko. Na jego ciele nie dostrzegłem żadnej wyraźnej rany. Wyglądało na to, że wirus dopadł tego chłopaka w sposób zdradziecki – może młody farmer pił z jednej butelki z kimś zarażonym, a może TSJ przeniósł się przez pocałunek? W sumie, pomyślałem, z dwojga złego lepiej zarazić się w ten sposób.

Zła wiadomość była taka, że na mój widok Nieumarły wydał z siebie cichy jęk i przyspieszył kroku. Nie chciałem ryzykować, że spudłuję, więc czekałem spokojnie, aż bardziej się do mnie zbliży. Po chwili spojrzenie moje padło jednak na opartą o ścianę siekierę. Po krótkim namyśle odłożyłem berettę i zdecydowałem się załatwić sprawę po cichu. Siekiera była długa i ciężka, ostrze miała nieco zardzewiałe. Chwiało się lekko na trzonku, ale uznałem, że nie ma to większego znaczenia. Ważne, że nie narobię hałasu, który przywabiłby innych zarażonych.

Gdy Nieumarły był o mniej niż trzy metry ode mnie, uniosłem siekierę ponad głowę. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że jeśli nie powalę go pierwszym ciosem, to drugiej szansy nie dostanę. Zrezygnowanie z pistoletu na rzecz siekiery nie wydawało mi się teraz wcale takim dobrym pomysłem. Nie miałem już jednak czasu na gdybanie. Zarażony rzucił się na mnie z krótkim warknięciem. Kiedy jego ręce były tuż przy mojej klatce piersiowej, z całych sił spuściłem ostrze siekiery na jego głowę.

Żelazo wbiło mu się w sam środek twarzy przy wtórze odrażającego dźwięku brzmiącego trochę jak trzask, trochę jak plusk. Postawiłem stopę na piersi powalonego Nieumarłego i mocnym szarpnięciem uwolniłem siekierę. Przeciągłe mlaśnięcie było jeszcze obrzydliwsze niż poprzedni dźwięk. Zarażony leżał teraz na plecach jak żółw, którego przewrócono skorupą do dołu. Szybko wymierzyłem mu drugi potężny cios. Tym razem siekiera wbiła się w górną część czaszki, a ostrze zgruchotało mózg. Nogi Nieumarłego zadrgały kilkakrotnie w konwulsjach, po czym ostatecznie przestał się poruszać.

Dyszałem chwilę ciężko, starając się wyrównać oddech. Dopiero przy trzecim

podejściu udało mi się wyrwać ostrze siekiery z czaszki zarażonego. Szedłem teraz w stronę domu, trzymając w dłoni zakrwawiony topór. Wyglądałem pewnie jak psychopatyczny morderca z tandetnego horroru.

Ostrożnie uchylilem drzwi i zajrzałem do środka. Jedno spojrzenie wystarczyło, by zorientować się, że dla właściciela domu porządek nie był sprawą najważniejszą. A dwa lata całkowitego zapuszczenia sprawiły, że wszystkie meble pokryły się grubą warstwą pyłu. Na środku potwornie zakurzonej podłogi widniały jednak świeże ślady. Ktoś był tu bardzo niedawno. Czując, jak krew pulsuje mi w żyłach, ruszyłem po śladach w stronę kuchni.

Ślady doprowadziły mnie w okolice kominka, gdzie uśpiona jeszcze przed chwilą Nieumarła ocknęła się, wyczuwając obecność człowieka. Kobieta rzuciła się w moją stronę, ale zaraz potknęła się o leżący na podłodze przewrócony taboret. Niesiona rozpędem padła ciężko na podłogę, co natychmiast skwapliwie wykorzystałem. Nie wahając się ani chwili, kilkakrotnie uderzyłem ją z całej siły siekierą. Przestałem bić, dopiero gdy jej głowa zamieniła się w krwistą masę.

Opadłem na sofę, wzbijając chmurę kurzu. Z pełnym spokojem sięgnąłem po leżącą na stoliku obok paczkę marlboro, wyciągnąłem jednego papierosa i zapaliłem. Zadziwiałem sam siebie. W ciągu niespełna pięciu minut zatłukłem siekierą dwoje zarażonych i nawet się tym specjalnie nie przejąłem. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej uważałbym to za niewykonalne. Zaskakujące...

Krew z głowy Nieumarłej meandrowała pomiędzy najgęstszymi skupiskami kurzu, tworząc coraz to dziwniejsze wzory. Dotarłszy do mojego buta, strużka rozwidliła się na dwie odnogi, które po kilku kolejnych zakrętach zniknęły gdzieś pod kanapą. Zaciągnąwszy się tylko dwa razy, rzuciłem papierosa na ziemię. Jakoś zupełnie odeszła mi ochota na palenie.

Przeczesałem cały dom, ale nikogo więcej nie napotkałem. W piwnicy za to czekała mnie niezwykle miła niespodzianka. Była tam szafa chłodnicza po brzegi wypełniona zamrożoną wołowiną. Na sam jej widok pociekła mi ślinka. Tego wieczoru czekała mnie ucztą z wybornych steków.

Pozostało mi już tylko sprawdzenie spichrza. Wyszedłem na podwórze i skierowałem się w stronę dużego budynku z czerwonego drewna. Przy ciele zarażonego chłopaka, którego zabiłem, siedziały dwa potężne czarne sępy. Jego wnętrzności stały się dla nich prawdziwą ucztą. Gdy przechodziłem obok, ptaki spojrzały na mnie z pewnym zainteresowaniem, ale ani myślały uciekać. Widać było, że z czasem pozbyły się strachu przed istotami ludzkimi. Ptaszyska były dobrze odżywione, wręcz grube. Najwyraźniej pożywienia miały w bród.

Drzwi spichrza zamknięte były od zewnątrz na potężną kłódkę. Zakląłem pod nosem. Klucz mógł być w dowolnym miejscu, a ja nie miałem ani czasu, ani ochoty, by przetrząsać cały dom i stajnię. Wyciągnąłem zza pasa pistolet i wycelowałem w kłódkę.

Huk wystrzału poniósł się wokół jak grzmot. Na ten dźwięk sępy, choć śmielsze niż dawniej, wzbiły się jednak w powietrze i oddaliły niezadowolone. Strzał słyhać było daleko stąd, ale nie dbałem o to. W promieniu wielu kilometrów nie było nikogo, nawet Nieumarłych.

Wnętrze spichrza było ciemne i chłodne. Zaskoczyła mnie wilgoć wisząca w powietrzu. Natychmiast odkryłem, skąd się brała – to pompa wodna w głębi budynku pękła i powstał trwały wyciek. Ciągnięta z głębokości studni woda tryskała z ziemi wprost do spichrza od dość dawna, wewnątrz budynku zdążyło utworzyć się coś na kształt małej sadzawki. Wypływała z niej szeroka struga, która wydostawała się na zewnątrz przez otwór wypłukany pod ścianą i zmierzała gdzieś dalej, w kierunku pustyni.

Powietrze było aż ciężkie od wilgoci. Niektóre worki z ziarnem popękały, bo nasiona zaczęły kiełkować. Cały budynek przesiąknięty był dziwną wonią. Pośrodku sadzawki zasilanej wyciekiem z pompy drzemał potężny traktor John Deere. Maszyna czekała na rozpoczęcie żniw, które nigdy już nie nadejdą.

Obszedłem ostrożnie traktor i zauważyłem pod ścianą jakiś przedmiot okryty białą płachtą. Intrygujący, dużych gabarytów kształt sąsiadował ze stołem do majsterkowania i wciśniętym w kąt pomieszczenia zrolowanym dywanem. Wyciągnąłem przed siebie wolną rękę i energicznym ruchem ściągnąłem biały materiał.

– Dzięki Ci, Boże – wyszeptały moje spękane usta. – Dzięki.

Moim oczom ukazały się bowiem dwa lśniące czystością motocykle.

Godzinę później wróciłem do spichrza. Słońce właśnie zaszło i nad ranczem „JJ” pomału zapadała noc. Rozpaliłem wewnątrz niewielkie ognisko, na którym teraz smażyły się piękne plastry soczystej wołowiny.

Lukullus ułożył się tak blisko ognia, jak tylko dał radę wytrzymać, i spał spokojnie. Wcześniej, po dłuższym namyśle, wstrzyknąłem mu niewielką część zawartości jednej z ampułek. Starłem się dobrać ilość leku do wagi rudzielca. Robiąc zastrzyk, modliłem się, bym próbując ratować kota, przypadkiem go nie zabił. Dzięki Bogu, wstrzyknięty środek chyba mu służył. Lukullus czuł się znacznie lepiej niż przed kilkoma godzinami. Z moich obserwacji wynikało, że antybiotyk działał. Oczyszcziłem ranę na ogonie i zmieniłem bandaż na świeży. Na kikucie wciąż widać było ślady infekcji, ale wyglądało na to, że Lukullus niedługo się z tego wyliże. Choć zużył jedno ze swych dziewięciu kocich żyć, będzie nadal towarzyszył mi w podróży.

Powrót Lukullusa do zdrowia bardzo mnie cieszył, ale niemal takiej samej radości dostarczyło mi moje motoryzacyjne znalezisko. Szykując się do kolacji, raz po raz zerkałem w stronę motocykli. Były zupełnie różne. Po lewej stronie stała imponująca, potężna honda goldwing, po prawej – mały i brzydki

koreański motor z silnikiem o pojemności stu dwudziestu pięciu centymetrów sześciennych.

Ogromna honda połykiwała w czerwonej łunie bijącej od ognia. Ten motocykl to prawdziwy krążownik szos – szeroki i masywny, o dużym wygodnym siedzisku i masie wskaźników na desce rozdzielczej był stworzony do tego, by komfortowo pokonywać na nim setki kilometrów dziennie.

Moja pierwsza myśl, jak nietrudno zgadnąć, była taka, by wyruszyć w drogę do Gulfport właśnie na hondzie. Wiązało się z tym jednak kilka trudności. Przede wszystkim akumulator był rozładowany. Goldwing miał silnik z wtryskiem, więc za nic nie odpaliłby bez prądu. Drugi problem polegał na tym, że honda z uwagi na swój rozmiar była mało poręczna i niezbyt zwrotna. Póki na trasie nie spotkam żadnych przeszkód, taki motor sprawdzi się idealnie, ale prędzej czy później trafię na drogi całkowicie zakorkowane, zablokowane na całej szerokości porzuconymi pojazdami. Może też zdarzyć się tak, że będę musiał błyskawicznie z takiego korka się wydostać.

Przyjrzałem się motocyklowi koreańskiemu. Nazwa marki nie mówiła mi absolutnie nic (słyszeliście kiedykolwiek o firmie Daystar?), a sama maszyna prezentowała się raczej podle. Zdobieniami starano się nawiązać do stylistyki amerykańskich chopperów, ale detale wykonano niesłychanie tandetnie. Efekt końcowy był żałosny. Wygląd motocykla nie miał jednak w tej chwili żadnego znaczenia. Ważne, że daystar był niewielki, lekki, solidny i – co najistotniejsze – miał silnik gaźnikowy. Oznaczało to, że odpali na kopnięcie.

Przekręciłem mięso nad ogniem, wstałem i podszedłem do maszyny. Przetoczyłem ją na środek spichlerza i wsiadłem. Potrząsnąłem lekko motocyklem – w baku zachlupotało paliwo. Doskonale. Wrzuciłem luz, postawiłem stopę na rozruszniku i spróbowałem uruchomić silnik. Kolejne kopnięcia nic jednak nie dawały. Po dwóch latach bezruchu silnik krztusił się potwornie i nie chciał odpalić. Wykręciłem świecę i bardzo starannie ją oczyściłem. Umieściłem ją z powrotem na miejscu, wsiadłem ponownie na motor i z całą siłą natarłem na rozrusznik.

Kaszłąc i zgrzytając, silnik w końcu ożył, a z rury wydechowej wystrzeliła chmura czarnego dymu. Uśmiechnąłem się z ulgą i kilkakrotnie przegazowałem motor. Daystar pracował trochę nierówno, ale działał! Udało się – miałem środek transportu, który pozwoli mi wydostać się z tego odludzia.

Zsiadłem rozradowany z motoru. Radość rozpierała mnie do tego stopnia, że nie byłem w stanie ustać w miejscu. Przez chwilę wykonywałem wokół ognia przedziwny, absurdalny taniec zwycięstwa.

I wtedy nagle stojący w kącie zrolowany dywan... warknął. Krzyknąłem przerażony i z wrażenia upadłem na ziemię. Serce waliło mi jak młotem. Musiałem się przesyłścić. Nie, to nie działało się naprawdę.

Zwinięty pomarańczowy „dywan” warknął ponownie, jakby chcąc

utwierdzić mnie w przekonaniu, że nie ponosi mnie wyobraźnia. Rzuciłem się w stronę swoich bagaży, przewracając po drodze w ogień naprędce sklecony ruszt. Po kilkunastu sekundach nerwowego poszukiwania wyciągnąłem z tobołka pistolet.

Powietrze przenikał zapach palącego się mięsa, a ja z berettą w drżących dłoniach krok po kroku zbliżałem się do „dywanu”. Ten wydał z siebie kolejny dźwięk i drgnął lekko. Nie spuszczać wzroku z tego dziwoląga, ostrożnie posuwałem się naprzód. Gdy byłem już blisko, przyjrzałem się uważnie pomarańczowemu tworowi i wszystkie włosy zjeżyły mi się na głowie.

To, co mylnie wziąłem za zwinięty dywan, było Nieumarłym.

Materia, która z daleka wydała mi się tkaniną, okazała się rudopomarańczową kulturą grzyba, która rozrosła się do monstrualnych rozmiarów. Była teraz większa niż ciało przygniecionej nią nieszczęśnika. Panujące wewnątrz spichrza ciemność i wysoka wilgotność stanowiły dla grzyba wprost idealne warunki do rozwoju. Nic więc dziwnego, że szybko osiągnął rozmiary tak znaczne, że całkowicie ukrył pod sobą niebędącego w stanie się podnieść zarażonego.

Fakt, gdy dotarłem na ranczo, drzwi spichrza zamknięte były od zewnątrz. Można było z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuścić, że uwięziony wewnątrz był pierwszą osobą w „JJ”, którą zaatakował wirus. Pozostali mieszkańcy rancza najwyraźniej nie mieli sumienia go zabić (był ich synem, a może bratem?), więc zamknęli go w spichlerzu. Nie byli przy tym świadomi, że TSJ krąży już także w ich żyłach. Nie minęło wiele czasu, a i oni ulegli przemianie. Pierwszy nieszczęśnik pozostał w zamknięciu i pomału gnił w ciemnościach spichrza aż do chwili, gdy się pojawiłem.

Zastanawiałem się, dlaczego Nieumarły się nie porusza. Zachowując czujność, podszedłem jeszcze bliżej. No jasne. Grzyb pożarł ogromną większość masy mięśniowej zarażonego (co do którego nie byłem nawet pewien, czy jest mężczyzną, czy kobietą). Nieumarły nie mógł się poruszyć, nie wspominając nawet o próbach podniesienia się. Był to właściwie szkielet, na którym pozostały zaledwie strzępy ciała jeszcze niepożłonięte przez grzyb. Resztki tego, co było kiedyś człowiekiem, pokryły rozległe, pomarańczowordzawe narośle. Chroniony czaszką mózg wciąż jednak żył, choć i jemu pozostało już zapewne niewiele czasu.

Istny koszmar. Trudno wyobrazić sobie gorszą śmierć.

Nie przestając obserwować ludzkiego wraku w kącie pomieszczenia, usiadłem powoli na ziemi. W miejscu, gdzie najprawdopodobniej znajdowała się głowa, rdzawa masa poruszała się słabo, próbując podążać za moimi ruchami. Zmasakrowana istota pod rudym płaszczem grzyba dawno przestała widzieć, a podejrzewałem, że straciła również słuch. Nadal jednak w jakiś sposób wyczuwała moją obecność. To wszystko było jednocześnie odrażające i

przygnębiające.

Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad „okazem”, który miałem przed oczami. Zadawałem sobie pytanie, co ten przypadek oznacza dla pozostałych Nieumarłych. To, co widziałem, było niewiarygodne, ale z drugiej strony można się chyba spodziewać, że prędzej czy później inni zarazeni podzielą los istoty konającej w kącie spichrza. Jeśli nie wszyscy, to przynajmniej ci przebywający na terenach o wysokiej wilgotności powietrza i łagodnych temperaturach. W takich miejscach bowiem grzyb rozwijał się z łatwością.

Tereny otaczające Gulfport, a leżące bezpośrednio nad morzem, były więc miejscem wprost idealnym. Żałowałem w tym momencie, że nie mam szansy pomówić z którymś z helotów i zapytać, jak wyglądali Nieumarli z terenów za murami. Postawiłbym cały swój zapas cladoxpanu na to, że wielu spośród nich przypominało nieszczęśnika gnijącego w tym spichlerzu.

Rozmyślenia o klimacie sprawiły, że w oczach stanął mi mój dom w Galicii. Okolica, w której się znajdował, podobnie jak i cały północny zachód Hiszpanii, to miejsce wilgotne. Było tam zielono jak w Irlandii, a trzy z każdych czterech dni przynosiły deszcz. Mijały dwa lata, odkąd opuściłem to miejsce. Zachodziłem w głowę, czy z tamtejszymi Nieumarłymi działo się to samo co z tym, który leżał kilka metrów ode mnie. Nagle do oczu napłynęły mi łzy. Dopadła mnie dojmująca nostalgia. Czułem się samotny. Bardzo samotny. Byłem teraz tak daleko od wszelkich miejsc, które mógłbym nazwać domem... Euforia, którą czułem ledwie kilka minut wcześniej, ulotniła się bez śladu.

Usłyszałem ciche miauknięcie. Lukullus wysunął głowę z koszyka i chwiejnie stawiając łapki, próbował wydostać się na zewnątrz. Jego widok łamał mi serce. Było coś niesłychanie przykrego w oglądaniu zwinnego, pełnego gracji zwierzęcia, które z osłabienia potyka się i słania jak schorowany starzec. Kot podszedł do mnie niepewnym krokiem i zaczął się łaścić. Po chwili z pewnym trudem wdrapał mi się na kolana i mrucząc, zwinął w kłębek. Inteligentna bestia. Jakimś sposobem wyczuł, że go potrzebuję. Przypominałem sobie później tę chwilę za każdym razem, gdy nachodziło mnie pytanie, po jaką cholere ciągam go ze sobą po całym świecie.

Resztę nocy spędziłem, śpiąc niespokojnym, słabym snem. Nim ułożyłem się przy dogasającym ognisku, postanowiłem jeszcze ukrócić upokarzający żywot istoty w kącie. Kilkoma ciosami siekiery odrąbałem część rdzawej masy, a następnie roztrzaskałem to, co pozostało z głowy zarazonego. Ten Nieumarły niczym mi nie zagrażał, ale uznałem, że po prostu nie mogę go tak zostawić. Nie zasłużył sobie na to.

Owinałem się w końską derkę i starałem się zasnąć głębiej. Czekał mnie długi i ciężki dzień, który jednak miał bardzo przybliżyć mnie do Gulfport. Tam zaś czekali na mnie moi bliscy.

Tam również czekała moja zemsta.

DZIEŃ TRZECI NA WYGNANIU

Następnego ranka wyruszyłem bardzo wcześnie. Nie mogłem ryzykować jazdy po zachodzie słońca. Jeśli wziąć pod uwagę stan dróg, podróżowanie na motorze po zmroku byłoby proszeniem się o poważny wypadek. Miałem bardzo prosty plan: jechać cały ranek, zatrzymać się w porze największego upału i kontynuować jazdę późnym popołudniem, aż do wieczora.

Daystar był jak na swoje niewielkie gabaryty potwornie ciężki, ale i tak już po kilku kilometrach wiedziałem, że dokonałem właściwego wyboru. Motor miał dość pary, by w razie czego uratować mnie z opałów, a do tego był bardzo zwrotny. Mechanika motocykla okazała się przy tym bardzo nieskomplikowana, co również uznałem za zaletę. Prosty mechanizm oznaczał mniejsze ryzyko poważnej awarii. Silnik warczał wesoło, a ja pokonywałem kolejne kilometry szutrowej drogi, kierując się do głównej szosy.

Miałem dwa wyjścia: albo podążać wzdłuż torów kolejowych, albo korzystać z podrzędnych dróg stanowych. Do tej pory trzymałem się linii torów, ale z mapy wynikało, że trasa pociągów prowadzi na północ, by dopiero po dziesiątkach kilometrów odbić na południowy wschód, gdzie znajdował się cel mojej podróży. Trzymanie się tego szlaku oznaczałoby duży objazd, a tym samym wydłużenie czasu podróży. Co więcej, linia kolejowa przechodziła niebezpiecznie blisko kilku dużych ośrodków, a dwa z nich przecinała. Uzbrojeni po zęby gwardziści w opancerzonej lokomotywie mogli śmiało zaryzykować przejazd tamtędy, ale dla poobijanego faceta na motorku byłoby to jednoznaczne z samobójstwem.

Nie powinienem ryzykować przejazdu przez duże miasto. Na motocyklu wyminę sprawnie pojedynczych zarazonych, ewentualnie niewielkie ich grupy. Próba przebicia się przez tłum Nieumarłych oznaczałaby śmierć w ciągu kilku minut. Wystarczyłoby, żebym na skutek zderzenia z którymś z nich spadł z motoru. Reszta potoczyłaby się błyskawicznie.

Wychodziło więc na to, że muszę jechać podrzędnymi szosami. Rozwiązanie to miało tę zaletę, że na swej drodze nie spotkam żadnych większych miast, a tylko kilkanaście wsi i parę niewielkich miścin. Kłopot mogło natomiast sprawiać zdobywanie benzyny. A poza tym mój zapas cladoxpanu nieustannie się kurczył.

Lukullus, znacznie żywszy i silniejszy dzięki antybiotykowi, wiercił się w

jednej z sakw na boku motocykla, kłując jej skórzany pasek. Tuż obok niego jechał termos zawierający połowę mojego zapasu cladoxpanu. W sakwie na drugim boku była cała reszta. Włożyłem tam butelkę z wodą, prowiant, broń i flaszkę po whisky, którą wcześniej opróżniłem, a w której teraz znajdowała się druga połowa leku. Uznałem, że rozsądniej będzie rozlać cladoxpan do dwóch osobnych pojemników. Gdybym stracił któryś z nich, nadal zostanie mi pozostała część.

Cały poranek jechałem pustą szosą przysypaną pustynnym piachem i gdzieś tam porośniętą chwastami. Z rzadka napotykałem jakiś porzucony samochód lub dostrzegałem w oddali poruszającego się chwiejnym krokiem zarzonego. Słyszac dźwięk silnika, Nieumarli odwracali się i ruszali w stronę szosy, ale żaden nie mógł mi zagrozić. Dzielili nas zbyt duże odległości, a ja przemieszczałem się zbyt szybko. Nie mogłem jednak ryzykować postoju, po chwili miałbym towarzystwo i poważne kłopoty. Rzecz w tym, że wcale nie miałem ochoty się zatrzymywać. Jedyne, na czym mi zależało, to jak najszybciej pokonywać kolejne kilometry. Gulfport przyciągało mnie jak magnes opiłki żelaza.

Noc spędziłem pod gołym niebem, na szczycie samotnego wzgórza. Choć z okolicy dobiegało wycie kojotów, nie zaryzykowałem rozpalania ognia. Płomień spłoszyłby zwierzęta, ale mógł przywabić coś znacznie groźniejszego. I nie miałem tu na myśli wyłącznie Nieumarłych. Wraz z pokonywaniem kolejnych odcinków trasy trafiałem na coraz więcej oznak niedawnej obecności ludzi. Widziałem ślady, spalone żagwie z ognisk i dziesiątki łusek, a na jednej z krzyżówek nawet wyraźne koleiny po przejeździe kolumny ciężkiego sprzętu. Nie wolno mi było zakładać, że wszyscy ludzie, jakich napotkam, będą odnosić się do mnie przyjaźnie. Lepiej więc nie zostawiać po sobie śladów.

Dla bezpieczeństwa przywiązałem Lukullusa sznurkiem do lewego nadgarstka. Kocie zmysły są znacznie ostrzejsze od ludzkich, więc gdyby ktoś się zbliżał, kot obudzi się pierwszy. Gdy się poruszy, i ja się ocknę.

Dwie godziny po ułożeniu się do snu przekonałem się o trafności swojej teorii. U podnóża pagórka, na którym się zatrzymałem, zebrała się wataha zdziczałych psów, przedziwna zbieranina mieszańców, golden retrieverów, owczarków i paru innych ras. W stadzie znalazł się nawet złowrogo wyglądający pitbull. Lukullus wyczuł je i natychmiast zaalarmował mnie prychnieniem. Odruchowo sięgnąłem po broń i podniosłem się. Najpierw próbowałem spłoszyć stado krzykiem, ale bezskutecznie. Psy patrzyły tylko na mnie zdumione, że w środku głuszy napotkały samotnego człowieka. Dłuższą chwilę ciskałem kamieniami, zanim przekonałem je, żeby dały mi spokój. Ostatecznie psy uznały, że jestem zbyt bojowo nastawionym kaskiem, i oddaliły się, podążając za pitbullem.

Odetchnąłem z ulgą, ale tej nocy nie udało mi się już na dobre zasnąć.

Niedobór snu następnego dnia okazał się zgubny.

DZIEŃ CZWARTY NA WYGNANIU, GDZIEŚ W STANIE MISSISIPI

Musiało mi się udać. Byłem niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Gulfport. Słońce chyliło się ku zachodowi, ale ja czułem się radosny jak w słoneczny poranek. W ciągu zaledwie dwóch dni przejechałem prawie czterysta kilometrów. Zważywszy na okoliczności, był to wynik imponujący. Decyzja o tym, by podróżować podrzędnymi drogami, okazała się strzałem w dziesiątkę. Gdy rano mijałem tablicę informującą, że wjeżdżam właśnie do Missisipi, nie mogłem wprost uwierzyć. Zbliżałem się do wielkiej rzeki. Zagęszczenie skupisk ludności stale rosło, coraz trudniej było omijać wsie i miasteczka. Nieraz nie miałem innego wyjścia niż dodać gazu i starać się błyskawicznie przejechać między zabudowaniami. Niosło to ze sobą spore ryzyko, bo oznaczało, że pakowałem się z bardzo dużą prędkością na nieznany teren, nie wiedząc nawet, czy droga przez daną miejscowość jest przejezdna.

Wszystko szło jednak zaskakująco sprawnie i łatwo. Zbyt łatwo. Spodziewałem się, że w niektórych miasteczkach będą mi zagrażać tysiące Nieumarłych. Tymczasem gdy docierałem na miejsce, przeważnie okazywało się, że jest ich tam raptem tuzin czy dwa. Jedyne, co musiałem zrobić, to przejechać między zarażonymi slalomem i spokojnie opuścić miejscowość.

W miarę jak zbliżałem się do wybrzeża, a wilgotność powietrza rosła, widziałem coraz więcej zarażonych z naroślami. Kultury grzyba były przy tym wciąż większe. Tu, kilkadziesiąt kilometrów od Gulfport, nie dostrzegłem już choćby jednego Nieumarłego, na którego ciele nie żerowałaby rdzawa lub niebieskawa żywa masa. U niektórych zaatakowała tylko twarz lub bezpośrednio otoczenie rany, ale byli i tacy, którzy przypominali chodzące bele tkaniny. Inni na skutek obciążenia i uszkodzeń mięśni przemieszczali się w sposób chwiejny i chaotyczny lub w ogóle nie mogli już chodzić i pozostawało im czołganie się. Najbardziej żal było mi tych, którym grzyb zdążył już uszkodzić mózg. Przypominali humanoidalne roboty z awarią oprogramowania – zdezorientowane przemieszczały się bez celu, w sposób chaotyczny i całkowicie pozbawiony płynności. Wszędzie wokół widać było setki stosów kości pokrytych ciężką pomarańczową, zieloną lub fioletową masą. Każdy taki stos był trochę jak krzyż przy szosie – oznaczał miejsce, gdzie Nieumarły padł pod swym własnym ciężarem, by nigdy już nie wstać.

Uświadomiłem sobie z pewnym przestachem, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie byłbym w stanie wrócić z wygnania. W moim nieszczęściu miałem naprawdę mnóstwo szczęścia. Na moich oczach dzieci apokalipsy dziesiątkowała jedna z najstarszych i najbardziej prymitywnych form życia. Jeszcze kilka lat i ocalali z zagłady będą mogli znów normalnie żyć. Na myśl o tym zawrzała we mnie wściekłość. Nie zamierzałem umierać. Nie tak blisko końca.

Przejechałem przez kilka doszczętnie spalonych miejscowości. Trafiłem też do wioski robiącej wrażenie dekoracji filmowej, którą zapomniano zdemontować. Zabudowania stały względnie nienaruszone, ale nie było tam nikogo – ludzi, zwierząt ani nawet Nieumarłych. Nie zatrzymałem się tam jednak. Przez cały dzień zrobiłem tylko jeden dziesięciominutowy postój, który wymusiła na mnie konieczność napełnienia baku. Żadnego zwiedzania czy dłuższego odpoczynku! Nie miałem chwili do stracenia.

Do tej pory udawało mi się utrzymać TSJ w ryzach. Mniej więcej co dwie godziny wypijałem łyk cladoxpanu, a to wystarczało, by zachować mikroskopijnego mordercę w stanie uśpienia. Wiedziałem już, że pierwszym niepokojącym symptomem jest nadmierne pocenie. Gdy więc pojawiała się nienaturalna potliwość, natychmiast zatrzymywałem motocykl i przed ruszeniem w dalszą drogę przyjmowałem dawkę leku.

Wynalazek Ballariniego pomału przestawał być dla mnie tylko lekiem. Z zaniepokojeniem odnotowałem, iż z każdą kolejną porcją mam coraz silniejsze poczucie, że *potrzebuję* tej substancji. Nie umiałem ustalić, czy kiełkujące uzależnienie ma charakter psychiczny, czy fizyczny, ale nie mogłem negować, że istnieje i jest tak samo rzeczywiste jak ból w plecach wywołany godzinami nieprzerwanej jazdy na motocyklu.

Byłem jednak blisko celu. Bardzo blisko. To zaś sprawiało, że czułem się wesoły i rozluźniony. Chwilę później ta beztroska w połączeniu z niewyspaniem przyniosła zgubne konsekwencje.

Jechałem wijącym się odcinkiem szosy. Południe stanu obfitowało w bagna, mokradła, zatoczki i groble. Nieumarłym znacznie trudniej było się tu poruszać. Tysiące z nich ugrzęzło zapewne na wieczność w wodach rzeki lub którymś z niezliczonych trzęsawisk. Już od ponad godziny nie widziałem ani jednego zarażonego. Robiłem się senny, więc uznałem, że przyszła pora, by zatrzymać się i poszukać dobrego miejsca na nocleg.

Pokonawszy kolejny zakręt, zobaczyłem nagle rzecz dość zaskakującą. Oto na szosie stał biały furgon do sprzedaży lodów. Typowy, jak z obrazka: prostopadłościenny, śnieżnobiały dostawczak z ladą na boku i ogromną imitacją lodowego rożka przytwierdzoną do dachu. Nad szoferką umieszczono dwa spore głośniki. Były ledwie widoczne pod warstwą przyklejonych do nich martwych much, ale kiedyś na pewno dolatywała z nich charakterystyczna

melodyjka mająca zwrócić uwagę klientów. Pierwszy raz w życiu widziałem tego typu samochód na własne oczy, wcześniej furgonetki takie oglądałem wyłącznie na filmach. Ten biały furgon tak mocno przykuwał uwagę, a przy tym wydawał się tak komicznie nie na miejscu, że trudno było oderwać od niego spojrzenie. Na dwie, może trzy sekundy przestałem patrzeć na drogę.

To wystarczyło. Na środku jezdni leżały porośnięte mchem kości (resztki kierowcy furgonetki?), które zobaczyłem właśnie o te dwie lub trzy sekundy za późno. Próbowałem wyminąć je w ostatniej chwili, ale nadaremnie. Któryś z większych elementów szkieletu zahaczył o podwozie. Zacząłem tracić panowanie nad motocyklem. Próbowałem kontrować kierownicą, ale nic to nie dawało. Tylne koło wpadło w silny poślizg na mokrych liściach zaścielających asfalt i było jasne, że nie zdołam wyprowadzić maszyny z przechyłu.

Przewróciłem się wraz z motocyklem na drogę, wzbudzając kaskadę iskier. Rozległ się trzask pękającego metalu. Motor przesunął się na boku jakieś dwadzieścia metrów, a moja noga cały czas uwięziona była pod maszyną. Bogu dzięki, że daystar miał boczne okucia ochronne, bo inaczej zostałyby z niej tylko krwawa miazga. I tak poczułem silny ból w prawej kostce. W końcu motocykl zatrzymał się na drzewie, a ja potoczyłem się w gęste krzewy rosnące na poboczu.

Nim spróbowałem wygrzebać się z jeżyn, zlustrowałem całe swoje ciało. Przez kilkanaście sekund leżałem nieruchomo, nie mogąc nadziwić się, że wciąż żyję i jestem w jednym kawałku. Delikatnie sprawdziłem dłońmi korpus i kończyny. Niewiarygodne, ile miałem szczęścia. Przy prędkości, z jaką jechałem, powinienem był zginąć na miejscu.

Nad drogą panowała cisza. Dopiero po chwili, wciąż leżąc na plecach, usłyszałem śpiew ptaków. Prześwitujące przez gałęzie drzew promienie zachodzącego słońca rzucały na szosę i na mnie przedziwne cienie o fantazyjnych kształtach. Nagle przypomniałem sobie: Lukullus! Zerwałem się na równe nogi, lecz gdy tylko oparłem prawą stopę o asfalt, wrzasnąłem z bólu i musiałem na chwilę usiąść.

Wyglądało na to, że złamałem lub mocno skręciłem nogę. Obciążenie prawej stopy powodowało natychmiastowy potworny ból.

Zebrałem się w sobie i raz jeszcze spróbowałem wstać, tym razem bardzo uważając, by nie przenosić ciężaru ciała na uszkodzoną nogę. Silnie utykając, ruszyłem powoli w kierunku środka jezdni. Obawiałem się najgorszego.

Wtem tuż przede mną pojawiła się kula rudego futra goniąca jaszczurkę. Gad już po chwili czmychnął do głębokiej szczeliny w asfalcie, a niezadowolony Lukullus drapał nawierzchnię i miauczał ze złością.

– Wielkie dzięki, nieczuła kreaturo – mruknąłem rozgoryczony. – Żyję i mam się znośnie, wielkie dzięki, że pytasz. Ach, tylko jeden drobiazg: rozpieprzyłem sobie nogę.

Lukullus na moment zwrócił się w moją stronę, ale po chwili kontynuował próby wydobywania jaszczurki ze szczeliny. Dla niego cała ta sytuacja nie była niczym więcej niż kolejną z serii rozrywek.

Stękając z bólu, podszedłem do motocykla leżącego u stóp potężnego dębu. Wystarczyło jedno spojrzenie i wiedziałem już, że wpadłem w poważne tarapaty.

Do jasnej cholery, tylko nie to. Nie teraz. Nie tak blisko celu!

Obręcz przedniego koła wykrzywiła się i pękła na skutek zderzenia, a widelec wygięty był pod przedziwnym kątem. Jakby tego było mało, widać było wyciek z rozbitej chłodnicy, a pod maszyną utworzyła się spora plama oleju. Żywot motocykla dobiegł końca.

To jednak nie wszystko. Upadając na prawy bok, motor zmiażdżył swoim ciężarem umieszczoną po tamtej stronie sakwę. Z łomoczącym sercem schyliłem się i spróbowałem podnieść motocykl. Rzecz jasna, nie udało mi się. Daystar był tak ciężki, że nawet w normalnych okolicznościach stawianie go do pionu nie było łatwe. Teraz zaś, gdy nie mogłem zaprzeć się na obu nogach, rzecz stała się niewykonalna. Musiałem wziąć się na sposób. Wykorzystałem dębową gałąź jako dźwignię i zdołałem unieść motocykl na tyle, by wyciągnąć spod niego sakwę.

Ledwie ją otworzyłem, moich nozdrzy dobiegł znajomy słodkawy zapach. Butelka po whisky, w której przechowywałem połowę zapasu leku, pękła, a jej zawartość wylała się na ziemię.

Usiadłem załamany i oparłem się o pień dębu. Nie mogło mnie spotkać nic gorszego. Byłem sam pośród bagien pełnych niebezpiecznych stworzeń i nie miałem jak się stąd wydostać. Odpadał nawet szybki marsz, bo po urazie kostki każdy krok sprawiał mi ból. Jakby tego było mało, straciłem połowę leku, który pozwalał mi nie zamienić się w Nieumarłego. A wszystko to, gdy niemal dotarłem do celu. Nic, tylko strzelić sobie w łeb.

Minęła godzina, zapadła noc. Przesiedziałem przybity sporo czasu, użalając się nad sobą, jednak w końcu postanowiłem się ruszyć. Musiałem podążać naprzód niezależnie od wszystkiego. Tego, że nikt nie przyjdzie mi z pomocą, mogłem być pewien. Przy użyciu noża udało mi się zrobić z dębowej gałęzi prowizoryczną szwedkę. Przygotowanie jej kosztowało mnie sporo czasu i wysiłku. Tylko Lukullus bawił się znakomicie, starając się chwytać w locie drzazgi sypiące się z ostrugiwanego drewna. Obrzuciłem swoje dzieło krytycznym spojrzeniem. Bez wątpienia – była to najszeptniejsza kula w historii. Nic to jednak – musiała mi wystarczyć.

Z uszkodzoną nogą nie dałbym rady nieść na plecach takiego ciężaru jak wcześniej. Postanowiłem pozbyć się zapasu wody. Wszędzie wokół pełno było stawów i kanałów, więc uznałem, że dalsze dźwiganie ze sobą kilkunastu litrów jest zupełnie zbędne. Do zdjętej z motoru sakwy wrzuciłem pistolet, kompas,

resztkę prowiantu i ostatnie pół litra cladoxpanu. Ten bagaż zdecydowałem się nieść na szyi. Następnie dłuższym kawałkiem sznurka połączyłem obrózkę Lukullusa z moim paskiem. Nie zamierzałem go dłużej nosić, kot musiał odtąd iść na prowizorycznej smyczy. Ruszyłem w drogę.

Po dwóch godzinach zatrzymałem się. Byłem kompletnie wyczerpany. Kontynuowanie podróży po urazie okazało się o wiele trudniejsze, niż sądziłem. Poruszałem się bardzo wolno, pokonałem nie więcej niż półtora kilometra. Dookoła mnie rozciągały się bagna. W takim tempie nie dotrę do Gulfport nawet za miesiąc. Co za różnica zresztą, skoro mój zredukowany o połowę zapas cladoxpanu starczy mi najwyżej na dobę.

Zdeprymowany opadłem na trawę porastającą pobocze drogi. Ostrożnie rozpałem ognisko, po czym zjadłem ostatnią rację żywnościową, jaka mi pozostała. Wiedziałem, że dzikie zwierzęta będą się bały zbliżyć do ognia. Jeśli zaś płomień zwróci uwagę ludzi – trudno. Choćby nie wiem jak wrogo byli nastawieni, wołałem zobaczyć czyjeś twarze niż gnić w samotności.

Dotarło do mnie nagle, że niedługo umrę. Pozostała część nocy dłużyła mi się niemiłosiernie. Czułem gorz i smutek. Nie tak miała się skończyć ta podróż.

Sen w końcu jednak przyszedł. Byłem tak zmęczony i obolały, że padłem bez sił na ziemię przy ognisku i mimo dojmującej świadomości, że koniec jest bliski, głęboko zasnąłem.

DZIEŃ PIĄTY NA WYGNANIU,
MOKRADŁA OLD BOUIE, MISSISIPPI

Następnego ranka obudził mnie język Lukullusa ślizgający się po mojej twarzy. Przekręciłem się, nie wstając, i jęknąłem niezadowolony. Nie miałem ochoty się podnosić. Nie chciałem nawet się budzić. Jedyne, czego pragnąłem, to leżeć dalej na ziemi i w spokoju czekać na *ten moment*. Gdy zacznie się przemiana, strzelę sobie w łeb, i taki będzie koniec mojej historii. Lukullus jednak nie przestawał. Ogromny jęzor przesuwiał się po moim policzku, zahaczając też o podbródek i brwi. Całą twarz miałem obślinioną. Kolejne liźnięcie zahaczyło o dziurki nosa oraz sprawiło, że teraz także i włosy miałem posklejane zwierzęcą śliną. Widząc, że nie reaguję na kolejne ruchy języka, kot zaryczał donośnie.

Ryczący kot?! A w ogóle skąd u kota taki wielki ozór?

Otworzyłem oczy i osłupiałem. Tuż przed mną stał muł. Strzygł uszami i obserwował mnie z zaciekawieniem. Szczęśliwy, że wreszcie zareagowałem na jego delikatne zaczepki, polizał mnie po raz kolejny (nikt, kogo nie polizał muł, nie ma pojęcia, jak wstrętne tym zwierzętom śmierdzi z pyska), o co jednak w najmniejszym stopniu nie dbałem. Przetarłem oczy i uszczypnąłem się lekko, by upewnić się, że nie zwodzą mnie zmysły.

– Cześć, koleżanko – powiedziałem cicho spokojnym tonem. Ostatnie, czego chciałem, to spłoszyć zwierzę.

Miałem przed sobą zdrowo wyglądającą młodą samicę średniej wielkości. Cała była uwalana błotem i wyglądała na bardzo ucieszoną spotkaniem ze mną.

– Powiedz, skąd ty się urwałaś, co? – spytałem łagodnie, gładząc mulicę po grzbiecie. Podrapałem zwierzę za uchem i rozejrzałem się wokół. W zasięgu wzroku nie było poza mną nikogo. Zawołałem zapraszająco kilka razy, sądząc, że być może ktoś przygląda mi się z ukrycia, ale nie doczekałem się żadnej odpowiedzi. Doszedłem do wniosku, że zwierzę przyszło do mnie samo.

Wyglądało na to, że mulica mieszka na mokradłach już od dłuższego czasu. Od jej kopyt podpadały podkowsy, a ślady po gwoździach niemal całkowicie zarosły. Na nodze nadal widniało oznaczenie wskazujące ostatniego właściciela, ale i ono się w znacznej mierze zatarało. Zwierzę, choć łagodne i

posłuszne, od dawna było bezpańskie. Niewykluczone, że mulica błąkała się samotnie po okolicy od czasu, gdy rozpętała się pandemia, i widziała człowieka po raz pierwszy od prawie dwóch lat. To dlatego tak entuzjastycznie zareagowała i natychmiast się do mnie zbliżyła. Miałem wrażenie, że zwierzę ucieszyło się na mój widok tak samo jak ja na jego. Lukullus za to przyglądał się naszej nowej towarzyszce wybałuszonymi ze zdumienia oczami. Nigdy wcześniej nie widział tak ogromnego kota, który w dodatku miałby tak dziwaczne uszy.

Mulica nie była osiodłana, ale nie przejmowałem się takimi drobiazgami. Los darował mi ogromną szansę, a ja nie zamierzałem jej zaprzepaścić. Skleciłem ze skórzanych pasków i sznurka coś w rodzaju uzdy i założyłem swój wyrób mulicy. Zdjęte z motocykla sakwy przewiesiłem przez grzbiet zwierzęcia, dla bezpieczeństwa związując je jeszcze pod jego brzuchem. Mulica zachowywała się bardzo spokojnie i ani trochę nie protestowała. Widać było, że jest oswojona z ludźmi i przyzwyczajona do siodła. Umieściłem Lukullusa w jednej z sakw, a sam z pewnym trudem wdrapałem się na grzbiet zwierzęcia.

Od dawna nie jeździłem konno, a na mule siedziałem pierwszy raz w życiu, ale uznałem, że z jazdą wierzchem jest jak z jeżdżeniem na rowerze. Nie zapomina się tego do końca życia. Cmoknąłem i uderzyłem lekko piętami w boki mulicy. Ta, ani trochę nie zaskoczona, ruszyła spokojnie przed siebie i równym, żwawym rytmem szła po poboczu szosy.

Przesunąłem dłonią po twarzy, wciąż do końca nie wierząc w to, co się dzieje. Jeszcze niedawno leżałem przy drodze pogrążony w czarnych myślach, zastanawiając się, w jaki sposób ze sobą skończyć. Teraz zaś, dzięki niesłychanemu zrządzeniu losu, znów zmierzałem w stronę Gulfport. Mój Anioł Stróż bez wątplenia zasłużył na podwyżkę.

Droga była coraz mniej kręta, a roślinność dookoła stawała się rzadsza. Wiedziałem, że niedługo wydotanę się ze strefy bagnisk, a wtedy wszystko pójdzie sprawniej.

– Musisz przejść tylko pięćdziesiąt kilometrów, koleżanko – szepnąłem do ucha zwierzęcia. – Tylko pięćdziesiąt. Dasz radę?

Mulica postawiła uszy na sztorc i przyspieszyła kroku, zupełnie jakby zrozumiała moje słowa. Myślę, że po prostu bardzo cieszyło ją, że słyszy ludzki głos. Może miała nadzieję, że dzięki mnie znów zamieszka w ciepłej i wygodnej stajni?

– Nie masz imienia – powiedziałem bardziej do siebie niż do zwierzęcia. – Trzeba by jakoś cię nazwać... Co powiesz na Szczęściara?

Mulica szła przed siebie, nie zważając na moje rozmyślania i propozycje. Byłem w świetnym humorze, rozradowany, że żyję i dostałem od losu kolejną szansę. Mój radosny nastrój ulotnił się jednak natychmiast, gdy przypomniałem sobie, że w wypadku straciłem połowę cladoxpanu. To, co miałem w termosie,

starczało na jedną dobę. Szczęściara nie pokona prawie pięćdziesięciu kilometrów w tak krótkim czasie. Na dotarcie do Gulfport na jej grzbiecie potrzebowiałem co najmniej czterdziestu ośmiu godzin.

A więc nie uda mi się. Spóźnię się o jedną pieprzoną dobę.

Spokojnie, nie panikuj. Zmniejsz dawki o połowę, a będziesz mieć dwa razy więcej czasu.

Genialny pomysł. Kłopot w tym, że TSJ też ma na ten temat coś do powiedzenia. Nie przyszło ci do głowy, że mały skurwysyn nie zechce przechodzić na dietę?

A masz inne wyjście, mądralo?

Aż krzyknąłem z bezradnej wściekłości. Zaniepokojona Szczęściara nastawiła uszu. Głos w mojej głowie miał jednak rację: nie miałem innego wyjścia niż zaryzykować zmniejszenie dawek o połowę.

W tym dokładnie momencie, zupełnie jakby wirus czekał na sygnał, zacząłem pocić się intensywnie na całym ciele. Był to pierwszy nieomylny znak.

Zaczynała się przemiana.

Dwie godziny później poczułem pierwsze skurcze. Zgodnie z umową, którą zawarłem sam ze sobą, wypilem tylko pół łyka cladoxpanu. Dyskomfort w mięśniach stracił na intensywności, ale nie zniknął. Musiałem coraz częściej przystawać, żeby napić się wody. Potwornie się pocilem.

Około południa ból wywoływany przez skurcze stał się nie do zniesienia. Ręce drżały mi przy tym tak bardzo, że za każdym razem, gdy przyjmowałem dawkę leku, musiałem niesłychanie się pilnować, by niczego nie rozlać. Przy tak okrojonym zapasie nie mogłem pozwolić sobie na utratę choćby jednej kropli. Przez cały czas towarzyszyła mi pokusa, by ukrócić cierpienie i wziąć solidny, duży łyk cladoxpanu. Na razie jednak dawałem jej radę. Wiedziałem, że gdybym uległ samemu sobie raz czy drugi, lada chwila z moich zapasów nie zostałoby zupełnie nic.

Pokusa była jednak silna. Bardzo silna.

W drugiej połowie dnia zaczęło doskwierać mi pragnienie. Zatrzymałem Szczęściarę przy niewielkim strumyku. Chciałem zsiąść, żeby się napić. Zahaczyłem nogą o pasek podtrzymujący sakwę. Próbowałem odzyskać równowagę, ale nie dałem rady. Poleciałem przed siebie i upadłem, uderzając przy tym głową o asfalt. Rana na moim czole znów się otworzyła, choć nie od razu zdałem sobie z tego sprawę. Zorientowałem się dopiero, pijąc ze strumyka, gdy zobaczyłem krople krwi skapujące do wody z mojej głowy. Czerwone drobinki rozmywały się w smużki, gdy nurt porywał je w dół strumienia.

Przyglądałem się biernie i bezmyślnie, jak zabarwiona krwią woda spływa ze zbocza niewielkiego pagórka. Dopiero po chwili mój mózg się ocknął. Zadałem sobie wtedy pytanie, co by się stało, gdyby ktoś napił się wody w dole strumienia. Czy kilkanaście kropel mojej krwi starczyłoby, by ta osoba zaraziła się TSJ? Ciekawiło mnie, ile litrów wody skaziłem i na jak długo. Ten cholerny jajogłowy z Włoch na pewno by to wiedział.

Męczyłem się całe pięć minut, by ponownie dosiąść Szczęściary. Udało mi się, dopiero gdy wspiałem się na fragment zrujnowanego ogrodzenia. Mulica przyglądała mi się zdumiona, jakby nie mogła się nadziwić, że ktoś jest aż tak niezdarny. Fatalny poziom mojej sprawności ruchowej wynikał nie tylko z faktu, że miałem uszkodzoną, obolałą kostkę. Coraz większym problemem stawały się też powracające skurcze i ogólne osłabienie. Nogi zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa.

Minęło ledwie pół godziny, a ja znów miałem wrażenie, że umieram z pragnienia. Na szczęście strumyk, z którego piłem wcześniej, biegł tuż przy szosie również tam, gdzie się teraz znajdowałem. Raz jeszcze zatrzymałem mulicę i nieporadnie zsunąłem się z jej grzbietu, na czworakach dowlokłem się do strumienia i piłem łapczywie. Brałem olbrzymie łyki, omal się nie krztusząc. Na moment zanurzyłem też całą głowę. Szybko okazało się jednak, że wlewam w siebie wodę zbyt szybko. Poczułem silne skurcze żołądka i po chwili wyrzuciłem z siebie wszystko, co miałem w brzuchu. Szacowałem, że zwróciłem około pięciu litrów wody. Była to, jak na rozmiar mojego żołądka, ilość ogromna.

Raz jeszcze zanurzyłem głowę pod wodę. Znowu piłem, tym razem wolniej i mniejszymi łykami. Wiedziałem, że nie uda mi się do końca ugasić pragnienia, ponieważ nie było ono naturalne. Zależało mi przede wszystkim na tym, by nie dopuścić do odwodnienia organizmu. Pragnienia, które mnie męczyło, nie dało się ukoić. Sięgnąłem po termos z cladoxpanem i odkręciłem korek. Centymetry dzieliły mnie od tego, by wziąć potężny łyk leku. Powstrzymałem się w ostatniej chwili. Zakręcenie korka i odłożenie pojemnika do sakwy było jednym z największych zwycięstw, jakie kiedykolwiek odniosłem sam nad sobą.

Traciłem poczucie czasu. Nie umiem powiedzieć, ile trwało pokonanie kolejnego odcinka. Szczęściara szła przed siebie drogą prowadzącą do Gulfport, omijając swobodnie porzucone tu i ówdzie samochody. Na moje szczęście szliśmy przez okolicę odludną i przed apokalipsą prawie niezamieszkaną. W zasięgu wzroku nie było żadnych Nieumarłych. Nie wiem, co by się stało, gdyby choć jeden się do mnie zbliżył. Ściślej mówiąc, wiem dokładnie, co by się stało. Byłem tak słaby, że z dużym trudem utrzymywałem się na grzbiecie mulicy. O tym, bym się w jakikolwiek sposób obronił, nie było nawet mowy.

– Trzymaj się mocno – powtarzałem sam sobie co chwila. – Nie możesz spać. Nie wolno ci. Nie wolno...

– Ależ możesz spaść. Oczywiście, że ci wolno – powiedział do mnie wesołym tonem Greene, który szedł obok mnie, w najlepsze jedząc loda. – Rozluźnij się po prostu i puść uzdę. Potem już wszystko będzie łatwe.

Skonsternowany pokręciłem głową i raz jeszcze spojrzałem w bok. Wielebny szedł obok mulicy, w jednej dłoni trzymając Biblię, a w drugiej owocowego loda. Lód miał kolor ciemnoczerwony, za każdym razem, gdy Greene wkładał go do ust, na jego wargach pozostawał osad przypominający krew.

– Co ty tu robisz? – wybełkotałem splekanymi ustami.

– Pytanie brzmi, co ty tu robisz – odparł wielebny, chciwie i jakby lubieżnie pochłaniając resztkę loda. Miał przegniłe dziaśła, a w jego ustach wiły się dziesiątki białych glist. – Powinieneś już przecież nie żyć. Wiesz chyba o tym, prawda?

– Myślę, wielebny, że on chce się zemścić – odezwał się głos z mojej drugiej strony. Odwróciłem głowę i zamrugałem z wrażenia. Szedł tam sobie spokojnie Grapes. Niósł duży wojskowy plecak, z którego wyciągał kolejne bezdomne koty. Każdemu z nich nożem rozcinał brzuch, wyciągał zwierzętom wszystkie wnętrzności i łakomie wpychał je sobie do ust. – Chce dotrzeć do Gulfport, żeby nas zabić. Nie połapał się, że już nie żyje.

– Ja żyję – zaprotestowałem. Zorientowałem się przerażony, że potwornie przeciągam słowa i mówię ledwo zrozumiale. – Was tu wcaale nie maaaa. To tyyyylko haluuucynaacje.

– Skądże znowu, jesteśmy tutaj – zaoponował Greene. Gdy jednak zwróciłem się w stronę, z której dobiegał jego głos, przekonałem się, że wielebny zmienił się w Igora Uszakowa, kapitana „Zaren Kibish”. – My też jesteśmy martwi, wiesz? I to przez ciebie nie żyjemy.

– Za chwilę do nas dołączysz – dorzucił Grapes, który nie patroszył już kotów, ale tym samym nożem wypruwał własne wnętrzności. Swoje flaki również wkładał do ust i ze smakiem przeżuwał. – Chcesz kawałek?

Poczułem skurcz kiszek, a usta napęłniły mi się śliną. To ludzkie mięso, ciepłe i krwiste, wyglądało niesłychanie smakowicie... Wyciągnąłem dłoń do Grapesa, ale ten gwałtownym ruchem zabrał mi kasek sprzed nosa. Zrobił przy tym szyderczą minę i pokiwał w moją stronę palcem.

– Nie, nie, nie. Nic z tego – powiedział. – Jeśli chcesz zjeść kawałek, musisz go wyrwać z siebie samego. Wszyscy tak robimy.

– Wszyscy tak robimy! – zawtórowali Greene i Uszakov.

Tuż obok nich szedł marynarz, który na Wyspach Kanaryjskich próbował zgwałcić Lucię. Był tak porośnięty grzybem, że ledwie można było dopatrzeć się jego twarzy. Niebieskawa masa przeżarła mu już usta i język, więc nie był w stanie mówić. Wymowa gestów w zupełności jednak wystarczała: facet poruszał lubieżnie biodrami, pakując sobie do ust kolejne kawałki ludzkiego

mięsa. Przeżuwał je i gryzł z chorobliwym entuzjazmem, a spomiędzy jego warg wysuwały się kolejne zęby, które padały na zakurzoną nawierzchnię drogi jak zakrwawione perły.

– Wszyscy won do pieeeekła... – zdołałem rzucić w ich stronę. – Do pieeeekła!

– A myślisz, że gdzie niby jesteś? – wyszeptał mi Greene do ucha. Siedział teraz na grzbiecie mulicy tuż za mną i czule obejmował mnie jedną ręką w pasie, jakbyśmy byli kochankami. W drugiej dłoni trzymał Biblię, którą usilnie podtykał mi pod nos. – Patrz, co napisano w Piśmie, i żałuj za grzechy! Jesteś martwy!

– Nieeee! – z krzykiem wymierzyłem Greene’owi najsilniejszy cios łokciem, na jaki było mnie stać. Moja ręka przeszła jednak tylko powietrze. Wielebny zniknął. Wszyscy pozostali również.

Drżąc w panice i obrzydzeniu, sięgnąłem po termos z cladoxpanem. Odkręciłem nerwowo korek i zbliżyłem pojemnik do ust. Przechyliłem go niemal do pionu, ale ze środka nie wypłynęła nawet jedna kropla.

Termos był pusty.

Spojrzałem na niego, jakbym trzymał w dłoni nie metalowy pojemnik, ale rękę przybysza z kosmosu. Przechylałem termos i oglądałem tępy wzrokiem ze wszystkich stron, nie mogąc uwierzyć, że nic w nim nie ma.

Uniosłem w końcu głowę i sprawdziłem położenie słońca. Dzień miał się ku końcowi, do zmierzchu pozostało niewiele czasu. Zdziwiłem się, byłem przekonany, że jest znacznie wcześniej. Zupełnie straciłem poczucie czasu.

To koniec. Teraz to już naprawdę pieprzony koniec.

Drżącymi palcami zacząłem niezdarnie gmerać przy sakwie, by wyciągnąć pistolet. Musiałem załatwić sprawę jak najszybciej, póki jeszcze zachowałem resztki kontroli nad swoim ciałem. Z drugiej sakwy dobiegło nagle kocie prykanie. Lukullus był wyraźnie zdenerwowany i zaniepokojony.

Widać było, że kot bardzo się boi.

Boi się *mnie*.

Ściślej mówiąc, bał się tego, w co zaczynałem się przemieniać. Spojrzałem na swoją lewą rękę. Pokrywała ją pajęczyna nabrzmiałych niebieskawych żyłek. Nie popękały jeszcze, ale mogło to nastąpić lada chwila. Przypomniałem sobie po chwili, że pistoletu w sakwie nie ma. Miałem go przecież przy pasie! Nieco nieporadnie sięgnąłem do biodra i wyciągnąłem broń z kabury. Przed oczami miałem mgiełkę i nie widziałem ostro. Uniosłem broń do samych oczu, by sprawdzić, czy jest odbezpieczona.

Dwa strzały. Najpierw kot, potem ty. Raz-dwa i będzie po sprawie.

Szczęściara podskoczyła lekko, żeby nie zahaczyć nogami o leżący na jezdni rower. Pistolet wyślizgnął mi się z rąk.

– Niiieeeee! – krzyknąłem słabo i ochryple. Nie byłem jednak w stanie nic zrobić. Uzda zwisała luźno ze łba mulicy, więc nie miałem nawet jak jej zatrzymać.

Mięśnie drgały mi w skurczach, a całe moje ciało poruszało się jak w tańcu świętego Wita. Utraciłem kontrolę nad własnym organizmem. Mogłem tylko leżeć na grzbiecie zwierzęcia i czekać biernie, aż leżący na asfalcie pistolet zniknie mi z oczu.

Nie dałem rady, przegrałem. Zawiodłem wszystkich. Nie udało mi się uratować ani siebie, ani tych, którzy byli mi najbliżsi.

Nie umiałem uratować Lukullusa, który szamotał się teraz przerażony, próbując wydostać się z zaciśniętej paskiem sakwy.

Nie umiałem dopomóc Wiktorowi, który zawsze postępował wobec mnie tak lojalnie i uczciwie.

Nie dałem rady uratować Lucii.

Lucii.

Luciiii.

Luuucssciii.

Lukscssii...

Czułem, jak opada na mnie fala czerni. Unosił mnie przypływ nieświadomości, który dławił wszystkie moje zmysły.

Zapadła ciemność.

TAUBEN, 20 KM OD GULFPORT

– Matko Boska Kazańska, co za smród! – jęknął Wiktor, zatykając nos.

– To jeszcze nic – powiedział Mendoza z uśmiechem – prawdziwy smród poczujesz, kiedy dojedziemy na wysypisko. To niecałe dwa kilometry stąd, za tamtym wzgórzem. Tam cuchnie tak potwornie, że naprawdę ledwo da się wytrzymać.

Kolumna toczyła się powoli zarośniętą drogą meandrującą między opuszczonymi budynkami. W jej skład wchodziło dwanaście pojazdów: dziesięć śmieciarek oraz dwa wozy opancerzone, z których jeden otwierał, a drugi zamykał szyk. Szoferki śmieciarek wzmocniono żelaznymi prętami.

Gulfport pozbywało się swoich odpadków, każąc wywozić je helotom na oddalone o kilkanaście kilometrów wysypisko. Rzecz jasna, nie trafiały tam wszystkie produkowane przez miasto śmieci. Ogromną większość wyrzucano po prostu do morza. Za mury wywożono odpadki toksyczne, szczególnie cuchnące oraz te, które stanowiły potencjalne źródło infekcji. Do tej ostatniej grupy zaliczały się ciała zmarłych w getcie helotów oraz przeżarte grzybem resztki Nieumarłych, które znajdowały się zbyt blisko muru. Nikt nie życzył sobie, by setki gnijących trupów dały początek epidemii.

Śmieciarska kolumna wyruszyła po południu, opuszczając Gulfport systemem bram w murach miejskich. Przebiwszy się przez otaczający miasto pierścień Nieumarłych (odbyło się to jakże subtelną metodą przepychania зараżonych opancerzonym buldożerem), pojazdy oddaliły się z maksymalną prędkością. Chodziło o to, by Nieumarli nie podjęli pościgu. Rzecz nie była trudna, ponieważ trasa została przetarta podczas wcześniejszych ekspedycji i wyjazdów, a ogromna większość зараżonych ledwie była w stanie się poruszać. Nawet „najzdrowsi” i „najświeżsi” z nich nie biegali dość szybko, by dopędzić pojazdy.

Gdy heloci powiedzieli Pritczenec, że Nieumarli padają przeżarci grzybem, Ukrainiec z początku im nie wierzył. Dopiero teraz na własne oczy przekonywał się, że mówili prawdę. To, co widział, stwarzało szereg nowych możliwości. Najpierw jednak trzeba było przejąć kontrolę nad Gulfport i nad miejskimi rezerwami cladoxpanu. W przeciwnym razie wszyscy heloci będą skazani na rychłą przemianę.

– Jesteś pewien, że towar jedzie z nami? – spytał Mendozę. Pytanie to zadawał mu już po raz trzeci, odkąd opuścili bazę.

– Nie wiem, nie mam przecież jak tego sprawdzić – odpowiedział tamten nieco poirytowany. – Póki nie wywalimy z ciężarówek paru ton śmieci i stosu trupów, nie będziemy mieć pewności. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że Sprawiedliwi nigdy nas do tej pory nie zawiedli. I nie wydaje mi się, żeby akurat teraz miała im przyjść ochota nas wydymać.

Wiktor skinął głową i sprawdził bezpiecznik swojej broni. W kolumnie wyczuwalna była spora nerwowość. Wybuch powstania zaplanowano na noc za niespełna półtorej doby. W końcu miało dojść do ostatecznej rozgrywki, do rozstrzygającego starcia pomiędzy helotami a poplecznikami Greene'a. Nigdy wcześniej mieszkańcy getta nie zabrnęli w planach i przygotowaniach tak daleko. Informatorzy wielebnego tymczasem błędzili po omacku. Greene wiedział tyle, że w Bluefont trwają jakieś przygotowania, ale nie miał pojęcia, ani o co dokładnie chodzi, ani jak zaawansowane są te przygotowania. Nie mógł więc wiedzieć, że ostatnim brakującym elementem układanki jest zapas cladoxpanu ukryty w śmieciach wiezionych przez kolumnę ciężarówek.

Gdy tylko heloci zapewnią sobie dostęp do leku, będą gotowi, by wystąpić przeciw swoim ciemiezcom z miasta białych.

Sznur pojazdów mozolnie piął się po zboczu wzgórza. Dotarłszy na szczyt, kolumna zatrzymała się. Nieco dalej, w zagłębieniu pomiędzy kilkoma pagórkami płonęły niegaszone od miesiący płomienie trawiące tony odpadów i zwłok. Pośród gór śmieci, tam gdzie nie było ognia, błąkało się kilkunastu Nieumarłych. Pejzaż wyglądał jak nie z tego świata. Znajdujący się na czele kolumny pojazd opancerzony ruszył ostro i przebił się pomiędzy płonącymi stosami odpadków, po drodze tratując bezlitośnie kilku zarażonych. Ci, którzy nie zostali rozjechani, padli pod gradem kul wystrzelonych przez załogę. Nim Wiktor zdążył się zorientować, teren został oczyszczony.

– Teraz to trwa moment, przyłazi ich tu bardzo mało – wyjaśnił kierowca, starszy, korpulentny Hindus. – Kiedyś męczyliśmy się po parę godzin, żeby się ich stąd pozbyć. A ile przy tym schodziło amunicji!

– Słuchaj, Apu, bo warto. To jeden z tych, którzy mieszkają w getcie najdłużej. Jest tu od prawie dwóch lat i wie, o czym mówi – wtrącił Mendoza.

Hindus skłonił się skromnie i uniósł dłoń w przyjaznym geście, uśmiechając się do Wiktora. Na jego przedramieniu widniała blizna po rozległej ranie.

– Pamiątka sprzed półtora roku – wyjaśnił. – Wtedy było tu ze dwieście tych potworów. Jednemu udało się jakoś dostać do kabiny. Ale i tak daliśmy im popalić. Jak zawsze.

Wiktor w zamyśleniu przyglądał się mówiącemu. Ludzie z getta nie przestawali go zaskakiwać. Zrobiono z nich niewolników, zmuszono do życia w

podłych warunkach i wykonywania najniebezpieczniejszych zadań. Oni tymczasem nadal mieli w sobie ogromną radość życia. Pritchence bardzo to imponowało.

– Naprawdę masz na imię Apu? – zahaczył Wiktor.

– To ksywka. Dłuższa historia. – Hindus machnął ręką. – Nie używam swojego pełnego imienia, bo i tak nie bylibyście w stanie go wymówić. Zbyt wiele w nim spółgłosek.

– Rozumiem. – Wiktor zwrócił się teraz do Mendozy: – Co będziemy robić?

– Bierzemy się do roboty. Teraz jesteśmy śmieciarzami, brachu – odparł Meksykanin. – Trzeba będzie pobrudzić sobie ręce – rzucił, wysiadając z ciężarówki.

Wszystkie dziesięć śmieciarek ustawiło się tyłem do zagłębienia w ziemi, by zrzucić do niego swój cuchnący ładunek. Śmieci wysypywały się z kontenerów umieszczonych na ciężarówkach. Wiktor zauważył pośród różnokolorowych odpadków ludzkie głowy, nogi i ręce. Ciała zmarłych bez odrobiny szacunku zwalono na miejskim wysypisku. Teraz zaś miały trafić do ognia razem z najbardziej toksycznymi i śmierdzącymi odpadami, jakie wytwarzało miasto. Po chwili w powietrzu zaczął unosić się swąd palącego się ciała i włosów.

– Dobra, teraz ostrożnie! Skupcie się wszyscy! – zawołał Mendoza, dając jednocześnie znak ręką.

Nie bacząc na potworny smród, kilku helotów wdrapało się do jednej ze śmieciarek. Wyciągnęli latarki i ruszyli w głąb kontenera. Po paru minutach poszukiwań ze środka dobiegło wołanie.

– Są beczki! Związali je stalową linką! Sporo tego. Będzie ze dwanaście beczek na śmieciarkę – zakomunikował rozentuzjasmowany głos, przekrzykując silniki. Mężczyźni wyciągnęli z kontenera pierwszą beczkę.

– Świetnie – ucieszył się Mendoza, podważając nożem pokrywę. – Zobaczmy, co jest w środku.

Gdy tylko wieko ustąpiło, wokół rozszedł się charakterystyczny słodki zapach. Uśmiechnięci heloci obstąpili beczkę. Na ich twarzach malowało się podniecenie. Kilku miało szkliste oczy i nie odrywało wzroku od mlecznej cieczy.

– „Kocie”... – Apu przełknął ślinę łakomie, dłonie drżały mu jak alkoholikowi. – Napijemy się po łyku, dobra? W końcu zasłużyliśmy.

Meksykanin zmarszczył gniewnie brwi, ale po chwili skinął głową.

– W porządku, jeden kubek na głowę. I ani kropli więcej!

Dały się słyszeć okrzyki radości, po czym zgromadzeni stłoczyli się przy beczce. Wiktor odsunął się, by nie przeszkadzać pijącym. Zauważył, że mężczyźni wypijali swoje porcje bardzo szybko i łapczywie. Kilka dużych łyków

i z zawartości kubka nie zostawało nic. Kobiety tymczasem piły pomarańczę. Niektóre nawet zostawiały sobie część leku na później.

Ukrainiec uśmiechnął się pod nosem. Jego przyjacielowi adwokatowi na pewno przyszedłby teraz do głowy jakiś celny komentarz. Staliby tu razem i razem z trudem opanowywaliby chichot. Obserwowaliby nerwową bieganinę wokół beczki, dławiąc w gardłach salwy śmiechu.

Na myśl o przyjacielu Pritczenko poczuł w sercu bolesne ukłucie. Wciąż nie umiał pogodzić się ze stratą i wiedział, że zajmie mu to jeszcze dużo czasu. Ukrainiec był twardzielem. Na wojnie w Czeczenii stracił wielu bliskich kolegów, a pandemia odcięła go od żony i syna. Po doświadczeniu tyłu tragedii Pritczenko ukrywał swoje uczucia pod grubą jak słoniowa skóra powłoką zewnętrznego spokoju.

Uczucia te jednak, choć niewidoczne, cały czas były żywe. Prędzej czy później musiały dać o sobie znać. Wiktor wiedział, że gdy to nastąpi, przyjdzie mu zmierzyć się z potężnym, niesłychanie trudnym do pokonania bólem.

Na razie musiał trzymać się mocno. Przede wszystkim dla Lucii, która w ciągu paru dni stała się strzępem człowieka.

Przez pierwsze trzy doby oboje mieli w sobie mnóstwo nadziei. Wiedzieli, że ich towarzysz był zaradny i zdolny – znacznie bardziej, niż sam gotów był przyznać. Liczyli także na to, że jego wagon zostanie odczepiony już na początku, a potem prawnik szybko zdobędzie jakiś środek transportu. Choć dotąd żadnemu z deportowanych nie udało się wrócić do miasta, wierzyli, że on będzie pierwszym, który tego dokona.

Minęło jednak siedem dni, a on się nie pojawiał. Było jasne, że nawet jeśli wciąż żyje, to lada chwila skończy mu się cladoxpan. Wiadomość o tym, że został przez Greene'a zarażony, przeraziła Lucię i Wiktora. Lokalna gazeta głosiła, że wstrzyknięcie wirusa hiszpańskiemu prawnikowi stanowiło część wyroku. Strangård przekazał im wersję bliższą prawdy.

Nie było już żadnej nadziei. Nie było co mydlić sobie oczu.

– Dobra, wszyscy się napili, więc teraz się stąd zabierajmy! – zawołał Mendoza.

Heloci, wyraźnie rozluźnieni po przyjęciu solidnej dawki leku, starannie umocowali beczki wewnątrz śmieciarek. Nie było tu miejsca na fuszerkę – towar, który wieźli, był bezcenny. Zajęli swoje miejsca, Meksykanin dał sygnał do odjazdu.

Kolumna ruszyła drogą przez pagórki, zostawiając za sobą płonące stosy cuchnących śmieci i zwłok. Wtem jeden z helotów stłoczonych obok Mendozy i Pritczenki wskazał ze zdumieniem na drogę.

– Co to jest? – spytał, wytrzeszczając oczy.

Widok był zaiste niezwykły. Wiktor posłał przed siebie wiązanek rosyjskich

przekleństw, a Meksykanin przeżegnał się dwukrotnie. Przestraszony hinduski kierowca wcisnął gwałtownie pedał hamulca. Sznur pojazdów zatrzymał się.

Na drodze, pod szczytem kolejnego wzgórza, ujrzeli muła. Niosące na grzbiecie półżywego człowieka zwierzę wesoło truchtało w stronę kolumny śmieciarek.

Wiktor w biegu zeskoczył z ciężarówki i pędem ruszył w stronę muła. Wiedział, że człowiek na grzbiecie zwierzęcia to na pewno on. Po prostu to wiedział.

Dobiegł do celu i zatrzymał się, dysząc ciężko. Jeździec leżał bezwładnie na grzbiecie muła oparty o jego szyję. Jego nogi oplatał sznurek łączący je z dwiema przerzuconymi przez grzbiet zwierzęcia sfatygowanymi skórzanymi sakwami. Gdyby nie to dość dziwaczne mocowanie, zapewne dawno zleciałby z muła na drogę.

Z jednej z sakw dobiegł cichy dźwięk, coś pomiędzy piskiem a miauknięciem. Pritczenko dźwięk wydał się znajomy. Ukrainiec uśmiechnął się i sięgnął do sprzączki, by otworzyć sakwę.

Nagle leżący na grzbiecie muła człowiek dobył z siebie przerażające, nieludzkie warknięcie.

Wiktor stanął jak wryty. Sądził, że jego przyjaciel jest po prostu nieprzytomny. Ten tymczasem uniósł głowę i spojrzał tępo na Ukraińca zagubionym, martwym wzrokiem. Pritczenko był przerażony – doskonale znał to spojrzenie. Wiktor dostrzegł teraz nabrzmiałe żyły pokrywające chorobliwie bladą skórę jego towarzysza. Lada chwila popękają.

Ja pierdołę, tylko nie to. To się nie może stać!

– Odsuń się od niego! – krzyknął Mendoza. Stał teraz za plecami Ukraińca, sapiąc po szybkim biegu. Zorientował się, w jakim stanie jest jeździec, wyciągnął pistolet i odbezpieczył go.

– Trzeba załatwić sprawę od ręki – mruknął, unosząc broń i celując.

– Nie! – zawołał Wiktor. – Nie rób tego! Spójrz na jego żyły.

– Są nabrzmiałe jak u wszystkich tych potworów. – Mendoza nie rozumiał, dlaczego Ukrainiec próbuje go powstrzymać.

– Tak, ale jeszcze nie pękają! – Pritczenko chwycił Meksykanina za rękaw. Mówił szybko, ponaglająco. – Przemiana jeszcze się nie zakończyła! Możemy go uratować!

– Nawet jeśli jeszcze nie przemienił się do końca, to bardzo niewiele mu brakuje – odparł ostro Mendoza. – Poza tym, jak niby chcesz go ratować?

– Cladoxpanem. Trzeba dać mu bardzo dużą dawkę. To go może ocalić.

– Musimy oszczędzać zapasy – z wahaniem odpowiedział Mendoza. – Za parę

godzin ma się zacząć powstanie. Będziemy potrzebować każdej kropli.

– Nie leć w chuja, Mendoza – rzucił Wiktor tonem, w którym pobrzmiwała groźba. – Masz tu kilka tysięcy litrów. Mnie będą potrzebne trzy albo cztery. Dasz mi je po dobroci czy będziesz mi łamać kolejne żebra, zanim zmienisz zdanie?

– No dobrze już, spokojnie. – Meksykanin uniósł dłoń w pojednawczym geście. – Weź, ile musisz. Ale to ty go będziesz poił! Ja nie zamierzam się nawet zbliżyć do jego głowy.

Jak gdyby w odpowiedzi na słowa Mendozy istota na grzbiecie muła wydała z siebie groźnie brzmiący, chrypliwy jęk i wyciągnęła rękę w kierunku Meksykanina. Wiktor ruszył pospiesznie w stronę jednej ze śmieciarek. Nie patyczkując się, kazał dwóm helotom wyciągnąć beczkę z kontenera. Następnie, poganiając ostro dwóch zaleźnionych mężczyzn, razem z nimi wtoczył ją pod szczyt pagórka.

– Jak właściwie chcesz mu podać lek? – spytał Mendoza. – Nie zrozum mnie źle, ale jakoś nie widzę, żeby miał korzystać z kubka.

– Zastosujemy starą, dobrą metodę, którą zna każdy, kto służył w radzieckim wojsku. – Pritczenko ustawił beczkę do pionu i podważył wieko czubkiem noża. – Jeśli czegoś nie da się zrobić po dobroci, trzeba na siłę.

Ukrainiec zaszedł półprzytomnego przyjaciela od tyłu i nim ten zdążył zareagować, obezwładnił go chwytem dzudo. Jednocześnie dwóch pomagających mu helotów przecięło sznurki łączące nogi jeźdźca z podbrzuszem zwierzęcia. Wiktor wykorzystał bezwład opadającego ciała i wprawnym ruchem ulokował głowę przyjaciela wprost w beczce pełnej cladoxpanu.

Chory z początku szamotał się z całych sił, ale Ukrainiec żelaznym chwytem utrzymywał jego głowę w zanurzeniu, drugą ręką uniemożliwiając mu wyprostowanie pleców. Udało się! Mężczyzna zaczął pić. Ukrainiec szarpnął go za włosy i uniósł mu głowę, by złapał oddech, po czym ponownie zanurzył mu twarz w beczce.

Pritczenko z zapalem sadystycznego oficera śledczego powtórzył ten mało subtelny cykl dwunastokrotnie. Za każdym razem jego przyjaciel połykał sporą ilość leku. Minęło kilka minut i wreszcie pojawił się upragniony efekt. Drgawki i skurcze ustąpiły. Wiktor czuł, jak ciało prawnika z każdą sekundą się rozluźnia. Zadowolony odciągnął go od beczki i delikatnie ułożył na ziemi obok muła, który przyglądał się całej sytuacji zaskoczony i zaniepokojony.

– I co teraz? – spytał Mendoza.

– Musimy poczekać. – Wiktor starał się wyglądać na spokojniejszego, niż był w istocie. – Jedyne, co teraz możemy zrobić, to trzymać za niego kciuki.

Ocknąłem się i rozchyliłem oczy, i niemal natychmiast poczułem potworne nudności. W powietrzu unosił się koszmarny swąd. Do tego czułem się tak, jakbym przed chwilą o mało nie utonął. Miałem wrażenie, że coś chlupocze mi w płucach. Leżałem na plecach przykryty kocem. Było już po zmroku, na niebie lśniły blade światła gwiazd. Wokół mnie płonęło kilka dużych ognisk, przy których rysowały się postaci kilkudziesięciu ludzi.

Przewróciłem się na bok i zacząłem wymiotować. Torsje trzęsły mną całą wieczność. Potwornie bolała mnie głowa. Pulsowało mi w skroniach, było mi niedobrze i ogólnie czułem się tak, jakbym przeżywał najgorszego w życiu kaca.

Ale żyłem.

Żyłem.

Doniosłość tego prostego faktu była porażająca. Nie wiedziałem jak, ale jakimś cudem wymknąłem się śmierci. Jakimś zrzędzeniem losu udało mi się nie umrzeć. Czy może raczej nie „nie-umrzeć”. Czułem się bardzo osłabiony i wycieńczony jak nigdy, ale nie uległem przemianie w Nieumarłego.

– No proszę, patrzcie, kto się obudził! – zza moich pleców dobiegł znajomy głos.

– Pospałbym dłużej, ale strasznie tu śmierdzi. Jestem pewien, że to ty wybierałeś miejsce na postój – odpowiedziałem, z wysiłkiem unosząc się na łokciach.

Wiktor i ja serdecznie się uścisnęliśmy. Ukraińiec oddychał głęboko z ogromną ulgą, a ja trząsałem się cały i nie umiałem nad tym zapanować. Wciąż nie miałem pełnej władzy nad swoim ciałem, które pomału wracało do życia.

– A tyle razy ci powtarzałem, żebyś nie ruszał się nigdzie beze mnie – zagadnął żartobliwie Wiktor. – Widzisz, co narobiłeś? Mało brakowało, a byłoby po tobie.

– Wyskoczyłem za miasto – odparłem ze słabym uśmiechem – ale nie spodobałoby ci się tam, gdzie byłem. Wszystkie bary pozamykali.

Zbliżyło się do nas kilku helotów. Szeptali między sobą i wskazywali mnie palcami. Po chwili przyglądał mi się już dwudziestoosobowy tłumek. Niektórzy zegnali się po kilka razy, inni patrzyli na mnie ze zdziwieniem graniczącym z nabożnym podziwem.

– Co oni gadają? – zapytał mnie Wiktor. Portorykański akcent był dla niego kompletnie niezrozumiały.

– Mówią, że stało się jak w modlitwie: „Zstąpił do piekieł i zmartwychwstał”. – Opadłem z powrotem na ziemię. Byłem tak osłabiony, że nie dałem rady nawet siedzieć. – Uważają, że zobaczyli znak, że z tym mułem to jak w Biblii i w ogóle...

– Uważają, że jesteś ich mesjaszem? – spytał Wiktor z niedowierzaniem.

– Nie bądź głupi – wymamrotałem słabo – żaden ze mnie mesjasz. Ale jeśli im z jakiegoś powodu będzie się lepiej walczyło, jeśli w to uwierzą, to proszę bardzo. Mogę nawet wystroić się w białą szatę i jechać na osiołku, jeśli to pomoże skończyć z niby-mesjaszem, który rządzi w Gulfport.

– Nie będzie takiej potrzeby. – Wiktor pomógł mi się podnieść. – Za niecałe dwadzieścia cztery godziny w getcie zacznie się zbrojne powstanie. Raz na zawsze skończymy z Greene'em i całą tą bandą jego sługusów.

– Że jak? O czym ty, do cholery, mówisz? – spytałem zdumiony. Teraz to ja nie mogłem otrząsnąć się ze zdziwienia.

– Opowiem ci wszystko po drodze – uciął Ukrainiec. – Teraz musimy się stąd zabierać.

Wiktor i jeden z helotów pomogli mi wsiąść do szoferki. Kolumna odpalała silniki i szykowała się do odjazdu. Zapadła już noc i niektórzy byli dość wystraszeni. Według nich ciemność sprzyjała atakom Nieumarłych. Wiktor wślizgnął się na miejsce obok mnie. Karawana pojazdów ruszyła.

– Poznaj Carlosa Mendozę – Ukrainiec przedstawił mi rośłego Meksykanina o ciemnej karnacji, który przyglądał mi się bez entuzjazmu. – Nie przejmuj się za bardzo tym, co będzie gadał. To zrzęda i złamali mi przez niego nos, ale w głębi duszy porządny z niego facet. To on jest tu dowódcą.

– Już się poznaliśmy. Prawnik na moście w Gulfport, pamiętasz? – Wyciągnąłem do niego dłoń.

– Ach, więc to ty jesteś facetem tej Hiszpaneczki – rzucił, nie odpowiadając na mój gest. – Trzeba ci oddać, że jest z ciebie kawał twardziela. Nikomu przed tobą nie udało się wrócić z wygnania. Ty dałeś radę, chociaż ledwo.

– Miałem szczęście – powiedziałem, cofając dłoń. – Gdybym nie spotkał was, nie przeżyłbym trzydziestu minut.

Odwróciłem się w stronę Wiktora. Ten przyglądał mi się spojrzeniem pełnym dumy. Wyglądał jak ojciec obserwujący syna, który właśnie nauczył się jeździć na rowerze.

– Powiedz mi, co wy tam właściwie robiliście? Po co ta wyprawa na śmietnisko?

Ukrainiec objaśnił mi całą sytuację. Opowiedział też ze szczegółami, co wydarzyło się pod moją nieobecność. Mendoza z początku uczestniczył w rozmowie z ponurym wyrazem twarzy i jak gdyby od niechcienia, ale z każdą minutą się rozkręcał. Gdy tylko pojawił się temat powstania, udzielił mu się bojowy duch, a jego twarz nabrała blasku. Było wyraźnie widać, że zryw przeciwko Greene'owi to jego obsesja i życiowy cel. Już za kilkanaście godzin Meksykanin miał urzeczywistnić swój plan i największe marzenie.

Znajdowaliśmy się już niecałe pięć kilometrów od Gulfport, gdy kierowca nagle gwałtownie zahamował. Otwierający kolumnę pojazd opancerzony stał w miejscu, a jego załoga wyglądała zaniepokojona przez klapy. W oddali, wysoko na niebie, szybowała czerwona flara. Po chwili pojawiła się obok niej druga, a za moment dwie kolejne.

– Co się dzieje? – spytałem. – Co znaczy taki sygnał?

Meksykanin spojrzał na nas mocno zatroskany. Jego zazwyczaj spokojna twarz była blada i napięta.

– To znak z getta – odpowiedział głosem drżącym od gniewu – ostrzeżenie, że zaczyna się łapanka. Zieloni znów weszli do Bluefont.

– Jak poważny mamy problem? – spokojnie zapytał Wiktor.

– Bardzo poważny – odparł Mendoza ponuro. – Musieli jakimś sposobem dowiedzieć się o naszych planach i postanowili uprzędzić nasz atak.

Mendoza przez krótkofalówkę wydał rozkaz, by kolumna z maksymalną prędkością jechała do miasta. Następnie zwrócił się w naszą stronę.

– Szykujcie się, bo może być gorąco. Jeśli dotrzemy na czas, czeka nas wielka bitwa.

Zieloni zaczęli likwidację getta.

– Ale potrzeba nam więcej szmat – zawołała Lucía. – I przynieś też więcej pustych butelek. Zaraz nam się skończą.

Meksykanka podniosła się i podeszła do szafy stojącej w kącie pomieszczenia, w którym uwijało się ze dwanaście osób. Wszyscy przygotowywali koktajle Mołotowa. Alejandra wyciągnęła ze środka sporą stertę bawełnianych szmat i skrzynkę pełną pustych szklanych butelek. Następnie wróciła z całym tym naręczem do stanowiska, przy którym pracowała Lucía.

Bluefont pełne było takich jak ten niewielkich zaimprovizowanych warsztatów. Wszystkie pracowały pełną parą, by uzbroić getto na czas zrywu. W części z nich szykowano koktajle Mołotowa, w pozostałych produkowano chałupniczymi metodami amunicję. Helotom udało się wytworzyć tysiące sztuk „domowej” amunicji, ale o jej faktycznej przydatności do użycia mieli przekonać się dopiero w boju.

Wiktor miał rację, myślała Lucía. Prawie nie mamy broni. Jeśli pierwsze uderzenie się nie uda, rozgniotą nas jak robactwo.

Pogoda ducha i dobry humor całkowicie opuściły dziewczynę. Ich miejsce zajęły gorycz i czarna rozpacz, od których nie była w stanie ani na chwilę się uwolnić. Dwa pierwsze dni w getcie minęły jej pod znakiem nadziei i ekscytacji. Godzinami przesiadywała na zewnętrznym murze miasta i wpatrywała się w horyzont. Wierzyła, że zaraz zobaczy jego w oddali. Spędzała na tych obserwacjach długie godziny, nie bacząc na deszcz, skwar, wiatr ani na Nieumarłych skowyczących kilka metrów od niej. Wiktor i Alejandra zaczęli już się obawiać, że Lucía od tego wszystkiego zwariuje. Dziewczyna zeszła z muru dopiero na ostro sformułowany rozkaz Mendozy. Meksykanin uznał, że swoją tam obecnością może wzbudzić podejrzenia patroli milicji lub Zielonej Gwardii. W getcie zaś najmniej życzono sobie teraz ingerencji mundurowych i niewygodnych pytań. Na kilka dni przed planowanym zrywem byłoby to źródłem wielkich kłopotów.

Ogromne z początku pokłady nadziei bledły z upływem dni. Choć Lucía nie chciała tego otwarcie przyznać, miała bolesną świadomość, że z każdą godziną szanse na to, że jej mężczyzna wróci, malały. I nie chodziło wyłącznie o niebezpieczeństwo ze strony Nieumarłych i dzikich zwierząt. Nie chodziło nawet o wirusa TSJ, którym go zarażono. Najbardziej przerażała Lucię myśl, że

jej ukochany w ogóle nie dostał szansy, by spróbować wrócić. Mogli przecież zastrzelić go gdzieś na pustkowiu tuż po tym, jak pociąg dotarł do celu. Lucía co noc budziła się z krzykiem. Potem nie była już w stanie zasnąć. Jedyne, co jej pozostawało, to czekać zwinięta w kłębek na nadejście świtu, na kolejny dzień. Kolejny dzień bez wieści o n i m.

Twarz dziewczyny zdradzała, przez jakie piekło przechodzi. Jej cera stała się ziemista, a wory pod oczami były nieomylną oznaką niewyspania i wielu przepłakanych godzin. Lucía zupełnie nie mogła jeść i wyglądała już jak żywy trup, który traci kontakt z rzeczywistością. Alejandra uznała w końcu, że trzeba działać. Zaciągnęła Lucię do warsztatu, w którym pracowała, i posadziła ją przy jednym ze stanowisk.

– Musisz coś robić, zająć czymś myśli – powiedziała jej. – W przeciwnym razie niedługo zwariujesz z bólu. Nie jesteś pierwszą, która przez to przechodzi, i nie będziesz ostatnia. W takiej sytuacji są tylko dwa wyjścia: albo postarasz się przetrwać ten ból i zapędzisz go do narożnika, albo pozwolisz, żeby rósł i cię pożerał. Na razie robisz wszystko, by stało się to drugie. Wierz mi, jeśli nie porzucisz szybko tej drogi, to czeka cię w życiu tylko smutek, szarość i zgorzknienie. Otrząśnij się! Musisz wyjść jakoś na prostą.

– Bez niego nie chcę – brzmiała krótka odpowiedź Lucii. – Po prostu nie chcę.

– Zechciej. Uda ci się, zobaczysz. – Alejandra przytuliła czule zrozpaczoną dziewczynę, a potem uniosła dłoń podbródek Lucii, by móc spojrzeć jej w oczy. – Musisz zrobić to nie tylko dla siebie, ale też dla niego i tego wszystkiego, czego chcieliście i o co walczyliście. Zrób to ze względu na pamięć o nim. Poza tym, po prostu nie możesz się poddać. Nie *teraz*, kiedy waży się nasza przyszłość. Ten koszmar się kiedyś skończy, a wtedy cały ogromny świat będzie należeć do garstki ludzi! Nie gadajmy o tym więcej, po prostu weź się w garść i rób te cholerne koktajle Mołotowa. Zasuвай, jakby od tego zależało twoje życie. Nie myśl o niczym, a jeśli o czymś już musisz, to myśl o walce i o życiu. Inaczej wszystko, co przeszłaś do tej pory, okaże się stratą czasu. Twojego czasu i jego.

I tak Lucía pochyliła się nad stołem, by oddać się pracy. Przełknęła łyżę, a ból zamknęła w głębokiej szufladzie gdzieś na dnie serca. Szybko zauważyła, że monotonna, automatyczna niemal praca przy prowizorycznej linii produkcyjnej faktycznie pomaga. Przeżycie dnia stało się teraz znacznie mniej bolesne. Nie zapomniała oczywiście o tragedii, ale przynajmniej miała absorbujące zajęcie. Tego właśnie było jej trzeba.

– W jaki sposób Mendoza chce przebić mur? – spytała, ostrożnie napełniając butelkę benzyną i wiórami z mydła potasowego.

– Nie mam pojęcia – odparła Alejandra. – To tajemnica, którą zna bardzo niewielu. Ludzie plotkują, że w jednej z piwnic jest masa nawozu i jakichś

innych rzeczy. Mieliby niby zrobić z tego potężną bombę. Ale nie wiem, czy te pogłoski mają coś wspólnego z prawdą. – Rozejrzała się bacznie dookoła. – Zresztą, lepiej o tym nie rozmawiać. Ściany mają uszy.

– Mam nadzieję, że ich pomysł się sprawdzi, bo inaczej... – Dziewczyna urwała nagle. Z ulicy dobiegły odgłosy wystrzałów. Wszyscy w warsztacie przerwali pracę i zaniepokojeni unieśli głowy. Po chwili z zewnątrz dała się słyszeć seria karabinowa i kilka kolejnych pojedynczych wystrzałów.

– Co tam się, do diabła, dzieje?

– Nie wiem, ale to nie brzmi dobrze. – Alejandra odeszła od stanowiska pracy, by uchylić okno wychodzące na ulicę.

Wszystkie okna starannie pozamykano i pozasłaniano, więc nim udało jej się wyrzeć na zewnątrz, mocowała się chwilę z zamkiem. Wysunęła głowę i natychmiast pospiesznie schowała się do środka.

– Na ulicy jest pełno Zielonych i milicji! – krzyknęła przestraszona. – I mają kilkadziesiąt ciężarówek!

– Ilu ich tam jest? – Zadając to pytanie, wysoki, chudy mężczyzna z łysiną na czubku głowy wsuwał sobie za pasek koktajle Mołotowa.

– Więcej niż kiedykolwiek. Jest ich cała masa, musieli zwerbować dodatkowych milicjantów. Wszędzie ich pełno.

– Co robimy? – spytała jedna z kobiet wyraźnie zalekniona. – „Kot” i prawie całe dowództwo są za miastem. Nie ma kto pokierować oddziałami.

– Będziemy musieli bronić się sami. – Lucía zdziwiła się, słysząc własny głos wypowiadający te słowa. Poczła nagle ogromny spokój, którego nie doświadczyła od wielu dni. Chciała działać i wymierzyć sprawiedliwość. Chciała porządnie dopieprzyć tym, którzy zniszczyli jej życie. Niech i oni swoje wycierpią. – Nie da się wysłać tamtym jakiegoś sygnału? – spytała.

– Mamy umówiony sygnał: czerwone flary – odpowiedziała Ale. – Ja nie wiem, gdzie są, ale ktoś na pewno niedługo je wystrzeli.

– Dobrze, my w takim razie zajmijmy się dostarczaniem tego. – Lucía przesunęła po stole skrzynkę pełną koktajli Mołotowa. – Pierwszy milicjant, który się do nas zbliży, niech się modli o życie.

Pracownicy warsztatu wyładowali kilka plecaków koktajlami i wyszli na ulicę. Ze wszystkich stron słychać było strzały i brzęk wybijanych szyb. Zieloni z zapalem wzięli się do „czyszczenia” najbardziej opornych punktów getta. Tym razem nie zamierzali niczego udawać, byli tu, żeby zrobić „ostateczny porządek”. Ci, którzy będą stawiać jakikolwiek opór, mieli zostać wyeliminowani. Żadnego współczucia i żadnych gier. Przyszła pora, by wyłożyć karty na stół.

Ulicą wstrząsnął huk kilku eksplozji. Gdy tu, przed warsztatem, wystrzały

zlewały się w kakofoniczny łośkot, na przeciwległym krańcu getta pojawiła się nagle potężna kula ognia. Dobiegały również stamtąd odgłosy zacieklej strzelaniny.

– Nasi walczą z Zielonymi! – krzyknął entuzjastycznie wysoki, chudy mężczyzna, unosząc w górę pięść. – To nie jest dźwięk m-cztery, które mają Zieloni. To są kałasznikowy naszych!

– Musimy się pospieszyć – zawołała do pozostałych Alejandra. – Tamci nie mają dosyć amunicji, żeby długo walczyć z Zielonymi. Będzie im potrzebne każde wsparcie, trzeba im szybko pomóc. Rozdzielmy się i niech każda grupa weźmie trochę mołotowów.

Pracownicy warsztatu rozbiegli się w czterech kierunkach. Lucía i Alejandra ruszyły za wysokim mężczyzną z łysinką, który – jak się zdawało – doskonale wiedział, dokąd powinni iść. Cała dzielnica rozbrzmiewała karabinowym klekotem, na niebie pojawiła się czerwona łuna bijąca od kilkunastu płonących domów. Wszędzie wokół biegali ludzie. Krzyczeli przerażeni i starali się ukryć, ale nie brakowało też uzbrojonych (w przeróżne, zaskakujące nieraz przedmioty) podążających z determinacją w oczach w stronę miejsc, gdzie toczyła się walka.

– Mysz zapędzona w zaułek bez wyjścia rzuci się nawet na lwa – odezwała się Lucía pod nosem.

– Co mówisz? – Alejandra nie zrozumiała.

– Nic takiego. – Lucía poczuła, że wzbiera w niej furia. – Powtarzam stare powiedzenie... Jego stare powiedzenie.

– Dobra, potem mi opowiesz. – Meksykanka pociągnęła ją za rękę. – Teraz musimy się bardzo pospieszyć. Biegiem!

Zza rogu dobiegł pisk opon, a po chwili na ulicy pojawiła się potężna ciężarówka. Na otwartej pacy siedziało kilkadziesiąt milicjantów. Białą gwiazdę armii Stanów Zjednoczonych przemalowano na masce pojazdu na zielony krzyż, symbol Greene'a. Ciężarówka pędziła ulicą, rozjeżdżając na swej drodze wszystkich, którzy nie zdążyli w porę uskoczyć. Kierowca uśmiechał się szeroko – widać było, że traktowanie helotów sprawia mu sadystyczną przyjemność. Raz po raz kręcił kierownicą i zmieniał lekko kierunek jazdy. Celowo prowadził ciężarówkę wężykiem, by jej wykonane z pancernej stali osłony trafiły jak najwięcej uciekających.

– Odsuńcie się, dziewczyny! – krzyknął wysoki Meksykanin, który im towarzyszył, sięgając po jeden z koktajli Mołotowa. Mężczyzna ustawił się na samym środku jezdni, butelkę z benzyną ukrywając za plecami.

Pilnując, by kierowca ciężarówki nie zobaczył jego broni, Meksykanin podpalił zapalniczką wystającą ze szklanej szyjki szmatę. Stał niewzruszony na środku jezdni, jakby tylko czekał, aż pędząca ciężarówka zmiążdży jego ciało.

Kierowca, widząc Meksykanina, nie tylko nie zahamował, ale jeszcze dodał gazu. Mężczyzna stojący mu na drodze ani drgnął. Stał nieruchomo z zaciśniętymi ustami, czujnie obserwując nadciągający z potężną prędkością pojazd. Zaczekał, aż ciężarówka znalazła się dokładnie trzy metry od niego. Wtedy raptownie rzucił się w bok, jednocześnie wrzucając koktajl Mołotowa przez otwarte okno szoferki.

Butelka roztrzaskała się wewnątrz kabiny i wybuchła potężną kulą ognia. Kierowca i siedzący obok niego gwardzista stanęli w płomieniach. Ciężarówka zygzakiem zjechała na chodnik. Siedzący na pace milicjanci trzymali się z całych sił, by nie wypaść z pojazdu. Wreszcie maszyna wbiła się w ganek jednego z domów, wyrzucając w powietrze chmurę drzazg i odłamków powyginanej stali. Siła uderzenia wystrzeliła jadących ciężarówką milicjantów w różne strony. Większość z nich powpadała na ściany domu, niektórzy dostali się pod rozbity ganek i zniknęli w rozprzestrzeniającym się ogniu. Spod zawałonej konstrukcji dobiegały po chwili odgłosy buchających płomieni i wrzaski bólu płonących żywcem ludzi.

– No i po sprawie – rzucił wysoki Meksykanin takim tonem, jakby mówił o wbiciu gwoźdźcia w ścianę. – Chodźmy stąd.

Wzięli plecaki i ruszyli w dół ulicy, do najbliższego skrzyżowania. Tam w jednym z narożnych domów okopał się helocki oddział, który zasypywał gradem kul grupę milicjantów próbujących przedostać się przez skrzyżowanie. Na jezdni leżały już ciała kilkunastu ludzi Greene'a. Milicjanci, którzy wciąż żyli i mogli walczyć, ukryli się za samochodami i odpowiadali ogniem, starając się dosięgnąć helotów strzałami z karabinów. Przewaga siły ognia była po stronie milicji, jednak mury domu dobrze chroniły helotów. Potyczka utknęła w martwym punkcie, bo żadna ze stron nie była w stanie wyprowadzić decydującego uderzenia.

Nagle z bocznej ulicy wyjechał opancerzony hummer z potężnym karabinem maszynowym M2 na dachu. Samochód zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów od domu. Załoga otworzyła ogień.

Na fronton budynku posypał się grad nabojów, zamieniając go w chmurę pyłu i drzazg. Heloci zaczęli ostrzeliwać hummera, ale było już za późno. Donośny klekot karabinu przez kolejnych kilkanaście sekund przeszywał powietrze. Gdy umilkł, piętro domu było całkowitą ruiną.

– Zaczekajcie tutaj – szepnął wysoki Meksykanin, podpalając dwa koktajle Mołotowa. – Bardzo łatwo rozwiążemy ten problem – dodał spokojnie, ruszając wzdłuż ściany z butelkami w obydwu dłoniach. Przyklejony do muru budynku niepostrzeżenie zbliżał się do opancerzonego samochodu.

Jeden z milicjantów dostrzegł skradającego się Meksykanina i krzykiem zaalarmował załogę hummera. Widząc, że nie uda mu się już uderzyć z zaskoczenia, mężczyzna z koktajlami Mołotowa rzucił się biegiem do przodu z

okrzykiem bojowym na ustach. Uniósł prawą rękę, by cisnąć przed siebie butelkę, ale było już na to zbyt późno.

Na ulicy znów zabrzmiał karabinowy klekot. Naboje kaliber 12,7 mm raziły ciało Meksykanina z tak ogromną siłą, że przecięły je w pasie na pół. Zwłoki mężczyzny padły na asfalt jak rozdarta szmaciana lalka. Butelki z benzyną uderzyły o nawierzchnię i rozbiły się. Wybuchł płomień, który po kilku minutach przemienił ciało walecznego Meksykanina w dwa kawały spopielonego mięsa.

Lucía i Alejandra spojrzały po sobie przerażone. Nim jednak zdążyły cokolwiek zrobić, za ich plecami pojawił się kolejny opancerzony hummer. Kobiety były przekonane, że zostają wzięte w dwa ognie. Lucía sięgnęła po koktajl Mołotowa i już miała cisnąć nim w samochód. Ten jednak minął ją i skierował się wprost na drugi pojazd i grupę milicjantów, którzy witali załogę przybyłego pojazdu przyjaznymi gestami. Nagle hummer zatrzymał się, a jeden z członków załogi wychynął przez klapę na dachu. Milicjanci zorientowali się z przerażeniem, że celuje w nich z ciężkiego karabinu maszynowego. Przyjazne gesty ustąpiły okrzykom przerażenia. Zaskoczeni milicjanci próbowali uciekać, ale nie mieli żadnych szans. Runął na nich grad nabojów.

Setki kul wystrzelonych w ledwie kilkadziesiąt sekund spadły na pierwszego hummera i uciekających milicjantów jak rój zabójczych owadów. Pojazd momentalnie stanął w ogniu, gdy naboje zapalające poszatkowały pancierz i trafiły w bak. Strzelec w wieżyczce przybyłego przed chwilą pojazdu prowadził ostrzał tak długo, póki na ulicy nie zamarł wszelki ruch. Budynek oraz pierwszy hummer stały w płomieniach, jezdnia zasłana była dziesiątkami ciał.

Drzwi hummera otworzyły się i ze środka ostrożnie wychylił się żołnierz. Gdy Alejandra zobaczyła jego twarz, nie umiała opanować okrzyku radości.

– Strangård!

Szwed, usłyszawszy za plecami krzyk, aż podskoczył i o mało nie wypalił z broni. Na widok Lucíi i Ale wychodzących z ukrycia odetchnął z ulgą.

– Co wy tu, u diabła, robicie? – spytał zaniepokojony. – Mało brakowało, a bym was zastrzelił!

– A ty co tutaj robisz? – pytaniem na pytanie odpowiedziała Lucía.

– Przyjechaliśmy najszybciej, jak się dało. – Strangård opuścił broń. Na prawym bicepsie miał białą opaskę. – Dowiedzieliśmy się, że w getcie zaczęła się czystka, i zdecydowaliśmy, że trzeba natychmiast działać, by zapobiec masakrze. Czegoś takiego się tu jednak nie spodziewałem. To gorsze, niż sobie wyobrażałem. Nie przyjechało nas wielu, ale przynajmniej jesteśmy dobrze uzbrojeni. Powiedzcie mi, gdzie jest Mendoza? Muszę z nim szybko pomówić.

– „Kot” jest za miastem, na wysypisku. Pojechał po cladoxpan.

– Jasna cholera! – zaklął Szwed ze złością. – Dureń musiał zniknąć, akurat

kiedy jest tu potrzebny. A co z tym niskim blondynem, tym rosyjskim wojskowym? Gdzie on jest?

– Pojechał z Mendoza – wtrąciła Lucía – i nie jest Rosjaninem, tylko...

– Tak, tak, wiem, Ukraińcem – przerwał jej Szwed. – Skoro ich nie ma, to w takim razie kto tu dowodzi?

– Nie mam pojęcia – z rozbrajającą szczerością odparła Alejandra. – Chciałyśmy dostać się do centrum getta, żeby się tego dowiedzieć i dostarczyć walczącym to. – Tu wskazała na plecak pełen koktajli Mołotowa.

– Piechotę nie dacie rady – zauważył Strangård. – W centrum toczą się ciężkie walki, Grapes ściągnął tam posiłki. Wszedł do getta z prawie tysiącem ludzi. Wsiadajcie! Podwieziemy was najbliżej, jak się da, a potem niech was Bóg prowadzi.

Kobiety wsiadły do hummera, kierowca ruszył. Zawracając, samochód przejechał po zwęglonych szczątkach wysokiego Meksykanina strawionych przez ogień do tego stopnia, że został z nich tylko popiół.

Na ulicy przed płonącym domem zapanowała cisza. Zostały na niej tylko dziesiątki trupów. Martwi heloci przyglądali się martwym milicjantom trupimi, zgasłymi oczami.

Malachiasz Grapes czuł się szczęśliwy.

Jego życie nigdy nie było łatwe, jako dziecko mnóstwo razy usłyszał, że jest „białym śmieciem”. Uzależniona od cracku matka wychowywała go samotnie, a Malachiasz od najmłodszych lat musiał umieć się bronić: najpierw pięściami, nieco później nożem, a gdy trochę podrośł – bronią palną. Przejście z ulicznego gangu do Aryan Nations dokonało się w sposób naturalny. Można by powiedzieć, że był to ostatni etap dojrzewania.

Przez całe życie, wliczając również długi pobyt w więzieniu, Grapesa otaczała przemoc. Z czasem nauczył się nią cieszyć. Bez cienia przesady – przemoc była czymś, co lubił i co mu się podobało. Co tam „podołało”, uwielbiał ją! Więzienny raport psychiatryczny dotyczący Grapesa stwierdzał zaburzenia schizoidalne połączone z ponadprzeciętną inteligencją. Samego Malachiasza lekarskie gadanie ani trochę nie obchodziło. Ból drugiego człowieka motywował go i napędzał. Drugim potężnie na niego działającym bodźcem była władza.

Nic jednak, co przeżył i widział do tej pory, nie dało się porównać z tym, czego doświadczał teraz w Bluefont. Nigdy wcześniej nie czuł się tak jak wówczas, gdy jego ludzie bezlitośnie likwidowali ostatnich czarnych i Latynosów w getcie.

Stojąc w kałuży krwi zamordowanego heloty i obserwując płonące i walące się dookoła domy, Grapes bardziej niż kiedykolwiek do tej pory czuł, że żyje. Jakby był bogiem, bogiem wojny żądającym krwi i zniszczenia. Uczucie, którego doświadczał, było potężne i odurzające.

Tej nocy skończy z nimi wszystkimi. Nie zamierzał darować nawet tym dwóm tysiącom, które Greene kazał mu oszczędzić jako siłę roboczą. Później wymyśli jakieś wytłumaczenie. „Strasznie się stawiali, wielebny. Opór był za duży, nie chcieli się poddać. Nie dało się ich wziąć żywych”. Powie dowolną bzdurę, co za różnica. Był w tym momencie tak pijany krwią, że myśleć mógł tylko o jednym – zabijaniu, podpalaniu, okaleczaniu. O zadawaniu bólu.

– Ej, Grapes – usłyszał głos z tyłu. Był to Seth Fretzen, jego prawa ręka. – Mówią mi przez radio, że ulice po tamtej stronie są już pod kontrolą, ale mają jakiś problem w centrum. Coś odjechało tym czarnuchom i zaczęli strzelać do naszych.

Grapes spojrzął na swoje dłonie i litery na kostkach układające się w napis

„Nienawidzę Żydów”. Uśmiechnął się z sadystycznym zadowoleniem. Ci czarni idioci dostarczali mu właśnie pretekstu, którego potrzebował.

– Nie ma problemu, Seth – powiedział niemal wesoło. – Pojedziemy tam i skopimy im te ich czarne dupy. Nauczę wreszcie zasrańców, kto tu rządzi.

Seth Fretzen uśmiechnął się szeroko, ukazując nierówne i niekompletne uzębienie. On też świetnie się bawił. Dał znak stojącym wokół samochodu Grapesa gwardzistom i milicjantom, by zajęli miejsca w swoich pojazdach. Sam siadł za kierownicą auta, obok swojego przełożonego. Przy wtórze ryku silników kolumna ruszyła przez płonące ulice Bluefont. Na sam jej widok grupki niedobitków uciekały w popłochu.

Grapes patrzył na nich z pogardą, nie przejmując się tym, że próbują się kryć. Jeszcze będzie czas, by się nimi zająć. Najpierw trzeba zrobić porządek z tymi, którzy mieli czelność strzelać do jego ludzi. Kiedy będą martwi, cały opór natychmiast się załamie, a reszta zacznie zachowywać się jak potulne owieczki.

Ci kretyni nazywający siebie Sprawiedliwymi myśleli, że coś uda im się zdziałać.

Jakby sprawiedliwość miała tu cokolwiek do rzeczy.

Dla Grapesa zresztą jej definitywny koniec nastąpił wraz z upadkiem starego porządku. Apokalipsa wymazała ją i usunęła ze świata, podobnie jak większość ludzkości.

Teraz prawem była wyłącznie siła. On zaś, dzięki przyzwoleniu Greene’a, był najsilniejszy ze wszystkich.

Gdy kolumna skręciła na jednym ze skrzyżowań, nagle ze wszystkich stron padły strzały. Grapes usłyszał tuż za sobą okrzyk bólu. Milicjant operujący wieżyczką z karabinem maszynowym spadł do wnętrza pojazdu z roztrzaskaną głową. Seria naboju dużego kalibru zrobiła w boku hummera długi rząd wgnieceń i mocno porysowała pancerne szyby, omal ich nie tłukąc. Gdyby nie opancerzenie auta, Grapes byłby już trupem.

Aryjczyk oniemiały z zaskoczenia patrzył na mocno nadwyreżone drzwi pojazdu. W tej samej chwili jeden z samochodów w jego kolumnie wyleciał w powietrze. Grapes zdążył kątem oka zobaczyć dwóch oddalających się helotów, którzy sekundy wcześniej wrzucili do płonącego teraz pojazdu koktajle Mołotowa. Nie udało im się uciec – nim dobiegli w bezpieczne miejsce, padli pod ostrzałem karabinowym z kolejnej maszyny gwardzistów.

W kolumnie Grapesa, jeszcze przed momentem zdyscyplinowanej i jadącej w równym szyku, zapanował chaos. Lider aryjczyków czuł, jak żyły na szyi nabrzmiewają mu z wściekłości.

– Seth! Ściągnij tu natychmiast wszystkie dostępne posiłki! Wybijemy tych skurwieli do nogi! I niech tu przyjedzie ciężki pojazd opancerzony z solidną armatą.

Fretzen skinął głową i natychmiast zaczął nadawać przez radio. Grapes tymczasem wyskoczył z hummera i nakazał swoim ludziom się przegrupować. Musieli ustawić się w szyku i odpowiedzieć ogniem, jeśli chcieli wydostać się z zasadzki. Powietrze przeszywały dziesiątki kul, mijały aryjczyka o centymetry. Ten jednak zupełnie nie zwracał na to uwagi. Był zbyt wściekły, by dostrzec zagrożenie.

W końcu gwardzistom udało się uformować w południowym narożniku placu półkole. Siły helotów skoncentrowane były po przeciwległej stronie. Milicjanci wspierający Zieloną Gwardię strzelali na oślep, zużywając setki sztuk amunicji, ale Grapes wiedział, że to nie problem. Nabojów mieli aż nadto. Cały magazyn pieprzonej bazy wojskowej był do jego dyspozycji.

Ostrzał ze strony helotów stracił znacznie na sile. Nie był już huraganem, a tylko rzadkim stukotem. Ludzie Grapesa z każdą chwilą zyskiwali przewagę. Aryjczyk mruknął z zadowoleniem. Według niego czarnuchom po prostu kończyła się amunicja, ale nie chciał przedwcześnie ryzykować.

Wtem na ulicy pojawił się opancerzony hummer, niemal identyczny z tym, w którym siedział Grapes, ale bez zielonego krzyża na drzwiach. Jego kierowca gwałtownie zahamował, zaskoczony spotkaniem z gwardzistami. Natychmiast jednak ruszył ponownie przed siebie, gdy tymczasem strzelec na wieżyczce otworzył ogień w stronę kolumny. Naboje z ciężkiego karabinu maszynowego poszatkowały bok jednego z pojazdów. Sześciu ludzi Grapesa zwijało się z bólu na podłodze. Tajemniczy hummer bez zielonego krzyża pognał do przodu i zniknął w ciemnościach.

Grapes, marszcząc brwi, wbił spojrzenie w mrok nocy i nasłuchiwał, skąd dobiega dźwięk silnika. Wrogi pojazd przemieszczał się szybko pomiędzy skrzyżowaniami. Jego kierowca wykorzystywał prędkość i co ciemniejsze uliczki, by uniemożliwić gwardzistom namierzenie auta i wzięcie go na cel. Hummer pojawił się nieoczekiwanie, ostrzelał jeden z pojazdów w kolumnie i zniknął tak szybko, że milicjanci nie zdążyli odpowiedzieć ogniem. Z domu, w którym bronili się heloci, dobiegły wiwaty.

Dowódca aryjczyków cicho zaklął. Jakimś sposobem tej kolorowej hołocie udało się ukraść jeden z jego wozów. Innego wytłumaczenia nie było. No, chyba że mieli współników po drugiej stronie muru – to byłby znacznie większy powód do niepokoju. Grapes starał się odgadnąć, kto jechał tajemniczym skradzionym pojazdem, który właśnie po raz kolejny przemknął w oddali.

Stojąca w miejscu duża kolumna gwardzistów i milicjantów była łatwym celem. Grapes nakazał swoim ludziom, by ukryli się za najsilniej opancerzonymi pojazdami. Za chwilę mogli spodziewać się ponownego ataku. Lider aryjczyków był na siebie zły, że nie zabrał z wojskowego magazynu noktowizorów. Wtedy jednak nie sądził, że okażą się przydatne. Likwidacja getta miała pójść gładko, Grapesowi ani na chwilę nie przyszło do głowy, że

czarnuchy i niedomocyi Meksykańcy będą stawiać tak silny opór.

Nagle ziemia zadrżała pod jego stopami. Zza rogu wyłonił się ciężki wóz bojowy Bradley. Maszyna toczyła się powoli, krusząc gąsienicami asfalt na jezdni.

– Malachiasz, są pancerni! – wykrzyknął z entuzjazmem Fretzen.

– Niech jadą pod dom i rozpierdolą na dobre tych gnoi – rzucił Grapes, wskazując na zabudowania po drugiej stronie placu.

Seth Fretzen przekazał rozkaz przez radio. Kierowca wozu bojowego potwierdził jego przyjęcie, ale rozpoczęcie manewru zajęło mu chwilę. Nie był przyzwyczajony do jeżdżenia bradleyem. Skrzynia biegów kilkakrotnie głośno zazgrzytała. W końcu jednak gwardzista znalazł właściwe przełożenie i maszyna ruszyła w stronę kwatery helotów.

Na drodze wozu bojowego pojawił się helocki hummer. Strzelec na wieżyczce pruł w stronę bradleya, starając się go choć spowolnić. Pancierz wozu bojowego był jednak zbyt gruby, by zagroziły mu pociski z M2. Ułamek sekundy później kierowca hummera popełnił fatalny błąd: chcąc uniknąć karabinowej serii, skręcił zbyt ostro. Musiał następnie wyraźnie zwolnić, by odzyskać panowanie nad pojazdem, który stracił przyczepność. Strzelec na wieżyczce bradleya skwapliwie to wykorzystał. Wypalił w stronę samochodu, który na parę sekund stał się łatwym, nieruchomym niemal celem.

Seria z potężnego karabinu maszynowego trafiła silnik hummera, który eksplodował z głuchym hukiem. Posypały się rozgrzane odłamki metalu. Drzwi auta otworzyły się i wyskoczyła z niego kilkusobowa załoga, która natychmiast znalazła się pod ostrzałem. Dwie osoby zginęły niemal od razu trafione w głowę i korpus. Trzeci z uciekających wrzasnął z bólu, gdy kula trafiła go w nogę.

Grapes zaklął wściekle. Załoga i pasażerowie hummera byli biali!

Oznaczało to, że heloci mają więcej stronników po aryjskiej stronie miasta. Kto wie, ilu takich zaraz pojawi się w Bluefont. Grapes nagle przestał czuć się pewnie. Uczucie wszechwładzy oraz wszechsiły, którym cieszył się jeszcze przed momentem, znikło. Pomału w jego głowie zaczęła kiełkować przerażająca myśl, że on i jego oddział mogli wpaść w zasadzkę. Było już jednak zbyt późno, by próbować się wycofać.

Ostrzał, który prowadzili heloci z okien domu, jeszcze osłabł. Z poddasza poleciało w stronę bradleya kilka koktajli Mołotowa, ale odrobiną ognia tak potężnego wozu bojowego zatrzymać się nie dało. Maszyna niestrudzenie zbliżała się do helockiej kwatery.

Pokonawszy kolejnych kilkanaście metrów, bradley wystrzelił serię pocisków zapalających. Już po minucie cały parter domu płonął, a przez wybite okna buchnęły płomienie. Z wnętrza dobiegł odgłos wybuchu, a ułamki sekund

później kawałek dachu wystrzelił w górę, by runąć na ziemię kilka metrów od budynku. Na plac posypały się odłamki, drzazgi i spalone fragmenty ludzkiego ciała.

Heloci w płonących ubraniach wyskakiwali z okien na pierwszym i drugim piętrze. Gdy tylko znaleźli się na ziemi, dosięgały ich kule milicjantów. Na ulicy i na trawniku wokół domu przybywało dogasających martwych ciał.

Chwilę później kilku broniących się wyszło frontowymi drzwiami. Kaszleli, utykali i wpadali na siebie wzajemnie. Otaczała ich chmura gęstego dymu. Wśród wychodzących Grapes rozpoznał parę znajomych postaci. Uniósł rękę, dając sygnał swoim ludziom.

– Wstrzymać ogień! – wrzasnął. – Kurwa mać, niech nikt nie strzela! Chcę ich żywych!

Grupa milicjantów podeszła pod dom i otoczyła niedobitków. Było ich nie więcej niż dwanaścioro. Wszyscy ocalali z wybuchu mieli masę zadrapań i powierzchownych ran. Milicjanci doprowadzili grupę przed oblicze zaskoczonych Grapesa.

– No nie wierzę... – Pokręcił głową zdumiony. – Miękka faja Strangärd! Zarozumiały, nadęty Szwedzik. Nasz marynarz jest jednym z tych zasraniach Sprawiedliwych!

Strangärd uniósł głowę i spokojnie spojrzał aryjczykowi w oczy. Na nodze miał paskudnie wyglądającą ranę postrzałową, z której obficie sączyła się krew.

– Grapes, to, co się tu dzieje, to ludobójstwo – powiedział. – Nie musisz tego robić. Nie ma takiej potrzeby. Nie słuchaj ślepo rozkazów Greene'a. Nie zabijaj niewinnych ludzi z powodu urojeń szalonego starca.

Grapes spojrzał na Szweda z taką miną, jakby nie uwierzył, że ten naprawdę powiedział coś takiego. Przez kilka sekund milczał, po czym wybuchnął głośnym śmiechem. Rechotał na cały głos, klepiąc się dłońmi po udach.

– Zawsze miałem cię za frajera, ale to już naprawdę szczyt! – Nagle skoczył w stronę Szweda, szarpnął go za kołnierz i przysunął jego twarz do swojej. Zbliżył usta do ucha Strangärda i cicho, tak by nikt nie usłyszał, zaczął mówić. – Czy ty naprawdę myślisz, kretynie, że ja robię to wszystko dla wielebnego? Nie rozumiesz, że to tylko pierwszy krok na drodze do czegoś wielkiego? Nie widzisz, że jest mi przeznaczone dokonać przełomu? Będę się piał do góry po ścierwach tych wszystkich czarnuchów i nikt mnie nie powstrzyma. Nikt! Rozumiesz? Jestem bogiem wojny, szwedzki pedale. A ty popełniłeś wielki błąd, wchodząc mi w drogę.

Cofnął się, wyprostował i wyciągnął z kabury pistolet. Odbezpieczył broń i wycełował ją wprost w głowę Strangärda.

– Cały ten wasz zryw był skończony, zanim się zaczął. – Szerokim gestem

wskazał na płonące domy wokół placu. Z różnych miejsc getta dobiegały jeszcze odgłosy wystrzałów, ale były coraz rzadsze. Liczniejsi i lepiej uzbrojeni gwardziści opanowywali pomалу sytuację. – Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale ci powiem, że od początku nie mieliście żadnych szans. A teraz wskażesz mi swoich współpracowników w aryjskiej części miasta. Ich nazwiska i adresy. Powiesz mi też, jakie mieliście plany. Wszystko wyśpiewasz albo...

– Pocałuj mnie w dupę, Grapes – wypalił Strangård. – Wiem, że i tak nie wypuścisz mnie z Bluefont żywego. Obaj wiemy to doskonale. Nie masz czym mi zagrozić, więc z łaski swojej udław się.

Aryjczyk przyglądał się Szwedowi i myślał.

– W porządku. – Wskazał czubkiem lufy na Alejandrę i Lucię. Przerażone kobiety stały tuż obok Strangärda. Ich ubranie było osmalone i postrzępione. – Seth, daj mi tu jedną z tych panienek.

Fretzen znów uśmiechnął się szeroko. Wyglądał na tak szczęśliwego, jakby przeżywał najlepszy dzień w całym swoim życiu. Wyciągnął z kieszeni kurtki kilka papierków nasączonych preparatem kontrolnym i przesunął dwa z nich po zadrapaniach na twarzach Lucii i Alejandry. Jego uśmiech sadysty stał się nagle jeszcze szerszy. Przerażone kobiety niewiele już dzieliło od ataku paniki.

– Są czyste! – zawołał rozentuzjasmowany Fretzen. – Obie! Ani śladu tego pieprzonego wirusa!

Grapes zrobił pistoletem taki gest, jakby chciał powiedzieć „mam to w dupie”. Ani na moment nie spuszczał wzroku ze Szweda.

– Nazwiska, pedale – powtórzył z naciskiem. – Chcę nazwisk.

– Już ci mówiłem, że możesz mnie pocałować w dupę – odparł cicho Strangård. Był nieco bledszy niż przed momentem, ale nie ustępował.

– Świetnie – wycedził jadowicie Grapes, kopniakiem zmuszając Szweda, by ukląkł. – Wszystko, co wydarzy się od tej pory, to twoja wina.

Dwóch gwardzistów chwyciło Alejandrę i uniosło ją do góry. Meksykanka wierzgała i krzyczała co siłą, ale nie miała szans wyrwać się osiłkom.

– Co robicie? – krzyknęła Lucía. – Zostawcie ją, skurwiele!

– Spokojnie, ślicznotko – powiedział z rozbawieniem Seth, gdy dwaj mężczyźni wlekli Meksykankę za pojazd opancerzony, z dala od reszty oddziału. – Zaraz twoja kolej. Starczy nas dla was obu.

Minęło kilka sekund. Alejandra krzyczała, miotała się i próbowała wyrwać swoim oprawcom. Zza pojazdu dobiegł odgłos silnego ciosu, krzyki dziewczyny przeszły w głośny szloch. Jeden z gwardzistów zdarł z niej część ubrania. Dał się słyszeć cichy, rytmiczny dźwięk, który nie pozostawiał złudzeń co do tego, co dzieje się za samochodem. Częstotliwość dźwięków i przypadkowych stuknięć o karoserię pojazdu wskazywała, że oprawca niedługo skończy.

Jeszcze chwila i zza auta dobiegło głośne sapanie, które po chwili ustąpiło zwierzęcemu niemal okrzykowi ulgi i zadowolenia. Rytmiczny odgłos ustał, słyhać było teraz tylko bolesny jęk młodej Meksykanki.

Seth Fretzen wyłonił się z za pojazdu. Z okrutnym uśmiechem na ustach podciągnął i zapiął spodnie. Nie minęła minuta, a za opancerzonym samochodem znów rozległ się wiadomy odgłos, któremu towarzyszył bezradny szloch Alejandry. Było jasne, że miejsce Fretzena zajął kolejny z Zielonych. Następnym sześciu z obleśnym wyrazem twarzy czekało na swoją kolej.

– Nazwiska – powtórzył Grapes. – Zaczynij lepiej gadać już, bo inaczej ona będzie następna.

Strangärd w odpowiedzi splunął tylko na buty aryjczyka. Ten, rozwścieczony, kopnął klęczącego Szweda w klatkę piersiową i powalił go na ziemię.

– Przepraszam – Strangärd, ciężko oddychając, zwrócił się do Lucii. – Przepraszam, ale nie mogę mu powiedzieć. I tak nas wszystkich zabije.

Zza opancerzonego hummera dobiegł ryk. Drugi gwardzista szczytował jeszcze głośniej niż pierwszy. Trzeci już rozpinał spodnie, gdy nagle z oddali dobiegły odgłosy ostrej strzelaniny. Radio w aucie Grapesa rozbrzmiewało co kilka sekund kolejnymi nerwowymi komunikatami. Przerażeni milicjanci nadawali raz po raz bez ładu i składu.

– Przez getto przebijają się jakaś kolumna ciężarówek! – doniósł po chwili Fretzen, zdejmując słuchawki.

– To niech ją zatrzymają i rozpieprzą w drobny mak! Przecież te czarnuchy prawie nie mają już amunicji! – krzyknął z irytacją Grapes niezadowolony, że ktoś przerywa mu przesłuchanie.

– Mówią, że nie dają rady – odparł Seth z wyraźnym zaniepokojeniem. – Tamci są mocno uzbrojeni i rozjechali naszych. – Gwardzista przełknął ślinę. – Jadą prosto na nas.

Grapes uniósł głowę i po raz drugi tej nocy naszły go wątpliwości. Wciągnęli nas w zasadzkę? Czy to możliwe, że faktycznie nie doceniałem tych czarnuchów?

– Skąd oni się w ogóle wzięli? – spytał z wahaniem.

– Przez radio mówią, że... – Fretzen jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. – Mówią, że tamci przyjechali z zewnątrz muru.

Grapes aż się zachwiał, usłyszawszy wiadomość, ale momentalnie wziął się w garść. Jego ludzi było *więcej*, do tego mieli wozy bojowe i nie musieli ani trochę liczyć się ze zużyciem amunicji. Przygotują tamtym powitanie, jakiego w życiu nie mieli.

– W porządku – powiedział. – Ustawimy się tak, że ten plac stanie się jedną

wielką strzelnicą. Ani jeden z tych kutasów nie wyjdzie stąd żywy. Seth, przekaż tym z bradleya, żeby ustawili się obok tamtego...

Grapesowi przerwał odgłos potężnej eksplozji. Na wschodzie, po drugiej stronie miasta, ognista łuna rozświetliła nocne niebo. Ulicami getta przeszedł gorący podmuch przesiąkniętego zapachem benzyny powietrza.

– Co to, do cholery, było? – Grapesowi załamał się głos. Gdy wraz z Greene'em planował likwidację getta, wyglądało na to, że będzie ona zadaniem łatwym i przyjemnym. Tymczasem ta noc zmieniała się w istny koszmar.

– Nie mam pojęcia. Jakby coś wybuchło obok rafinerii, ale to niemożliwe. Ona przecież stoi poza gettem...

– Niech ci to zaraz potwierdzą przez radio! To nie jest zgadywanka, kretynie! – wrzasnął Grapes wściekły, ale i przerażony. W akcję likwidacji getta zaangażował niemal wszystkich ludzi, jakich miał do dyspozycji. W aryjskiej części miasta pozostało ledwie pięćdziesięciu niedoświadczonych milicjantów i sześciu gwardzistów służących wielebnemu za obstawę. I to wszystko! Cała reszta milicji i Zielonej Gwardii była w Bluefont. Wtem dał się słyszeć huk towarzyszący kolejnej silnej eksplozji. Tym razem w innym jeszcze punkcie miasta. Robiło się nieciekawie. Kurwa, naprawdę nieciekawie.

Z oddali znów dobiegały odgłosy strzelaniny. Choć Grapes chciałby, żeby było inaczej, charakterystycznego klekotu nie dało się pomylić z niczym innym. To serie karabinowe. Coś naprawdę poważnego działo się przy zewnętrznym murze miasta i trzeba było natychmiast sprawdzić, co to jest. Odparcie ataku z zewnątrz to priorytet, czarnuchy w getcie muszą poczekać.

– Jedziemy – rzucił sucho. – Seth, powiedz tamtym przez radio, że wszyscy mają się wycofać z getta i jechać napierdalać tamtych. Niech wypuszczą helotów, których mają na ciężarówkach, i grzeją na drugą stronę – tam skąd słychać strzały. Mamy czerwony alarm!

– A co z nimi? – Fretzen wskazał na Strangärda i Lucię.

Grapes nawet nie fatygował się, by odpowiedzieć. Wyciągnął pistolet, szybkim ruchem przyłożył lufę do skroni Szweda i nie mrugnawszy nawet powieką, pociągnął za spust. Ciało Strangärda opadło na kolana Lucii. Krew szerokim strumieniem lała się z otworu, który kula zrobiła w czaszce. Dziewczyna zatrzęsała się z przerażenia, czując, jak oblepia ją świeża, ciepła, czerwona ciecz.

– Uspokój się wreszcie, głupia dupo – wycedził Grapes, mierząc do Lucii z pistoletu. Opancerzony samochód, za którym gwardziści gwałcili Alejandrę, włączył silnik i ruszył, odsłaniając żałosny widok.

Młoda Meksykanka wyglądała okropnie. Ubranie miała w strzępach, a jej twarz szpeciły krwiaki i obtarcia. Po wewnętrznej stronie jej nagich ud ciekły strużki krwi. Stojący plecami do Alejandry Grapes zwrócił się w jej stronę

ułamek sekundy przed tym, jak dziewczyna rzuciła się na niego z furią i żądzą mordu w oczach.

Aryczyk uskoczył w bok, jednocześnie naciskając spust. Pierwsza kula trafiła Meksykankę w ramię. Dziewczyna zakręciła się w miejscu jak zabawkowy bąk. Drugi nabój trafił w skroń i strzaskał całą górną połowę czaszki. Ciało Alejandry runęło ciężko na ziemię.

Wszystko to trwało mniej niż dziesięć sekund.

Grapes, dysząc, odwrócił się z powrotem w stronę Lucii, by rozprawić się z ostatnią z grupy niedobitków. Dziewczyna jednak zniknęła. Aryczyk wbił spojrzenie w mrok, starając się ze wszystkich sił ją wypatrzeć, ale na próżno. Dzięki heroicznemu atakowi Alejandry Lucia zyskała kilka sekund. Pod osłoną nocy znikła gdzieś między zabudowaniami.

Malachiasz zaklął głośno. Był na siebie wściekły, że zagapił się i pozwolił dziewczynie uciec. W całym tym zamieszaniu nie zwrócił uwagi, że nikt poza nim jej nie pilnował. Gdy dał rozkaz do odjazdu, jego ludzie natychmiast rzucili się do samochodów i wozów opancerzonych. Dwaj stojący najbliżej gwardziści, którzy teoretycznie powinni mieć na Lucię oko, zajęci byli dopinaniem spodni po tym, jak użyli sobie na młodej Meksykance.

Kurwa mać, może teraz być wszędzie! Nie mam czasu jej szukać.

– Jeszcze tu po ciebie wrócę! – rzucił groźbę w mrok nocy. – Chowaj się, gdzie chcesz, a i tak cię dorwę!

Grapes wskoczył do opancerzonego hummera i rozkazał kierowcy ruszać. Getto zanosło się rykiem potężnych silników. Już po chwili kolumna, pędząc z zawrotną prędkością, opuściła Bluefont. Nie było czasu do stracenia, nieprzyjaciel wdarł się do miasta. Milicjanci i gwardziści zostawili za sobą stojące w płomieniach getto i morze trupów. Teraz pędzili na spotkanie z wrogiem, by stoczyć zupełnie inną bitwę.

Od trzech godzin oddział stał ukryty w gęstych zaroślach otaczających trzęsawisko. Kryjówka znajdowała się ledwie sześćset metrów od zewnętrznego muru Gulfport. Wzorowo zdyscyplinowani ludzie pułkownika Honga zachowywali milczenie i poruszali się bezszelestnie. Otaczały ich sunące leniwie chmury oparów znad mokradeł. Dwie drużyny wysłane na zwiad potwierdziły informacje dostarczone przez satelitę: miasto w całości otoczono betonowym murem. Umocnienia były dostatecznie wysokie i trwałe, by utrzymać Nieumarłych na zewnątrz.

Co jednak było przeszkodą nie do pokonania dla nieuzbrojonych i niezdarnych zarażonych, dla Honga i jego ludzi nie stanowiło najmniejszego problemu.

Pierwszym rozwiązaniem, które rozważał pułkownik, było postawienie miastu ultimatum z żądaniem poddania się. Zajęcie chronionej murem enklawy w stanie nienaruszonym miałoby niewątpliwą wartość taktyczną. Gulfport mogłoby posłużyć w przyszłości za bazę wypadową i zaplecze dalszej inwazji. Hong szybko się jednak rozmyślił. Uznał, że ma do dyspozycji zbyt mało ludzi i sprzętu, by wymusić kapitulację miasta. Nawet zresztą gdyby jego oddział był liczniejszy, szanse na to, by Gulfport poddało się bez walki, byłyby nikłe. Pułkownik wiedział, że poddają się tylko słabi, a tacy już na świecie nie istnieli.

Obserwując światła na wieży górującej nad miejską rafinerią, Hong uświadomił sobie, że musi zmodyfikować swój wyjściowy plan. Odkrycie źródła ropy zasilającej miasto nie było już priorytetem. Koreańczyk zerkał co kilka chwil na niewielką butelkę cladoxpanu, którą miał u pasa. To nie ropa, lecz właśnie ten mętny, białawy preparat był teraz celem numer jeden. Dysponując odpowiednio dużymi zasobami leku, Korea Północna pośle swe wojska na podbój świata, nie troszcząc się ani trochę o ryzyko zarażenia. Co więcej, inwazja mogłaby rozpocząć się nawet jutro, więc niedobór paliwa przestałby stanowić problem.

Pozostawało tylko ustalić źródło pochodzenia tej tajemniczej cieczy o słodkawym zapachu. Pułkownik zamierzał rozwiązać tę zagadkę jak najszybciej.

– Wszystko gotowe? – spytał swego adiutanta. Porucznik Kim przytaknął z poważnym wyrazem twarzy, po czym wspiął się na drzewo, z którego Hong przez lornetkę obserwował miasto.

– Zaraz po wschodzie słońca, kiedy tylko będzie dość światła, wejdziemy tamtędy. – Pułkownik wskazał odcinek muru niedaleko rafinerii.

W strefie, którą wybrał, było mniej Nieumarłych niż na pozostałej części obwodu miasta. Bliskość zakładu rafineryjnego najwyraźniej płoszyła zarazonych, a podmokły teren i sadzawki nagromadzonej deszczówki mocno utrudniały im poruszanie się na tym odcinku. Mimo to w miejscu, które upatrzył sobie pułkownik, i tak naliczyć można było około dwóch tysięcy Nieumarłych. Szczęśliwie dla Koreańczyków połowa z nich była w takim stanie, że Hong nie sądził, by dali radę przejść więcej niż kilkadziesiąt metrów. U pozostałych narośle były jednak znacznie mniejsze, stanowili więc wciąż realne zagrożenie.

– Ładunki wybuchowe są już umieszczone w murze, towarzyszu pułkowniku – cicho zaraportował Kim, wyciągając notes, w którym zamierzał zapisać dalsze rozkazy Honga. – Patrole informują też, że mur jest bardzo słabo strzeżony.

– Dziwne – szepnął pułkownik. Przypuszczał, że wdarcie się do miasta będzie wymagać prowadzenia silnego ostrzału, a tymczasem w zasięgu wzroku prawie nie było strażników.

Nagle z prawej strony, z oddali, usłyszał wystrzały z karabinów. Stukot wzrastał się, a po chwili rozległ się łoskot potężnej eksplozji. Pierwszemu wybuchowi zawtórowały dwa kolejne. W znacznej odległości, po przeciwległej stronie miasta, pojawiły się łuny pożarów.

Z początku Hong pomyślał, że wykryto obecność jego oddziału, ale zaraz uświadomił sobie, że zamieszanie na drugim końcu miasta nie może w żaden sposób ich dotyczyć. Odgłosy strzałów dobiegały z bardzo daleka i nic nie zakłócało spokoju ich podmokłej, smrodliwej kryjówki.

– Co się dzieje, pułkowniku? – spytał skonsternowany Kim.

– Nie wiem, ale nie podoba mi się to. – W obrębie miasta toczyła się walka, jednak Koreańczyk nie miał pojęcia, kto z kim walczy ani dlaczego.

Kolejna eksplozja, jeszcze potężniejsza od poprzednich, rozświetliła na chwilę niebo niczym lampa błyskowa monstrualnych rozmiarów aparatu fotograficznego.

– Wysadzono fragment muru! – szepnął do pułkownika podekscytowany Kim. Grupy przywabionych hałasem Nieumarłych przemieszczały się już w stronę, z której dobiegały odgłosy strzałów. Niektórzy po zrobieniu trzech kroków przewracali się pod własnym ciężarem i rozpadali w zderzeniu z ziemią, ale znaczna część posuwała się naprzód całkiem sprawnie.

– Widzę – odparł Hong. Pułkownik miał złe przeczucia. Było oczywiste, że ktoś uprzedził jego oddział.

Kto to może być? Rosjanie? A może Chińczycy? Skoro nam udało się

namierzyć Gulfport, to oni też mogli to zrobić. A może to jakiś imperialistyczny kraj europejski...

Ktoś chce sprzątnąć mu sprzed nosa wielkie zwycięstwo, o którym marzył. Nie, do tego Hong nie mógł dopuścić! Trzeba natychmiast działać i przejąć inicjatywę.

– Kim! – rzucił rozkaz w stronę adiutanta. – Oddział ma być natychmiast w stanie gotowości. Niech saperzy za dwie minuty wysadzą zaminowany odcinek muru. Wchodzimy.

– Teraz? – zdziwił się Kim wyraźnie zbity z tropu. – Ale, towarzyszu pułkowniku, wkraczanie po ciemku do nieznanego miasta to...

– Musimy to zrobić natychmiast albo będzie za późno – z naciskiem powtórzył Hong, pospiesznie schodząc z drzewa. Pułkownik był świadomy ryzyka, ale nie miał innego wyjścia niż zarządzić atak.

Nie mam wyboru. Politbiuro pogodzi się z niepowodzeniem misji, ale nie darują mi, jeśli armia innego kraju na moich oczach zajmie miasto. Gra idzie o moją głowę.

A więc nocny atak. Uderzenie z zaskoczenia i walka na śmierć i życie.

Dokładnie w chwili, gdy pułkownik zajmował miejsce w swoim wozie bojowym, saperzy wysadzili kilkunastometrowy odcinek muru. Z donośnym hukiem kawałki betonu i stali rozprysły się na wszystkie strony. Rozpalony do czerwoności pręt wyrwany siłą eksplozji z wnętrza muru poszybował daleko za płot rafinerii. Przebywszy w powietrzu kilkaset metrów, ze znaczną prędkością uderzył w zbiornik wypełniony tysiącami litrów paliwa i niczym nóż w miękkie masło wbił się w aluminiową powłokę cysterny. Eksplozja rozświetliła niebo żółtą łuną i zmiotła wszystko w promieniu dwustu metrów. Temperatura powstałej kuli ognia i pęd fali uderzeniowej miały niszczycielską moc.

Nawet ciężkie koreańskie pojazdy opancerzone zatrzęsyły się pod wpływem siły wybuchu. Płomienie nie dosięgły kolumny, ale fala uderzeniowa porwała ze sobą gałęzie, które stanowiły ich kamuflaż. Hong z przerażeniem obserwował, jak nieliczni Nieumarli, którzy stali w pobliżu, przemieniają się w żywe pochodnie. Ich śmierć w płomieniach przypominała szaleńczy, makabryczny taniec.

No to czynnik zaskoczenia mamy z głowy. Jesteśmy teraz zdani na nasze umiejętności i broń.

– Towarzysze, naprzód! – zawołał przez radio. – Na chwałę naszej ojczyzny!

Silniki zaryczały i koreańska kolumna ruszyła. Pojazdy szybko pokonały płaski teren sąsiadujący z murem i przez wyrwę wjechały na teren miasta.

Pięć minut po tym, jak ostatni wóz z kolumny Honga znalazł się w Gulfport, przez dziurę w murze przeszła pierwsza grupa zwabionych hałasem Nieumarłych. Nie napotykając żadnego oporu, zarażeni wdarli się do miasta i

choć z początku ich pochód przypominał niewielką stróżkę, to lada chwila zamienił się w wielotysięczny potop.

Ostatnie zamieszkane miasto Stanów Zjednoczonych stanęło u progu zagłady.

Wjechaliśmy do miasta przed dziesięcioma minutami. Nie napotykając na swej drodze prawie nikogo, pokonaliśmy śluzę w murze składającą się z dwóch potężnych stalowych bram. Minęliśmy ledwie kilku przerażonych milicjantów, którzy uciekli w popłochu na sam widok naszej kolumny. Dwóch helotów po dachach śmieciarek dostało się na mur i w niespełna minutę otworzyło zewnętrzne wrota śluzy. Załoga ostatniego wozu w szyku pilnowała, by żadnemu Nieumarłemu nie udało się dostać za mur.

Zamknęły się za nami wrota zewnętrzne, ale heloci mieli problem z otwarciem bramy wewnętrznej. Męczyli się z tym od dobrych kilku minut, nam zaś spieszyło się tak bardzo, że czas ten wydawał się niemal wiecznością.

– Jasna cholera, otwórzcie w końcu tę pieprzoną bramę! – krzyczał rozwścieczony Mendoza. We wnętrzu śluzy doskonale słychać było dobiegające z getta odgłosy strzelaniny.

– Nie da rady! – krzyknął jeden z helotów na murze. – Milicjanci rozwalili sterownik!

Mendoza zaklął na cały głos. Bramę zaprojektowano tak, by wytrzymała potężny napór. Próby jej staranowania były z góry skazane na niepowodzenie.

– Trzeba wysadzić te wrota – powiedział zrezygnowany Meksykanin. – Musimy użyć tej resztki plastiku, która nam została.

– Jeśli mamy to robić, to już! – pospieszał Wiktor, któremu udzielił się niepokój.

Ja, rzecz jasna, byłem jeszcze bardziej zdenerwowany. Gdzieś w getcie, pośrodku tego płonącego piekła, była Lucía.

Mendoza wydał rozkazy. Kilku helotów niezwłocznie podłożyło niewielkie ładunki C4 pod zawiasy potężnej bramy. Biegiem wrócili na pozycje w kolumnie, rozwijając za sobą przewód detonatora. Znalazszy się obok nas, podczepili kabel do urządzenia i odpalili ładunki.

Plastik wybuchł z głuchym hukiem, wywołując potężny, ognisty podmuch, widoczny i wyczuwalny ze znacznej odległości. Zawiasy rozprysły się na drobne kawałki, a brama niczym pijany olbrzym runęła ciężko na ziemię. Wrota przewróciły się ku wnętrzu getta, wzbudzając przy tym kolosalną chmurę pyłu i kurzu.

– Skąd wiedziałeś, że brama polecą w tamtą stronę? – spytałem młodego

czarnego mężczyznę, który trzymał w dłoniach detonator.

– Nie wiedziałem – odparł, wzruszając ramionami.

Westchnąłem ciężko. Heloci mieli w sobie mnóstwo odwagi i determinacji, ale ich wiedza wojskowa i doświadczenie były żadne. Modliłem się, by w zapale bojowym nie zrobili jakiegoś głupstwa, które będzie nas kosztować życie.

Poruszając się jak najszybciej, nasz konwój wjechał do miasta. Widok był porażający. Co najmniej połowa domów na terenie Bluefont płonęła, na ulicach leżały dziesiątki ciał. Wpatrując się w mrok, między zabudowaniami dostrzegaliśmy kolejne grupy uciekających w popłochu ludzi. Myśleli bez wątpienia, że jesteśmy ludźmi Greene'a.

– Pieprzone kutasy – cedził przez zęby wściekły Mendoza. – Cholerni skurwiele! Zobaczcie, co oni tu zrobili.

Podążaliśmy naprzód, nie zatrzymując się ani na chwilę. Nagle zobaczyliśmy na swej drodze niewielką grupę milicjantów. Przyglądali nam się zaskoczeni, jak gdyby próbując odgadnąć, kim jesteśmy i skąd się wzięliśmy. Udzieliliśmy im odpowiedzi w formie gradu nabojów. Nieoczekiwany ostrzał zdziesiątkował ich szeregi. Kilku niedobitków rozpaczliwie próbowało uciekać, ale niemal wszyscy zginęli pod kołami rozjeżdżonych pojazdów.

– Wiktor, spójrz tam! – krzyknąłem w momencie, gdy śmieciarka zakołysała się mocno, przebijając się przez stos zwęglonych zwłok.

Dojechaliśmy w miejsce, które jeszcze przed kilkoma godzinami było centralnym placem Bluefont. Cała jego północna pierzeja stała w ogniu. Południową stronę placu znaczyły liczne ślady szerokich opon i morze łusek po kulach karabinowych. Przy zasłanej metalem jezdni obok jednego z ciał klęczała postać, którą bardzo dobrze znałem. Wyskoczyłem z ciężarówki, jeszcze zanim się zatrzymała, i kulejąc, najszybciej, jak potrafiłem, popędziłem w jej stronę. Lucía! Na mój widok zerwała się na nogi i biegiem rzuciła do mnie, promieniejąc radością, jakiej nigdy dotąd nie widziałem na twarzy żadnego człowieka.

Wtem zatrzymałem się raptownie. Choć byłem o kilka metrów od Lucíi, w istocie dzielił nas dystans niemożliwy do pokonania.

– Kochanie, proszę, zatrzymaj się. Nie możesz się do mnie zbliżyć – powiedziałem drżącym głosem, gestem dłoni pokazując jej, by nie szła dalej.

Lucía stanęła. Na jej twarzy malowała się konsternacja.

– O co chodzi? – Rozłożyła szeroko ręce i zrobiła kolejny krok w moją stronę.
– Wróciłeś! Żyjesz i wróciłeś!

– Nie podchodź, proszę – mówiłem z trudem, słowa więzły mi w gardle. – Jestem zarażony TSJ i mam na ciele otwarte rozcięcia. Jeśli mnie dotkniesz, też się zarazisz.

Lucia przyglądała mi się przez moment, który zdał się trwać wieki. Następnie zbliżyła się do mnie bardzo powoli i wzięła mnie za rękę. Nasze spojrzenia spotkały się i nagle cały świat przestał istnieć. Nie widzieliśmy płonących domów, nie słyszeliśmy krzyków ani strzałów. Istnieliśmy tylko my dwoje.

– Nie mogę cię dotknąć – wydukałem z trudem. – Nie mogę cię pocałować ani zbliżyć się do ciebie. Żyję tylko dlatego, że...

Lucia przerwała mi, kładąc palec na moich ustach. Patrzyła na mnie tak czule i z taką miłością jak chyba jeszcze nigdy. W jej oczach widziałem nadzieję i oddanie tak wielkie, że aż ugięły się pode mną kolana. Zarzuciła mi ręce na szyję i przyłgnęła twarzą do mojego policzka.

– Przez kilka dni myślałam, że nie żyjesz – powiedziała bardzo powoli, nie odsuwając się ani o milimetr. – Każda sekunda każdej minuty każdej godziny wszystkich tych dni była koszmarem. To było gorsze niż trafić do piekła. Jakbym umarła za życia. Nigdy więcej nie chcę przez to przechodzić.

Nim zdążyłem zareagować, przycisnęła usta do moich warg i pocałowała mnie. Pocałunek był delikatny i czuły. Trwał krótko, ale nasza ślina miała z sobą kontakt.

– Teraz ja też jestem zarażona – powiedziała Lucia z absolutnym spokojem. – Sama tego chciałam, taki jest mój wybór. Skoro to nam przeznaczone, niech tak będzie. Jeśli mamy spędzić razem resztę życia, niezależnie od tego, czy okaże się ono długie, czy bardzo krótkie, to chcę dzielić z tobą wszystko, aż po ostatni oddech. Wirus będzie naszą obrączką. Teraz jesteśmy związani na zawsze.

– Na zawsze – powtórzyłem, wciąż oszołomiony ogromem miłości i oddania, jakie właśnie mi okazano.

Pocałowaliśmy się raz jeszcze. Ten drugi pocałunek był dłuższy, mocniejszy i jeszcze bardziej przepelniony uczuciem. I choć spędziliśmy razem wiele lat, żaden inny nigdy nie smakował tak samo jak ten pośród płonących ruin Bluefont.

Wielebny Josiah Greene obudził się zlany potem. Po omacku sięgnął do włącznika lampy. Jego dłoń prześlizgnęła się po okładce Biblii, by w końcu dosięgnąć butelki wypełnionej cladoxpanem. Wielebny wziął potężny łyk i czekał, aż resztki sennego koszmaru ulecą precz.

Przyśnił mu się ten przeklęty hiszpański adwokat. Jechał na mule ubrany w długą szatę jak Chrystus, a wokół jego głowy lśniła aureola. Greene wraz apostołami szedł u jego boku, nie rozumiejąc zupełnie, co się dzieje. Wtem Hiszpan zwrócił się do niego i rzekł:

„Jesteś chwastem w mej winnicy, jadowitym węzem przy stole Baranka. Skróć cię o głowę, byś nie kalał mego gniazda”.

Greene oponował, próbował się tłumaczyć i bronić, ale zaraz otoczyli go apostołowie pełni złowrogiej powagi. Pan tymczasem oddalał się pomału na grzbiecie muła. Wielebny zdążył jeszcze ze zdziwieniem zauważyć, że na lędźwiach zwierzęcia drzemie wielki rudy kot, który na odchodne posłał mu szydery uśmiech.

Następnie dwunastu apostołów, z których każdy miał twarz Malachiasza Grapesa, jednocześnie przemieniło się w Nieumarłych i zaczęło pożerać wielebnego żywcem. Stopniowo okrywał ich mrok, czarniejszy, gęstszy i bardziej złowrogi niż najciemniejsza noc.

To wszystko niedorzeczność, taka sama bzdura jak wszystkie sny, próbował uspokoić samego siebie Greene. Mimo starań nie umiał jednak zapanować nad przerażeniem, które przenikało całe jego ciało. Wstał z łóżka, chcąc pójść do toalety, ale gdy tylko postawił stopy na ziemi, poczuł eksplozję bólu w prawym kolanie. Krzyknął głośno i chwycił się odruchowo za nogę. To nie był proroczy ból, do którego przywykł przez lata.

O nie!

To, czego teraz doświadczał, było o wiele, wiele gorsze. Ból zdawał się tysiącokrotnie silniejszy niż zazwyczaj. Jeśli znane dotąd wielebnemu wróżące nieszczęście klucie w kolanie porównać do płomienia zapalniczki, to dziś w jego nodze doszło do wybuchu bomby jądrowej.

Klnąc i jęcząc, Greene doczołgał się z trudem do łazienki. Mieszkał na poddaszu budynku ratusza, w pomieszczeniach specjalnie dostosowanych do jego wymogów. Nie była to przestrzeń luksusowa. W sypialni wielebnego nie znajdowało się prawie nic poza prostym łóżkiem, drewnianym biurkiem,

krzesłem i wiszącym na ścianie ogromnym krucyfiksem. Ostatnim większym przedmiotem w pomieszczeniu był stojący w narożniku przytwierdzony do podłogi sejf.

Niczego więcej wielebny mieć nie chciał. Wiedział, że wszystko, czego będzie potrzebował, otrzyma od Pana.

Przełykając garść tabletek vicodinu, by choć trochę uśmierzyć ból, Greene usłyszał odgłosy wystrzałów. Dobiegały z daleka. Był to znak, że likwidacja getta już trwała. Ostatniego wieczoru osobiście nakazał jej przeprowadzenie. Wiedział, że przyszedł na to czas, bo usłyszał w głowie nieomylny głos. Głos ten powiedział mu, że nastła pora, by wszyscy, którzy nie są mili Panu, ponieśli śmierć. W swej niezmierzonej dobroci Jezus Chrystus pozwolił jednak wielebnemu zachować przy życiu dwa tysiące grzeszników, by przed śmiercią pracą dla miasta odpokutowali choć część swych win. Dwa tysiące – ani jednego więcej. Występni mieli spłonąć w ogniu Gabriela Archanioła, którego narzędziem na ziemi był sam wielebny.

Greene, dysząc, oparł się o okienny parapet i czekał, aż środki przeciwbólowe zaczną działać. Wciąż drżał z przerażenia, jakie wzbudził w nim sen. Ten koszmar był tak realny...

W wielebnym dojrzało mroczne, złowróżbne przecucie. Wiedział, że nadciąga zdarzenie naprawdę straszne. Jego kolano nie myliło się nigdy, a dziś ból był silniejszy niż kiedykolwiek.

Wtem, zupełnie jakby fatum dosłyszało jego myśli, niebo nad gettem zajaśniało od kilku potężnych eksplozji. Wyglądało na to, że Grapes napotkał przy pacyfikacji tych czarnuchów więcej trudności, niż zakładano.

Grapes. Stawał się coraz trudniejszy do upilnowania. Był bardzo inteligentny i fanatycznie lojalny, ale miał w sobie szaleństwo, które czyniło go nieprzewidywalnym. Przez dłuższy czas stanowił sprawne, świeckie narzędzie Pana, ale niebawem trzeba będzie się go pozbyć. Greene musi się tym zająć. Może Grapesowi zdarzy się „wypadek”. Może ulegnie śmiertelnemu zatruciu. Pan wskaże właściwe wyjście.

Nieoczekiwanie budynkiem ratusza wstrząsnęła potężna eksplozja. Nad rafinerią zajaśniała kolosalnych rozmiarów kula ognia, wyrzucając w powietrze setki stalowych odłamków.

Greene poczuł w ciele lodowaty wicher i miał przez moment wrażenie, że jego jądra zmieniły się w kostki lodu. Bezlitosne kolano wyrocznia zaczęło pulsować. Bolało teraz potężniej niż kiedykolwiek wcześniej. Powracające rytmiczne ukłucia były jak marsz wybijany przez dobosza podczas egzekucji.

Greene zebrał się w sobie i odpędził czarne myśli. Wrócił do sypialni i pośpiesznie się ubrał. Stróżującym w przedsionku gwardzistom nakazał, by czekali w pogotowiu.

W niekompletnej jeszcze garderobie wielebny podszedł do sejfu i otworzył go. Najwięcej miejsca wewnątrz zajmował gruby segregator pełen fotografii, które były wyłączną własnością Greene'a. Obok niego leżały dwa woreczki wypełnione kamieniami szlachetnymi. Nie ich jednak teraz potrzebował. Sięgnął po leżącego w głębi sejfu colta M1911 i dwa magazynki. Wyjawszy broń ze skrytki, Greene ukrył ją pod kurtką. Nadszedł dzień, w którym sam będzie musiał bronić swego ziemskiego królestwa. Dzień, w którym to on stanie się narzędziem w rękach Boga.

Drzemiąca w wielebnym mroczna siła zaczęła wzbierać i wrzeć.

Kolumna pancerna pułkownika Honga wjechała do miasta, napotykając opór tak znikomy, że było to aż trudne do uwierzenia. Koreańczycy tylko dwukrotnie trafili na niewielkie oddziały milicji, a rozprawienie się z nimi nie sprawiło doborowym żołnierzom najmniejszego kłopotu. Ludzie Honga byli zdyscyplinowani i świetnie wyszkoleni, milicjanci półamatorzy nie mogli się z nimi równać. Problemem okazało się co innego: pułkownik i jego ludzie... zgubili się.

Pogrążone w ciemnościach miasto było jak labirynt, a żaden z żołnierzy nie mógł wysiąść i udać się na zwiad, ponieważ kolumnę nieustannie ostrzeliwali cywile. Domorośli snajperzy próbowali z okien swych domów pomóc milicji w odparciu ataku, nieświadomi, że lada chwila przyjdzie im stawić czoło zagrożeniu znacznie potężniejszemu niż oddział Honga. Nikt poza ludźmi pułkownika nie wiedział o wyrwie w murze i o tym, że do miasta nadciąga kilkudziesięciotysięczna rzesza Nieumarłych.

Dotarłszy do jednego z większych skrzyżowań, Hong chrząknął z zadowoleniem. Za otwierającą się z prawej strony szeroką opustoszałą aleją widać było morze. Przy nabrzeżu zaś, niczym uśpiony mastodont, stał potężnych rozmiarów tankowiec. Światła na pokładzie były włączone, krzątali się po nim marynarze.

Pierwszy z celów został więc namierzony, to jednak było dla pułkownika zbyt mało.

Jego ambicje sięgały teraz wyżej.

– Kim – zwrócił się do adiutanta – weź połowę ludzi i uderz na port. Przejmijcie statek w nienaruszonym stanie i weźcie żywcem co najmniej jednego członka załogi. Będzie nam potrzebny, żeby wskazać źródło ropy. Kiedy skończycie, uruchomcie silniki i czekajcie w gotowości do wypłynięcia na resztę jednostki. Utrzymuj ludzi w pogotowiu, możliwe, że będę musiał torować sobie drogę na pokład ogniem.

– Wedle rozkazu, towarzyszu pułkowniku – potwierdził cicho porucznik, którego nie ucieszyła wcale odpowiedzialna misja, jaką mu właśnie

powierzono. Unikając szklisto-trupiego spojrzenia Honga, Kim ośmielił się na odchodnym zadać przełożonemu pytanie. – A wy, towarzyszu pułkowniku, dokąd pojedziecie?

– Sprawdzić, skąd bierze się to. – Pułkownik wskazał na buteleczkę cladoxpanu, ledwie panując nad emocjami. – A kiedy mi się to uda, zapewnimy sobie miejsce na kartach historii.

Nasza kolumna była już na terenie miasta i pędziła w stronę granicy getta. Gdy dotarliśmy do mostu łączącego Bluefont ze stroną „aryjską”, padł na nas potężny snop światła z reflektora na wieży strażniczej. Gdzieś z wysoka dobiegł głos strażnika mówiącego przez megafon, ale nie sposób było zrozumieć jego słów. Hałas wytwarzany przez silniki, odgłosy wystrzałów i huk kolejnych eksplozji sprawiały, że nie mieliśmy najmniejszych szans czegokolwiek usłyszeć. Inna sprawa, że nie trzeba było geniuszu, by zgadnąć, co strażnik miał na myśli, zwłaszcza że z drugiej wieży powitała nas seria karabinowa. Naboje trafiły w pancerz pierwszego w szyku wozu pancernego, ale go nie przebiły.

– Na nich! – zawołał Mendoza przez radio.

Kierowca wozu pancernego wcisnął pedał gazu do samej podłogi, by masą pojazdu staranować bramę oddzielającą sektory. Ta, w odróżnieniu od potężnych wrót zewnętrznych, nie była wzmocniona, więc już pierwsze natarcie wystarczyło, by jeden z zawiasów ustąpił. Drugi ledwie sprostał sile uderzenia. Przerażeni milicjanci rzucali w stronę wozu granaty ręczne. Jeden z granatów dostał się do otworu wentylacyjnego na pancerzu, a jego wybuch sprawił, że maszyna zatrzęsała się i stanęła w płomieniach jak podpalone przypadkiem pudło sztucznych ogni. Milicjantom udało się unieruchomić wóz pancerny, jednak podmuch towarzyszący eksplozji był tak silny, że nadwyreżona uderzeniem brama nie wytrzymała i z łoskotem runęła na ziemię. Z wnętrza płonącej maszyny buchały płomienie i kłęby gęstego czarnego dymu, które zaraz spowiły wieże i sprawiły, że strażnicy przestali cokolwiek widzieć.

W szeregach milicjantów narastała panika. Przed ledwie kilkoma minutami minął ich pędzący w przeciwnym kierunku konwój Grapesa, z różnych punktów miasta dochodziły odgłosy wybuchów, a jakby tego było mało – na ich oczach dwuosobowa grupa rozwścieczonych helotów wyważyła właśnie bramę getta.

Wszyscy niedzielni stróże porządku poczuli nagle przemożną chęć, by biec co sił do domu i bronić swoich rodzin. Ignorując całkowicie rozkazy wykrzykiwane przez czterech dowodzących na moście członków Zielonej Gwardii, milicjanci rzucili się do ucieczki.

Wykorzystując chaos w szeregach ludzi Greene’a, przekroczyliśmy

umocnienia i wjechaliśmy do aryjskiej części Gulfport. Dla ogromnej większości helotów był to pierwszy w życiu pobyt po tamtej stronie kanału.

Dla mnie był to powrót do ogniska zarazy.

Grapes po raz nie wiadomo już który tej nocy zadawał sobie pytanie, czy oto ziszcza się jego najgorszy koszmar. To, co miało być łatwą akcją (i źródłem sadystycznej rozrywki), z każdą minutą przeradzało się w katastrofę. Nie dość, że „czyszczenie” getta zakończyło się fiaskiem, to jeszcze jakiś nieznany oddział zdołał się wedrzeć do miasta.

Aryjczyk zastanawiał się, co jeszcze za chwilę się spieszy.

Czując zimny dreszcz na grzbiecie, uświadomił sobie, że stracił panowanie nad sytuacją. Inicjatywa nie była już po jego stronie.

Przy otaczającym getto wewnętrznym murze zostawił około stu ludzi. Liczył na to, że helotów uda się jakoś upilnować i zapobiec próbom ucieczki. Ostatecznie kolorowi dostali właśnie solidny łomot, a bramy i zasieki przy przeprawach były bardzo solidne. Wystarczyło, by wytrzymały do czasu, aż Grapes wróci do Bluefont z Zieloną Gwardią i na nowo zajmie się sprawą.

Przewaga szefa aryjczyków polegała na tym, że doskonale znał miasto. Ktokolwiek uderzył właśnie na Gulfport, z pewnością nie mógł się z nim równać pod tym względem. Grapes zaś zamierzał wykorzystać swoją wiedzę w walce.

Aleja Zbawienia (przed nastaniem epoki Greene’a zwana aleją 4 Lipca) była jedną z głównych arterii miasta. Grapes wiedział, że tajemniczy nieprzyjaciel, który niedawno wysadził rafinerię i wkroczył do Gulfport, musi prędzej czy później tędy przejechać. Innej drogi do ścisłego centrum miasta po prostu nie było.

Tym samym sąsiedztwo alei wydawało się idealnym miejscem na zasadzkę.

Grapes szybko rozmieścił blisko czterystu ludzi, których nadal miał do dyspozycji. Część z nich posłał na dachy i do okolicznych budynków, a części kazał ukryć się za żywopłotami i kontenerami na śmieci. Mieszkańcy z przerażeniem obserwowali, jak do ich domów pakują się dziesiątki cuchnących potem i sadzą uzbrojonych po zęby mężczyzn. Liczne wychodzące na ulicę pokoje szybko zamieniono w prowizoryczne gniazda karabinów maszynowych. Na jezdni podłożono kilka min przeciwtransportowych pospiesznie przywiezionych z magazynu w jednostce Seabees.

Teraz ludziom Grapesa pozostało tylko czekać.

Koreańska kolumna szybko przemieszczała się ulicami Gulfport, miażdżąc w okamgnieniu słabe i nieliczne formy oporu. Obrona przez pułkownika taktyka

blitzkriegu była bardzo ryzykowna, ale Hong wierzył, że warto to ryzyko podjąć. Czuł zew walki. Flanki oddziału były zupełnie odsłonięte, więc pułkownik zdecydował się postawić na szybkość. Plan był prosty: uderzyć z prędkością błyskawicy, zniszczyć siły nieprzyjaciela i odjechać, nim ewentualne posiłki zdążą zareagować.

Jak dotąd taktyka ta się sprawdzała.

Pancerna karawana wjechała teraz na szeroką aleję, w głębi której widniał górujący nad resztą zabudowy podświetlony budynek. Na jego dachu powiewała ogromna biała flaga z zielonym krzyżem. Hong uśmiechnął się szeroko. Miał przed oczami swój cel.

Dobiegające z oddali wysokie brzęczenie zaalarmowało Grapesa i jego ludzi. Aryjczyk wychynął z ukrytego w różanych krzewach hummera, by upewnić się, gdzie znajduje się źródło dźwięku. Po chwili w głębi alei zobaczył wóz opancerzony otwierający kolumnę. Na jego frontowej części widniała potężna czerwona gwiazda, która w słabym i migotliwym świetle latarni wyglądała jak namalowana krwią.

Klucz pojazdów opancerzonych z dużą prędkością zbliżał się do pozycji Grapesa. Jeszcze pięćdziesiąt metrów, dwadzieścia, dziesięć...

Otwierający szyk wóz bojowy wjechał na minę.

BTR-60, którym jechał Hong, zadrzał w ognistym podmuchu, gdy pojazd jadący przed nim nagle wyleciał w powietrze, by po sekundzie zniknąć w chmurze gęstego dymu i pyłu.

– Miny! – krzyknął przestraszony kierowca, mocno odbijając kierownicą w prawo.

Drugi BTR o włos uniknął zderzenia z płonącym wrakiem. Ułamki sekund później kolejna z północnokoreańskich maszyn eksplodowała na minie i stanęła w ogniu. W niebo wzbiła się makabryczna fontanna metalowych odłamków i szczątków ludzkich ciał. Jednocześnie kolumna znalazła się pod ostrzałem. Ze wszystkich stron na pancerze pojazdów posypały się naboje.

– To zasadzka! – krzyknął Hong. – Utworzyć okrąg i odpowiedzieć ogniem!

Pułkownik sklął w myślach samego siebie za zbyt ni pośpiech i zgubny zapal. Nie wolno było pędzić w ten sposób przez miasto, nie sprawdziwszy, czy ulice nie są zaminowane. Kontynuowanie błyskawicznego natarcia stało się niemożliwe. Od tej pory pułkownik i jego ludzie musieli torować sobie drogę ogniem i powoli przeć naprzód.

Pierwszy wóz bojowy w szyku z potężnym hukiem wyleciał w powietrze.

Rozentuzjzmowani milicjanci wiwatowali. Ich okrzyki nasiliły się, gdy na minę wjechał kolejny pojazd.

– Zabić ich! – ryknął Grapes, czując, jak wraca mu pewność siebie. – Macie rozwalić ich wszystkich!

Pododdział porucznika Kima bez przeszkód przemieszczał się w stronę portu. Prowadziła do niego otwarta na oścież prosta brama. Pełniący przy niej straż milicjanci uciekli, gdy tylko zobaczyli w oddali nadciągającą kolumnę. Nieniepokojeni przez nikogo Kim i jego ludzie dotarli na nabrzeże.

Północnokoreański porucznik przez chwilę przyglądał się „Itace” onieśmielony potężnymi rozmiarami tankowca. Rozejrzał się. Na pokład prowadziły trzy trapy. Podzielił więc swoich ludzi na trzy drużyny, sam objął dowodzenie nad pierwszą z nich. Atak na tankowiec został rozpoczęty.

Gdy tylko porucznik postawił stopę na pokładzie, natknął się na rudego oficera. Młodziak zdumiał się na widok Koreańczyków niepomierne.

– Ej, co panowie tu wyrabiają? Nie wolno... – Nie było mu dane dokończyć zdania. Kula z pistoletu Makarow przeszła jego klatkę piersiową. Padając na ziemię, rudy oficer już nie żył.

– Naprzód, idziemy! Nie ociążać się! – pospieszał swoich ludzi Kim. Na całym statku rozbrzmiały odgłosy wystrzałów. Najwyraźniej dwóm pozostałym drużynom udało się już przedostać do pomieszczeń pod pokładem. Porucznik podzielił swoich ludzi na jeszcze mniejsze podgrupy, żeby przeczesać szybko i opanować cały statek z jego wielokilometrową płataniną korytarzy. Powinno się udać. Koniec końców, Kim miał do dyspozycji przeszło stu żołnierzy. Garstka marynarzy nie miała prawa okazać się dla nich zagrożeniem.

Coś gorącego o milimetry minęło ucho porucznika. Kim schylił się odruchowo i o włos uniknął kolejnej wystrzelonej w jego kierunku kuli. Nabój wbił się w stalową przegrodę tuż ponad głową Koreańczyka. Kim podniósł wzrok i zobaczył opartego o barierkę na mostku kapitańskiego brodatego, korpulentnego mężczyznę. Miał na sobie rozpięty kapitański mundur i z wściekłością raz po raz strzelał z karabinu snajperskiego do porucznika i jego ludzi.

– Uwaga! – krzyknął Kim. Ostrzeżenie było jednak spóźnione. Kolejny wystrzelony przez brodacza nabój strzaskał czaszkę jednemu z koreańskich żołnierzy.

– Poruczniku, schody! – Stojący o kilka metrów od Kima sierżant wskazał na stalowe szczeble prowadzące na mostek.

Na czele kilkusobowej drużyny Kim rzucił się biegiem we wskazanym kierunku. Pięli się coraz wyżej i z każdą sekundą zbliżali do brodatego strzelca. Ten nie czekał jednak biernie, tylko niestrudzenie pluł ogniem ze snajperki w

stronę napastników. Wśród ludzi porucznika przybywało ofiar. Już kilku żołnierzy leżało bez ruchu w kałuży krwi.

Kim czuł się tak, jakby jego płuca miały zaraz eksplodować. Tylko strach przed śmiercią i gniew pozwoliły mu pokonać ostatnie szczeble.

Wpadł na mostek. Strzelec obrócił się do niego przodem. Strzelanie z broni snajperskiej z tak małej odległości to nie był dobry pomysł, ale brodac postanowił spróbować szczęścia. Kula trafiła porucznika w biodro, a siła wystrzału powaliła go na ziemię. Koreańczyk zacisnął zęby i próbował podnieść się jak najszybciej. Chciał wykorzystać moment, w którym kapitan mocował się z zamkiem, próbując umieścić w komorze kolejny nabój.

Porucznik sięgnął po pistolet i wypalił dwa razy. Pierwsza kula trafiła brodatego mężczyznę w żołądek, druga utkwiała w klatce piersiowej, tuż poniżej srebrnej plakietki z napisem „Kpt. Birley”. Korpulentny brodac zachwiał się z głośnym jękiem, po czym padł ciężko na ziemię.

Kim, utykając, podszedł do ciężko rannego Birleya. Dotarło do niego, że z niewielkiej drużyny, która ruszyła schodami na górę, przeżył tylko on jeden. Konający kapitan patrzył na niego wzrokiem pełnym wściekłości i pogardy.

– Przeklęty... żółtku – wyszeptał ostatkiem sił. Głowa opadła mu ciężko na bok. Birley przestał oddychać.

Kim upewnił się, że brodac nie żyje, po czym rozejrzał się wokół. Znajdował się tuż obok punktu dowodzenia. Cóż, szkoda, że nie dało się wziąć kapitana żywcem, ale to nie przekreślało jeszcze szans na powodzenie misji. Gdzieś przecież musiały być mapy nawigacyjne, na których wytyczono ostatnią trasę.

Mimo odniesionej rany porucznik był w euforii. Czuł, że się uda. Było ciężko, ale wiedział, że zwycięstwo już blisko.

Zerknął przez ogromne okno na pokład tankowca. Bliżej części rufowej trwała zaciekle strzelanina, natomiast cały odcinek dziobowy mieli już pod kontrolą jego ludzie. Drużyna, która opanowała przód statku, ruszała właśnie w kierunku rufy, by pomóc w pacyfikacji marynarzy.

Nagle żołnierze natrafili na przeszkodę. Nawet z tej odległości Kim zauważył ich zdziwienie na widok stalowego płotu ustawionego w poprzek pokładu.

Oficer dowodzący drużyną na dziobie szarpnął kilkakrotnie za siatkę i przyjrzał się metalowym słupkom, ale wszystkie robiły wrażenie przytwierdzonych bardzo solidnie. Po chwili wpadł jednak na pomysł, jak poradzić sobie z nieoczekiwaną przeszkodą. Kim obserwował bezsilnie, jak oficer podkłada pod ogrodzenie ładunek wybuchowy i nakazuje ludziom, by się cofnęli.

– Nieeee! – krzyknął na całe gardło Kim, desperacko wymachując rękoma. Na wszelkie ostrzeżenia było już jednak zbyt późno.

„Itaka” dotarła do Gulfport ze zbiornikami po brzegi wypełnionymi ropą.

Prawie połowa tej gigantycznej ilości paliwa wciąż znajdowała się pod pokładem tankowca, pustą przestrzeń w zbiornikach zajmowały zaś łatwopalne gazy i opary. W normalnych okolicznościach zgromadzone w pustej części zbiorników gazy byłyby obojętne. Pech chciał, że parę miesięcy wcześniej uszkodzeniu uległ wymiennik ciepła, a mimo intensywnych poszukiwań nigdzie nie udawało się zdobyć części zamiennych.

Ładunek wybuchł, wyrывая z posad kilkumetrowy odcinek przegrody. Eksplozja dosięgła także jednej z rur wentylacyjnych odprowadzających opary ze zbiornika numer trzy.

Nie minęło pół sekundy, a ognisty podmuch wywołany wybuchem dotarł głęboko pod pokład, gdzie kłębiły się tysiące metrów sześciennych gazu pod dużym ciśnieniem. Nim ktokolwiek zdążył choć pomyśleć o tym, co się zaraz wydarzy, temperatura w trzewiach statku sięgnęła kilku tysięcy stopni Celsjusza.

Rozpaczliwy krzyk porucznika Kima nie umilkł jeszcze na dobre, gdy „Itaka” z potężnym hukiem wyleciała w powietrze i była to największa eksplozja, jaką kiedykolwiek widziało Gulfport.

Grapes z okrzykiem bojowym na ustach jak maniak pruł z karabinu do nieprzyjaciela. Udało się unieruchomić wrogą kolumnę i choć na razie żołnierzy drugiej strony (Chińczyków? Japończyków?) ubyło niewiele, to przynajmniej zostali uziemieni w jednym miejscu.

Choć przyprawiało go to o wściekłość i frustrację, Grapes musiał przyznać, że osaczone żółtki znały się na rzeczy. Gdy tylko minęło początkowe zaskoczenie, żołnierze natychmiast wyrównali szyki i przegrupowali się, by w zorganizowany i skuteczny sposób odpowiedzieć ogniem. Między nimi sprawnie poruszał się ponury, wysoki oficer. Pospiesznie wydawał rozkazy i przemieszczał się tak szybko, że Grapes mimo kilku prób nie zdołał go trafić. Dzieliła ich spora odległość, fakt, ale największą przeszkodą było to, że dowódca osaczonych ani razu nie przystanął w miejscu na tyle długo, by Grapes miał szansę solidnie przymierzyć.

Azjaci próbowali zająć ludzi Grapesa z flanki, ale aryjczyk przewidział ten ruch i ustawił zasadzki także na sąsiadujących ulicach. Brudna i krwawa walka uliczna miała szczególną specyfikę. Takie okoliczności sprawiały, że zacierały się różnice w doświadczeniu i wyszkoleniu. Umiejętności taktyczne i strzeleckie traciły na znaczeniu, bo gdzieniegdzie walka toczyła się już na bagnety, noże, a nawet na pięści. Żadna ze stron nie zamierzała dać za wygraną.

Nagle gwardzistę stojącego tuż obok Grapesa dosięgła seria z pistoletu maszynowego. Naboje poszatkowały jego korpus, aryjczyk padł martwy, nie zdążywszy nawet jęknąć.

Grapes otworzył szeroko oczy zdumiony i przestraszony.

Skąd, do jasnej cholery, padły te strzały?, głowił się. Już kilka sekund później musiał paść na podłogę, by uniknąć kolejnej serii, która przeszła szyby i karoserię jego hummera.

Dowódca aryjczyków spojrzał w stronę, z której oddano strzały. Zobaczył liczną grupę mężczyzn z białymi opaskami na ramionach. Prowadzili ostrzał z najbliższego skrzyżowania, dziesiątkując milicjantów, wziętych teraz w dwa ognie.

Białe przepaski. Ten pieprzony Szwed też taką miał.

– To Sprawiedliwi! – krzyknął. – Sprzedawczyki i zdrajcy Republiki! Zabić ich!

Milicjanci zwrócili się w stronę nowo przybyłego nieprzyjaciela i otworzyli ogień. Postaci z białymi opaskami szybko ukryły się za stojącymi przy skrzyżowaniu budynkami. Koreańczycy, tak samo jak ludzie Greene'a zdziwieni pojawieniem się Sprawiedliwych, nie zastanawiając się ani chwili, ruszyli naprzód, wciąż strzelając.

Teraz w górze alei pojawiła się dość niezwykła kolumna złożona z różnego rodzaju pojazdów. Była to przedziwna zbieranina wozów opancerzonych, śmieciarek, samochodów osobowych i furgonetek. Wszystkie pełne były uzbrojonych helotów, którzy z krzykiem na ustach szykowali się do boju.

Zaskoczeni od tyłu Koreańczycy natychmiast wykonali zwrot, by stawić czoło nowemu nieprzyjacielowi. Jeden z żołnierzy Honga zarzucił na ramię granatnik, starannie wycelował i pociągnął za spust. Pocisk ze świstem opuścił wyrzutnię, by sekundę później trafić w chłodnicę jadącej na czele ciężarówki.

Trafiona maszyna wybuchła, a jej załogę i pasażerów strawiły płomienie. Pozostałe pojazdy hamowały ostro lub odbijały na boki, by uniknąć zderzenia z płonącym wrakiem. Wreszcie kolumna zatrzymała się. Heloci pospiesznie opuścili maszyny i kryli się, starając się zająć jak najlepsze miejsca do prowadzenia ostrzału.

Zapanował kompletny chaos. W potężnym ulicznym starciu zwały się cztery różne grupy, a postronny obserwator nie miałby najmniejszych szans odgadnąć, kto jest przeciw komu. Nie był tego zresztą pewien nawet pułkownik Hong, który ze zdumieniem obserwował, jak przybyli w dziwacznej kolumnie otwierają ogień jednocześnie do jego ludzi i do twórców zasadzki. Zdało mu się nawet, że parę osób z grupy, która pojawiła się jako ostatnia, strzela do oddziału okopanego po przeciwległej stronie alei. Nie rozumiał tego i nie starał się zrozumieć. On sam i jego ludzie strzelali do wszystkiego, co się rusza, niezależnie od tego, skąd strzelano do nich. Pośród wrzawy, potwornego hałasu i ogólnej bieganiny nie sposób było ustalić, gdzie dokładnie znajdują się czyje pozycje.

– Kim! Kim! – pułkownik wydarł się na całe gardło, przywołując swego adiutanta. Natychmiast jednak uprzytomnił sobie, że przecież sam kazał mu jechać do portu i zająć tankowiec. Hong zaklął pod nosem. Sytuacja z minuty na minutę komplikowała się coraz bardziej. Pułkownik musiał jak najszybciej wyciągnąć swój oddział z tego młyna, bo inaczej on sam i wszyscy jego ludzie niedługo zginą.

Ile tu jest oddziałów?, głowił się wściekły, przebiegając wzdłuż mocno już przetrzebionego szyku, który tworzyli jego żołnierze. I kto tu przysłał tych wszystkich ludzi?

W dwie sekundy po tym, jak w zbiornikach „Itaki” doszło do wybuchu,

wokół tankowca utworzyła się rozpalona do czerwoności kula powietrza, gazu i płomieni o promieniu niemal czterystu metrów. To monstrum rozprzestrzeniło się w piorunującym tempie, zmiatając i wypalając do żywej ziemi wszystko, co napotkało na swej drodze. Morze ognia rozlało się na miasto i pochłonęło położoną najbliżej morza linię zabudowy. Płomieniom i piekielnej temperaturze towarzyszyła potężna fala uderzeniowa, która w drobny mak rozbiła szyby w promieniu kilku kilometrów. Rozżarzony podmuch o huraganowej sile wyprzedzał języki ognia, zrywając dachy i przewracając samochody z taką łatwością, jakby były zabawkami z plastiku.

Wreszcie ogień przestał rozprzestrzeniać się z tak zawrotną prędkością. Fala uderzeniowa parła jednak dalej, dopełniając dzieła zniszczenia.

– Ja pierdołę, nic nie rozumiem! Do kogo my strzelamy? – wrzasnąłem do Mendozy. Meksykanin zignorował moje pytanie. Skupiony był na swoim M4. Wybierał kolejne cele, starannie mierzył i celnymi strzałami powalał nieprzyjaciół.

Po chwili, omijając kawałki zbitego szkła, przyczołgał się do mnie Wiktor. Tuż ponad naszymi głowami dziesiątki naboju łomotało o ciężarówkę. Maszyna zapaliła się i zaczęła się robić nieciekawie.

– To jakieś kompletne szaleństwo! – Ukrainiec wydarł się na całe gardło, bym usłyszał go pomimo świstu kul i huku granatów. – To jakieś poronione „każdy na każdego”! Nie możemy tu zostać, bo nas zaraz zabiją! Jesteśmy zupełnie odkryci po bokach!

– Musimy dorwać Greene’a! – odparłem, również krzycząc z całych sił. – Jeśli uda się go załatwić, połowa milicji natychmiast się stąd zmyje!

– Ci z gwiazdami to nie milicja! – Wiktor wskazał na dziwnie przyodziały oddział, który właśnie szturmował jeden z domów. – To są mundury północnokoreańskie!

– Jaja sobie robisz?! Skąd, do cholery, wzięliby się tu Koreańczycy z Północy?!

Pritczenko wzruszył tylko ramionami, nie przerywając strzelania. W naszą stronę zbliżały się jakieś spowite mrokiem postaci, a Wiktor pruł do nich co sił z pistoletu maszynowego.

Aż nagle stało się coś niewyobrażalnego.

Zaczęło się od oślepiającego błysku, który w ułamku sekundy ustąpił miejsca fali ognia o iście biblijnej skali. Płomienie przelewały się ponad dachami jak fale rwącego potoku. Rozległ się ogłuszający, potężny huk. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie słyszałem tak silnej eksplozji. Oszołomieni przerażającym łoskotem poczuliśmy niewyobrażalnie mocne, niszczycielskie uderzenie rozpalonego, huraganowego wiatru.

Siła fali uderzeniowej była tak ogromna, że stojące wzdłuż alei domy zachwiały się w posadach, ich elewacje popękały, a szyby w oknach poszły w drobny mak. Pojazdy, z wyjątkiem najcięższych wozów bojowych, przewróciły się lub przetoczyły pośród tornada odłamków, drzazg i kamieni. Uderzenie ognistego wichru wyrzuciło mnie wraz z tuzinem innych osób wysoko w powietrze i cisnęło mną jak szmacianą lalką. Strzały umilkły, nad ulicą panował teraz niszczycielski żywioł.

Przeleciałem z pięć metrów. Miałem szczęście, bo wylądowałem na klombie z fiołkami, co znacznie złagodziło skutki upadku. Nim się podniosłem, dłuższą chwilę siedziałem przerażony i wstrząśnięty, przed oczyma mając kalejdoskop wirujących światełek. W uszach słyszałem dokuczliwy pisk.

Upewniwszy się z niemałym zdziwieniem, że wciąż jestem w jednym kawałku, zebrałem się w sobie i wstałem. Byłem mocno poobijany, ale wyglądało na to, że poza tym nic mi się nie stało. Dookoła słyszałem trzask płomieni i łomot spadających na ziemię przedmiotów wyrzuconych chwilę wcześniej w powietrze. Po chwili, gdy pisk w moich uszach nieco osłabł, doszły do mnie także jęki rannych.

Co najmniej połowa tych, którzy jeszcze przed momentem ścierali się w walce, była albo już martwa, albo tak ciężko ranna, że nie mogło być mowy o ratunku. Niedaleko mnie na jezdni leżał helota ze zdumieniem i przerażeniem przypatrujący się rurze, która przeszła go na wylot. Jak okiem sięgnąć, leżały ciała poparzone wybuchem lub poharatane odłamkami.

– Wiktor! Wiktor!

– Tu jestem. – Ukrainiec wyczołgał się spod sterty azbestu. – Co to, do jasnej cholery, było?

– Nie mam pojęcia, ale chyba jesteśmy w piekle.

Domy w obu pierzejach alei były kompletnie zrujnowane, a nad zabudowaniami bliżej portu unosiła się wyraźna, silnie połyskująca, czerwona łuna. Szalał tam pożar. Wielki pożar.

– Całe miasto się spali, zanim się połapiemy – powiedział cicho Ukrainiec, otrzepując ubranie.

Spod ruin domów wygrzebywali się kolejni cywile i uciekali w mrok, byle dalej od pożaru i pola walki. Każdy chciał się ratować. Skąd mieli wiedzieć, że miasta nie chroni już szczelny mur i że oddalając się od morza, biegną wprost na potężne rzesze Nieumarłych?

– Musimy szybko dostać się do ratusza! – Chwyciłem przyjaciela za ramiona. – To tam wytwarzają cladoxpan! Jeśli nie uda mi się zdobyć jednego z grzybów macierzystych, Lucía i ja będziemy zgubieni. I nie tylko my, ale też wszyscy heloci!

Wiktor ponad ścianą płomieni spojrział ponuro w stronę ratusza. Budynek

mocno ucierpiał przy przejściu fali uderzeniowej. Zniszczeniu uległ dach, wszystkie szyby były wybite, gdzieś połykiwały języki ognia. Po zatkniętej na gmachu fladze z zielonym krzyżem nie było śladu.

– To będzie nasz najważniejszy bieg w życiu – powiedział, zmieniając magazynek w swoim kałasznikowie. – Dasz radę?

Przytaknąłem zdecydowanie, choć bardzo się bałem.

– No to lecimy! – zawołał Pritczenko. – Zobaczymy się po drugiej stronie.

Grapes z krwawiącym czołem wygrzebał się spod gruzów. Miał szczęście, że przeżył. Przed kilkudziesięcioma sekundami rozżarzony metalowy odłamek o milimetry minął jego głowę. Z prawego ucha aryjczyka ciekła strużka krwi – huk towarzyszący eksplozji był tak donośny, że Grapesowi pękł bębenek. Malachiasz, słaniając się na nogach, opuścił ruiny i skierował się do miejsca, w którym znajdował się przed minutą.

Jego hummer zniknął. Ścisłej mówiąc, nie tyle zniknął, ile leżał na boku sześć metrów dalej, wbity połową długości w budynek. Po milicjantach nie było śladu. Większość jego ludzi zajęła stanowiska wewnątrz zabudowań po prawej stronie alei, te zaś były teraz tylko gigantyczną stertą dymiących zgliszcz. Dopiero po chwili z domów po drugiej stronie wyłoniło się kilku utykających, wystraszonych milicjantów. Nie wyglądało jednak na to, by Grapes miał z nich większy pożytek.

Jego siły zostały zredukowane niemal do zera. Niewiele brakowało, a zostałby sam.

Jedyną pociechą był fakt, że w pozostałych oddziałach sytuacja nie wyglądała lepiej.

Wtem Grapes kątem oka dostrzegł ruch. Dwie postaci wspinały się na stos poprzewracanych aut. Przyjrzwawszy się im uważniej, przetarł oczy – nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Nie, to niemożliwe – powiedział sam do siebie.

A jednak. Byli tam! Ten przeklęty kutasina adwokat i jego ruski kumpel.

Pieprzonemu prawnikowi z Hiszpanii udało się jakimś cudem przeżyć na wygnaniu i wrócić do Gulfport. Grapes widział go wyraźnie, jak oddalał się, kulejąc. Znajdowali się zaledwie kilkadziesiąt metrów od siebie.

Malachiasz wpadł w furję. Gniew przytłumił kiełkujące w nim poczucie klęski. Ten skurwiel nie będzie z niego kpić! Mowy nie ma!

Na ziemi leżał pistolet maszynowy. Grapes podniósł go i przyłożył do ramienia. Nie spuszczać wzroku z dwóch biegnących mężczyzn, wycelował bardzo starannie. Tamci byli już za liniami Azjatów i szybko się oddalali, był to ostatni moment, by oddać strzał.

Grapes nacisnął spust, jednak broń nie wypaliła. Spróbował jeszcze kilka razy, ale na próżno. Zamek M4 nie działał. Prawdopodobnie zniszczyła go

eksplozja.

Wściekły cisnął broń na ziemię. Po chwili dostrzegł dwóch gwardzistów, którzy właśnie wygrzebali się spod zgliszczy.

– Tam! – wrzasnął, wymachując szaleńczo rękoma. – Macie załatwić tamtych dwóch!!

Mężczyźni zawahali się przez moment, ale usłuchali rozkazu. Przyjęli pozycję i otworzyli ogień. Zbyt późno jednak. Kilkusekundowe zawahanie pozwoliło jednemu ze zbiegów znaleźć się poza skutecznym zasięgiem broni. Drugi mężczyzna wyraźnie kulał i gdy gwardziści zaczęli strzelać, nie miał innego wyjścia niż ukryć się za przewróconym samochodem.

– Nie dajcie mu uciec! – krzyknął Grapes do swych ludzi. – Ma się stąd nie ruszyć na metr! Tym drugim zajmę się sam!

Lider aryjczyków przeskoczył przez stos trupów i rzucił się w pogoń za pierwszym z uciekających. Ten biegł co sił i był już bardzo blisko ratusza.

Kule świszczały dookoła, a ja, przytulony do karoserii przewróconego auta, dokładałem wszelkich starań, by skurczyć się i stać niewidocznym. Tylko krok dzielił nas z Wiktorem od opuszczenia pobojowiska, gdy nagle zaczęli do nas strzelać. Ledwo uszedłem z życiem, w ostatniej chwili rzucając się na ziemię. Pritczenko z kolei szybkim susem ukrył się za ceglany murkiem otaczającym ogród przy jednym z domów i zszedł z linii strzału tym, którzy teraz zasypywali mnie gradem kul.

Ukrainiec spojrzał na mnie i szykował się, by skoczyć w moją stronę.

– Nie, biegnij dalej! – krzyknąłem. – Biegnij do ratusza, do cholery! Tam się złapiemy!

Mój przyjaciel jeszcze się wahał.

– Wiktor, jeśli któryś z nas nie zatrzyma tych tutaj, to zrobią z nas sito, nim przebiegniemy sto metrów!

Pritczenko rzucił okiem w obydwie strony, po czym skinął głową. Wiedział, że mam rację.

– Tylko uważaj! – Rzucił w moją stronę magazynki od swojego kałasznikowa. – Wrócę tu po ciebie za chwilę! Wytrzymaj!

Przytaknąłem, choć w głębi duszy nie byłem ani trochę przekonany, że mi się to uda. Czy Wiktor wyobraża sobie, że „wytrzymam” tu choć kilka minut? Nic jednak nie powiedziałem, nie było czasu na gadanie. Ogień z sąsiednich budynków ślizgał się już po dachu ratusza.

Wiktor ostatni raz spojrzał na mnie i zrobił dłonią gest, którym chciał chyba powiedzieć: „Spokojnie, wszystko będzie w porządku”.

Następnie rzucił się biegiem w stronę ratusza. Po chwili straciłem go z oczu.

Wybuch rzucił Hongiem o podłogę wozu bojowego z taką siłą, że pułkownik poczuł, jak pęka mu zebro. Stłumił cisnący się na usta okrzyk bólu i niemal natychmiast się podniósł. Gdy podgrupa wpadła w zasadzkę, Hong miał pod komendą stu dwudziestu ludzi. Teraz została ich ledwie garstka, a i pośród tych nielicznych, którzy wciąż żyli, większość była zbyt ciężko ranna, by angażować się w walkę.

Pułkownik czuł gorzki smak porażki. Aż za dobrze domyślał się, co było źródłem potężnej eksplozji, która przetoczyła się nad aleją. To zaś oznaczało tylko jedno – koniec jego misji.

Hong oparł się o pancierz wozu bojowego i patrzył tępo przed siebie. Sięgnął ręką do kieszeni kurtki. Jego dłoń natrafiła na butelkę cladoxpanu.

Pułkownik poderwał się z miejsca. Nie wszystko było stracone.

Jeszcze nie.

Wziąwszy głęboki wdech, przeszedł na drugą stronę maszyny i puścił się biegiem do ratusza. Był to bieg ostatniej szansy, bo budynek pomału stawał w płomieniach.

Mendoza usłyszał strzały. Ostrożnie uniósł głowę i wyjrzał, by zobaczyć, co dzieje się na pobojuwisku. Aleję rozświetlały płomienie pożaru, jak okiem sięgnąć, wszędzie leżały zwłoki. Bijący od ognia czerwony blask nadawał i tak już ponuremu otoczeniu jeszcze bardziej makabryczny wygląd. Walki ustały. Ciszę nad pobojuwiskiem zakłócali tylko dwaj gwardziści ostrzeliwujący leżący nieopodal przewrócony samochód.

To było dwóch ostatnich Zielonych! Cała reszta albo zginęła, albo uciekła. Mendoza czuł, że ostateczne zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Miasto białych płonęło, a on wciąż żył! Gniew Sprawiedliwych zmiotł ciemżycieli. Zemsta już się niemal dokonała. Pozostawał jeden, ostatni szczegół.

Dobytując resztek sił, Meksykanin rzucił się w stronę strzelców. Uderzę z zaskoczenia i rozwalę skurwysynów, myślał. A wtedy zostanie mi tylko Greene.

Hong i Mendoza zauważyli się niemal jednocześnie. Meksykanin nie zwolnił biegu, choć widok północnokoreańskiego munduru mocno go zdziwił. Nie miał pojęcia, kim jest ten dziwnie wyglądający Azjata, ale z pewnością nie był to

nikt z jego ludzi. Nie zastanawiając się więc dłużej, wyciągnął pistolet i biegnąc, wypalił kilkakrotnie w stronę Honga.

Pułkownik wybrał inne wyjście. Zaciśnął zęby i przyspieszył kroku, ale nie strzelał.

Blżej. Muszę być bliżej.

Gdy dwaj mężczyźni znaleźli się niespełna dziesięć metrów od siebie, Mendoza trafił Koreańczyka w ramię. Hong zachwiał się, bardziej ze zdziwienia niż z bólu, i parł dalej naprzód. Teraz wreszcie sięgnął po swojego makarowa i oddał trzy strzały.

Pierwszy chybił, ale dwa kolejne naboje dosięgły Meksykanina i przeszły mu klatkę piersiową. Mendoza runął do tyłu niesiony siłą wystrzałów. Jego ciało zadrgało kilkakrotnie w konwulsjach, po czym rozluźniło się i zamarło.

Hong przystanął, dysząc ciężko, i przyjrzał się ranie na swoim ramieniu. Nie była zbyt głęboka, ale musiał ją opatrzyć, gdy tylko nadarzy się okazja. Z pistoletem w dłoni zbliżył się do zwłok Mendoza i wymierzył im kopniaka.

Cholerny skurwielu. O mało mnie nie zabiłeś.

Oderwał wzrok od ciała i spojrzał w stronę ratusza. Pięćdziesiąt metrów od siebie zobaczył żołnierza z zieloną przepaską na ramieniu ostrzeliwującego wrak samochodu po przeciwległej stronie skrzyżowania. Obok gwardzisty leżały zwłoki jego kolegi – to znaczy, że ostrzeliwany, który ukrywał się za autem, skutecznie odpowiedział ogniem.

Pułkownik postanowił się nie mieszać. Niech zabijają się między sobą, kimkolwiek są. On miał teraz na głowie coś znacznie ważniejszego niż uliczne strzelaniny.

Nieoczekiwanie Hong usłyszał u swych stóp metaliczny brzęk. Spojrzał w dół. Po asfalcie toczyły się dwie zawlecзки. Zakrwawiona dłoń chwyciła go za nogawkę.

– Co, do cholery...?

Z ziemi patrzył na niego Carlos „Kot” Mendoza. Ostatnie tchnienia życia opuszczały poszatkowane nabojami ciało Meksykanina, ale on nie zamierzał odejść z tego świata sam. Resztkami sił trzymał przy ciele dwa odbezpieczone granaty.

Hong pobladł i odruchowo spróbował zrobić krok wstecz. Konający Meksykanin nie wypuszczał jednak z garści jego nogawki.

– Pies cię jebał, cholerny skurwysynu – wymamrotał Mendoza i były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział w życiu.

Granaty wybuchły niemal jednocześnie. Pułkownik Hong zobaczył jeszcze ognisty błysk towarzyszący eksplozji. Koreańczyk zginął, nie wypuszczając z dłoni niewielkiej butelki, która miała uczynić go bohaterem.

Szkoło z wybitych okien kruszyło się pod stopami Wiktora, gdy szedł przez zdewastowany hol ratusza. W pustych framugach łopotały zasłony. Przez wybite okna i wyrwy na frontonie budynku do wnętrza dostało się sporo rozżarzonego popiołu, od którego zajęło się trochę przedmiotów i porozrzucanych tu i ówdzie papierów. Ogień widać było już w kilku punktach holu. Na razie płomieni było niewiele i sytuacja nie wydawała się groźna, istniało jednak poważne ryzyko, że niedługo słabe ogniki połączą się w jeden duży pożar, a wtedy w budynku rozpęta się piekło.

Wiktor rzucił na ziemię kałasznikowa – bez amunicji broń była bezużyteczna. Sięgnął po swój stary nóż wojskowy. Pritczenko szedł przed siebie, a uszkodzony transformator sypał naokoło iskry, rozświetlając pomieszczenie nieregularnymi błyskami.

Ukrainiec zastanawiał się, gdzie powinien rozpocząć poszukiwania. Miał bardzo niewiele czasu, a budynek był ogromny. W jednym z pomieszczeń wychodzących na główny korytarz belki stropowe runęły z hałasem na podłogę. Cały budynek trzeszczał i zgrzytał, temperatura wewnątrz rosła, a ogień pomału rozprzestrzeniał się. Hol wypełniał zapach dymu. Wtem Pritczenko usłyszał za sobą kroki.

– No i zobacz, w końcu o mało mnie nie przegoniłeś – zaczął Ukrainiec z uśmiechem, odwracając się z ulgą. – A mówiłem, żebyś poczekał, aż...

Słowa uwięzły mu w gardle, a uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

W wejściu do ratusza, obok skrzynki pożarowej, stał Grapes. Obserwował Pritczenkę z zakrwawioną twarzą i szaleństwem kipiącym w oczach. W dłoni trzymał strażacką siekiere, którą właśnie zerwał ze ściany.

– Ty przeklęty, zasrany konusie – warknął, ruszając w stronę Wiktora – pieprzony, zdradziecki ruski kurdupłu.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Grapes. – Pritczenko odetchnął głęboko. – Wyglądasz na zmęczonego, wiesz?

– Od początku wiedziałem, że masz jaja. Trzeba ci to przyznać. – Z ust Grapesa dobył się krótki, dziwnie brzmiący chichot. – Mogłeś tu dokonać ze mną wielkich rzeczy. Mogłeś mieć kobiety, władzę i bogactwo. Mogłeś żyć jak pan!

Ukrainiec przełożył nóż z ręki do ręki i oparł się o ladę recepcyjną. Robił

wrażenie swobodnego, zupełnie jakby cała sytuacja zupełnie go nie dotyczyła, ale ani na moment nie spuszczał Grapesa z oczu. Gwardzista łukiem zbliżał się ku Wiktorowi, a pokonując niemal niepostrzeżenie kolejne metry, nie przestawał mówić.

– Źle dobrałeś sobie przyjaciół, rosyjski kolego. – Tu aryjczyk zaśmiał się pogardliwie. – Twój kumpel prawnik już nie żyje, a ty jesteś w pułapce. Trzeba było być mądrzejszym przy wyborze stron.

Wiktor otworzył usta i ziewnął teatralnie.

– Skończyłeś już czy muszę jeszcze słuchać tych twoich debilnych wynurzeń? – spytał, ważąc w dłoni nóż.

Grapes z wrzaskiem rzucił się na Wiktora. Dowódca Zielonych chciał zdekoncentrować Pritczenkę i podejść możliwie blisko niego, by mieć pewność, że nie chybi. Wiktor jednak nie urodził się wczoraj i z łatwością przejrzał zamiary Grapesa.

Ostrze siekiery z suchym trzaskiem rozłupało ladę recepcji dokładnie w miejscu, o które jeszcze ułamek sekundy wcześniej opierał się Pritczenko. Aryjczyk natychmiast wyrwał siekiere z lady i zamachnął się ponownie, jakby był owładniętym żądzą krwi wikingiem.

Wiktor uniknął ciosów, cofając się w stronę podstawy schodów. Grapes parł do przodu, wywijając nad głową siekierą, której ostrze raz po raz z przerażającym świstem przecinało powietrze. Darł się przy tym jak opętany. Wiktor robił uniki, ale z niepokojem zauważył, że ma za sobą coraz mniej miejsca. O tym, żeby zbliżyć się do Grapesa, nawet nie myślał, zważywszy, że jedyną jego bronią był nóż.

Jeszcze kilka kroków i przy kolejnej próbie wycofania się Wiktor natrafił stopą na pierwszy stopień schodów. Zachwiał się i musiał chwycić się poręczy, by nie upaść. Grapes dostrzegł szansę. Z całych sił zamachnął się na rękę Pritczenki. Wiktor z ledwością zdążył puścić poręcz i paść na ziemię. Ostrze siekiery z ogromną siłą runęło w dół i strzaskało dębowe drewno, wzbijając wokół chmurę drzazg.

Grapes warknął i szarpnął siekierą, chcąc wyprowadzić kolejny cios. Ostrze jednak utkwilo głęboko i nie ustępowało. Na taki moment właśnie czekał Wiktor. Zerwał się błyskawicznie z podłogi, jak kobra rzucił do ataku i zatopił nóż w przedramieniu aryjczyka. Potężny gwardzista zawył z bólu i odruchowo cofnął się o krok. Powstała przestrzeń była niewielka, ale dla specy takiego jak Wiktor okazała się wystarczająca. Ukrainiec wyprowadził krótkie, silne pchnięcie i wbił ząbkowane ostrze w wewnętrzną część uda Grapesa.

Aryjczyk ponownie ryknął z bólu i zachwiał się. Był rozwścieczony, ale czuł, że słabnie. Wiktor nie atakował, tylko stał nieruchomo i bacznie przyglądał się liderowi aryjczyków.

– Poćwiartuję cię, skurwysynu – wysapał Grapes. Przesunął dłonią po twarzy. Mgła przesłaniała mu oczy, poczuł chłód w całym ciele. Ze zdziwieniem stwierdził, że kleją mu się spodnie. Dopiero spojrzawszy w dół, zobaczył, że całe są przesiąknięte krwią.

– To z tętnicy udowej – objaśnił chłodno Wiktor. – Przeciąłem ci ją. Wykrwawiasz się, Grapes, jesteś już trupem.

Niemożliwe! Nie! Nieee!

Aryczyk zrobił krok w stronę Pritczenki, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na kolana. Ukrainiec ze spokojem podszedł do niego i chwycił go za podbródek.

– Śmierć z wykrwawienia jest prawie bezbolesna – powiedział, przykucnąwszy obok Grapesa. – Człowiek po prostu pomału zasypia i więcej się nie budzi. To byłaby dużo lepsza i lżejsza śmierć niż ta, którą zafundowałeś tysiącom ludzi w pociągach deportacyjnych. Dlatego mam dla ciebie na pożegnanie mały prezent.

Grapes uchylił usta, starając się coś powiedzieć, ale nim zdążył dobyć z siebie choć słowo, Wiktor zatopił ostrze noża w jego brzuchu. Aryczyk jęknął głośno, a jego oczy zaszklily się od łez.

– To za to, że jesteś psychopatycznym skurwysynem – wycedził Pritczenko, wyszarpując ostrze i przymierzając się do zadania następnego ciosu. – A to od Lukullusa, bydlaku – syknął, wbijając Grapesowi nóż prosto w genitalia.

Malachiasz padł na podłogę zwinięty w kłębek. Kałuża jego krwi coraz szerzej rozlewała się po posadzce. Aryczyk, nawet leżąc, nie spuszczał wzroku z Pritczenki, a jego oczy lśniły nienawiścią. Po chwili jednak złowrogie ogniki w źrenicach Grapesa zaczęły przygasać, by moment później zniknąć zupełnie.

Wiktor w zamyśleniu przyglądał się zwłokom aryczyka. Zabijanie prawie nigdy nie sprawiało mu przyjemności, to był jeden z nielicznych wyjątków, okazja naprawdę specjalna. Prit pochylił się nad ciałem i wytarł ostrze o koszulę Grapesa. Wyprostował się i ruszył dalej szukać laboratorium.

Nie usłyszał nawet wystrzału. Poczuł tylko potężny cios w plecy i uczucie narastającego gorąca. Ręce zaczęły mu nagle potwornie ciążyć, a nogi stały się miękkie jak z waty. Chciał odwrócić głowę, nim upadnie, ale nie zdołał.

Ciało Pritczenki jak ścięte drzewo runęło na posadzkę holu. Palce jego sztywniejących dłoni drapnęły parokrotnie zdewastowany parkiet, po czym Ukrainiec przestał się ruszać.

Z wysokości schodów, trzymając w dłoni colta z dymiącą lufą, przyglądał mu się wielebny Greene. W oczach kaznodziei gęstniał mrok, a za jego plecami zdawał się rozpościerać coraz czarniejszy i potężniejszy cień.

Jednego udało mi się załatwić, ale drugi wciąż walił w moją stronę. Nie strzelał już na ślepo, by nie marnować amunicji, lecz wyczekiwał na moment, gdy się poruszę lub spróbuję wychylić zza samochodu.

Gdy wybuchły granaty, Zielony odwrócił się zaskoczony w stronę źródła hałasu. Instynktownie poderwałem się i nie celując nawet, zacząłem strzelać. Kałasznikow, którego miałem w dłoniach, ustawiony był na tryb automatyczny. Opróżniłem pół magazynka, a naboje zamieniły tors gwardzisty w krwawe sito.

Mój ostatni przeciwnik runął na ziemię. Nad niedawnym polem bitwy zaległa cisza. Rozejrzałem się. Na całej alei nikt poza mną nie stał ani nie mógł się podnieść. Asfalt zasłany był ciałami. Lżej ranni jęczeli z bólu i czołgając się powoli, próbowali dowlec się do jakiegoś bezpiecznego miejsca. Ci, którzy odnieśli ciężkie rany, bezradnie przyglądali się, jak trawiący wszystko na swej drodze pożar z każdą minutą się przybliża, i czekali na śmierć w płomieniach.

Nie zostałem, by pomóc. Ranni muszą sami dać sobie radę. Wymkną się śmierci w poździe lub zginą. Moją głowę zaprzętała teraz tylko jedna myśl: trzeba jak najszybciej stąd uciec. Mocno utykałem, ale jak tylko mogłem najszybciej, przemieszczałem się w stronę ratusza. Czasu było coraz mniej.

Kulejąc, wspierałem się po schodkach prowadzących do głównego wejścia. O odrzwia oparte były bezgłowe zwłoki mężczyzny. Fala uderzeniowa cisnęła nimi na znaczną odległość. Całe ubranie na zmarłym było poplamione krwią. Nie sposób było odgadnąć, do którego obozu należał przed śmiercią ten człowiek. Teraz nie miało to już jednak żadnego znaczenia.

Wszedłem do holu i stanąłem jak wryty. Zupełnie nie spodziewałem się takiego widoku.

Na środku posadzki, w ogromnej kałuży świeżej krwi, leżał skulony Grapes.

Był martwy.

Obok, twarzą do podłogi, leżało też inne ciało. Jedno spojrzenie na włosy zabitego starczyło, bym z przerażeniem odgadł, kto to.

Nie, błagam! To niemożliwe, to niemożliwe...

Padłem na kolana przy ciele Wiktora. Przewróciłem przyjaciela na plecy. Chciałem wierzyć, że wciąż żyje. Kula dużego kalibru trafiła go między

łopatkami i przeszła na wylot przez klatkę piersiową. Prit był przeraźliwie blady i bardzo mocno krwawił.

– Wiktor! Wiktor, powiedz coś! No odezwij się! – Byłem tak wstrząśnięty i przerażony, że nie potrafiłem jasno myśleć. Pospiesznie ściągnąłem przez głowę koszulę i rozdarłem ją, chcąc czymkolwiek opatrzyć ranę i zatamować krwotok.

Gdy przytknąłem tkaninę do ciała Wiktora, momentalnie przesiąkła krwią. Rana miała dużą średnicę, a krwotok był potężny – nie miałem szans go zahamować. Nie chciałem nawet myśleć o obrażeniach wewnętrznych, jakie musiała spowodować kula.

Wiktor jęknął słabo i otworzył oczy. Jego spojrzenie było zagubione i mętne. Mimo że byłem tuż przy nim, Ukrainiec przez chwilę wodził wokół wzrokiem, starając się mnie wypatrzeć. Przeraziłem się jeszcze bardziej. Skóra Prita była bardzo zimna, ale on nie drżał. Koszmar.

– Widzę, że... w końcu... dotarłeś. – Głos Wiktora był ledwie słyszalny, brzmiał raz nieco głośniejszy, raz cichutko i niezrozumiale, jak zanikający sygnał radiowy. – Sporo... ci zeszło.

– Wiktor. – Z trudem hamowałem płacz. – Wiktor, proszę cię, nie umieraj. Tylko nie umieraj.

– Myślę, że... muszę... – Ciałem Ukraińca wstrząsnął atak niekontrolowanego kaszlu. Zmieszana ze śliną krew ściekała mu po podbródku, po drodze barwiąc na czerwono jego wąsy. – Musicie przeżyć... Lucía i ty... Zróbcie to dla mnie... – Chwycił mnie mocno za ręce i wbił we mnie spojrzenie. – Obiecuj... Obiecuj mi, że dacie radę!

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Skinąłem tylko głową. Wiktor wskazał dłonią ranę na piersi, a potem uniósł rękę lekko do góry.

– To on... Greene... uważaj na niego, dobra? – Kolejny atak kaszlu nie dał mu wypowiedzieć następnego zdania. Dopiero po chwili Ukrainiec, bardzo starając się uśmiechnąć, spojrzał na mnie i wyrzekł swoje ostatnie słowa. – Mówiłem ci... że zobaczymy się po drugiej stronie.

Twarz Pritczenki wykrzywił grymas bólu. Na moment Wiktor zeszywniał na całym ciele, po czym rozluźnił się zupełnie. Na jego twarzy zagościł spokój.

Mój przyjaciel umarł.

Nie wiem, ile czasu spędziłem, klęcząc przy zwłokach Wiktora. Wiem tylko, że płakałem, krzyczałem i kląłem na całe gardło. Wiem też, że w końcu odciągnąłem ciało przyjaciela na schody budynku. Nie mogłem dopuścić, żeby jego krew zmieszała się z juchą tego zbrodniarza Grapesa. Pamiętam, że w końcu oparłem zwłoki Wiktora o samochód stojący przed budynkiem. Twarz

Pritczenki była biała jak papier, a włosy opadały mu na oczy.

Pamiętam też tyle, że gdy w końcu wszedłem znów do płonącego ratusza, towarzyszyła mi jedna tylko myśl: Greene, jesteś już trupem.

Korytarze ratusza zamieniły się w piekło. Po potężnej eksplozji na „Itace” ani jedno okno w budynku nie pozostało nienaruszone. Przez powybijane szyby do wnętrza wpadło mnóstwo rozżarzonych odłamków i iskier, od których zajęły się stopy walających się po podłodze papierów. Część budynku już teraz stała w ogniu, a że nie miał go kto gasić, pożar gmachu był kwestią czasu. Mój dawny gabinet zmienił się w opalany meblami i papierem piec, z którego buchały potężne podmuchy gorąca.

Minąłem pomieszczenie i jak najszybciej ruszyłem do łącznika prowadzącego do gmachu dawnego banku. Dym na korytarzach gęstniał z każdą chwilą, więc kasłałem prawie bez przerwy. Coraz ciężiej było mi oddychać, czułem się tak, jakby moje gardło wyłożono papierem ściernym. Gdy jednak dotarłem do łącznika, owiał mnie przyjemny, chłodny podmuch. Płomienie nie dotarły jeszcze do tej części budynku, a przez stłuczone okna wpadało na korytarz świeże powietrze.

Byłem w miejscu, gdzie do niedawna znajdował się strzeżony przez gwardzistów punkt kontrolny. Na podłodze wciąż leżało pisemko z gołymi panienkami, które przeglądał jeden z nich. Nadepnąwszy po drodze na porzucony „świerszczyk”, wszedłem ostrożnie na teren laboratoriów.

Już w pierwszym pomieszczeniu natknąłem się na zwłoki kobiety w średnim wieku ubranej w biały fartuch. Postrzelono ją dwukrotnie – w serce i czoło. Miała pecha, że jej dyżur wypadł akurat na tę przeklętą noc. Egzekucja w mafijnym stylu, pomyślałem. Ten, kto to zrobił, bez wątplenia znał się na rzeczy.

Obok zwłok kobiety leżało ciało Ballariniego, szefa zespołu badaczy. Włoch nie był, jak wcześniej, ubrany w garnitur. Miał na sobie piżamę, na którą narzucił szary prochowiec. Dramatyczne wydarzenia ostatnich kilkadziesiąt minut wyrwały go ze snu. Wyskoczywszy z łóżka, Ballarini popędził do swojego umiłowanego laboratorium, by ratować, co się da. Ktoś jednak stanął mu na drodze.

Rany postrzałowe na ciele Włocha były znacznie mniej czyste – z pewnością nie zabił go zawodowiec. Brzuch naukowca rozszarpała kula dużego kalibru, a jego twarz zastygła w grymasie niesłychanie przykrego zaskoczenia. Włoch wyglądał tak, jakby nawet po śmierci nie był w stanie uwierzyć, że faktycznie nie żyje. O metr od zwłok leżał nocny kapeć, do którego zdążyła już dotrzeć

sącząca się z ciała struga krwi.

Przeładowałem kałasznikowa i pomału ruszyłem po schodach prowadzących do dawnego skarbcza. Z dołu dobiegał metaliczny, powtarzalny hałas.

Jarzeniówki oświetlające laboratorium zamrugały kilkakrotnie, po czym światło mocno przygasło. Budynek zasilany był teraz generatorem awaryjnym, który najwyraźniej zaczynał szwankować. Bezgłośnie przebyłem ostatnich kilka metrów i ostrożnie zajrzałem do skarbcza.

Byli tam Greene i jeden gwardzista – potężnie umięśniony rosły facet. Ten drugi uwijał się jak w ukropie, raz po raz potężnie rażąc siekierą kadzie do wytwarzania cladoxpanu.

Osilek zdążył roztrzaskać już wszystkie z wyjątkiem dwóch. Cała podłoga zalana była lekiem, który szerokimi strumieniami ściekał do kratki odpływowych. Greene przyglądał się temu dziełu zniszczenia z chorobliwym błyskiem w oczach, kurczowo ściskając w rękach dwa przedmioty: pistolet i kadź z grzybem macierzystym. Wielebny zamierzał zniszczyć wszelkie źródła leku poza jednym – tym, które należeć będzie do niego.

Potężnym ciosem gwardzista roztrzaskał ostatnią kadź. Pęknięte naczynie z głośnym brzękiem spadło na podłogę. Rozprysk z przewracającej się kadzi mocno ochlapał obu mężczyzn, po czym reszta leku spłynęła po podłodze w kierunku studzienki znajdującej się tuż przy wejściu. Wykorzystałem to, że świeża stróżka cladoxpanu przepływa o centymetry ode mnie – schyliłem się bezszelestnie i kilkakrotnie zaczerpnąłem w dłoń białawej cieczy.

Parę niewielkich łyków spłynęło mi do żołądka, powodując po drodze wrażenie palenia w gardle. Lek, którego się napiłem, miał znacznie wyższe stężenie niż rozrzedzona mleczna ciecz, która ratowała mnie wcześniej. Poczułem nagły przyływ adrenaliny, tak mocny, że aż się zachwiałem. Ból promieniujący ze wszystkich sińców, zadrapań i oparzeń na moim ciele momentalnie ustąpił. Byłem pewien, że gdy przestanie działać cladoxpan, ból powróci ze zdwojoną siłą, jednak w tym momencie czułem się wprost doskonale.

Podniosłem się i stanąłem w drzwiach. Greene i potężny gwardzista z początku mnie nie zauważyli. Byli zbyt zajęci dewastowaniem laboratorium. Wtem wielebny chwycił się za kolano, jakby poczuł nagłe, bolesne ukłucie. Z szeroko otwartymi oczyma zwrócił się w moją stronę.

– To ty! – krzyknął.

– Tak – odparłem sucho.

Nie mówiąc ani słowa więcej, wycelowałem w gwardzistę i wypaliłem.

Osilek próbował sięgnąć po broń (berette dla zawodowców, z tłumikiem), którą odłożył na półkę, ale nie zdążył.

Pierwszy nabój trafił go w nogę i powalił na ziemię. Drugi, śmiertelny strzał

przeszył serce. Gwardzistę miałem z głowy.

Spojrzałem teraz na Greene'a. Wielebny trząsał się (nie wiem, czy ze strachu, czy z wściekłości) i nie odrywał ode mnie wzroku. Wyglądał, jakby zobaczył właśnie ducha. Uniósł drżącą dłonią colta i z trudem wycelował w moją stronę.

– Jesteś pomiotem Belzebuba – wybełkotał ze skrzącymi się nienawiścią oczami. Zgubił gdzieś swój kapelusz stetson, a włosy na głowie miał komicznie poczochrane. – Jesteś diabłem, antychrystem! Obraża w oczach Pana! Przyszedł czas, byś wreszcie raz na zawsze połączył się z Szatanem. – Pociągnął za spust.

W tym dokładnie momencie szwankujący generator ostatecznie padł. Wszystkie światła zgasły. Instynktownie rzuciłem się na ziemię. Wystrzał z colta na ułamek sekundy rozświetlił pomieszczenie, a kula, świszcząc w powietrzu, o centymetry minęła moją głowę. Nie podnosząc się, natychmiast otworzyłem ogień. Seria z kałasznikowa przeszła ramię wielebnego, który z krzykiem wypuścił z ręki broń. Chciał schylić się i podnieść pistolet, ale nim zdążył to zrobić, zerwałem się i rzuciłem na niego z morderczą furją.

Runąłem na Greene'a z taką siłą, że padł na łopatki. Wielebny miotał się, drapiąc mnie po twarzy i próbując ugryźć w szyję.

– Nie jesteś w stanie mnie zabić! Jestem prorokiem! PROROKIEM!

Tuż obok nas stała ostatnia niezniszczona kadź. Chwyciłem Greene'a za fraki i uniosłem go z taką samą łatwością, z jaką suka unosi w pysku szczenię.

– Nie jesteś żadnym prorokiem – wyszeptalem mu do ucha – i nigdy nie byłeś, obłąkany skurwielu.

Greene spojrzał na mnie z przerażeniem w oczach. Jego prawa noga, dotąd drżąca i miotana skurczami, nagle rozluźniła się i znieruchomiła.

– Przestało boleć – wymamrotał wielebny z niedowierzaniem. – Niewiarygodne...

– To cię za to zaboli, stary skurwysynu – syknąłem i zatopiłem jego głowę w cynowej kadzi.

Wielebny rzucał się i szamotał, ze wszystkich sił starając się unieść głowę i złapać oddech, ja jednak trzymałem go mocno. Lek wylewał się przez brzegi kadzi, a na jego powierzchni pojawiły się bąbelki powietrza. Minęła jeszcze chwila i Greene przestał się opierać, a jego ciało zwiotczało. Nie żył.

Ciężko dysząc, opadłem na posadzkę. Powinienem teoretycznie czuć teraz przyływ euforii. Zabiłem właśnie człowieka, który zaraził mnie wirusem, zamordował mojego przyjaciela i zmusił tysiące ludzi do życia i umierania w niewoli i poniżeniu. Radość jednak nie nadchodziła. Jedyne, na co miałem ochotę, to zamknąć oczy i zaznać wreszcie spokoju.

Gdzieś nade mną rozległ się nagle potężny łoskot. Na parterze budynku coś

się właśnie zawaliło. Powietrze było coraz gorętsze i śmierdziało dymem. Z pewnym trudem wstałem i podniosłem siekiere, której gwardzista używał do rozbijania kadzi. Stałem nad zwłokami Greene'a i zamachnąłem się. Jednym silnym ciosem skróciłem wielebnego o głowę.

– Zobaczmy, czy zmartwychwstaniesz, bydlaku – rzuciłem na odchodne.

Założyłem na ramię karabin i opuściłem podziemia dawnego banku. W jednej ręce niosłem blaszany pojemnik z grzybem macierzystym, w drugiej – głowę Greene'a. W wielu punktach pojawił się już ogień, w budynku było potwornie gorąco.

Wszedłem po schodach i pospiesznie przemknąłem przez płonące laboratorium. Hol ratusza był pełen gryzącego dymu, do wyjścia dotarłem niemal po omacku. Gdy wreszcie udało mi się dostać na frontowe schody i opuścić budynek, opadłem na kolana i zwymiotowałem.

Miasto wokół mnie stało w ogniu. Jedynie leżące po drugiej stronie kanału Bluefont zdawało się niezagrażone pożarem.

Uniosłem głowę wielebnego na wysokość swoich oczu. Twarz Greene'a zamarła w grymasie nienawistnej furii. Przez otwarte usta widać było stare, podgniłe zęby. Splunąłem między pełne chorej pasji oczy wielebnego i cisnąłem jego głowę wprost w płomienie pożerające budynek ratusza.

Obcięta głowa zniknęła w pożodze. Ponad płomieniami uniósł się czarny, nienaturalnie gęsty dym. Dało się też słyszeć nieludzkie, przeszywające wycie. Przez chwilę miałem wrażenie, że meandrujący, piekielny dym zaczął żyć własnym życiem.

Strop holu zawalił się z ogłuszającym łoskotem. Ratusz Gulfport zmienił się w ocean ognia.

PONTEVEDRA, HISZPANIA,
SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ

Samochód terenowy pomału wspinał się porośniętą chwastami drogą. Asphalt na jezdni popękał, a większość stojących przy niej domów była w fatalnym stanie. Znaczna część zdążyła już popaść w ruinę. Poza tym okolica nie zmieniła się prawie wcale. Pnąc się ku szczytowi wzgórza, rozgnietliśmy kołami samochodu sporo leżących tu i ówdzie spróchniałych, pożółkłych kości. Co chwila wskazywałem Lucii kolejne domy i elementy krajobrazu. Byłem jak rozradowane dziecko na wycieczce.

Dotarliśmy w końcu do niewielkiej uliczki odchodzącej w lewo. Skręciłem w nią i zatrzymałem auto. Na asfalcie wciąż widniała wymalowana sprejem strzałka. Był to znak, który podczas ewakuacji miasta naniósł jeden z dawno nieżyjących żołnierzy.

Zgasiłem silnik, ale nie wysiadałem. Nie potrafiłem, z tym miejscem wiązało się zbyt wiele wspomnień.

– To tu? – spytała łagodnie Lucía, biorąc mnie za rękę. Jej brzuch zdradzał, że jest w zaawansowanej ciąży. Oboje wiedzieliśmy, że niedługo trzeba będzie znaleźć miejsce, w którym wygodnie osiadziemy na dłuższy czas. Przynajmniej na rok.

Przytaknąłem wzruszony. To był mój dom.

Wróciłem.

– Jesteśmy już? – spytał dociekliwy głos z tylnej kanapy.

– Tak, Wiktor, przyjechaliśmy – odpowiedziała Lucía, odwracając się – ale musisz poczekać, aż tatuś otworzy ci drzwi.

Przypatrujący się nam ciekawie mały Wiktor przytaknął. Był dzieckiem spokojnym i bardzo byстрыm. Po matce odziedziczył niesamowite zielone oczy.

– Będziemy tutaj mieszkać? – zmarszczył brwi. – Nie podoba mi się ten dom. Jest brudny i stary.

Odwróciłem się ze śmiechem i pogłaskałem swojego syna.

– Spokojnie, synku. Tutaj jest bardzo dużo pustych domów. Zamieszkamy w tym, który najbardziej ci się spodoba, obiecuję. Ale teraz tata musi wejść do środka i przynieść parę rzeczy.

Wysiadłem z samochodu. Lucía sprawdzała w tym czasie, czy w naszym pojemniku z grzybem macierzystym jest dość wody. Dbanie o ten przedziwny organizm stało się elementem życia codziennego naszej rodziny.

Szedłem pomału w stronę domu, a serce łomotało mi z emocji. Ile to już lat? Osiem, dziewięć? Mimo to rozpoznawałem każdy detal, każdą skazę na elewacji. Nawet unoszący się w powietrzu zapach wydawał mi się znajomy.

Wróciliśmy.

Minęła mnie kula rudego futra. Lukullus nie poruszał się już tak żwawo jak wtedy, gdy był młody, ale jeśli coś go zainteresowało, nadal potrafił wykazać się energią. Teraz miauknął z lekkim zaniepokojeniem, pokiwał kikutem ogona i spojrzał na mnie pytająco.

– Ty też dobrze pamiętasz to miejsce, co, stary? – wyszeptałem, głaszcząc zwierzę po grzbiecie.

Bardzo długa podróż dobiegła właśnie końca. Dotarcie tu z ruin Gulfport zajęło nam blisko sześć lat. Sześć lat nieustannej podróży przez świat. W jej trakcie napotykaliliśmy kolejne niewielkie społeczności. Ludzkość podnosiła się z katastrofy.

Choć od ponad czterech lat nie widziano ani jednego Nieumarłego, Ziemia wciąż nie była miejscem bezpiecznym. Nie wszystkie ocalałe grupy były przyjacielskie i nastawione pokojowo. Mozolnie i pomału w różnych punktach globu odradzał się elementarny ład społeczny, ale nie był on nawet cieniem cywilizacji sprzed pandemii. Czasy, które nastąpiły, niektórzy nazywali drugim średniowieczem.

Wielu spośród ocalałych miało we krwi TSJ, ale jak się okazało, ich pokolenie było ostatnim, któremu mogłaby grozić przemiana. Lucía i ja oboje byliśmy zarażeni, ale z jakiegoś tajemniczego powodu mały Wiktor był na wirusa odporny. Wyglądało na to, że TSJ, przenosząc się z matki na dziecko, traci całą swą zabójczą moc. Minie kilka pokoleń i stanie się on niczym więcej jak mrocznym wspomnieniem.

Drzwi były otwarte – tak jak zostawiłem je przed kilkoma laty. W moim salonie legowisko urządziła sobie lisia rodzina, a piętro domu zrujnowała wilgoć z ciekącego dachu. Meble zalatywały zgnilizną, farba na ścianach złuszczyła się. Ja jednak i tak czułem się szczęśliwy.

Byłem w domu.

Podszedłem do stojącej w salonie komody i otworzyłem pierwszą szufladę od góry. To, po co przyszedłem, zachowało się na szczęście w dobrym stanie. Dzięki foliowemu opakowaniu albumy z rodzinnymi fotografiami były nietknięte wilgocią. Poczulem ulgę. Zależało mi na tych zdjęciach, bo stanowiły one ostatnie ogniwo mojej łączności z dawnymi czasami.

Lucía i Wiktor, trzymając się za ręce, weszli za mną do domu. Mój synek

rozglądał się po salonie ciekawie, ale ostrożnie. Wiedział, że dom w ruinie może być miejscem niebezpiecznym. Dzieci Nowego Świata wyraźnie różniły się od tych sprzed apokalipsy.

– I co teraz zrobimy, Manel? – spytała Lucía, opierając głowę na moim ramieniu. – Dokąd pójdziemy?

– Nie wiem – odparłem szczerze – ale to chyba nie ma znaczenia.

Żyliśmy. Przetrwaliśmy najcięższą próbę, jakiej kiedykolwiek musiała stawić czoło ludzkość.

Od tej pory świat należał do nas.

KONIEC

Podziękowania

Po blisko trzyletniej podróży i zapisaniu łącznie prawie tysiąca stron czterystoma tysiącami słów trudno przypomnieć sobie imiona i nazwiska wszystkich osób, które przyczyniły się do tego, że moja przygoda z *Apokalipsą Z* w ogóle doszła do skutku.

W pierwszej kolejności chciałbym podziękować setkom tysięcy anonimowych czytelników internetowych oraz dziesiątkom tysięcy, które poznały książkę już w wersji papierowej. To dzięki nim historyjka o przestraszonym facecie ocalałym z zagłady przerodziła się w trytomową serię. Miałem wielkie szczęście, że otrzymałem od was tak ogromne wsparcie. Co bardzo ważne, sprawiliście również, że mogłem przetrzeć szlaki innym.

Szczególne podziękowania należą się całemu zespołowi wydawnictwa Plaza & Janés, a zwłaszcza mojej redaktorce Emilii Lope – za ciepło, cierpliwość, zrozumienie i nieustanną pomoc. Jesteście grupą świetnych ludzi, wszyscy bez wyjątku. Dzięki wam moja podróż w świat pisarstwa była znacznie wygodniejsza i przyjemniejsza. Największy dług wdzięczności mam jednak wobec Emilii. Dziękuję, że we mnie wierzyłaś, Emi.

Dziękuję także Sandrze Brunie, agentce, oraz jej rewelacyjnemu zespołowi z Barcelony. Znosili cierpliwie moje wahania formy, a ostatecznie sprawili, że książkę przeczytać dziś można w wielu krajach i wielu językach. *Keep pushing*, Sandra.

Juan Gómez-Jurado jest znakomitym pisarzem, którego książki rozchodzą się w rekordowych nakładach, ale dla mnie to przede wszystkim przyjaciel. Dziękuję mu za to, że był moim przewodnikiem w tej podróży i wspierał mnie radą. Oczywiście, podziękowania należą się również jego żonie. Katuxa ze stoickim spokojem znosiła obecność dwóch pisarzy w swoim domu. Zapewniam, że jest to coś, co wymaga ogromnej cierpliwości.

Dziękuję Itzhakowi Freskorowi z Berlina oraz Manuelowi Soutiño z Santiago de Compostela za to, że pojawili się dokładnie wtedy, kiedy było trzeba, i z siłą cyklonu zmiotli hamujące mnie trudności.

Dziękuję Aurorze i Manolowi, że udostępnili nam swój dom w przepięknym, odludnym zakątku Galicji, gdzie mogłem napisać tę książkę. Daję wam słowo, że to nie my rozwaliliśmy stroik świąteczny. Naprawdę sam się przewrócił.

Mojej rodzinie chcę podziękować za cierpliwość i wsparcie. Rodzice i moja inteligentna, nieustępliwa siostra byli dla mnie jak bezpieczna przystań w

czasie sztormu. Są i na zawsze pozostaną filarami całego mojego życia. Dziękuję wam za to, że jesteście tacy, jacy jesteście.

No i oczywiście dziękuję swojej żonie Lucii – pierwszej czytelniczce i surowej recenzentce mojej twórczości. Dzięki niej rozumiem, dlaczego mężczyźni potrafią dla uśmiechu kobiety ryzykować życie.

Wszystkim wam serdecznie dziękuję. Szykujcie się, bo to nie koniec. Jesteśmy dopiero na początku drogi.

- [1] K. Kawafis, *Wiersze i proza*, przeł. Zygmunta Kubiaka, Warszawa 2001, s. 26 (przyp. tłum.).
- [2] *Signore, signore...* (wł.) – Proszę pana, nie dzieje się nic złego. Jest pan bezpieczny (...). Jest pan na pokładzie „Itaki”, pamięta pan? (przyp. tłum.).
- [3] Repsol – hiszpański koncern zajmujący się wydobywaniem ropy i dystrybucją paliw (przyp. tłum.).
- [4] Dżucze to ideologia Partii Pracy Korei Północnej – skrajny, ksenofobiczny i nieco paranoidalny wariant marksizmu (przyp. aut.).
- [5] *Bible Belt* to termin, którym potocznie określa się znaczny obszar Stanów Zjednoczonych, gdzie chrześcijaństwo ewangelickie jest silnie zakorzenione społecznie i wpływa na niemal wszystkie aspekty życia codziennego (przyp. aut.).
- [6] *White Pride* (ang.) dosł. „Biała Duma”, tu – duma, że jest się białym (przyp. tłum.).
- [7] Aryan Nations (AN) (ang.) – „Narody Aryjskie” – neonazistowska organizacja, stworzona w latach 70. przez Richarda Butlera na terenie Stanów Zjednoczonych jako odnoga Kościoła Jezusa Chrystusa Chrześcijanina (przyp. tłum.).
- [8] Wszystkie cytaty z Biblii za: *Biblia warszawska*, Warszawa 1975, Towarzystwo Biblijne w Polsce.
- [9] *Gachupina* – stosowane w Meksyku potoczne i nieco pejoratywne określenie osób urodzonych w Hiszpanii (przyp. aut.).
- [10] *Güero* – słowo to w meksykańskim hiszpańskim oznacza blondyna, ale stosuje się je w szerszym kontekście jako określenie wszystkich osób rasy białej (przyp. aut.).
- [11] Centers for Disease Control and Prevention – Centrum Zwalczania i Profilaktyki Chorób, najważniejsza w Stanach Zjednoczonych instytucja zajmująca się badaniem nośników infekcji. Jest komórką tak ważną, że jej dyrektor odpowiada bezpośrednio przed prezydentem (przyp. aut.).
- [12] *È un...* (wł.) – To wspaniałe dzieło sztuki (przyp. tłum.).
- [13] *Porca...* (wł.) – Cholerny skurwielu, po jakiego diabła tu przylazłeś? (przyp. tłum.).
- [14] W. Shakespeare, *Juliusz Cezar*, przeł. Stanisława Barańczaka, Poznań 1993 (przyp. tłum.).
- [15] Do 2006 roku obowiązywała w Polsce nazwa Phenian, wprowadzona po II wojnie światowej, a zapożyczona z języka rosyjskiego. Obecna nazwa Pjongjang nawiązuje do wymowy koreańskiej oraz nazw stosowanych w Polsce przed wojną (przyp. tłum.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz